This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

59750

NASI POWIEŚCIOPISARZE

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA

wyszły tegoż autora:

Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki. 2 duże tomy z dwoma portretami A. Mickiewicza. 8ka. rs. 5.

Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki. 8ka. rs. 3.

Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Zarys literacki. Wydanie trzecie poprawione i pomnożone. rs. 2.

NASI POWIEŚCIOPISARZE

ZARYSY LITERACKIE

SKREŚLONE PRZEZ

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO

№ Dz. 10 Ks. 11
Aleksander Redych
№ Dz. 10. Ks. 11

SERYA DRUGA

JÓZEF KORZENIOWSKI. — LUDWIK SZTYRMER. IGNACY MACIEJOWSKI (SEWER). — ALEKSANDER GŁOWACKI (BOLESŁAW PRUS). — KLEMENS SZANIAWSKI (JUNOSZA). — MIECZYSŁAW BIERZYŃSKI (CZERNEDA). — DEBIUTY POWIEŚCIOPISARSKIE Z R. 1885.

WARSZAWA I KRAKÓW
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1895

PG 7028
C5
v.2

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki.

I.

JÓZEF KORZENIOWSKI.

Niesłusznością byłoby utrzymywać, że nie oceniono u nas Korzeniowskiego wedle zasług. Za życia spotykały go wprawdzie nieraz nietylko przykre i dotkliwe przygryzki, lecz bolesne a w dodatku niesprawiedliwie wymierzone ciosy; po śmierci atoli — laurów, tych „liści uroczych“, mu nie zabrakło. Już w r. 1868 Karol Widman poświęcił obszérne studyum twórczości jego dramatycznej i powieściowej, przyznając mu niejednokrotnie nazwę mistrza, jakkolwiek wyróżniał go oczywiście wyraźnie od grupy geniuszów i talentów genialnych. Niebawem potem Leopold Winkler w r. 1872, nie wdając się w rozbiór szczegółowy, nakreślił i uwydatnił główne momenta „publicznej i literackiej działalności“ naszego pisarza, akcentując silnie znaczenie i doniosłość pracy Korzeniowskiego w sprawie wychowania i wykształcenia narodowego. W tymże czasie podjęte zostało zbiorowe wydawnictwo „Dzieł“, nakładem S. Lewentala, poprzedzone wstępem biograficzno-literackim F. H. Lewestama. A wskutek tego odnowienia wrażeń przez rozczytanie się w całości utworów, powstały dwa nowe studya: Adama Rzążewskiego, który dogodził życzeniu tych, co chcieli mieć podaną treść każdego po szczególe dramatu, komedyi czy powieści; oraz p. Waleryi Marrenowej, która rzuciła pogląd krytyczny na całość dramatów i powieści, analizując z nich główniejsze bardzo starannie. Nakoniec w r. 1879 Klemens Kantecki, korzystając z materyału rękopiśmiennego, napisał bardzo

zajmujący szkic biograficzny, ciekawy zwłaszcza i ważny co do młodości naszego znakomitego autora, gdyż podaje listy jego, zupełnie do owego czasu nieznane.

Jeżeli do tych prac obszerniejszych o Korzeniowskim dodamy sporo artykułów krótkich, zawartych w czasopismach, encyklopedyach i podręcznikach dziejów literatury, to ze względu na małą naszą wogóle pochopność do pilnego roztrząsania zasług wielkich pisarzów, niepodobna będzie nie przyznać, iż Korzeniowskiemu poświęcono stosunkowo dosyć uwagi.

A kiedy tak — pomyśli sobie czytelnik — to pocóż pisać jeszcze jedno studyum, zwłaszcza, że od czasu ostatniej o Korzeniowskim pracy materyał biograficzny nie wzbogacił się wcale nowemi jakiemiś publikacyami?... W odpowiedzi możnaby kilka przytoczyć względów; ja poprzestanę na jednym. W pracach poprzedników moich Korzeniowski był rozpatrywany trochę zanadto jako odosobniona jednostka, a nie jako składowy czynnik całości naszego rozwoju duchowego, stąd też rola jego w dziejach naszego piśmiennictwa nie była genetycznie oznaczona, lecz określana dosyć dowolnie, stosownie do pojęć estetycznych piszącego. Nie zamierzam zatem ani wyczerpującego życiorysu, ani dokładnej analizy wszystkich utworów Korzeniowskiego; biograficzne dane posłużą mi tylko do przedstawienia warunków rozwoju usposobienia i talentu autora, pisma zaś do skreślenia znamiennych cech odznaczających fizyognomię jego duchową. Jakim był i co zrobił Korzeniowski na tle czasu, w którym działalność swą rozwijał, oto pytanie, na które starać się będę wedle sił odpowiedzieć. A że działalność ta przeciągała się przez bardzo długi okres (od r. 1816 do 1863), w ciągu którego prądy duchowe trzykrotnej ulegały zmianie, powodując chociażby częściową tylko modyfikacyę i w twórczości Korzeniowskiego, wypadnie ją zatem rozważać w ścisłym z owemi zmianami związku.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(1816—1831).

I.

Korzeniowski należał do tegoż samego pokolenia, co Mickiewicz, od którego był starszy blizko o dwa lata (ur. 19 marca r. 1797) i którego przeżył o lat ośm. Wpływy zatem ogólne, jakoto: wielka epopeja Napoleońska, atmosfera duchowa, wykształcenie literackie oddziaływały i na niego, a jednak ani popchnęły go w szeregi stanowczych, zdecydowanych romantyków, ani też nie wywołały w nim chęci do stawienia oporu nowemu duchowemu ruchowi. Ani gwałtowne, namiętne wybuchy lub nadobłoczne wzloty fantazyi, ni też z drugiej strony chłodne, wymuskane formy wyrażania uczucia i pomysłów poetyckich nie miały w nim zwolennika. W dobie walki romantyków z klasykami zajmował on niezbyt wybitne wprawdzie, lecz samodzielne stanowisko.

Przyczyn tego faktu szukać należy w przyrodzonem usposobieniu pisarza i w trybie jego indywidualnego kształcenia się.

Korzeniowski był synem zubożałej rodziny szlacheckiej, w której jednakże płynęło już trochę krwi mieszczańskiej, i to niemieckiego pierwotnie pochodzenia. Nie będzie nadużyciem wywodów biologicznych, jeżeli matce jego, Klarze z Winkle-

rów, przypiszemy wpływ w utworzeniu jego temperamentu, w którym popędliwość i porywczość połączyła się z sentymentalnością, nie wykluczającą bynajmniej zdrowego rozsądku i praktycznego zmysłu. Zarówno w życiu jak w pismach temperament ten odbił się bardzo wyraźnie; znajdziemy na to dowody w całej jego twórczości; tu przytoczę tylko dwa przykłady dla objaśnienia.

Wiadomo wszystkim, jak usposobienia uczuciowe przetwarzają materyał wzięty z rzeczywistości, jeżeli się on do nich samych odnosi, jak ozłacają to, co miłe, jak pogardliwie patrzą na to, co im wstrętne. Zwłaszcza wspomnienia dzieciństwa stają się dla nich przedmiotem uwielbień lub ironii, stosownie do panującego w nich w danej chwili nastroju, lub stosownie do ogólnego kierunku ich życia duchowego. I u Korzeniowskiego można widzieć rys ten bardzo wyraźnie.

Miejscowość pod miastem Brodami w Galicyi, gdzie nasz autor lata dziecinne przepędził, tak nam opisuje człowiek, który patrzył na nią trzeźwo, nie mając żadnego interesu ani jej ganić, ani się nad nią unosić: „Folwarczek, *po Korzeniowskim* zwany, leży okolony kilkunastu bardzo staremi wierzbami na północno-wschodniej granicy włości Smulno, na zupełnej płaszczyźnie, w nizkiem położeniu gleby piaskowej, nad bagnistemi łąkami od północy, które łąki na parę tysięcy sążni w dali okalają ciemne i duże sosnowe bory. Na południe, o ćwierć mili za bagnistemi łąkami i za szaremi wydmuchami piaskowemi, widać miasto Brody, a z którejbądź strony w cokolwiek wilgotną porę dążąc ku temu folwarkowi, mimowoli ciśnie się do myśli znany opis podróży ks. biskupa warmińskiego do Ryczywołu, którego opisu rymów nie pamiętam, ale treść jest mniej więcej następująca: piasek a potem lasek; za laskiem stawek i znowu to piasek, to błoto, to lasek“ [1]).

Jednakże inaczej ten tak pospolity zakątek odbił się

---

[1]) List Izydora Kędzierskiego z Fulsztyna w „Dzienniku literackim“ lwowskim, r. 1868, nr. 6.

w sercu, przypominającem sobie w 63-cim roku życia chwile swobody dziecinnej w nim spędzone! „Co później było — pisze Korzeniowski w r. 1860 do księdza Barącza — widzę jak przez mgłę; co wówczas, w tej epoce pierwszego dzieciństwa, widzę tak żywo, tak jasno, jakby to było wczoraj. Ten folwarczek, w którym wychowałem się, rysuje się w pamięci ze wszystkiemi budynkami, ze wszystkiemi drzewami ogrodu, z całem obejściem, otoczonem laskiem, gdziem się tyle nabiegał i naswywolił!... Było to śliczne i wygodne mieszkanie szlacheckie, z ogrodem dużym, pełnym drzew fruktowych, mającym wielką szparagarnię i mnóstwo specyałów w różnych fruktach i jagodach, na których wspomnienie i teraz ślinka mi do ust przychodzi. Zabudowania gospodarskie były obszerne i wszystkie na nowo przez ojca mego wystawione. Wszystko to otaczał śliczny lasek, z prawej strony sosnowy, a za ogrodem dębowy, zielony, pełen woni i głosu ptaków. Z trzech stron lasek ten otoczony był naszemi polami, a z jednej, gdzie był widok na wzgórza, należące do Ponikwy i okryte bukowym lasem, była dość obszerna łąka, gdziem nieraz do potu gromadził siano i ściągał je w kopy. Możesz pan sobie wyobrazić, co to był za raik dla dzieci żywych i zdrowych, prowadzonych nie grozą, ale miłością, mających wszystko, czego dziecinna duma zapragnęła: opiekę rozumną, a nie ciężką, wygodę i dostatek wszelkich łakoci, pole do biegania i swywoli w lasku, który był tuż za bramą, gdzie była swoboda, gdzie był cień i tyle ptaszków, które uczyły mię zawczasu śpiewać i za dary życia dziękować Dawcy wszystkich darów, jakiemi człowiek cieszy się na ziemi“.

Tak więc bagniste łąki i szare wydmuchy piaskowe zamieniły się we wspomnieniu na „raik“ pełny powabu i wdzięku. Zauważyć jednak należy, że i w tem uczuciowem zidealizowaniu zachował Korzeniowski miarę, a zmysł praktyczny i pewna trzeźwość widoczne są w ścisłem złączeniu zabaw, śpiewów i figlów z pracą, kiedy to najwyżej 8-letni chłopak „do potu gromadził siano i ściągał je w kopy“.

To samo skojarzenie uczuciowości z trzeźwym rozsądkiem widzimy jeszcze dobitniej wyrażone w listach 25-letniego młodzieńca do narzeczonej, wybranej — dziwną analogią ze stosunkami we własnej rodzinie — z pośród mieszczan warszawskich niemieckiego pochodzenia. Monika Vogel była córką profesora architektury w uniwersytecie warszawskim. Na jednym z wieczorków tanecznych podobała się ona Korzeniowskiemu w walcu, w którym poruszała się zgrabnie i z wdziękiem. Poznawszy ją trochę bliżej, wkrótce oświadczył się o jej rękę i został przyjęty. „Romans“ młodej pary „trwał tylko dni kilka“, jak się sam Korzeniowski wyraża — szybko przeszli „od oczekiwania do pewności, przyjaźń i tkliwość i jedność serc wkrótce dojrzały“. Szczerość, serdeczność i głębokość uczucia ze strony Korzeniowskiego nie mogą ulegać wątpliwości; kiedy listy Moniki czytał, jako narzeczony: „trząsł się cały“, a w twarzy i oczach malowały się jego pełne tkliwości wrażenia; późniejsze długoletnie pożycie zaświadczyło, że uczucie owo było trwałe, na silnym fundamencie szacunku i przyjaźni oparte. A przecież jakże blademi, niemal chłodnemi wydają się listy, w owym czasie narzeczeństwa do Moniki pisane, zwłaszcza gdy je sobie zestawimy w myśli z temi płomiennemi wybuchami, jakie z serca swego na papier Mickiewicz właśnie w tymże roku 1822 wylewał! Prawda, że miłość Korzeniowskiego była szczęśliwa, żadnych nie doznawała przeszkód, a więc nie potrzebowała się wyrażać w słowach namiętnych, egzaltowanych; — ale komu wiadomo, jak nawet wśród najpomyślniejszego składu okoliczności natury nerwowe, gwałtowne lubią dręczyć samych siebie urojonemi nieszczęściami, ten odczytując spokojne, pełne nauk i przestróg listy Korzeniowskiego, z łatwością dojdzie do wniosku, że ma przed sobą objawy temperamentu refleksyjnego, który nawet nad wyrazem uczuć swych zapanować potrafi, który nie upaja się chwilą obecną, lecz myśli o przyszłości, który nie oddaje się rozkoszy szczęścia, lecz stawia sobie i narzeczonej przed oczy — obowiązek. „Cała miłość gminnych ludzi — zdaniem Korzeniow-

skiego — jest momentalnem pijaństwem zostawującem niesmak po otrzeźwieniu"; jego miłość „pijaństwem" być nie mogła; on panował nad sobą, rozmyślał nad swoim do ukochanej stosunkiem, widział w niej nie tyle kochankę, ile raczej przyszłą żonę i matkę jego dzieci, i już naprzód czcił ją za to.

„Jesteśmy teraz — pisał między innemi do narzeczonej — na takim stopniu przywiązania, na jakim będziemy za lat trzydzieści, jeżeli nam Bóg żyć pozwoli. Jak żałuję tych ludzi, którzy w przywiązaniu, w miłości szukają takich ukontentowań, jakich w niej niemasz! Imaginacya dodaje ich żądzom świetnych farb, gdy w czarownem wystawia je oddaleniu; lecz wkrótce przekonywa ich skutek, że niemasz takiego wdzięku w rzeczywistości, jaki był w nadziei. Spodziewali się anielskich rozkoszy — znajdują tylko ludzką przyjemność; ten zawód oziębia ich i studzi... Jakżeby się zimnemi te uwagi wydały zawróconym i rozmarzonym głowom!" Dla Korzeniowskiego powaby ciała nie stały wyżej nad przymiotami duszy; dobroć cenił wyżej nad piękność.

„Czemże jest piękność — wykładał Monice — przy twojej dobroci? Któryż majątek zastąpi twoją szczerą i prostą miłość, twoją czystą i jasną duszę? Nie wart byłbym szczęścia, które mi przyniesiesz, gdybym się za tak przemiennemi, za tak niebezpiecznemi powabami zapędzał. Nie, moja przyjaciółko, wdzięki nie trwają przez wiek cały, pieniądze stracić można, a szczęścia na całe życie potrzeba. Oszczędność przyczyni nam dochodu, a przestawanie na małem jest najpewniejszem źródłem bogactw. Jakże cieszę się z tego, że to piszę *z rozmysłem* i z mocnego przekonania! Nie myśl bowiem, aby mię *miłość zaślepiła*. Kocham cię bez wątpienia, lecz widzę dobrze wszystkie skutki, które stąd wyniknąć mogą... Już ci to nieraz, moje życie, mówiłem, że miłość prędko zniknie, a przyjaźń jej miejsce zastąpi. Miłość nie uważa na różnicę stanu i usposobienia; przyjaźń nie uważa także na różnicę stanu, ale szuka równości moralnej. Jeżeli więc małżeństwo ma być szczęśliwe, potrzeba, aby przez całe życie w każdym punkcie rozu-

mieć siebie mogło“. Troszczy się więc o to, aby go przyszła żona rozumiała, dowodzi jej potrzeby nauki dla kobiety, przeciwko czemu „była trochę uprzedzona“.

Zakres tej nauki, wedle wymagań Korzeniowskiego, był niewielki, jak na dzisiaj, ale na owe czasy, kiedy naukę poczytywano tylko za „ozdobę“ umysłu kobiecego, wybiegł on poza granice, w wychowaniu domowem przyjęte. „My, moje życie — pisał do narzeczonej — którzy najczęściej będziemy tylko z sobą, idąc nieodmieniającą się koleją jednostajnego życia, będziemy musieli szukać pomocy w nauce, w myślach, które nam ciągły w nich postęp nastręczy, w dziełach gustu i imaginacyi, w wydarzeniach przeszłych całej ludzkości. Albowiem stan mój nie jest takim, abym ci mógł zawsze coś nowego przynieść, jak to może sędzia, urzędnik, żołnierz; gospodarstwo twoje nie będzie tak rozległem, abyś mogła coraz mojej rady i wsparcia potrzebować. Dlatego poznanie przeznaczenia ludzkiego, człowieka, społeczności i jej rozmaitych stanów; rozpatrzenie się w ciekawszych wydarzeniach natury, dzieła poezyi i jej rozważna znajomość, historya i geografia: oto są wiadomości tak tobie, jak i każdej kobiecie potrzebne, która chce być nietylko gospodynią mężowskiego domu, ale miłą towarzyszką życia. Nie jest to tak szeroki zawód, jaki ci się napozór zdawać może, a jeżeli początkowe w nim kroki wydadzą się pracą, praca ta stanie się wkrótce miłą i konieczną potrzebą, ponieważ jest to cechą umysłu naszego, że się potrzebuje doskonalić, gdy raz zacznie... Wreszcie nim nabierzesz gustu, niech ci przywiązanie do mnie stanie się pobudką, miłość niech cię prowadzi na piękne pole, na którem rozum ludzki tyle plonów zdobył... A jeżeli wszelka przyjemność podwaja się podziałem, pomyśl, jak szczęśliwym będę, gdy nietylko w domu, lecz i w krainie imaginacyi i rozumu będę mógł być z tobą... Nie chcę ja sam z ciebie zrobić kobiety uczonej, bo to są nudniejsze stworzenia od ciężko uczonych mężczyzn; ale wielka zachodzi różnica między kobietą uczoną, a oświeconą. Pierwsza o niczem nie chce mówić, tylko o tem, co wy-

czytała w książkach i czego dobrze nie zgłębiła; druga stara się rozjaśnić tylko nauką swój umysł, aby wznieść duszę i poznać lepiej obowiązki żony i matki, stara się wykształcić swój gust w sztukach, aby się stać milszą sobie i drugim i podzielać ukontentowanie wszystkich światlejszych ludzi; a nie popisując się nigdy, aby nie być w czasie potrzeby lalką malowaną i milczącą statuą... Moje życie, twój umysł — zdolny i wart doskonalenia; moje serce uczciwe jest warte, abyś je tak czuć nauczyła, jak sama czujesz. Będę ci pisał, będę wybierał dla ciebie takie rzeczy, które kobietę interesować, zająć i podnieść mogą. Znam ja całą ważność obowiązków kobiety... nie myśl więc, abym wymagał od ciebie zapomnienia tych świętych powinności... Nieznośną jest w kobiecie sama nauka bez czucia; czułość bowiem jest jej najpiękniejszym zaszczytem; ktoby chciał ją odjąć, odjąłby farbę kwiatom, śpiewanie słowikowi".

Myśl o przyszłem ojcowstwie wraca ciągle w tych listach; i ten sam człowiek, który wyznawał narzeczonej otwarcie, że jego miłość nie jest gorączką, ani zawrotem głowy, że nie szalałby za jej włosami, ani rzuciłby się z okna na jej rozkaz; dobiera najczulszych w swoim słowniku wyrażeń, gdy o niej jako o matce swoich kiedyś dzieci wspomina. „Jeżeli kiedy przyjdzie ten czas — powiada — na którego myśl samą całe serce się moje trzęsie od radości i szczęścia, jeżeli przyjdzie ten czas, że nie sami już z sobą pieścić się będziemy, o wtenczas, moja droga, moja kochana żono! wtenczas wszystko nam się stanie niepotrzebnem dla nas samych; oddamy wtenczas naszym dzieciom to, co teraz sami zyskamy... Czuję, mocno przekonany jestem, że będziesz najlepszą matką; czuję, jak ja twoje dzieci kochać będę. Oby nam Bóg tylko tego szczęścia nie odmówił. O moja duszo! ty nie uwierzysz, jak ty szacowną dla mnie jesteś istotą! Dom nasz będzie takim, jaką ty jesteś, będzie to świątynia, w której wszystko to, co w sercu jest najszlachetniejszego, co w życiu jest najszacowniejszego, znajdzie przybytek".

Któż w tych wynurzeniach poufnych nie uzna serca czułego, ale zarazem i rozumu praktycznego, który nie pozwala ani na chwilę łudzić ukochanej majakami szczęścia wymarzonego, w fantazyi tylko wytworzonego. Świadczą one wymownie o zacnym charakterze 25-letniego młodziana i dowodzą zarazem, że w uczuciu jego samo tylko serce i rozum, nie zaś fantazya brały udział.

II.

Ten szczery i serdeczny, ale umiarkowany nastrój uczuciowości, zostający pod ścisłą kontrolą trzeźwego rozumu i będący naturalną podstawą usposobienia Korzeniowskiego, wzmocnił się i utrwalił wskutek wychowania i wykształcenia, jakie odebrał nasz autor w dzieciństwie i młodości.

Pożycie rodzinne skromne, wypełnione pracą, przeplataną prostemi rozrywkami, nie rozkołysywało pragnień, nie wzniecało trudnych do osiągnięcia pożądań. Od najwcześniejszego dzieciństwa słyszał Korzeniowski przestrogi o potrzebie pracy i widział najlepszą tych przestróg illustracyę w przykładzie rodziców.

Ojciec i matka sami nauczyli go czytać i pisać, a potem przygotowywał go do szkół niejaki Filipowicz, którego fizyognomia wryła mu się w pamięć na zawsze. Był to młodzieniec, który skończył kursa filozoficzne we Lwowie, ale zakochawszy się w córce pewnego mularza z jurydyki brodzkiej, „rzucił w kąt filozofię austryacką, dał za wygraną pedagogii i dla miłości dziewczyny został sam mularzem, gdyż inaczej dostać jej nie mógł“ — i wyszedł na tem dobrze.

W ósmym roku życia oddany został do 1-szej klasy normalnej w Brodach, naturalnie w duchu i języku niemieckim prowadzonej, pod kierownictwem niejakiego Fontany, człowieka energicznego i surowego, którego bali się uczniowie niezmiernie, a którego potężny nos i górne zęby, jedne na drugich leżące i wystające tak, że ust dobrze zamknąć nie mógł, utkwiły

w pamięci Korzeniowskiego. Umieszczony był na stancyi u zniemczałego Krakowianina, kupca Lahety, mającego trzy podrastające córki i będącego w przyjacielskich stosunkach z rodzicami Korzeniowskiego. W tem towarzystwie mieszczańskiem przebył malec trzy lata. Przy końcu pierwszego roku doznał bolesnego upokorzenia. Ucząc się dobrze, zawsze chwalony i na pierwszem miejscu w klasie siedzący, spodziewał się na pewno nagrody, zaprosił więc córki gospodarza swego na egzamin, upewniając je, że dostanie order na szerokiej żółtej wstędze, z napisem z jednej strony, a z drugiej — z ogromnym orłem austryackim. Tymczasem order dostał jakiś drymblas Łoziński dwa razy starszy od Korzeniowskiego, a on sam — tylko pochwałę. Panny żartowały sobie z jego przechwałek, a jemu serce się ściskało na tę niesprawiedliwość. Order wszakże dostał mu się w roku następnym, gdy był w drugiej klasie: z fantazyą już tedy prowadził ordynek uczniów ze szkoły do kościoła, mając na szyi żółtą wstęgę na trzy palce szeroką, z wielką kokardą na piersiach, na której leżał tombakowy medal z orłem i napisem. „Dziś — dodaje Korzeniowski, opowiadając o tem na trzy lata przed zgonem — błękitna wstęga i gwiazda brylantowa mniejby mnie ucieszyły“.

Po ukończeniu szkoły „normalnej“, odwieziony został w r. 1806 do Zbaraża, gdzie przez rok uczył się łaciny w „infimie“ otwierającego się tamże gimnazyum, pod ks. Daszkiewiczem, bernardynem, którego twarz i dyscyplinę zapamiętał dobrze, choć tylko parę razy za myłki w „okupacyach“ na dłoni jego boleśnie legła.

Podczas wakacyj r. 1807 przybył do domu rodziców Korzeniowskiego bratanek jego matki, bezdzietny a zamożny, zamieszkały na Bukowinie, i zabrał malca ze sobą, zapewniając mu całkowite utrzymanie bezpłatne. Przejeżdżając przez Lwów, zaprowadził go do teatru. Pamięć kilku przedstawień, tu po raz pierwszy widzianych, niezatartą została w umyśle Korzeniowskiego „i żadna późniejsza uciecha, jakiej w życiu doznał, nie była już ani tak wielka, ani tak stanowcza“. Drugą klasę

gimnazyalną odbył w Czerniowcach. Przy końcu roku szkolnego, za namową zniemczałej żony swego krewniaka i opiekuna, posłał matce na imieniny powinszowanie w języku niemieckim, oraz list do rodziców w tejże mowie. Stary Korzeniowski tak się tem obruszył, że wyrzekając się i dalszej edukacyi i widoków na przyszłość, kazał synowi natychmiast wracać do domu.

Głośnem już wtedy stawało się gimnazyum wołyńskie w Krzemieńcu, otwarte za staraniem Czackiego, według planu opracowanego wspólnie z Hugonem Kołłątajem w roku 1805. Język wykładowy polski oraz duch obywatelski, ożywiający tę szkołę, pociągnęły ku sobie jak innych, tak i starego Korzeniowskiego. Nie zawahał się przed kosztami i wyprawił syna w r. 1808 do Krzemieńca, będącego tak blizkim granicy austryackiej.

Przebył tu Józef całych lat jedenaście; biografie nie wyjaśniły dotychczas, dlaczego tak długo; zwykły kurs nauk trwał tu najwyżej lat dziesięć; a ponieważ Korzeniowski już ukończył dwie klasy w Galicyi, pozostawałoby mu jeszcze lat ośm. Wypadnie chyba przypuścić, że żądny wiedzy młodzieniec nie poprzestał na wysłuchaniu trzech wykładów w „kursach“ dwuletnich, na które rozpadały się wyższe klasy gimnazyum wołyńskiego, lecz oddawał się jeszcze specyalnie przez dwa lata jakiejś gałęzi nauk, prawdopodobnie literaturze, zarabiając już od 15-go roku życia na swe utrzymanie jako „dozorca“ czyli korepetytor młodszych studentów.

Charakter szkoły krzemienieckiej jest znany. Łączono tu naukę z wyrobieniem towarzyskiem; dbano zarówno o uposażenie głów wiadomościami jak i o przygotowanie praktyczne do stosunków życiowych; studya nie wykluczały zabaw, zawsze odbywanych pod kierunkiem i nadzorem nauczycieli, co wytwarzało serdeczny, niemal rodzinny związek pomiędzy uczącymi i nauczanymi, a zarazem strzegło od obłąkań i nadużyć, do jakich samopas puszczona młodzież bywa skłonna.

Trafił Korzeniowski na najświetniejsze czasy rozwoju gimnazyum wołyńskiego.

Blizko pięć lat przebył w niem jeszcze za życia jego twórcy, Tadeusza Czackiego. Były to lata, w których gorąca a hartowna dusza tego „jałmużnika“ oświaty wykazały się najdobitniej wśród nader trudnych warunków istnienia i działania, gdy zawiść z jednej strony, a z drugiej wojny napoleońskie na ciągłe niebezpieczeństwa wystawiały instytucyę tak ważną i tak ukochaną. Pełne godności i rozumu zachowanie się Czackiego w r. 1810 i 1812 przemówić mogło nawet do niedoświadczonych umysłów małoletniej młodzieży, a serdeczność prawdziwie ojcowska, z jaką się on zwracał ku uczniom, przejmowała ich serca czcią i miłością. I w sercu Korzeniowskiego cześć ta i miłość osiadła głęboko; Czackiego zasłudze przypisywał on wszystko, co mógł dobrego w życiu swem dokonać, jak to sam wyraził w zakończeniu „Ody do pióra“.

A i dalsze lata, już po śmierci wielkiego „jałmużnika“ w Krzemieńcu przebyte, mogły w duszy młodzieńca zostawić jak najlepsze wspomnienie; żyła wtedy jeszcze silnie tradycya założyciela szkoły, która teraz właśnie zbierała dojrzałe owoce jego gorliwości. Dążność zacna i podniosła, zapał wśród nauczających i uczących się, potężne uczucie koleżeństwa i przyjaźni: wszystko to musiało dobroczynnie oddziaływać na rozważny umysł młodego Korzeniowskiego.

Wypadki współczesne na wielkiej arenie świata, zwycięski pochód „boga wojny“ Napoleona, tak ściśle natenczas łączony z losami naszego społeczeństwa, podtrzymywały i wzmacniały w duszy młodzieży nauki i uczucia wszczepiane w szkole. W późnej starości przypominał sobie Korzeniowski z rozkoszą jedną chwilę z owych czasów tak obfitych w wielkie wypadki. Było to w r. 1809. Książę Józef Poniatowski zajął tryumfalnie Galicyę. Wakacye szkolne jeszcze trwały. Młodziutki student gimnazyum wołyńskiego przyleciał do domu rodziców, by zobaczyć ułanów; trafił na uroczysty obchód imienin Napoleona 15-go sierpnia. „Był wówczas — opowiada Korzeniowski —

w Brodach pułk Adama Potockiego, był nowo sztyftowany pułk Rzyszczewskiego, był szwadron szaserów konnych Przebendowskiego w ogromnych bermycach. Łatwo pojąć, jak to wszystko interesowało, jak rodzice nie mogli nas w domu utrzymać, jak pieszo lataliśmy do Brodów, aby widzieć mustry i egzercycye nowego żołnierza; jak żałowałem, żem miał dopiero lat dwanaście, jak przynajmniej z drewnianym pałaszem i w papierowych, własnego wyrobu ułańskich czapkach i ładownicach uwijaliśmy się z bratem po naszym lasku, ścinając paproć, która nam wyobrażała szłapaków...“

Zapalonym atoli napoleonistą, jak wielu z jego współczesnych, jak między innymi zwłaszcza Mickiewicz, Korzeniowski się nie stał; żywił zapewne przez lat kilka nadzieje związane ze zwycięstwami Napoleona, lecz rychło się po jego upadku z nich otrząsł i z nowym porządkiem rzeczy, zaprowadzonym po kongresie wiedeńskim, pogodził. Nie lżył wprawdzie pokonanego, nie urągał mu, jak niektórzy z dawniejszych wielbicieli, owszem uznawał jego wielkość nawet w dobie zgnębienia, ale nie żałował, że już go w Europie nie było.

Tak się odbił w umyśle rozważnego młodzieńca największy ówczesny wypadek, który niejedno serce rozgrzał lub goryczą napełnił, niejedną wyobraźnię zapalił.

Żadna zresztą inna, bardziej osobista okoliczność nie przyczyniła się do nadmiernego rozrostu uczucia czy wyobraźni w młodzieńcu oddanym nauce. Jest wprawdzie jedno miejsce w jego dziełach (XII, 164)[1]), dotychczas przez biografów nieuwzględnione, a wskazujące, że i w duszy studenta krzemienieckiego silne, płomienne gościło uczucie „pierwszej miłości“. Mówiąc w poemacie „Pan Fortunat“ o „brylantownej, niepowrotnej chwili młodzieńczego uniesienia, za którą gotów oddać wszystkie późniejsze bogactwa, hołdy i oklaski“, powiada:

[1]) Wszystkie cyfry w nawiasach, jeżeli innego objaśnienia przy nich nie będzie, są to wskazania tomów i stron w zbiorowem wydaniu Dzieł Korzeniowskiego, ogłoszonem w Warszawie r. 1871—73 nakładem S. Lewentala.

I jam miał taką. O ty! coś młodzieńca
Sercu czuć dała jej słodycz, jej czary,
Mój ideale i gwiazdo Krzemieńca!
Tyś już dziś stara, dziś i jam już stary,
Jednak czas z głowy twojej nie zdjął wieńca,
W który cię moje ustroiły mary;
Jeśli cię wspomnień przywołuje siła,
Taką cię widzę, jakąś wówczas była.

Tyś dla mnie zawsze rumiana i młoda;
Słodko się do mnie śmieją twoje oczy,
Lśni czoła twego białość i pogoda
Przy kruczym blasku miękkich twych warkoczy;
Miga mi twojej kibici uroda,
Kiedy ją taniec unosi ochoczy;
Sukienki twojej poję się szelestem,
I zdaje mi się, że przy tobie jestem.

Kto była ta „gwiazda Krzemieńca“, która tak trwałe w wyobraźni pisarza zostawiła ślady, powiedzieć nie potrafię; ze sposobu jednak, w jaki Korzeniowski o niej się wyraża, widać, że to była osoba w stosunkach towarzyskich niedostępna, że to był tylko „ideał“ studencki całkiem platonicznie uwielbiany i strojony we wszystkie wdzięki i czary, jakiemi fantazya młodzieńcza rozporządza. Rozstanie się z takim „ideałem“ nie wywołuje ostrego cierpienia, bo obraz jego uniesiony w duszy, tem jaśniejszy i świętszy, że żadna ziemska żądza go nie zbrudziła, zastępuje rzeczywistość oczyma ciała widzialną. Taki ideał nie przeszkadzał Korzeniowskiemu kochać się niebawem bardziej po ziemsku w Monice Vogel i ożenić się z nią, gdyż tkwił raczej w wyobraźni niż w sercu i zmysłach.

I ten więc niewyjaśniony dokładniej szczegół w dziejach ducha Korzeniowskiego nie przeczy pojęciu jego usposobienia i charakteru, jakie tu rozwinąć się staram. Nie szalał on niewątpliwie, nie rozpaczał jak Gustaw w „Dziadach“; dusza jego nie była podobna do lasu, po którym pożar przeszedł, jak dusza Mickiewicza po ostatecznem zerwaniu się stosunku

z Marylą; znajdowała tylko w czci dla swego „ideału“ pobudkę do coraz większego doskonalenia się w nauce i twórczości.

III.

Przy takim nastroju duchowym, Korzeniowski nie mógł czuć najmniejszego naturalnego wstrętu do pojęć literackich, jakie mistrz wymowy i poezyi w Krzemieńcu, ksiądz Alojzy Osiński, wszczepiał w umysły słuchaczów. Zabawny ten z powodu mocno rozwiniętej próżności i dziecinnego prawie samochwalstwa profesor, ale dobry, łagodny, serdeczny i kochany przez uczniów człowiek, był naturalnie wyznawcą i głosicielem t. z. „klasycznych“ poglądów, zalecał wszystkim pragnącym próbować sił swoich w literaturze wzory starożytne, zwłaszcza łacińskie, a przy nich także francuskie, dla których jako wychowaniec „wieku oświeconego“ miał cześć i uwielbienie. Rozwoju nowszego literatury niemieckiej ani angielskiej nie znał, a więc oczywiście i słuchaczom swoim wskazywać go nie mógł; lecz zarazem nie odstręczał od zapoznania się samoistnego z utworami tych piśmiennictw, gdyż z charakteru swego żadnej zaciętości ku nim nie żywił.

Temu to mistrzowi powierzał Korzeniowski do oceny swe „najpierwsze rymowania“, przyznając się otwarcie do trudności, z jakiemi walczyć mu przychodziło, gdy chciał ubrać wiersz „w dźwięki mocno brzmiące“. Jeżeli jeszcze i w latach późniejszych biedził się nieustannie z „niesfornemi słowy“, przyprzęgając myśl do rymu; jeżeli mazał, przepisywał, palcami szukał środka i zgłoski rachował; jeżeli „piłował wyrażenia z bolem się rodzące“, to niewątpliwie w czasie terminowania wierszopisarskiego te potyczki z opornym językiem musiały być daleko uciążliwsze i nieraz zniechęcały do pióra, tłumiąc w sercu „nieszczęsną chęć pisania“. Podziwiał swego nauczyciela Korzeniowski, widząc, jak on „myśl ważną, czerstwą, urodziwą przenosząc w mowę gładką i wolną i żywą, bez tor-

tur i niedbalstwa, bez braku i zbytku, przez dowcip i zabawkę" wznosił „do pożytku". A idąc niewątpliwie za jego wskazówkami, puszczał się na „okazałą niwę" literatury rzymskiej, szukając zasiłku dla swej twórczości tam, gdzie tyle już geniuszów uczyło się, „jak łączyć moc dowcipu z czarodziejstwem stylu".

Z tem uwielbieniem dla klasycyzmu, zarówno w formie jego łacińskiej jak francuskiej, jednoczył naturalnie Korzeniowski cześć dla poetów ojczystych, którzy natenczas za najznakomitszych byli uważani: dla Ludwika Osińskiego, Alojzego Felińskiego, Ludwika Kropińskiego, a zarazem dla tego, co im wszystkim w artyzmie słowa przodkował, dla autora „Zofijówki", Stanisława Trembeckiego.

Koledzy szkolni (Tymon Zaborowski, Karol Sienkiewicz, Stefan Witwicki, Teodozy Sierociński, Piotr Chlebowski, Adolf i Erazm Dobrowolscy, Jerzy Zakrzewski, Antoni Tylman, Michał Fryczyński), przez tegoż mistrza i w tej samej atmosferze duchowej kształceni, mogli tylko umacniać Korzeniowskiego w zamiłowaniach klasycznych wskutek swej najzupełniejszej na nie zgody. Z kolegów tych najwcześniej rwali się do pióra Sienkiewicz i Zaborowski; do ich gronka przyłączył się zaraz i nasz przyszły autor. Zapewne dużo wprzódy musiał poprzemazywać lub podrzeć kawałków, nim się zdecydował posłać do druku ten, który natenczas uznał za najlepszy.

Ponieważ w najbliższej okolicy nie było czasopisma literackiego, musiał się z utworem swoim zwrócić do Wilna. Wychodziły tam od r. 1815 dwa wydawnictwa peryodyczne, pomieszczające poezye: „Dziennik wileński" i „Tygodnik wileński". Pierwszy był organem profesorów uniwersytetu; dostać się do niego przedstawiało pewną trudność; drugi, założony przez młodego naówczas Lelewela, otwierał swe karty autorom młodym, zupełnie nieznanym. Do „Tygodnika" zatem rymujący w Krzemieńcu studenci adresowali swoje produkcye. Zrobił tak i Korzeniowski, jak we dwa lata potem miał zrobić Mickiewicz: przesłał swoją „Odę na rok 1815", a „Tygodnik" umie-

ścił ją w 39 numerze z dnia 13 sierpnia r. 1816, zaznaczając tym sposobem pierwsze wystąpienie na arenie piśmienniczej autora, który przez lat czterdzieści kilka miał na niej niezmordowanie pracować.

Oda ta jest wyrazem zarówno spokojnego usposobienia poety, jak i ogólnego wtedy nastroju, przyjmującego pokój dziękczynnie po zmęczeniu długotrwałemi wojnami. Młody student z rozwagą człowieka dojrzałego kreśli, naturalnie w stylu klasycznym, obfitującym w uroczyste wyrażenia i figury retoryczne, okropności walk krwawych, spowodowanych głównie przez „władzcę losu i jeńca“, Napoleona, po wylądowaniu z wyspy Elby, który „podobny do czarnej chmury“ zmienił „dzień jasny w noc straszną“, i zmusił ziemię, która zwykła była przed nim klękać, do ponownego podziwu; w ostatnich zaś dwu strofach składa hołd cesarzowi Aleksandrowi I., „co wyrwał ze zniszczenia mocy — naddziadów naszych siedliska“, i pokój Europie zapewnił...

Nowości pomysłów ani nawet śmiałych oryginalnych wyrażeń w odzie tej nie znajdziemy; autor posługiwał się zwrotami powszechnie wtedy w odach używanemi; nie ubiegał się nawet o niezwykłe rymy, owszem zbyt często może słabych używał; ale całość jest gładka, poprawna, potoczysta i jasna; zauważyć się nawet daje tu i owdzie pewna energia wysłowienia.

Przypuszczaćby można, że wydrukowanie pierwszego utworu powinno było stać się zachętą do pisania. Tymczasem Korzeniowski przez całe trzy lata milczał zupełnie. Dlaczego? trudno powiedzieć na pewno, nie mając żadnych wyraźnych wskazówek. Pilniejsze zajęcie się naukami szkolnemi i obowiązkami „dyrektora“ mogło mieć zapewne niejakie znaczenie w sprawie pohamowania żądzy pisarskiej, ale nie zdoła wyjaśnić długiego jej wyrzeczenia się. Prawdopodobniejszą jest rzeczą, iż autor nie był zadowolony sam z tego, co pisał, że coraz więcej musiał „piłować wyrażenia z bolem się rodzące“, a ta praca obrzydzała mu chwilowo wierszopisarstwo.

Był nawet w tym czasie moment, kiedy Korzeniowski, lubiący trzeźwość, jasność i umiarkowaną temperaturę uczucia, powiedział sobie, że „poezya rozpala namiętności i psuje ludzi“ i zamierzył oddać się naukom moralnym.

Tem sobie tłómaczymy, choć w części, dziwny fakt, iż w czasopiśmie, wydawanem r. 1818 w Warszawie przez byłych wychowańców szkoły krzemienieckiej, p. n. „Ćwiczenia naukowe“, nie znajdujemy ani jednego wiersza Korzeniowskiego, ani jednej jego pracy. Dopiero w roku następnym, kiedy „Ćwiczenia“ zmieniły się na „Pamiętnik naukowy“, Korzeniowski, ulegając przemożnej sile skłonności, przesłał do niego swe utwory. Znamienną jednak jest rzeczą, iż więcej dał prozy niż wierszy. Widocznie zajmował się wtedy pilnie studyowaniem teoryj estetycznych, ale ciągle jeszcze w zakresie klasycyzmu. Dał więc częścią przekład, częścią streszczenie głośnej pracy rètora greckiego Longina „O górności“, a prócz tego własną rozprawę „o patetyczności“. Pomijając pierwszą, jako prosty wynik zajęć szkolnych, widzimy w drugiej przejęcie się poglądami klasycznemi. Autor powołuje się nieraz na Horacego, Longina, Homera, Wergilego, Kornela, Rasyna, Woltera, nigdzie ani jednem słowem nie okazując, żeby mu znane były dzieła i rozprawy nowszych niemieckich estetyków. Podejrzewając z późniejszych Korzeniowskiego zamiłowań, że przynajmniej z Schillerem był wówczas zaznajomiony, porównywałem tę rozprawę z artykułami niemieckiego poety, dotyczącemi tej samej kwestyi, ale nigdzie nie znalazłem najmniejszego nawet podobieństwa pomiędzy niemi ani w sposobie zapatrywania się, ani w sposobie wyrażania tych zapatrywań. Wspólne myśli są oczywiście, bo obaj autorowie o tym samym traktują przedmiocie, lecz nietylko zależności od Schillera, ale nawet wpływu jego poglądów nie napotykamy u Korzeniowskiego. Dążność moralna przemaga nad estetyczną u naszego autora; ciekawą rzeczą jest widzieć, jaką formę przybrało tu owo mniemanie, że poezya rozpala namiętności i psuje ludzi. Korzeniowski mówiąc o patetyczności, nie powtarza tego twier-

dzenia, lecz stara się wykazać, że największą patetyczność wywołują uczucia szlachetne, „co równie do bohaterskich poświęceń się prowadzą, jak umiatają drogę życia tylu nasterczoną przeciwnościami“, i że „namiętności okropne“, jakoto: zemsta, nienawiść, zazdrość i t. p. winny być wprowadzane do poezyi tylko „dla wystawienia w większem świetle“ uczuć szlachetnych. Dlatego też ceni i za pożyteczne uważa takie tylko tragedye, w których wznioślejsze uczucia odnoszą zwycięstwo nad niższemi, w których miłość np. dwojga osób ulega przywiązaniu względem rodziców, miłości całego narodu lub też religii. „Pokonana bowiem — dodaje Korzeniowski — lub do wielkich prowadząca zbrodni, lub wreszcie okropnych zgryzot i męczarni stająca się przyczyną, okazując całą okropność swoich skutków, przejmuje serce litością i nietylko (jest) prawdziwie patetyczną, ale nawet bardzo nauczającą“. Chciał tedy, żeby tragedye były „prawdziwą szkołą moralności“; a ten nacisk na moralność widocznie pochodził z obawy, ażeby poezya nie psuła ludzi.

Dwa utwory poetyckie, pomieszczone r. 1819 w „Pamiętniku naukowym“, różnią się od siebie znacznie. Jeden: „Oda do pióra“ był prawdopodobnie napisany wcześniej, może nawet poprzedził „Odę na rok 1815“; jest w nim trochę chaotyczności w dotykaniu różnych stron pięknych, jakie są dziełem pióra, a właściwie poezyi, jest niezręczność w zaczęciu, która zamiast patetyczności może wywołać uśmiech („powietrznych stworzeń cząstko znakomita... w skrzydłach wybawców Kapitolu skryta“), gdy treść duchową, wzniosłą jednoczy ze wspomnieniem pochodzenia pióra od gęsi. Drugi wiersz „Ernestyna“ zdaje się świadczyć, że jeżeli Korzeniowski nie znał jeszcze wówczas prozaicznych dzieł Schillera, musiał już czytać jego liryki. W „Ernestynie“ bowiem dopatrzyć można pewnego podobieństwa z „Rycerzem Toggenburgiem“, tylko że role są zmienione; u Schillera rycerz wpatruje się w okno celi, w której osiadła jego ukochana, dopóki śmierć nie zabrała go z tego świata; u Korzeniowskiego Ernestyna spogląda aż do

zgonu na dolinę, gdzie spoczęły zwłoki rycerza Alfonsa, który ją obraził wyznaniem swojej miłości jako człowiek niższy rodem. Pod względem formy „Ernestyna“ jest słaba, ale widać w niej większą lekkość i swobodę wiersza, aniżeli w „Odzie do pióra“; w nastroju nie jest tak uroczysta i zbliża się do utworów sentymentalnych.

Z rozprawy „o patetyczności“ wnieść wolno, że Korzeniowski jeszcze jako student rozmyślał głęboko o poezyi dramatycznej. Świetne przedstawienia „Barbary Radziwiłłówny“ Felińskiego i „Ludgardy“ Kropińskiego, których wprawdzie wówczas nie widział, ale o których z rozgłosu dobrze był poinformowany, oraz powszechne wśród literatów życzenie, żeby się dramaturgia polska wydoskonalić mogła, — stanowiły zapewne i dla Korzeniowskiego bodziec niemały do wypróbowania sił swoich w tym kierunku. Możemy więc wierzyć jego opowieści, że po skończeniu szkół r. 1819, pojechawszy do kolegi swego na wsi w okolicach Żytomierza, „wolny od wszelkiego zajęcia i kłopotu, patrzący z zachwyceniem na pogodne niebo, na rozległe pola, na których w nieogarnionych okiem obszarach złota dojrzewała pszenica, galopujący na dzielnym koniu o rannej godzinie, gdy słońce tylko co wychylało się nad oddalony horyzont, gdy rosa połyskała brylantami na kłosach łanów, na kwiatach łąk zielonych, na liściach tych dębowych lasków, które tam jakby ręka przemyślnego ogrodnika pozasadzała“, — oddychał całemi piersiami, marzył cudne opisy natury, układał „rozpędzoną myślą“ dramata i epopeje (V, 6, 7). Łatwo też nam zrozumieć, że mu wtenczas snuły się po głowie „wielkie, klasyczne i pełne gwałtownych tyrad tragedye“ (V, 33). Niewątpliwą atoli zdaje się rzeczą, że na papierze chyba jeszcze wtedy żadna tragedya nie była spisana. Dopiero po przyjeździe do Warszawy w drugiej połowie roku 1819, zabrał się on do tej pracy.

IV.

Korzeniowski objął posadę guwernera przy młodziutkim, a już wtedy wielką rzutkość umysłu okazującym Zygmuncie Krasińskim; ale na tem stanowisku wytrwał zaledwie kilka miesięcy, bawiąc to w Warszawie, to w majątku Krasińskich, Opinogórze. Stosunek z matką wychowańca, traktującą wszystkich wyniośle, nie lubiącą mówić po polsku, był dla niego przykry; ustąpił więc swego miejsca koledze szkolnemu, Piotrowi Chlebowskiemu, a sam otrzymał zajęcie w bibliotece Zamojskich w tak zwanym „pałacu błękitnym“, zachowując zresztą z ojcem Zygmunta, generałem Wincentym Krasińskim, najlepsze porozumienie. W Warszawie poznał swą przyszłą żonę, Monikę Vogel, Kazimierza Brodzińskiego, Franciszka Morawskiego i całą grupę młodszych literatów, drukujących swe prace w „Pamiętniku Warszawskim“, w „Tygodniku polskim“ (później „Wandzie“), w „Sybilli nadwiślańskiej“, „Dekadzie polskiej“ i t. d.

Większość ówczesnych literatów warszawskich hołdowała wyobrażeniom klasycznym, ale wiadomości o nowym ruchu poetyckim, który ogólnie pod nazwą „romantyzmu“ znano, już się rozpowszechniały i budziły pewne zajęcie. Rozprawa Brodzińskiego z r. 1818 „O klasyczności i romantyczności“ wywołała, jak wiadomo, gromkie ostrzeżenie Jana Śniadeckiego przed „zarazą“ romantyczną, co znowu spowodowało w „Pamiętniku Warszawskim“ r. 1819 replikę, stającą w obronie potępionych przez niego poetów niemieckich. To starcie się opinii musiało podziałać na młodsze umysły i zaronić w nie myśl, że przecież nie można poprzestać na wzorach w szkole zalecanych, lecz należy też zajrzeć do innych, należy szerszy widnokrąg literacki wziąć pod uwagę. Znający język niemiecki rzucili się do pilniejszego studyowania nowszych poetów; zaczęły coraz częściej pojawiać się przekłady z Schillera, który najwięcej przypadł do smaku ówczesnej młodzieży naszej, zaró-

wno z powodu swej uczuciowości, jak i patetycznego sposobu jej wyrażania. Dążności rozszerzenia widnokręgu pojęć literackich starała się czynić zadość założona w roku 1821 i przez dwa lata wychodząca „Gazeta literacka“, pod redakcyą Chłędowskich, z Galicyi rodem, którzy pragnęli zaznajomić czytelników ze stanem bieżącym literatury europejskiej. Jednym z jej współpracowników był i Korzeniowski.

Zazwyczaj wyobrażamy sobie całkiem fałszywie, że Warszawa ówczesna była siedzibą zakamieniałych klasyków, którzy nie dopuszczali do rogatek miejskich dopływu świeżych pojęć estetycznych i bronili zacięcie twierdzy klasycyzmu. Dziś, gdy wiemy na pewno, że nawet taki arcy-klasyk, jak Ludwik Osiński, powoływał się w prelekcyach swoich uniwersyteckich o literaturze powszechnej na powagę krytyka romantycznego A. W. Schlegla, musimy to wyobrażenie odrzucić. W Warszawie był ruch umysłowy znaczny, była wymiana pojęć żywa; istnieli zwolennicy różnych poglądów estetycznych; brakło tylko genialnego talentu, któryby tak, jak Mickiewicz w Wilnie, mógł wywołać zapał i pociągnąć za sobą masy. Kożmian i Osiński prawie zupełnie zaprzestali od r. 1820 ogłaszać utwory swe poetyckie; Brodziński, głoszący hasło samodzielności narodowej w literaturze, zamknął się w zbyt szczupłym i zbyt spokojnym obrębie sielankowego pojęcia o charakterze narodowym, a prócz tego nie posiadał siły i entuzyazmu; inni, mniej utalentowani, mogli tylko iść za jakimś prądem, ale sami go wytworzyć nie zdołali.

I Korzeniowski nie należał do umysłów, dających inicyatywę wielkim przewrotom, tem bardziej, że sam jeszcze w sobie staczał walkę co do kierunku, w którym miał swe zdolności zużytkować. Wychowany w pojęciach klasycznych, zapatrzony we wzory rzymskie i francuskie, zasmakowawszy w Schillerze i innych poetach niemieckich, nie mógł od razu otrząsnąć się z przyzwyczajeń, które odpowiadały jego usposobieniu, a jako człowiek rozważny nie poczytywał nawet za rzecz właściwą wyzbywać się pojęć dawniejszych, i sądził, że dadzą

się one pogodzić i zharmonizować z nowemi, jakie mu teorya romantyczna i wzory poetów niemieckich nasuwały.

Stąd też w twórczości Korzeniowskiego podczas pobytu w Warszawie widzimy ciągłe jeszcze wahanie się pomiędzy dwoma prądami, ale zawsze z wyraźniejszem przechylaniem się ku kierunkowi klasycznemu.

W utworach poetyckich wtedy powstałych widzimy dwa typy, które już zaznaczyłem przy „Odzie do pióra“ i „Ernestynie“. Jeden jest poważny, uroczysty; drugi miększy, sentymentalny. Formą pierwszego są: listy poetyckie i ody; formą drugiego: dumy i ballady.

Kiedy pisze „List do księdza Alojzego Osińskiego“, składając mu hołd uznania, jako swemu mistrzowi, naśladuje Felińskiego, który podobny list do Trembeckiego niegdyś wystosował, idąc znowu wiernie za wzorem francuskim. Kreśląc wiersz „do Franciszka Morawskiego“, z którym się ściśle zaprzyjaźnił, poznawszy go w domu Krasińskich, stara się zwięzłością, doborem wyrazów i rymów dorównać Trembeckiemu, nie wspomina już o mozolnem piłowaniu wierszy, lecz twierdzi, że „to najczęściej najlepsze, co wyjdzie odrazu“ z pod pióra, i radzi przyjacielowi, by „w poprawach nie przebierał miary“, gdyż „dojrzałemu fruktowi soków czas nie nada, wysycha, gdy prześcignie, i zepsuty spada“. Woli on, choć z wadami, dzieła tych poetów, „gdzie życie tchnie i ogień talentu się żarzy, niż te pracowitości dzieci wyprężone, wśród boleści poczęte, chłostaniem kształcone, w których wszystko poprawne, z prawidłami zgodne, polerowne, jak marmur, lecz jak marmur chłodne“. W myśl Brodzińskiego protestuje przeciwko naśladownictwu Francuzów czy Niemców, i pragnie, by duch narodowy w poezyi polskiej się odzwierciedlał. „Dopókiż — woła z oburzeniem — będziem kwiaty w obcem polu zbierać i Francuzów i Niemców w kontusze ubierać?“ — dopókiż mamy „jak żebraki bez siły żyć o cudzym chlebie?“ (XII, 252, 253).

W odzie p. n. „Chwała poety“, ogłoszonej roku 1821 w „Wandzie“, a potem nigdzie, o ile wiem, nie przedrukowa-

nej, przerabia Korzeniowski swe pomysły w „Odzie do pióra“ potrącane, starając się im nadać uroczystszą formę i szersze rozwinięcie. Pisze wielkiemi, „olbrzymowatemi“, że użyję własnego jego wyrażenia, okresami, zapewne w przekonaniu, że to najlepszy środek wywołania silnego, podniosłego wrażenia. Treść ody, malującej znaczenie poezyi w życiu narodów, nasuwa nam na myśl wspaniałą „pieśń wajdeloty“ w „Konradzie Wallenrodzie“, ale porównanie z sobą tych dwu utworów posłużyć może do wskazania nietylko różnicy talentu, lecz także różnicy usposobienia i nastroju obu poetów. U Mickiewicza pieśń nietylko przechowuje pamiątki przeszłości, lecz ma także w swem łonie zarody życia przyszłego; Korzeniowski poprzestaje jedynie na wysławianiu jej nieśmiertelności i wzlotu ponad poziom spraw codziennych i przemiennych; jej zasługi widzi w pochwale dla cnoty i bohaterstwa i w żalu nad cierpieniami narodów. Poeta —

Puszczając umysł do uniesień zdolny,
Nie czuje ziemskich kajdan, nie widzi jej panów,
Jak wiatr na morzach, tak wolny;
A dokąd tylko wzrok zanoszą oczy,
Tam żyje myślą w locie nieścigniona
I duszę wielką, nieograniczoną
Po gwiazdach wiesza, za światami toczy...

W dniach pomyślności i chluby wieszcz „z pod ręki czasu świetne imiona wydziera i sądem wieków przemawia“; a gdy na gruzach... ptak barbarzyństwa rozsiewając pomrokę, i uczucie i mowę przytłumia:

Wtenczas myśl niepodległa, wygnana, zhańbiona,
Znajdując w sercu wieszcza ostatnie schronienie,
Nim z duszą jego wróci do wieczności łona,
W żałosne, w niesłychane przelewa się pienie;
Wtenczas samotnej arfy grzmiące niegdyś strony
Wiatr lekki przylatując z grobów wielkich ludzi,
Jakby tchnienie przeszłości, potrąca i budzi,
A błędne i niezgodne wydobywa tony.

Na potwierdzenie swego poglądu, przypomina dolę Grecyi starożytnej, zanik całej świetności dawnej w życiu fizycznem, a jej nieśmiertelność we wspomnieniu, w poezyi jej wieszczów:

Nie umilkną te pieśni wzniosłe i radosne,
Świat Greków będzie zawsze teraźniejszym światem,
Ołtarze jego wiecznym usypane kwiatem
I ziemia przystrojona w nieskończoną wiosnę.

W związku ze wspomnieniem o Grecyi, daje drugi przykład unieśmiertelnienia przez poezyę: losy Troi. Odmalowawszy śmierć najdzielniejszego jej obrońcy, Hektora, woła do płaczących nad jego zgonem:

Ach! wstrzymajcie łzy wasze, córy Ilionu,
Nie ściskaj, starcze, w żalu bohatera dłoni;
Upadł obrońca twego narodu i tronu,
Lecz nie spadnie laur chlubny z jego świętych skroni.
Bo duch poety lecąc od wieków do wieków,
W żyjącej myśli i ognistej mowie
Ostatnim czasom klęski te opowie
I zrówna waszą chwałę z wielką chwałą Greków.

I jakiż stąd wniosek? Nie potrzebujemy go się dopiero domyślać; Korzeniowski jest jasny i wypowiada go wyraźnie: „W marzeniach nieśmiertelnych szukajmy pamiątek; żyje chwała *przeszłości* w oszczędzonej księdze". I na tem kończy się funkcya poezyi. Jakże to różne od wezwania wajdeloty u Mickiewicza! jak tu się wybornie maluje refleksyjny charakter jednego, a czynny drugiego poety! Takie myśli, jak Korzeniowski, wypowiadało przed nim wielu; taka, jaką wyraził Mickiewicz, miała cały powab świeżości, chociaż się opierała na przykładach rzeczywistych z wieków dawnych i nowszych.

To jest jedna grupa poezyj Korzeniowskiego z czasów pobytu w Warszawie. Druga, bardziej sentymentalna, przedstawia się nieco szczuplej. Należy do niej „Drzewko złamane", „Światełko", „Tren Ommii" i „Ostatnia praca".

Najbardziej sentymentalną, najwięcej retoryki mieszczącą jest duma p. n. „Drzewko złamane“, której treścią — boleść matki, rojącej o przyszłości dziecka, usymbolizowanej w zasadzonem przez tęż matkę drzewie. Tuląc dziecinę do łona, idzie matka do owego drzewka, ażeby je podlać, i widzi z przerażeniem, że je wiatr złamał; ale przerażenie zamienia się w cichą rozpacz, gdy spostrzega, że i dziecię umarło. Jest w tym wierszu niewątpliwie dużo uczucia, ale niestety! uczucie to w ułomną formę zostało ujęte i wywołać wrażenia nie może.

„Ostatnia praca“ wystawia człowieka steranego życiem, który po stracie wszystkich ułud serca, sam drżącemi rękoma, roniąc łzy obfite i wydając jęki, kopał sobie mogiłę i w niej się ułożył.

„Tren Ommii w dolinie Beder“ powstał oczywiście pod wpływem upodobania w tematach oryentalnych, rozpowszechnionego w owych czasach w literaturze europejskiej. Niema w nim ani siły, ani barwy wschodniej, a słowa jakby z ust filozofa XVIII. wieku wyjęte i głoszące potępienie fanatyzmu religijnego, włożone w usta Araba, brzmią dziwnie. Ommia, przypominając orszakowi, iż na dolinie Beder Mahomet po raz pierwszy na poparcie nauki swojej podniósł oręż i wielu synów Mekki wygubił, woła:

Dla kłamstw ubranych w natchnienie,
Własne źródło krwią zamąca;
Dzikim mieczem w wieczne cienie
Ziomków zsyła, braci wtrąca.
W imię Boga stacza boje;
Nim w pierś wleje wiarę swoję,
Wprzód sztyletem ją otwiera.

„Światełko“ wreszcie jest przeróbką „Ernestyny“ w sposób bardziej balladowy, z większą tajemniczością wypadków, z pozostawieniem większego pola domyślnej fantazyi czytelnika. Forma tej ballady jest niewątpliwie daleko lepsza, aniżeli w dawniejszym wierszu; ale zaciemnienie pomysłu nie wyszło bynajmniej na dobre utworowi. Już tu okazuje się, że swobo-

dne bujanie wyobraźni nie było właściwem talentowi Korzeniowskiego, który przywykł jasno i trzeźwo rzecz każdą sobie wystawiać i wobec czytelników rozwijać.

V.

Jeżeli w powyższych poezyach dydaktycznych i lirycznych nie odstępował właściwie Korzeniowski od klasycznego trybu tworzenia i tylko ubocznie potępiał albo zbyt wielką dbałość o gładzenie formy ze szkodą żywości uczucia, albo też wprowadzał wątek bardziej fantazyjny, niż zwykł on bywać u klasycznych pisarzy francuskich, to nie trudno zrozumieć, że w zakresie dramatu jeszcze ostrożniej poczynać sobie musiał. Nie były u nas wprawdzie tak silnie wkorzenione, jak we Francyi, pojęcia o potrzebie zachowania reguły trzech jedności, lub też — wprowadzania długich patetycznych tyrad; ale bądź co bądź, wśród grona literatów, nadających ton ówczesnemu życiu umysłowemu w Warszawie, w całej pełni uznawano wyższość dramaturgii francuskiej nad wszelką inną, i stosowanie się do niej poczytywano za rzecz niezbędną dla każdego, kto chciał dramatem literaturę naszą zbogacić. Toż wiadomo, że Towarzystwo przyjaciół nauk odrzuciło rozprawę Franciszka Wężyka, swego członka, z powodu, iż tenże ośmielił się krytykować „Atalię“ Rasyna, a zachwalać utwory Schillera i Szekspira. Co większa, wiadomo, że Wężyk do pewnego stopnia uznał słuszność porobionych sobie uwag, gdyż rozprawy na własną rękę za życia swego nie ogłosił i cofnął bardzo niedaleko zresztą idące projekta reformy kompozycyi dramatycznej, żądające przedłużenia czasu akcyi do tylu dni, ile w tragedyi jest aktów, i wolności tyleżkrotnego zmieniania miejsca.

Korzeniowski widział już niewątpliwie wówczas ciasnotę wymagań dramaturgii francuskiej, rozumiał, że ten stopień swobody, jaką wskazywały utwory Schillera, zapewni dramatowi

więcej żywotności i prawdopodobieństwa; lecz zdecydować się stanowczo w duchu reformy nie mógł, wahając się pomiędzy jedną formą a drugą, tłómacząc to „Zairę“ Woltera, to „Intrygę i miłość“ Schillera. We własnej twórczości rozpocząć zapewne musiał od tragedyi w stylu francusko-klasycznym.

W „Pamiętniku sceny warszawskiej na rok 1840“ (str. 66—72) znajduje się treść i dwa urywki z 5-aktowej tragedyi klasycznej Korzeniowskiego p. n. „Pelopidowie“. Dodano tam objaśnienie, że była ona napisana w r. 1827. Źródło, z którego wydawca „Pamiętnika“, Karol Witte, wiadomość tę mógł zaczerpnąć, było bardzo dobre, bo sam Korzeniowski; ale któż zaręczy, że w druku nie zaszła omyłka?... Z przytoczonych wyjątków każdy znawca stylu pozna nader wczesną dobę powstania utworu; trudno zresztą przypuścić, ażeby Korzeniowski w r. 1827, już po napisaniu dramatów w innej swobodniejszej formie, chciał wracać do tak krępujących, jak francuskie. Zdaniem mojem, „Pelopidów“ odnieść tedy należy do najdawniejszej chwili twórczości dramatycznej Korzeniowskiego i uważać ich za pierwszą dochowaną do dziś jego tragedyą, w której jedność czasu, miejsca i akcyi jak najskrupulatniej została zachowana, a długie, retoryczne tyrady, antytezami wypełnione, miały być jej ozdobą.

Oto jej treść, jak ją „Pamiętnik“ podał: Na fałszywą wieść, że król Pelops w wyprawie przeciw nieprzyjaciołom zginął, Hippodamia, jego żona, z dwoma synami, Atreuszem i Tyestem, lękając się, aby Chryzyp, syn Pelopsa z pierwszej żony, nie posiadł tronu ojca, postanowiła zmusić go do ustąpienia z domu. Przybywa Pelops i dowiaduje się o nikczemnym zamiarze żony i własnych dzieci, od Kratynusa, nauczyciela niegdyś Chryzypa. Stąd zapala się wojna domowa. Pelops skazuje na wygnanie Atreusza i Tyesta. Ci pewni, że oskarżenie pochodziło od Chryzypa, uknuli spisek na jego życie i dokonali czynu, a miłość Atreusza do Europy, przeznaczonej Chryzypowi, zaostrzyła jeszcze sztylet bratobójców.

Charakter dykcyi i nastrój ogólny można poznać dosta-

tecznie ze sceny ostatniej, w której Kratynus woła: „Ojcze, godny litości!“ a Pelops odpowiada:

. . . . . O chwilo straszliwa!
Nikczemny, kto cię dożył i śmierci nie wzywa!
I na cóż mi się przyda i życie i chwała,
Na którą lat trzydzieści ta dłoń pracowała?
Dla szczęścia dzieci moich walczyłem z zapałem
I tę ziemię imieniem swem zaludnić chciałem.
O! fałszywe nadzieje! płonne urojenia!
Jeden piorun te gmachy w pustynię zamienia;
I ja straciwszy laury i nadzieje swoje,
Wśród tej ciszy ponurej, jak dąb zeschły, stoję.

Taki sam charakter deklamacyjny miała niewątpliwie i druga 5-aktowa, w smaku klasycznym napisana, tragedya p. t. „Bitwa nad Mozgawą“, którą razem z poprzednią miał w ręku F. H. Lewestam, przygotowując do druku zbiorowe wydanie „Dzieł“ Korzeniowskiego, ale ich tu nie pomieścił, nietylko dlatego, że autor zabronił stanowczo je ogłaszać, lecz także dlatego, że przez ich ogłoszenie „lichą tylko jego sławie“ wyrządziłoby się przysługę. „Nie chcemy przez to powiedzieć — dodaje Lewestam — żeby i w tych utworach nie widniał gdzieniegdzie talent autora; lecz niemniej widocznie pozostawał talent ten wówczas w krępujących więzach klasyczności francuskiej, a znowu dość jeszcze nie był spotężniał, iżby się mimo pęt tych na przebój wydobyć zdołał na jasną swobodę ducha“ (XII, 366).

Po takich próbach musiał uczuć, że tragedya o wielkich i gwałtownych namiętnościach, o głośnych historycznych czy mitycznych bohaterach, nie była odpowiednią jego refleksyjnemu usposobieniu, o uczuciach głębokich, ale spokojnie się wyrażających. Porzucił więc ją na czas długi, a zwrócił się do innego rodzaju, którego twórcami byli pierwotnie Anglicy, ale który dopiero przez Francuza, słynnego Diderota, a następnie jeszcze bardziej przez Niemców został rozpowszechniony, znalazłszy licznych przedstawicieli. Mówię tu o tak zwanym

dramacie „mieszczańskim“, albo inaczej „tkliwym“, „płaczliwym“, gdzie występują ludzie pospolici ze swemi powszedniemi smutkami i radościami, gdzie nie idzie o obudzenie grozy, lecz rzewnego współczucia dla nieszczęśliwych i cierpiących.

Kiedy Korzeniowski wskutek osobistego doświadczenia nabrał przekonania, że nadmierne unikanie akcyj podrzędnych w tragedyi francuskiej sprawiało, iż w utworach scenicznych pojawiały się same rezultaty, bez rozwinięcia ich przygotowań i przyczyn, że ograniczenie się co do miejsca i czasu zmuszało do nienaturalnego skupiania wypadków i prowadziło do mnóstwa nieprawdopodobieństw, że staranie się o przesadzoną godność stylu tragicznego odjęło język indywidualny osobom: postanowił zerwać krępujące twórczość więzy i pójść drogą utorowaną przez Niemców.

Przedewszystkiem więc, uważając wiersz rymowany za walną przeszkodę w zbliżeniu się do dykcyi naturalnej, ponieważ zmuszał do zachowania pewnej uroczystej pompy stylu, porzucił go i odwołał się do „Odprawy posłów“ Kochanowskiego, który wiersza białego w dramacie swym użył. Odwołanie się to było dla naszego autora tem łatwiejsze, że już od r. 1816 w Warszawie ponownie wzięto się do rozpatrywania wartości wierszy miarowych w poezyi naszej, a prace Tymowskiego, Brodzińskiego, Elsnera i Królikowskiego wykazały jego potrzebę w zastosowaniu do muzyki, a zatem i jego zalety nawet w poezyi lirycznej, która najwięcej zdawała się rymu potrzebować. Nie można więc przeceniać zasługi nowatorstwa Korzeniowskiego w tym względzie, chociaż uznać wypada, że wskrzeszeniem przykładu, zostawionego przez Jana z Czarnolasu i Kniaźnina w poezyi dramatycznej, zaprotestował przeciwko jednostronnemu w niej rozpanoszeniu się rymowanych aleksandrynów. Nie udoskonalił on wprawdzie tego jedenastozgłoskowego niby jambu, jakiego użył Kochanowski; zostawił go prawie takim samym, rachował tylko zgłoski i liczbę akcentów w wierszu, ale nie pilnował jednakowego tych akcentów następstwa; zaczynał więc wiersz, jak się zdarzyło, zarówno

od jambu, jak od trocheju; — w każdym jednak razie dbał więcej o zachowanie średniówki.

Ze zmianą wiersza łączyła się i zmiana stylu. Napuszoność i deklamacyjność ustąpiły miejsca pewnemu stopniowi prostoty. Mówię wyraźnie: „pewnemu stopniowi“, gdyż rzeczywistej prostoty, jakiej my dziś domagamy się, niema tu jeszcze. Korzeniowski do końca życia zachował niejaką sztywność i zamiłowanie w pełności wyrażenia; a cóż dopiero w samych początkach przejścia od stylu tragedyi francuskiej do dramatu mieszczańskiego. Sentencyonalność i uroczystość w rozmowie jest w tych początkach stałą cechą dramatów Korzeniowskiego. Dobrzy znajomi przemawiają do siebie całkiem seryo: „Poczciwy starcze! Szanowny starcze!“ Dzieci sześcioletnie mówią tak rozsądnie i tak płynnie, choć tylko w zakresie wyobrażeń właściwych sobie, jak osoby dorosłe i dobrze ćwiczone w wymowie. Wszyscy wogóle mają na zawołanie albo jakieś porównanie, albo jakieś zdanie moralne, albo jakąś antytezę. Dbałość o zachowanie „indywidualnego języka“ osobom rozmawiającym jest tu jeszcze w stopniu minimalnym, tak, że często dostrzedz się nie daje. Korzeniowski z umysłu nie chciał natenczas zniżać się do prozy życia rzeczywistego i poetycką konwencyonalność dyalogu w dramatyce poczytywał za rzecz nieodłączną od jej zadania.

W tej poetyczności przemaga jakaś mroczna, lecz łagodna melancholia; ludzie nawet boleśnie dotknięci nie krzyczą i nie oburzają się, tylko co najwyżej skarżą się i używają oręża ironii. Mocy, energii wysłowienia niema tu wcale, jakby autor pragnął co najdalej pozostać od deklamacyjności francuskiej, a nie umiał jej jeszcze czemś odpowiedniejszem zastąpić, i dlatego wolał już być mdłym, ale pełnym umiarkowania.

W teoryi wyrobił sobie zapewne już wtedy Korzeniowski trafne pojęcie o naturze dyalogu dramatycznego, ale w praktyce bardzo długo jeszcze walczył z opornością języka, nim do czystego metalicznego dźwięku się dobrał.

Pozwolę tu sobie zrobić małe chronologiczne odstępstwo i zacytować z „Kursu poezyi“ Korzeniowskiego, ułożonego w r. 1823, a wydanego drukiem w r. 1829, ustęp odnoszący się do zajmującego nas przedmiotu. Rozwija tu autor myśl, że dyalog dramatyczny różni się od opowiadania nie samą tylko formą. „Można sobie wyobrazić — powiada — że działanie lub przemiany zewnętrznego lub wewnętrznego stanu albo już się stały i minęły, albo się dopiero w tejże chwili dzieją. W pierwszym razie będzie zawsze opowiadanie, choćby forma była dyalogowa; lecz jeżeli przemiany powstają i rozwijają się w czasie rozmowy i przez nią, wtenczas dopiero jest dyalog dramatyczny“. Nic słuszniejszego nad takie określenie; i przyznać należy, że już od najpierwszego dramaciku, napisanego w nowym kierunku, Korzeniowski wprowadził dyalog istotnie dramatyczny. Można mu zarzucić sztywność lub rozwlekłość, ale niepodobna odmówić własności posuwania akcyi, choćby bardzo powolnego, naprzód. Dalsze natomiast wywody teoretyczne Korzeniowskiego już mniej w początkowych dramatach znajdują zastosowania. „W każdym dyalogu — mówi on — powinien się wyraźnie objawiać sposób myślenia i stan umysłu osób działających, powinny się okazywać właściwości, przechodzące prawie w naturę człowieka, a wynikające z wpływu wieku, stanu, wychowania i t. d. Stąd wynika to prawidło dla poety, *iżby każda osoba po swojemu się wyrażała;* co nadaje dyalogom nietylko rozmaitość, ale też indywidualność, a zatem wyraz prawdy i życia. Takie dyalogi zastępują dla czytelnika miejsce doświadczenia, i jakby rzeczywiste obcowanie z ludźmi uczą poznawać ze sposobu mówienia sposób myślenia i kierunek woli. Dlatego o wartości dyalogów dramatycznych nie należy sądzić podług celniejszych miejsc czyli *oratorskich tyrad,* ale podług stosowności do całej akcyi, do uczuć, do charakterów i do chwilowego położenia osób rozmawiających. Od tegoż usposobienia i położenia osób, tudzież od gatunku dramatu, zależy panujący ton, czyli dykcya dyalogów. Najważniejszym zaś ich przymiotem jest naturalność i prostota. Tok i postęp

rozmowy w życiu jest zapewne najlepszym wzorem. A gdy w dramatach bardziej działa imaginacya i uczucie, niż rozum, tak też *wyrażenia obrazowe* nie tyle się przeciwią ich naturalności, ile sztuczne deklamacye, częste wtrącanie sentencyj, peryodyczna dokładność i umyślne używanie figur retorycznych“ (XII, 93).

Idąc za temi przekonaniami, Korzeniowski starał się wprawdzie o nadanie indywidualnego charakteru dyalogom, starał się o prostotę i naturalność, ale starania te długo pozostawały mało owocnemi.

W kompozycyi dramatycznej widzimy u naszego autora toż samo powolne i stopniowe oswabadzanie się od tradycyjnych reguł, co i w przemianie dyalogu. Najpierw odrzucił prawidło jedności miejsca i w najkrótszym swym jednoaktowym dramacie czterokrotnie zmienił dekoracye, ażeby nadać akcyi więcej prawdopodobieństwa. Z odrzuceniem jedności czasu zatrzymał się, i dopiero pod koniec pierwszego okresu swojej twórczości, z początku w sposób nieokreślony, potem wyraźnie i dobitnie, pozwolił sobie swobodniej rozporządzać trwaniem działania dramatycznego. Tym sposobem Korzeniowski chronologicznie pierwszy z naszych pisarzów przełamał szranki dramaturgii francuskiej bez wywołania najmniejszego hałasu ani protestów, jak to się działo we Francyi, gdy Wiktor Hugo przeciw tymże ograniczeniom wystąpił. Przyznając atoli Korzeniowskiemu to chronologiczne pierwszeństwo, nie można mu równocześnie wyznaczyć jako reformatorowi dramatu miejsca wybitniejszego w naszem piśmiennictwie. Niezależnie bowiem od niego, a z niepospolicie większym talentem, Juliusz Słowacki w „Mindowem“ i „Maryi Stuart“ śmiało zniósł zapory starej poetyki; następni zaś nasi dramaturgowie pociągnięci zostali jego wpływem, nie zaś wpływem Korzeniowskiego, a to tem bardziej, że te dramata jego, które były zupełnie oswobodzone od pęt jedności czasu i miejsca, lubo napisane wcześniej, niż Słowackiego, wyszły z druku później od nich; w tych zaś utworach, które przed rokiem 1830 były wydrukowane, zniesioną

wprawdzie została jedność miejsca, ale jedność czasu jeszcze bywała zachowywana.

Co do charakterów dramatycznych, wyróżnić potrzeba pierwsze trzy utwory, w nowym duchu napisane, od następnych: tam są osoby wyłącznie szlachetne, tu — mieszane.

Najdawniejszy, w Warszawie r. 1820 skreślony, dramat „Klara“, stanowi jakby oddźwięk „Ernestyny“ i „Światełka“. Starcie się uczucia z przesądem rodowym i zwycięstwo uczucia — oto motyw jedyny, rozprowadzony powolnie, spokojnie, ale umiejętnie i z zachowaniem znacznego stopnia prawdopodobieństwa. Klara, uwiedziona przed sześciu laty przez hrabiego, nosiła się z myślą odebrania sobie życia, miała nawet przy sobie ciągle truciznę, ale myśli tej nie wykonała ze względu na synka. Przeciw uwodzicielowi nie żywi nienawiści, gdyż go kocha, ból w sobie zamyka, starając się wszczepić w dziecię szlachetne uczucia, a zwłaszcza wstręt do robienia krzywdy nietylko ludziom, lecz i zwierzętom. Jest to istota głęboko uczuciowa, lecz nie lubiąca miłości swej na jaw w słowach wyrażać; cierpi w milczeniu, i mimowolne tylko oznaki bolu zdradzają nam stan jej duszy cichej, łagodnej, zrezygnowanej, o przyszłości tylko dziecka myślącej. Ojciec jej Albert, człowiek niezamożny, ale widocznie ukształcony, jest rodzajem filozofa, który wie, że w ówczesnym ustroju społecznym krzywdy przez możnych biednym uczynione, z wielką trudnością pomszczone być mogą; dlatego tylko w ostateczności, t. j. gdyby pokorna prośba za synkiem Klary nie poskutkowała w sercu hrabiego, postanawia wołać publicznie o sprawiedliwość. Do szukania zadosyćuczynienia w osobistej interwencyi nie ma on dosyć energii ani siły; co najwyżej umie się posługiwać tylko bronią ironii. Szczęściem do energicznego wystąpienia nie zmusiła go konieczność. Dusza hrabiego była w gruncie szlachetną; przez sześć lat nie mogła się uspokoić, nie mogła przytłumić wyrzutów sumienia, i tylko potrzebowała sposobności, ażeby krzywdę nagrodzić. Sposobność taka się nadarza. Albert wraz z córką powraca do miejsc dawniej zamieszkiwa-

nych w pobliżu zamku hrabiego; powrót ten nie jest wprawdzie dostatecznie usprawiedliwiony, ale bądź co bądź rzeczywistość jego przypuścić można. Hrabia, prowadzony przez poczciwego Łowczego, który szanował Alberta i bolał nad losem jego córki, spotyka w lesie swego syna; budzi się w nim z całą siłą przywiązanie ojcowskie; waha się jeszcze ze stanowczem zadośćuczynieniem, stacza krótką dyalektyczną walkę z Łowczym o obowiązkach rodu, lecz wreszcie szlachetność nad przesądem bierze górę; hrabia oświadcza gotowość zaślubienia Klary. Skołatana cierpieniem i tak silnemi wrażeniami, bohaterka omdlewa, wszyscy już myślą, że umarła, gdy hrabia nachyliwszy się do jej twarzy, przekonywa się z radością, że odetchnęła.

Niepodobna zaprzeczyć, że wrażenie wywołane tym obrazkiem dramatycznym, jest mdłe, zarówno z powodu elegijnego nastroju wszystkich osób, jakoteż ze względu na dykcyę, trzymaną w jednostajnym stopniu umiarkowanej podniosłości, bez żadnego żywszego, z serca idącego wyrazu. Ale jako robota stylowa, harmonijnie przeprowadzona, jako pierwszy nasz utwór dramatyczny XIX. w., wolny od deklamacyjnej patetyczności, a dający próbki charakterów refleksyjnych, w których myśl i uczucie przemagają nad wolą — ma on swoje w dziejach piśmiennictwa znaczenie, którebym porównał do znaczenia „Wiesława“ w poezyi wogóle, gdyby „Klara“ doznała była takiego rozgłosu, jak sielanka krakowska Brodzińskiego. Że rozgłosu nie miała, jedną z najważniejszych przyczyn musiał być brak w niej wyraźnego pierwiastku narodowego; ani hrabia, ani Albert, ani Klara, ani Łowczy nie mają w sobie temperamentu polskiego, są to jacyś rozważni i sentymentalni zarazem kosmopolici.

Drugi z kolei dramat, w nowym kierunku, napisany był już w Krzemieńcu, dokąd Korzeniowski, ożeniwszy się, wyjechał w r. 1823 dla objęcia katedry wymowy i poezyi po Alojzym Felińskim w tamecznej szkole, przemienionej wtedy na liceum. Na napisanie „Anieli“, którą autor nazwał sam „tra-

gedyą", wpłynęły już nietylko wzory niemieckie, lecz i Szekspir, widocznie w tych czasach przez Korzeniowskiego studyowany. Dwa motywa tu się ścierają; z jednej strony kolizya uczucia i przesądu rodowego, z drugiej niezdecydowanie woli w głównym bohaterze. Charaktery wszystkie szlachetne; kilka z nich ma rodowe podobieństwo z osobami występującemi w „Klarze". Albert zmienił tylko imię na Hermana i dostał określone zajęcie lekarza; ale duchowo pozostał takimże samym filozofem refleksyjnym, niezdolnym do energicznego czynu, śmielszym tylko cokolwiek w słowach. Aniela, jego córka, to znów Klara, pełna szlachetności, uczuciowości, tylko ponieważ nie potrzebuje zachowywać życia swego dla syna, zażywa truciznę, którą Klara jedynie przy sobie nosiła. Siostra jej, Zofia, to synek Klary, Henryk. W Gustawie hr. Przeworskim poznajemy także hrabiego z „Klary", szlachetnego i uczuciowego, tylko, że ów brak decyzyi, trwający przez lat sześć, u Gustawa zamienia się w chroniczną chorobę woli, nawianą zapewne od Szekspirowskiego Hamleta. Helena, wdowa po kasztelanie bełskim, jest nową figurą, mającą więcej śmiałości, energii i stanowczości od Anieli, zapowiada ona te silnie rysowane charaktery kobiece, które w późniejszych utworach Korzeniowskiego miały zająć tak wydatne miejsce. Nową też, ale słabą figurą jest Wilhelm Stański, wytrwale, ale cicho i pokornie kochający Anielę. W Ludwiku Stężycu, powierniku Gustawa, chciał widocznie Korzeniowski przedstawić antytezę trzeźwości i zdrowego rozsądku wobec uczuciowego rozmarzenia bohatera. Grabarze, występujący pod koniec sztuki — naśladowani z Szekspira.

Akcya tej „tragedyi" zbyt była szczupła, ażeby mogła wypełnić dużych pięć aktów; toczy się więc rozwlekle i nie budzi żywszego zainteresowania. Dwie szlachetne kobiety, które niezdecydowany Gustaw miał zaślubić, odrzucają jego miłość: jedna idzie do klasztoru, druga truje się; bohater zabija się. Oto i wszystko; styl uroczysty nie przyczynia się wcale do

wywołania tragicznych efektów, chociaż przedstawia tragiczne zdarzenia.

Te dwie sztuki ogłosił Korzeniowski drukiem roku 1826 w Poczajowie, dawszy im skromny nadpis „Próby dramatyczne“ (str. 199). Mickiewicz zwrócił na nie uwagę; jedną z nich (zapewne „Anielę“) nazwał „próbą wcale dobrą i wiele obiecującą“; interesował się dalszym rozwojem talentu i wiele nań liczył (zob. „Korespondencyę“, t. IV, str. 101, 104, 106). W druku pojawiła się dłuższa ocena dopiero w roku 1829 w „Gazecie Polskiej“, będącej wtedy jednym z organów romantycznych (NN. 70, 71, 72). Autor jej (może kolega Korzeniowskiego z Krzemieńca, Stefan Witwicki), bardzo sympatycznie dla dramaturga naszego usposobiony, pochwalił wprowadzenie do dramatu wiersza nierymowego, wytknął podobieństwo „Klary“ do sztuki Kotzebuego „Syn nieprawy“, rozszerzył się nad niektóremi wadami w wystawieniu charakteru w „Anieli“, którą zestawił z dramatem Schillera „Intryga i miłość“; ale talent wogólności uznał, a nawet wysoko postawił. „Klarę“ za nizko oszacował, nazywając ją „przydłuższą sceną liryczną“, do której sam autor „zapewne mniejszą wartość przywiązuje“. O „Anieli“ wyraził się w zakończeniu, po szczegółowym rozbiorze, jak następuje: „Autor swego talentu użył nie tyle na zawiązanie węzła intrygi i oddanie charakterów, ile raczej na malowanie uczuć; i ten cel sobie naznaczywszy, w całym ciągu dzieła okazuje się poetą, uposażonym bujną wyobraźnią, głęboką myślą i rzewną tkliwością. Często jednym wierszem, kilku słowy umie łzy wycisnąć. Szlachetność i godność zacnego, tkliwego serca, na wszystkie myśli i czucia rozlana, szczególny powab utworowi jego nadaje. A chociaż w nim znajdują się niektóre uchybienia i skazy, wszakże wysoki talent p. K., tak obficie i oczywiście w dziele jego wyrażony, szczere dla siebie budzi uwielbienie: i bardzo życzyć należy, aby szanowny autor, dla wzbogacenia literatury, dla rozkoszy swych ziomków, jak najczęściej chciał go używać“. Porównywając zaś „Anielę“ z „Intrygą i miłością“, powiada: „Położenie, stosunki i los

głównych osób są w obu podobne. W dramie niemieckiej, mianowicie w poczwarnych rolach prezydenta i sekretarza, znać jeszcze świeżego autora okropnych Zbójców; sztuka polska ma mniej od tamtej zapału i charakteru, ale więcej rzewności. P. Korz., pracując nad podobnym, jak Schiller przedmiotem, pracował swoim własnym talentem i jest niezmiernie daleki od tych pisarzów, którzy pożyczając myśli i czucia innych, udają one za własne i tym sposobem puszczają się na niegodny rodzaj literackiego zarobkowania. Wszakże w obudwóch dziełach, tak poety niemieckiego jak polskiego, przebija się w wielu miejscach duch i koloryt Szekspira. Zapewne przypisać to należy mocnemu wrażeniu, jakie utwory tego wielkiego autora sprawują na każdej żywszej wyobraźni" („Gazeta Polska", 1829, N. 72). „Aniela" miała wogóle szczęście: Słowacki marzył o niej z lubością, a Przezdziecki jeszcze w roku 1844, a więc po ukazaniu się wielu innych dramatów Korzeniowskiego, ją tylko uważał za *jedyny* dramat naszego autora, „a może i dotychczasowej sceny polskiej..."

VI.

Nim mógł Korzeniowski odczytać zachęcające o swej „tragedyi" wyrazy, nie ustawał pracować i bez zachęty. Jakkolwiek zajęcia pedagogiczne w liceum pochłaniały mu sporo czasu, przecież uporawszy się z ułożeniem kursu wymowy i poezyi, zabrał się do pisania dramatów, gdyż ten rodzaj twórczości najwięcej mu do smaku przypadał, a liche wyroby ówczesnej muzy tragicznej zachęcały go do ich prześcignięcia.

Po „Anieli" napisał „Mnicha", obierając już wyraźnie temat narodowy, którego ówczesna krytyka i publiczność się domagały [1]). W „Anieli" były nazwiska polskie, ale stosunki

[1]) Najlepszy rozbiór „Mnicha" podał p. A. Bełcikowski w książce: „Ze studyów nad literaturą polską", str. 570—576.

tam odmalowane nader mało posiadały cech polskości. I w „Mnichu“ wprawdzie cechy te nie występują dobitnie, ale w każdym razie osobistość głośna w dziejach krajowych, bardzo pociągająca swoim losem tragicznym, zwracała myśl ku przeszłości ojczystej. Nie chciał rywalizować Korzeniowski z Wężykiem, który pierwszy u nas w r. 1822 postać Bolesława Śmiałego obrał za bohatera tragedyi; nie chciał więc wystawiać go, jako króla, dokonywającego zabójstwa na biskupie, lecz przeciwnie — jako człowieka pokonanego, który w ciszy klasztoru Osyackiego pragnął zagrzebać i pamięć świetności minionej, i boleść upadku, i wyrzuty sumienia. Ponieważ kolizya dramatyczna tkwi prawie całkiem wewnątrz, tak, że zewnętrzne wypadki (ogłoszenie ekskomuniki w klasztorze) nie wywierają wpływu na treść zasadniczą, forma misteryum, z chórami i duchem św. Stanisława, nie ma w sobie nic rażącego, owszem pod pewnym względem silne, przejmujące wywiera wrażenie. Autorowi chodziło o harmonijne przeprowadzenie walki duchowej w hardem sercu Bolesława, który i pod kapturem mnicha nie stracił swej dumy i popędliwości. W tym celu wprowadził postać Szreniawity, który niegdyś był podżegaczem do zbrodni, a teraz przybył naumyślnie do klasztoru, by wyjednać od króla przebaczenie. Bolesława wyrzeczenie słów przebaczenia kosztuje wiele; ale je wreszcie wypowiada; a to zwycięstwo nad sobą odniesione wyjednywa mu łaskę nieba; duch św. Stanisława wprowadza go do kościoła, od którego do owej pory odpychała go jakaś moc niewidoma. Pojednany z Bogiem i sumieniem, Bolesław umiera. Idea wyrozumiałości i tolerancyi, przeciwstawiona fanatycznemu rygorowi, duch — literze Pisma, nadaje podniosłość tej pracy, której słusznie przyznano nazwę „poematu“ dramatycznego. Jest w niej istotnie dużo poezyi i dużo myśli pięknych, obrazowo wyrażonych, dla których łatwo się wybacza zbyt długie niekiedy przemowy.

„Mnich“ został ogłoszony drukiem w Warszawie z datą r. 1830, ale w kołach literackich znany był o wiele wcześniej,

gdyż Mickiewicz już w pierwszej połowie r. 1829 oń się dopytywał Odyńca.

W „Mnichu“ mamy już człowieka występnego, nie tak jak w „Klarze“ i „Anieli“; lecz i ten występny, ukarany strasznym upadkiem, oczyszczony cierpieniem i zwycięstwem nad sobą, doznaje ubłogosławienia. Pomiędzy zakonnikami znajdują się formaliści, którzy po usłyszeniu wyroku Rzymu odsuwają się od wyklętego, ale i ich oskarżać jeszcze nie można; spełniają tylko to, do czego się zobowiązali; wśród nich jaśnieje postać Adalberta, pełna zapału, wyrozumiałości na grzechy ludzkie i wyższego poglądu na zadanie religii.

W dwu innych dramatach, napisanych w Krzemieńcu, już występują ludzie źli i przewrotni; już się pojawiają uczucia nienawiści i zbrodnie. Korzeniowski rozszerzył widnokrąg dramatyczny, i nie uchybiając celowi moralnemu, o który mu w rozprawie „o patetyczności“ tak chodziło, większą rozmaitość charakterów wprowadził do swych utworów.

Dwa te dramata, to: „Dymitr i Marya“ (r. 1827), oraz „Piękna kobieta“ (r. 1829). Oba wyszły z druku dopiero w drugim okresie twórczości Korzeniowskiego, ale z wewnętrznych cech zarówno, jak z czasu napisania, należą do pierwszego.

W „Dymitrze i Maryi“ mamy odtworzony wątek „Maryi“ Malczewskiego, z zachowaniem imienia bohaterki, godności ojca bohatera, z przemianą Wacława na Dymitra, miecznika na „Szlachcica“, którego Wojewoda nazywa w pasyi „żebrakiem“, „nędzarzem“; z dodaniem postaci Stefana, faworyta Wojewody, rywala Dymitra co do Maryi, człowieka przewrotnego, mszczącego się za rekuzę, ale umierającego mężnie, oraz Cyganki, występującej jako wszechwiedne i wszędzie obecne bóstwo, które doznało niegdyś krzywdy od Wojewody, a teraz nasyca się widokiem jego nieszczęść. W charakterze Maryi uwydatniona łagodność, czułość, skłonność do smutnych przeczuć, determinacya w chwilach stanowczych. Dymitr to młodzieniec namiętny, energiczny, pod koniec dopiero staje się jakimś dzi-

wnym melancholikiem. Wojewoda, ambitny, gwałtowny, ledwie uhamować się mogący, jest może najżywszą, najplastyczniejszą, najprawdziwszą figurą. „Szlachcic“ bardzo niewyraźny, przeczuciami smutnemi dręczony (rys powtarzający się w jego córce), w końcu łagodnie obłąkany, czyni przykre wrażenie. Pomimo, że sytuacye są tragiczne, nie robią efektu tragicznego; za mała jest głębia namiętności w Dymitrze i za mało siły posiadają jego słowa. Akcya idzie równo i dobrze; za mało tylko jest gradacyi w natężeniu stopnia niebezpieczeństwa. Widocznie rzecz była starannie opracowana, lecz brak jej tchnienia talentu wyższego oraz głębszego uczucia, brak tej bezpośredniości artystycznego wrażenia, któraby czytelnika porywała. Utwór ten został napisany wierszem rymowanym jedenasto-zgłoskowym; jest on poprawny. ale jakby spętany, nie toczy się gładko. Styl pełen godności; czasami bardzo nienaturalny, niekiedy nawet w swym uroczystym nastroju śmieszny.

Może świadomość tych ujemności dykcyi, które wywołane były, jak się zdawało, wymaganiami wiersza, skłoniły Korzeniowskiego do nowej próby w zakresie dramatu, do skreślenia prozą „Pięknej kobiety“. Użycie prozy w dramacie było względną tylko nowością, bo Niemcewicz jeszcze w roku 1792 w ten sposób swego „Kaźmirza W.“ napisał. Ale Korzeniowskiemu szło głównie o większą swobodę wyrażenia i o zbliżenie się do prawdy i naturalności w odtwarzaniu powszednich stosunków życia, w których się przecie wierszem w rozmowie nie posługujemy. Prócz tego autor pragnął wystawić namiętności silniejsze, niż dotychczas przezeń malowane, oraz wyobrażenia i postępki, które daleko od ideału moralności pozostawały. Obrał w tym celu otwarcie obce życie, z polskiem żadnego nie mające związku. Rozczytywanie się w Szekspirze wpłynęło zarówno na kompozycyę, jak na wybór osób, tryb prowadzenia akcyi, rodzaj porównań i wysłowienia wogóle. Wątek „Pięknej kobiety“ jest ten sam, co i dramatu Roberta Greena, współczesnika Szekspira, p. n. „Mnich Bakon“ *(Friar Bacon)*, tylko nazwiska są różne, sposób sprowadzenia kata-

strofy i zakończenie odmienne. U Greena książę Walii, późniejszy Edward I., pokochawszy córkę leśniczego Małgorzatę, wysyła do niej hrabiego Lincolnu, z listem i podarkiem, by ją nakłonić ku sobie. Hrabia, ujrzawszy dziewczynę, rozkochał się w niej, i stoczywszy walkę wewnętrzną, poprosił ją o rękę dla siebie. Scenę tę widzi książę w czarnoksięskiem zwierciedle Bakona, pośpiesza na miejsce, robi wyrzuty hrabiemu, zamierza go zabić, ale usłyszawszy, że Małgorzata nie przeżyje śmierci tegoż, przebacza hrabiemu, wyrzeka się Małgorzaty i oddaje mu ją dobrowolnie. U Korzeniowskiego książę Walii nazywa się królem angielskim Edgarem, hrabia Lincolnu jest hrabią Etelwoldem, Małgorzata jest Elfrydą, synowicą Olgara hr. Devonshiru; o czynie Etelwolda dowiaduje się król nie z czasnoksięskiego zwierciadła, ale od Lesley'a, jednego ze swych wodzów, człowieka przewrotnego i nikczemnego. Elfryda nie jest tak nieposzlakowaną, jak Małgorzata, daje się unieść zalotności i kokietuje króla; dopiero gdy Etelwold poległ z ręki zbójców za wiedzą króla, budzą się w niej wyrzuty, odtrąca Edgara i gardzi nim.

Prawdopodobną jest rzeczą, że Korzeniowski dramatu Greena nie czytał i osnuł swój utwór na jego streszczeniu w jakiejś historyi literatury, albo też na anegdocie poznanej w zbiorze podań z dziejów angielskich. W każdym jednak razie dramata Szekspirowskie oddziałały silnie na całą robotę, nadały jej cechę brawurowej niemal śmiałości, uzuchwaliły skromnego poetę do odtwarzania rozpustnych rozmów dworaczych, a stylowi przyprawiły skrzydła, których jeszcze autor należycie użyć nie potrafił.

W zakresie dramatycznym nie doszedł tedy Korzeniowski w pierwszym okresie twórczości swojej do zupełnego zapanowania nad kompozycyą i dykcyą, próbował tylko ciągle różnych środków celem jak najlepszego wypowiedzenia swych pomysłów; od deklamacyi pseudo-klasycznej w poważnym aleksandrynie, doszedł stopniowo aż do gorączkowej prozy, zuchwałemi przenośniami przetykanej; od skrępowania prawi-

dłami trzech jedności — do zupełnego od nich wyswobodzenia się; ale nie stworzył takiej całości artystycznej, któraby mogła całkowicie zadowolić wymagania smaku; a w charakterystyce postaci obracał się ciągle w szczupłym jeszcze zakresie, chociaż go powoli rozszerzał.

Rychlej doszedł do harmonii z sobą samym w dziedzinie poezyi epiczno-lirycznej. Dwa fragmenta poetyckie, ogłoszone w noworoczniku „Melitele“, wydawanym przez Odyńca w Warszawie na rok 1829 i 1830, dały poznać Korzeniowskiego, jako władcę słowa zwięzłego i wyrażającego dokładnie to tylko, co autor chciał wypowiedzieć. Nie miały one przymiotu porywania, entuzyazmowania czytelników, bo talent Korzeniowskiego refleksyjny, skupiony w sobie, nie buchał płomieniem zapału; ale dla rozważnych wielbicieli piękna przedstawiały zwięźle, ześrodkowane umiejętnie i kształtnie uczucia i myśli, silnie pobudzające do zastanowienia nad duszą ludzką. Fragment, mówiący o losach dwu młodzieńców, z których jeden pragnął pola szerokiego do czynów, drugi — dla myśli, jak zmarnowali swe szczęście i szczęście kobiet, które im zaufały, mniej jest skoncentrowany, mniej też oddziaływa na wyobraźnię. Ale fragment, w którym zakonnik opowiada młodzieńcowi o swych nieszczęściach, o poświęceniu dla przyjaciela, o ciężkich dniach przepędzonych z tego powodu, o wydarciu mu serca żony przez tegoż przyjaciela i o zemście na obojgu wymierzonej, — należy do najdoskonalszych w swoim rodzaju opowiadań i wzrusza głęboko. Żadne tu słowo nie jest zbyteczne, żadne porównanie naciąganem lub niewłaściwem nazwać się nie może, a wiersze, jakkolwiek nie należą do najświetniejszych, są jednak płynne, poprawne i dźwięczne. Tu rodzaj uczucia, właściwego Korzeniowskiemu, głębokiego, lecz w swych objawach małomównego, najlepsze znalazł uzewnętrznienie; forma zupełnie odpowiedziała treści.

* * *

Roztoczone tu szczegóły wyjaśniają, jak mi się zdaje, dostatecznie, dlaczego Korzeniowski nie stanął w szeregach bojowników romantyzmu, dlaczego nie puścił cugli wyobraźni i uczuciowości, lecz je trzymał w silnej garści rozsądku. Gdyby posiadał talent genialniejszy, mógłby był zająć stanowisko wybitne wśród walczących z sobą stronnictw literackich; ale że skala jego zdolności nie sięgała tych wyżyn, mógł tylko swoją własną samoistność indywidualną zachować, i to jeszcze z niezupełną pewnością siebie, objawiającą się w ustawicznem szukaniu ideału formy, któraby jego usposobieniu najlepiej odpowiadała.

CZĘŚĆ DRUGA.

(1832—1850).

I.

Od końca r. 1831 położenie i nastrój piśmiennictwa naszego ogromnej uległy zmianie. Najznakomitsi, najbardziej wpływowi pisarze zamieszkali za granicą i rozwinęli tam tę świetną działalność, która stanowi najpiękniejszy okres w dziejach naszej twórczości. Wówczas to wyszły na świat po raz pierwszy dzieła, będące najcenniejszemi jej nabytkami; kto przejrzy choćby pobieżnie bibliografię z czasu, o którym mówię, łatwo znajdzie potwierdzenie wypowiedzianego tu zdania. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Bohdan Zaleski, Goszczyński, Garczyński, Pol, Trentowski, Lelewel, spółcześnie lub jedni po drugich ogłaszali utwory coraz podnioślejsze pod względem myśli, coraz doskonalsze pod względem formy.

Z pierwiastkową, naiwną romantycznością, od której rozpoczęło się odnowienie literatury, wielcy poeci zrywają mniej lub więcej stanowczo, podejmując najżywotniejsze zagadnienia życia współczesnego, które musiało się naturalnie wyrażać w sposób sobie właściwy, od fantastyki ludowej daleki, a zbliżony do wymagań umysłów nowożytnych. Polityka i socyologia wchodzą do poezyi jako nieodzowne, składowe jej pierwiastki

i czynniki, nadając twórczości poetów interes głęboki, z ruchem cywilizacyjnym najściślej związany.

Powstają, nieodbitą koleją rozwoju pojęć, wprost sobie przeciwne przekonania i poglądy, które wytwarzają stronnictwa: arystokratyczne, demokratyczne i religijno-mistyczne.

Z stronnictw tych do roku 1850 najwięcej znaczenia, popularności i wpływu ma demokratyczne, które pozyskawszy gorliwych i namiętnie do sztandaru swego przywiązanych wyznawców i apostołów, opanowuje umysły młodzieży i rzuca pewną lękliwość w szeregi starszego pokolenia, nie śmiejącego częstokroć wyjawić swoich odmiennych zapatrywań. Wyzwolenie ludu ze wszystkiemi jego konsekwencyami, a więc między innemi i z obniżeniem a nawet zaprzeczeniem stanowiska „klas uprzywilejowanych“, staje się hasłem tego stronnictwa, hasłem jednającem mu najwięcej sympatyi i dającem wybitne stanowisko społeczne. Z tem hasłem łączy się zaraz drugie: emancypacya kobiet, i trzecie — najogólniejsze: bezwzględna swoboda myśli, rozbioru, krytyki z pominięciem wyobrażeń i form tradycyjnych we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Filozofia niezależna od teologii była najświetniejszą tej swobody myśli wyobrazicielką. Kto chciał uchodzić za postępowca, musiał hasła te wyznawać i głosić, stosując do nich swe słowa i pisma.

Tymczasem w samym kraju, opuszczonym przez pisarzów genialnych, i nie mogącym wypowiadać głośno i wyraźnie życzeń i pragnień swoich, musiała literatura poprzestać na tematach powszednich, na przerabianiu myśli i obrazów, które jej romantyka z przed roku 1831 pozostawiła w spadku, albo też na kreśleniu sytuacyj, nastręczanych przez stosunki codzienne, kręcące się w nader szczupłem kółku. Do roku 1841 panuje w niej apatya, cisza albo miernota. Brodziński, słaby i znękany, ledwie daje znaki życia duchowego w „Jutrzence“ i „Magazynie Powszechnym“, i w r. 1835 umiera; Fredro, zrażony krytyką, milknie około tegoż samego czasu. Gdyby nie Kraszewski, który z młodzieńczą werwą i nieopatrznością rzucał

paradoksy lub jaskrawo oświetlał lichotę i niedołęstwo spółczesnego sobie pokolenia na wsi i w miastach; gdyby nie Goszczyński i grono poetów galicyjskich (Bielowski, Siemieński, Borkowscy), oraz K. Wł. Wójcicki, którzy silnym zwrotem do ludowo-narodowego pierwiastku w twórczości poetyckiej budzili uśpione umysły; gdyby nie Michał Grabowski, który rozbiorami krytycznemi do zastanawiania się nad duchem piśmiennictwa zmuszał; — nie byłoby w owej dobie nic do powiedzenia o literaturze pięknej w kraju. Dopiero od r. 1841 ożywia się twórczość. Rozrost czasopiśmiennictwa, wystąpienie na widowni literackiej całego szeregu młodzieńców i kobiet z wrącym talentem i wielce entuzyastycznem usposobieniem, przejęcie się ideami za granicą wyrobionemi, skupienie sił w pewnych oznaczonych kierunkach wywołało ruch myśli znaczny. Nie wydał on wprawdzie takich utworów, któreby można było porównać z dziełami wielkich poetów, za granicą piszących; ale do rozszerzenia oświaty, do wstrząśnięcia umysłów i zainteresowania ich ważnemi zagadnieniami przyczynił się potężnie. Powstały i w kraju dwa stronnictwa: zachowawczo-arystokratyczne i postępowo-demokratyczne. Na czele pierwszego stała t. z. „pentarchia“, zgrupowana około „Tygodnika petersburskiego“, t. j. Henryk hr. Rzewuski, Michał Grabowski, ks. Ignacy Hołowiński, Józef E. Przecławski i Ludwik Sztyrmer. Drugie nie miało tak ściśle ze sobą związanych przewódców; ale było liczniejsze i rozporządzało większą ilością organów: „Tygodnik literacki“ w Poznaniu, „Dziennik mód paryskich“ we Lwowie, „Przegląd warszawski“, „Nadwiślanin“, „Przegląd naukowy“, a po większej części i „Biblioteka Warszawska“ w Warszawie, „Gwiazda“, wydawana naprzód w Petersburgu a potem w Kijowie przez t. z. „tryadę“ t. j. Jakóba Jurkiewicza, Zenona Fisza i Antoniego Marcinkowskiego — stały otworem dla pism postępowców, liczących niewątpliwą większość wśród ówczesnych literatów.

Jakież stanowisko zachował Korzeniowski wobec tego nowego ustosunkowania się sił duchowych w społeczeństwie?

Znając już jego zasadnicze usposobienie, łatwo przewidzieć, że do żadnego stronnictwa wyraźnie i bez zastrzeżeń się nie przyłączył, lecz jak wśród walki romantyków z klasykami, tak teraz wśród walki postępowców z zachowawcami utrzymał pośrednie, nie wybitne wprawdzie, nie wpływowe bynajmniej, lecz samoistnie wyrobione sobie miejsce.

Jego religijność, lubo nie formułkowa, lecz wcale nie lekceważąca form, oddalała go od postępowców, którzy czcili i wielbili chrześcijaństwo, ale pojęte duchowo tylko, wykładane nieraz symbolicznie i allegorycznie, a w każdym razie indywidualnie; równocześnie jednak nie zbliżała do grupy konserwatystów z „Tygodnika petersburskiego“, gdyż miała w sobie zbyt dużo wyrozumiałości i tolerancyi, podszyta była umiarkowanym liberalizmem. Ten właśnie liberalizm, zastosowany do oceny wartości różnych warstw społecznych, odpychał go od zachowawców, którzy w arystokracyi jedynie widzieli filary narodowości i dobrego porządku; ale nie mógł zjednoczyć z demokratami, którzy szlachtę i klasy uprzywilejowane w czambuł potępiali, na zagubę skazywali, gdy tymczasem Korzeniowski, chociaż ostro wytykał błędy i nikczemności t. z. „wyższego“ towarzystwa, nie myślał upatrywać jedynego zbawienia w ludzie, a sam osobiście daleko chętniej lubił przebywać w gronie ucywilizowanem.

Stąd to Goszczyński, kreśląc w r. 1835 swoję pamiętną „Nową epokę literatury polskiej“, przepowiadał Korzeniowskiemu, że próby jego dramatyczne „nie rokują pisarza, który ma stworzyć dramat naszemu *ludowi* właściwy“, tak jak lekceważąco talent Fredry oceniając, nazwy poety narodowego mu odmówił. Stąd też w dalszych latach postępowcy te tylko utwory Korzeniowskiego podnosili wysoko, które z ich dążnością harmonizowały, inne mianując miernotą. Więc „Karpaccy Górale“ wywoływali wśród nich okrzyki uwielbienia; szczególniej zaś „Żydzi“. Edward Dembowski, najbardziej krańcowy z krytyków demokratycznych, bez ogródki powiedział, że komedyą tą Korzeniowski się „unieśmiertelnił“, a w motywach

wskazał, co mu właściwie w niej się podobało tak dalece, że nawet wady kompozycyi przesłoniło. „W niej — powiada — wystawia mistrzowsko *szachrajstwa magnatów wołyńskich,* których dla ich niecności żydami nazywa. Pod względem techniki scenicznej, żywości dyalogu i skreślenia charakterów Żydzi nic do życzenia nie pozostawiają i są bez zaprzeczenią najlepszą dotąd napisaną polską komedyą“ („Piśmiennictwo polskie w zarysie“, 1845, str. 367). Za Dembowskim powtórzył tęż opinię o „Żydach“ Jan Majorkiewicz, chociaż był to umysł znacznie umiarkowańszy. Korzeniowski — mówi on — „pierwszy pokazał, co to jest komedya ze *znaczeniem społecznem,* pierwszy się podniósł odrazu i śmiało na stanowisko komiki wyższej“ („Historya, literatura i krytyka“, wyd. 2-gie, 1850, str. 343).

Zajmowanie się światem salonowym z zaniedbaniem ludu wyrzucali Korzeniowskiemu postępowcy jako grzech nie do przebaczenia. Ażeby poznać atmosferę, wśród której autor nasz tworzył, trzeba odczytać choć jeden z tych głosów oburzenia. Zapomniany dziś prawie, lecz w swoim czasie dość głośny publicysta, Józef Bohdan Dziekoński, pisząc recenzyę „Spekulanta“, wołał: „Tło tej powieści, duch w niej wiejący nie są nasze. Ten świat konwencyonalny, bogaty i na jednę skalę ukształcony, chłodny i egoistyczny, wszędzie dziś jest jednostajny! wszędzie jednostajnie spekuluje i przeżywa swoje szczęście i nieszczęście. Nie odpowiada on ani potrzebom czasu, ani położeniu naszemu; zatarta już w nim przez połowę krajowa indywidualność i dlatego nie wzbudza silnie naszej sympatyi. Świat ten bardzo przecież, na naszę pociechę, jest nieliczny i w końcu zawsze znajdzie w dostatkach i kupionem szczęściu odrętwienie. Całe spółczucie nasze należy się biedniejszej, ale jakże liczniejszej kaście, czysto naszej, miejscowej; — ale tego nie napotykamy i śladu w stiukowych ścianach i kobiercami wybitych posadzkach salonów powieści p. Korzeniowskiego“ („Dzwon literacki“, 1846, t. II, 163).

I jeszcze jedno pojęcie głęboko różniło entuzyastycznych

postępowców od Korzeniowskiego: był to mianowicie pogląd na miłość i emancypacyę kobiet. Autor nasz, zgodnie ze swoim temperamentem i wyobrażeniami, w których wzrastał, chociaż wysoko stawiał uczucie miłości, nie był jednak jego romantycznym bałwochwalcą, nie przypuszczał, ażeby ono mogło być jedynym drogoskazem życia, jedynem prawem, któremu ludzie bezwarunkowo zawsze posłuszni być powinni; nie sądził też, żeby niepodobna było uczucia tego pokonać w sobie, gdy względy wyższe, obowiązek np., tego wymagają; nie godził się również na doktrynę, że pierwsze uczucie jako instynktem wskazane jest zarazem najprawdziwsze, najgłębsze, którego złamanie pociąga za sobą zwichnienie życia całego. Otóż pod tym względem postępowcy nasi owocześni byli wprost przeciwnego przekonania; będąc w tym punkcie najzupełniejszymi romantykami, wyznawali kult miłości i zawzięcie, fanatycznie bronili jej całkowitej swobody i nienaruszoności. Że miłość podzielana prowadzi na szczyty zasług i chwały, stając się pobudką najszlachetniejszych czynów; miłość zaś zawiedziona strąca ludzi w otchłanie bez wyjścia — stanowiło to dla naszych entuzyastów-romantyków dogmat, w którego obronie walczyli nieustraszenie, pewni uznania najzupełniejszego ze strony płci pięknej.

To też gdy Korzeniowski przedstawił w „Spekulancie“ omyłkę serca Klary i rozwinął myśl, że rodzice lepiej częstokroć widzą warunki rzetelnego szczęścia swych córek aniżeli one same, uwiedzione poszeptem budzącego się po raz pierwszy serca i nie umiejące jeszcze odróżniać wdzięcznych pozorów od przerażającej prawdy, wystąpili przeciwko tej tendencyi entuzyaści warszawscy w ostrych, potępiających słowach. Wzmiankowany już Józef Bohdan Dziekoński streścił ironicznie „sens moralny“ powieści Korzeniowskiego, powiadając, że ma ona dowodzić, „jak dalece miłość na świecie jest niepotrzebną, ponieważ zawodzi, a posłuszeństwo bezwarunkowe uszczęśliwia, bez względu na uczucie nawet odrazy“, i żałował mocno, że nie zyska ona „serca czytelników“, któregoby mogła być pe-

wna, gdyby zgodniejsza była z dążeniem „wyzwolenia słusznych żądz ludzkiego ducha od ciążących na nim odwiecznych praw niesłuszności".

Równocześnie głośna już wtedy i wielbiona przez młodzież Gabryela (Narcyza Żmichowska) przesłała z Podlasia list do redakcyi „Przeglądu naukowego" (r. 1846, t. III, str. 828 do 836), w którym z właściwą sobie ironią, przeniknętą poważnemi spostrzeżeniami, uderzyła również na sposób traktowania miłości przez Korzeniowskiego. Nie wychodząc bynajmniej ze stanowiska emancypacyjnego, ażeby nie komplikować sprawy, lecz owszem powołując się niby na pojęcia tradycyjne, pisała: „Mama powiada, że uczucie jest najwyższą niezależnością, przysięga świętością najwyższą, że jak mama ani kochać sercem swojem, ani przysięgać ustami swemi za dzieci nie będzie, tak też na ich wolę zdaje kochanka i ślub; bo mama z dzieciństwa kształciła w nas córkach wszystkie ku dobremu skłonności, rozwijała władze sądzenia i ocenienia; a teraz gdy czas użycia tych władz i skłonności już nadszedł, mama utrzymuje, że jej pozostał tylko współudział w złym lub dobrym losie naszym, nierozdzielność szczęścia lub niedoli, ale że prawo samolubnego zabezpieczenia się o naszej przyszłości według pewnych sobie wiadomych warunków odpadło od niej. To utrzymuje mama nasza, bardzo godna, bardzo szanowana, bardzo moralna osoba, któraby pewnie dziecka swojego z postronną miłością w sercu pod obcy dach męża nie wyprawiła, choćby ten mąż był jeszcze lepszy niż pan Marszałek". A uczyniwszy inne nadto uwagi o Klarze, jej matce i panu Marszałku, zakończyła stanowczem zdaniem, że „autor nie zna kobiety matki, nie zna kobiety córki, nie zna kobiety żony i kochanki", poczem dodała: „Autor dla dowcipnego słówka poświęcił nieraz godność naszego charakteru, autor sobie z nas żartuje: w ideał przybrał uległość Chorążyny dla głupiego męża, w zdrożność wolne uczucie Klaruni dla człowieka, o którego niegodziwości bez przekonania na słowo jej wierzyć każą, a nakoniec przymieszał jeszcze dwa grana próżności miłującej

wystawność i trzy uncye nudów, żeby wesprzeć jej drugie szlachetniejsze, małżeńskie kochanie — och! to musi być złośliwy człowiek ten pan Korzeniowski!“

Dzisiaj, chociaż można również obok spóźnionych ech romantycznych usłyszeć z całkiem innych motywów wypływającą obronę „wolnego uczucia“ czyli inaczej „instynktu“; większość przecież gotowa stanąć po stronie Korzeniowskiego, i nie pochwalając bynajmniej przymuszania córek do małżeństwa, zaprzeczyć nieomylności pierwszego wrażenia czy popędu, choćby już tylko z uwagi, iż społeczeństwo dzisiejsze wskutek swego życia cywilizacyjnego, opartego na wzroście refleksyjnej strony umysłu, nie może liczyć na trafność instynktu zwierzęcego. W czasach atoli, o których mówimy, lubo nie brakowało ludzi trzeźwo myślących, lubo i w belletrystyce pojawiały się niekiedy poglądy na miłość zgodne z myślą Korzeniowskiego, jak np. w psychologicznych powieściach Sztyrmera; hasła przecież romantyczno-entuzyastyczne zbyt były potężne, ażeby dać możność wydobycia się na jaw w literaturze owym zapatrywaniom chłodniejszym i rachującym się ściślej z rzeczywistością. Korzeniowski tedy w opinii młodzieży nie mógł się wybić na stanowisko wydatne; patrzano nań z nieufnością, jako na zacofanego w pojęciach, a gdy się ukazały takie powiastki, jak „Panna postępowa“, w której potępiał poświęcanie się kobiet spekulacyom filozoficznym, jako wysuszającym uczucie, lub jak „Ksiądz gwardyan“, gdzie opowiadał cudowne nawrócenie się niedowiarka — to nieufność wśród postępowców wzrosnąć tylko mogła.

Tym sposobem się stało, że Korzeniowski, który od lat już tylu pracował, będąc rówieśnikiem twórców nowego kierunku w literaturze, nie mógł uzyskać przewodniczącego wśród rzeszy piszącej w kraju stanowiska, a o wiele młodsi od niego, że tylko o Kraszewskim nadmienię, daleko rychlej rozgłośną sławę i wpływ pozyskali.

Jak umysł twórczy powoli się w nim rozwijał, tak i znaczenie jego w piśmiennictwie zwiększało się zwolna, mozolnie,

ulegając częstym przemianom opinii, które go to wynosiły, to spychały na dół. W tej drugiej dobie twórczości swojej musiał Korzeniowski wypracowywać sobie uznanie i nie zdołał go niewzruszenie ustalić nawet przed rokiem 1850. Jest to tedy okres usilnej pracy, wśród której nieraz opanowywało go zniechęcenie, gdyż oprócz zarzutów ze względu na stanowisko filozoficzno-społeczne, spotykały go bardzo surowe oceny ze strony czysto artystycznej. Nie występuje więc tu jeszcze Korzeniowski jako pewny i siebie i wpływu na społeczeństwo działacz, lecz jako pisarz, w trzech dziedzinach: dramatu, komedyi i powieści dobijający się usilnie wydatnego w literaturze miejsca.

II.

Warunki, wśród których wypadło Korzeniowskiemu po raz już drugi wywalczać sobie uznanie w literaturze, były obecnie przez kilka lat bardzo niepomyślne. Zaledwie się wywikławszy ze sprawy studenckiej, w którą jako profesor wizytujący z obowiązku mieszkania uczniów w Krzemieńcu był wciągnięty, ujrzał niebawem zamknięcie liceum i przelanie jego funduszów i zbiorów do nowotworzącego się uniwersytetu w Kijowie. Przeniesiony na posadę profesorską do tegoż uniwersytetu, wykładał w nim z początku ten sam przedmiot co w Krzemieńcu, to jest wymowę i poezyę, wkrótce jednak musiał przygotowywać sobie kurs całkiem inny, mitologii klasycznej i starożytnościom rzymskim poświęcony. Gdy się już cokolwiek zżył z nowemi stosunkami, gdy myśląc o dłuższym pobycie w Kijowie wybudował sobie skromny domek przy ulicy Lipki, na pomieszczenie rodziny wystarczający, otrzymuje rozkaz wraz z kilku innymi profesorami b. liceum krzemienieckiego, opuszczenia uniwersytetu św. Włodzimierza i przeniesienia się do Charkowa na posadę dyrektora gimnazyum. Po tych latach, pełnych zmian i niepewności, dopiero ośmioletni pobyt w Charkowie (1838—1846) dał autorowi naszemu odetchnąć trochę

swobodniej i, jakkolwiek bynajmniej nie zadawalniał pragnień serca, pozwolił przecie pracować fantazyi na ulubionej dziedzinie.

Oczywiście dramat był u niego na pierwszym planie. Myśli jego krążyły najchętniej w tej sferze, tem bardziej gdy widział, że rodzaj ten literacki uprawiany był z coraz większą usilnością w literaturze europejskiej. Do dawniejszych wzorów, na których się kształcił, a które wielbił i teraz, przybywały z rokiem każdym dramata francuskie Wiktora Hugo, Aleksandra Dumasa (ojca) i wielu innych. Z powodu niezbyt łatwej komunikacyi, nowe te dzieła nie mogły przybywać rychło do Kijowa czy Charkowa, lecz przybywały w końcu i budziły w umyśle dramaturga pomysły żywszej akcyi, oryginalnej, lub przynajmniej świeższej intrygi, niespodziewanych efektów i żywego, dowcipnego dyalogu. Temperament naszego autora nie pozwalał mu przyswoić sobie namiętnego sposobu malowania uczuć, lecz w udoskonaleniu techniki dramatycznej niewątpliwie szukał wskazówek w utworach francuskich, a w pomysłach spotykał się z niemi dość często.

W literaturze polskiej jedynym natenczas prawdziwie genialnym przedstawicielem dramatu był tylko Juliusz Słowacki, gdyż wielkie nadzieje, jakie na Dominiku Magnuszewskim pokładano, nie ziszczały się. Ale sławy Juliusza nie należy sobie wyobrażać w takiej mierze, jakiej dosięgła ona w czasach nowszych; przeciwnie, szczupłe wtedy tylko grono młodzieży unosiło się nad autorem „Maryi Stuart“, „Mazepy“, „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“; ogółowi zaś pisma jego po większej części obce nawet były.

Że Korzeniowski czytał utwory Słowackiego, przynajmniej niektóre, mamy na to świadectwo wyraźne we własnem jego zeznaniu, ale zeznanie to świadczy zarazem, że ich bardzo wysoko nie stawiał, umieszczając je na tym samym, co własne, poziomie. Ciekawy ten dokument wart jest przejrzenia, jako bardzo mało znany, a odsłaniający nam pogląd Korzeniowskiego na literaturę jemu spółczesną.

W lutowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“ z r. 1844 ukazały się „Sceny w różnych miejscach“ przez Ambrożego Ambrożkiewicza. Pseudonimem tym osłonił się Korzeniowski dla wypowiedzenia w formie rozmowy z redaktorem i spółpracownikami „Biblioteki“ spostrzeżeń swoich o piśmiennictwie wogóle a o komedyi Fredry „Mąż i żona“ wszczególności.

Nie był on ślepy na braki ówczesnych wydawnictw, wiedział, że dzieła naukowe u nas nie wychodziły, ale dodawał, że wychodzić nie mogły „dla dwudziestu czterech przyczyn“; uznawał, że w literaturze pięknej są słabizny, ale uważał, że to, „co się drukuje, jest swojskie i samorodne“, poczytując to za „krok olbrzymi i najpiękniejszą wróżbę nadal“, bo, jak objaśniał, „niemałego potrzeba było wysilenia, żeby odrzucić cudzoziemskie paski, żeby wyleźć z francuskich i niemieckich pieluszek“.

Jednę wielką dostrzegał przeszkodę, tamującą prawidłowy rozwój piśmiennictwa, a mianowicie brak sumiennej i bezstronnej krytyki, gdyż my „umiemy tylko albo przechwalić bez miłosierdzia, albo zganić bez miłosierdzia“. Proszony przez rozmówców swoich, wypowiedział sąd o wszystkich piszących, oparty na ponownem odczytaniu ich dzieł, jak zapewniał. Na pierwszem miejscu postawił dwu wielkich poetów (Mickiewicza i Krasińskiego, a może Bohdana Zaleskiego) i „najznakomitszą a godną uwielbienia kobietę“ (niewątpliwie Klementynę z Tańskich Hofmanową). Na drugiem miejscu: Aleksandra Fredrę, Goszczyńskiego, Słowackiego („autora *Żmii*“), Witwickiego i... siebie. Trzecie miejsce w sądzie naszego autora otrzymali: Grabowski, Kraszewski, Rzewuski, Hołowiński, Chołoniewski, Czajkowski, Olizarowski, Placyd Jankowski, Chodźko, Przecławski, Tyszyński, Bujnicki, Ziemięcka, Sztyrmer. Inni, jak Odyniec, Siemieński, Bielowski, byli przezeń uważani za tłómaczów przeważnie, a o niektórych świeżo wtedy w piśmiennictwie występujących radził wstrzymać się ze zdaniem, dopóki w całości talentu swego nie rozwiną.

Ugrupowanie powyższe nie może zapewne rościć sobie

prawa do nazwy zupełnie trafnego; zestawione w niem osobistości są bardzo różnej miary talentu; ażeby jednak właściwie je ocenić, trzeba wiedzieć, że druga i trzecia grupa chronologicznie tylko były od siebie oddzielone; w drugiej mieszczą się pisarze, którzy już przed rokiem 1831 pisać zaczęli, a w trzeciej ci, którzy na widownię literacką po tej dopiero dacie wystąpili. Uwzględniwszy te uwagi, będziemy więc mieli dwie tylko kategorye pisarzy: pierwszo- i drugorzędnych. Wśród drugorzędnych nie chciał robić Korzeniowski poddziałów, unikając drażliwości osób żyjących.

Równocześnie z tem ugrupowaniem wypowiedział nasz autor kilka uwag o utworach dramatycznych, w różnicy od wszelkich innych dla wskazania trudności, które dramaturg zwalczyć musi. W innych utworach poetycznych nie bardzo, zdaniem Korzeniowskiego, „obrażamy się niedostatecznością planu: czego od razu nie pojmujemy, domyślamy się, bo mamy czas“; przeciwnie „w dramacie każde słowo, każdy ruch jest znaczącym, jest ogniwkiem łańcucha, który się ciągnąć powinien bez najmniejszej przerwy“. Plan w dramacie musi być nadzwyczaj starannie obmyślany, gdyż „fałsz w charakterze, fałsz w położeniu jednej z osób odbije się wszędzie i szczegółami z największym talentem oddanemi zagładzić się nie da“. To też zwracając się do swoich rozmówców, poetów i romansistów, wołał: „O, nie uwierzycie, panowie, jak tam ciasno na tych pochyłych deskach, śród tych ścian płóciennych; jak zręcznego potrzeba woźnicy, aby ciągłym kłusem pędząc i wykręcając się w tak szczupłych szrankach, nigdzie nie zaczepił i nie wywrócił“...

Uwagi te były oczywiście wynikiem własnych doświadczeń w dziedzinie tak mało hatenczas uprawianej, za reprezentanta której w kraju, po zamilknięciu Fredry, mógł z zupełną słusznością podać samego siebie. Reprezentacya nie przychodziła mu łatwo, gdyż obok chwiejności warunków życia codziennego, nie doznawał długo najdzielniejszej zachęty, jaką dla dramaturga jest przedstawianie utworów jego na scenie.

Jeżeli pominiemy „Pelopidów“, które podobno w Warszawie były wystawione, zapewne jeszcze przed rokiem 1831, to zaszczytu przedstawienia na scenie pierwszy z utworów Korzeniowskiego dostąpił „Piąty akt“, napisany w Kijowie 1833 r.

Sztuka ta nosi na sobie cechy silnego wpływu niemieckiego, a mianowicie dramatów Lessinga, lubo w sposobie prowadzenia akcyi można tu już odczuć lekkie oddziaływanie teatru francuskiego. Z dramatami poprzedniej doby, mianowicie najdawniejszemi, łączy się węzłem powinowactwa wyraźnym, gdyż wszystkie w niej charaktery, aczkolwiek błądzą, są w gruncie najszlachetniejszemi. Zarówno Wacław, który jako sierota znaleziony na ulicy, nie zaznawszy w życiu „głosu ojca, uśmiechu matki, pieszczot siostry“, pokochał Elizę z całej duszy „przywiązaniem dziecka, przyjaźnią brata, miłością kochanka i męża“, jak i ta Eliza dobra, przywiązana do męża, kochająca go a przedewszystkiem głęboko szanująca nawet wówczas, gdy mimowolne, silniejsze od jej rozsądku uczucie wdarło się do jej serca; jak wreszcie hrabia Henryk, będący rzecznikiem potęgi namiętności i nie chcący się cofnąć od podjętego zamiaru poślubienia Elizy, dlatego że nie samby tylko cierpiał, lecz i ona także, proszący o przyjaźń męża Elizy w chwili, gdy sądzi, że się z życiem rozstaje, — wszystkie te trzy główne osoby dramatu jak i podrzędne (Doktor i służący) są ludźmi zasługującymi na spółczucie serdeczne, bo tylko siła wyższa, nieprzeparte uczucie ciągnące ku sobie Hrabiego i Elizę otworzyło przed nimi przepaść, wywołało kolizyę, której usunąć czy zażegnać było niepodobieństwem. Ta właśnie kolizya stanowi węzeł dramatyczny ściśle psychologicznej natury. Hrabia proponuje rozwód, ale Wacław, który całe uczucie swe ześrodkował w osobie żony, nie może nawet pomyśleć o takiej możliwości i wyzywa Hrabiego na pojedynek amerykański; los miał rozstrzygnąć o śmierci jednego z dwu spółzawodników. Los okazał się dla Hrabiego przychylnym, ale nie potrafił go uszczęśliwić, wola ludzka okazała się nadeń potężniejszą; Eliza chcąc dowieść, że nie myśli samolubnie korzystać ze śmierci

męża, wypija podaną sobie truciznę, a wyznając w ostatniej godzinie Henrykowi, że go kochała, powierza mu opiekę nad swemi dziećmi.

Za dużo tu jest niewątpliwie, jak na jeden akt, wstrząśnień i scen gwałtownych; widz musi być niemi ogłuszony, nie może spokojnie rozważać motywów powodujących nagłe czyny, i w końcu czuje się zmęczony i trochę zdziwiony tym zwikłanym kłębkiem uczuć, który sprawia, że Eliza pije truciznę dla zawdzięczenia mężowi ufności w jej cnotę, a wyznaje miłość Henrykowi. Psycholog nie może zaprzeczyć, żeby takie powikłanie w duszy ludzkiej nie istniało; ale krytyk estetyczny musi zrobić zarzut autorowi, że za dużo liczył na refleksyę widza a za mało się rachował z wrażeniami bezpośredniemi. Dyalog jędrny przez zbyteczne ubieganie się za zwięzłością i ciętością stając się naprężonym, lubo pod względem literackim wychodzi bez nagany, na czytelnika i widza działa przytłumiająco. Wolałoby się usłyszeć prawdziwy okrzyk namiętności, niż choćby najlepsze o niej rozumowanie; wolałoby się, żeby bohaterowie i ich służący mniej dbali o literacką poprawność stylu, a więcej głosowi serca folgowali.

Pierwsze swoje przedstawienie zawdzięczał „Piąty akt“ aktorowi Benzie, z którym Korzeniowski w długiej poufnej zostawał korespondencyi. Odbyło się ono we Lwowie r. 1836 i podobno nie zyskało zbyt wielkiego uznania wśród publiczności. Nie zniechęciło to jednak teatru lwowskiego, który dał niebawem „Dymitra i Maryę“ oraz „Piękną kobietę“. W Warszawie wystawiono „Piąty akt“ w r. 1838.

Opinie ówczesnej publiczności i krytyków znamy dość szczegółowo, dzięki Karolowi Wittemu, niegdyś uczniowi Korzeniowskiego w liceum krzemienieckiem, który właśnie w tym czasie zaczął wydawać swój „Pamiętnik sceny warszawskiej“ i z przykrością widział, że dramat jego mistrza (a w kilka lat potem teścia) nie doznał przyjęcia, na jakie zdaniem jego utwór „najznakomitszego u nas dramatycznego poety“ zasługiwał. „Obecni na przedstawieniu — opowiada on — słyszeliśmy

godne pamięci o dramacie tym wyroki, z komiczną gestykulacyą objawione; np. „To byłoby dobre na poezyą, ale nie na scenę“, albo: „Jakiś styl górny jak dla filozofów“, albo: „Ktoby to dzisiaj był tak nierozsądnym, żeby nie przyjął pół miliona za żonę, a wolał umrzeć“, lub nakoniec: „Byłoby to bardzo dobre do literatury“. Z tych zdań — mówi dalej Karol Witte — „nie chcemy nawet żadnego wyciągać wniosku; wyrzekły je usta ludzi bardzo spokojnych na sumieniu. Nie należy przecież sądzić, aby tylko same podobnie głębokie uwagi dawały się słyszeć; nie; — były bardzo gruntowne i godne pięknego dzieła, ale niestety, przeszły z ust do ust lekko a pisma ich nie powtórzyły. Wogóle uskarżano się na poezyą, że jej wiele, a oni nie lubią poezyi, mając gust czysto spekulacyjny. Zjawiło się wszakże w czasopismach kilka recenzyj, obok wielkich pochwał z uwagami w niektórych miejscach może trafnemi, lecz nie bardzo wczesnemi; wspomniano w „Kuryerze“, „Muzeum Domowem“, „Gazecie Porannej“, oddając znowu zasłużone i należne pochwały autorowi, o niezupełnem rozwinięciu dramatu. We wszystkich rozbiorach odgadywano jakąś myśl ukrytą w dramie. Jedni spodziewali się rozwinięcia kiedyś tej myśli w następnych dramatach; inni twierdzili, że jest początkiem czegoś, inni — końcem, którego początku nie znali; a wszyscy w twierdzeniach swoich zdawali się z niejakąś trwogą i skromnością przystępować do obowiązku; dotknąwszy zaś kilku scen, usuwali się w głąb jak najprędzej, zostawiając na straży i w odwodzie kilka ogólnych frazesów: piękne sceny, wyrażenia, myśli i t. p. Dlaczego tak było: czy nie mieli chęci, czy zamiaru czy humoru do zgłębienia; czy też może nie cenią poezyi, ale czyste, foremne wiersze? nie wiadomo“. Sam sprawozdawca nie dostrzegał w „Piątym akcie“ żadnych wad; wszystkie charaktery uznawał za prawdziwe, pełne naturalności, a w prowadzeniu akcyi — prawdopodobieństwo bez naciągania faktów. O Elizie wypowiedział trafne spostrzeżenie: „Ktoby chciał zarzucić niestosowność i nienaturalność jej charakteru, możeby się mylił; zdaje się, że takich kobiet z wyższem wy-

kształceniem i pięknemi zasadami, ale zawsze kobiet — codzień wiele chcący szukać znajdzie: jako żona i matka ceni honor swój i honor dzieci wyżej nad miłość dla kochanka i nad życie nawet; lecz jako kobieta nie unika sideł; pragnie zapomnieć o Henryku, gdy mogłaby była nigdy go nie mieć w swojej pamięci" („Pamiętnik sceny warszawskiej na rok 1838", str. 154—161).

Jakiekolwiek zresztą wygłaszano zdania o „Piątym akcie", zajmowano się nim przecie, a to bądź co bądź lepsze było od obojętności i milczenia, które Korzeniowskiemu wielce dolegliwe być musiały, gdy widział, że tylu młodszych od niego i wiekiem i okresem pracy autorskiej, rozgłosu już nabyło.

III.

Bezpośrednio po „Piątym akcie" napisanym dramatem, również w Kijowie, była „Dziewczyna i dama", budząca pomimo luźnej budowy, zajęcie niemałe i obfitująca w wiele żywych, rzetelnie dowcipnych dyalogów. Dwa są w nim charaktery dzielnie skreślone, wzbogacające naprawdę zasób postaci dramatycznych o realnych zarysach: Hrabiego i pani Adamowej. Hrabia to człowiek brzydki fizycznie, lecz nie moralnie. Będąc bogaczem miał sposobność poznania ludzkich słabości, stał się złośliwym szydercą, ale nie utracił całkowicie wiary w uczciwość; umie odczuć prawdziwe cierpienie i ceni honor prawdziwy. Pani Adamowa to pierwszy u Korzeniowskiego typ kokietki, igrającej uczuciami, która, zawikławszy się zarówno moralnie jak majątkowo, zmuszona jest przyjąć rękę Hrabiego i znieść niewątpliwie najwyższe upokorzenie, gdy Hrabia ukazując jej biedną ekonomównę, uwiedzioną przez panicza Kasię, która żoną milionera zostać nie chciała, powiedział do tejże: „To miejsce, któregoś ty nie przyjęła, ta pani przyjąć raczyła". Efekt to silny zapewne, ale nie mający cech prawdopodobieństwa; upokarzać żonę dopiero co poślubioną wówczas

tylko mógłby Hrabia, gdyby z nią zgoła żyć nie zamierzał. Wogóle, chociaż w tym dramacie jest dużo ruchu, a mianowicie zmian miejsca — dramatycznego napięcia jest niewiele. Akcya tu nie wypływa, jakby się po scenie początkowej, zakładu wśród lekkomyślnej młodzieży, spodziewać należało, z usiłowań Hrabiego celem ubieżenia Alfreda i Karola w otrzymaniu ręki pani Adamowej, lecz raczej jest wynikiem kapryśnego i ambitnego w zakresie podbojów miłosnych charakteru kokietki, pragnącej usidlić Karola, który swą względem niej obojętność w liście do Alfreda wyraził. Hrabia umie tylko z zawikłania, wynikłego wskutek tych projektów oraz wskutek skandalicznej sceny wyprawionej przez Alfreda w domu pani Adamowej, skorzystać i tym sposobem z owego wyzwania młodych wyjść zwycięsko. Zakończenie dramatu odpowiada początkowi: jest to konsekwencya lekkomyślnego, hulaszczego, zgorączkowanego życia. — Inne charaktery, prócz owych dwu, albo są niewyraźne, albo mało mają prawdopodobieństwa, jak np. charakter Kasi melodramatyczny, zaopatrzony w słowa pełne refleksyi i literackiej zwięzłości.

Jeszcze większy stopień efektowności, jeszcze obfitszą dozę salonowo-uszczypliwego dowciwu, ale też równocześnie jeszcze większe pochylenie się w stronę melodramatu w smaku francuskim znajdujemy w utworze, mogącym zrobić teatralne wrażenie, t. j. w „Umarłych i żywych“, napisanym w Charkowie r. 1839. Trzy pierwsze akty tego dramatu są bardzo żywo prowadzone; rozmowy nieraz — subtelnie dowcipne, szczególniej gdy przemawia poeta Fabio; charaktery silnie zarysowane i dobrze utrzymane: rozszalały namiętnością Leonardo, zimna a zręczna Dyana, drugi u Korzeniowskiego typ kokietki, nietylko już lekkomyślnej i ambitnej jak pani Adamowa, lecz nadto zbrodniczej; uczuciowy, ukształcony, utalentowany i wytworny poeta Fabio; wierny i przezorny sługa domu Gonzago, uczony lekarz-alchemik Gianozzi; a mianowicie prześliczna, jedna z najsympatyczniejszych i najlepiej narysowanych przez dramaturga kobiet Lucya, serdeczna, wyższym umysłem obda-

rzona, kochająca męża swego Leonarda namiętnie, widząca jego zaślepienie w Dyanie, robiąca delikatne i ładnie sformułowane alluzye do tego stosunku i do swego „niepotrzebnego“ życia, lecz nigdzie nie wpadająca ani w sentymentalną płaczliwość ani w patetyczną deklamacyę; cierpiąca jednem słowem z prawdziwą godnością. Scena, kiedy prosi męża, żeby jej dał lekarstwo, które tenże poczytuje za truciznę, a które Lucyi nalewa Dyana, należy niewątpliwie do szczupłej liczby tych, jakie mogą być nazwane najwyższemi pod względem dramatycznym. Późniejsze akty, w których Lucya po śnie letargicznym czuje się całkiem uspokojoną, idzie na bal maskowy wyprawiony przez Leonarda, dręczonego wyrzutami sumienia,— w których następują niespodziewane przemiany pod wpływem wyobrażenia o duchach — to już fantasmagorya, w której prawdziwość czytelnik uwierzyć jakoś nie może, poczytując ją za proste bawidełko dramatyczne.

Krytyka owoczesna, oddając należne pochwały charakterom i dyalogom, nie dopatrywała w „Umarłych i żywych“ świeżej inwencyi; wskazywano powszechnie co do uśpienia Dyany za pomocą cudownego eliksyru odpowiedni pomysł w „Romeo i Julii“; a plan „zbyt sztucznie ułożony“ nie podobał się. Końcowy frazes dramatu, gdzie powiedziano, że mąż występny może się opamiętać i powróciwszy do żony zapewnić jej szczęście i pokój, lecz że kobieta, która się zbłąka, nie ma już drogi do powrotu, — nie znalazł uznania nietylko u płci pięknej, lecz i u wielu mężczyzn, w imieniu których zaprotestował przeciwko niemu świeżo wtedy do literatury naszej wchodzący Fryd. Hen. Lewestam. „Nie wiemy — powiedział on przy końcu swej recenzyi, mówiąc o tym frazesie — czyli tu więcej dziwić się pobłażaniu, czyli nietolerancyi“; dodał atoli zaraz i to bardzo słusznie: „Tyle przynajmniej pewna, że p. Korzeniowski przy poetycznem poczęciu swego przedmiotu nie miał na myśli — idei tak prozaicznej“ („Roczniki krytyki literackiej“, r. 1842, Nr. 89).

godne pamięci o dramacie tym wyroki, z komiczną gestykulacyą objawione; np. „To byłoby dobre na poezyą, ale nie na scenę“, albo: „Jakiś styl górny jak dla filozofów“, albo: „Ktoby to dzisiaj był tak nierozsądnym, żeby nie przyjął pół miliona za żonę, a wolał umrzeć“, lub nakoniec: „Byłoby to bardzo dobre do literatury“. Z tych zdań — mówi dalej Karol Witte — „nie chcemy nawet żadnego wyciągać wniosku; wyrzekły je usta ludzi bardzo spokojnych na sumieniu. Nie należy przecież sądzić, aby tylko same podobnie głębokie uwagi dawały się słyszeć; nie; — były bardzo gruntowne i godne pięknego dzieła, ale niestety, przeszły z ust do ust lekko a pisma ich nie powtórzyły. Wogóle uskarżano się na poezyą, że jej wiele, a oni nie lubią poezyi, mając gust czysto spekulacyjny. Zjawiło się wszakże w czasopismach kilka recenzyj, obok wielkich pochwał z uwagami w niektórych miejscach może trafnemi, lecz nie bardzo wczesnemi; wspomniano w „Kuryerze“, „Muzeum Domowem“, „Gazecie Porannej“, oddając znowu zasłużone i należne pochwały autorowi, o niezupełnem rozwinięciu dramatu. We wszystkich rozbiorach odgadywano jakąś myśl ukrytą w dramie. Jedni spodziewali się rozwinięcia kiedyś tej myśli w następnych dramatach; inni twierdzili, że jest początkiem czegoś, inni — końcem, którego początku nie znali; a wszyscy w twierdzeniach swoich zdawali się z niejakąś trwogą i skromnością przystępować do obowiązku; dotknąwszy zaś kilku scen, usuwali się w głąb jak najprędzej, zostawiając na straży i w odwodzie kilka ogólnych frazesów: piękne sceny, wyrażenia, myśli i t. p. Dlaczego tak było: czy nie mieli chęci, czy zamiaru czy humoru do zgłębienia; czy też może nie cenią poezyi, ale czyste, foremne wiersze? nie wiadomo“. Sam sprawozdawca nie dostrzegał w „Piątym akcie“ żadnych wad; wszystkie charaktery uznawał za prawdziwe, pełne naturalności, a w prowadzeniu akcyi — prawdopodobieństwo bez naciągania faktów. O Elizie wypowiedział trafne spostrzeżenie: „Ktoby chciał zarzucić niestosowność i nienaturalność jej charakteru, możeby się mylił; zdaje się, że takich kobiet z wyższem wy-

kształceniem i pięknemi zasadami, ale zawsze kobiet — codzień wiele chcący szukać znajdzie: jako żona i matka ceni honor swój i honor dzieci wyżej nad miłość dla kochanka i nad życie nawet; lecz jako kobieta nie unika sideł; pragnie zapomnieć o Henryku, gdy mogłaby była nigdy go nie mieć w swojej pamięci" („Pamiętnik sceny warszawskiej na rok 1838", str. 154—161).

Jakiekolwiek zresztą wygłaszano zdania o „Piątym akcie", zajmowano się nim przecie, a to bądź co bądź lepsze było od obojętności i milczenia, które Korzeniowskiemu wielce dolegliwe być musiały, gdy widział, że tylu młodszych od niego i wiekiem i okresem pracy autorskiej, rozgłosu już nabyło.

III.

Bezpośrednio po „Piątym akcie" napisanym dramatem, również w Kijowie, była „Dziewczyna i dama", budząca pomimo luźnej budowy, zajęcie niemałe i obfitująca w wiele żywych, rzetelnie dowcipnych dyalogów. Dwa są w nim charaktery dzielnie skreślone, wzbogacające naprawdę zasób postaci dramatycznych o realnych zarysach: Hrabiego i pani Adamowej. Hrabia to człowiek brzydki fizycznie, lecz nie moralnie. Będąc bogaczem miał sposobność poznania ludzkich słabości, stał się złośliwym szydercą, ale nie utracił całkowicie wiary w uczciwość; umie odczuć prawdziwe cierpienie i ceni honor prawdziwy. Pani Adamowa to pierwszy u Korzeniowskiego typ kokietki, igrającej uczuciami, która, zawikławszy się zarówno moralnie jak majątkowo, zmuszona jest przyjąć rękę Hrabiego i znieść niewątpliwie najwyższe upokorzenie, gdy Hrabia ukazując jej biedną ekonomównę, uwiedzioną przez panicza Kasię, która żoną milionera zostać nie chciała, powiedział do tejże: „To miejsce, któregoś ty nie przyjęła, ta pani przyjąć raczyła". Efekt to silny zapewne, ale nie mający cech prawdopodobieństwa; upokarzać żonę dopiero co poślubioną wówczas

godne pamięci o dramacie tym wyroki, z komiczną gestykulacyą objawione; np. „To byłoby dobre na poezyą, ale nie na scenę“, albo: „Jakiś styl górny jak dla filozofów“, albo: „Ktoby to dzisiaj był tak nierozsądnym, żeby nie przyjął pół miliona za żonę, a wolał umrzeć“, lub nakoniec: „Byłoby to bardzo dobre do literatury“. Z tych zdań — mówi dalej Karol Witte — „nie chcemy nawet żadnego wyciągać wniosku; wyrzekły je usta ludzi bardzo spokojnych na sumieniu. Nie należy przecież sądzić, aby tylko same podobnie głębokie uwagi dawały się słyszeć; nie; — były bardzo gruntowne i godne pięknego dzieła, ale niestety, przeszły z ust do ust lekko a pisma ich nie powtórzyły. Wogóle uskarżano się na poezyą, że jej wiele, a oni nie lubią poezyi, mając gust czysto spekulacyjny. Zjawiło się wszakże w czasopismach kilka recenzyj, obok wielkich pochwał z uwagami w niektórych miejscach może trafnemi, lecz nie bardzo wczesnemi; wspomniano w „Kuryerze“, „Muzeum Domowem“, „Gazecie Porannej“, oddając znowu zasłużone i należne pochwały autorowi, o niezupełnem rozwinięciu dramatu. We wszystkich rozbiorach odgadywano jakąś myśl ukrytą w dramie. Jedni spodziewali się rozwinięcia kiedyś tej myśli w następnych dramatach; inni twierdzili, że jest początkiem czegoś, inni — końcem, którego początku nie znali; a wszyscy w twierdzeniach swoich zdawali się z niejakąś trwogą i skromnością przystępować do obowiązku; dotknąwszy zaś kilku scen, usuwali się w głąb jak najprędzej, zostawiając na straży i w odwodzie kilka ogólnych frazesów: piękne sceny, wyrażenia, myśli i t. p. Dlaczego tak było: czy nie mieli chęci, czy zamiaru czy humoru do zgłębienia; czy też może nie cenią poezyi, ale czyste, foremne wiersze? nie wiadomo“. Sam sprawozdawca nie dostrzegał w „Piątym akcie“ żadnych wad; wszystkie charaktery uznawał za prawdziwe, pełne naturalności, a w prowadzeniu akcyi — prawdopodobieństwo bez naciągania faktów. O Elizie wypowiedział trafne spostrzeżenie: „Ktoby chciał zarzucić niestosowność i nienaturalność jej charakteru, możeby się mylił; zdaje się, że takich kobiet z wyższem wy-

kształceniem i pięknemi zasadami, ale zawsze kobiet — codzień wiele chcący szukać znajdzie: jako żona i matka ceni honor swój i honor dzieci wyżej nad miłość dla kochanka i nad życie nawet; lecz jako kobieta nie unika sideł; pragnie zapomnieć o Henryku, gdy mogłaby była nigdy go nie mieć w swojej pamięci" („Pamiętnik sceny warszawskiej na rok 1838", str. 154—161).

Jakiekolwiek zresztą wygłaszano zdania o „Piątym akcie", zajmowano się nim przecie, a to bądź co bądź lepsze było od obojętności i milczenia, które Korzeniowskiemu wielce dolegliwe być musiały, gdy widział, że tylu młodszych od niego i wiekiem i okresem pracy autorskiej, rozgłosu już nabyło.

III.

Bezpośrednio po „Piątym akcie" napisanym dramatem, również w Kijowie, była „Dziewczyna i dama", budząca pomimo luźnej budowy, zajęcie niemałe i obfitująca w wiele żywych, rzetelnie dowcipnych dyalogów. Dwa są w nim charaktery dzielnie skreślone, wzbogacające naprawdę zasób postaci dramatycznych o realnych zarysach: Hrabiego i pani Adamowej. Hrabia to człowiek brzydki fizycznie, lecz nie moralnie. Będąc bogaczem miał sposobność poznania ludzkich słabości, stał się złośliwym szydercą, ale nie utracił całkowicie wiary w uczciwość; umie odczuć prawdziwe cierpienie i ceni honor prawdziwy. Pani Adamowa to pierwszy u Korzeniowskiego typ kokietki, igrającej uczuciami, która, zawikławszy się zarówno moralnie jak majątkowo, zmuszona jest przyjąć rękę Hrabiego i znieść niewątpliwie najwyższe upokorzenie, gdy Hrabia ukazując jej biedną ekonomównę, uwiedzioną przez panicza Kasię, która żoną milionera zostać nie chciała, powiedział do tejże: „To miejsce, któregoś ty nie przyjęła, ta pani przyjąć raczyła". Efekt to silny zapewne, ale nie mający cech prawdopodobieństwa; upokarzać żonę dopiero co poślubioną wówczas

wieśniaczej, która pieczy jego była powierzona. Oderwawszy od matki i kochanki, oddawszy Antosia w rekruty wbrew przepisowi prawa, przeciw któremu znalazł łatwo kłamany kruczek prawny, podrażniwszy tym sposobem w duszy górala miłującego swobodę stronę najdotkliwszą, wywołuje nieuniknione konsekwencye namiętności. Antoś staje się dezerterem, mści się krwawo na Prokopie i chroni się w góry, by pędzić życie wolne jako opryszek, w ostatecznej jedynie konieczności zabijający ludzi. Nawet gdy mu wpadł w ręce mandataryusz, to po przejściu pierwszego gniewu, widząc przed sobą drżącego nikczemnika, wypuszcza go na wolność. Dobrodziejstwo to zwiększa tylko w duszy spodlonej chęć unicestwienia dobrodzieja. Naprowadziwszy żandarmów na obóz opryszków, dokonywa zamiaru, choć doznaje znowu upokorzenia i to ze strony tych organów władzy, które wezwał na pomoc. Antoś schwytany, szlachetnem zachowaniem się budzi współczucie w komisarzu, który pragnąłby go ocalić. Prowadzony koło swej chaty, widzi zmarłą matkę i dowiaduje się, że obłąkana jego kochanka znalazła już spokój na dnie Czeremoszu, pchnięta litościwą ręką jego przyjaciela Maksyma. „Wszyscy moi są już w miejscu bezpiecznem — powiada Antoś — czas i mnie... w drogę“.

Wszystkie charaktery w dramacie są doskonale utrzymane; a rozwój zdarzeń jest prostym i naturalnym wynikiem swobodnie działających namiętności; żadnego tu naciągania, żadnego nieprawdopodobieństwa; na tem polega psychologiczna wartość utworu. Pod względem artystycznym doskonałym on zupełnie nie jest; wolelibyśmy ściślejszą cokolwiek budowę niż zbyt częste przenoszenie nas z miejsca na miejsce; wolelibyśmy w słowach Antosia więcej uczucia niż refleksyi, a w słowach obłąkanej Praksedy mniej przypomnień z Ofelii, a raczej mniej literackich upiększeń. Ale ogółem wady te zbyt są drobne w porównaniu z zaletami, ażeby mogły zaciążyć w sądzie o dramacie. Wprawdzie niektórzy oburzali się na owe słowa Antosia wyrzeczone do Maksyma, po dowiedzeniu się o pchnię-

ciu Praksedy do rzeki: „dziękuję ci, bracie“, i mówili, że „do takiej ohydy jeszcze żaden zbrodniarz francuskich dramatów nie doszedł“; lecz im można było odpowiedzieć, iż się gorszą raczej formą niż treścią, bo dla Praksedy dobrodziejstwem istotnem była śmierć, dająca zapomnienie i spokój. Słusznie też pisał z tego powodu Karol Witte: „Czyliż śmiały pomysł Maksyma, aby wydrzeć szyderstwu i pośmiewisku z boleści obłąkaną Praksedę, wydrzeć ją z jej własnych cierpień i stanu poniżającego wielkie jej miłością przepełnione serce, nie jest wznioślejszym i moralniejszym jak dozwolić (jej) tarzać się wśród bólów, nędzy, a może wzgardy? Gdzież dla niej po stracie wszystkiego lepsze, szczęśliwsze schronienie, jeżeli nie w nurtach rzeki, w przepaściach gór, które jej młodość i wiosną śmiejące się dni widziały? A z czyichże rąk dar ten miała otrzymać, jak nie z rąk przyjaciela?...“ („Biblioteka Warszawska“, 1844, t. III, 440).

Dramata, napisane przez Korzeniowskiego po „Karpackich góralach“, lubo odznaczające się niekiedy świetniejszemi scenami albo charakterami, nie dorównały im przecie jako całość. Najwydatniejszym tu jest „Andrzej Batory“. Wyborny znawca literatury dramatycznej, p. Adam Bełcikowski, starał się nawet wykazać, że w nim jako w najtrudniejszym, bo historycznym rodzaju dramatu, autor nasz stanął najwyżej [1]). Zdaje mi się jednak, że większa tylko doniosłość poruszonych w „Andrzeju Batorym“ spraw, aniżeli w innych dramatach Korzeniowskiego, oraz pewne pokrewieństwo w usposobieniu i fakturze z własnemi p. Bełcikowskiego dramatami zbyt optymistycznie patrzeć mu kazały na ten utwór, zawierający dużo myśli pięknych i ważnych, parę charakterów dobrze narysowanych, ale bynajmniej nie odznaczający się umiejętnem rozsnuciem akcyi i uwydatnieniem głównego bohatera. Istotnie daleko szczegółowsza i lepsza dramatycznie jest tu charakterystyka słabego, próż-

[1]) Zob. dzieło A. Bełcikowskiego: „Ze studyów nad literaturą polską“, Warszawa 1886, str. 576—586.

wieśniaczej, która pieczy jego była powierzona. Oderwawszy od matki i kochanki, oddawszy Antosia w rekruty wbrew przepisowi prawa, przeciw któremu znalazł łatwo kłamany kruczek prawny, podrażniwszy tym sposobem w duszy górala miłującego swobodę stronę najdotkliwszą, wywołuje nieuniknione konsekwencye namiętności. Antoś staje się dezerterem, mści się krwawo na Prokopie i chroni się w góry, by pędzić życie wolne jako opryszek, w ostatecznej jedynie konieczności zabijający ludzi. Nawet gdy mu wpadł w ręce mandataryusz, to po przejściu pierwszego gniewu, widząc przed sobą drżącego nikczemnika, wypuszcza go na wolność. Dobrodziejstwo to zwiększa tylko w duszy spodlonej chęć unicestwienia dobrodzieja. Naprowadziwszy żandarmów na obóz opryszków, dokonywa zamiaru, choć doznaje znowu upokorzenia i to ze strony tych organów władzy, które wezwał na pomoc. Antoś schwytany, szlachetnem zachowaniem się budzi współczucie w komisarzu, który pragnąłby go ocalić. Prowadzony koło swej chaty, widzi zmarłą matkę i dowiaduje się, że obłąkana jego kochanka znalazła już spokój na dnie Czeremoszu, pchnięta litościwą ręką jego przyjaciela Maksyma. „Wszyscy moi są już w miejscu bezpiecznem — powiada Antoś — czas i mnie... w drogę".

Wszystkie charaktery w dramacie są doskonale utrzymane; a rozwój zdarzeń jest prostym i naturalnym wynikiem swobodnie działających namiętności; żadnego tu naciągania, żadnego nieprawdopodobieństwa; na tem polega psychologiczna wartość utworu. Pod względem artystycznym doskonałym on zupełnie nie jest; wolelibyśmy ściślejszą cokolwiek budowę niż zbyt częste przenoszenie nas z miejsca na miejsce; wolelibyśmy w słowach Antosia więcej uczucia niż refleksyi, a w słowach obłąkanej Praksedy mniej przypomnień z Ofelii, a raczej mniej literackich upiększeń. Ale ogółem wady te zbyt są drobne w porównaniu z zaletami, ażeby mogły zaciążyć w sądzie o dramacie. Wprawdzie niektórzy oburzali się na owe słowa Antosia wyrzeczone do Maksyma, po dowiedzeniu się o pchnię-

ciu Praksedy do rzeki: „dziękuję ci, bracie“, i mówili, że „do takiej ohydy jeszcze żaden zbrodniarz francuskich dramatów nie doszedł“; lecz im można było odpowiedzieć, iż się gorszą raczej formą niż treścią, bo dla Praksedy dobrodziejstwem istotnem była śmierć, dająca zapomnienie i spokój. Słusznie też pisał z tego powodu Karol Witte: „Czyliż śmiały pomysł Maksyma, aby wydrzeć szyderstwu i pośmiewisku z boleści obłąkaną Praksedę, wydrzeć ją z jej własnych cierpień i stanu poniżającego wielkie jej miłością przepełnione serce, nie jest wznioślejszym i moralniejszym jak dozwolić (jej) tarzać się wśród bólów, nędzy, a może wzgardy? Gdzież dla niej po stracie wszystkiego lepsze, szczęśliwsze schronienie, jeżeli nie w nurtach rzeki, w przepaściach gór, które jej młodość i wiosną śmiejące się dni widziały? A z czyichże rąk dar ten miała otrzymać, jak nie z rąk przyjaciela?...“ („Biblioteka Warszawska“, 1844, t. III, 440).

Dramata, napisane przez Korzeniowskiego po „Karpackich góralach“, lubo odznaczające się niekiedy świetniejszemi scenami albo charakterami, nie dorównały im przecie jako całość. Najwydatniejszym tu jest „Andrzej Batory“. Wyborny znawca literatury dramatycznej, p. Adam Bełcikowski, starał się nawet wykazać, że w nim jako w najtrudniejszym, bo historycznym rodzaju dramatu, autor nasz stanął najwyżej [1]). Zdaje mi się jednak, że większa tylko doniosłość poruszonych w „Andrzeju Batorym“ spraw, aniżeli w innych dramatach Korzeniowskiego, oraz pewne pokrewieństwo w usposobieniu i fakturze z własnemi p. Bełcikowskiego dramatami zbyt optymistycznie patrzeć mu kazały na ten utwór, zawierający dużo myśli pięknych i ważnych, parę charakterów dobrze narysowanych, ale bynajmniej nie odznaczający się umiejętnem rozsnuciem akcyi i uwydatnieniem głównego bohatera. Istotnie daleko szczegółowsza i lepsza dramatycznie jest tu charakterystyka słabego, próż-

[1]) Zob. dzieło A. Bełcikowskiego: „Ze studyów nad literaturą polską“, Warszawa 1886, str. 576—586.

nego, kapryśnego Zygmunta, aniżeli jego brata Andrzeja, dzielnego, rozumnego i szlachetnego; właściwości bowiem pierwszego rozwinięte są w czynie, w sytuacyach; zalety zaś drugiego poznajemy przeważnie w jego mowach lub też w opowiadaniu o nim. Tragiczności istotnej trudno tu dopatrzyć; co bowiem mówi p. Bełcikowski o idei poświęcenia się Andrzeja dla kraju nawet wówczas, gdy był przekonanym, że ratować go niepodobna, jest raczej wmówionem w dramat niż rzeczywiście w nim istniejącem. Wszak sam Andrzej mówi: „Śmierci się nie lękam. Jednak śmierć *wtenczas tylko* byłaby mi miłą, gdybym miarkował, że z mogiły mojej drzewo zbawienia wyjdzie dla ojczyzny“. Nie, w losie Batorego jest jedynie wypadek dziejowy, ale tragiczności prawdziwej niema; za winę mu tragiczną poczytać ledwie ujawnioną miłość dla Maryi, żony Zygmunta, niepodobna. A i w budowie utworu są wady znaczne. Potęgującego się ruchu i zawikłania, ba, nawet jasnego obrazu sytuacyi, w której się Siedmiogród znajduje, dramat właściwemi sobie środkami nie daje. Sceny poboczne, jakoto: położenie Maryi poetycznej, szlachetnej, trochę dziecinnej; posiedzenia rady siedmiogrodzkiej bez rzeczywistej potrzeby, tylko raczej dla efektu dekoracyjnego i okazania dobrych zamiarów Andrzeja; knowania przewrotnego jezuity Kariglio i t. p. — tyle zajmują miejsca, że go na właściwy dramat brakuje; pierwsze i ostatnie sceny stanowią go naprawdę. Słusznie też twierdził krytyk „Przeglądu poznańskiego“ (r. 1846, t. III, 493—497), że dramat wykonany był wprawdzie ręką wprawną, posiadał miejsca ładne, lecz że brak mu natchnienia, brak zupełny interesu dramatycznego, że charaktery nie są w nim dostatecznie rozwinięte, a wywody historyczne zajmują miejsce przynależne „nauce serca ludzkiego“. Dykcya wreszcie rzadko kiedy bywa w „Andrzeju Batorym“ poetyczna, najczęściej chłodna, sucha, rozsądkowa.

Można się zaiste dziwić Korzeniowskiemu, że tak nierównomiernie rozdzielał piękności swego stylu pomiędzy utwory, jedne pisząc aż zanadto rozsądkowym, trzeźwym, drugie zbyt

wybujałym. Styl „Izabelli d'Ayamonte“ należy do względnie najlepszych: jest jędrny, nieraz obrazowy, lubo porównania i przenośnie bywają niekiedy trochę naciągane. I pod względem ruchu dramatycznego jest „Izabella“ o wiele wyższą od „Andrzeja“; akcya potęguje się tu prawie z każdą sceną; może tylko za wiele miejsca zajmuje gadatliwa, płocha i głupia Margerita. Idea zasadnicza utworu, to znany aforyzm sformułowany przez Schillera, że fatalne skutki złego czynu nie dadzą się naprawić. Postać Izabelli kochającej, szlachetnej, mężnej, poetycznej — prześliczna, może jako kreacya dodatniego charakteru niewieściego stanąć obok Lucyi z „Umarłych i żywych“, mając tę nad nią wyższość, iż do końca doskonale została przeprowadzona. Zepsucie wśród magnatów hiszpańskich, spodlonych dworaków, jaskrawo i naprawdę dramatycznie przedstawione. Rodrigo rozpustnik, nawrócony na dobrą drogę przez miłość do Izabelli, lepiej jest narysowany w pierwszej fazie, aniżeli w drugiej. Ojciec Izabelli don Pedro ma nieco podobieństwa do ojców z „Klary“ i „Anieli“, jest trochę papierowy; brat za to, don Fernando — zapalczywy i nierozważny, zaślepiony namiętną żądzą zemsty na Rodrigu, nie pytając o żadne wyjaśnienia, a więc przez nieporozumienie tylko, sprowadza katastrofę i osłabia ogromnie wrażenie tragiczne. Ostatnia scena, w której Rodrig, po przebiciu Izabelli zasłaniającej go przed ciosem brata, ciągle powtarza, sam się nie ruszając: czemuż jej nie ratujecie?! — psuje efekt niepożądanem wcale przez autora wywołaniem śmieszności; a przebicie się Rodriga po wypowiedzeniu patetycznych frazesów, tchnie melodramatem, teatralnością; widz wolałby już chyba, żeby rozszalały Fernand wywarł na nim zemstę, choćby dlatego, że przezeń siostra zginęła.

Bardzo żywo i bardzo dramatycznie rozwija się akcya w „Sądzie przysięgłych“, ale wątek jako wyjątkowy budzić może tylko zaciekawienie. Dwu starą nienawiścią rozdzielonych przyjaciół mieszka zawsze obok siebie, gdyż jeden z nich, William Ford, chce się pomścić za krzywdę i obrazę poniesioną

od baroneta Waltera Rowley, popędliwego, ale serdecznego człowieka. Tymczasem córka Williama, Anna, pokochała synowca baroneta, Henryka; żaden ze zwaśnionych nie chce wyjawić powodu, ale jeden i drugi stanowczo zabraniają młodym myśleć o sobie. Niechęć Williama jest dla widza przynajmniej zrozumiała; ale dlaczego baronet nie miałby pragnąć pogodzenia przez małżeństwo, tego pojąć niepodobna; musimy sobie powiedzieć: potrzebna była autorowi obustronna zaciętość, ażeby akcyę dramatyczną przeprowadzić. Z początku rzecz trzymana jest w tonie pogodnym; dużo tu humoru, wywoływanego i popędliwością baroneta i charakterystycznem zachowaniem się jego służby, wśród której intendent Salomon, ustawicznie przytaczający słowa biblii, komicznie-poważną odgrywa rolę. Dramatyczność się naprężа od chwili zabicia baroneta, o które posądzonym zostaje synowiec jego. Ten przez szlachetność, nie chcąc wplątać w sprawę kryminalną imienia Anny, z którą miał schadzkę w chwili popełnionego mordu, nie daje sądowi objaśnień w najdrażliwszych a decydujących szczegółach. Szlachetność ta przemawia do serca Williama, który sam się oskarża o zabójstwo. Dramat kończy się efektowną sceną, w której Anna, ucieszywszy się dopiero co ogłoszeniem niewinności Henryka, otrzymuje natychmiast cios bolesny, dowiadując się o zbrodni ojca.

Inne dramata z tego czasu zaledwie zasługują na tę nazwę.

„Okno na pierwszem piętrze“ ma właściwie tylko pierwszy obraz całkiem dobry i interesujący, kiedy poznajemy stosunki między mężem, żoną i kapitanem, który ma nadzieję zostania kochankiem. Drugi obraz u pasiecznika sam przez się byłby również dobrym, ale ponieważ jest wskazówką dla Hrabiego, jak ma postąpić z kochankiem żony, osłabia interes trzeciego, ostatniego obrazu, który wykonany został nie jak dramat, ale jak komedya. Niefortunna rozmowa przy zmuszaniu kapitana do wyjścia oknem („żebym ręce i nogi połamał!“ — woła kapitan, IX, 15); gburowata scena z Jakóbem dla oca-

lenia pozorów, wreszcie lękliwe, małoduszne tłómaczenie się Hrabiny zostawiają czytelnika i widza chłodnym; możnaby powiedzieć, że zimna krew Hrabiego wśród okropnej sytuacyi zmraża wrażenie; wybuch namiętności byłby niewątpliwie o wiele piękniejszy. Pomysł jednak oryginalny; a ta zasada, że dziecko ma być strażą honoru matki i odgrywać rolę niemą przy przebaczeniu żonie — była nieraz potem przez autorów naszych wyzyskiwana.

„Kasztelanowa“ jest to właściwie dyalog tylko, niezbyt żywo prowadzony, z bardzo dobrze wykonaną postacią tytułową (pisaną umyślnie dla Halpertowej), w której wyniosłość, lekceważenie niższych, wielka duma i dotkliwość na mniemane uchybienia zdają się nie dopuszczać żadnego serdeczniejszego uczucia, a przecież mu w końcu ulegają. Brat jej generał uosabia rozum, doświadczenie, postępowanie wraz z doskonalącemi się ideami. Rzecz cała wymierzona przeciwko przesądom rodowym; zwycięża je piękna, łagodna, poświęcająca się Terenia, uboga szlachcianeczka, która wyszła potajemnie za syna kasztelanowej, Władysława, i przy niewidomej spełniała obowiązki lektorki.

Dyalogiem także obszernym, pisanym prozą silną, ześrodkowaną, jest „Autorka“. Wszystkie charaktery w nim występujące są szlachetne, ale sylwetkowo przedstawione, jedynie z tej strony, która dla rozsnucia wątku jest potrzebna. Korzeniowski chciał tu wystawić, na jakie przykrości, a nawet potwarze narażał jeszcze wówczas kobietę zawód pisarski, w takiem zwłaszcza mieście jak Warszawa, „stolica plotek“. Emilia, bohaterka tytułowa, pełna talentu, wykształcenia i dowcipu, odrzucała oświadczyny Augusta, także autora, nie widząc w nim rzetelnej miłości; kiedy z powodu uwłaczających wieści o ich stosunku zdecydowała się wreszcie oddać mu rękę, od dawna go bowiem głęboko kochała, on zwrócił już swe uczucia ku jej kuzynce Klementynie, cichej, serdecznej sierocie. Dla wypróbowania ich, Emilia zażądała od Augusta spełnienia dawnych przysiąg. Klementyna, choć okropnie w rojeniach swych

zawiedziona, nic nie ma do powiedzenia; August, lubo z goryczą, gotów spełnić ofiarę. Emilia, wyższa nad oboje, łączy ich dłonie na wędrówkę życiową, a sama w pracy szukać chce ukojenia. Myśli rozumne, uczucia zacne, charaktery sympatyczne są zaletą tej sztuki, ale nie mogą jej uczynić dramatem w całem znaczeniu tego wyrazu.

Tym sposobem doszedłszy w „Karpackich góralach“ kulminacyjnego punktu w wytworzeniu dobrej całości dramatycznej, Korzeniowski w dalszych utworach nie mógł osiągnąć zharmonizowania wzmożonych sił charakterystyki, działania dramatycznego i dykcyi w jakąś całość jednolitą, lecz uwydatniał tylko oddzielnie różne strony tych zalet i wytwarzał cząstkowe piękności.

Podobne zjawisko ujrzymy i w jego komedyach.

V.

Nie znamy tak dokładnie chronologii komedyj Korzeniowskiego, jak jego dramatów; rozwój zatem jego talentu w tym kierunku ujęty być musi w rysy ogólniejsze.

Niezbyt pewne podanie głosi, jakoby autor nasz w pierwszej już dobie twórczości pisał komedye; jeżeli jednak nawet tak było, musiały to być doraźne tylko próby, które dramatûrg, zajęty myślami poważniejszemi, rychło zarzucił.

Wiadomo, że twórczość komiczna wymaga daleko większego zasobu obserwacyi aniżeli tragiczna; stąd fakt, że dobre tragedye pisywali genialni autorowie już w bardzo młodym wieku; komedye zaś bywają zazwyczaj owocem umysłów dojrzalszych. Korzeniowski wystąpił z pierwszemi znanemi nam komedyami, kiedy miał lat z górą 40.

W początkach poszedł on tą samą drogą, co w dramatach; wybierał charaktery i sytuacye ze świata obcego („Zakład“ z r. 1839), albo też konwencyonalnego, który we wszystkich krajach mniej więcej jest jednakowy („Zaręczyny aktorki“,

„Mąż i artysta“); ale daleko wcześniej niż w dramatach zwrócił się na grunt swojski, malując osoby i zwyczaje prowincyj, które poznał najlepiej (Wołyń, Podole, Ukraina) i raz wszedłszy na tę drogę, już jej nigdy nie opuszczał, gdy w dramatach, jak wiadomo, często i to z pewnem upodobaniem temata obce obrabiał.

W komedyach swoich, jakkolwiek pod względem wykonania i wartości artystycznej bardzo różnych, od razu stanął na stanowisku odmiennem od Fredrowskiego, a zbliżonem do tego, jakie zajęli komedyopisarze francuscy XIX. stulecia, od Scribe'a począwszy.

U Fredry był jeszcze typ, u Korzeniowskiego pojawił się indywidualny charakter.

Zmiana to ogromnej doniosłości, a przeprowadzenie jej w naszej komedyi stanowi jednę z największych zalet i zasług Korzeniowskiego czysto literackich. Nie był on tu twórcą samodzielnym, przejął istniejący już kierunek w piśmiennictwach obcych, ale go przystosował oryginalnie do stosunków i potrzeb naszych.

Różnica pomiędzy typem i charakterem — olbrzymia, i pociąga za sobą nader ważne wyniki w kompozycyi artystycznej. Można się sprzeczać o wartość estetyczną jednego i drugiego, ale trzeba uznać, iż cała dążność nowszej twórczości zwrócona jest ku kreacyom charakterów indywidualnych.

Typ skupia w sobie przymioty i właściwości różnych jednostek pewną namiętnością opanowanych; nie ma więc i mieć nie może odpowiedników całkowitych w rzeczywistości; owszem przez owo nadmierne częstokroć nagromadzenie cech w jednym tylko wyłącznie kierunku, staje się bardzo często nieprawdopodobnym; przyjmuje się go na mocy cichej umowy teatralnej, wybacza się mu przesadę, jaskrawość, byleby tylko był naprawdę komicznym i wywołał szczere i bujne wybuchy śmiechu. Akcya, do typu zastosowana, również nie liczy się ze ścisłemi przepisami prawdopodobieństwa, a byle była rzeczywista

werwa w jej przeprowadzeniu, nikt nie będzie sarkał na naiwne środki w wywoływaniu zawikłań.

Inaczej się rzecz ma z charakterem zindywidualizowanym. Tu cechy osobnika nie mogą być tak wybitne i jaskrawe, bo się chce widzieć całego człowieka, nietylko tę jego część, która w komedyi ma być wyzyskaną, a cały człowiek ma w sobie nie samę jedynie namiętność zasadniczą, lecz wiele, bardzo wiele podrzędnych. Otóż dać poznać te inne strony, a nie uszkodzić komizmu, który z cechy zasadniczej wypływa: to wielkie i bardzo trudne zadanie, znacznie trudniejsze, aniżeli przedstawienie typowych skąpców, zrzędów, smakoszów, oszukiwanych mężów i t. d. i t. d. Działanie takich charakterów musi być dobrze umotywowane, a wszystkie sytuacye — prawdopodobne. Subtelność w rysunku osób i położeń nie może już zazwyczaj wywołać szerokiego śmiechu, ale budzić winna uśmiech ironii lub zadowolenia. Dykcya musi być zastosowana do temperamentu, stopnia wykształcenia i nawyknień osób do komedyi wchodzących.

Posiadać dar inwencyi, obfity zasób dowcipu, fantazyę plastyczną, umiejącą tworzyć sytuacye komiczne, uczynić zadość wymaganiom prawdopodobieństwa i sztuki dramatycznej: to chyba dosyć warunków, ograniczających liczbę dobrych komedyopisarzy.

Korzeniowski nie posiadał tej nieprzebranej kopalni wesołości, jaką rozporządzał Fredro; a nie mając gwałtownych namiętności, nie mógł ich udzielić i stworzonym przez siebie postaciom; ale w ciągu życia zebrał wielki zapas trafnych obserwacyj i umiał się niemi bardzo umiejętnie, z wielkim nieraz dowcipem posługiwać; do indywidualizowania charakterów przywykł przy tworzeniu dramatów; wymagania sceny znał dobrze; natomiast z umotywowaniem szczegółów, z układem sytuacyj, z kompozycyą oraz z dyalogiem komicznym musiał dopiero odbywać próby, ażeby w nowej dla siebie sferze twórczej umieć się znaleźć.

Początkowe jego komedye, przedstawiające charaktery

indywidualne na gruncie swojskim, odznaczają się obok zalet poszczególnych w kreśleniu postaci i położeń oraz w dowcipie, trzema znamiennemi cechami: są raczej dyalogami lub szeregiem obrazów niż utworami dramatycznemi, mają bardzo wyraźny cel dydaktyczny, rozmowy w nich są zbyt często drewniane, bez polotu ni werwy.

Najsłabszą z tego szeregu jest fraszka p. n. „Panna Katarzyna w długach“, wymierzona przeciw bezmyślnemu wydawaniu pieniędzy i robieniu wszystkiego dla popisu. Brak ześrodkowania pocisków satyry, niewyraźny charakter tytułowej roli czyni tę fraszkę zupełnie mdłą dramatycznie.

„Doktór medycyny“ to satyra, niekiedy prawie karykaturalnie wykrzywiona, przeciw przesądowi szlacheckiemu o nieimaniu się pracy zawodowej, przyczem próżniacze bałagulstwo młodzieży wołyńskiej schłostane zostało surowo. Figury są tu albo bardzo ogólnikowe (Chorążyna, Pułkownik, Anna, Karol), albo jaskrawo przesadne (Marszałek powtarzający echowo słowa swojej żony, po części Marszałkowa, służący Stefan). Jedna tylko postać Podsędka, zapalonego myśliwca, dobrze scharakteryzowana — w rozmowie. Spryt dramaturgiczny autora widać w tym zwrocie, gdy Karol, który z Charkowa doktorem powrócił, nagle powiada, że próżnował, grał w karty, polował, narobił długów — i tem zyskuje sobie od razu sympatyę Podsędka i Marszałkowej..., którzy się oburzali, gdy mówił o swej nauce i chęci oddania się praktyce lekarskiej.

„Stacya pocztowa w Hulczy“ jest już trochę żywszym stylem pisana, lecz postaci w niej są również ogólnikowe z wyjątkiem oberżystki Rejci, rozsądnej, lubiącej swatać, wygadanej. Komizmu bardzo tu mało, dowcipu — trochę. Dydaktyzm na pierwszym planie; bałagulstwo młodzieży, brak czytelników książek polskich są tu przedmiotem narzekań i satyry.

W „Fabrykancie“ mamy już trochę ruchu dramatycznego, ale ten ruch oparty jeszcze na bardzo starych środkach, odpowiednich komedyi z typami, ale nie z charakterami, bo na przebieraniu się i udawaniu obcej osoby. Właściciel ziemski,

wychowaniec Krzemieńca, uroił sobie zostać przemysłowcem, zaniedbał gospodarstwo, zadłużył się, by prowadzić lichą fabrykę powozów. Brat jego żony, młody wychowaniec Berlina, ledwie stamtąd wróciwszy, dowiaduje się o tem, wykupuje jego weksle, przebiera się za Niemca, zmyśla uwiezienie żony, chcąc dać domorosłemu fabrykantowi nauczkę, która jednak nie skutkuje, jak widać z zakończenia komedyi, podobnego do zakończenia satyry Krasickiego „Pijaństwo". Autor zresztą nie jest bynajmniej przeciwnikiem przemysłowości, lecz chce, by ona istotne zyski, nie straty przynosiła, a musi powodować straty, gdy jest prowadzona przez człowieka nie znającego się fachowo na rzeczy.

I w „Starym mężu" jest akcya, lecz słabo, rozwlekle prowadzona. Pierwsza scena (w Warszawie) między młodymi wojskowymi jest doskonała, pełna żywości, charakterystyki i dowcipu; lecz z dalszym ciągiem słaby ma związek. Sceny na wsi mają charakter czysto konwersacyjny; przebieg czynności dramatycznej snuje się spokojnie, powoli, bez wstrząśnień; słudzy tylko, a zwłaszcza tęskniący do butelki Mateusz urozmaicają monotonię. Józia 18-letnia oddana w opiekę sędziemu Janikowskiemu, miła, dziecinna jeszcze, została jego żoną. Sędzia, wyczytawszy w gazetach wiadomość o swoim imienniku, podporuczniku, który widzowi przedstawia się jako bardzo mdły ideał młodzieńca, sprowadza go do swego domu, widzi z radością rozwijające się między młodymi uczucia, wyrabia rozwód i łączy ich. Pomysł ten, jak zapewnia Karol Witte, wzięty był ze zdarzenia rzeczywistego; zarzut więc naśladowania przez Korzeniowskiego komedyi francuskiej: „Une pensionnaire mariée", nie ma, jak się zdaje, żadnej podstawy. Niektórzy gorszyli się treścią. Jeden z krytyków wołał: „Biada społeczeństwu, w którem taka potworność jest podobną do prawdy! Ale czyż godzi się autorowi, co chce za moralnego uchodzić, tak wyjątkowe zdarzenie za przedmiot komedyi obierać, a bardziej jeszcze wystawić szatańską usłużność głupiego starca za wspaniałomyślną dobroduszność?" („Bibl. Warsz.",

1844, II, 126). Krytyk widocznie pominął zupełnie istotne intencye dramaturga a podstawił swoje własne i na tej dopiero podwalinie oparł zarzut przewrotnej niemoralności.

Na końcu tego szeregu, jako w nim najlepsza, ale z niego jednak nie wychodząca, zjawia się komedya „Żydzi“ (1843). Swoje wyższe nad innemi znaczenie zawdzięcza ona śmiałości krytyki społecznej, dosadności charakterystyki osób głównych i podrzędnych i żywości a barwności rozmów; lecz bynajmniej nie kompozycyi. Szachrajów z wielkopańskiego świata nazwał komedyopisarz żydami, a żyda Arona Lewe, nie fałszując jego charakteru, jako wzór dla nich postawił. Hrabia, główny przedstawiciel owego szachrajstwa, obdłużający majątek swój, swojej żony, niszczący dobra swojej wychowanicy księżniczki Zofii, twardy i nieczuły względem poddanych, korzystający nikczemnie z nieszczęścia swego dzierżawcy, nie jest oczywiście postacią komiczną, ale jest charakterem pod względem satyrycznym doskonale odmalowanym. Prezes Zadzirnowski, przyjmujący kapitaliki szlachty na 4 i 5%, a oddający własne na 10 i 15%, szczwany samolub i szalbierz, również komicznym nie jest, jak i szlachcic Brzydkiewicz, który Prezesa przeniknął i gra z nim w odkryte karty. Baron Isajewicz wykształcony, rozsądny i szlachetny wychrzta jest prawie dodatnią figurą. Księżniczka Zofia, zacna, rozumna, energiczna, a przynajmniej rezolutna, jest całkiem dodatnią. Komornik Staroświęcki, jego żona i syn reprezentują również szlachetny pierwiastek. W Aronie Lewe (którego kantor plastycznie, widocznie z natury skreślony) nastrój poważny, a nawet religijny, nie przeszkadza wcale obliczać procentów, szlachetność nie ma w sobie nic naciąganego; a owo dobrowolne ustępowanie odsetek Staroświęckiemu po 1 i $^1/_2$ w miarę nasuwających się wspomnień o dobrodziejstwach od niego odebranych, wybornie charakteryzuje przyzwyczajenie do obrotów pieniężnych, nie mogące zamilknąć nawet wśród serdecznego wzruszenia. Właściwe figury komiczne to Hrabina mówiąca z francuska i poprawiana przez Zofię, a zwłaszcza siostra Hrabiego, Szenionowa, stara ele-

gantka i kokietka, wybornie wystudyowana, chociaż komizm jej polega więcej na słowach niż na sytuacyach, które są dla niej przykre i upokarzające. W całym utworze, złożonym raczej z luźnych scen niż ze spójnie ze sobą związanych części, panuje nastrój seryo, a chociaż dowcipu tu niewiele, nie brak przecież wyrażeń nadzwyczaj trafnych i charakterystycznych, uwag rozumnych i trzeźwych, że tylko scenę w księgarni i rozmowę o trudności zawodu autorskiego dla biednych przypomnę. Myśl, żeby uboga szlachta nie pięła się na wysokie progi pańskie, nie sięgała po rękę księżniczek, za całkiem zdrową przestrogę uznać chyba wypada, chociażby motywa przez Staroświęckiego przytoczone o czci dla krwi za zabytek staroświeckiej dworszczyzny się uważało.

Po całym tym szeregu prób, stopniujących się ciągle pod względem doskonałości, nastąpiła wyborna, jako całość dramatyczna, komedya: „Panna mężatka“, pierwszy raz przedstawiona na scenie warszawskiej w r. 1844. Czem są „Karpaccy górale“ wśród dramatów Korzeniowskiego, tem jest „Panna mężatka“ wśród jego komedyj. Ani przedtem ani potem nie stworzył lepszej całości komicznej, chociaż w charakterach i sytuacyach pojedyńczych nieraz doskonalszą rzecz napisał. Ześrodkowanie wszystkich czynników komizmu: charakterów, sytuacyj, dyalogu w organiczną, z zupełnem prawdopodobieństwem i z niepospolitem życiem rozwijającą się akcyę nadaje temu utworowi tak wysokie artystyczne znaczenie. Cecylia jest jednym z najsympatyczniejszych, a wprost z życia wyrwanych charakterów niewieścich, w których uczciwość, rozum, dowcip, takt nie wyłącza ani głębszego uczucia, ani trzymanej w mierze zalotności, nadającej życiu towarzyskiemu ruch i powab. Jej ukochany Adolf, przezwany przez poczciwego Majora Fabiuszem Kunktatorem z powodu zwlekania w sprawie ożenienia się, jest człowiekiem, w którym refleksya przytłumia chwilowo popędy uczuciowe, każe mu się trzymać na ostrożności wobec zalet i wdzięków niewieścich, pobudza go do krytycznego zapatrywania się na panny na wydaniu, ostudza zapał

i hamuje pochopność do stanowczego kroku, ale w którym uczucie bynajmniej jeszcze nie zastygło i potrzebuje tylko bodźca, by wybuchnąć płomieniem. Takim bodźcem jest właśnie podstęp Cecylii, podającej się za mężatkę i stającej przed ukochanym jako owoc zakazany. Z tego podstępu wysnuwa się z wielką prawdą i konsekwencyą cały szereg sytuacyj komicznych, którym w pomoc przychodzi dowcip słowa. Podstęp ten musi być ukaranym. Fabiusz Kunktator udaje wyleczonego z miłości do Cecylii, zwierza się jej z nowym swym afektem i dręczy ją szczegółami o swym niedalekim ślubie — a te udręczania są dla widza nowem źródłem wrażeń komicznych. Poboczne figury: Major i Pułkownikowa wybornie kompletują to kółko, które sprawia nam tak wysoką przyjemność. Żaden fałszywy ton, żadna niepotrzebna lub niewczesna scena nie brużdżą w tej świetnie pomyślanej i świetnie wykonanej sztuce. Gdy była po raz pierwszy przedstawiona, szkodziła jej trochę ta okoliczność, że przed nią dawano w teatrze warszawskim komedyę z francuskiego tłómaczoną: „Panna pełnoletnia“ *(La demoiselle majeure)*, w której pomysł główny był podobny; ale dziś gdy sztuka francuska poszła w zupełne zapomnienie, „Panna mężatka“ budzi obecnie żywsze jeszcze niż dawniej zajęcie. Nie podzielimy wprawdzie zdania Karola Wittego, że była ona wtenczas „jedyną i pierwszą na scenie polskiej dotąd przedstawioną komedyą“, bo okazalibyśmy się niewdzięcznymi względem „Zemsty“ lub „Ślubów panieńskich“; ale twierdzić możemy bez obawy zaprzeczenia, iż była to pierwsza prawdziwie dobra komedya polska w nowym kierunku: malowania charakterów indywidualnych napisana, pełna świeżości, dowcipu i prawdy w przedstawieniu stosunków towarzyskich i uczuć.

A jednak, właśnie w chwili, kiedy Korzeniowski taką komedyę złożył dyrekcyi teatralnej, spotkał go dotkliwy zarzut, że w jego sztukach ani pomysłowości ani węzła dramatycznego niema. Zarzut ten był co prawda wynikiem odwetu literackiego. Aleksander hr. Przeździecki, wchodzący wtedy do

literatury, autor dramatu historycznego „Jadwiga“, jeden z opiekunów i współpracowników „Biblioteki Warszawskiej“, został w lutowym zeszycie tejże „Biblioteki“ z roku 1844 dotknięty przez Korzeniowskiego, piszącego pod pseudonimem Ambrożkiewicza, w sposób mogący podrażnić mocno miłość własną. Gdy go bowiem wśród utalentowanych pisarzów nie wymienił, ktoś ze słuchaczy wprost go zapytał: „A Przeździecki?“ — na co otrzymał odpowiedź: „Z tym panem poczekamy. *Zawcześnie zrobili mu reputacyę.* Ma zdolności, ma siły, niech biegnie; meta jeszcze przed nim“. Przeździecki nie darował i zaraz w kwietniowym zeszycie „Biblioteki“ pomieścił artykuł p. n.: „O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce ze względu na najnowsze w tym rodzaju utwory“, gdzie wyłącznie prawie zajął się Korzeniowskim, a przyznając mu zalety poetyczności i stylu, oddając pochwały szczegółowym pięknościom scen, usiłował wykazać, że nie ma on zgoła pomysłowości i żaden jego dramat nie jest prawdziwym dramatem, ale szeregiem tylko scen luźnie powiązanych.

Cios ten chybił celu, gdyż był z zanadto wielkim rozmachem wymierzony. Znalazł się w Warszawie wymowny obrońca Korzeniowskiego, Karol Witte, który z powodu przedstawienia „Fabrykanta“ i „Panny mężatki“ na scenie warszawskiej umieścił w „Bibliotece“ artykuł w zeszycie sierpniowym i zbił w nim zwycięsko zarzuty Przeździeckiego. Niebawem w październiku przybył do Warszawy sam Korzeniowski, który, korzystając z wysokiej protekcyi ks. Radziwiłłowej, zamierzał się starać o przeniesienie z Charkowa do Królestwa. Nadzwyczaj serdecznie przyjmowany przez koła literackie (u Łuszczewskich, w redakcyi „Biblioteki“ i t. d.), cieszył się z pięknych przedstawień „Panny mężatki“, którą grała Halpertowa, i doznał zadośćuczynienia, gdy Przeździecki starał się do niego zbliżyć i o przyjaźń prosić. Wyjechawszy z Warszawy, do której miał w dwa lata potem na stały pobyt powrócić, wspominał chwile pobytu w niej, jako „ważną i najmilszą epokę w swem życiu“.

W pisaniu komedyj nie ustawał. Prócz dowcipnego drobiazgu „Pośredniczka“, wymierzonego przeciw wychodzeniu z teatru przed końcem sztuki, napisał jeszcze w Charkowie „Młodą wdowę“, która ma dużo ruchu, mnóstwo ładnych rozmów, ale komizmu mało. Rzecz to zwrócona przeciw „lwicom“ i emancypantkom; wykazuje, jak łatwo narazić się można na plotki i potwarz, dopuszczając mężczyzn do poufałości i naśladując obyczaje męskie. Znudzona, kapryśna, śmiała, a nie mająca celu w życiu hrabina Strzalińska bawi się w lwicę, chociaż żartuje z tych mężczyzn, co jej na wycieczkach towarzyszą, a pragnie być owładniętą przez wolę i charakter wyższy. Takim charakterem jest rozważny, chłodny, ale kochający hrabinę pułkownik Ugorski, który z pomocą komisarza policyi, wsadzającego do kozy kuzynka Władysia, co się przebrawszy za hrabinę chciał ją skompromitować, dalej z pomocą wiadomości ogłoszonych w Kuryerku, oraz stanowczością swoją i zimną krwią ocalił jej honor i rękę pozyskał. Hrabina tylko w pierwszym i drugim akcie jest dobra; w trzecim traci swój charakter. Z osób pobocznych wybornie jest skreślona plotkarka-dewotka szambelanowa Widzińska.

Inne utwory komiczne w tym okresie napisane, już podczas pobytu w Warszawie, to „Majster i czeladnik“, „Okrężne“, „Narzeczone“, „Pierwej mama“ i „Dwaj mężowie“. Pierwszy ma dużo komizmu, niższego wprawdzie (bicie po twarzy, wymyślanie, sceny pijackie), ale jędrnego; ma dwie doskonałe figury pijaków: Szaruckiego szewca i Łykalskiego woźnego, wyborną szewcowę, prędką i energiczną ze swojem „gadaj mi zaraz“, rezolutną Basię szewcównę, wiedzącą, że matka łatwo się uspokaja przy płaczu innych, poczciwego, czułego Kasperka. Dużo tu scen podpatrzonych, dużo realizmu w sytuacyach i wyrażeniach, ale zawsze to obrazek rodzajowy raczej niż komedya. „Okrężne“ — to farsa zręcznie przeprowadzona, ale oparta na nieprawdopodobieństwie niepoznania się Feliksa na przebraniu Tekli za chłopkę. W Feliksie wyśmiane deklamatorstwo postępowców, gadających frazeologią filozofii niemieckiej o po-

trzebie zbliżenia się do ludu, otrząśnięcia się z przesądów, ale w czynie daleko pozostających od tych górnych haseł. W sposobie traktowania jest dużo rozwlekłości, brak skupienia akcyi przy dość znacznym personelu.

„Pierwej mama“ jest ładną, wesołą drobnostką, w której rezolutna, wygadana Zofia wydaje za mąż matkę, zanim sama wyjdzie za Stanisława. „Narzeczone“ są trochę podobne do „Ślubów panieńskich“ Fredry; zbyt wymagające panienki dostają naùczkę, że powinny szanować kawalerów. Środek artystyczny, użyty ku przeprowadzeniu tej nauczki, t. j. przebranie się jednego z kawalerów za groźnego a schorowanego majora, należał już wtedy do archeologii dramatycznej. Podobnież archaiczną pleśnią, przypominającą Zabłockiego, pokryta jest intryga i charaktery w farsie „Dwaj mężowie“, w której ograniczone mieszczuchy, podejrzewający swe żony, zostają przez nie przekonani, iż pomimo wszelkiej baczności potrafiłyby ich oszukać, gdyby tylko chciały.

Widocznie zajęcie się w tym czasie tworzeniem powieściowem psuło Korzeniowskiemu ześrodkowanie efektów dramatycznych.

VI.

Do pisania powieści zachęciło Korzeniowskiego powodzenie, jakiem ta gałąź piśmiennictwa cieszyć się u nas naówczas zaczęła, głównie dzięki Kraszewskiemu. Jak w komedyi, tak i tutaj musiał nasz dramaturg przez lat kilka walczyć z opornością nowej dla siebie formy; jak w komedyi, tak i tu dydaktyzm z początku zanadto występował na jaw, nie dozwalając się należycie rozwinąć pierwiastkowi czysto artystycznemu.

Z własnoręcznej notatki Korzeniowskiego wiadomo, że za najpierwszą powiastkę swoją podawał on: „Dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy“, napisaną w Kijowie r. 1837, lecz drukowaną dopiero w „Roczniku literackim“ na rok 1843. Ponieważ jednak w tej notatce niema zgoła wzmianki o „Anilce“,

to opierając się na spostrzeżeniach stylowych, wypadnie to właśnie opowiadanie poczytać za najdawniejszą dochowaną próbę pióra dramaturga i poety — w rodzaju narratorskim. Pisane jest ono t. z. prozą poetyczną, która niegdyś miała swoich zapalonych zwolenników. Słusznie zauważył już dawno Kraszewski (w „Tygodniku Petersburskim“, 1849, Nr. 42), że wszystko w tym utworze, nawet wyrażenia niektóre („co jej powiedział Książę Dymitry, tego nikt nie słyszał, tego nikt nie wie“; „a cóż się stało z Anilką? nie wiadomo“ i t. p.) przypominają poemata z 1825 roku. Dodać potrzeba, że i wybór tematu z obcych stosunków (Anilka jest córą Grecyi, książę Dymitry Wołochem, który niegdyś służył w Rosyi), przez analogię z pomysłami pierwszych dramatów i komedyj Korzeniowskiego, przemawia za tem przypuszczeniem. Próba nie była szczęśliwa; autorowi, że użyję wyrażenia Kraszewskiego, „do płomienistego obrazku zabrakło barw ognistych“.

W żadnej innej powiastce nie użył już Korzeniowski prozy poetycznej; lecz posługiwał się swym stylem jasnym, pełnym, trochę zbyt trzeźwym, choć nie pozbawionym nieraz trafnych przenośni i porównań. Wszędzie w nich przebijała się gruntowna znajomość życia ludzi żyjących w sferze mniejszego lub większego dostatku i wygody; wszędzie rysunek postaci był poprawny i dobitny. Zadanie powieściopisarza pojmował jako opowiadacza, narratora; mało więc w tych powiastkach wprowadzał rozmów, o żywość akcyi się nie troszczył, lecz lubił szeroko określać charaktery, myśli i uczucia osób. Dowcipu w nich zazwyczaj niewiele, morałów za to podostatkiem. To więc zachęca autor do życia oszczędnego, bo pszenica wciąż tania („Dobrze i to wiedzieć“), albo przedstawia i zaleca zwycięstwo rozumu i uczciwości nad namiętnością („Podziękowanie“), lub karze kaprys kobiety staropanieństwem („Po latach trzydziestu“), lub też dowodzi, że nabożeństwo odprawiane za duszę zmarłego może być wynagrodzone jakąś opieką z za grobu („Egzekwie“), albo że kobieta uwiedziona nie może już zaznać szczęścia, choćby zdołała obudzić w sercu mężczyzny

szlachetne i trwałe uczucie („Wtorek i piątek“); lub też podaje dowcipny środek wyleczenia młodej głowy z wybujałej miłości za pomocą przepisywania listów kochanka („Korrespondencya“).

Dopiero po takiem kilkoletniem przygotowaniu zdołał Korzeniowski tworzyć powieści, które trwałą w piśmiennictwie wartość zachować miały. I w nich nie zarzucił bynajmniej moralizowania; i w nich występował zawsze jako człowiek poważny, trzymający w rygorze wybuchy dobrego humoru i rozbujałej namiętności; i w nich prawie wyłącznie przebywał wśród sfer zamożnych; ale wprowadził większą żywość do opowiadania, urozmaicił je rozmowami zazwyczaj doskonale prowadzonemi, lubo niekiedy przydługiemi, uświetnił dowcipem w najlepszym pospolicie smaku, wystawił wybornie pomyślane (a raczej zaobserwowane) i konsekwentnie przeprowadzone charaktery; jednem słowem artyzmem powieści zajął się usilnie i doprowadził go do wysokiego stopnia doskonałości.

Nie wywierał Korzeniowski pojedyńczemi scenami tak bezpośredniego wrażenia jak Kraszewski, który działał głównie dobremi, świetnie nakreślonemi rysami, lecz za to zyskiwał sobie czytelnika całością utworu, umiejętnie i prawidłowo rozsnutym wątkiem powieściowym. Nie posiadał tego co Kraszewski tchnienia poetyckiego, więc też młodzieży nie entuzyazmował; lecz przemawiał do rozwagi swoim trzeźwym i wytrawnym sądem o stosunkach życia rzeczywistego.

Pierwszą powieścią, która zwróciła na siebie powszechną uwagę i zapewniła rozgłośne imię autorowi, był „Spekulant“, napisany w Charkowie 1845 (nie 1843, jak Korzeniowski sam w notatce podaje, zob. list jego do Karola Wittego z 10 lut. 1846, przytoczony przez Kazimierza Wittego w „Tyg. ilustr.“, 1888, Nr. 300), a wydrukowany po raz pierwszy w Wilnie 1846 r. Treść jego potrącała zaledwie z daleka o kwestye społeczne, a całkowicie opierała się na obrazach życia towarzyskiego, zwłaszcza zaś na dziejach serca.

August Molicki zdążył zaledwie przebyć dwie klasy w Krze-

mieńcu; gdy szkoły zostały zamknięte, nie widząc przed sobą żadnych wyższych celów, wpadł, jak znaczna część młodzieży owoczesnej, w próżniacze bałagulstwo, grał w karty, kochał się w mężatkach i wdowach nie z istotnej namiętności, ale żeby się od współtowarzyszy nie wyróżniać i mieć się czem pochwalić. Po śmierci matki spostrzegł, że majątek jego zadłużony; zaczął się więc rachować i oszczędzać; a doszedłszy do przekonania, że tylko pieniądz ma rzeczywistą w świecie dzisiejszym wartość, został samolubem, dość zresztą układnym i towarzyskim; umiał pozyskiwać sobie względy kobiet i oszukiwać przezornych nawet mężczyzn co do swej wewnętrznej wartości; szczwanym atoli spekulantem nie był, nic więc dziwnego, że mu się noga powinęła, że zatroszczył się o wcześniejszą informacyę co do przyszłego posagu panny Klary i że na oporządzenie się pożyczył sobie pocichu pieniądze należące do swego szwagra.

Pomimo tytułowej roli, nie August przecież wypełnia powieść, tylko Klara, dziewczyna ładna, rozwinięta, znająca się trochę na sztuce a bardzo — na prostej i niewinnej kokieteryi, rezolutna (przed ołtarzem odważyła się powiedzieć: nie!), uparta, lecz ostatecznie dobra pospolita natura, trafnie z rzeczywistości pochwycona. Zakochana (może zbyt nagle) w Auguście, idzie za mąż za marszałka ze względu na błagania i cierpienia matki; dopiero przekonawszy się, że spekulant nietylko okazał się nikczemnikiem, lecz nadto zgoła już o niej nie myśli, przywiązuje się do swego męża i darzy go miłością. Przejście to od wstrętu do pokochania marszałka bardzo dobrze zostało odmalowane; może niezbyt subtelnie, ale tem chyba prawdziwiej ze względu na charakter bohaterki.

Marszałek jest w całem znaczeniu tego wyrazu rozumnym i szlachetnym człowiekiem i obywatelem (lekarz utrzymywany przezeń we wsi, uczeń Franka, ma zaufanie u jego „chłopków“); nigdy nie deklamuje o swoich obowiązkach, ale je spełnia. Zarzut robiony mu przez ówczesnych postępowców, iż dba tylko o siebie, jest niesłuszny; autor nie ukazał nam

wprawdzie, jak marszałek z poddanymi postępuje, ale pozwolił wnosić, że postępuje po ludzku w granicach ówczesnej możliwości.

Inne postaci, występujące w „Spekulancie“, mają znaczenie sylwetek tylko. Chorąży, sknera wystawny, bardzo charakterystycznie mówi i rusza się; Kasper, dyabeł kulawy, znający i ostro krytykujący wszystkich, ale zacny, utrzymany jest dobrze w ciągu całej powieści. Na karykaturę zakrawa „Homer powiatowy“ pan Paweł, ale z jego powodu jest parę scen prawdziwie komicznych. Żyd Abramko, chociaż raz tylko użyty za sprężynę powieściową, wybornie został pochwycony, jako człowiek ceniący przedewszystkiem pieniądz. Najsłabszą w całym utworze postacią jest Chorążyna, którą Korzeniowski zapewne jako wzór dobrych żon mężów głupich i dobrych matek chciał wystawić, ale nie zdołał jej wznieść nad poziom pospolitości.

Wogóle w „Spekulancie“ wprowadza nas autor do świata powszedniej prozy, ani jednem uniesieniem nie wkraczając w dziedzinę poezyi, choć nawet poetę zaściankowego namalował. Do ludzi tu występujących, choć zacnych, nie przywiązujemy się, mocniejszych uderzeń serca nie doznajemy; obserwujemy ich tylko wraz z autorem, uznajemy trafność rysów po większej części; ironicznie patrzymy na tę podolską szlachtę, głupią i niezbyt uczciwą, przyjmującą u siebie takiego jak August człowieka, bo czującą w sobie skłonności podobne, którym do objawienia się potrzebna tylko odpowiednia okoliczność.

W sposobie opowiadania przeważa jeszcze cecha narracyjna; autor często i niezawsze szczęśliwie ukazuje swoję fizyognomię, wypowiadając swoje poglądy, robiąc przytyki do krytyków, przedrwiwając próżność i miłość własną swoich współbraci-pisarzów...

Bardziej dramatycznym stylem, z większą ilością rozmów a mniejszą opisów, skreślona została druga obszerniejsza powieść Korzeniowskiego: „Kollokacya“ (1847). Świat tu równie

jak w „Spekulancie“ całkiem prozaiczny, powszedni, z uboższych warstw szlacheckich przeważnie złożony. Z wyraźnem, czasami nawet aż przykrem szyderstwem maluje autor próżniactwo, głupotę, „zdartą i zszarzaną komilfowość“, niepamięć na jutro, kłótliwość, zazdrość i śmieszną pretensyonalność cząstkowych właścicieli, którzy, niestety, na małą skalę, przedstawiają cały ogół społeczeństwa szlacheckiego; obok zaś i wśród nich — dwie rodziny zupełnie odmiennego nastroju i charakteru. Prezes Zagartowski, chciwy mienia, surowy i twardy względem sąsiadów i poddanych, obłudnik mówiący ciągle o spokojnem sumieniu i używający wykrzyknika: Jezus, Marya! posługujący się wszelkiemi możliwemi środkami dla zyskania gruntów i pieniędzy, oplątuje siecią zdradzieckich usług szlachtę czaplinięcką, ażeby jej ziemię opanować. Dziwnym, ale zdarzającym się nieraz wypadkiem, córka jego Kamilla, która nie mogła nabrać zacnych skłonności ani od ojca-hipokryty, ani od matki, ładnej, zmysłowej kobietki, co ją wcześnie odumarła, ani od panny Beldeau guwernantki, zalotnej i całkiem powierzchownej, wyrobiła się przecież na dziewicę, obdarzoną „dowcipem, rozumem bystrym, sercem ognistem, prawem, pełnem nieograniczonej dobroci i najszlachetniejszych popędów“. Energiczna i śmiała, poznawszy Józefa Starzyckiego, syna jednego z właścicieli Czapliniec, i pokochawszy go całą siłą gorącego serca, pozostała wierną uczuciu swemu pomimo przeszkód stawianych przez ojca, umiała obronić Starzyckich od jego zamachów, a po jego śmierci oddała rękę ukochanemu, nagrodziwszy wprzódy krzywdy wyrządzone szlachcie czaplinieckiej przez prezesa. Postać jej sympatyczna unosi się nad całością i zasłania sobą bohatera.

Dom Starzyckich pełen jest patryarchalnej prostoty; szczególniej pięknie i znamiennie rysują się charaktery: dziadzi, staruszka zacnego lecz popędliwego, zajmującego się tokarstwem i ogrodnictwem, babci serdecznej, rozumiejącej bóle i zawody uczucia, ojca poważnego i zamyślonego, Anulki szczerej, dobrej i naiwnej. Józef zaś, bohater wątku powieściowego, jest

wprawdzie zacny i rozumny, umie uczucia swoje trzymać na wodzy, ale w dziejach miłości swojej bierną tylko odgrywa rolę.

Dobry jest epizodyczny obrazek wielkiej pani, Włodzimierzowej Podziemskiej, czytającej tylko po francusku, mówiącej do oficyalistów w trzeciej osobie, kochającej po głupiemu swego jedynaka, któremu do lat 12-tu noża do rąk wziąć nie pozwoliła i na żadne zajęcia wymagające jakiegoś natężenia (jazda konna, polowanie) nie zgadzała się. Uczucie dla Kamilli obudziło w duszy młodzieńca chęć przeistoczenia się na mężczyznę; pod kierunkiem starego instruktora wojskowego (doskonały Siodłowski!) potrafił się zreformować, nabrał sił, zdrowia i pozyskał miłość ładnej kuzynki.

Oryginalną jest postać Szlomy, który do lat 16-tu był w szkołach krzemienieckich, nauczył się nieźle mówić po polsku, przyswoił sobie maniery i wyrażenia szlachetniejsze, a choć później wskutek handlarskiego zajęcia zstąpić musiał niżej, nie zatracił jednak popędów lepszych, które wystąpiły zwłaszcza z całą siłą po śmierci prezesa, korzystającego niegdyś z jego usług i pośrednictwa. Takiego charakteru żyda żaden z naszych powieściopisarzów nigdy nie wystawił; wzięty zaś on został niewątpliwie z rzeczywistości.

Scen komicznych jest dużo, mianowicie w opisie zabaw szlachty czaplinieckiej, jej kłótni, sporów, ambicyj, posiedzeń i bójek. Szkoda tylko, że autor nie umiał ich tak ozłocić promieniami łagodnej, wyrozumiałej ironii, jak Mickiewicz swój Zaścianek w „Panu Tadeuszu“.

Do innych sfer przenosi nas Korzeniowski w „Wędrówkach Oryginała“ (1848), napisanych już po przyjeździe do Warszawy i osnutych na tle życia tutejszego, lubo z silnemi jeszcze refleksami dawniejszych spostrzeżeń z Wołynia, Podola i Ukrainy. Jako całość nie zadawalniają one wymagań artystycznych w tym stopniu, co dwie poprzednie powieści; ale w epizodach budzą o wiele żywsze zajęcie i głębiej w duszę sięgają. Jest to bowiem rzecz szkicowana tylko a nie wyrobiona; żaden charakter nie został tu rozwinięty, jak należy,

nawet Julisi, której stosunkowo najwięcej miejsca autor poświęcił.

Julisia przedstawia znowu charakter kobiecy śmiały, energiczny, pełny determinacyi, rwący się do życia samodzielnego. Bardzo ciekawe w tym względzie są jej słowa, powołujące się na przykład natury: „Kiedy skrzydła porosną młodym bocianom, rodzice wypędzają je z gniazda, bez względu na to, czy to samczyk czy samica, aby szły w świat na złe i dobre losy, i nie zalegały miejsca tam, gdzie już zmieścić się nie mogą. Jest to przestroga dla nas, bo wszędzie w naturze, w ruchu świata, we własnościach kamieni, w kształcie roślin, w barwie kwiatów, a szczególniej w życiu i instynkcie zwierząt, Bóg wyrył swoję myśl jawnie i czytelnie dla oka ludzi, których przeznaczył na to, aby go pojmowali i pojmując wychowali się sami“ (I, 320). Wobec takiej zapowiedzi, czytelnik słusznie spodziewać się może czynów ze strony odważnej kobiety. Tymczasem Julisia robi niewiele. Kroki jej samodzielności polegają na tem, że idzie za pannę do towarzystwa w bogatym domu kasztelańskiego, a główny czyn — na poświęceniu swego uczucia i uczucia zacnego Kazimierza na rzecz roznerwowanej wnuczki kasztelańskiego, Ewuni. Umie panować nad sobą, jest wogóle bardzo rozsądna, ale jej zachowanie się, gdy chce Kazimierza do małżeństwa z Ewunią nakłonić, udawanie się do jego mieszkania kawalerskiego, nie świadczą o przezorności; czytelnik uważać musi te rysy za niezgodne z charakterem Julisi i posądzić autora, że je uwydatnił tylko dla sprowadzenia katastrofy, wypędzenia z domu kasztelańskiego. Poświęcenie jej w gruncie rzeczy jest bezpłodne, gdyż Ewunia nie może być szczęśliwą, dowiedziawszy się, że mąż kochał i kocha inną.

Misternie z dziejami Julisi zespoloną jest historya jej przyrodniego brata Karola Larysza, entuzyasty-muzyka, pokochanego serdecznie przez ładną, ślicznie narysowaną Marcię, w której powab, wdzięk naturalny, naiwność łączy się cudnie z głęboką uczuciowością, uzdolniającą ją do zrozumienia człowieka wyższej sfery umysłowej. Wprowadzenie tej figury daje Korzeniow-

skiemu sposobność wyrażenia swego poglądu na sztukę i na jej stosunek do społeczeństwa. Autor bardzo ładnie i rozumnie mówi o artyzmie, ma głębokie współczucie dla artystów; karci surowo publiczność naszą za jej płochość i płytkość duchową, humorystycznie wskazuje powody niepowodzenia koncertu Karola (hrabiowie nie idą dlatego, że to swojak, obywatele dlatego, że miejsca tylko po rublu, urzędnicy — że nic jeszcze o nim nie słyszeli); ale bynajmniej nie głaszcze burzliwych lub kapryśnych aspiracyj artystycznych, zachęcając młodzież poświęcającą się sztuce do ograniczania swych potrzeb, do pracy i wytrwania. Jak wszędzie, tak i w tej kwestyi staje na stanowisku trzeźwem, dalekiem od pesymistycznego roztkliwienia Kraszewskiego nad losem wybrańców muz.

W powieści tej poruszył Korzeniowski umiejętnie głębsze warstwy duszy ludzkiej niż w którejkolwiek z poprzednich, np. miłość matki Julisi do drugiego męża, zimnego napozór, ukrywanie się jej z tą miłością przed dziećmi z pierwszego małżeństwa; dalej egzaltowaną miłość matki Ewuni, serdeczną i głęboką Marci, pełną zaparcia się — Julisi. Autor wprawdzie występuje przeciwko egzaltacyi miłosnej, dowodzi, że ona wywołuje same tylko nieszczęścia; ale umiejąc ją odmalować, przekonywał, że ją umiał odczuć i że nie poprzestawał na przyglądaniu się samym pospolitym figurom, jak mu to postępowcy zarzucali.

Niepodobna wreszcie nie wspomnieć o dwu doskonałych sylwetkach, epizodycznie do opowieści wtrąconych: o przełożonej pensyi, widzącej wszędzie intrygi przeciwko sobie, gadatliwej, podejrzliwej, lecz uczciwej, oraz o przepysznie narysowanym muzykusie, sponiewieranym i upadłym (I, 352).

Jeżeli do powyższych trzech obszerniejszych powieści dodamy jeszcze dwa krótsze opowiadania, napisane już w Warszawie: „Ksiądz Gwardyan“ i „Krzyż na stepie“, mających stylowe zalety niepowszednie, to będziemy mieli przed oczyma całkowity dorobek powieściowy Korzeniowskiego do roku 1850.

Czy dorobek ten zapewnił mu wysokie w tej gałęzi pi-

śmiennictwa uznanie? Bynajmniej. „Kollokacya“, lubo była przyjęta przez publiczność bardzo dobrze, znalazła ostrą, szyderczą krytykę, wyszłą z pod pióra tego Tyszyńskiego (w „Bibliotece Warsz.“, 1847, t. II), o którego zdanie tak bardzo się Korzeniowski przed laty dopominał. Mało kto zwrócił uwagę na to, że wychłostana w „Autorce“ krytyka jest prawie dosłownem powtórzeniem opinii Tyszyńskiego o „Kollokacyi“; dotknąć zatem musiała srodze Korzeniowskiego, kiedy uważał za potrzebne wtrącić jej gwałtowne potępienie do dramatu i umieścić ten dramat w tej samej „Bibliotece Warszawskiej“, w której się owa krytyka pojawiła. „Wędrówki Oryginała“ zostały drwiąco ocenione przez Kraszewskiego w „Tygodniku Petersburskim“ (1849, Nr. 37), a zbiór powieści pomniejszych wydanych w Wilnie 1849 r. bardzo mało co lepiej przez tegoż mistrza w tymże „Tygodniku“ (Nr. 42) osądzony. Lekko traktując powieściopisarski talent Korzeniowskiego, Kraszewski uwagi swoje zakończył radą, żeby osoby działające „niekoniecznie wybierał w tych klasach społeczeństwa, w których szuka ich zwykle“, bo „łachman, choćby go nie Murillo czarodziejskiem oblał światłem, więcej jest malowniczy od gładko wyprasowanej i wysznurowanej sukienki“, a „pisarzowi powieści potrzeba koniecznie wnijść wszędzie, zobaczyć wszystko, wszystko uczuć; — świat wielki; mamyż go w swojem kółku zamykać?“...

Korzeniowski nie poszedł za tą radą, pozostał malarzem sfer wykształconych i zyskał świetne powodzenie, ale dopiero w trzeciej dobie twórczości swojej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(1850—1863).

I.

Po stłumieniu ruchów rewolucyjnych z r. 1848 i 1849, Europa kontynentalna popadła w reakcyę polityczno-religijną, która we wszystkich dziedzinach pracy duchowej wycisnęła właściwe sobie piętno.

Zwykłemi jej objawami w czasach nowszych były: ścieśnianie nietylko swobody czynów, ale także swobody słowa, poczytywanie nauki niezależnej od teologii za niebezpieczną dla ołtarzów i tronów, protegowanie religijności, chociażby się miało wywołać tylko obłudne spełnianie form i ceremonij nakazanych przez kościół, sprzyjanie rozrywkom i zabawom, a więc i takim rodzajom literackim, które do przyjemnego przepędzenia czasu przeważnie służą, podnoszenie wreszcie znaczenia zajęć i fachów praktycznych ze szkodą teoryi i celów idealnych.

Zwykłym skutkiem takich dążności było obniżenie polotu myśli, uczucia i fantazyi, zacieśnienie sfery umysłowej do najbliższych tylko interesów i zagadnień, pewne zdemoralizowanie opinii publicznej, stępienie ostrza samodzielnego sądu, zaszczepienie w organizm społeczny warstw inteligentnych najzjadliwszej trucizny duchowej — hipokryzyi.

U nas oprócz wpływów reakcyi ogólno-europejskiej działały jeszcze wpływy, z położenia społeczeństwa wynikające i z dziejami jego związane.

Nie wdając się tu w szczegóły odnoszące się do sfery politycznej i społecznej, nakreślę tylko pokrótce zarys zmian, zaszłych na polu umysłowem.

Filozofia niezależna, głoszona przez Trentowskiego i Libelta, filozofia, która poprzednio gorąco zajmowała bystrzejszą młodzież, straciła od r. 1850 nietylko wziętość, lecz wszelkie znaczenie, ba, stała się postrachem dla ogółu, gdyż mu potrafiono wmówić, że prowadzi ona do bezbożności i zupełnego moralnego zepsucia. Na jej miejsce pojawia się odświeżona trochę scholastyka pod nazwą filozofii chrześcijańskiej lub katolickiej, tem się tylko różniącej od katechizmu, że nie była na pytania i odpowiedzi podzielona. Tyszyński, Ziemięcka, Maksymilian Jakubowski, ks. Serwatowski, Józef Gołuchowski, że mniej głośnych pominę, tworzą systemy, na zasadach religijnych oparte, i znajdują czytelników i wyznawców. Co więcej, dawniejsi szermierze obozu postępowego, walczący z ciasnotą poglądów hierologicznych, jak np. Antoni Nowosielski (poprzednio Albert Gryf), opuszczają swoję chorągiew i ostentacyjnie przechodzą do szeregu „obrońców wiary". Równocześnie z temi objawami, jako dzielne posiłki zjawiają się przekłady popularnych wykładów teologicznych ks. Gaume, ks. Guillois, ks. Schmidta i t. d., dokonywane wspólnemi siłami głośnych autorów i autorek. Do takichże posiłków teologicznych policzyć należy ogłoszoną w tym czasie w tłómaczeniu obszerną „Historyę powszechną" Cezara Cantu, napisaną w duchu klerykalnym.

Zacięte spory o arystokracyę i demokracyę ustały; żadna bowiem krańcowa myśl nie mogła teraz pozyskać liczniejszych zwolenników. Doświadczył tego Henryk hr. Rzewuski, który sądząc, że nadeszła pora na jego arystokratyczno-religijne poglądy, wystąpił z niemi bez obsłonek i omówień. Nie znalazł odgłosu najmniejszego; owszem wywołał powszechne oburzenie.

Teraz bowiem pośrednie opinie cieszyły się uznaniem, bo nie narażały nikogo i dawały możność łatwego wycofania się, jeżeliby z jakiegoś powodu okazało się to lub owo mniemanie niedogodnem. Takim pośrednim wyrazem pomiędzy arystokracyą i demokracyą była t. z. „demokracya szlachecka“. W szlachcie polskiej zaczęto widzieć ideał społeczno-narodowego rozwoju; zaczęto wielbić jej dzieje nawet w tem, co na bezwarunkowe potępienie zasługiwało, zaczęto upatrywać w niej wszystkie doskonałości wystarczające i na dziś i na jutro; zaczęto na tej podstawie wysnuwać „słowo dziejów polskich“, a autor, który pracy tej dokonał, Waleryan Wróblewski (Koronowicz), uważany był za najznakomitszego historyozofa.

Z tej czci dla zasady szlacheckiej wyniknął ciasny szowinizm, poczytujący wszystko, co nasze, za doskonałe, a przedrwiwający wszystko, co obce. Przy takiem oświetleniu nie mogły oczywiście dawniej namiętnie podejmowane kwestye: uwłaszczenia chłopów i emancypacyi kobiet, stać się przedmiotem rozpraw; załatwiono je bowiem teraz sumarycznie. Stan chłopów naszych, pod patryarchalną władzą dziedziców — powiadano — nie jest bynajmniej zły, a w porównaniu z położeniem proletaryatu europejskiego, nazwać się może szczęśliwym. Niewiasty zaś najwłaściwszem polem działania jest dom, gdyż jeżeli poza dom się wychyli, czeka ją zepsucie i zguba... Dopiero kiedy w sferach rządowych od r. 1858 poruszono sprawę włościańską, weszła ona ponownie i do rozpraw publicystycznych; a w połączeniu z nią zaczęto napowrót mówić i pisać o wyższem wykształceniu kobiet i o szerszej arenie ich działalności.

Wielcy poeci umierali jeden po drugim; a ci, co przy życiu jeszcze zostawali, nie brali żywszego udziału w ruchu literackim; stąd też tak ważna w poprzedniej dobie twórczość pozakrajowa, zachowuje w obecnej tylko polityczne swe znaczenie. Wogóle natchnienie poetów nagina się do usposobienia i stopnia wykształcenia mas, zarzuciwszy dawniejszą swą dążność podnoszenia tych mas ku sobie. Pieśniarzami popularnymi

stają się ci,. co jak najzrozumialej o rzeczach powszednich przemawiali (Wincenty Pol w drugiej fazie swej twórczości, Teofil Lenartowicz, Władysław Syrokomla). Powieść, popierana przez rozrosłe dziennikarstwo, dochodzi niebywałej wziętości, staje się koniecznym pokarmem rzesz czytelniczych, które nie tyle w nich myśli, ile przyjemności szukają. Dramat, jako rzecz za poważna, lubo ukazuje się sporadycznie, dopiero przecież pod koniec tej doby większe budzi zajęcie, które poprzednio podzielone było między powieścią i komedyą, dodatkowo zaś obrazami historycznemi, malowniczo skreślonemi (Szajnocha).

Jednem słowem, przewaga rozsądku nad entuzyazmem, obniżenie polotu myśli i fantazyi, umiarkowana temperatura uczuć, szukanie ideałów raczej w przeszłości aniżeli w przyszłości, zajęcie się powszedniemi sprawami a zaniechanie roztrząsań teoretycznych o zasadach, opieranie poglądów na religii a nie na filozofii, pewien szowinizm w uwielbieniu swojszczyzny a wyrazowem tylko po większej części potępianiu zagranicy: oto wybitne znamiona pierwszych lat sześciu doby, o której mówimy. Od roku 1856 widać już powolne zmiany, które zwiększając się z rokiem każdym, wywołują pod jej koniec ruch nowy w zakresie wszystkich dziedzin życia, ruch pod wielu względami reformatorski.

Z powyższej charakterystyki czasu wnieść już zdoła uważny czytelnik, że Korzeniowski dopiero w tej dobie mógł stanąć w pełni swego znaczenia i zająć wybitne w piśmiennictwie miejsce.

Znamionująca go od samego początku przewaga rozsądku nad zapałem, która mu nie dozwoliła zostać ani żarliwym romantykiem ani zdecydowanym demokratą pomimo pewnych w tym kierunku sympatyj; średni stopień uczuciowości, zmysł praktyczny, silne i tradycyjnie zachowywane uczucie religijne, lekceważenie zapędów filozoficznych, chętne przebywanie myślą i fantazyą w gronie sfer inteligentnych i zamożnych, usposobienie raczej przeciwne emancypacyi kobiet aniżeli jej przychylne: oto cechy umysłu i dążności, które w dobie reakcyjnej

znaleźć musiały należyte uznanie, a autorowi, umiejącemu wypowiedzieć poglądy podobne w sposób piękny i zajmujący, zapewnić miano mistrza społecznego.

Można więc powiedzieć, że Korzeniowski nie uległ wpływom doby reakcyjnej, lecz doczekał się tylko szczęśliwej chwili, w której mógł wyraźnie i jawnie, pewny uznania i poklasku, wystąpić ze swemi usposobieniami i poglądami. Stąd to pochodzi ta obfitość uwag, spostrzeżeń, nauk, dygresyj, jakie w komedyach i powieściach jego z tej pory znajdujemy; stąd ta swoboda, z jaką wobec czytelników występuje, w charakterze doradcy i nauczyciela.

Lecz i doba reakcyjna wsączyła do umysłu naszego pisarza nieco ze swych teoryj i upodobań, a jakkolwiek te dodatkowe pierwiastki nie stanowią rzeczy głównej w twórczości jego, zaznaczone jednak być muszą, jako dowód oddziaływania prądów chwilowych nawet na umysły wyrobione.

Przedtem Korzeniowski podzielał widocznie poglądy reformatorów XVIII. wieku i widział wady przodków, kiedy pisał w „Kollokacyi“: „Szał nas owionął... Wszędzie obaczysz tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie, pretensye nad naukę i talent; a stąd wszędzie wstyd, upadek, klęskę i pośmiech. To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepą i występną uważam za powiew tego ducha zemsty, któremu poruczono nas karać *za wielkie i ciężkie grzechy naszych ojców*“ (I, 252, 3).

Teraz, pod wpływem apoteozy przeszłości, a mianowicie kontuszowców z wieku XVIII., apoteozy wyśpiewywanej przez Rzewuskiego, Kaczkowskiego (jako Nieczui), Pola i innych, Korzeniowski, choć mało wogóle mówić lubił o odleglejszych czasach, tak samo przecie jak owi chwalcy występował przeciwko mniemanej filozofii, mniemanej cywilizacyi, a nawet „mniemanemu polorowi“ francuskiemu z doby „oświecenia“, powiadając, że wpływ tego oświecenia psuł obyczaje, przewracał dobre dawne stosunki (V, 5). Tak samo jak oni i Korzeniowski stawał w obronie edukacyi jezuickiej, wielbił stosunek panów

do szlachty, poczytywał fraczkowych za ludzi pozbawionych miłości kraju, a kontuszowych — za jedynych jej cnotliwych i rozumnych obrońców; na tem przeciwieństwie osnuł całą swą komedyę: „Wąsy i peruka“. I podobnie jak owi chwalcy, gdy przyszło do malowania szczegółów, mijał się i Korzeniowski z założeniem. W „Panu stolnikowiczu wołyńskim“ okazuje się, że ludzie wychowani i wykształceni według starego trybu, którzy mieli jakoby odznaczać się gorącą miłością kraju i wszelkiemi innemi cnotami, byli to pijacy, tyrani względem żon i dzieci, sypiący nahaje podwładnym dla ulżenia własnemu humorowi, krótkowidzący egoiści, którzy swój interes przed publicznym kładli, jak ów stolnik, ojciec bohatera, próżny, marzący o gwiaździe i wstędze (V, 129), oburzający się na myśl, że Wiczfiński, z którym się procesuje, może zostać posłem, choć ten człowiek ma rozum i „dobre dla rzeczypospolitej sentymenta“, a dodający przytem naiwnie czy obłudnie: „rzeczpospolita powinna iść *ante omnia*“ (V, 72).

Z takiego niekrytycznego uwielbienia dla kontuszowej przeszłości, gdzie i batogi hojnie wlepiane zdawał się uznawać za rzecz zbawienną, zaczerpnął też Korzeniowski otuchy do śmielszego i stanowczego głoszenia swoich poglądów na miłość i wogóle na wybujałe namiętności. Miłość nowszą, egzaltowaną nazwał wraz ze Stolnikowiczem „bałwochwalczą i niechrześcijańską“ (V, 75), z lekceważeniem mówił o „nierozumnym zapale kochanków“ (II, 76), a za główny warunek szczęścia każdej mężatki podał „wiarę w rozum męża“ (V, 421). Jeśli poprzednio nigdy kobieta nie była dla niego piękniejszą, „jak z igłą w ręku“ (X, 203), to teraz „nigdy ukochana kobieta nie wydaje się uczciwemu człowiekowi tak piękną i tak drogą, jak wtedy gdy się modli“ (V, 99). Świat kobiet „ogranicza się granicą ich pola; zatem ani ich myśl, ani ich serce, ani żadne najniewinniejsze z pozoru pragnienie za granicę tę wybiegać nie powinny“ (V, 421). Wszelkie namiętności gwałtowne prowadzą tylko za sobą, zdaniem Korzeniowskiego, zepsucie, upadek moralny, obłąkanie lub śmierć. Miłość rozsądna tylko, mi-

łość małżeńska jest prawą i godną szacunku. Zbyteczne jednak namyślanie się i pedantyczne określanie sobie z góry przymiotów przyszłej żony ganił i wyśmiewał („Wyprawa po żonę“).

Idealizowanie życia szlachty wiejskiej było oczywiście w związku z czcią dla przeszłości i wielbieniem spokojnego, nienamiętnego usposobienia. Zdaniem Korzeniowskiego, jak i współczesnych mu poetów i powieściopisarzy, „w żadnym zapewne narodzie stosunki wiejskiego życia i pojęcie szczęścia domowego nie wyrobiły się tak poetycznie, jak u nas pomiędzy dawniejszą szlachtą, pomiędzy tymi drobnymi właścicielami wiosek, którzy mieli rzeczywistą niezależność otwierającą pole popędom ich serca i pomysłom ich głowy, którzy byli naprawdę głowami familii nietylko swojej własnej, ale całej tej rodziny wiejskiej, mniej więcej licznej, która od nich zależała... Jeżeli próżność nie zbryzgała błotem miejskiem tego zielonego tła, na którem się ciche sceny życia wiejskiego odbywały; jeżeli pretensye do form tak nazwanego wielkiego świata i zaczerpnięte z niego sztuczne wonie nie zmieszały się z powietrzem wioski i czystości jego nie zatruły; jeżeli błyskotki, przywiezione z miasta, a z niemi pierwiastki jego zepsucia nie zastąpiły pod dachem szlacheckiego dworku prostych kwiatów polnych i nie wypędziły staroświeckich obyczajów, to łatwo sobie wyobrazić, że nigdzie nie było więcej warunków domowego szczęścia, jak tu, gdzie natura wdziękiem swym zdobiła pracę miłą i swobodną; gdzie prostota obyczajów, przestawanie na sobie i rodzinie, nieszukanie żadnej uciechy *za granicami swojego pola* okrywały tarczą swą serca od kolców próżności, przesadzania się i namiętności, lejących truciznę do kielicha życia; gdzie codzienny stosunek z niebem, dającem pogodę lub deszcz, poddawał wszystkie nadzieje pod kierunek boży; gdzie przebywanie z ludem, garnącym się do panów swych z przywiązaniem, dawało pole ich sercu, otwierało szranki ich woli i, powiększając ich koło rodzinne, powiększało zakres tych uczuć miłości i opieki, których rozkosz jest tak czystą i świętą“ (V, 419).

Że te wszystkie powaby znajdują się prawie wyłącznie tylko pod dachem dworków szlacheckich, nie zaś w pałacach magnatów, Korzeniowski bynajmniej nie tai, chociaż stanowczo się zastrzega przeciw wywyższaniu jednej klasy kosztem drugiej, gdyż pragnieniem jego jest, ażeby każda była zdrowa i cała, ponieważ każda jest częścią organiczną społeczeństwa, które inaczej zdrowem i całem być nie może. Ale w tej cząstce, co jest wyżej, powinna być jako w widoczniejszej, większa czystość i szlachetność; a gdy się w niej dostrzega więcej plam, więcej brodawek i częstszy zéz, co jej poważne oblicze oszpeca; to obowiązkiem jest obywatelskim skazy te wytknąć. Korzeniowski, starając się, jak powiada, trzeźwem okiem patrzyć na swój czas i malować go prawdziwie, z jego przymiotami i wadami, te skazy mieszkańców pałacu wytykał stale z celem wpłynięcia na skaz zniszczenie. Tym zaś, co „zaślepieni miłością własną, brodawek swych i zéza nie widzą, a co gorsza, szpetności te, lub wielkim kosztem nabyte, lub od przodków odziedziczone, mają za piękność i za przymiot, odróżniający ich od gorszej w ich mniemaniu cząstki narodu“, odpowiada, „że zamiast gniewać się na zwierciadło za to, że wierne, i na tego, co je trzyma za to, że śmiały i sumienny, lepiej jest doprawdy dobrze się sobie przypatrzyć, pozakrywać szpetne brodawki, które jeszcze zakryć można, i wyoperować sobie zéza, kiedy jest czas i sztuka łatwe na to podaje środki“ (III, 79–81).

Lecz i cnotę a poetyczność dworków szlacheckich odnosił Korzeniowski do czasów nieco dawniejszych, może do pierwszych 30-tu lat naszego stulecia. Zepsuła te cudne właściwości cywilizacya, „europejska katerynka“, według której skakać zaczęliśmy. „Dziś — głosił nasz powieściopisarz w roku 1856 — postęp czasu i nieszczęśliwe okoliczności, które nas w koło ruchu europejskiego wplątały, odpoetyzowały prawie całkiem wieś naszę i dworek szlachecki zamieniły na kamienicę. Znajdujemy dziś w nim prawie wszystko to, co przyniosła z sobą cywilizacya i zbliżenie nasze z tymi, co nas wy-

przedzili rozumem, a przed którymi daleko staliśmy sercem i obyczajami; ale też za to przed każdym niemal dworkiem takim, jak przed każdą kamienicą, płynie rynsztok, cuchnący miastem, lub gdzieś niedaleko gumna, co dawniej było tak czystem i wonnem, kurzy się komin fabryczny, co i jedno i drugie zatruwa powietrze wsi i wszelką z niej wystrasza poezyą“ (V, 420).

Szowinizm atoli, wypowiedziany w zdaniach powyższych, nie przybrał nigdy u Korzeniowskiego takich rozmiarów, jak u Kraszewskiego (w „Ładowej pieczarze“, w „Chorobach wieku“, w „Metamorfozach“); był tylko chwilowym przejawem i nie zasłaniał autorowi oczu na zalety cywilizacyi europeskiej a na wady swojskiej. Mówiąc np. o prawdziwem i czynnem zamiłowaniu sztuki za granicą a u nas, bardzo niepochlebne o miejscowych stosunkach i znawstwie wypowiedział zdanie. Gdzieindziej — mówi — amatorowie „znają się rzeczywiście, kochają sztukę nie żartem, gromadzą jej płody w swoich domach i, postawiwszy to amatorstwo niemal za cel swego życia, nabywają niejako prawa mówić prawdę tym, których pracę uszanują, talent ocenią, geniusz podziwią, a dzieło zakupią. Ale u nas byle gadać, byle się czemsiś popisać, byle cośkolwiekbądź udawać. I tak jest we wszystkiem. Próżność i aktorstwo zabija nas w sztukach, zabija w naukach i w życiu prywatnem wykrzywia i śmiesznymi czyni. Przypatrzmy się sobie dobrze, a postrzeżemy, że ten udaje artystę, a ten znawcę, ten poetę, a tamten krytyka, ten katolika, a ten gardzącego postami i modlitwą, ten pana, a ten demokratę; słowem, biedna nasza społeczność wydaje mi się czasem jak trupa prowincyonalnych komedyantów, z których każdy łże to słowem, to strojem, to miną; gdzie primadonny chwieją się pod wyskubanemi piórami i wytartym aksamitem, pierwsze role dmą się pod szychem i mitrą z kartonu; gdzie łachmany tylko prawdziwe i głód, bo każdy jest razem aktorem i publicznością, i za mizerne swe szamotanie się ani zapłaty ani oklasków nie odbiera“ (III, 175, 6).

Na wytknięciu swemu społeczeństwu chęci pozowania nie poprzestaje Korzeniowski i zapuszcza swą sondę dość głęboko, gdy bada nasze wady: „Żądza pieniędzy, które zdobyć chcemy bez pracy, a których użyć nie umiemy, gdy się zgromadzą; zastawianie się pyszne tarczą rodu, z której nie umiemy zetrzeć dawnych plam i świeżego błota; małpowanie obcych i możniejszych, które nas robi karykaturą i u drzwi naszych stawia wierzycieli; upędzanie się za zabawami i fraszkami życia, ze względu na zdrowie i obowiązki; chęć podobania się, którą nam daje próżność lub rozpusta, a nie serce i myśl o szczęściu tych, którym chcemy się podobać; lenistwo myśli, lenistwo ciała, niewiara w siebie, niewiara w świętość jakiejbądź powinności i t. d. i t. d. — to są w rzeczy samej nasze choroby, gorsze od cholery i suchot; a z których nie wyleczy nas nawet ten wielki lekarz, którego Bóg czasem na pojedyńczych ludzi i całe narody zsyła, a który nas już od lat tylu wezykatoryami i plastrami swemi okłada“ (III, 412). Do szeregu wad powyższych dodaje Korzeniowski w innem miejscu wstręt do zastanowienia i rozbioru, sprawiający, że u nas nikt nie słucha, co drugi mówi, ale swoje tylko myśli i przy swojem stoi (VII, 253); a zwłaszcza brak tego głębokiego przeświadczenia, że nieuszanowanie zasad prowadzi do występku, a słabość woli bywa często zbrodnią (VII, 255, 260). Zdrowe te jednak spostrzeżenia nie są tu i owdzie wolne od przymieszki reakcyjnej, gdy np. wbrew narzekaniu, iż mamy wstręt do rozbioru, poczytuje badanie przyczyn, ciągłe pytanie: *dlaczego* za „nieszczęśliwą chorobę natury ludzkiej“, za chorobę, „która jeszcze od czasów raju pomiędzy nami grasuje“ (II, 226).

W radach, podawanych przez siebie ku wyleczeniu chorób społecznych, Korzeniowski kładł w tym czasie nacisk na trzy głównie rzeczy: 1) na podstawę religijną w myślach, uczuciach i postępowaniu, bez bigoteryi i fanatyzmu, 2) na jasne i trzeźwe liczenie się z warunkami bytu, 3) na pracę

uczciwą i sumienną w jakimkolwiek zawodzie: urzędowym, lekarskim, artystycznym, handlowym czy rzemieślniczym.

Pod tym ostatnim względem Korzeniowski wyprzedził współczesnych sobie powieściopisarzy i opierając się na nielicznych przykładach, dawanych przez arystokracyę celem podniesienia przemysłu w kraju i przeciwdziałania przesądom rodowym, wprowadził do powieści naszej myśl, która dopiero po jego śmierci szersze znalazła zastosowanie i była nawet za nowość poczytywaną, myśl pracy organicznej. Korzeniowski nie nazwał jej wprawdzie tem mianem, które przez czas długi popularnem było i głośnem, które jej skrzydeł dodało i rozniosło po szerokich przestrzeniach kraju — lecz główniejsze znamienne jej cechy nakreślił dobitnie już na początku tej doby w „Nowych wędrówkach oryginała“; a rozsnuł szerzej i w praktyce życia jednego z bohaterów swoich upłastycznił w „Krewnych“.

Ubolewając nad „grzesznem zaparciem się siebie samych“ w wielkich rodach, przedstawił Korzeniowski w Janie Firleju dorobkiewicza-magnata, który ażeby stać się społeczeństwu pożytecznym i nie przepróżnować życia, wziął się do przemysłu i handlu, tak że mógł kupić Firlejów z przyległemi mu wsiami, założyć tam użyteczne fabryki, napełnić go rękodzielnikami, których praca i przykład podniosłyby dobry byt mieszkańców, rozwinąć przedsiębiorstwa, któreby im dały zarobek, zachęciły do trzeźwości i przemyśliwania o jutrze, zaprowadzić wszędzie szkółki wychowania i ochrony dla dzieci mieszczan i włościan, wybudować w każdej gminie stosowny do ludności szpital z małą apteką i znającym się na chorobach ludu felczerem, uporządkować drogi i mostki, urządzić gospody, aby nie były miejscem pijaństwa dla ludu, ale schronieniem podróżnych i placem trzeźwej wesołości w niedzielę i święto. Przykładem swoim i staraniem spodziewał się zachęcić każdego mieszkańca, aby ozdobił swoję siedzibę, tak jak on ozdobił swoję, aby wszyscy mieli latem cień i zieloność, pod którą odpoczęliby po całodziennym znoju. I rachował, że mu wystarczy na to

wszystko, a nawet na książki i obrazy, na kocz i wierzchowca, na smaczny obiad i dobry kielich dla miłego gościa, bo tylko próżność i próżnowanie rujnują; ale gdzie jest praca i rachunek, tam może być wygoda i ozdoba, „ale domowa, ale swoja, ale taka, jaką nam ta piękna i bogata ziemia da, a da obficie i hojnie“ (II, 136, 7; 248, 9).

To wskazówka postępowania dla szlachty bogatej, jeżeli chce zatrzymać dawniejsze swe przewodniczące znaczenie, idąc z duchem czasu i przemieniając środki zasługiwania się krajowi. Dla szlachty ubogiej podał powieściopisarz radę rozumną i zbawienną, lecz wymagającą wyrzeczenia się zakorzenionych przesądów i jęcia się pracy nie dającej rozgłosu, ale zapewniającej niezależność. Wyliczył on rozmaite dziedziny tej pracy i prawie po dzisiejszemu wykazawszy ich dobre i ujemne strony, zatrzymał się na rzemiośle, jako najpewniejszym środku zabezpieczenia sobie bytu i pożytecznego przyczyniania się do dobra ogółu, w warunkach, w których się ten ogół znajduje.

„Nie wszyscy mogą i powinni iść — pisał w r. 1856 — taką drogą, jaką zwykle teraz nasza uboga młodzież idzie. Każdy chce być urzędnikiem, a jest nas kończących szkoły daleko więcej, niźli jest urzędów, które wszystkie zapełnione są mniej więcej przez ludzi zdolnych, trzymających się swego miejsca i nie ustępujących go nikomu“ (VI, 252). Każda praca jest uczciwą, każda biegłość i postawienie się na wyższym stopniu czy w jakiej nauce, czy w sztuce, czy w handlu, czy w przemyśle, czy wreszcie w jakiem rzemiośle, da utrzymanie, nawet lepsze, niż daje urząd, i niezależność, jakiej żaden urząd nie daje wcale. Można zostać lekarzem albo prawnikiem. Zostawszy lekarzem, można być „zaraz pewnym jakiego takiego utrzymania i, przy dalszej sumiennej pracy, ciągłem doskonaleniu się, w jakim szczęśliwym przypadku, który wydobędzie z tłumu, można przyjść do imienia i do majątku“... Skończywszy znowu kursa prawne w jakim uniwersytecie, można albo „prywatnie zajmować się z korzyścią dla siebie i dla drugich, albo w sądownictwie utorować sobie prędszą drogę i zajść na-

wet daleko". Wszakże do obu tych zawodów potrzeba „nietylko zdolności i przygotowania, ale nadto osobnego usposobienia, a nadewszystko czasu i funduszów, żeby przez lat kilka utrzymać się w miejscu obcem i dalekiem", gdyż w Warszawie wówczas uniwersytetu nie było. ...„Gdzieindziej handel i przemysł przedstawia dla młodych aspirantów fortuny obszerne pole; u nas jest ciaśniej a nawet bardzo ciasno, ale jednak przebić się można. Zakładają się fabryki różnego rodzaju sukien, kortów, płócienek i płócien; powstają fabrykacye cukru z buraków, mamy Szteinkellera, mamy Ewansa, Frageta i innych. W każdym z tych zakładów młody człowiek z głową, wolą energiczną i z jakiem-takiem przygotowaniem w mechanice lub buchalteryi może się pomieścić. Wszakże i tu spotka... znaczne trudności. Naczelnicy zakładów fabrycznych wolą pomocników już gotowych, jak przygotowujących się; wolą zawsze Niemca jak Polaka. Jako sami przybysze wierzą więcej w rozum, sumienie, a szczególniej w pilność przybyszów. Naszych młodych ludzi, którzy pokończyli szkoły, boją się jako paniczów, okazujących dużo pretensyj, a mało pracowitości... Trudność ta wpływem protekcyi i głosem jakim poważnym, któremuby ci panowie uwierzyli, dałaby się przełamać; ale na to potrzeba, aby rekomendowany zapomniał o tej pretensyi, jaką u nas każdy młody umiejący cokolwiek ma, że już wie wszystko, aby nie bał poniżyć się pracą ręczną, aby się nie wahał wziąć do młota, hebla i pilnika, aby schował na samo dno kuferka swój dyplom szlachecki, swój patent klasy VII-ej gimnazyum, ale, aby się okazał gotowym robić wszystko, nie zrażał się podrzędną rolą, jaką mu, dla wypróbowania go moralnie i technicznie, dadzą, i uczył się własnemi rękami wykonać to, co teoretycznie bardzo dobrze rozumie... Taką zaś przebywszy szkołę, mając głowę do pomysłu i rękę umiejętną do wykonania go i postawienia swej myśli na nogi, można nawet u nas być pewnym dalszej karyery, a przy szczęśliwych okolicznościach nawet fortuny i wpływu na ogół przemysłowych przedsiębiorców i samych przedsięwzięć. W Anglii tym sposo-

bem kształcą się inżynierowie, mechanicy, naczelnicy owych niezliczonych fabryk i zakładów, które konsumują i wydają miliony“ (VI, 112—115).

Radami rozumnego hr. Adama S. wsparty, doświadczywszy trudności w zawodzie urzędniczym, decyduje się zostać stolarzem Ignacy Zabużski, zabezpiecza dla siebie i innych utrzymanie, dobrobyt i szczęście, i sam na sobie daje przykład, iż warto przez parę lat ukorzyć młodą i hardą głowę, żeby „tym sposobem zapewnić sobie niezależność i przy jakichbądź okolicznościach być panem swojej przyszłości i stać na własnych nogach“ (VI, 116).

Czytając te wywody i przestrogi, mimowoli przypominamy sobie położenie obecne młodzieży, i uznać musimy trafność wskazówek danych przez Korzeniowskiego przed trzydziestu pięciu jeszcze laty.

II.

Dla wypowiedzenia swych pomysłów używał Korzeniowski teraz przeważnie tej ulubionej owemu czasowi formy, która stanowi jego wybitną charakterystykę; poszedł nawet dalej w określeniu jej uprawnienia, niż którykolwiek ze współczesnych mu pisarzy. Zauważywszy bowiem, że w owej dobie dramat i powieść były jedynemi rodzajami poezyi, „które czas, zmiana wyobrażeń o literaturze i stanie społeczności, a szczególnie powódź dziennikarstwa od zagłady ocaliły“, nie wahał się, wywracając całą dawniejszą poetykę, nawet swoję własną, przepowiadać, że „powieść, nieznana prawie w starożytności, długo poniewierana jako najpośledniejszy z rodzajów, zamknie w sobie z czasem wszystkie elementa poezyi, a nawet dramat zagłuszy i wyruguje“. Ten przypuszczalny jej rozrost przyszły przypisywał jej formie, pełnej swobody, elastycznej i wszystko w sobie mieszczącej. „Dramat — powiadał — zmuszony rozwijać się w oczach widzów, pozbawiony pomocy opowiadania,

licząc tylko na teraźniejszą chwilę i posuwając swoję treść jedynie przez rozmowę, porusza się w takiej ciasnocie, tak związany jest niedoskonałym mechanizmem sceny i jednostajnemi postaciami aktorów, że nie będzie mógł wyrazić tego wszystkiego, co wyraża i ogarnia powieść. Ustąpi więc miejsca swojej młodszej towarzyszce, pełnej życia, pełnej sił, swobodnej w swoich ruchach, i ani miejscem, ani czasem nie skrępowanej. Przewaga tej powieści nad dramatem już się nawet zaczęła i szybko postępuje. Stąd wszystkie prawie teatra europejskie przestają coraz bardziej być pokarmem dla myśli i uczucia, wyrzekają się coraz dobrowolniej wymownego i poważnego słowa, zamieniając się na miejsce zabawy dla oka i ucha — czemu też wkrótce zapewnie wyłącznie poświęcone zostaną" (II, 327—329).

Mając tak wysokie wyobrażenie o przyszłości powieści, stawał Korzeniowski nieraz w jej obronie. Kiedy Kraszewski, pobudzony przez krytykę A. Nowosielskiego a zirytowany tłumem naśladowców swoich, którzy feljetony dzienników owoczesnych niedowarzonemi utworami zapełniali, sarknął w r. 1854 głośno w „Gazecie Warszawskiej" na zużycie formy powieściowej i powoływał do wynalezienia nowej — Korzeniowski odpowiedział na to sarknięcie pięknym wierszem w tejże „Gazecie" (Nr. 271) pomieszczonym, utrzymując, że nie tyle o formę, ile o treść świeżą i piękną chodzić powinno:

Chcecie formę odmienną w nowej dać budowie?
Nudzicie się jak wyschłe przesytem panięta?
To nowe jest nie w formie, lecz w sercu i głowie;
Każda forma jest dobra, gdy życiem natchnięta.

„Znać ludzi, kochać ludzi — oto sekret cały" zajęcia czytelników i powodzenia autora. Kraszewski nie odstępował od swego twierdzenia i w nowym liście do „Gazety Warszawskiej" (r. 1855, Nr. 60) uskarżał się, że wszystkie powieści nasze są na jedno niemal kopyto zrobione, że to waryacye na jeden temat, niekiedy z talentem pomyślane, odgrywane prześlicznie,

ale ostatecznie męczące i nudne. „Potrzeba być nowym — wołał — nawet napisawszy *Kollokacyę* i *Tadeusza Bezimiennego*, a tem bardziej gdy się ich nie napisało. Druga *Kollokacya*, drugi *Tadeusz* muszą być już słabsze, a cudze odbitki tych pierwotworów będą wyglądać jak kompozycye sławnych malarzy, litografowane na chustkach od nosa".

To domaganie się nowości zaczęli powtarzać inni literaci, a najmocniej może Nowosielski, uważający siebie za istotnego inicyatora kwestyi. Wychwalając Kraszewskiego, a ubocznie rzucając przygryzki Korzeniowskiemu, pisał w „Dzienniku Warszawskim": „Potrzeba wieszcza, któryby mocnem uderzeniem w skałę wywiódł z niej żywe źródło interesu, coby stworzył *nowe, świeże* wpośród starego, odwiecznego, zużytego materyału. Pod grubą powłoką rudy fenomenalnego świata kryją się głębokie żyły jasnego, drogiego metalu; potrzeba tylko umieć dokopać się do tej miny, do tych bogactw moralnych. Kiedy grunt zjałowiał i nie chce już wydawać chleba, potrzeba go głębiej przeorać; kiedy morze ciche, gładkie, spokojne, któż się pod niem spodziewa niezgłębionej bezdni, strasznych, nieznurtowanych tajemnic przyrodzenia? I życie nasze jest oceanem niezgłębionym. Mówicie, że żywot ludzki zastygł w kamiennej skorupie, ale w tym kamieniu jest ogień ukryty i do sztuki-to należy wskrzesić go, wskrzesić życie, wyprowadzić owo cudowne, tajemnicze światło, ten promień idei, którym tak uroczo oświecają się postacie i grupy ludzi, szykując się w jeden, wielkiego moralnego znaczenia obraz" (Zob. „Pisma krytyczno-filozoficzne A. Nowosielskiego", r. 1857, Wilno, t. II, str. 98).

Korzeniowski już się nie mieszał do dalszych sporów, przypatrywał się tylko szermierce piór, które zaczęły poniewierać powieść i powieściopisarzy, i dostrzegał, że „w tym chórze wrzaskliwym, w którym się znajdowali pseudo-wieszcze, kuglarze rymotwórstwa, mniemani historycy i archeolodzy, a przedewszystkiem krytycy z profesyi, najgłośniej hałasowali ci, którzy raz i drugi sparzyli sobie palce, spróbowawszy

także sił swoich w tym rodzaju i, przekonawszy się, że łatwiej im będzie nazywać powieść śmieciem literatury, niż napisać taką, którąby ktokolwiek chciał i mógł przeczytać do końca“ (VII, 251).

Wszystkie te rozprawy o formie powieści nie wydały natenczas żadnego praktycznego wyniku. Może nie będzie bez interesu spostrzeżenie, że właśnie w chwili, gdy we Francyi wykluwał się kierunek naturalistyczny w romansach Flauberta i Goncourtów, u nas teoretycy albo pragnęli większego idealizowania materyału wziętego z obserwacyi, albo wołali o kunsztowniejszą kompozycyę w powieści, albo chcieli mieć silniej jeszcze niż doówczas zaznaczony cel, tendencyę utworów.

Korzeniowski nie zmienił w gruncie rzeczy swojego sposobu pisania, wprowadził tylko do swych powieści większą ilość uwag i poglądów na różne nastręczające się okolicznościowo zagadnienia artystyczne lub społeczne, opisy charakterów i miejsc albo rozszerzał, albo przeciwnie całkowicie je wypuszczał, samemi jedynie rozmowami i rozwojem akcyi wypełniając ramy nakreślonego przez się obrazu życia towarzyskiego. Temat obmyślał zazwyczaj starannie i artystycznie, stawiając przed swą wyobraźnią wszystkie postacie, które miał wprowadzić do działania, przypatrując się ich rysom, wyrazowi ich twarzy, ich giestom, ich zwykłemu ubiorowi, przysłuchując się ich głosowi, śledząc nałogowe ich wyrażenia i szukając w powierzchowności odbicia ich myśli i charakteru, słowem usiłując dokładnie poznać się z każdą, aby ich słowa, ruchy i czynności miały wszystkie cechy prawdy i natury (VII, 251).

Przy takim trybie tworzenia postaci, przy talencie plastycznym, który posiadał w wysokim stopniu, cała zewnętrzna strona jego osób powieściowych musiała być bez zarzutu; nigdzie tu nie można zauważyć rysów z sobą sprzecznych, lub zacierających się wzajem, nigdzie niedbalstwa ani zapomnienia, wskutek którego barwa włosów lub oczu, postawa, sposób mówienia uległyby niezamierzonej i niepożądanej zmianie; owszem zgodnemi są szczegóły z podanem przez autora określeniem;

figury stają przed nami żywe, pełne, sobie wierne. I pod względem wewnętrznym jest autor konsekwentnym w przeprowadzeniu charakterystyki swego personelu powieściowego: dowcip znamionuje istotnie ludzi przedstawionych nam jako dowcipnych, przebiegłość — szczwanych lisów, zręczność — kokietki; powaga, rozum i doświadczenie — tych, których powieściopisarz wybrał za rzeczników swej myśli; energia, śmiałość i przedsiębiorczość — tych, którzy rozpoczynając zawód życiowy, mają go przebiedz z powodzeniem, zapewnić szczęście sobie i innym. Personel ten licznym nie jest; role są tu nieraz dublowane; Korzeniowski nie zapuszcza się nigdy ani w głębie duszy ludzkiej, ani w tajniki nędzy; najwyższym szczeblem duchowym, do którego osoby jego się wznoszą, to artyzm, ale artyzm spokojny, rozważny, trzeźwy, t. j. taki, jaki znamionował samego twórcę.

Pod względem kompozycyi, można wśród powieści Korzeniowskiego z tego czasu wyróżnić dwie kategorye: niedokończone, czy zbyt gwałtownie przerwane, oraz harmonijnie rozwijające wątek.

Dlaczego autor nasz, tak delikatne pod względem roboty artystycznej mający poczucie, łamał swe utwory, niepodobna się domyśleć. Największą mianowicie zagadkę stanowią, co do budowy swej, dwie powieści, a raczej dwa opowiadania: „Pan Stolnikowicz wołyński“ i „Szczęście za górami“.

„Pan Stolnikowicz wołyński“, jedyna próba Korzeniowskiego w rodzaju opowiadań historycznych, jest raczej szeregiem luźnych obrazów: domu Olszańskich, kontraktów dubieńskich, gdzie prócz graczów i balujących, występują wyraźniej Adam Poniński i Prot Potocki (przezywany „żydkiem“) brzydki, z piękną swą żoną Lubomirską z domu, która po bankructwie męża zaraz go opuściła, — a dalej: imienin w Haliczanach u podczaszostwa Czapliców, których córka Teklunia, dobre, serdeczne, po staropolsku wychowane, a więc bezwarunkowo rodzicom posłuszne dziewczę, pokochana pokochała Benedykta Olszańskiego, stolnikowicza, i z niechęcią przyjmowała kon-

kury zgrabnego, ale podrujnowanego kawalera, Jana Brzeskiego, łowczego trembowelskiego; — wreszcie dworu wojewody Józefa Stępkowskiego. Epizodycznie wprowadzona tu jeszcze została jowialna figura rejenta Kalasantego Korzeniowskiego, trochę garbatego, z głową prawie kwadratową, z konceptami dość naciąganemi, z których jednakże, będąc pod dobrą datą, śmiać się było można. Opowiadanie wlecze się ociężale, mało posiadając rysów znamiennych; najlepiej stosunkowo opisana scena popisów z ujeżdżaniem nieposkromionego araba na imieninach w Haliczanach (V, 103—105). Urywa się ono w najciekawszem miejscu; co miało stanowić wyjaśnienie upadku bohatera pod względem moralnym i materyalnym, Korzeniowski przemilczał, tak że całość opowieści, którąby musiała nabrać więcej życia przy opisie przejść Benedykta Olszańskiego w stosunku do Tekluni, jej ojca, oraz Jana Brzeskiego, wydać się musi jako wstęp, jako przygotowanie do czegoś, co zgoła wykonanem nie zostało.

Zupełnie taką samą wadę widzimy w „Szczęściu za górami". Jest to rzecz, będąca wynikiem prądu uwielbienia dla szlachetczyzny i życia wiejskiego. Autor pragnąłby wszystkie życzenia i dążenia ludzi zawrzeć w granicach domu i rodziny, jakkolwiek (zapewne pod wpływem powieści Kaczkowskiego) bardzo sympatycznie odmalował dwu legionistów: Cypryana i Zacharyasza, którzy 15 lat poza krajem walczyli dla wielkiej i świętej idei. Syn Cypryana, Józef, od dzieciństwa przeznaczony Regince, córce Zacharyasza, okazywał wstręt do zwykłych zajęć wiejskich a gonił myślami mary wyobraźni, rwał się do książek i szerszego świata; nie żadna jednak wielka idea tam go ciągnęła, tylko prześliczna twarz kobiety, którą ujrzał przypadkiem, będąc w ostatniej klasie gimnazyalnej w Kielcach. Poleciał za nią do Warszawy, przekonał się, że to była znana tancerka Karolcia P., mająca roje wielbicieli. Nie zraził się tem, porwany wichrem namiętności, szalał za nią przez trzy lata, znękany wrócił na pogrzeb ojca i został zakonnikiem. Autor zrobił przykrą niespodziankę czytelnikom;

opisawszy szeroko i nudnie zwykłe stosunki wiejskie i ludzi zacnych wprawdzie, ale bardzo powszednich, zrobił przygotowanie do obrazu życia szalonego w Warszawie i... urwał, tłómacząc się, że pamiętnika bohatera odnaleźć nie zdołał; fakt przemiany Józia został zaznaczony, ale psychologicznie całkiem niewyjaśniony. Charaktery w tej opowieści nie mają ani cząstki tej wybitności, jaką się odznaczają w innych utworach Korzeniowskiego. Epizodycznie wprowadzony dziwak-mizantrop zaledwie został naszkicowany. Równie epizodyczny improwizator starej daty, to słaba kopia Radziwiłła Panie Kochanku; koncepta przezeń opowiadane są w duchu staropolskim, ale sztuki w odtworzeniu łgarstw niewiele. Wogóle w bardzo wielu miejscach tyle jest niezdarności i niepoprawności, że nieraz budzi się w umyśle krytycznym wątpliwość, czy wszystko w „Szczęściu za górami“ wyszło z pod pióra Korzeniowskiego...

Lużnością wielką układu, albo jego nieprawidłowością nacechowane są dwa utwory: „Wyprawa po żonę“ i „Nowe wędrówki oryginała“.

W „Wyprawie po żonę“, częścią w krotochwilnym, częścią w poważnym tonie trzymanej, Korzeniowski dał szereg obrazków i opowiadań, przedstawiających rozmaite ustosunkowanie się temperamentów i charakterów niewieścich a męskich, łącząc je dowolnie nicią uogólniającą poszukiwania żony przez zamożnego obywatela Ksawerego Wymysłowskiego, który sobie ułożył rodzaj kodeksu, składającego się z 15-tu paragrafów, określających warunki wybrania przyszłej towarzyszki życia. Autor jest niewątpliwie przekonany o słuszności wielu z tych paragrafów, ale drwi z chęci systematycznego według nich postępowania i wykazuje w końcu zawód zupełny bohatera, który się przekonał, że kodeks jego na nic się nie zdał. Z licznych wprowadzonych tu osób najlepiej i najsympatyczniej wykonaną jest postać doletniej już panny Kamilli, poetycznej, uczuciowej, a rozumnej i doświadczonej, która pomimo silnej dla Ksawerego miłości, wyrzeka się ofiarowanej sobie ręki, dlatego, że nie byli do siebie dobrani ani wiekiem, ani przeszłością.

„Dziś — pisała do Ksawerego — sztucznym obrzuciłeś mnie kwiatem, dziś promień miłości twej, który spadł na mnie niespodziewanie, daje mi barwy, które cieszą twoje oko, wydobywa z serca mego tę świeżość i wonie, które cię odurzają i poją; ale wkrótce cofnąłbyś się przerażony, spostrzegłszy może ze wstrętem, że w ręku twym jest tylko zeschła łodyga: bo daremnie, daremnie, mój drogi, kochająca ręka zdobi mogiłę murawą, obsadza ją zielonym i kwitnącym krzewem; krzyż znajdzie się tam zawsze, wyciągnie swe ramiona z pomiędzy listków i kwiatów i powie każdemu, że pod tą zielonością jest tylko proch, że pod różami są tylko popioły“ (V, 344, 5).

Cel „Nowych wędrówek oryginała“, to wskazanie strasznych wyników, do których prowadzi bogactwo, lekko nabyte, niezapracowane. Użył autor ku przeprowadzeniu go dźwigni fantastycznej, wprowadzając Twardowskiego, który znudzony swojem zawieszeniem między niebem i ziemią, uprosił Lucypera, by mógł zejść do kraju rodzinnego i pokusami, nie przemocą, wieść ludzi do złego. Kilka jego sztuczek w tej mierze przedstawił epizodycznie, dla przestrogi bohaterki, pięknej kokietki Heleny hr. Tumierskiej, główną zaś uczynił przedmiotem opowiadania; miało nią być rzucenie Gabryela, syna szlachcianki, która wyszła za ukształconego chłopa, w świat rozpusty i marnotrawstwa. Udaje się ta sztuka Twardowskiemu — w połowie tylko. Gabryel, wychowany w największej czystości obyczajów, zapomina o swoich najbliższych, kształci się na salonowca i lekkoducha, żyje hucznie wraz z Heleną, ale szczęścia nie doznaje i w końcu zwraca się do pracy w dobrach znakomitego obywatela Firleja, który „zrozumiawszy swój czas“, stara się podniesieniem rolnictwa, rzemiosł i przemysłu zasłużyć się krajowi, gdy inne sposoby zasługi zostały odjęte. Korzeniowski zapewne sądził, że obsłonki fantastyczne poetyczniejsze będą od obrazów życia realnego; ale się omylił; utwór jego nie znalazł wielkiego rozgłosu, tylko zadziwił. Potrzeba mieć bardzo lotną i bardzo giętką wyobraźnię, ażeby światem fantastycznym w dziełach artyzmu efektownie się po-

sługiwać, a imaginacya Korzeniowskiego była dość ociężała i nie mogła się nałamać do tych lekkich, swobodnych przeskoków, jakich wątek wymagał. To też osnowa powieści urywa się nieraz najniewłaściwiej i potem sztukuje przez dopowiadanie tego, co powinno być odmalowanem; podrzędne rzeczy bywają często ze szkodą głównych szerzej rozwinięte, a psychologia wogóle zaniedbana, tak że ludzi, a zwłaszcza motywa ich czynności poznajemy bardzo powierzchownie i pobieżnie. Osoby niektóre daleko lepiej przedstawiają się w określeniach autora (zacna matka Gabryela, Anastazya, skłonna do widzeń, wzorowy kapłan Pilecki, czynny obywatel Firlej, chłop wykształcony Stanisław Czarosz), aniżeli w działaniu a nawet słowach. Postać Agaty, kochającej gorąco Gabryela, ma dużo podobieństwa do Marci, ale mniej jest urocza, a jej łagodne obłąkanie przypomina Praksedę z „Karpackich górali“. Akcya wogóle bardzo uboga; przygotowania do sytuacyi kulminacyjnej trwają zbyt długo, tak że aż nużą; a rozwój bohatera i bohaterki zbyty ogólnikami. Najlepsze sceny — to przyjazd Heleny do Dusanowa, rozmowa jej z mężem i śmierć tegoż, potem opis przechadzki po Wałach we Lwowie, plotkarstwa w domu dewotki i balów u hr. Czaroszów. Sceny fantastyczne nie robią wrażenia, nie podnoszą efektu a czynią całość nieprawdopodobną; tylko nocleg Gabryela na „pustce dyabelskiej“ jest prawdziwie pięknie wykonany.

Nareszcie do powieści z ułomną nieco kompozycyą zaliczyć też musimy „Tadeusza Bezimiennego“, liczonego powszechnie pomiędzy arcydzieła naszego autora. Rzeczywiście, gdybyśmy tylko patrzyli na plastykę przedstawionych tu osób i sytuacyj, na żywość barw w skreśleniu krajobrazów i wypadków, na prawdę życiową, z każdej wyglądającą karty, na werwę i żywość stylu, jakiej Korzeniowski nigdy przedtem ani potem nie rozwinął, — to musielibyśmy uznać „Tadeusza Bezimiennego“ za utwór doskonały. Autor z widoczną miłością przenosił się duchem w czasy swej młodości i odtwarzał ludzi i rzeczy, zapamiętane wyobraźnią i sercem na tej ziemi wołyń-

skiej, gdzie najpiękniejsze lata przeżył, gdzie ocknął się i rozwijał jego talent, gdzie poznał wiele miłych osób, chociaż i wstrętnych nie brakło. To całkowite zajęcie fantazyi i serca drogiemi i żywo w duszy tkwiącemi pamiątkami odbiło się w dziele, nadało mu ten ciepły koloryt, jakiego żadna inna powieść Korzeniowskiego w tym stopniu nie posiada, i uczyniło opowiadanie wielce zajmującem. Ale równocześnie to wpatrywanie się miłosne w osobę bohatera odciągnęło myśl autora od czuwania nad proporcyonalnością wymiarów części do całości. Dzieciństwo i lata szkolne Tadeusza tak wyłącznie pochłonęły uwagę powieściopisarza, że na rozwinięcie jego działalności jako dojrzałego mężczyzny nie zwrócił już należytego baczenia, i wypełniwszy obrazami przejść jego za młodu, kiedy biernie tylko mógł wchłaniać wrażenia, prawie całą powieść, na opowiedzenie jego życia czynnego, chociażby nader krótkiego, zaledwie kartek kilkanaście zostawił. Zapewne, na to skrócenie przygód Tadeusza wpłynąć mogły silnie okoliczności od autora niezależne, to jest, sama tych przygód natura, lecz w każdym razie, gdyby Korzeniowski więcej się był zastanawiał nad układem swego opowiadania, byłby obmyślił jakiś środek nadania większej symetryi częściom swego utworu. Tak jak obecnie „Tadeusz Bezimienny“ się przedstawia, wygląda raczej na prolog do zarysu biograficznego, skreślonego powieściowo z nadzwyczajnym talentem i bardzo interesująco, aniżeli na zaokrąglone i wykończone dzieło sztuki. Jakkolwiek ważne są i ciekawe najwcześniejsze lata życia, zawsze jednak czytelnik powieści uważa je tylko za wstęp i oczekuje niecierpliwie jakiegoś działania ze strony bohatera, a gdy go nie znajduje, doznaje zawodu. Tadeusz istotnie skupia w sobie całe zajęcie powieściowe, tak że wszystkie inne osoby, których zresztą stosunkowo do obszaru dzieła jest niewiele, odgrywają role całkiem poboczne. Nie można tedy szukać zogniskowania efektów powieściowych w innej jakiejś sprawie czy osobie, np. w matce Tadeusza, Rozalii. A gdyby autor dążył był do zogniskowania

w niej akcyi, to przy jego poglądzie na Rozalię, uczyniłby powieść najmniej zadawalniającą pod względem estetyczno-moralnym. Nawet tak jak jest, postać ta występnej matki, cierpiącej, prawda, za swój grzech, zasługującej może na litość, ale bynajmniej nie na szacunek, jak chciał mieć Korzeniowski, rzuca cień w połączeniu ze swą dumną i przewrotną matką, na opowiadanie skądinąd tak miłe i sympatyczne. My bowiem widzimy w Rozalii nie męczennicę, pokutującą za błąd niedoświadczenia, lecz przebiegłą, o rybiej krwi obłudnicę, która nie mając odwagi znieść opinii świata i obejść się bez majątku swego męża, kłamie przywiązanie do niego, nie śmie jawnie stanąć w obronie Tadeusza i okazuje wstręt względem drugiego syna, chociaż i ten nie był bynajmniej owocem legalnej miłości, odkryciem czego zagroziła mu cynicznie, siedząc już na dewocyi w Rzymie...

III.

Do zupełnie dobrze ułożonych i równomiernie rozwiniętych powieści Korzeniowskiego w tej dobie należą naprzód wszystkie drobne powiastki i opowiadania bardzo różnej zresztą wartości pod względem treści i charakterów. Zazwyczaj przedstawiają one jakieś zdarzenie ze stosunków między dwiema płciami w mniej lub więcej żywy sposób skreślone; bardzo rzadko poruszają jakąś sprawę psychologiczną, jak „Spotkanie w Salzbrunn“, w którem odmalowana jest walka wewnętrzna mężatki, zaślubionej grubemu hreczkosiejowi, a kochającej przystojnego, zajmującego i szlachetnego Władysława. Najżywiej, na sposób krotochwili, opowiedział autor przemianę energicznego niegdyś pułkownika w posłusznego wykonawcę woli swej „Drugiej żony“, której pieski wodził na spacer. Dużo scen a zwłaszcza rozmów pięknych zawierają: „Krzyż na stepie“, „Pojedynek“, „Dwa śluby“, „Scena na balu“. Charakter anegdo-

tyczny mają powiastki: „Pomyłka“, „Instynkt“, „Artykuł“ [1]); allegoryczny zaś — „Narożna kamienica“.

Z większych powieści tego czasu dobrą kompozycyą odznaczają się: „Emeryt“, „Garbaty“, „Wdowiec“, „Ofiara i sumienie“, i „Krewni“; ale znaczenie ich estetyczne jest bardzo rozmaite.

W „Emerycie“ doskonale została zobrazowana postać, zwyczaje i nałogi Cypryana, wysłużonego profesora łaciny, nie mogącego wyżyć bez gramatyki łacińskiej i tabaki preparowanej przez siebie w ciągle obmyślanych kombinacyach; mniej już wybitnie — postać starego kawalera, samoluba i pedanta, referendarza Marka; nie oni jednak odgrywają główne role w opowiadaniu, lecz raczej dwie całkiem od siebie różne kobiety: córka Cypryana, Kasia, dziewczę skromne, serdeczne, ciche, lecz zarazem śmiałe i roztropne, oraz pani Rożewska, dowcipna, wyzywająca a bodaj i wyzyskująca uczucia mężczyzn, emancypantka i impertynentka, jeden z najświetniej skreślonych charakterów zalotnych. Łącznikiem powieściowym pomiędzy niemi jest przeciętny osobnik ze sfery obywatelskiej, pan Roman, ulegający nadzwyczaj łatwo wrażeniom, lecz i łatwo o nich zapominający, tak że pokochanie Kasi i zapomnienie o niej dla pani Rożewskiej, pokochanie pani Rożewskiej i powrót do Kasi odbywają się w jego duszy bez wielkich walk i trudności, jakby tylko tańczył kontredansa. Mimowolną ofiarą Kasi jest poczciwy Marcinek, opuszczony syn pana Marka. Wykształcił się on dla miłości Kasi na nauczyciela elementarnego, w chwili żalu po czasowej stracie p. Romana otrzymał od niej przyzwolenie na ślub, wyrzekł się jej, gdy p. Roman powrócił, wstąpił do żołnierzy i... rozpił się. Figur podrzędnych a dobrze wykonanych, opisów mistrzowskich, np. kontraktów kijowskich, szlachty zagonowej mazurskiej, jest

---

[1]) Obrazek ten, nie pomieszczony w zbiorowem wydaniu „Dzieł“ Korzeniowskiego, znajduje się w „Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych“ (r. 1856, Nr. 239—247).

sporo; przyczyniają się one wybornie do urozmaicenia treści i sprawiają, w połączeniu z treścią główną, że powieść czyta się z zajęciem, chociaż łatwo się o niej zapomina, gdyż niema w niej głębszych pierwiastków.

„Garbaty“ — to powieść poświęcona głównie sztuce i jej przedstawicielom. Przedmiot ten był przez wielu natenczas powieściopisarzy obrabiany („Powieść bez tytułu“, „Laokoon“, „Bajronista“, „Nowy Gladyator“); lubowano się w nim, gdyż stanowił jedyną sferę pracy umysłowej, o której publiczność owej doby słuchać chciała i do której malowania autorowie nasi mniej lub więcej byli przygotowani. Korzeniowski zajął w tej sprawie odrębne stanowisko, wierny swoim poglądom, które już częściowo w „Wędrówkach oryginała“ wypowiedział. Zdaje się, że nie odczuwał, a w każdym razie nie pochwalał furyi artystycznej, namiętnych, gwałtownych natur, żyjących wyobraźnią i uczuciem, drażliwych, wrażeniem chwilowem opętywanych i dla tego wrażenia poświęcających wszystko. Jego poeci i artyści to ludzie porządni, rozważni, uczucie z rozumem łączący, podobnie jak sam ich twórca; albo też — zdegenerowani, upadli czy to wskutek sercowego lub materyalnego zawodu, czy też wskutek poczucia bezsilności do wyrażenia artystycznie tego, co się w ich wyobraźni rodziło. „Garbaty“ Maryan należy do idealnych wzorów dobroci i poświęcenia.

Rzecz tej powieści dzieje się w Rutce Mazowieckiej (w Ostrołęckiem), na folwarku Dymowszczyznie i w Warszawie. Z początku szczegółowo i plastycznie przedstawiona postać Janusza Cieszewskiego, człowieka ukształconego, zacnego, ale strasznie już w młodości zdenerwowanego, który chociaż porwany ogólnym zapałem w r. 1809 wszedł do wojska, wkrótce jednak, raniony pod Sandomierzem, opuścił je, zamiłował spokój fizyczny i moralny, żył samotnie, nazwany przez sąsiadów „karmelitą trzewiczkowym“ dlatego, że chodził w trzewikach i kamaszach; polubił siostrzenicę swej klucznicy, Maryannę, ożenił się z nią i miał syna, „garbatego potwora“, Maryana. Po śmierci tej żony, oplątany zręczną intrygą, wyzyskującą

jego słabości, wziął sobie na kark rodzinę Luzyańskich, która się w domu jego rozkwaterowała i wszystkiem rządziła. Druga żona, Teofila, naszkicowana tylko, wwiodła do domu huczne zabawy, od których głowa bolała zdenerwowanego biedaka, dzieci swe wychowywała po cudzoziemsku, Maryana wypchnęła do oficyny i zbliżyła go tym sposobem do poczciwych mieszkańców Dymowszczyzny: starego Narbuta, milczącego a energicznego Litwina, Szumejkowej z domu Dąbskiej, pociesznej babiny, która ciągle miała na ustach wyrzekania na Litwinów, poczytując ich za niższych pod każdym względem od koroniarzy, i pięknej wnuczki Narbuta, śmiałej, wytrwałej, uzdolnionej do rysunku Urszuli (przypominającej i przymiotami swemi, i gotowością do poświęceń i nawet szczegółem zachodzenia do mieszkania kawalerskiego, Julisię z „Wędrówek oryginała"). Przy opisie pobytu Maryana w szkołach w Łukowie namalował autor przepyszny wizerunek Anzelma Łęczycki, nauczyciela rysunków, doskonałego restauratora starych obrazów, trochę pijaczyny po godzinach szkolnych, oraz jego syna Ignasia, poczciwego, milczącego, ale kochającego Maryana aż do zapomnienia o sobie, nie mającego twórczych zdolności, ale dobrego kopisty. Maryan sam wyrabia się na charakter silny, nie dający grać sobie po nosie, zasobny w dowcip złośliwy, którym jednak posługuje się tylko w obronie np. wobec macochy, dla wywalczenia sobie i ojcu względnego spokoju; uczuciowy niezmiernie, ale bez płaczliwości i mazgajstwa. W przedstawieniu uczucia zazdrości, rodzącego się w duszy Maryana na wieść i widok cichej, niewyznanej miłości Urszuli i Ignasia, wiele szczegółów przypomina objawy podejrzliwości Kajetana względem Rozalii w „Tadeuszu Bezimiennym"; ale nie może tu być mowy o kopii siebie samego; rzecz wykonana dobrze, tylko może za rozwlekle. Ostateczne zdecydowanie się Maryana na wyrzeczenie się myśli połączenia z Urszulą, o którem przez kilka lat marzył i bez którego nie pojmował celu życia swego, trafnie umotywowanem zostało. Posłyszał nasz garbaty artysta w Jaworowie dzieje analogicznego stosunku, obejrzał sam por-

tret garbusa i jego nieszczęśliwej a pięknej żony; powiedział sobie, że ponieważ człowiek składa się z duszy i ciała, trzeba więc warunków i z jednej i z drugiego, by miłość obudzić (III, 223), i — wyrzekł się serdecznego marzenia; uczynił szczęśliwymi Urszulę i Ignasia, cieszył się ich szczęściem, chociaż uczucia głębokiego w sobie nie zgładził, wcześnie posiwiał, w pracy ociężał, ale mecenasować sztuce nie przestawał.

Rozumie się, że jest w tej powieści dużo rozpraw o sztuce i artystach; wszystkie one trzeźwo rozwinięte, odznaczają się trafnością we wskazówkach praktycznych, ale nie zawierają nic takiego, coby na szczególne zasługiwało wyróżnienie. Charakterystyczne chyba dla rodzaju talentu samego autora zdanie o granicach artyzmu warto zanotować. Daje on mianowicie przestrogę artystom, ażeby się nie porywali na nic takiego, na co w mowie niema słowa, w ołówku zarysów, ani farb na palecie, i dodaje: „Takim jest cały świat nieskończoności, do którego także każda wielka radość, każda wielka boleść należy. Chcieć ją zamknąć w opisie, aby ją usłyszało ucho, chcieć rysami dokładnie oznaczyć, żeby ją spostrzegło oko, jest to nadawać jej granice, zmieniać jej naturę, i z niebios, gdzie dla jej rozmiarów jedyne miejsce, ściągać na ziemię, gdzie wszystko maleńkie i drobne“ (III, 145). Autor tej uwagi szedł za nią zazwyczaj; nie próbował malować szczegółowo wielkiej boleści; bo tak wymagał jego temperament; zapomniał jednak, przynajmniej na chwilę, że wielcy mistrze próbowali nieraz ją odtworzyć, że używali ku temu bardzo rozmaitych środków i że udawało się im to niekiedy znakomicie; bo granice uzdolnienia artysty tego lub owego nie są przecież jeszcze stanowczemi granicami dla artyzmu wogóle, dla geniuszów wszech czasów.

„Wdowiec“ był napisany w czasie owej żywej dyskusyi o potrzebie zmiany formy powieści i prawdopodobnie w myśli autora miał stanowić praktyczny dowód, że i w formie dotychczasowej można rzecz interesującą napisać, byleby umieć wpatrywać się w objawy życia i mieć serce. Bardzo zręcznie złą-

czone tu zostały za pomocą wątku powieściowego różnorodne sfery życia towarzyskiego w Warszawie i na prowincyi. Treść główna zaczerpnięta jest z warstwy szlacheckiej zamożnej, lecz związki jej lub przypadkowe stosunki wprowadzają na widownię arystokracyę rodową (hr. Franciszka), świat urzędniczy (pani Szambelanowa, pani Prezesowa), pieczeniarzy wielkopańskich (wyborna sylwetka Sroczyńskiego), księży, zakonnice, aktorów prowincyonalnych (szczególniej wyborna postać Edmunda Surewicza, utalentowanego, namiętnego, a zwichniętego moralnie wskutek miłosnego zawodu), oryginałów-myśliwych (Maciej Łaguna). Każda z wyprowadzonych tu figur pobocznych była zupełnie nową u Korzeniowskiego, a nawet w naszem powieściopisarstwie; niektóre pod względem siły charakterystyki i umiejętnego zastosowania środków artystycznych do ich odtworzenia nie miały sobie równych w ówczesnej belletrystyce; mianowicie niestrudzona, złośliwa, wszechwiedna weredyczka pani szambelanowa Matraszyńska, pełen ognia, jedyny przykład tego rodzaju u Korzeniowskiego, Edmund Surewicz, i zakochany w mądrości „Nowych Aten“, zacny dziwak Maciej Łaguna. Mniej natomiast udatnemi nazwać można osoby główne. Charaktery ich są już modyfikacyą tylko skreślonych dawniej przez naszego powieściopisarza. Tomasz Łuniewicki, gospodarny, rozumny obywatel, dający się oplątać przebiegłej i obłudnej pannie Hieronimie, biorący ją za drugą żonę, wskutek jej intryg obojętniejący dla ukochanej córki Bronisi, jest odmianą Janusza Cieszewskiego z powieści „Garbaty“ i pułkownika z „Drugiej żony“. Hieronima Tączyńska, kokietka wyrafinowana, obłudnie pobożna, o krwi zimnej, wytrzymująca wielbicieli swych przez długie lata w niepewności i pożądaniu, to znowuż odmiana Teofili Luzyańskiej z „Garbatego“ i Rozalii z „Tadeusza Bezimiennego“. Od Rozalii, która wykroczyła przeciw wierności małżeńskiej uczynkiem, gdy Hieronima tylko myślą, słowy i listami, wyróżnił ją Korzeniowski jedynie odmiennym punktem widzenia i oceny wartości moralnej; Rozalię chciał mieć sympatyczną, Hieronimę wstrętną, od pierwszej od-

dalił wszelkie podejrzenia opinii światowej, drugą przygnębił nieubłaganie listami, które się dostały do rąk szambelanowej i przesłane były jej mężowi. Bronisia wreszcie jest odmianą różnych dodatnich postaci dziewiczych u Korzeniowskiego, śmiałych, energicznych, otwartych, jawnie uczucia swoje wyznających. Sympatyczność jej umniejsza się trochę wskutek pewnej szorstkości w stosunku do dzieci macochy i pewnej oschłości serca względem ojca. Jej zaś marzycielstwo i przeczuwanie życia klasztornego niedosyć jest umotywowane.

„Ofiarę i sumienie“ nazwał autor dramatem opowiedzianym, i słusznie; niektóre sytuacye tylko tą formą wytłómaczyć się dają, np. przyjazd i zachowanie się trzech plotkarek: Plotkowskiej, Nowinkowskiej i Fabulickiej, pełne komizmu, ale trochę naciąganego, teatralnego; albo przedstawienie balu u Adama, lub wreszcie kuligu; w obrazach tych niema skreślonego naturalnego przebiegu, lecz jest natomiast koncentracya dramatyczna. Charaktery tu przedstawione, nie są odmalowane przez autora, a w akcyi nie wyjaśniają się należycie — i to jest największa wada tego utworu, czy go jako powieść, czy jako dramat rozważać zechcemy. Eleonora, kokietka, podobna do pani Adamowej w dramacie „Dama i dziewczyna“ i do pani Rożewskiej z „Emeryta“, z początku niewinna, potem rozmyślna i wyrachowana, mówiąca o zbudzeniu się serca, którego jej odmawiają, nie okazuje w czynie tej zręczności, z której słynie, ani wówczas, gdy ją Adam spotyka sam na sam z Karolem, ani gdy stara się błaganiem i całowaniem ręki Adama ku sobie pociągnąć, ani gdy się z nim kłóci przed balem u tegoż odbyć się mającym, ani wreszcie gdy z kuligiem wpada do domu Adama pogrążonego w smutku i gdy udaje ubiorem zmarłą jego żonę Teklunię w rocznicę jej śmierci. Są to efekta teatralne, dość zresztą grube, ale w niczem nie uwydatniają zręczności Eleonory, tylko jej lekkomyślność, upór i zaślepienie. Adam zaś, ów „orzeł podolski“, któremu ciasno w szrankach, jest w czynach grubo zmysłowym, bez istotnego charakteru, a z wielką pewnością siebie łotrem, który się w końcu

nawraca, i który jak poprzednio ani przenikliwości ani delikatności nie okazywał, tak później zanadto staje się tkliwym i imaginacyjnym, gdy mu wspomnienie Tekluni nie daje spokoju i gdy umiera pod wrażeniem wywartem przez zjawienie się Eleonory w stroju zmarłej żony. Teklunia — to dziewczę słabe, całą duszą kochające, bierne, cierpiące najcięższe upokorzenia w milczeniu; postać ta zresztą, nakreślona sylwetkowo, nie mogła się w paru scenach uwydatnić. Doskonałe są natomiast figury poboczne, zwłaszcza szyderczy ale szlachetny Adolf, dalej jedzeniem tylko zajęty Marszałek, zimna, robieniem siatki ustawicznie zatrudniona Marszałkowa, wreszcie uczuciowa i zacna guwernantka Katarzyna, wyrażająca się dobranemi słowy, wielce dotkliwa, lecz odciąć się nawet dość ostro umiejąca. Opowiadanie jest bardzo żywe i zajmuje bez przerwy, tak że chwilowo zasłania braki charakterystyki.

IV.

Najharmonijniej ułożoną, najściślej ześrodkowaną, najszerszy zakres życia towarzyskiego obejmującą powieścią Korzeniowskiego są „Krewni“, o której bardzo wymagający i bardzo uprzedzony co do tendencyi autora krytyk powiedział, że śmiało może być policzona „do rzędu najlepszych naszych romansów, do rzędu tych, któremiby się nawet nie powstydziła i wszelka obca, a w świetne utwory tego rodzaju obfitująca literatura“.

Powieść ta znacznie jest bogatsza pod względem zasobu postaci, położeń i różnorodności sfer towarzyskich od „Wdowca“, który od innych utworów Korzeniowskiego już się był pod tym względem znakomicie wyróżnił. Jak we „Wdowcu“ szlachta zamożna, tak w „Krewnych“ warstwę główną, której życie wypełnia większą część dzieła, z której wychodzą dwaj bohaterowie, stanowi szlachta zubożała, mająca jednak rozgałęzione związki rodzinne z bardzo bogatemi i wpływowemi familiami.

Z natury więc rzeczy wynikło zestawienie i przeciwstawienie tych dwu sfer, z bardzo silnie rozwiniętem cieniowaniem. Więc najprzód jedna z najsympatyczniejszych postaci w całej książce, a nawet wogóle w powieściach Korzeniowskiego, Sebastyan Zabużski, właściciel folwarku w miasteczku Sawinie, czerstwy, pracowity, ceniący swą niepodległość, szlachetnie dumny, któryby nawet w ostatniej potrzebie nigdy się nie poniżył, a który uczciwością i zdrowym rozsądkiem zdobył sobie powszechne poważanie. Miał on dwu synów, pozostawionych przez zbyt wcześnie zmarłą żonę, Jelewską z domu. Eugeniusz był lotniejszego umysłu, miększego usposobienia i do pracy pospolitej nieochoczy; Ignaś zaś zdrów, wesół, zarówno do nauki jak do roboty chętny, łatwo obchodzący się bez wygód, nie mający wymyślnych przyzwyczajeń. Gdy do tej gromadki dodamy księdza Zielenkowskiego, najzacniejszego kapłana, który w czynie wykazuje te wszystkie przymioty rozumu, szlachetności, dbałości o parafian, jakie inni księża Korzeniowskiego (czy w „Nowych wędrówkach oryginała“, czy we „Wdowcu“) posiadali głównie w określeniach autorskich lub słowach tylko własnych, — oraz ułomną, brzydką, ale z najpoczciwszem sercem, pełnem dobroci i czułości, opłakującem rzewnemi łzami każde nieszczęście, komukolwiekby się przytrafiło, Teresę Jelewską,— to będziemy mieli główniejsze osoby tego kółka ziemiańskiego, z jakiem nas zapoznał powieściopisarz na początku swego utworu, umiejąc dla niego zjednać przywiązanie szczere i głębokie.

Bogata sfera krewnych Zabużskiego reprezentowana jest przez dwie różne od siebie rodziny: kasztelana i referendarza. Sam kasztelan jest człowiekiem dobrym i rozumnym, ale ożeniwszy się z doletnią panną wysokiego rodu, poddał się, jak wielu mu podobnych, władzy żony, kobiety światłej, mającej szlachetne popędy, ale pamiętającej aż do zbytku o swem książęcem pochodzeniu i skrzywiającej tem zarówno postępowanie swoje, jak i wychowanie swego Stasia, który wyrasta na zuchwałego lamparta, chociaż siostra jego Jadwiga, po-

dobna do Kamilli w „Kollokacyi“, najlepsze tylko pierwiastki po ojcu i matce odziedziczyła. Rysunek tych postaci, a zwłaszcza kasztelana i jego żony, policzyć należy do najudatniejszych w naszych powieściach wogóle; żaden bowiem rys nietylko fałszywy, lecz choćby w najmniejszym stopniu karykaturalny, nie wkradł się tutaj i nie zamącił wrażenia tchnącego samą prawdą. Delikatnie wycieniowana charakterystyka zarówno w mowie jak w każdym ruchu i postępku jest tu wielkim tryumfem przedmiotowego trybu tworzenia i przyniosłaby istotnie zaszczyt najznakomitszym nawet „twórcom dusz“ w piśmiennictwie europejskiem. Są to postaci żywe, których się niełatwo zapomina.

Rodzina referendarza Zabużskiego, skreślona tylko sylwetkowo, zupełnie inaczej się przedstawia. Sam referendarz samolub, udający dobrodusznego głupca, gdy kto od niego choćby tylko rekomendacyi zażąda, wykręca się niezdarnie skleconemi frazesami od wszelkiego współudziału w czynnem dopomożeniu ubogim krewnym. Żona jego i dwie córki płytkie i pospolite, wyglądające już od samego rana w pretensyonalnych, lecz pomiętych strojach przez okna na przejeżdżających książąt i hrabiów, paplące po francusku, domagające się czołobitności od niższych, łączą w zachowaniu się swojem próżność z ograniczeniem umysłowem. Dom ich — to mieszanina bogactwa i wykwintu z zaniedbaniem i nieładem. Rysy, któremi autor zapoznając nas z temi ciekawemi egzemplarzami, kreśli charakterystykę świata urzędniczego w Warszawie, pozostaną na zawsze ważnym dokumentem cywilizacyjnym.

Niższy świat urzędniczy, reprezentowany przez Kańskiego, młodzieńca lekkomyślnego trochę, ale serdecznego, wesołego i szczerego, z miłością został przez autora odtworzony we wszystkich szczegółach codziennego życia, ze wszystkiemi kłopotami i taniemi radościami, w których dobry humor przyprawia „chleb z obiadkiem“ lub przedstawienie teatralne tak dobrze, iż za najwyszukańsze starczy rozkosze. Rzecz wystudyowana wybornie a oddana z taką łagodną, wyrozumiałą i sło-

neczną ironią, że chwyta za serce i pozostaje w duszy jako miłe wspomnienie.

Po raz pierwszy do powieści naszej wprowadził Korzeniowski świat rzemieślniczy i finansowy.

Ponieważ jeden z bohaterów „Krewnych“, nie widząc dla siebie przyszłości w biurze, postanowił, idąc za radą rozumnego hrabiego Adama (skreślonego epizodycznie, ale bardzo znamiennie), wstąpić do rzemiosła, wprowadza więc nas autor do warsztatu stolarskiego, zapoznaje z poczciwym Niemcem Heblem, który ożeniwszy się z Warszawianką, przejął się miłością dla kraju, w którym zamieszkał, i chociaż licho mówił po polsku, zachowywał się przecież i postępował jak Polak, przedstawia nam urządzenia cechowe z charakterystycznemi obrzędami i naukami przy wyzwalaniu czeladzi; a to wszystko robi widocznie na podstawie studyów nie dorywczych, lecz umyślnie, z zamiarem przedsięwziętych. Wprawdzie ten świat rzemieślniczy łączy się z resztą wątku powieściowego tylko za pośrednictwem Ignasia Zabużskiego, zawsze jednak zajmuje w „Krewnych“ tak wydatne miejsce, jak w żadnej innej powieści polskiej, gdzie rzemieślnicy występowali tylko w formie dydaktycznej (jak w „Panu podstolicu“), albo jako motłoch (w powieściach Boguckiego), albo jako tendencyjne przeciwstawienie wobec zepsucia klas wyższych („Pan i szewc“ Kraszewskiego). Korzeniowski już ten stan opisywał sam w sobie i jego to zapewne przykładem pobudzony Włodzimierz Wolski całą powieść obrazowaniu życia rzemieślniczego poświęcił („Domek przy ulicy Głębokiej“).

Dowodem bystrości zmysłu spostrzegawczego w Korzeniowskim było wprowadzenie do wątku powieści — wzbogaconych żydów, bankierów, którzy właśnie w owych czasach nabierać zaczęli wielkiego wpływu nietylko na sprawy ekonomiczne, ale też i na życie towarzyskie w Warszawie. Wyprzedził wprawdzie autora „Krewnych“ Kraszewski, z właściwą sobie lotnością chwytający nowe objawy cywilizacyjne, gdy w drugiej części „Komedyantów“ rodzinę bankierską odmalował; ale

zrobił to raczej na podstawie posłuchów, aniżeli własnej obserwacyi, do kreślenia figur i położeń używał raczej analogii i rysów zaczerpniętych ze świata francuskiego, aniżeli szczegółów wziętych wprost z otoczenia. Dlatego też Korzeniowski, choć w pomyśle był następcą, w sposobie wykonania, inicyatorem w artystycznem przedstawieniu tej warstwy nazwany być musi. Znał on ją z blizka i ciekawie się jej przypatrywał, bez sympatyi wprawdzie, ale też i bez tendencyjnego uprzedzenia. Widział w niej cechy wspólne: cześć dla złotego cielca połączoną z „brakiem zupełnym podniesienia się do jakichściś wyższych celów życia, do myśli odlatujących od ziemi“ (VI, 398), oraz próżność i chęć popisu; ale rozróżniał starannie jednostki ją składające, dostrzegał w niej ludzi „uczciwych, dobrych, chętnych do przysługi, gładkich w obejściu“, a pięknym, chociaż szkicowym rysunkiem różnych odmian usposobienia i charakteru w Stanisławie Olkuskim (ochrzczonym), Glücksohnie, Silberze, Walerym Blau, Leontynie wskazał artystycznie moralną i umysłową ich organizacyę, dowodząc swego przedmiotowego punktu widzenia.

Z tą sferą wstrętnym choć pozłacanym łańcuchem poniżenia moralnego złączona jest przedstawicielka półświatka warszawskiego, dobrem, tkliwem sercem obdarzona Herminia, ciotka bohaterów powieści, Jelewska z domu. Stryjeczny jej brat, również z dobrem sercem, ale z burzliwemi namiętnościami, hulaka i cynik, Paweł, przeobraża się moralnie pod koniec powieści i zapewnia los opuszczonym swym dzieciom, Paulinie i Julii, z których pierwsza ukochała Kańskiego, druga Ignasia, dużo biedy mężnem znosząc sercem; gdy Herminia pozostawiona została przez autora swemu poprzedniemu losowi, jakby znów dla sprawdzenia zdania, które o upadku kobiet w „Umarłych i żywych“ wypowiedział.

Wśród tak różnobarwnego a wielce zajmującego tła rozwijają się losy dwu braci Zabużskich. Eugeniusz, wychowany i wykształcony w domu kasztelana, rozwinął w sobie talent poetycki i zamiłowanie do wykwintu, osłabił wolę w życiu

próżniaczem, tak że wypędzony z domu kasztelaństwa za pokochanie ich córki, staczał się coraz niżej po pochyłości moralnej, dopóki zachowana w głębi duszy iskra miłości braterskiej nie natchnęła go myślą zastąpienia Ignacego w wojsku, gdzie zahartował ciało ponoszonemi trudami, ukrzepił wolę — poczuciem karności i ciągłą myślą o możliwych niebezpieczeństwach i śmierci, i stał się człowiekiem, mogącym polegać na sobie, a więc wzbudzającym szacunek w innych. Ignacy nie potrzebował przechodzić tak przykrych kolei. Z usposobienia spokojniejszy i rozważniejszy, ufny w swe siły, prędko się zdecydował porzucić zwykłą drogę młodzieży szlacheckiej szukania karyery w urzędzie, został terminatorem stolarskim, odrzuciwszy przesądy, poniżające pracę ręczną, mężnie zniósł śmiechy i drwiny, wytrwałością i zręcznością pozyskał sobie uznanie, a serdecznością miłość nowych towarzyszy, potrafił wybić się na niezależność i mógł uszczęśliwić wierne i śmiałe serce Julki, zbiedniałej, ale pracowitej i oszczędnej szlachcianki, która tak samo jak on na wyobrażenia swej sfery całkiem nie zważała.

Rzadko kiedy w życiu znajdujemy tak pogodne usposobienie, jakiem się kończą „Krewni“, ale powieściopisarzowi, który o „naturalizmie artystycznym“ jeszcze nie słyszał, niepodobna mieć za złe, iż chciał, rozstając się z czytelnikami, pozostawić w ich duszy miłe wrażenia, któreby utwierdziły ich w przekonaniu, że uczciwość, praca, wytrwałość, wyzbycie się próżności, zahartowanie woli przynoszą zadowolenie i szczęście, że nawet ludzie słabi, jeżeli tylko mają dobry grunt serca, mogą zmienić się na pożytecznych członków społeczeństwa, i jak Eugeniusz lub Paweł Jelewski, znaleźć nagrodę za odniesione nad namiętnościami zwycięstwo.

Ten ostatni szczegół wywołał najniespodziewaniej okrzyk oburzenia i trwogi o społeczeństwo, wydany przez bardzo utalentowanego, ale zbytecznie powodującego się chwilowemi wrażeniami krytyka, p. Juliana Klaczkę, który napisał obszerny rozbiór „Krewnych“ na początku roku 1857, i oddawszy w nim

wielkie pochwały zaletom artystycznym powieści, napadł gwałtownie na jej tendencyę. Wywody Klaczki miały wszystkie pozory głębokiego poglądu na sprawy społeczne i bystrego dostrzegania ujemności zawartych w utworze Korzeniowskiego; mogły zatem złudzić mianowicie młodzież zapalną i tych z pomiędzy starszego pokolenia (jak np. Siemieńskiego), którzy się pięknemi i wzniosłemi frazesami popisywać lubili. W gruncie jednak rzeczy, przy chłodnem zastanowieniu nad treścią „Krewnych“, a mianowicie nad historyą Eugeniusza i Pawła, przy rozpatrzeniu się w warunkach, wśród których pisał Korzeniowski, trzeba uznać wyprawę p. Klaczki za chybioną, a raczej niesprawiedliwą, dotykającą boleśnie człowieka, który przecież nie mógł odpowiadać ani za to, że nie był entuzyastą, lecz rozważnym spostrzegaczem, ani też za to, że w umyśle krytyka pojawiły się widma, które w myśli autora nie postały wcale. Nietrafnym może był wybór środka poprawy Eugeniusza i Pawła, zwłaszcza że aż w zdwojonej postaci zjawiał się w jednej powieści; ale nie była nietrafną myśl, która mu go poddała: karność, znoszenie trudów, wystawianie się na ciągłe niebezpieczeństwa, gotowość na śmierć, a więc i zdolność do poświęcenia; to są wpływy, które na duszę znieprawioną, ale w gruncie zacną, podziałać mogą uzdrawiająco i uczynić ją zdolną do odrodzenia się.

V.

Zająwszy się pisaniem powieści, Korzeniowski zaniechał prawie zupełnie dramatów. I wówczas właśnie, gdy pojawiły się nowe usiłowania w dramaturgii naszej, gdy zaczęli występować z utworami swojemi: Tomasz Olizarowski, Antoni Małecki, Wacław Szymanowski, Józef Szujski, Ludwik Kubala, wreszcie Mieczysław Romanowski, nasz autor milczał uparcie, skarżąc się przy sposobności na niegościnność sceny dla sztuk swoich, żałując, że nie może osób przez siebie stworzonych

ukazać na odpowiedniejszej dla nich arenie, gdy trudno mu było kusić się o to, aby mógł przeskoczyć tam, gdzie nawet przeleżć nie może (III, 369, 402).

Niewątpliwie obojętność publiczności ówczesnej, bawionej farsami, operami i baletami, względem dramatów była jednym z ważnych powodów ochłodzenia chęci tworzenia ich, ale za jedyną poczytywać jej nie można. Inni dramaturgowie byli mniej więcej w tem samem położeniu; pisali swe utwory bez nadziei ujrzenia ich na scenie; a mimo to pisali, pragnąc chociaż w skromnej mierze popędowi swemu zadość uczynić. Otóż zdaje się, że w Korzeniowskim popęd ten osłabł, może wskutek wieku, może wskutek pojawienia się współzawodników, z których jednak żaden, aż do Romanowskiego, groźnym się nie wydawał. Refleksyjny charakter umysłu autora wzmacniał się wraz z rozwojem lat, a znajdując swobodne ujście w formie powieściowej, z której, jak już wiemy, korzystał, by szereg swych spostrzeżeń, uwag i przestróg wypowiedzieć, nie kwapił się do bardziej ześrodkowanej formy dramatu, gdzie akcya musiała być rzeczą główną. To też i te nieliczne utwory, jakie w tej dobie z zakresu dramatycznego utworzył, mają charakter luźny, są obrazami lub refleksyami przepełnione.

Właściwy dramat z tego czasu jest tylko jeden, tj. „Cyganie“. Wiersz w nim miarowy jest płynny i gładki, jak nigdy przedtem; w dykcyi widzimy pewność i pełność; mowa cyganów, trzymana w tonie prostym, nie wykracza w pojęciach poza granice życia włóczęgów, podmalowana z lekka barwami wziętemi z gwary, ale wogóle po literacku uszlachetniona. Trzy główne postaci dobrze oddane: Nango, młody, piękny, silny, energiczny, do pewnego stopnia szlachetny; Naja łagodna, cicha, poetyczna, Gulda (poprzednia *gassi* Nangi), namiętna, gwałtowna, kochająca na śmierć, otruwszy niewiernego kochanka, gdy ten Naję przeniósł nad nią, truje się sama. Jerni, stara cyganicha, nienawidząca Nangę, i Kimro, dawny naczelnik bandy, silnie wierzący w przeznaczenie, dość blado się przedstawiają. Zbyt długie mowy, opowiadania, piosenki, chociaż

prawie zawsze w sposób dramatyczny prowadzone, nadają przecież całości raczej cechę obrazu obyczajów i wyobrażeń cygańskich, aniżeli dramatu silnie skoncentrowanego. Rozciągnięcie bardzo szczupłej treści na pięć sporych aktów nie przyczynia się oczywiście do spotęgowania wrażenia; chociaż sama robota artystyczna świadczy o opanowaniu języka i stylu przez doświadczonego autora, a niektóre ustępy (IX, 187, 209, 217) — o niewyschłem źródle poetyczności w jego sercu i fantazyi.

Najpiękniejsza atoli robota nie mogła zastąpić treści, niezbyt doniosłej, zwłaszcza, że w przedstawieniu jej brakło ognia zapału. Wprawdzie uczucia ludzkie, czy w piersi cygańskiej, czy w innej się objawiają, ciekawe są jednako w swoim rozwoju; ale więcej nas obchodzą, jeżeli się odnoszą do stosunków naszych własnych, kiedy je odczuć nam łatwiej. A podniosłość ich się wzmaga, gdy je połączonemi widzimy z jakimś ważnym wypadkiem dziejowym. Wobec prób dramatów z historyi naszej, krytyka owoczesna pytała się, co zrobił tak ładnie zarekomendowany bohater „Cyganów“, Nango? i znajdowała odpowiedź, że ukradł konia, kilka worów krup i połeć słoniny, oczywiście tyle, ile mógł zrobić naczelnik bandy cygańskiej. Żałowała więc, że talentu swego nie zwrócił autor do innego przedmiotu, gdzieby „mógł właściwiej użyć tylu piękności poetycznych, niż utopić je w mętnem, stojącem jeziorze cygańskiego widnokręgu“ (K. Kaszewski w rozbiorze „Cyganów“ w „Bibl. warsz.“, 1859, I, 189—200).

Nie dał się Korzeniowski zwabić tym nawoływaniom do dramatu historycznego. W krainie sztuki szukał ukojenia i harmonii, których nie znajdował ani w dziejach ani we współczesności. Coraz więcej starał się o wyszlachetnienie dykcyi i pozyskanie klasycznej przedmiotowości, zapatrując się na takie wzory Goethego, jak „Ifigenia w Taurydzie“ i „Torquato Tasso“. W krótkich scenach udało mu się osiągnąć cel zamierzony prawie zupełnie, w dłuższych dbałość o piękny dyalog usuwała mu z przed myśli troskę o budowę całości, o spójność kompozycyi. „Gentile Bellini“ i „Śpiący kupidyn“ mogą

służyć za illustracyę w pierwszym punkcie, a „Beata“ — w drugim.

Bellini, entuzyastycznie sztuką swą przeniknięty malarz włoski, bawiący na dworze sułtana Mahometa II., namalował jego portret i obraz ścięcia św. Jana. Władca wschodni, chwaląc obraz, wskazuje błąd w namalowaniu zbyt długiej szyi, a chcąc artyście pokazać, jak wygląda szyja po odcięciu głowy, każe niewolnikom ściąć głowę słudze Belliniego, Markowi, który na krótko przedtem wyrażał tęsknotę do swej rodzinnej Wenecyi, — poczem spokojnie wdaje się w opis szczegółów, demonstrując na trupie, i odchodzi, mówiąc: „Bywaj zdrów, mistrzu!... popraw, jak tu widzisz, a dzieło twoje będzie doskonałem“. Po chwili osłupienia, Bellini bolejąc nad losem sługi, wzdycha za powrotem do kraju i za przybyciem obiecuje pójść naprzód do kościoła i podziękować Bogu za światło wiary, bo: „na czyjej piersi nie legł krzyż zbawienia i z niego miłość w serce nie spłynęła, może być wielkim, lecz człowiekiem nie jest“ (IX, 183). Wrażenia tragicznego nie doznajemy tu wprawdzie, ale czujemy się wzruszeni i podniesieni duchowo.

„Śpiący kupidyn“ — to wdzięczny, pogodny obrazek, malujący zazdrostki życia artystycznego w wieku Odrodzenia we Włoszech za Medyceusza. Buonarotti, chcąc zadrwić ze swych kolegów, malarzy i rzeźbiarzy, którzy w ocenie jego talentu nader stronniczo się zachowali, zakopał potajemnie w ogrodzie Medyceusza posążek Śpiącego kupidyna. Wszyscy uważając tę rzeźbę po znalezieniu za dzieło mistrza starożytnego, nie mieli dość słów na jej uwielbienie; gdy się rzecz wykryła, ogłosili ją (prócz Ghirlandaja) — za mierną. Rozmowy dowcipne i charakterystyczne, pełne myśli pięknie wyrażonych, czynią ten obrazek klejnocikiem literackim.

W „Beacie“ szczegóły są tylko piękne i duch podniosłego pojęcia sztuki, przenikający całą tę „fantazyę dramatyczną“; treść bowiem wychodzi zupełnie z ram rzeczywistości. Marya-Beata, przypominająca umysłem Maryę-Reginę Żmichowskiej, dziewica zamożna, wykształcona, niezależna, pełna uwielbienia

dla piękna, żyjąca tylko w jego atmosferze, pokochała artystę-malarza Konrada i, nie zważając na konwenanse, poślubia go tajemnie z zasłoniętą twarzą, przyczem zastrzega sobie, ażeby Konrad, mając zupełnie zabezpieczony byt materyalny, nie starał się jej poznać, dopóki obrazu swego nie skończy. Potem ukazuje mu się w towarzystwie pod imieniem Maryi, doświadczając go, czy wytrwa w swej idealnej miłości dla nieznanej małżonki. Przekonawszy się, że zdobyła sobie jego miłość jako Marya i stała się zarazem przyczyną smutku dla ukochanego, który pragnie pozostać Beacie swej wiernym, odkrywa mu swą tajemnicę i dramat kończy się szczęściem zobopólnem. Zgodziwszy się na pomysł ekscentryczny, miło jest przebywać wśród tego świata, w którym się toczą piękne, rozumne dyskusye o zadaniach i środkach sztuki, w którym szlachetności uczuć odpowiada szlachetność ich uzewnętrznienia, w którym pospolitość, miałkość, śmieszność lub nikczemność powszednich stosunków życia nie mąci wyższego nastroju ducha.

Miło niewątpliwie, lecz tylko na chwilę, jako odpoczynek po pracy. Zatonąć w tym świecie na zawsze niepodobna; życie wyprowadza nas z niego siłą przemożną. Korzeniowski, gdy się życiu temu przypatrywał i wrażenia swe w formie dramatycznej wypowiedzieć pragnął, brał do ręki bicz satyry i smagał nim zdrożności, albo ustroiwszy usta w uśmiech ironii, przedstawiał śmieszne i zabawne sceny.

Najogólniej i najszerzej pomyślaną satyrą dramatyczną Korzeniowskiego wogóle, napisaną w tym czasie, jest tragikomedya p. n. „Złote kajdany“. Treść jej jest w gruncie ta sama, co „Nowych wędrówek oryginała“; nie brak tu nawet pierwiastku fantastycznego, który reprezentuje Ruachowicz, będący nowożytnem wcieleniem Mefistofelesa, poddający różnym stanom zwodnicze środki rychłego wzbogacenia się lekko, bez pracy. Pod wpływem namów i rozumowań Ruachowicza osoby tej sztuki stają się milionerami a zarazem nikczemnikami, drwiącymi z uczciwości a ubiegającymi się za rozkoszą i używaniem. Różnica kardynalna między powieścią a tragikomedyą

polega na tem, że cała ta gwałtowna przemiana i przewrót w stosunkach osób okazuje się przy końcu ciężkim jedynie snem Jana Filozofickiego, urzędnika, który zasnął nad swym referatem, a który ocknąwszy się, rusza do roboty i głosi, że jest szczęście istotne na ziemi, lecz „w poczciwej pracy, nie w obietnicach losu i loteryi i w grzesznem złocie, co przychodzi za nic". Wśród różnorodnych scen wypełniających tę fantasmagoryę, a pod względem myśli nieraz wysoce interesujących, umieścił Korzeniowski jednę, którą trzeba nazwać odwetem literackim za bolesną a niezasłużoną krytykę „Krewnych". Wprowadza w niej hrabiego Achillesa i Centaurowicza, znakomitego krytyka, który stał „na straży sumienia wszystkich tych, co u nas piszą". Hr. Achilles, odmalowawszy Filozofickiemu tego krytyka jako nawróconego demokratę, pyta Centaurowicza, jak mu się podobali „Krewni". Gdy krytyk zganiwszy tom czwarty, nie widział w zakończeniu nic więcej nad chęć podniesienia bohatera z upadku, hrabia poddaje myśl, że w tem zakończeniu jest obraza tego sumienia, na którego straży stanął, a Centaurowicz odpowiada z uśmiechem, że gdy się zechce, to z tego stanowiska można rzecz bardzo potępić, i na ponowne naleganie hrabiego przyrzeka to zrobić (odgrażając się na stronie, że kiedyś i hrabi nie daruje przycinków). A kiedy po jego wyjściu Filozoficki pyta hrabiego, czy Centaurowicz dotrzyma swej obietnicy, — hrabia Achilles odpowiada:

Ale jak jeszcze! — Pióro to tak zręczne,
Że równie dobrze pisze tak i na wspak.
Nie żartem mówię, głowa to nielada,
Jakich niewiele mamy; pamięć rzadka,
Nauka wielka, bystrość i pojęcie.
Pisze wybornie. Prawda, w pismach jego
Zdarza się często blaga i paradoks,
Lecz jest i dowcip czasem, rozum zawsze.

Gdy porównamy napaść z odwetem, nie będziemy mogli mieć za złe Korzeniowskiemu jego zachowania się w sprawie

tak drażliwej, tem bardziej, że niebawem potem wyrzekł dla swego wroga słowa szczerego przebaczenia.

Inne utwory dramatyczne Korzeniowskiego z tej doby są to już krotochwile lub komedye. Należy w nich wyróżnić dwie kategorye; do pierwszej zaliczam te, które powstały w latach 1850—1852; do drugiej te, które po przerwie, poczynając od r. 1856, tworzył do r. 1860.

Pierwsza kategorya odznacza się, wogóle biorąc, pewną żywością dykcyi i często siłą komiczną; w drugiej, obok nudnych i rozwlekłych gadanin, znajdujemy także najlepszą z tego czasu komedyę.

Zacznijmy od pierwszej.

„Stara elegantka“ — to karykatura, która niedawno temu pod piórem p. Lubowskiego („Przyjaciółka żon“) przemieniła się na charakter, poczytywany za wytwór najnowszych towarzyskich stosunków. Dla podreperowania swej sakiewki stara się ona rozdmuchać iskierkę miłości pomiędzy żoną szlachcica a hrabią; rozsądek męża i wczesne odkrycie intrygi zapobiegają rozwinięciu się zgorszenia.

W „Wojnie z kobietą“ Korzeniowski chwycił się ponownie starego środka: przebrania, ale użyta do tego przebrania figura szczwanego, dowcipnego sługusa Bartosza z wielkim skreślona komizmem. Podrażniony i niby znudzony hrabia gdy od kochanej przez się kuzynki usłyszał, że do niej droga przez ołtarz prowadzi, zaczął jej nasyłać różnych niesmacznych konkurentów, dokuczając jej próżnostce arystokratycznej, wreszcie wybrał się do niej sam z lokajem Bartoszem, przedstawiając go za barona. Emilia, wcześnie przestrzeżona przez wiernego sługę, upokarza wojewodzica i wywołuje jego oświadczyny.

„Wąsy i peruka“ — to wypływ uwielbienia dla staroszlachetczyzny, bardzo powierzchownie zresztą wyrażonego, gdyż zasadzonego prawie wyłącznie na miłości dla stroju narodowego, z lekkiem zaledwie potrąceniem zepsucia obyczajów. Parę dowcipnych rozmów, efektowna scena, gdy wojewodzic

podstawia szablę Kortycellemu, ubranemu po francusku, wołając: „Hop, lalko!“ — to główne ozdoby tej sztuki.

Qui pro quo jest dość udatną krotochwilą, gdzie omyłka w adresach, popełniona przez doktora, sprowadza komiczne zawikłanie; „Przyjaciółki“ zaś, to farsa słabo prowadzona, o nizkim poziomie moralnym, dająca nauczkę mężom, żeby afektów swoich nie zwracali ku koleżankom swych żon.

W komedyach pisanych od roku 1856 przemaga forma wierszowana. Staranność o piękną dykcyę, tak samo jak w dramatach, jest i tu bardzo wielka, lecz siła prawdziwie komiczna rzadko kiedy towarzyszy doborowym słowom. Żywość dyalogu, a nawet jego charakterystyczność zazwyczaj się zatraca; autor skrępowany jest widocznie trudnościami rymu, które pokonywa, lecz z wysiłkiem, odbijającym się niekorzystnie na stylu, gdyż ten popada w rozwlekłość. Zdawałoby się, że powrót do formy, przez dawniejszą komedyę ulubionej, pociągnął za sobą główne ujemne strony tej formy, t. j. brak naturalności i pewną monotonię.

Pierwsza próba Korzeniowskiego napisania komedyi wierszem, to „Młody mąż“ (1856). Nie można jej nazwać szczęśliwą. Rzecz błaha, dowcipu niewiele, rozmowy rozwlekłe, wiersze poprawne, ale mdłe. Jest to przestroga dla starych żon zazdrosnych. Młody małżonek, chcąc połowicę swoję z zazdrości wyleczyć, udaje intrygę miłosną na maskaradzie; słucha potem morałów żony i — następuje zgoda.

Gdy się autor od więzów wiersza uwolnił w krotochwili: „Reputacya w miasteczku“ (1857), powróciła mu swoboda słowa, zręczność w prowadzeniu intrygi, dowcip i zdolność tworzenia sytuacyj komicznych. Wybornie są tu odmalowane stosunki i rywalizacye małomiasteczkowe. Rodziny rej tu wodzące, zmistyfikowane przyjazdem jakiegoś młodzieńca, wyprawiają mu ucztę, a przekonawszy się o omyłce, lekceważą go.

Resztę komedyj swoich napisał Korzeniowski w Nizzy, dokąd, zmęczony trapiącym go już od dawna kaszlem, wyjeż-

dżał w r. 1858—1860. Owocem każdorocznego tu pobytu były dwie lub trzy komedye, które dla uprzytomnienia sobie kraju na obczyźnie opracowywał.

Najbardziej z okolicznościami owoczesnemi związaną jest „Podróżomania“. Gdy po ukończeniu wojny krymskiej i zawarciu pokoju paryskiego (r. 1856), rozpoczęła się w Rosyi doba reform, gdy między innemi udogodniony został wyjazd za granicę przez łatwość dostania paszportu i jego taniość, zaczęto jak w cesarstwie tak i w królestwie z dogodności tej tłumnie korzystać, zwłaszcza że komunikacya odbywała się już kolejami żelaznemi. Korzeniowski znamienny ten objaw życia ówczesnego pochwycił na gorącym uczynku i upamiętnił go komedyą. Nie był naturalnie przeciwnikiem podróży za granicę z celem jakimś ważnym istotnie dla nauki, sztuki, przemysłu czy zdrowia, lecz karcił surowo wycieczki dla popisu i marnotrawstwa, które, niestety, daleko częstsze bywały od pierwszych, mianowicie wśród warstwy szlacheckiej. „Podróżomania“ nie jest komedyą charakterów, nie odznacza się silnie ześrodkowaną akcyą, lecz jest szeregiem zabawnych, pociesznych i komicznych obrazów, w których próżność połączona z brakiem rzetelnego wykształcenia i istotnej oszczędności, po zabawieniu nas smutne a nawet bolesne nasuwa w końcu refleksye.

Komedya ta napisana jest jędrną prozą; przedmiot świeży dostarczał widocznie autorowi żywych barw stylowych. Nie można tego powiedzieć o „Starym kawalerze“, również prozą pisanym, osnutym zapewne na jakimś wypadku rzeczywistym z czasów dawniejszych, a opartym na motywie dramatycznym bardzo starym, bo na poznaniu w tej, z którą chce się żenić stary kawaler (schorowany major)... swojej własnej córki. Podrzędne tylko figury sług są dobrze wykonane; akcya wlecze się bardzo powoli; dowcipu brak.

Inne komedye z tego czasu, pomiędzy któremi jest i niezbyt udatne libretto do opery Moniuszki: „Rokiczana“, pisane są wierszem.

„Konkurent i mąż“ jest to bardziej nowożytne, bardziej

eleganckie „Poskromienie złośnicy“ Szekspira. „Pustynia“ jest zapełniona pięknemi i rozumnemi tyradami o wychowaniu, francuszczyznie, pracy, obowiązku, a przedstawia pogodzenie się z życiem Henryka zawiedzionego przez kobiety. „Plotkarz“ — to rozwlekłą, nie ożywiona ani sytuacyami komicznemi ani dowcipem relacya o postępku Bartka Zięby, co domysłami swemi o stosunku żony zacnego i rozumnego hrabiego z dawnym jej wielbicielem wprawia w ruch wszystkie języki Humania, a na chwilę samemu hrabiemu nawet nasuwa podejrzenia.

„Majątek albo imię“ stanowi wyjątek wśród tych robót, natchnionych zacną myślą, ale dalekich od wartości estetycznej. I w tej komedyi wprawdzie akcyi jest niewiele, rozmowy za długo się przeciągają i nie celują żywością i werwą; ale są prawdziwe charaktery, jest istotny dowcip słowa, a kilka sytuacyj szczerym odznacza się komizmem; całość zaś jest tak dobrze ułożona, że jakkolwiek niektóre położenia naciąganemi trochę wydać się mogą, nie można im przecież odmówić należytego upowodowania artystycznego. Wszystkie szczegóły są starannie obmyślane i opracowane; zajmują swoje właściwe miejsce w utworze, nie wyskakują nigdzie niespodzianie i nie w porę. Charakter pełnoletniej panny, Anieli Bydgowskiej, ukształconej, jasno na rzeczy patrzącej, bardzo zręcznej i powabnej, z dobrem w gruncie sercem, ale wychowanej przez matkę próżną w sferze konwencyonalnej, która pragnęła widzieć swą córkę na wielkim świecie, a więc w wyborze męża kazała powodować się nie skłonnością, lecz widokami na przyszłość: zdobycia albo dużego majątku, albo też arystokratycznego imienia, — jest bardzo dobrze i konsekwentnie w sztuce przeprowadzony. Od pierwszej chwili poznania pięknego, rozumnego i dzielnego charakterem artysty Karola widzimy jej dla niego żywą sympatyę, która przygłuszana bywa dotychczasowemi nawyknieniami oraz radami śmiesznej arystokratki, ciotki Reginy, ale która żyje w głębi serca i sprawia, że gdy goły hrabia oświadcza chęć posiadania jej ręki, a właściwie jej

mienią, wiadomość tę przyjmuje Aniela spazmatycznem ziewaniem, chociaż nie ma siły odrzucić propozycyi. Odmawia urzędnikowi, Antoniemu Lickiemu, dlatego że nie ma wydatnego stanowiska w świecie ani znacznego majątku, przyjmuje go zapominając łatwo o hrabi, gdy milionowy wujaszek sprawę poparł; a robi to dlatego tak obojętnie, że miłość Lickiego nie obudziła w niej żywszego nad przyjaźń uczucia. Z tego powodu, gdy się Licki, zrażony tem, że nie jego osobę, lecz majątek ceniono, zwrócił ku poczciwej Basi; gdy hrabia otrzymawszy spadek, nie myślał ponawiać oświadczyn, Aniela nie z gniewu, nie pod wpływem zawodu, lecz uszczęśliwiona tem, że może posłuchać serca, wyrzeka się szukania i imienia i majątku, powierzając swe losy ubogiemu artyście, synowi wieśniaka. Przejścia te psychiczne nie są wprawdzie wycieniowane, ale zaznaczone, jak na scenę, dostatecznie. Obok Anieli drugą wybitną postacią komedyi jest hrabia Janusz, w rysunku którego widzimy pewne pochylenie się ku karykaturze. Zbyt mianowicie otwarcie i zbyt seryo wobec osób z innej klasy społecznej wygłasza swoje mniemania o wyższości zagranicy nad kraj rodzinny, zbyt jawnie okazuje swoje lekceważenie artystom i urzędnikom, od których jednak zmuszony jest parę dukatów pożyczać. W powieści figura taka raziłaby niewątpliwie, ale na scenie, jeżeli się chce uniknąć monologów, takie zaznaczenie postaci jest do pewnego stopnia uprawnione i potęguje wrażenie komiczne. Trzecią figurą żywą w komedyi — to Wincenty Starzycki, wuj Antoniego, bogaty szlachcic-rubacha, ukrywający jednak pod temi szorstkiemi formami spryt duży i niemały zapas ironii. Jego rozmowa z malarzem, a zwłaszcza z Anielą należy do bardzo charakterystycznych i bardzo zręcznie przeprowadzonych. Inne figury są dobrze nakreślone, ale szkicowo traktowane. Całość wywiera harmonijne, pogodne wrażenie.

Bardzo nierówne, jak widzimy, były utwory Korzeniowskiego pod względem wartości estetycznej; w jednych prawda, siła, żywość, barwność, dowcip błyszczały jak w latach da-

wniejszych; w innych obok pięknych i rozumnych myśli — nużąca rozwlekłość, i pewna suchość wykładu. Jakkolwiek podobne objawy znaleźć było już można i w dobie poprzedniej, nie w takim atoli przedstawiały się one tam stopniu; wzmogły się teraz pod wpływem wieku i choroby. Czuł to sam autor, pisząc w r. 1860 swego „Plotkarza“, jak się wyraził, „na zakończenie skrybomanii“. Nie odpoczął wszakże. Okoliczności czasowe powołały go do pracy w innej dziedzinie, którą zresztą od młodości pilnie się zajmował.

VI.

Korzeniowski, jak wiemy, był zawsze zwolennikiem spokojnego rozwoju społecznego, zalecającym pracę usilną i wytrwałą na wszystkich polach, jako jedyną dźwignię postępu materyalnego i moralnego. Cieszył go więc w wysokim stopniu ten objaw żywszej, gorliwszej pilności około spraw ekonomicznych, naukowych i literackich, jaki zauważyć można było w kraju szczególniej od roku 1859, kiedy wpływy wewnętrzne i postronne, poruszenie przez rząd kwestyi włościańskiej, spotęgowany ruch przemysłowy i handlowy, ożywienie widnokręgu politycznego przez wojnę włoską, nabrały potęgi i do działania zachęcały.

Przez usta Henryka w „Pustyni“ wypowiedział on tę radość na myśl, że „zrujnowani przez nieład, dźwigniemy się ładem“, i z przyjemnością nakreślił obrazek krzątania się około dobra ogólnego (XI, 247):

.... Więc się szlachta na seryo do pracy
Poważniejszej zabiera? i już się sprzykrzyło
Próżniactwo, co niedawno chlubą naszą było?
Więc się przecie postrzegli, jak niewiele wiedzą,
I po domach podobno i nad książką siedzą;
A jeśli się zbierają w kółko u sąsiada,
To, słyszę, kto najmędrszy, ten najgłośniej gada,

A inni go słuchają i notują w głowie,
Co rozumniejszy od nich z przekonania powie?
Nowość to jest nielada i fenomen wielki!
A drugi, że podobno karty i butelki
Poszły w kąt i nie świecą tam na pierwszym planie;
Że tylko dowodzenie i rozumowanie
O pługach, o nawozie, o uprawie roli,
O środkach, jak z żydowskiej wybić się niewoli,
Jest celem owych zjazdów i że z tej narady
Rozjeżdżają się wszyscy trzeźwi i bez zwady.

Lecz błogie te nadzieje o odrodzeniu się społeczeństwa w pracy zatruwała Korzeniowskiemu znajomość naszego usposobienia, brak wytrwałości na obranej rozumnie drodze. Wołał więc ostrzegająco (XI, 248):

Zapłonąć nam nietrudno. Rzecz dobra, chwalebna,
Nawet pokaźna tylko, choćby niepotrzebna,
Zapala nas od razu. Buchamy płomieniem,
Póki trud i powinność świeżem jest zachceniem.
Gdy skutek ich przeszkoda jakabądź oddala,
Jak spirytus, ten zapał całkiem się wypala.
Nudzi nas, co służyło zrazu do zabawy,
I zimniejszemi czyni dla najlepszej sprawy.

Łatwo zrozumieć, że gdy za inicyatywą margrabi Aleksandra Wielopolskiego nastała w Królestwie roku 1861 doba reform, które organicznie przeprowadzone być miały, Korzeniowski przylgnął całą duszą do sprawy, doskonale odpowiadającej jego najgłębszym przekonaniom, będącej spełnieniem najgorętszych jego życzeń. Stał się wielbicielem Wielopolskiego i chętnie poświęcił ostatek sił starganych służbie publicznej. Powołany na dyrektora wydziału oświecenia, z całą gorliwością zajął się ułożeniem projektu do reorganizacyi szkół elementarnych, powiatowych i gimnazyalnych i opracowaniem ustawy Szkoły Głównej. Wychowany i wykształcony w tradycyach Komisyi Edukacyjnej, przejął z niej główną zasadę, t. j. zniesienie dualizmu nauk humanistycznych i realnych, i przepisał

jednakową edukacyę publiczną w gimnazyach dla wszystkich, chcących odebrać wychowanie średnie; specyalizacyę zaś na poszczególne kierunki i zawody naukowe przekazał dopiero uniwersytetowi, czyli Szkole Głównej. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły, tem bardziej, że jakkolwiek wiemy niezawodnie, iż Ustawa o edukacyi publicznej w Królestwie Polskiem z r. 1862 jest dziełem Korzeniowskiego, nie znamy przecież jej oryginalnego brzmienia, w jakie autor ją ujął, lecz w tekście urzędowym, w którym mogło uledz zmianie niejedno; nie znamy również motywów, któremi Korzeniowski projekt swój popierał. Pod tym względem trzeba czekać ogłoszenia rękopismów naszego autora, odnoszących się do tej kwestyi. Wprowadzenie w życie tej Ustawy dokonane zostało również niezmordowaną gorliwością Korzeniowskiego.

„Trzeba było widzieć — powiada świadek naoczny, Leopold Winkler — tego starca, nie mającego już pięciu minut spokojnych od prześladujących go bólów fizycznych, jak się ożywił, jak był pełen nadziei, jak był wdzięcznym margrabiemu, że go wybrał do tak drogiej sercu roboty. Dlatego też widząc w nim jedynie przyszłą pomyślność kraju, serdecznie gniewał się na młodzież za jej lekkomyślność, za manifestacye, które przeszkadzały prawdziwemu, jak się odzywał, patryocie, mężowi czynu postępować swobodnie na drodze obranej dla dobra kraju, i po której, sądził, że dojdzie bezpiecznie do celu“.

W tym duchu zalecania rozwoju spokojnego spisał też Korzeniowski swój testament dnia 11 maja 1862 roku, gdzie między innemi prosił Boga, żeby prowadził kraj „drogami rozumu, pracy i nauki“, żeby mu dał mężów, „którymby zaufał, którzyby mieli dość siły moralnej a władzy materyalnej, aby go wiedli do prawdziwych jego, a nie wymarzonych przez niedojrzałe głowy, przeznaczeń“.

Gdy rzeczy poszły w innym, niż pragnął, kierunku, przerwał Korzeniowski swe prace, poprosił o uwolnienie od obowiązków dyrektora wydziału oświecenia, które objął Michał

Grabowski, i w początkach roku 1863 wyjechał za granicę, gdzie znękany, zbolały i schorowany, ostatnie miesiące życia swego przebył. Zamierzał, będąc w Warszawie jeszcze, spisać autobiografię p. n. „Wspomnienia mojego życia“ i nakreślił wstęp do niej; teraz widocznie zaniechał tej pracy, a napisał natomiast ułamki „Trenów przedgrobowych“, poświęconych rozmyślaniom nad nieszczęściami kraju i nad przyczynami, co je sprowadziły, oraz dyktował, w chwilach wolnych od duszącej go astmy, córce swojej, p. Falkenhagen-Zaleskiej, sceny z obrazów dramatycznych p. n. „Nasza prawda“, które miały być osnute na tle najnowszych naówczas wypadków krajowych. Oba utwory spoczywają dotychczas w rękopiśmie. Krótki urywek z niedrukowanej także „Ody do Boga“ przytoczył p. Kazimierz Witte w „Tygodniku ilustrowanym“ (z roku 1888, Nr. 300).

Umarł Korzeniowski, otoczony staraniami żony i dzieci, w Dreźnie 17 września 1863 roku.

VII.

Rzućmy raz jeszcze okiem na przebieżoną drogę i starajmy się skupić w jedną całość rozproszone rysy, któreśmy w trzech dobach rozwoju talentu Korzeniowskiego poznali.

Temperament spokojny, chociaż od chwilowej popędliwości bynajmniej nie wolny, charakter wyrobiony, oparty na trwałych zasadach religijności, poczucia obowiązku i pracy wytrwałej, rozległe i gruntowne wykształcenie, zasilane ciągle czytaniem nowych dzieł w języku ojczystym, francuskim i niemieckim, przytomność umysłu niepospolita, spostrzegawczość bystra, dowcip na zawołanie, umiejętność podpatrywania śmiesznych stron w ludziach wielka, lecz nie zasłaniająca wcale oczu na strony ich dodatnie, uczyniły Korzeniowskiego człowiekiem światłym, wysoko ponad poziom przeciętny wzbijającym się, obywatelem, spełniającym zadania z swego zakresu su-

miennie, umiejętnie i z istotnym dla ogółu pożytkiem, ojcem rodziny najprzykładniejszym, wielce rządnym, w czynach okazującym swą miłość, uczestnikiem zebrań towarzyskich nader poszukiwanym, pisarzem wreszcie ulubionym i wywierającym na społeczeństwo wpływ doniosły.

Do zajęcia przodującego, kierowniczego stanowiska w literaturze i społeczeństwie przeszkodził mu brak ducha inicyatywy i brak śmiałości, podobnie jak Brodzińskiemu.

Korzeniowski był wielkim talentem, ale nie był genialnym. Nie przynosił on poezyi naszej nowych idei lub świeżych a ważnych pomysłów; brał ze skarbnicy cywilizacyi powszechnej i swojskiej te, jakie za najlepsze w danym czasie uznał, zastosowywał je do potrzeb chwili, ubierał w szaty skromne, lecz schludne i przedstawiał je ogółowi do rozwagi. Słowa, któreby przebiegło jak iskra elektryczna i wstrząsnęło ten ogół, nie wypowiedział nigdy, a nawet wyjątkowym w jego pomysłach był utwór („Karpaccy górale"), który budził żywsze serca bicie. Jasność w myślach, umiarkowanie w uczuciach, ład i sumienność w postępowaniu ceniąc najwyżej, nie mógł i nie chciał ani sam zbaczać, ani społeczeństwa swego prowadzić do krainy, w której „zapał czyni cudy", w której serce łamie, czego rozum złamać nie może. Rozum jego, rozległy i zdający sobie trzeźwo sprawę ze wszystkiego, zawsze mierzył zamiary według sił, a nie mając głębokości, nie lubił wnikać w ostateczne, dostępne ludzkiemu poznaniu zakątki tajników i nie popadając ani w optymizm, ani w pesymizm, chociaż widział więcej na ziemi cierpień niż radości, zadawalniał się tem, co o tajnikach życia mówiła tradycya religijna. Stąd wstręt jego do zaciekań filozoficznych, stąd brak pogłębienia psychologicznego w charakterystyce osób, stąd unikanie przedstawiania ludzi, którzy się wyższej pracy umysłowej oddają, stąd w traktowaniu życia artystycznego i sztuki przewaga uwag natury technicznej lub moralnej nad myślową i idealną; stąd wreszcie nieuwzględnianie rozleglejszych widnokręgów przy obrazowaniu stosunków towarzyskich, co miał na myśli p. Klaczko, gdy

autorowi „Krewnych“ zarzucał przesadnie „rozpaczliwą poziomość natchnienia, sceptyczną rezygnacyę na bieg ludzkich rzeczy, ciągłe apoteozowanie rozsądku i użyteczności kosztem najdroższych marzeń i najszlachetniejszych uniesień, nieustanne przestrzeganie przed bezpośredniemi, instynktowemi popędami naszej duszy i zalecanie tej miernej cnoty i cnotliwej miernności i tej umiarkowanej temperatury, którą na termometrze serca oznacza punkt zera między ciepłem uczucia a chłodem rozumu“. Zdjąwszy z tych słów zabarwienie przesadne, otrzymamy trafne określenie rodzaju umysłowości Korzeniowskiego, nie torującej dróg nowych, nie nurtującej głębin, ani nie zapowiadającej wniebowstąpień, lecz przechadzającej się rozważnie po wielce urozmaiconych błoniach życia powszedniego.

Tam nawet, gdzie w zakresie naszego piśmiennictwa wchodził na nieubite jeszcze ścieżki, nie miał dosyć śmiałości, by głośnym okrzykiem powołać na nie innych. I tak, był on niewątpliwie pierwszym u nas chronologicznie dramaturgiem, który odrzucił ciasne więzy poetyki francuskiej i poszedł za nowszemi niemieckiemi a potem angielskiemi wzorami; ale nie on, tylko Juliusz Słowacki pociągnął w tym kierunku późniejszych pisarzy naszych. Korzeniowski zbyt lękliwie, pocichu, bez rozgłosu wprowadził reformę do tej gałęzi piśmiennictwa, tak że zaledwie najbystrzejsi naówczas znawcy dostrzegli ten kierunek i przepowiadali twórcy „Anieli“ i „Mnicha“ wielką przyszłość; ogół zaś piszących pominął te próby odnowienia dramatu obojętnie i dopiero gdy Słowacki z „Maryą Stuart“ i dalszemi utworami wystąpił, wdzięcznie wspominając o swoim poprzedniku, uznano przełom za dokonany. Podobnież zupełnie spokojnie i bez hałasu przetworzył Korzeniowski komedyę typów na komedyę charakterów indywidualnych, nie wywołując ani zdziwienia ani też naśladownictwa, gdyż obok jego dzieł w tym nowym kierunku pojawiają się komedye Stanisława Bogusławskiego, zupełnie dawniejszym trybem tworzone. Bo i w tem nie miał nasz autor koniecznej stanowczości, ponieważ sam, lubo rzadko, wracał do sposobów tworzenia już sta-

rzejących się lub całkiem przestarzałych. Zasługa też jego w tym względzie do tej pory nie była uwydatniona przez krytykę i dzieje piśmiennictwa, choć taka reforma komedyi utworzyła nowy okres jej rozwoju w naszej literaturze i wpływem swoim sięga do dziś dnia, jeżeli zwrócimy uwagę na rzecz główną. a nie na modyfikacye poboczne.

Nie będąc jednak inicyatorem wielkich przemian w literaturze, nie chciał być Korzeniowski bezwarunkowym zwolennikiem tych, jakie się przy nim dokonywały. Ani zapalonym romantykiem w dobie romantyzmu, ani stanowczym demokratą w dobie przewagi kierunku demokratycznego, ani wstecznikiem w dobie reakcyi nie został; zawsze zachowując chociaż nie wybitną i nie głośną, ale swoją własną, na jasnych przekonaniach i dążnościach opartą samodzielność, a objaw ten, należący do bardzo rzadkich, nawet wśród ludzi utalentowanych, zasługuje na szczere uznanie i gorącą pochwałę.

Koło tej samodzielności nie jest wielkie, ale bądź co bądź istnieje; zakreślają je promienie uczuciowości i fantazyi autora.

Umiarkowana temperatura pierwszej i niezbyt wysoki polot drugiej wykluczyły z zakresu twórczości Korzeniowskiego zdolność do malowania uczuć głębokich i subtelnych, charakterów wielkich i wstrząsających duszę, sytuacyj pełnych grozy lub rzewności, marzeń i wzruszeń mistycznych. Przeglądając w myśli ten ogromny szereg położeń, jakie w dramatach i powieściach swoich stworzył Korzeniowski, napróżno wypatrujemy tragiczności, i w tem jest on podobny do Kraszewskiego. Znajdziemy tam różne rodzaje cierpień, bólów, śmierci; znajdziemy nieszczęścia i klęski wielkie, widoki przerażające; ale nie spotkamy prawdziwej tragiki. Dlaczego? Bo do odmalowania sytuacyi tragicznej potrzeba potężnego uczucia i potężnej fantazyi; potrzeba czuć wulkan w piersi własnej i mieć do rozporządzenia całą skalę i wszystkie tony barw, ażeby podołać zadaniu. Podobnież, nie brak u Korzeniowskiego łez, może nawet za często płaczą jego mężczyźni, jakby spadko-

biercy powieści sentymentalnych z początku naszego stulecia; lecz brak jest obrazów, któreby w samym czytelniku silne rozrzewnienie wywołały, a które u Kraszewskiego np. zjawiają się tak często. Tu mała subtelność w odczuwaniu i dobieraniu barw słowa sprowadza pewne zobojętnienie i w czytelniku, któremu lepiej byłoby odtworzyć sytuacyę płaczącego niż powiedzieć poprostu, że ktoś płakał. Sceny fantastyczne, ilekroć próbował je nakreślić autor „Nowych wędrówek oryginała“, nie sprawiają odpowiedniego wrażenia, gdyż wyobraźnia autora za mało posiadała lotności i giętkości.

Natomiast wszystko, co się blizko ziemi trzyma, wszystkie szczegóły powszedniego życia towarzyskiego, wszystkie postaci ludzi zacnych, rozumnych, porządnych, dowcipnych lub też naodwrót — przewrotnych, obłudnych, wykolejonych, upadłych, nierozważnych i głupich, wszystkie charaktery nie wkraczające w dziedzinę wzniosłości, wszystkie uczucia szlachetne czy niecne, byle tylko zbyt wysoko lub zbyt nizko poza średnią miarę nie przechodziły, miłość, nienawiść, obojętność, cynizm, sarkazm, ironię, żartobliwość, komizm, od najwykwintniejszego do karykaturalnego, znajdowały w Korzeniowskim bardzo bystrego postrzegacza i malarza, którego nie zawiodło ani oko ani pewność ręki. Dla dobrych miał cześć, dla złych wyrozumiałość a nawet pewną skłonność do pobłażania; dla śmiesznych i głupich — dobroduszny uśmiech ironii. Ulubieńcami jego byli wojskowi. Iluż to generałów, pułkowników, oficerów przewija się przez wszystkie jego utwory! Bohaterów swoich, z wyjątkiem kilku w dramatach, robił zawsze, wprost przeciwnie aniżeli Kraszewski do r. 1870, ludźmi energicznymi, śmiało idącymi do celu, albo jeżeli malował ich słabość, to z zamiarem podźwignięcia w końcu ich woli i uczynienia dzielnymi przedstawicielami idei pracy i obowiązku. Ta energia silniej jeszcze była przezeń uwydatniana w młodych kobietach. Poczynając od Heleny w „Anieli“ do Jadwigi i Julki w „Krewnych“ narysował on cały zastęp wdów i panien, odznaczających się szlachetnością, uczuciowością, ale zarazem śmiałych,

odważnych, wytrwałych, bez wahania się idących naprzód. Istoty tkliwe i słabe są naturalnie i u niego, bo się znajdują w społeczeństwie, ale nie lubił ich malować wiele, a sympatyę swoją zwracał zawsze ku rozważnym i śmiałym.

Nikt lepiej od Korzeniowskiego i wielostronniej, z zachowaniem nader trafnego stopniowania i cieniowania, nie odmalował naszych rodzin arystokratycznych lub mających do arystokracyi pretensyę; nikt trafniej nie używał dowcipu salonowego; nikt przed nim nie obejrzał tak umiejętnie i nie odtworzył tak prawdziwie kantorów bankierskich, zabaw towarzyskich wśród żydów ucywilizowanych warszawskich, jadłodajni urzędniczych, stosunków i rozmów aplikanckich; on pierwszy sportretował rzemieślnika warszawskiego i opisał nauki i obrzędy w cechu stolarskim tradycyjnie przechowywane. A chociaż w malowaniu szlachty wiejskiej miał znakomitego poprzednika i towarzysza w Kraszewskim, nie zapożyczał się od niego w niczem, lecz owszem zaraz przy pierwszem wystąpieniu z większemi powieściami wprowadził obrazy charakterów, sytuacyj i stosunków, których Kraszewski przed nim nie tykał, a później przeniósłszy się do Warszawy i jako wizytator szkół jeżdżąc po całem Królestwie, ciągle zasób spostrzeżeń swoich nad szlachtą wzbogacał i pierwszy opisywał nie przedstawiane do jego czasów w powieściach okolice, charakteryzując je szczegółowo i dobitnie.

Wyznać jednak potrzeba, że charakterystyka Korzeniowskiego odnosi się przeważnie do zewnętrznej, powierzchownej strony człowieka i stosunków jego z innymi; a w określeniach duszy, umysłu, serca, wyobraźni poprzestaje na rysach grubych, łatwych do spostrzeżenia, bo rzucających się w oczy. I tu nawet, mianowicie w oznaczaniu poruszeń duszy za pomocą giestów, bywa dość jednostajny; należy szczególniej wytknąć dwa ulubione ruchy jego bohaterów i bohaterek: pocieranie czoła ręką i kładzenie dłoni przez kobietę na dłoń mężczyzny. Analiza psychologiczna nie była mu wprawdzie obcą, ale się rzadko do niej uciekał; dawszy w „Spekulancie“ przykład, że

proste przynajmniej objawy usposobienia i uczucia oraz ich zmiany dobrze potrafi podpatrzyć i odtworzyć, w późniejszych powieściach, choć sposobność ku temu nadarzała się nieraz, wolał pomijać rozbiór procesów duchowych i tłómaczenie przewrotów, jakie w duszy osób zachodziły, i zadawalniał się samem zaznaczaniem wyników. Nie było w tem niezawodnie teoryi zgóry powziętej, tylko częścią zamiłowanie w kreśleniu plastycznem osób i położeń, częścią oddziaływanie twórczości dramatycznej na powieściową, w dramacie bowiem sama jego forma powoduje wykluczenie szczegółowego wyjaśniania czynników, które na zmianę zaszłą w danej osobistości wpłynęły; widz musi w stosunku jednych do drugich wyjaśnienie takie znaleźć.

Korzeniowski nie hołdował hasłu, które pod wpływem filozofii niemieckiej znajdowało odgłos i u nas, że sztuka sama sobie jest celem. Przeciwnie był on od początku do końca swego zawodu tak w tej kwestyi, jak w innych, szlachetnym utylitarystą. Cel, dążność jasną i wyraźną miało każde jego dzieło. W dramatach, których bezwarunkowa większość osnuta była na stosunkach obcych lub na uczuciach ogólno-ludzkich, cel ten miał charakter wyłącznie moralny; w komedyach i powieściach przybierał on prócz tego cechę społeczną wytknięcia jakiejś wady, zdrożności, grzechu lub wskazania drogi ku lepszemu i szczęśliwszemu życiu. Nie przeszkadzało to jednak tworzyć autorowi figur żywych i nie zmuszało go bynajmniej do wykrzywiania i fałszowania prawdy gwoli tendencyi, lub do kreślenia postaci abstrakcyjnych. W komedyach, co najwyżej, dla uwydatnienia myśli przewodniej, dopuszczał się szarży i popadał niekiedy w karykaturę; w powieściach zaś, mając wedle ówczesnego, powszechnie jeszcze przyjętego zwyczaju, możność wypowiadania swoich poglądów na dane kwestye w ustępach wprost od siebie pochodzących, nie potrzebował zazwyczaj popełniać nawet takiego odstępstwa od prawdy. Tendencye zaś te, jeżeli obronę Rozalii z „Tadeusza bezimiennego“ wyłączymy, były rozumne i zacne, a względnie do

czasu, w którym autor pisał, postępowe, z małemi tylko wyjątkami.

Dramata w przeważnej części z powodu niezbyt wielkiej doniosłości idei i niezbyt wysokiego stopnia artyzmu, muszą utonąć w zapomnieniu; komedye zawierają bardzo dużo scen i figur znakomitych; ale jako całość tylko „Panna mężatka“, „Majątek albo imię“ i kilka krotochwil będą miały zapewnione w teatrze powodzenie; większość zaś powieści, choć nie zadowolni natur egzaltowanych, delikatnych i subtelnych, które w nich karmi dla siebie stosownej nie znajdą, będzie jeszcze bardzo długo czytana przez ogół, gdyż ogół ten ceni zdrowy rozsądek, w karbach trzymaną uczuciowość, sumienne spełnianie obowiązków, trzeźwe patrzenie na rzeczy bez szkieł optymizmu czy pesymizmu, a to wszystko Korzeniowski wybornie, niekiedy po mistrzowsku umiał malować. Dla autora, który pod hasłem pożytku ogólnego pracował, stanowi to najpożądańszą nagrodę i największą chlubę.

1891.

II.

LUDWIK SZTYRMER.

Przed trzema laty, po śmierci Sztyrmera, dostały mi się od jego rodziny, za pośrednictwem p. Aleksandra Walickiego, rękopisy po głośnym tym swojego czasu powieściopisarzu i publicyście. Znajdowały się wśród nich pamiętniki, pisane nadzwyczaj szczerze w wieku młodzieńczym, dzienniki, notatki, listy, które do poznania charakteru, trybu wykształcenia i stosunków literackich człowieka niepospolitego przyczyniały się w wysokim stopniu, a prócz tego rzucały światło na tak mało znane nam życie wewnętrzne szkół wojskowych w Królestwie przed rokiem 1830 (korpusu kadetów w Kaliszu, szkoły aplikacyjnej w Warszawie). Nakreślić na tej podstawie wizerunek interesującego wysoce pod względem psychologicznym charakteru, dać poznać otoczenie kadetów, wśród których się rozwijał i kształcił, przypomnieć niesłusznie dziś zapomnianego pisarza, który w dziejach literatury zajmuje właściwe sobie, odrębne stanowisko, uważałem za rzecz i potrzebną i mogącą zająć — i obecnie, spełniając ten zamiar, podaję zarys niniejszy.

I.

Temperament i charakter.

Temperament Sztyrmera składał się z dwu pierwiastków: buntującej się ciągle, lecz nigdy na razie niepokonywanej nieśmiałości, oraz z czułości skrytej, zamkniętej w sobie, mającej znamiona wyraźnie samolubne. Dwa te pierwiastki, pod wpływem bardzo wcześnie rozwiniętej skłonności umysłu do refleksyi, wytworzyły jego charakter. Objawiał się on już w najwcześniejszej młodości; tak, że cechy jego zasadnicze nigdy w dalszem życiu nie uległy zmianie.

Składniki owego temperamentu były widocznie odziedziczone po rodzicach i misternie ze sobą skombinowane, a więc częściowo zmienione.

Ojciec, Jakób Stürmer, pochodzenia niemieckiego, może dopiero za czasów pruskich do nas przybyły, był lekarzem wojskowym. Odznaczał się surowością, mało rozwiniętem uczuciem, brakiem wychowania i nabytym w wojsku nałogiem pijaństwa. Zbrzydziwszy sobie pierwszą żonę, rozwiódł się i ożenił z wdową po Kraszewskim, Julianną, z domu Linkowską, mówiącą źle po polsku, jak powiada jej syn, ale tak mile, że „niepodobna było się oprzeć jej słowom“. Przy całej „prostocie swojej“ miała ona „niepojęty urok“ w twarzy, coś niewypowiedzianie „miłego i słodkiego w swych rysach“. Uważana raczej za niewolnicę niż za żonę, chociaż czasami obsypywana czułościami, ustępowała wszystkim słabościom męża, znosiła w milczeniu jego często twarde i srogie postępowanie, wstawiała się za nim u przełożonych i kilka razy zachowała mu usuwającą się już posadę. „Czułość jej była nadzwyczajną; najmniejsza okoliczność wzbudzała w niej potoki łez“; mała słabość jednego z dzieci o mało nie wpędziła jej do grobu.

Ludwik, urodzony za czasów Księstwa Warszawskiego, 30 kwietnia 1809 r., w małem naówczas miasteczku Płońsku, miał trzy siostry: Józefinę, która „przejęła czułość matki, ale razem i popędliwość ojca“, Teofilę, skrytą, z silną, namiętną uczuciowością, z postacią „zachwycającą i czarującą“, oraz Leokadyę, najmłodszą z rodzeństwa, której charakterystyki nie znamy.

W synu srogość ojca wyrobiła przedewszystkiem nieśmiałość i pewne przytępienie uczucia, nie wylewającego się na zewnątrz, zamkniętego w sobie i tylko pod wpływem refleksyi dającego oznaki istnienia. Skrytość i obłuda już w dziecinnem serduszku się wytwarzały. Jedno zdarzenie z lat wczesnych, gdy miał 11 czy 12 lat, jaskrawo rys ten oświetli.

Było to w Siedlcach, dokąd ojciec Ludwika wraz z batalionem weteranów, których był lekarzem, już za czasów Królestwa się przeniósł. Oddany do szkół tamtejszych za dyrektorstwa Holewińskiego, mało się czego nauczył, woląc się błąkać sam jeden (bo znajomości z rówieśnikami zabierać nie lubił) po ogrodzie Aleksandrowskim, albo w pieczarach kaplicy Ogińskich, lub w kryjówce kościelnych lochów albo po polach. W domu nudziło mu się, chociaż doznawał pieszczot matki, chociaż jego jednego z całej rodziny, bez wyłączenia ojca, lubiła babka. Babka ta prawie przed samemi Zielonemi Świątkami, sama sobie śmierć przepowiedziawszy, nagle skonała. Ludwik, wychodząc do szkoły, zostawił ją żywą, za powrotem ujrzał martwą i cały dom w żałobie. „Pamiętam — opowiada on w 25-tym roku życia — jak gdyby się to dziś zdarzyło, że strata ta bardzo mało mnie obeszła i że zupełnie nie miałem ochoty płakać, ale rozbierając w umyśle skutki takiej obojętności, lękając się, aby mnie nie nazwano niewdzięcznem, wyrodnem dzieckiem, na siłę zacząłem łez dobywać i udawać największe strapienie. Już wtenczas byłem zimnym, obojętnym i myślącym. Gdyby się ta okoliczność dziś zdarzyła, możebym nie inaczej postąpił, tak mało się zmieniłem w charakterze. Wtenczas już miałem nasienie wszystkich moich skłon-

ności, czas je tylko rozwinął, uczynił silniejszemi i jaśniejszemi".

Wnosić atoli z tego faktu, że Ludwik był przewrotnym i fałszywym, bynajmniej nie należy, jak z faktu wałęsania się w czasie godzin szkolnych, że miał wstręt do nauki. Był on w gruncie duszy prawym, ale nieśmiałość, lęk przed opinią najbliższego czy dalszego otoczenia, nie dozwalał mu się w danej chwili wypowiedzieć ze swemi myślami lub uczuciami i zmuszał do udawania; w nauce zaś robił wielkie postępy, gdy chęć do niej z niego samego wychodziła, gdy nie była narzucona i obowiązkowa.

Nieśmiałość jego wyhikła zapewne najprzód z właściwej organizacyi nerwowej; utrwalała się zaś wskutek srogości ojca, niezręczności i niezgrabności w towarzystwie. Bawiąc się z kolegami, zawsze czuł się od nich niższym fizycznie, zrażał się do nich i do zabawy. Brakło mu przytomności umysłu na razie, tak jak Roussowi; dopiero gdy sam został i gdy idąc za swą refleksyjną skłonnością, zaczął się zastanawiać nad położeniem, znajdował potrzebne i trafne odpowiedzi, gniewał się na siebie, że ich we właściwym czasie nie użył — i na drugi raz robił tak samo. Każde spotkanie z nieznajomemi osobami przejmowało go lękiem; potrzebował obcować z blizka i długo z ludźmi, ażeby nabrać z nimi niejakiej pewności siebie. A i wtenczas łatwo go było opanować, i nim powodować, choć się zżymał i słabość sobie wyrzucał.

Bo ta nieśmiałość miała swe właściwości. W duszy był Ludwik hardem i butnem chłopięciem, tylko nie mógł rozciągnąć władzy nad swemi nerwami. Jest to wogóle charakterystyką natur, nie mających zdolności ekspansywnej, zamkniętych w sobie i skrytych. Oto przykład z pobytu 14-letniego chłopca u wuja w Łęczycy, opowiedziany własnemi jego słowami:

„W mieście zaczęto wyrzucać wujowi, że mnie nigdzie nie wprowadza; namawiał mnie przeto, aby odwiedzić niektóre osoby: ale tak wielką była nieśmiałość moja do kobiet, taka

bojaźń wizyt w obcym domu i tak silne prośby, aby mnie zostawił spokojnym, że nareszcie śmiejąc się i gniewając, uległ memu kaprysowi. Powoli zaczęto mnie w całem mieście nazywać małym filozofem, co mnie niewiele obchodziło. To jednak jest godnem uwagi, że nie chcąc wchodzić w towarzystwa, w niedziele jednak i w inne dnie chodziłem w mundurze do kościoła, nie żeby się modlić, ale żeby mnie widziano; zdawało mi się, że wszyscy na mnie tylko patrzą; stawałem zawsze przy ławkach dam, a dość było, aby w którym domu była młoda panna, żebym tam nie poszedł — tak byłem nieśmiały. Na ulicy szukałem sposobności, aby się kobietom natrącić. Było to młode, żywo już wtenczas odzywające się przywiązanie do całej płci, które czas tylko wzmocnił do tego stopnia, że dziś mogę powiedzieć, że żadnej kobiety tyle nie kochałem i kochać nie będę, jak wszystkie razem... Moje zatrudnienia, przechadzki ponad wodą, po polach, błąkania się po ulicach wieczorem, gdy kobiety spacerowały, rozkosz, którą czułem, patrząc tylko na nie; wszystko to sprawiło, że czas niezmiernie szybko mi upływał. Prawie przed samym końcem wakacyj, po wielkich trudach namówiono mnie, abym z wujostwem poszedł do publicznego ogrodu. Bałem się kobiet — poszedłem jak na śmierć, przekonany, że w czasie spaceru którakolwiek ze znajomych przyłączy się do nas. I nie omyliłem się, bo ledwie weszliśmy w pierwszą aleję, na zakręcie, gdzie się ta rozdzielała na dwie inne, wujenka, zobaczywszy znajomych, poszła ku nim; ja zaś dla uniknienia tego, pociągnąłem wuja w drugą, ależ, o nieszczęście! ledwie kilka kroków zrobiłem, widzę kilka nadchodzących kobiet naprzeciw nas; pytam się wuja, czy znajome, odpowiada z uśmiechem, że znajome; chciałem uciec, ale odwróciwszy się, spostrzegłem wujenkę, która z swoją kompanią szła za nami. Tak tedy okrążony ze wszech stron, zarumieniony, zmieszany, stanąłem, oddając się w opiekę losu. Ledwie odeszły, prosiłem wuja, żeby jak najprędzej wyjść z ogrodu".

Przemógł w sobie w latach późniejszych tę obawę przed

nieznajomymi; ale przy pierwszem spotkaniu, zwłaszcza z kobietami, drżał na całem ciele, lubo tak samo jak w Łęczycy, lubił przed niemi paradować w mundurze, sądząc, że ściągnie oczy na siebie.

Uczuciowość, zamknięta w sobie, z mocnym odcieniem samolubstwa, przejawiała się z początku całkiem biernie w zamiłowaniu do samotnego wałęsania się po lasach i polach, po cmentarzach i zakątkach, i do całkiem nieokreślonego marzycielstwa, które mu jednak nieopisaną rozkosz sprawiało. Pragnienie swobody było w nim tak wielkie, że mu władza rodziców nawet, nietylko przełożonych, ciążyła, i wesół bardzo dom opuszczał, czy to gdy go oddawano podczas wakacyj w Siedlcach na pensyę dziewcząt do pani Filemonowiczowej, czy gdy jechał do szkół do Kalisza, czy gdy się do wuja do Łęczycy wybierał. A przecież nie była to bynajmniej jakaś obojętność względem rodziców, a zwłaszcza względem matki i sióstr, bo tęsknił do nich i z rozrzewnieniem ich witał po długiem niewidzeniu, czując, że jest kochanym; była to jedynie wczesna chęć użycia woli własnej, zrzucenia bodaj najlżejszych pęt zależności. Zakaz budził w nim nieprzepartą żądzę sprzeciwienia się; ojciec zabraniał mu przyjaźnić się z niejakim Rejnholdem, synem wdowy lekkomyślnej i żyjącej nad stan, wielkim wisusem, ale Ludwik dlatego właśnie, że mu zabraniano, lubił z nim obcować i biegać wszędzie.

Życzenie posiadania przyjaciela jest zwykłym objawem wśród dzieci i młodzieży. Ludwik bardzo wcześnie poczuł to życzenie. Pierwszym wybrańcem jego, w Siedlcach, był Wincenty Glinojecki; nazywał go przyjacielem, „nie wiedząc jeszcze znaczenia tego wyrazu“, i czuł „niczem niezatrutą słodycz przyjaźni“. Ale był bardzo drażliwym i dotkliwym na doświadczony od wybranych zawód. Jego uczucie przyjaźni nie było całkowitem oddaniem się pociągowi sympatyi; rozmyślał on nad niem, chciał, żeby przyjaciel zawsze mu coś zawdzięczał, bolało go, gdy jego milczącego zachowania się nie rozumiano, gdy go nie odgadywano. Nawet w przyjaźni lubił po-

stawić na swojem; jeśli go przyjaciel opuszczał, starał się o powrócenie chociaż na czas krótki dawniejszego stosunku, ażeby już sam mógł go zaniedbać.

Wielkie na dalszy rozwój swych uczuć znaczenie przypisywał 25-letni Sztyrmer zawodowi, jakiego doznał od pierwszego silniej pokochanego przyjaciela, gdy miał lat 14-cie, będąc w korpusie kadetów w Kaliszu. Wziętość, którą zjednała mu biegłość w matematyce, zbliżyła do niego Rudolfa Hasforta, „prawdziwego Niemca co do postaci i charakteru". Stosunek ich zmienił się wkrótce w silne przywiązanie do tego stopnia, że się razem uczyli, razem spacerowali, razem wstawali zrana, słowem byli z sobą nierozłączni.

„Z jakąż rozkoszą — powiada Ludwik — w przechadzkach, któreśmy odprawiali za miastem, błądziłem z nim po pierwszych śniegach, szukając z zapałem ostatnich kwiatków jesieni, skrzepłych od mrozu zimy! Ileż słodyczy miały w sobie nasze rozmowy w czasie tych przechadzek! Były to zwykle marzenia przedwczesne o przyjaźni, o sławie, o talentach, o przyszłości. Duszę moją byłbym przelał w niego w tych chwilach, ale niestety! on był zbyt zimny, aby płomienne moje czucia, aby tę wielką, *chociaż ukrytą we mnie* myśl szczytności mógł ze mną podzielić! Ach, gdyby ten pierwszy człowiek, do któregom się mocno przywiązał, stał się dla mnie przyjacielem, gdyby otworzył mi swe łono i pokazał choć chęć przywiązania i dowiódł, że przywiązanie to jest szczerem, nie miałżebym dziś innych wyobrażeń o ludziach? Od tego jednego człowieka zależało w owej chwili uczucie moje dla wszystkich ludzi. Długo *ważyłem swoje o nim zdanie,* i zawsze sobie powtarzałem tajnym głosem mego serca, że jeżeli pierwszy przyjaciel mnie nie zdradzi, znajdę ich więcej między ludźmi. Hasfort był *zbyt skryty,* obojętny i chytry, *abym się długo uwodził* jego przyjaźnią. Starał się przejąć moje wiadomości, szukał zdarzeń, aby korzystać z małego światła, i nadto jeszcze skrycie połączył się z moimi przeciwnikami i zrobił mi kilka nieprzyjemności przez trzecią osobę. Poznałem się na tem. Pierwsza

podobna chwila w życiu jest okropną dla człowieka czującego! Wylałem wiele łez, postanowiłem z nim zerwać; wstrzymywała mnie nieśmiałość i żal; napisałem do niego karteczkę z czułemi wyrzutami, odpisał na nią, tłómacząc się; za nią druga, trzecia i t. d.; nareszcie *pogodziliśmy się, i — za tydzień zobojętniony dla niego* zapomniałem o nim na zawsze".

I bezpośrednio po tych słowach, Sztyrmer, mimowiednie charakteryzując naturę swego uczucia, któremu zawsze o przodkowanie, o zwycięstwo chodziło, nawet tam, gdzie, jak powiada, tak silnie był przywiązany; pisze, co następuje:

„Głębokie uczucie zdrady Hasforta, która zależała na tem, że będąc z natury zimnym i chytrym, nie mógł się zgodzić z człowiekiem, który przewrócone i młodociane mając natenczas wyobrażenia, należał raczej do kraju poetów, niż do ziemi, uczucie to, mówię, tak mocne na mnie zrobiło wyobrażenie (!), że przez kilka dni prawie ciągle płakałem na ustroniu, zastanawiając się nad jego niewdzięcznością. Wreszcie żal ten przemienił się stopniami w słodką melancholią; chodziłem pod murami, zapomniałem o Hasforcie, ale inne myśli zbyt mocno mnie zajmowały. Wystawiałem sobie, że kiedyś w przyszłości będę miał ogrodzony samotny domek w lesie; w nim pełno książek matematycznych — i nic więcej. Zdało mi się, że nie można być szczęśliwszym w życiu. Gdy się zbliżyła niedziela, chodziłem cały dzień, pieszcząc się jedynie tą myślą. Wyszliśmy raz na spacer za miasto; była to dolina otoczona małemi pagórkami i przerznięta strumykiem; pamiętam dotąd, że biegałem po niknącym już śniegu, jak szalony, rozmawiałem sam z sobą; płakałem wpomniawszy, że na tem samem miejscu pierwszy raz przechadzałem się z Hasfortem, i że słodkie chwile pierwej znikły jak śnieg zimy. Ach! wtenczas już serce moje było na tej samej stopie jak później w dojrzałych latach. Płakałem; łzy te szły od wzburzonego serca *przeciwko woli umysłu,* który zawsze był obojętnym na wszystkie wypadki życia".

Inny przykład, z czasu, gdy Ludwik miał już lat 15,

jeszcze jaskrawiej oświetli tę właściwość duszy młodzieńca, pragnącego przyjaźni, ale zarazem nie chcącego, żeby ktokolwiek nad nim panował, żeby go w czem uprzedził, żeby go pozbawił swobody zdecydowania się na tę lub owę stronę. Żył w wielkiej poufałości i sympatyi z Knakem, człowiekiem „dość zwyczajnym“, z którym go złączyła niechęć wspólna do jednego z kolegów. Ponieważ sprawa niechęci tej podzieliła całą klasę na dwa obozy, ponieważ przełożeni szkoły patrzyli przychylnie na przeciwników Knakego, ten postanowił zrobić z siebie ofiarę i powiedział Sztyrmerowi, że chce przestać z nim obcować, ażeby mu przyjaźnią swoją i wspólną walką z przeciwnikami nie psuć opinii szkolnej. Pożegnał go ze łzami, uściskał i wprzód nim Sztyrmer zdołał mu odpowiedzieć, oddalił się.

„Ledwiem przyszedł do siebie — opowiada Ludwik — spostrzegłem delikatność jego postępku i postanowiłem walczyć z nim o palmę wspaniałomyślności. Pobiegłem go szukać, chciałem z nim mówić i odwrócić go od przedsięwzięcia, ale unikał mnie widocznie, a *przy wszystkich nie chciałem tego pokazać.* Zamiar mój jednak nie zmienił się; pisałem do niego przez trzecią osobę bileciki, przedstawiając mu moje uwagi; odpisywał mi, lecz z stałem przedsięwzięciem (!) dokonania swego przedsięwzięcia (!); nareszcie po dwóch tygodniach, utrudzony, przystał z niechęcią na moje żądanie, — i *tryumf mój był zupełny.* Oddałem się na nowo przyjaźni, *ale wdzięk jej nigdy już nie był tak silny.* Chociaż jego ofiara była skutkiem wspaniałomyślności, ale *pokazał, że się może obejść beze mnie;* — zresztą może skutkiem dziwnego mego charakteru, *przyjaźń ta ostygła*“, bo, kiedy wyjeżdżali razem z Kalisza, byli dla siebie jakby zgoła nieznajomi.

Nieśmiałość i hardość, bojaźliwość i upór, uczuciowość i refleksya, szukanie przyjaźni i ocenianie jej z samolubnego stanowiska; brak niemal zupełny bezpośredniości w wylewie uczuć wobec innych, a potoki łez w samotności: oto bojujące wiecznie w duszy już dziecięcej pierwiastki, które mu radości

trwałej dać nie mogły, ale też i smutek jego a cierpienie czyniły przemijającemi, do żywego nie raniąc, ponieważ filtrowały się raczej przez wyobraźnię, niż przez serce. Po wszelkiem przejściu bolesnem odczuwał on przykrość, „ale samym tylko umysłem“, gdy serce jego bywało zupełnie już obojętne. „Każde nieszczęście — mówi on — w mojem życiu podobnie na mnie działa: w pierwszej chwili jestem w rozpaczy, pierś mi ledwie nie pęknie z żalu i boleści; ale niech tylko jedna noc przejdzie, już całe moje nieszczęście zostaje tylko w umyśle; jak poruszona struna, tak serce moje wraca do stanu obojętności i robak gryzący zostaje tylko w mym umyśle. Dlatego-to *nigdy w mem życiu nie pamiętam tygodnia zmartwienia z jednej przyczyny*“.

Z takiem to usposobieniem, uzdolniającem do życia samodzielnego w wysokim stopniu, Ludwik sam jeden w świat wyprawiony został, zaledwie 13-ty rok rozpocząwszy.

II.

W korpusie kadetów.

(1821—1825).

Jako lekarz wojskowy, miał prawo ojciec Ludwika umieścić syna na koszcie rządowym w korpusie kadetów. Matka miała go odwieźć do Warszawy. Gdy zajechała bryczka, Ludwik tak był uradowany i nowością w jednostajnem życiu i myślą oswobodzenia się od władzy rodziców, że nie pożegnawszy się ani z ojcem, ani z siostrami, wybiegł z domu, aby się coprędzej w niej usadowić; dopiero „srogi głos ojca i płacz sióstr“ przypomniał mu jego omyłkę. W drodze, ubrany po wojskowemu, grał rolę opiekuna matki, ośmielał ją, zapewniając, że się im nic złego nie zdarzy. Matka śmiała się patrząc na 13-letniego rycerza. W Warszawie pożegnała go, gdy za-

brawszy tłomoczek, wsiadł do dyliżansu, który go miał zawieźć do Kalisza. Bez żadnej opieki, nie zbliżając się nawet bardzo do jadącego w tę samą stronę i w tym samym celu Juliana Borcharda, mając 20 złp. w kieszeni, za które zdawało mu się, że świat cały można było kupić, doświadczył na razie tylko uczucia swobody i niezależności, tak, że pierwsze chwile do „czarownych“ zaliczył. Życzył sobie, aby podróż trwała jak najdłużej. Po dwu dniach stanął wreszcie na miejscu; wziął swój tłomoczek i chcąc jeszcze kilka minut korzystać ze swej niepodległości, chodził z nim po całem mieście, nakupił różnych drobnostek i nareszcie wszedł do kadeckiego gmachu na rogu ulic Kolegiackiej i Marienstadt położonego, by się zameldować komendantowi Ignacemu Mycielskiemu. Stało się to dnia 24 sierpnia 1821 roku.

Korpus kadetów była to szkoła cztero-klasowa o bardzo szczupłym programie naukowym. Wojskową, praktyczną stronę wykształcenia, jakoteż nadzór nad karnością, spełniali prócz komendanta, kapitanowie: Grzegorz Pluciński i Józef Paprocki, czterej porucznicy: Józef Paszkowski, Onufry Misiewicz, Jan Krotochwil i Józef Pełzucki, wreszcie dwaj podporucznicy: Aleksander Orowski i Jan Kwiatkowski. Lekarzem był Jan Wodnicki. Strona wykształcenia naukowego pozostawała pod kierunkiem Józefa Regulskiego pułkownika. Matematyki w niższych dwu klasach uczył Stefan Wierniewicz, w wyższych — wraz z elementarnym i z konieczności pobieżnym kursem fizyki i chemii, Józef Frankowski; historyę i geografię wykładał Jan Fritsche; język polski — Stanisław Borodzicz; język ruski — Andrzej Pigulewski; język francuski — Ludwik Gravin; język niemiecki — Henryk Bernardowicz. Rysunków nauczał Antoni Jasiński, kaligrafii — Jan Toporski, fechtunku — naprzód Karol Oudot, potem Adryan Schmidt, a wreszcie Ludwik Fatou; kapelanem korpusu i nauczycielem religii był ks. Paweł Świątkowski. Na rok 1822/3 do powyższej grupy nauczycieli, przybyli jeszcze dwaj oficerowie: Władysław Zdanowski, uczący fortyfikacyi, „człowiek ze wszech miar godny, ale prosty, rzą-

dzący się odrębnemi maksymami i dziwak", oraz Łukasz Szczepkowski, wykładający artyleryę; na rok 1823/4 — drugi nauczyciel francuskiego, Józef Dejean [1]).

Gmach korpusu był dwupiętrowy: na dole mieściła się jadalnia i kaplica; na 1-em piętrze — klasy i lazaret, na 2-giem — sale sypialne. Ogólna liczba uczniów wynosiła 240. Dzielili się oni na dwie kategorye: jednę stanowili zamożniejsi, kosztem własnym utrzymujący się; zwano ich „patrycyuszami"; drugą biedniejsi, na funduszu rządowym będący, stanowiskiem do plebejuszów, czyli „gminu" byli podobni.

W tym gmachu i wśród takiego otoczenia przepędził Ludwik lat cztery. Wszedł wprawdzie do klasy 2-giej; ale w pierwszym roku nic się nie uczył, nie dlatego, żeby nie miał ochoty, tylko że „wcale o tem nie myślał, iż trzeba się było uczyć!" Tęsknota do domu, do rodziców teraz dopiero w sercu jego czy wyobraźni zagościła; chodził jak błędny, sam nie wiedząc, czego mu brakowało; pierwszy raz poznał niedogodne strony samotności, braku opieki, braku serca, przed któremby się mógł otworzyć. Towarzysz jego podróży do Kalisza, Borchard, znalazł zaraz znajomych, a on pozostał sam jak na puszczy. Tęsknota oddziałała na organizm, ból gardła przymusił go wejść do lazaretu, gdzie wyborne pierogi i bezczynność tak mu zasmakowały, że potem „na udane choroby, albo też sypiąc sobie wapno w oczy", przesiedział w nim prawie cały ten pierwszy rok. Był ostatnim w klasie; nauczyciele patrzyli nań niechętnie z powodu jego lenistwa, oficerowie — z powodu jego nieochędóstwa; towarzysze w liczbie 40-tu pogardzali nim niemal, będąc wszyscy starsi latami. „Odstręczony zewsząd" zbliżył się do niższej klasy, do młodszych, i z umysłem już nie dziecinnym, zaczął się bawić jak dziecko, choć i tu doznawał upokorzenia; dla niezgrabności, jaką w grze w piłkę okazywał, zwano go „dzieckiem ołowianem". Niejaki Jeska z 1-szej klasy, który mu okazał

[1]) Zob. „Rocznik woyskowy Królestwa Polskiego" za rok 1822, 1823, 1824, str. 168—170, 170, 171.

cokolwiek dobroci, stał się dla niego nieocenionym; zawsze byli z sobą razem, oddając się lenistwu i zdrożnościom, podkopującym zdrowie. Nadwerężenie wzroku wskutek sypania wapna do oczu było tak wielkie, że już w 18-tym roku życia trudno było Ludwikowi rozpoznać kolory; naruszenie zdrowia, osłabienie pamięci, wzrastająca nieśmiałość do ludzi, były skutkiem ówczesnego zachowywania się.

Na wakacye w sierpniu pojechał do Łęczycy, do wuja, w którym w pierwszej chwili dostrzegł część tej dobroci i czułości, jakie odznaczały jego matkę, i który istotnie okazywał mu serdeczną miłość. Wujenka była dla niego obojętną, a z ich synem bardzo żywym, on flegmatyk, Ludwik, zżyć się nie mógł. Bawiąc się, nigdy zabawie tej nie mógł się oddać z całego serca; zawsze z jakąś obojętnością, powagą i z jakąś wyższością moralną nad towarzyszem, który mu jej darować nie mógł; zbyt był dla niego rozważnym, choć jeszcze o żadnym określonym przedmiocie nie myślał. Kiedy się w niedzielę ubrał w mundur i kaszkiet, szedł ulicą „jak generał, który kilkanaście kampanij odprawił“; w kościele wszystkich oczy, zdawało mu się, że na niego są zwrócone. Raz tak dobrze grał swoją poważną rolę, że jakiś całkiem nieznajomy starzec w kontuszu przyszedł winszować jego wujowi, że ma tak pobożnego i dobrze wychowanego siostrzeńca; omylił się starowina polegając na oznakach zewnętrznych, bo Ludwik nigdy mniej nie był pobożnym jak wtenczas.

Chociaż na razie rozczarował się, bo sądził, że wuj mieszka w dużym murowanym domu, a zastał nędzny, drewniany, tę mający tylko zaletę, że był w rynku; chociaż od czasu do czasu wstydził się stanu swego wuja i jego mieszczańskiego pokrewieństwa, wakacye przecież przebył wogóle bardzo przyjemnie. Lubiany od wszystkich, pieszczony przez wuja i uważany za człowieka, który kiedyś uświetni swoją rodzinę, był zadowolony sam z siebie i uwierzył w końcu w to, czego sobie życzono. W tych to chwilach zadowolenia i słodkich marzeń o przyszłości, błysnęła mu pierwsza iskierka określonej roz-

wagi w umyśle; nie potrzeba lub korzyść, których przewidywać jeszcze nie umiał, lecz wyobrażenie sławy przejęło go zapałem do nauk. Odtąd rozkoszą jego było błądzić wokoło „starożytnych murów Łęczycy, chodzić samotnie po polach, drzeć się aż na szczyt zamku, aby tylko chwilę być wyżej nad ludzi, siedzieć samemu w pokoju“ wreszcie. Gdy wuj, zatrwożony temi objawami, pytał go o przyczynę, nie umiał jej oczywiście wypowiedzieć; wujenka dała mu na noc jakichś kropli, które mu bardzo pomogły... do dobrego snu.

Mając głowę nabitą myślami o rozwinięciu talentów i sławie, wsiadał do bryczki w końcu wakacyj i z największą ochotą wracał do Kalisza.

Innym się też pokazał i w szkole i wśród kolegów. Po trzech miesiącach w całym korpusie, między profesorami, oficerami i kadetami mówiono tylko o nawróconym na drogę nauk nieuku i wielkim jego do matematyki talencie. Wśród kolegów uczucia były podzielone; większość, nie zajmująca się naukami, a więc obojętna na czyjeś postępy, dziwiła się tylko; w tej zaś części towarzyszy, co goniła za laurami, wielu pożerała zazdrość, a niektórych nienawiść. On sam był najszczęśliwszy. Zajęty wyłącznie tylko matematyką, całemi dniami kreślił koła i trójkąty; godziny upływały mu niespodziewanie w tem „miłem zajęciu“ i nigdy nie miał dosyć czasu. Postać jego nabrała jakiejś godności; zaczął chodzić mierzonym krokiem, poważnie i w zamyśleniu.

„Wyniosłem się — powiada on — nad stan obojętnego i nic nie znaczącego w towarzystwie człowieka, do którego już nigdy wrócić nie mogłem; zacząwszy grać swoją rolę między kadetami, musiałem ją potem grać w świecie między ludźmi“.

Odstręczył się od towarzystwa i wśród 240 młodzieży postanowił być pustelnikiem. Wkrótce jednak, spostrzegłszy znaki przywiązania ku sobie w Janie Krukowskim i Franciszku Oborskim, którzy, lubo starsi wiekiem, w niższej byli klasie, przywiązał się do nich, a chcąc im dopomódz w nauce,

obrał ich za swych uczniów; jak tylko skończył swoje zatrudnienia, biegł natychmiast do nich. Charaktery ich zupełnie były odmienne: Krukowski zimny, powolny, pracowity, stały w przywiązaniu; Oborski lekki, wesoły, starający się więcej jaśnieć powierzchownością, niż posiadać coś gruntownie, zapominający niekiedy Sztyrmera, lecz za to gdy po takiem zapomnieniu wracał do niego, pieszczoty jego miały w sobie coś nierównie milszego, niż stała przyjaźń Krukowskiego. Oborski nic prawie nie skorzystał od Sztyrmera, a co nabył, to tylko na chwilę; Krukowski zaś, zapaliwszy się do nauk przy pomocy przyjaciela, stanął między pierwszymi uczniami, lubo zdatność posiadał niewielką, to też tkliwie, mocno, z całego serca, chociaż bez pieszczot, był do swego przewodnika przywiązany. Przechadzki z tymi dwoma przyjaciółmi i uczniami, stanowiły główną rozrywkę i szczęście 14-letniego młodzieńca.

Oddalenie się od reszty kolegów, a zwłaszcza celowanie w naukach, osiągnięcie pierwszego miejsca w klasie, budząc w młodych sercach zawiść, spowodowały w końcu prześladowanie.

„Dotąd jeszcze — pisze w 25-tym roku życia Sztyrmer — chociaż czasy te dawno minęły, nie mogę wspomnieć bez odrazy dwóch moich kolegów, Filińskiego i Kurzewskiego, którzy, choć ich najbardziej unikałem, tysiączne mi zadawali nieprzyjemności, biorąc przewagę nad nieśmiałym moim charakterem. Inni znów, nieprzyjaźni mnie, starali się starszych nieuczących się patrycyuszów podburzać przeciwko mnie. Raz wchodząc do klasy, byłem niezmiernie zdziwiony i przestraszony razem, widząc wszystkich powstających i okrążających mnie; nie słyszałem tylko najzelżywsze wyrazy, robiono mi występek z Krukowskiego i Oborskiego. Wśród trosków tak burzliwego życia, gdy mi wypadało unikać podstępów z jednej strony, a napaści z drugiej, dwaj moi uczniowie byli jedyną dla mnie pociechą; przed nimi odkrywałem swoje cierpienia, i to mnie tylko smuciło, że i oni dlatego, że byli ze mną związani, musieli znosić wiele przykrości, mniej jednak jak ja, bo

byli daleko śmielsi, a śmiałość i pewna moc charakteru jest nieodzowną w każdem towarzystwie — między dziećmi i między ludźmi. Najwięcej mnie to bolało, że nie widząc żadnej przyczyny, między 240 młodzieży, nie miałem tylko dwa serca dla mnie otwarte; reszta jak chodzące posągi mijała mnie, albo jeżeli się w którym odezwał znak moralnego życia, to tylko dlatego, aby mi przykrość wyrządzić".

Spotkała go natomiast nagroda od przełożonych, która go postawiła „na najwyższym szczeblu szczęśliwości", chwilowo przynajmniej. Stary dyrektor nauk Regulski, który był naturalnie bardzo niezadowolony ze Sztyrmera w zeszłym roku szkolnym, czując zapewne, jak silnie przemawia do młodego serca pochwała — publicznie, w czasie lekcyi, wobec kolegów oświadczył mu najwyższe swoje zadowolenie i w najpochlebniejszych wyrazach zachęcał do wytrwania.

„Zarumieniłem się cały z wewnętrznej radości — opowiada Ludwik — miłość własna ogarnęła czarownym urokiem najskrytsze zakątki mego serca, spojrzałem dumnie po swoich rówiennikach i ledwiem rozumu nie stracił z ukontentowania. Jest to jeden z momentów najżywszej rozkoszy w mojem życiu, dlatego może, że był pierwszym; nigdy potem po otrzymaniu dwóch nagród w korpusie, ani kiedym wychodził do Szkoły Aplikacyjnej, ani kiedym awansował na oficera, radość moja nie była tak silną; było-to pierwsze zadowolenie rozkwitającego rozumu".

Szczęście to jednak nie trwało długo; zawiść pomnożyła liczbę przeciwników Sztyrmera i podwoiła ich prześladowania. Pewnego dnia rozgniewany Filiński uderzył go; było to tak rażącem, że stojący obok starszy o cztery lata kolega Felicyan Szmidecki ujął się za nim; przykra ta chwila zjednała mu przyjaciela. Widząc Szmideckiego, biorącego jego stronę, przywiązał się do niego, pokochał go, zwłaszcza, że widział w nim coś szczególnego a nawet „jedynego w swoim rodzaju". Otwarty, szczery, zawsze zgodny ze swemi przekonaniami, choćby go to najwięcej kosztowało, szkodzący sobie nawet często przez ścisłe

ich trzymanie się; mówiący prawdę bez względu na osoby i okoliczności, w oczy i za oczy, surowy przestrzegacz wszystkich obowiązków, pobożny, chociaż nie bigot, zapalał się do wszystkiego, co szczytne i wzniosłe. Wstręt do kobiet był w nim nadzwyczaj silny i w późniejszym nawet wieku bardzo mało osłabł; nie lubił o nich rozmawiać i rozmową taką najprędzej można go było obrazić. Jeżeli mu się zdarzyło spotkać na ulicy kobietę, odwracał oczy w drugą stronę, aby na nią nie patrzyć, w gniew go to wprawiało. Jego twardy i nieugięty charakter mocno oddziałał na nieśmiałego Sztyrmera, powodował też nim jak dzieckiem; wolę jego uważał Ludwik za wyrok, a jego pochlebnem zdaniem o zdolnościach swoich jeszcze więcej zagrzewał się do matematyki.

Zajęcie się to naukami matematycznemi tak go pochłaniało, że kiedy towarzysze grali w piłkę i bawili się, on poważnie, spokojnie leżąc pod cieniem drzewa rozwiązywał zagadnienia planimetryczne i był szczęśliwy. Gdy się zbliżał egzamin, całą rozkosz przyszłą wypił Sztyrmer naprzód w marzeniu, jak to publicznie wobec kolegów i zdumionych gości, uczestniczących w akcie uroczystym, odniesie tryumf, okaże swoje zdolności, jak na wakacyach nowe go spotkają uwielbienia wuja, jak po wakacyach dostawszy nagrodę, będzie, zwyczajem ówczesnym, umieszczony w gazetach; wystawiał sobie, jakie będzie zdziwienie ojca, matki, wuja, znajomych — i nie posiadał się ze szczęścia. Rojenia te spełniły się całkowicie, ale urzeczywistnienie ich już mu takiej rozkoszy nie sprawiło.

I podczas wakacyj w Łęczycy zajmował się ciągle matematyką, i przykro był dotknięty listem ojca, który go monitował, że tak mało dotąd nauczył się pisać! on zajęty tak głębokiemi rzeczami, jak matematyka, miał zwracać uwagę na drobnostki kaligrafii!... Gdy wrócił do Kalisza, zanim lekcye się zaczęły, było jeszcze kilka dni odpoczynku, które prawie całe przepędzali kadeci na spacerach, zwyczajnie zaś wychodzili w każdą niedzielę, sobotę, a czasem i środę. Oto obra-

zek tych wycieczek, nakreślony przez Sztyrmera, bardzo niemi uszczęśliwionego:

„Naprzód przy odgłosie bębnów przechodziliśmy przez miasto, gdzie zawsze spodziewałem się jaką damę zobaczyć na ulicy, która raczy spojrzeć na mnie. W ślad za nami szła karawana ciastkarzy, — o, jaka przykrość dla każdego, który mając 6 groszy w kieszeni, musiał iść w szeregu do samych rogatek, nie mogąc korzystać ze swego kapitału. Za rogatkami rozchodziliśmy się. Wtenczas-to formowały się kółka; każdy sobie obierał towarzyszów małej podróży — dla mnie nieodstępny Krukowski. Okolice Kalisza, jakoto: Rypinek, Rajsków, Kościelna wieś, Tyniec etc. są czarujące. Rzeka Prosna rozlewa się na wiele odnóg i formuje małe strumyki, które w dolinach otoczonych pagórkami, pełnych gaików i lasków, czynią widok zachwycający. Widok wsi jest jeszcze czarowniejszy, przynajmniej nic dotąd w naturze milszego na mnie wrażenia nie uczyniło. Ta cichość, spokojność i wolne szczęście wieśniaków, ich domki porządne, oznaczające dobry byt, sady owocowe tuż przy domach, z których jadłem najsmaczniejsze jabłka w mem życiu, ule pełne pszczół; te wielkie buki, ocieniające ławeczkę przed domem i pies wierny, leżący przy niej. Kościołek i cmentarz i jesień i zżółkłe liście w sadzie i sadzawka, wszystko to tak żywo przemawiało do mojej duszy, że dotąd pamiętam każdy krok mojej nogi, każde stąpienie na tej szczęśliwej ziemi. Nigdy bez wzruszenia tam myśl moja nie wraca, nigdy bez westchnienia chwil tych nie wspomnę. Był-to jedyny peryod w mojem życiu, w którym wewnętrznie byłem sam z siebie zadowolniony, i wszystkie zdarzające się przykrości w moment były zapomniane. Nie znałem, co to nudy, nie pomyśliłem, żeby czas ten prędzej się skończył i że mi później będzie lepiej — byłem zupełnie spokojny, nie myśląc o przyszłości; jedna tylko myśl mnie zajmowała, to jest żeby wyjść do Szkoły Aplikacyjnej".

Gdy się rozpoczęły nauki, otrzymał Sztyrmer z rąk dyrektora Regulskiego ową nagrodę, o której przed wakacyami

jeszcze tak słodko marzył. Była to Geometrya Lacroix w języku francuskim. Krukowski zaś dostał dwie książki i zaledwie wyszedłszy z pokoju dyrektora, przybliżył się do Sztyrmera i oświadczając mu, że nagrodę tę odebrał jedynie wskutek jego trudów, prosił, żeby jedną z książek przyjął. Sztyrmer odrzucił propozycyę; uścisnęli się, przywiązanie ich powiększyło się w dwójnasób. Zajęcie się matematyką spotęgowało się jeszcze w tym roku. Przeglądając swą nagrodę i widząc, że dość dobrze rozumie matematyczny język francuski, rzucił się Sztyrmer z całym zapałem do czytania książek w tym języku, branych z biblioteki korpusowej. Bellavène, Legendre, Francoeur, Lemoine, Clairault, Euklides, Leonhardy i t. d. przelecieli szybko przez jego ręce. Zebrał zeszyt zagadnień z różnych autorów i uważał go za skarb nieoceniony. Koledzy uwierzyli także, iż w nim znajdować się muszą nader mądre rzeczy — i stąd nowa bieda! Trzeba było chować zawsze ten zeszyt, pilnować go, nosić z sobą, aby go kto nie wykradł. Drobnostka ta wywołała ze strony towarzyszy mnóstwo manewrów, przebiegów, podstępów, przymilania się i szpiegostwa. Szczególniej Sobieski i Gostkowski wyczerpywali wszystkie środki i podburzali innych, żeby zeszyt dostać do rąk. Przez półtora roku, t. j. aż do opuszczenia korpusu, nie miał Sztyrmer spokoju z tego powodu, a jednakże notatek swych nie zniszczył...

Nauczyciel matematyki w III. i IV. klasie, Józef Frankowski, zwrócił oczywiście uwagę na pilnego ucznia i pobudził go do tem gorliwszej pilności.

„Był to człowiek — mówi Sztyrmer w swych wspomnieniach — prawdziwie stworzony do prowadzenia młodzieży: delikatny, miły w zapytaniach, nigdy a przynajmniej rzadko pokazujący swój gniew i to bardzo umiarkowany, — jeden, między wszystkimi przełożonymi, który prawdziwie był poważanym, którego się nawet patrycyusze bali, chociaż im rzadko przykre słowo powiedział. Frankowski stanowi dla mnie wyjątek ważny bardzo. Wielu szacunku godnych ludzi znałem

w mojem życiu, ludzi zasłużonych, przyjemnych, miłych, posiadających tysiące zalet, ale baczne zastanowienie późniejszych lat pokazało mi w każdym z nich jakąś wadę mniejszą lub większą; wtenczas zaś Frankowski był dla mnie człowiekiem, który posiadał wszystkie przymioty w mojem zdaniu. Kochałem go więcej jak ojca, poważałem go, pewny byłem, że był najzdatniejszym człowiekiem w Europie. Kiedy mi się zdarzyło pierwszemu rozwiązać zagadnienie, pokazywałem mu go (!) na tabliczce drżącą ręką, a kiedy przejrzawszy go (!) na znak zadowolenia kiwnął głową, byłem w nieopisanym stopniu radości. Jego twarz była tak miłą, tak pełną rysów geniuszu, dobroci, łagodności i miłego charakteru, jego głos tak słodko brzmiący, jego postawa tak poważna, że nietylko kadeci, ale wszyscy oficerowie z największym dla niego byli szacunkiem".

Nietylko ciche, spokojne uznanie, lecz i głośne pochwały otrzymywał Sztyrmer w klasie, ale nie zawsze wychodziły mu one na dobre; często wywoływały przykrości. Zapisało się szczególniej w pamięci Ludwika jedno zdarzenie, o którem opowiada:

„Nie mogę nie wspomnieć porucznika Szczepkowskiego, profesora artyleryi, najlepsze mającego serce, ale słabego zbyt charakteru; wszyscy nim rządzili, nawet kadeci. Nieostrożna jego pochwała sprawiła mi raz wiele nieprzyjemności. Miałem mówić lekcyę; Szczepkowski, kontent zawsze ze mnie, chcąc innych pobudzić do uwagi, zawołał: Słuchajcie, panowie! pan Sztyrmer będzie mówił o składzie saletry. Poraziło to wszystkich moich kolegów; wszystkich oczy obróciły się na mnie i w tej chwili przeczucie zatruło mi uniesienie ambicyi. Chwilę tę opłaciłem tygodniem różnych przykrości".

W każdym razie, pomimo takich chwilowych zajść nieprzyjemnych i ciągłych nagabywań z powodu owego zeszytu matematycznego, rok ten trzeci pobytu w korpusie kadetów przeszedł bardzo przyjemnie i szybko. Wakacye, po raz ostatni spędzone u wuja w Łęczycy, mignęły się tylko. Po powrocie

do Kalisza otrzymał. Sztyrmer w nagrodę pilności wieniec srebrny, naszyty na wstążeczkę ręką pułkownikowej Regulskiej, prawdziwie pięknej kobiety, co niemało znaczyło w oczach czułego na wdzięki niewieście kadeta. Mniej mu atoli wieniec sprawił radości, niż pierwsza nagroda, a jeszcze mniej, niż pierwsza pochwała dyrektora, gdyż był pewny, że go dostanie.

Wypadki na większej widowni życia słabo przenikały do zakątka korpusowego i to o tyle tylko, o ile dotyczyły osób z korpusem w jakikolwiek sposób związanych. Podczas czteroletniego pobytu w Kaliszu we wspomnieniach Sztyrmera dwa jedynie tego rodzaju wypadki utkwiły: „deces“ generała Stuarta w Warszawie i „wyjście na reformę“ dyrektora Regulskiego.

Synowie Stuarta, Władysław i Konstanty, wychowywali się w korpusie kadetów. Przed katastrofą, która spotkała ojca, proszeni codzień na kawę do komendanta Mycielskiego, na podwieczorek do kapitana Plucińskiego, na niedzielę — w mieście, pieszczeni, chodzący we własnej bieliźnie, utracili te wszystkie przywileje po śmierci nieszczęśliwego rodzica roku 1824; ujrzeli się opuszczonymi, wzgardzonymi, zapomnianymi nareszcie od wszystkich. Władysław, mający wtenczas około 14-tu lat, czuł dobrze swoje położenie i często samotny opłakiwał los ojca. Widząc jego smutek, Sztyrmer wszedł myślą w jego położenie, wzdrygnął się z oburzenia „przeciwko podłości ludzkiej“, i pokochał go mocno. Zbliżył się do niego, zaczął mu pomagać w naukach i osładzał, jak mógł, dolę chłopca. Ciągnęła Ludwika ku niemu jakaś niepojęta sympatya; czuł „tak słodką rozkosz w jego rozmowie“, tak mocno go kochał, że każde jego poruszenie „posiadało jakiś nieokreślony powab“ dla niego. Prawie dzieckiem jeszcze będąc, nie mógł zajmującej prowadzić rozmowy, a jednak Sztyrmer przekładał jego towarzystwo nad inne, był niejako „przykuty duszą do niego“, wśród strapień postronnych, przychodził odetchnąć przy nim i odpocząć w miłem jego obcowaniu. Wogóle Ludwika „każdy młodzieniec skromny, nieśmiały, przyjemnej twarzy, zbliżający

się charakterem do płci pięknej, ujmował zawsze „i wiązał do siebie częścią tego uroku“, który mu „tak miłem i czarującem czyni towarzystwo kobiet“.

O powodach dymisyi powszechnie lubianego pułkownika Regulskiego chodziły w korpusie widać pogłoski tylko; Sztyrmer zapisał te jedynie słowa: „Nagle przyszedł rozkaz, że zostaje oddalony od powinności dyrektora nauk na reformę; była w tem jakaś ważna przyczyna, może nawet jego charakter przeciwny okolicznościom; pokryto ją jednak pozorem, że lekcye języka polskiego były zbyt wolne. Pamiętam, że człowiek ten był żałowany od całej młodzieży, co wiele znaczy. Żona jego, miła jak anioł, była przedmiotem jeszcze większego politowania. Łzy kadetów towarzyszyły mu do samej bramy, kiedy wyjeżdżał... Na jego miejsce przyjechał wkrótce podpułkownik kwatermistrzowstwa Koss, człowiek młody, godny bez wątpienia, ale zbyt popędliwy“.

Te dwa wypadki ogólniejszego znaczenia zajmowały korpus chwilowo tylko. Sprawy drobne, ale własne, z życiem szkolnem ściśle związane, stanowiły naturalnie, jak i lat poprzednich, główne tło zdarzeń. Pomiędzy niemi najważniejszem było podzielenie się korpusu „na dwie koterye“. Udział Sztyrmera w jednej z nich o mało co nie rozstrzygnął o jego przyszłości.

Główną jego ambicyą było pójść do Szkoły Aplikacyjnej, bo naprzód była to korona wszystkich usiłowań naukowych w zakresie wojskowości w Królestwie, a powtóre chciał się on połączyć ze Szmideckim, który już tam od roku bawił i z którym ciągłą utrzymywał korespondencyę. Sztyrmer był prawie pewnym, że będąc pierwszym w naukach ścisłych i nie mając złej kreski ze sprawowania, zostanie wysłanym w liczbie kilku innych. Nagle pewność ta wielce się zachwiała, a przyczyną była jedna z tych burz szkolnych, jakie zwłaszcza w zakładach zamkniętych zdarzały się często.

Niejaki Maryan Wachowicz, „czysta baba, który się tylko plotkami trudnił, który mężczyzną będąc, przez 9 lat pobytu

w korpusie, ciągle miał kochanków i lepiej znał kokieteryę jak modna aktorka, który wreszcie w dojrzałym wieku w Szkole Podchorążych kawaleryi, utrzymywanym był przez jednego ze swoich adoratorów i nakoniec po rewolucyi ożenił się z szynkarką w Łowiczu, będąc synem pułkownika polskiego i oficerem" — miał swoją w korpusie koteryę, która intrygując, pobudziła dwie klasy do jeneralnej bitwy na kije, cyrkle i noże. Po skończonej utarczce strony wojujące spostrzegły, że główną przyczyną ich zatargów był Wachowicz i jego mała koterya; gniew tedy cały zwrócił się na nich, a nienawiść stawała się tem sroższą, im więcej obie strony odczuwały nierozsądek swego postępku. Nagle stronnicy Wachowicza popadli w powszechną pogardę; przezwiska ubliżające, piosenki dotkliwe, satyry, a nawet i uderzenia spadały na nich; każdy z wyrządzania im przykrości robił sobie zasługę. „Niepodobna sobie wystawić — mówi Sztyrmer — z jaką zaciętością wszyscy przeciw nim powstali; zdaje się, że gdyby nie bojaźń przełożonych, żadenby z nich nie został przy życiu. Malutkie dzieci powstały nawet przeciwko nim. Okropnie było patrzeć na nierozerwane małe kółko wzgardzonych i odepchniętych od łona towarzystwa, na ludzi młodych, których wszyscy omijali, nie śmiejąc słowa z nimi przemówić. Sobieski pokazał w tym czasie pierwszy dowód zatwardziałego swego charakteru; będąc pierwej z Wachowiczem w ścisłych związkach, obił go okropnie dlatego tylko, aby pokazać, że związki te są zerwane. Pomimo ogólnej nienawiści, nie miano tego za dobre".

Koterya Wachowicza, chcąc sobie zyskać poparcie u zwierzchności, wyzyskała ówczesny nastrój dewocyjny, narzucony szkołom przez ministra Stanisława Grabowskiego i rzuciła się do bigoteryi. Kapelan korpusu, ks. Paweł Świątkowski, o którym Sztyrmer mówi, że „niezbyt odpowiadał swemu powołaniu", wziął ją pod swoją opiekę — i odtąd sprawa jej „wzmocniona intrygami księdza, poszła w górę u przełożonych, a opadła niżej jeszcze u kolegów". Wachowicz, który nigdy przedtem nie mówił pacierza, chodził wybladły od postu, codzień

rano po korytarzu, odmawiając pacierze, więcej mu jednak szło o to, aby uniknąć prześladowań współtowarzyszy. Cała jego koterya wałęsała się „jak cienie wyciągnione z grobów“. Przełożeni, podburzani przez księdza, srogo karali prześladowców; mimo to nic nie potrafiło zmienić raz powziętej opinii, tak, że opuszczając korpus, unieśli przyjaciele Wachowicza przekleństwo i szyderstwa kolegów.

Sztyrmer, siedzący nad swoją matematyką spokojnie, nie myślał z początku brać udziału w zaczepkach, sam doświadczywszy w pierwszym roku życia korpusowego, jak ciężko jest być przedmiotem prześladowania. Dopiero gdy osobiście przez koteryę ową został dotknięty, gdy niejaki Kwilecki powiedział mu głośno przy stole jakąś nieprzyjemność, postanowił wstąpić w szranki, gdyż inaczej ściągnąłby na siebie wzgardę wszystkich. A że siłą nie mógł się mierzyć z przeciwnikiem, trzeba było walczyć dowcipem.

Pewne zamiłowanie do literatury miał Ludwik już i dawniej. Jeszcze w Siedlcach, siedząc nad brzegiem stawu w jednej z najpiękniejszych alei ogrodu Aleksandrowskiego, czytywał „Inkasów“ Marmontela, których nawet zrozumieć natenczas nie mógł. Tamże, ucząc się raz z wypisów francuskich powieści o Iwanie Wasilewiczu, powziął myśl ułożenia z niej tragedyi, nigdy nie bywszy w teatrze. Tragedyę tę miał z przyjacielem swoim Glinojeckim i jego siostrami przedstawić; wykonał ją nawet w części prozą, ale potem zarzucił. Zajęcie się następne w Kaliszu matematyką zwróciło jego myśli w innym kierunku, i dopiero potrzeba obrony za pomocą dowcipu na nowo go ku literaturze popchnęła, zbliżając go do dwu kolegów, którzy krakowiakami satyrycznemi i innemi wierszami najwięcej koteryi Wachowicza dokuczali; gdyż wszyscy je śpiewali pod nosem wroga, a na każdy dzień nowe.

Tymi kolegami byli: Ropelewski i Knake. Oto ich charakterystyka według Sztyrmera:

„Władysław Ropelewski w młodości okazywał wiele pięknych przymiotów, czego późniejsze lata nie zawiodły. Zdrowie

jego, podkopane znacznie przez jeden z najszkodliwszych nałogów, nie odpowiadało wcale tej energii i tej żywości, która cechowała jego duszę. Wtenczas już z pod pióra jego wychodziły pełne gustu utwory lub tłómaczenia poezyi, której się zupełnie oddawał. Imaginacya jego wyprzedzała lata, i nie znając jeszcze świata, miał już zdrowe o nim wyobrażenie. Piękności natury żywo przemawiały do jego serca, zwisła powieka, pokrywająca mdłe jego oko, wznosiła się nagle i ogień zapału błyszczał w jego źrenicy, kiedy malował swoje przywiązanie do wiejskiej zaciszy; zaledwie oddechem władał, kiedy przedeklamował kilka wierszy. Pamięć jego była nadzwyczajna. Głębokie czucie ukrywało się w jego łonie; na pozór flegmatyk, opuszczony, poprostu gap', jak go zwyczajnie nazywano, był jednym z liczby tych ludzi, którzy mogą uświetnić swój kraj. Powie kto, że przesadzam; o nie! może za mało powiedziałem; ktokolwiek go znał tak, jak ja go znałem, nie posądzi mnie o stronność. Ktokolwiek się do niego zbliżył, przyjmował jego gusta, tyle miał powabu, z takim wdziękiem umiał je przedstawiać... Knake rzucił się do poezyi w jego ślady, ale zbyt daleko od niego odstał; zresztą charakter jego dość zwyczajny nie mógł sympatyzować z Ropelewskim".

Sztyrmer, wszedłszy z nimi w zażyłość, zajął się z taką zaciętością krakowiakami, że często w nocy przebudziwszy się, wstawał z łóżka, aby choć dwa wiersze napisać. Niewiele one były warte [1]), ale autor ich nie posiadał się z radości, słysząc swoje utwory śpiewane przez kolegów. Trzej tedy poeci okolicznościowi, wziąwszy się pod ręce, chodzili naokoło placu zabawy kadetów, wyśpiewując wspólne piosenki „z dziką radością". Noce przepędzane za karę w areszcie nie zrażały ich wcale; zdawało się, że chwała i cel jakiś wyższy zachęcały

---

[1]) I sam autor tak się o nich odzywa i wyciągnąć można taki wniosek z poezyj jego późniejszych, drukowanych i rękopiśmiennych, które nie posiadając polotu poetyckiego, okazują zarazem, że i łatwości rymowania Sztyrmer wyrobić sobie nie mógł.

ich do wytrwania. „Pamiętam — powiada Sztyrmer — że raz siedząc z Knakem w areszcie cały dzień w niedzielę, czytaliśmy „Nocy Younga“ i winszowaliśmy sobie, że cierpimy za niewinność; byliśmy pewni, że jesteśmy szczęśliwsi, jak potężna protekcyą starszych koterya Wachowicza. Rzecz szczególniejsza, że obie tu strony wystawiały sobie, że cierpią za niewinność — mały obraz zdarzeń między ludźmi dojrzałymi“.

Bądź co bądź towarzystwo Ropelewskiego ożywiało w Sztyrmerze zamiłowanie do literatury; jego rozmowy pełne zapału, wiersze, które mu często czytał, Plutarch, którego mu zalecił i który stał się nie ulubionym wprawdzie, ale „przyjemnym“ dla niego autorem, pokonały jego uprzedzenia i dowiodły, że nietylko matematyka, lecz także i literatura i język francuski mogą się na coś przydać. Literatura francuska Józefa Zielińskiego, profesora liceum warszawskiego, wydana w r. 1823 (trzy tomy) i dzieła Krasickiego były całym ich ówczesnym zapasem w poezyi; poznanie francuszczyzny, z którą się już z powodu podręczników matematycznych spoufalił, przyszło Sztyrmerowi z łatwością. Z Ropelewskim lubił się sprzeczać, i zawsze z tego starcia myśli wielką wynosił korzyść. Zaczął czytywać romanse. Wpadła mu w rękę „Meluzyna“, lecz nie podobała się. Potem *Les chevaliers du lion,* pierwsza francuska powieść, którą napół zrozumiał, zachwyciła go. „Samotnik“ i „Nieznajoma“ d'Arlincourt'a sprawiły na nim szczególne wrażenie: chciał być samotnikiem albo Woldemarem; ciągle przez parę tygodni miał niemi zaprzątnioną głowę. Brak nowych romansów przerwał mu jego marzenia o zamieszkaniu w lesie...

Czytanie i rozmowy osładzały mu przykrości, na jakie się narażał uporczywą walką z koteryą Wachowicza. Ropelewski w walce tej ostygł; Sztyrmer więc tylko i Knake pozostali na placu. Wówczas przełożeni na nich już prawie wyłącznie zwrócili uwagę, ażeby położyć koniec niesnaskom. Przed świętami wielkanocnemi 1825 r. kapitan Paprocki, w którego kompanii Sztyrmer się znajdował, wyjechał. Przybył właśnie wtedy do Kalisza Holewiński, dawny rektor szkoły siedleckiej

i prosił byłego ucznia swego do siebie. Zastępujący miejsce kapitana porucznik pozwolił Sztyrmerowi wychodzić na miasto; ale zaledwie kapitan wrócił, urlopy te zostały odebrane, co niezmiernie dotknęło ambitnego młodzieńca, bo za każdym razem gdy Holewiński przychodził do korpusu, „musiał“ Sztyrmer przed nim kłamać i szukać coraz to innych wymówek, aby się usprawiedliwić, dlaczego nie był w niedzielę. Przywiedziony do rozpaczy, poszedł do kapitana i prosił go, ażeby go rozdzielił z owym wrogiem Kwileckim, przy którym sypiał, i przeniósł do innej sali; przyczem przyrzekał poprawę, t. j. zaniechanie dokuczliwych dla koteryi Wachowicza postępków.

„Byłem mocno wzruszony — opowiada Sztyrmer — łzy mi się sączyły z oczu, czekałem wyroku, jak zbrodniarz, pewny prawie, że wypełni moje żądanie. Tymczasem kapitan wysłuchawszy mnie, odpowiedział surowo: Ja Waćpana pod komendę oddam panu Kwileckiemu! — Było to okropnie! ukłoniłem się tylko i wyszedłem w milczeniu. Wściekłość mnie prawie ogarnęła: przedsięwziąłem poprawę, chciałem wejść na dobrą drogę, chciałem wszystko zapomnieć i żyć jak pustelnik nie mieszając się do niczego, ze łzami prosiłem o tak małą rzecz — i tej mi tak twardo odmówiono! Na żadną niesprawiedliwość w życiu nie byłem tak czułym; serce moje zatwardziało na wypadki życia, gdy mi pierwszy raz odmówiono — litości... Zdawało mi się, że wszystko się sprzysięgło, aby mi przeszkodzić do porzucenia niesnasek i upamiętania się“.

Położenie to pogorszyło się jeszcze wskutek wybryku, srogo ocenionego przez kapelana. Ksiądz Świątkowski wykładał życie Chrystusa. Charakter księdza — jak mówi Sztyrmer — „loczki i ubiór zbyt staranny zupełnie nie odpowiadały stanowi duchownemu i tej wyniosłej nauce, którą ogłaszał. Nie miałem dla niego wiele szacunku, a gdy mi się udało zmieszać go cokolwiek moją dysputą, zachęciłem się do tego tak, że potem ciągle na lekcyach z nim się sprzeczałem. Nareszcie raz, bez zastanowienia się, prosto przez kaprys, powiedziałem, że i o ewangelii możnaby wątpić. Ks. kapelan, nie pomnąc na to, że to

było zdanie powiedziane bez rozwagi, przez 16-letniego młodzieńca, zagrzmiał nade mną jak towarzysz Pizarra nad cesarzem peruwiańskim: Heretyku! napiszę do naczelnego kapelana, żeby cię wyklął. Rozśmiałem się, zamiast uczuć swój błąd. Posadzono mnie do aresztu, wziąłem z sobą Krasickiego".

Nadzieja zatem dostania się do Szkoły Aplikacyjnej usuwała się z przed myśli młodzieńca. Miał on wprawdzie wielce przychylnych sobie profesorów, Frankowskiego, Zdanowskiego, który za nim zawsze obstawał wobec oficerów korpusowych, dalej nauczyciela francuszczyzny, Ludwika Gravin, i innych, ale opinia ks. kapelana, częste areszty za prześladowanie koteryi Wachowicza mogły tę przychylność przeciwważyć. Zimny pot występował na czoło dumnego młodzieńca, gdy pomyślał sobie, że zamiast do Szkoły Aplikacyjnej, może wyjść na podoficera do wojska i „zapomniany, przygnębiony" przygotować sobie „okropną przyszłość".

Przyjechał właśnie podpułkownik Kołaczkowski egzaminować i wybierać kadetów do Szkoły Aplikacyjnej. W wilią egzaminu był już Sztyrmer pod drzwiami aresztu, ale go przecie kapitan uwolnił. Egzamin był piśmienny; zresztą podpułkownik polegał zupełnie na opinii Frankowskiego i wyjechał do Warszawy, nie wyjawiwszy ani jednego z liczby wybranych. Sztyrmer prawie był pewnym, że złe zdanie oficerów o jego postępowaniu i opinia kapelana przeszkodzą mu w wyjściu do szkoły; spuścił się na los, chodziło mu tylko o zmartwienie rodziców. Napisał tedy list do ojca, a „używając całej wymowy i kłamstwa", uskarżał się „na zgorszenie wieku, w którym protekcya więcej stanowi jak zasługa". List ten tak był czuły i tak przenikający do serca, że — jak się później Sztyrmer dowiedział — „wszystkie damy znajome w Siedlcach płakały nad nim", litując się nad nieszczęściem młodziana zdolnego i pracowitego.

Załatwiwszy tę sprawę, oddał się całkowicie literaturze, zaniechał prześladowania Wachowicza, błądził znów pod murami korpusowemi w ogrodzie kadeckim, i dzięki swemu refle-

ksyjnemu usposobieniu, został jeżeli nie zupełnie szczęśliwym, to przynajmniej spokojnym i obojętnym, chociaż od czasu do czasu wracał mu ból, gdy go z różnych stron, a mianowicie od prof. Gravin dochodziły wiadomości, że do Szkoły Aplikacyjnej się nie dostanie, że szczęśliwymi wybrańcami byli: Brauner, Doney, Gostkowski, Sobieski.

Wtem przyjechał generał Hauke z pułkownikiem Meciszewskim na egzamin publiczny. Ks. kapelan uważał sobie za obowiązek — jak w kilka lat później dowiedział się Sztyrmer od podpułkownika Kołaczkowskiego — udać się natychmiast do Meciszewskiego i ostrzedz go o grożącem młodzieży polskiej nieszczęściu zupełnej herezyi, przedstawiając swego krnąbrnego ucznia jako strasznego herezyarchę. Szczęściem, Meciszewski, „tyle złośliwy w innych razach“, okazał się w tym wypadku bardzo wyrozumiałym i odpowiedział księdzu, że dla młodzieńca z talentami zawsze jest dosyć czasu do poprawy.

Jeden z kolegów, Doney, któremu ojciec doniósł listownie, że choć niezawodnie wyjdzie do Szkoły Aplikacyjnej, dla wszelkiego jednak bezpieczeństwa radził prosić o pytania prof. Frankowskiego, aby egzamin lepiej poszedł, raptem zbliżył się do Sztyrmera, może chcąc skorzystać z jego wiedzy matematycznej. Była to pierwsza znajomość młodzieńcza, którą scharakteryzował Sztyrmer przymiotnikiem „optyczna“, dlatego, że patrząc na dwu młodzieńców, można było przypuszczać, że wiązała ich przyjaźń najserdeczniejsza, gdy przeciwnie ze strony Sztyrmera nie było nawet szacunku dla towarzysza; chodził z nim i rozmawiał „przez grzeczność“ jedynie. Doney ubolewał nad Ludwikiem, że nie został wybranym, przyrzekał przysyłać mu książki z Warszawy i zapewniał, że nigdy go nie zapomni. Sztyrmer nie dał się złudzić tem zachowaniem się; był pewny, że kolega jego kłamie.

Generał Hauke po skończonym egzaminie wyjechał; wszystko ucichło; kadeci mieli już niebawem wyjść do obozu. Przed samem wyjściem rozeszła się pogłoska, że Sztyrmer został wy-

brany do Szkoły. Prof. Gravin pierwszy mu to oświadczył jako nowinę z listu gen. Bontemps. Doney winszował Ludwikowi, cieszył się, że razem będą w Warszawie, zapraszał do domu swego ojca... Nakoniec przyszło stanowcze uwiadomienie: Brauner, Gostkowski, Sobieski i Sztyrmer przyjęci! Wszyscy się zadziwili, a Sztyrmer najbardziej. Doney nic nie mówiąc i nie pożegnawszy się z tym, którego w ostatnich czasach tak niby polubił, wyjechał do Warszawy na wakacye, podobnie jak wielu jego towarzyszy będących na własnym koszcie; reszta weszła do obozu; z nimi Sztyrmer. Radość jego była niezmierna; z głębokiego smutku przeszedł do nieograniczonej wesołości. Napisał natychmiast drugi list do rodziców, donosząc, że „pomimo fortuny“ został przyjęty do Szkoły Aplikacyjnej i prosząc o pieniądze, aby się mógł porządniej ubrać w własne odzienie. Trzeba się było zbliżyć do przyszłych kolegów w Szkole Aplikacyjnej; uprzedzili go oni, ucieszyło go to, gdyż jemu trudnoby się było zdecydować na krok dla niego przykry, tem bardziej, że przechadzki z Ropelewskim nad Prosną i w nadbrzeżnym gaju, rozmowy i dysputy o literaturze nabierały coraz więcej uroku. Ostatecznie jednak wciągnięty do kółka Sobieskiego, Gostkowskiego i Braunera, z krzywdą innych przyjaciół, całe dni z nimi trawił. Podpułkownik Koss pozwolił im kleić balon; Sztyrmer obrachował ten wóz powietrzny; zaczęła się robota. Na nieszczęście, zgromadzona publiczność kaliska trzykrotnie przyglądała się niezręczności młodych Mongolfierów; trzy razy się nie powiodło; śmiejąc się, składano winę na Braunera, który udawał bardzo zręcznego.

Prof. Frankowski odwiedził swych uczniów w obozie; rozmawiał przyjaźnie ze Sztyrmerem i na drugi dzień przyniósł mu geografię Śniadeckiego na pamiątkę. Ludwik był „najszczęśliwszym z ludzi“; nigdy odtąd nie spojrzał na tę książkę „bez tkliwego wspomnienia“. Na wyjezdnem płakał jak dziecko, żegnając ukochanego nauczyciela.

III.

Wyjazd do Warszawy. — Pobyt u rodziców w Siedlcach.

Kandydaci do Szkoły Aplikacyjnej mieli jechać razem, na jednej bryczce. Zgodzono się prowadzić w drodze wspólne gospodarstwo; wkładki były nierówne, ten włożył 20 złp., tamten 26, a Sztyrmer około 50. Nie przeczuwał, jak z niego zadrwią koledzy. Ludwik tak był zajęty wyjazdem i nowymi przyjaciółmi, że nie wiedział później na pewno, czy się pożegnał z Ropelewskim, Krukowskim, Oborskim i Stuartem. Gdy wyjechał za bramę gmachu korpusowego, dziękował Bogu, że opuszcza „to smutne miejsce", niepomny już chwil przyjemnych, jakich w nim doznał. Zdawało się 17-letniemu młodzieńcowi, że mógł się już uważać za człowieka dojrzałego. W najpierwszej oberży kupił cygar; zaczął je palić, ale choć je zagryzał karmelkami, nie mógł znieść ich goryczy; głowa mu się zakręciła, uczuł się słabym. A tuż w Sobieskim i Gostkowskim zaszła zmiana; związali się ze sobą ściśle i odrzuciwszy udawanie, przybrali względem Sztyrmera ton rozkazujący. Musiał usiąść tyłem do koni, bo im się tak podobało; musiał za własne pieniądze, złożone u Sobieskiego, jeść i pić to, co oni dysponowali; z przyjaciela i ulubieńca, którego w obozie pieszczotami obsypywali, stał się figurą nie mającą głosu i zmuszoną ulegać cudzym kaprysom. Dotknęło go to okropnie; wyobraźnia jego nawet nie była przygotowana do takiego ciosu. Nieśmiałość znowu go naraziła na upokorzenia; najwięcej jednak cierpiał na myśl, że z tymi kolegami ma przebyć trzy lata w Szkole Aplikacyjnej.

Z wypadków podróży do Warszawy, jeden tylko szczegół utkwił w jego pamięci. Prócz tych czterech, co jechali do Szkoły, było jeszcze czterdziestu kilku, co wychodzili do wojska. Młodzież ta, wyjechawszy za rogatki, postarała się o wódkę

i tak w niej zasmakowała, że gdy dojechali na nocleg, połowa prawie była pijana. Sztyrmer ze swymi towarzyszami poszedł na kolacyę; pili wino, co ktoś zobaczywszy, żartem powiedział przed innymi, że „elewi wysoki prowadzą ton“. Koterya Wachowicza postanowiła z tego skorzystać i przedstawiając kolegom, że to jest jawne nimi pogardzanie, z łatwością oburzyła pijanych przeciwko naszym kandydatom. Ledwie wyszli z oberży, otoczono ich — krzyk, wrzawa, każdy gadał, nikogo rozumieć nie było można; Sztyrmer zapamiętał tylko, że odebrał kilka kuksów; nadbiegły oficer potrafił wreszcie spokój przywrócić.

Za przybyciem do Warszawy nie zastali nasi kandydaci elewów w Szkole Aplikacyjnej, byli bowiem „na wojażu“ w Kielcach. Sztyrmerowi przykro się zrobiło, że nie mógł widzieć Szmideckiego. Przedstawiony pułkownikowi Józefowi Sowińskiemu, dyrektorowi Szkoły, po rewizyi zdrowia, był u celu swych usiłowań, został elewem. Nazajutrz wrócili wychowańcy „z wojażu“, a więc i Szmidecki. Na rozmowach z nim upłynął tydzień niepostrzeżenie.

Pewnego poranku zawołano Sztyrmera do kancelaryi, mówiąc, że matka jego przyjechała. Pobiegł jak szalony, wchodzi, nie poznaje matki, nie śmie podejść, aby jej rękę ucałować. Matka ze swej strony, nie widziawszy go przez 4 lata, była w tem samem zakłopotaniu. W końcu ośmielił się Ludwik, pocałował ją w rękę; wyszli do sali, ażeby swobodniej pomówić. Ledwie weszli, matka odkryła Ludwikowi halsztuk i dopiero ujrzawszy rodzinne znamię na szyi, nie wątpiła, że jest jej synem i obsypała go tysiącem pieszczot, płacząc z radości. Wszystko jakby w starej komedyi!

Nazajutrz dano Sztyrmerowi urlop; wyjechał do Siedlec, rojąc sobie największą szczęśliwość.

„Jechałem — powiada — z matką, którą zawsze lubiłem nad życie i do której przywiązanie powiększyło się jeszcze przez czteroletnią rozłąkę; miałem ujrzeć zadowolnionego ojca; miałem uściskać moje siostry, znajomych; miałem nareszcie powitać pamiątki młodocianego wieku, odwiedzić ogród Aleksan-

drowski, gdzie tyle przyjemnych chwil spędziłem, pola, las, wody, wszystko — wszystko, co mnie kiedyś nęciło!... Zbliżając się do Siedlec, uczułem mimowolne wzruszenie, drżałem jak liść. Ujrzawszy z daleka szczyt ratusza, krzyknąłem z radości tak mocno, że się matka przelękła, i wyciągnąłem ramiona chcąc go uściskać, dalej dzwonnicę, dalej wiatrak na polu, przy którym tak często igrałem z rówiennikami lub siostrami. Obarczałem moją matkę pytaniami; a wjechawszy do miasta, nie byłem już panem siebie samego, zeskoczyłem z bryczki i pieszo pobiegłem do domu. Wpadam do pokoju; siostra moja Józefina przelękła się, cofnęła się kilka kroków w tył i zawołała: Ludwik! W tym samym momencie już ją ściskałem z zapałem. Młodsza moja siostra Teofila i mała Leokadya ciągnęły mnie za mundur, wołając: Ludwik! Ludwik! i płacząc z radości. Potrzeba było, aby matka nas uspokoiła, inaczej scena ta cały dzieńby trwała. Ojca nie było w domu; jak tylko przyszedł, uściskałem jego ręce i płakałem z rozczulenia. W momencie tak tkliwym, ojciec mój zachował całą swoją surowość; żaden rys jego twarzy się nie zmienił, usiadł, wypytał mię się o wszystko i nakoniec z najzimniejszą krwią dodał: a cóż też Wasan zrobiłeś z pieniędzmi? Zdałem rachunek, jak mogłem; było w nim niemało kłamstwa; zdziwiło mnie to jednak, jak ojciec nie widząc syna przez 4 lata, może go się w pierwszej zaraz godzinie wypytywać o rzecz tak suchą".

Ludwik przepędził 20 dni w domu rodziców. Lubiany od surowego i rachunkowego ojca, pieszczony i prawie ubóstwiany od matki, widząc najczulsze oznaki przywiązania sióstr swoich, które przez cały ten czas oczu z niego nie spuszczały, całując go i płacząc naprzemiany, czuł się szczęśliwy nad wszelki opis. Był też przedmiotem uwielbienia i zazdrości w całem mieście; zewsząd winszowano jego rodzicom, że mają tak „dostojnego" syna. Wieczorem zbierało się u rodziców kilka osób; a Ludwik zawsze był na pierwszym planie. Nieśmiałość względem obcych, a zwłaszcza płci pięknej, trwała w nim ciągle, lubo marzył słodko o podobaniu się. Razu jednego przy-

była na wieczór jakaś panna Maryanna, dosyć przystojna, ale że Ludwik widział obcą pannę pierwszy raz tak z blizka, wydała mu się „aniołem“. Nie śmiał ani słowa do niej przemówić; cieszył się tylko jej widokiem. Siostra Ludwika prosiła ją, żeby co zagrała na fortepianie; on stanął jak przykuty za krzesłem, połykał i muzykę i wdzięki w jego oczach „niezrównane“; imaginacya jego była w najwyższym stopniu podniecona, czuł się szalenie rozkochanym! Niezgrabność i nieśmiałość ściągnęły nań żarty ojca i sióstr; przepowiadano mu, że nie wielkim będzie rycerzem w salonie. Przez kilka dni, pomimo śmiechów i drwinek ciągle był zajęty „Marynią“; wypytywał się o wszystkie dotyczące jej szczegóły, „ledwie nie umarł z rozpaczy“, dowiedziawszy się, że już jest zaręczoną z jakimś kawalerzystą. Nie osłabiło to jednak jego miłości, a wyjeżdżając zostawił list do siostry i w nim tysiąc komplementów dla „Maryni“, pewny, że siostra go jej pokaże; z Warszawy nawet jeszcze później kilka razy kazał się jej kłaniać, gdy na owym wieczorze ani razu do niej nie przemówił. Na drugi rok dowiedział się, że mąż „Maryni“ rozpił się, narobił długów, żonę traktował po grubiańsku. Zresztą ta jego nieśmiałość i brak przytomności na razie objawiała się dziwacznie i względem mężczyzn. Raz spotkał dawnego swego profesora w Siedlcach, Bazylewicza, i tak się zmieszał, że, nie zastanawiając się, co robi, pochwycił go machinalnie za rękę i pomimo jego kłaniania się i wzbraniania pocałował w nią; po chwili przypomniał sobie niestosowność zachowania się, zarumienił się i odszedł.

We wrześniu dni były bardzo piękne; co wieczór prawie wychodził Ludwik z siostrami odwiedzać pamiątki dziecinnego wieku. Pola, wiatrak za miastem, kamień, który niegdyś był metą ich przechadzek, na którym siadał ojciec z matką, a dzieci u nóg ich wokoło; staw, nad którym godziny całe przepędzał, bawiąc się rzucaniem kamyczków po wierzchu wody; cmentarz, gdzie spoczywały zwłoki babki, którą, przypomniawszy sobie, rzeczywiście szczeremi opłakał łzami; figura św. Jana Chrzci-

ciela, kirkut, gdzie tyle razy z towarzyszami szkolnymi przez pustotę zakradał się grać w piłkę, — wszystko to odwiedzał w zachwyceniu, rozmyślając o niezakłóconem szczęściu dzieciństwa. W niedzielę chodzili do Aleksandrowa; Ludwik z rozrzewnieniem oglądał to miejsce, na którem siedząc czytał „Inkasów“ i płakał nad nieszczęściem Peruwian, każdą drobnostkę z owych czasów pamiętając tak dobrze, jakby się to wczoraj zdarzyło.

Wreszcie skończył się urlop; trzeba było jechać do Warszawy. Opuścił dom rodziców ze łzami; ojciec odprowadził go do „cukierni“, zwanej Wesółką, o 3 wiorsty na szosy, i uściskawszy, odszedł. Ludwik jechał pogrążony w smętnych rozmyślaniach.

IV.

W Szkole Wojskowej Aplikacyjnej.

(1825—1829).

Gmach Szkoły Aplikacyjnej mieścił się przy ul. Miodowej, prawie na rogu Długiej; z jednej strony miał szkołę artyleryi, z drugiej kościół księży Pijarów. Był dwupiętrowy. Sala jadalna znajdowała się na dole, jak niemniej klasy, oraz duża sala rysunkowa i mieszkanie komendanta Sowińskiego, „siwego, bez nogi, poważnego, szanownego starca“. Mieszkania elewów mieściły się na pierwszem piętrze; biblioteka na drugiem, a gabinet fizyczny w gmachu Szkoły Artyleryi. Była to najwyższa szkoła wojskowa w Królestwie. Dyrektorem nauk był Klemens Kołaczkowski, pułkownik inżynierów, „uczony, niezmiernie światowy“, nawet „fanfaron“; wykładał on fortyfikacyę stałą i geodezyę. Koriot, podpułkownik inżynierów, Francuz z rodu, „fiksat“, był profesorem fortyfikacyi polowej i geometryi wykreślnej. Kapitan Feliks Przedpełski, „skąpiec“, był dyżurnym

i uczył taktyki, „której sam nie umiał“. Drugi dyżurny kapitan Józef Koszucki, „służbista“. Trzeci dyżurny kapitan Paszkowski, „dziwak“, był profesorem artyleryi. Pancer, porucznik inżynierów, wykładał architekturę; ks. Rafał Skolimowski — matematykę i religię, Józef Karol Skrodzki z uniwersytetu warszawskiego — fizykę, Krzyżanowski — chemię; Chopin, „Katon śmieszny“ — język francuski; Schortius — niemiecki; Kazimierz Werbusz — rosyjski i kaligrafię; Robert, „brzydki charakter“ — rysunki. Lekarzem był Wernery.

Gdy Sztyrmer został wpisany na listę elewów Szkoły Aplikacyjnej, któryś z jej naczelników, może Sowiński, a może Kołaczkowski, wciągnął do porubrykowanej urzędowej książki[1]), wraz z wiadomościami o jego pochodzeniu i nauce dotychczasowej następującą charakterystykę 17-letniego młodzieńca: „Twarzy ściągłej, oczu piwnych, nosa dużego, włosów blond, czoła miernego, wyznania katolickiego. Umysł: mocno obejmujący. Zdatność: wielka. Pamięć: wielka. Okomiar: mierny. Postęp: w matematycznych naukach szczególniej się odznaczał. Rysunki: nie ma zdolności. Języki: francuski, niemiecki gruntownie, z literaturą obznajmiony. Pilność: chęć doskonalenia się wielka; wytrwałość w pracy, ale tylko do przedmiotów obranych. Wysłowienie się: logiczne i łatwe. Charakter: z przedsięwzięciem mocnem, niełatwo dającem się powodować, skryty, ponury, nieprzystępny. Zręczność: niewielka. Konstytucya: dość mocny“.

Nie trzy lata przebył Sztyrmer w Szkole Aplikacyjnej, jak sobie myślał, wyjeżdżając z Kalisza, lecz cztery, gdyż za jego już czasów w roku szkolnym 1828/9 utworzono tu klasę czwartą. Niemile i pod względem stosunków zewnętrznych bardzo jednostajnie mu one spłynęły, ale duchowo pchnęły go na nową drogę i dostarczyły upojeń nigdy przedtem niedoświadczonych.

---

[1]) Książka ta, do dziejów Szkoły Aplikacyjnej ważna, znajduje się w Bibl. Ord. Kras.

Sympatyi wśród kolegów pozyskać nie umiał i przez całe cztery lata doświadczał nieprzyjemności, przytyków, drwin, upokorzeń ze strony „kwadrumwiratu“, na którego czele stanął towarzysz z Kalisza, Sobieski, rywalizujący z nim w naukach zwycięsko; pokonał go bowiem „fortyfikacyą“ i „rysunkami“. Z nim stale sprzymierzony był Gostkowski, dwaj zaś inni członkowie kwadrumwiratu byli świeżymi kolegami ze Szkoły Aplikacyjnej, którzy Sztyrmerowi wdzięczność byli winni. Opowiedzmy tę okoliczność słowami rozżalonego Ludwika:

„Przybyli tu nowi koledzy: Stanisław Wolski i Władysław Trębicki; a że natenczas upłynęło już dwa miesiące kursów, prosił mnie więc pułk. Kołaczkowski, aby nowym kolegom ułatwić drogę do wynagrodzenia straconego czasu. Zająłem się nimi z całą otwartością mego serca, pracowałem, siedziałem dnie i wieczory nad nimi, przywiązałem się do nich i zrobiłem wszystkie wysiłki w tej nadziei, że przez wdzięczność nie będą przynajmniej mymi prześladowcami. Próżność próżności! głupstwo! kto zakłada podobne nadzieje; są to zamki na lodzie, marzenia drugiego świata!... Póki im byłem potrzebny, wszystko szło jakkolwiek; ale ledwie stanęli na równi w kursach, rzeczy wzięły zupełnie niespodziewany kierunek. Sobieski i Gostkowski powiązali się z nimi ściśle i nowy kwadrumwirat z nową mocą obrócił się na mnie. Dziwny to jednak związek, bo oprócz Wolskiego, który ubóstwia, a innych, którzy się boją Sobieskiego lub go głaszczą, wszystkie osoby tego związku nie lubią się między sobą i jeden z drugiego przede mną osobno szydzi; ale niema nic stalszego jak zgoda ich, gdy się zdarzy okoliczność, w której mogą lub chcą mnie dręczyć. Położenie moje arcy-smutne; cały dzień jestem z nimi i cały dzień muszę znosić dotkliwe prześladowanie, silniejsze nawet od tych, którzy mi są obowiązani, jak od dawnych moich nieprzyjaciół; dlatego, że uczucie wdzięczności jest dla ludzi podobnych bardzo przykre i zamienia się (!) zwykle nienawiścią... Nietylko ja jestem przedmiotem ich nienawiści, ale i wszystko, co mnie okrąża. Zrobiono mnie guwernerem Szmideckiego [nad którym Sztyr-

mer wziął teraz górę i pod względem nauki, i pod względem przewagi moralnej] i prześladują go dlatego, że jest nieodstępny ode mnie, spodziewając się, choć mylnie bardzo, że oburzona miłość własna odezwie się w nim i oziębi go dla mnie... Zdaje mi się, że pierwszy rok pobytu mojego w korpusie wrócił się nazad, z tą różnicą, że dziś więcej czuję moje położenie, jak w ówczesnem uśpieniu mego umysłu. Sobieski dzikim wzrokiem na mnie spogląda, choć tego nie odgaduję przyczyny. Wszyscy tu są tak uczeni, tak dojrzali i filozofowie, że wszelki rodzaj emulacyi uważają za dzieciństwo, — i on to powtarza, a jednak nie może mi darować, że mam pierwsze miejsce, i fałszywie się uśmiecha, gdy mnie najmniejsze spotka upokorzenie... Tego Wolskiego nie mogę pojąć; uśmiecha się, chodzi ze mną najpoufalej, rozmawia najotwarciej, głaszcze moją miłość własną, i kiedy ja się na chwilę tym stanem ułudzę, odchodzi i dopiero co upłynioną rozmowę bierze za cel szyderstwa... ale to się dzieje tak prędko, że ledwie mogę się spostrzedz, kiedy się skończyło głaskanie, a zaczęła ironia; serce ma, zdaje się, dość dobre, i tem bardziej mi to niepojęte, dlaczego bez przyczyny mnie nie lubi i prześladuje".

Odmalowany tu stosunek Sztyrmera do ogółu kolegów trwał bez żadnej ważniejszej zmiany, prócz mniejszego lub większego natężenia nieprzyjaźni, przez całe cztery lata. Ludwik miał bardzo szczupłą liczbę przyjaciół, z którymi myśli i uczucia swe dzielił. Przywiązywał się bardzo łatwo; na intelligencyę wybranych mało zważał, zdaje się nawet, że większe rozwinięcie było mu nie na rękę, bo upokarzało jego miłość własną; wolał młodzieńców cichych, spokojnych, łagodnych; miał dla nich tkliwość prawie niewieścią, robił im drobne przysługi, świadczące o ciągłem jego o nich myśleniu. Przyjaciółmi takimi byli: Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, Wasilewski, Stokowski; lecz najmocniej, czy najczulej przywiązał się do niejakiego Maciejowskiego, którego poznał w obozie, kolegą jego bowiem w Szkole nie był. Trzeba przytoczyć tu wspo-

mnienia 25-letniego Sztyrmera, ażeby wyobrazić sobie siłę miłości dla tego chłopca:

„Przeżyłem dwa miesiące z Maciejowskim i przywiązałem się do niego jeszcze mocniej, jak kiedyś do Stuarta. Ach! jego towarzystwo niewypowiedzianym napełniło mi czas ten urokiem; zdało się, że dla niego tylko żyłem, cały dzień z nim siedziałem, cały wieczór z nim spacerowałem po obozie, przy świetle księżyca. On taki miły, otwarty, niewinny, prosty i słodki w pożyciu, chociaż nie uczony i nie wychowany po modnemu! Uczucie moje tak nieśmiałe, a jednak tak mocne — czyliż zawsze nieśmiałość towarzyszy silnym uczuciom? On mnie wyłącznie zajął. Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, zawsze mi są przyjemni, ale on! — trudno opisać... Kiedy się strzygł, podniosłem kiść jego włosów, i tę zawsze będę uważał za najmilszą pamiątkę. Nazywałem go tak, jak i koledzy go nazywają: *Mały* lub *Malec*, i to nazwisko mu bardzo było przyzwoite dla jego prostoty, choć wtedy miał 17 lat... Niedawno byłem na cmentarzu powązkowskim z Maciejowskim; noc spokojna, niebo czyste, cmentarz, wyobraźnia poety i obecność miłego człowieka, wszystko to razem sprawiło mi uczucie prawdziwie rajskiej rozkoszy... Byłem z *Małym* w Bielanach; widziałem grób Staszica, uwieńczony zielonemi gałązkami, które ręce wdzięczności tam położyły. Lasek i klasztor ks. ks. kamedułów położone nad brzegiem Wisły czarują oko i rodzą mimowolne wzruszenie w sercu; na mnie tem mocniej ta piękność natury działała, że dziś jest ostatnia chwila swobody i przyjemności; jutro — pożegnam *Małego* i zamknę się w szkole na 10 miesięcy... *Małemu* dałem jeszcze liścik, w którym go raz ostatni żegnam do przyszłego obozu... Znowu jestem w obozie, znowu żyję z *Małym* i jestem szczęśliwy; kocham go więcej jak brata i dla niego wszystkich innych zapomniałem. Zostaję się często od rewii i, przygotowawszy mu śniadanie, czekam z niecierpliwością jego powrotu i cieszę się, widząc zadowolnienie w jego oczach na widok niespodzianej siurpryzy. *Mały* ma serce najlepsze, charakter najłagodniejszy; tylko to mi się w nim nie

mer wziął teraz górę i pod względem nauki, i pod względem przewagi moralnej] i prześladują go dlatego, że jest nieodstępny ode mnie, spodziewając się, choć mylnie bardzo, że oburzona miłość własna odezwie się w nim i oziębi go dla mnie... Zdaje mi się, że pierwszy rok pobytu mojego w korpusie wrócił się nazad, z tą różnicą, że dziś więcej czuję moje położenie, jak w ówczesnem uśpieniu mego umysłu. Sobieski dzikim wzrokiem na mnie spogląda, choć tego nie odgaduję przyczyny. Wszyscy tu są tak uczeni, tak dojrzali i filozofowie, że wszelki rodzaj emulacyi uważają za dzieciństwo, — i on to powtarza, a jednak nie może mi darować, że mam pierwsze miejsce, i fałszywie się uśmiecha, gdy mnie najmniejsze spotka upokorzenie... Tego Wolskiego nie mogę pojąć; uśmiecha się, chodzi ze mną najpoufalej, rozmawia najotwarciej, głaszcze moją miłość własną, i kiedy ja się na chwilę tym stanem ułudzę, odchodzi i dopiero co upłynioną rozmowę bierze za cel szyderstwa... ale to się dzieje tak prędko, że ledwie mogę się spostrzedz, kiedy się skończyło głaskanie, a zaczęła ironia; serce ma, zdaje się, dość dobre, i tem bardziej mi to niepojęte, dlaczego bez przyczyny mnie nie lubi i prześladuje".

Odmalowany tu stosunek Sztyrmera do ogółu kolegów trwał bez żadnej ważniejszej zmiany, prócz mniejszego lub większego natężenia nieprzyjaźni, przez całe cztery lata. Ludwik miał bardzo szczupłą liczbę przyjaciół, z którymi myśli i uczucia swe dzielił. Przywiązywał się bardzo łatwo; na intelligencyę wybranych mało zważał, zdaje się nawet, że większe rozwinięcie było mu nie na rękę, bo upokarzało jego miłość własną; wolał młodzieńców cichych, spokojnych, łagodnych; miał dla nich tkliwość prawie niewieścią, robił im drobne przysługi, świadczące o ciągłem jego o nich myśleniu. Przyjaciółmi takimi byli: Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, Wasilewski, Stokowski; lecz najmocniej, czy najczulej przywiązał się do niejakiego Maciejowskiego, którego poznał w obozie, kolegą jego bowiem w Szkole nie był. Trzeba przytoczyć tu wspo-

mnienia 25-letniego Sztyrmera, ażeby wyobrazić sobie siłę miłości dla tego chłopca:

„Przeżyłem dwa miesiące z Maciejowskim i przywiązałem się do niego jeszcze mocniej, jak kiedyś do Stuarta. Ach! jego towarzystwo niewypowiedzianym napełniło mi czas ten urokiem; zdało się, że dla niego tylko żyłem, cały dzień z nim siedziałem, cały wieczór z nim spacerowałem po obozie, przy świetle księżyca. On taki miły, otwarty, niewinny, prosty i słodki w pożyciu, chociaż nie uczony i nie wychowany po modnemu! Uczucie moje tak nieśmiałe, a jednak tak mocne — czyliż zawsze nieśmiałość towarzyszy silnym uczuciom? On mnie wyłącznie zajął. Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, zawsze mi są przyjemni, ale on! — trudno opisać... Kiedy się strzygł, podniosłem kiść jego włosów, i tę zawsze będę uważał za najmilszą pamiątkę. Nazywałem go tak, jak i koledzy go nazywają: *Mały* lub *Malec*, i to nazwisko mu bardzo było przyzwoite dla jego prostoty, choć wtedy miał 17 lat... Niedawno byłem na cmentarzu powązkowskim z Maciejowskim; noc spokojna, niebo czyste, cmentarz, wyobraźnia poety i obecność miłego człowieka, wszystko to razem sprawiło mi uczucie prawdziwie rajskiej rozkoszy... Byłem z *Małym* w Bielanach; widziałem grób Staszica, uwieńczony zielonemi gałązkami, które ręce wdzięczności tam położyły. Lasek i klasztor ks. ks. kamedułów położone nad brzegiem Wisły czarują oko i rodzą mimowolne wzruszenie w sercu; na mnie tem mocniej ta piękność natury działała, że dziś jest ostatnia chwila swobody i przyjemności; jutro — pożegnam *Małego* i zamknę się w szkole na 10 miesięcy... *Małemu* dałem jeszcze liścik, w którym go raz ostatni żegnam do przyszłego obozu... Znowu jestem w obozie, znowu żyję z *Małym* i jestem szczęśliwy; kocham go więcej jak brata i dla niego wszystkich innych zapomniałem. Zostaję się często od rewii i, przygotowawszy mu śniadanie, czekam z niecierpliwością jego powrotu i cieszę się, widząc zadowolnienie w jego oczach na widok niespodzianej siurpryzy. *Mały* ma serce najlepsze, charakter najłagodniejszy; tylko to mi się w nim nie

mer wziął teraz górę i pod względem nauki, i pod względem przewagi moralnej] i prześladują go dlatego, że jest nieodstępny ode mnie, spodziewając się, choć mylnie bardzo, że oburzona miłość własna odezwie się w nim i oziębi go dla mnie... Zdaje mi się, że pierwszy rok pobytu mojego w korpusie wrócił się nazad, z tą różnicą, że dziś więcej czuję moje położenie, jak w ówczesnem uśpieniu mego umysłu. Sobieski dzikim wzrokiem na mnie spogląda, choć tego nie odgaduję przyczyny. Wszyscy tu są tak uczeni, tak dojrzali i filozofowie, że wszelki rodzaj emulacyi uważają za dzieciństwo, — i on to powtarza, a jednak nie może mi darować, że mam pierwsze miejsce, i fałszywie się uśmiecha, gdy mnie najmniejsze spotka upokorzenie... Tego Wolskiego nie mogę pojąć; uśmiecha się, chodzi ze mną najpoufalej, rozmawia najotwarciej, głaszcze moją miłość własną, i kiedy ja się na chwilę tym stanem ułudzę, odchodzi i dopiero co upłynioną rozmowę bierze za cel szyderstwa... ale to się dzieje tak prędko, że ledwie mogę się spostrzedz, kiedy się skończyło głaskanie, a zaczęła ironia; serce ma, zdaje się, dość dobre, i tem bardziej mi to niepojęte, dlaczego bez przyczyny mnie nie lubi i prześladuje".

Odmalowany tu stosunek Sztyrmera do ogółu kolegów trwał bez żadnej ważniejszej zmiany, prócz mniejszego lub większego natężenia nieprzyjaźni, przez całe cztery lata. Ludwik miał bardzo szczupłą liczbę przyjaciół, z którymi myśli i uczucia swe dzielił. Przywiązywał się bardzo łatwo; na intelligencyę wybranych mało zważał, zdaje się nawet, że większe rozwinięcie było mu nie na rękę, bo upokarzało jego miłość własną; wolał młodzieńców cichych, spokojnych, łagodnych; miał dla nich tkliwość prawie niewieścią, robił im drobne przysługi, świadczące o ciągłem jego o nich myśleniu. Przyjaciółmi takimi byli: Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, Wasilewski, Stokowski; lecz najmocniej, czy najczulej przywiązał się do niejakiego Maciejowskiego, którego poznał w obozie, kolegą jego bowiem w Szkole nie był. Trzeba przytoczyć tu wspo-

mnienia 25-letniego Sztyrmera, ażeby wyobrazić sobie siłę miłości dla tego chłopca:

„Przeżyłem dwa miesiące z Maciejowskim i przywiązałem się do niego jeszcze mocniej, jak kiedyś do Stuarta. Ach! jego towarzystwo niewypowiedzianym napełniło mi czas ten urokiem; zdało się, że dla niego tylko żyłem, cały dzień z nim siedziałem, cały wieczór z nim spacerowałem po obozie, przy świetle księżyca. On taki miły, otwarty, niewinny, prosty i słodki w pożyciu, chociaż nie uczony i nie wychowany po modnemu! Uczucie moje tak nieśmiałe, a jednak tak mocne — czyliż zawsze nieśmiałość towarzyszy silnym uczuciom? On mnie wyłącznie zajął. Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, zawsze mi są przyjemni, ale on! — trudno opisać... Kiedy się strzygł, podniosłem kiść jego włosów, i tę zawsze będę uważał za najmilszą pamiątkę. Nazywałem go tak, jak i koledzy go nazywają: *Mały* lub *Malec*, i to nazwisko mu bardzo było przyzwoite dla jego prostoty, choć wtedy miał 17 lat... Niedawno byłem na cmentarzu powązkowskim z Maciejowskim; noc spokojna, niebo czyste, cmentarz, wyobraźnia poety i obecność miłego człowieka, wszystko to razem sprawiło mi uczucie prawdziwie rajskiej rozkoszy... Byłem z *Małym* w Bielanach; widziałem grób Staszica, uwieńczony zielonemi gałązkami, które ręce wdzięczności tam położyły. Lasek i klasztor ks. ks. kamedułów położone nad brzegiem Wisły czarują oko i rodzą mimowolne wzruszenie w sercu; na mnie tem mocniej ta piękność natury działała, że dziś jest ostatnia chwila swobody i przyjemności; jutro — pożegnam *Małego* i zamknę się w szkole na 10 miesięcy... *Małemu* dałem jeszcze liścik, w którym go raz ostatni żegnam do przyszłego obozu... Znowu jestem w obozie, znowu żyję z *Małym* i jestem szczęśliwy; kocham go więcej jak brata i dla niego wszystkich innych zapomniałem. Zostaję się często od rewii i, przygotowawszy mu śniadanie, czekam z niecierpliwością jego powrotu i cieszę się, widząc zadowolnienie w jego oczach na widok niespodzianej siurpryzy. *Mały* ma serce najlepsze, charakter najłagodniejszy; tylko to mi się w nim nie

mer wziął teraz górę i pod względem nauki, i pod względem przewagi moralnej] i prześladują go dlatego, że jest nieodstępny ode mnie, spodziewając się, choć mylnie bardzo, że oburzona miłość własna odezwie się w nim i oziębi go dla mnie... Zdaje mi się, że pierwszy rok pobytu mojego w korpusie wrócił się nazad, z tą różnicą, że dziś więcej czuję moje położenie, jak w ówczesnem uśpieniu mego umysłu. Sobieski dzikim wzrokiem na mnie spogląda, choć tego nie odgaduję przyczyny. Wszyscy tu są tak uczeni, tak dojrzali i filozofowie, że wszelki rodzaj emulacyi uważają za dzieciństwo, — i on to powtarza, a jednak nie może mi darować, że mam pierwsze miejsce, i fałszywie się uśmiecha, gdy mnie najmniejsze spotka upokorzenie... Tego Wolskiego nie mogę pojąć; uśmiecha się, chodzi ze mną najpoufalej, rozmawia najotwarciej, głaszcze moją miłość własną, i kiedy ja się na chwilę tym stanem ułudzę, odchodzi i dopiero co upłynioną rozmowę bierze za cel szyderstwa... ale to się dzieje tak prędko, że ledwie mogę się spostrzedz, kiedy się skończyło głaskanie, a zaczęła ironia; serce ma, zdaje się, dość dobre, i tem bardziej mi to niepojęte, dlaczego bez przyczyny mnie nie lubi i prześladuje".

Odmalowany tu stosunek Sztyrmera do ogółu kolegów trwał bez żadnej ważniejszej zmiany, prócz mniejszego lub większego natężenia nieprzyjaźni, przez całe cztery lata. Ludwik miał bardzo szczupłą liczbę przyjaciół, z którymi myśli i uczucia swe dzielił. Przywiązywał się bardzo łatwo; na intelligencyę wybranych mało zważał, zdaje się nawet, że większe rozwinięcie było mu nie na rękę, bo upokarzało jego miłość własną; wolał młodzieńców cichych, spokojnych, łagodnych; miał dla nich tkliwość prawie niewieścią, robił im drobne przysługi, świadczące o ciągłem jego o nich myśleniu. Przyjaciółmi takimi byli: Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, Wasilewski, Stokowski; lecz najmocniej, czy najczulej przywiązał się do niejakiego Maciejowskiego, którego poznał w obozie, kolegą jego bowiem w Szkole nie był. Trzeba przytoczyć tu wspo-

mnienia 25-letniego Sztyrmera, ażeby wyobrazić sobie siłę miłości dla tego chłopca:

„Przeżyłem dwa miesiące z Maciejowskim i przywiązałem się do niego jeszcze mocniej, jak kiedyś do Stuarta. Ach! jego towarzystwo niewypowiedzianym napełniło mi czas ten urokiem; zdało się, że dla niego tylko żyłem, cały dzień z nim siedziałem, cały wieczór z nim spacerowałem po obozie, przy świetle księżyca. On taki miły, otwarty, niewinny, prosty i słodki w pożyciu, chociaż nie uczony i nie wychowany po modnemu! Uczucie moje tak nieśmiałe, a jednak tak mocne — czyliż zawsze nieśmiałość towarzyszy silnym uczuciom? On mnie wyłącznie zajął. Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, zawsze mi są przyjemni, ale on! — trudno opisać... Kiedy się strzygł, podniosłem kiść jego włosów, i tę zawsze będę uważał za najmilszą pamiątkę. Nazywałem go tak, jak i koledzy go nazywają: *Mały* lub *Malec*, i to nazwisko mu bardzo było przyzwoite dla jego prostoty, choć wtedy miał 17 lat... Niedawno byłem na cmentarzu powązkowskim z Maciejowskim; noc spokojna, niebo czyste, cmentarz, wyobraźnia poety i obecność miłego człowieka, wszystko to razem sprawiło mi uczucie prawdziwie rajskiej rozkoszy... Byłem z *Małym* w Bielanach; widziałem grób Staszica, uwieńczony zielonemi gałązkami, które ręce wdzięczności tam położyły. Lasek i klasztor ks. ks. kamedułów położone nad brzegiem Wisły czarują oko i rodzą mimowolne wzruszenie w sercu; na mnie tem mocniej ta piękność natury działała, że dziś jest ostatnia chwila swobody i przyjemności; jutro — pożegnam *Małego* i zamknę się w szkole na 10 miesięcy... *Małemu* dałem jeszcze liścik, w którym go raz ostatni żegnam do przyszłego obozu... Znowu jestem w obozie, znowu żyję z *Małym* i jestem szczęśliwy; kocham go więcej jak brata i dla niego wszystkich innych zapomniałem. Zostaję się często od rewii i, przygotowawszy mu śniadanie, czekam z niecierpliwością jego powrotu i cieszę się, widząc zadowolnienie w jego oczach na widok niespodzianej siurpryzy. *Mały* ma serce najlepsze, charakter najłagodniejszy; tylko to mi się w nim nie

podoba, że robi długi, których nie może uspokoić; nie wystawisz sobie, ile mnie to boli, tem bardziej, że tyle przedstawień moich zostaje bez skutku".

Najpewniej *Mały* nie okazywał zbytecznie swego względem Sztyrmera przywiązania, i dlatego utrzymywał uczucie jego w ciągłem natężeniu; tak samo bowiem jak poprzednio, Ludwik, widząc się stale kochanym, zaniedbywał takich np. przyjaciół, jak Kierwińskiego, który lgnął do niego całą duszą. Sztyrmer znał to usposobienie, robił sobie wyrzuty, ale się odmienić nie mógł.

Dla wyjaśnienia wzmianek o obozie, gdzie się z *Małym* widywał, trzeba zaznaczyć, że oprócz coniedzielnej parady na Saskim placu, właśnie po pierwszym roku pobytu Sztyrmera w szkole, wprowadzono nigdy przedtem niepraktykowany zwyczaj, przepędzania wakacyj w okolicach Warszawy bliższych i dalszych wśród wojska. Najczęściej bywało to w Marymoncie, gdzie stał 4-ty pułk liniowy. Prócz tego elewi wychodzili zazwyczaj w czerwcu na rozmiary; w roku 1828 udali się do Modlina. Wycieczka ta stanowiła jedno z najmilszych wspomnień Sztyrmera; zawarł je w następnym opisie:

„Czerwiec; idę pieszo, ubrany po żołniersku, z bronią w ręku i z nadzieją w sercu, że przyszedłszy do Modlina, będę w dniu kilka godzin przynajmniej swobodny. Przyszedłszy do Jabłonny, przebiegłem ogród, widziałem grobowy napis zapomnianego Karola Ferdynanda, syna Zygmunta III. z pobocznego łoża; powitałem wspomnienie księcia Józefa, który niedawno chodził po tych samych alejach; widziałem pokoje, w których kiedyś mieszkał i do których nie wrócił — wszystko teraz ciche i w głębokiem uśpione milczeniu. Siadłem pod drzewem i z smutnem uczuciem czytałem Panią Jeziora... o, Duglas! Nazajutrz wystąpiliśmy w marsz, deszcz był i błoto okropne; w tym brzydkim czasie wstąpiliśmy (!) do Modlina, gdzie nam dali na mieszkanie najbrzydsze w świecie koszary i słomę zamiast łóżka... ale to wszystko mało mnie obeszło — pierwszy raz w życiu widziałem twierdzę... i tyle marzeń było ze mną!

W przeciągu 20-dniowego naszego pobytu, codzień, ukończywszy robotę (której mało poświęcałem czasu), błądziłem po polach, po zaroślach, po gajach, bez celu, bez rozwagi, ciągnięty niepojętym natury powabem. Nic nie myśląc, albo myśląc bardzo mało, przepędzałem czas cały na takie ekskursye (!). Wchodziłem często do chaty chłopa, jadłem mleko i chleb razowy z większym apetytem, jak najpyszniejszy obiad Sowińskiego... byłem wolny od świadków! Część umocnień, zwana Koroną utracką, położona jest w najpiękniejszem miejscu, jakie można widzieć. Tam zwykle lubiłem obracać swe przechadzki i, stojąc na wysokim brzegu Narwi, patrzyć, jak żółtawe wody Wisły niechętnie się łączą z jej ciemnobłękitną falą. Tam wzrok wlepiony w daleką przestrzeń, zda się, że szedł za biegiem rodzinnej Wisły daleko!... Potem brałem książkę i z nią siedziałem nad brzegiem, a wreszcie szedłem błądzić w miejscu, gdzie głębokie parowy, obrosłe gęsto leszczyną, pełne ptasząt, grunt przecięty i zawalone stare szańce czynią widok prawdziwie czarowny! Kiedyindziej brałem z łąki chłopskiego konia i jeździłem bez cugli... Szmidecki, Krukowski, Kierwiński rozdzielali (!) czasem moje przechadzki; chodziliśmy do Zakroczyma, do Nowego Dworu, a częściej po polach, ażeby się zmęczyć i z większą przyjemnością jeść mleko u wieśniaków. Ulubioną zabawą moją na każdym spacerze było zbierać kwiatek zwany: *brat i siostra,* podobny do fiołka. Fajka już wtedy była moją pocieszycielką w nudach".

W naukach fachowych zaniedbał się Sztyrmer; zajął się natomiast namiętnie literaturą. W pierwszym tylko roku pobytu w Szkole był prymusem; potem zwyciężony przez Sobieskiego, ustąpił z placu; przełożeni poczytywali go za leniwego, choć zdolnego, dyrektor o mało co go nie wydalił; dał się przebłagać jedynie większem przyłożeniem się Sztyrmera do „fortyfikacyi" i do znienawidzonych rysunków. Co odwiodło młodzieńca od matematyki? Będąc w korpusie kadetów, sądził, że posiada wielkie twórcze zdolności w tym kierunku; utwierdzały go w tem mniemaniu pochwały. Przeszedłszy do Szkoły,

spostrzegł, że umysł jego nie stworzy ani jednej nowej myśli w naukach ścisłych i nabył przekonania, że w matematyce każdy umysł ma swoją linię, której nie może przestąpić; przed nią może być geniuszem, poza nią z trudnością rozumie pomysły innych, a tem bardziej zbyt słabym jest, ażeby tworzył własne. Zniechęciwszy się tedy do tej umiejętności, rzucił się do poezyi, rozumiejąc, że to będzie sferą mu właściwą.

W pierwszym roku pobytu w Szkole wziął się naprzód do czytania klasyków francuskich, dawanych mu przez Schortiusa, nauczyciela języka niemieckiego. Sztuki Rasyna, Kornela, dzieła Woltera, Lamartina i inne pisma pochłaniał, poświęcając im wszystkie chwile wolne. Płakał, czytając Millevoye. Potem „Dzwon“ Schillera pogodził go z niemczyzną, do której miał wstręt poprzednio. Pierwsze dzieło większe w tym języku, które wziął do czytania, była „Iliada“ w przekładzie Vossa. Śmieli się z niego koledzy, ale niebawem zaczęto się dziwić jego postępom; nabył nowej sławy, jako znawca języków. Córka księcia Golicyna, której Schortius dawał lekcye, czytając niektóre wypracowania niemieckie Sztyrmera, zachęciła się do tego języka, do którego bardzo mało miała ochoty. Rzucił się do Schillera i Goethego, zaczął żyć w zupełnie nowym świecie wyobraźni, był nim zachwycony. Przebiegł mnóstwo almanachów, romansów, poezyj; był „w raju“.

W drugim roku, widząc, że Tomasz Potocki, do którego od pierwszego rzutu oka poczuł nadzwyczajną sympatyę i z którym pragnął koniecznie się zbliżyć, uczy się po angielsku, kupił sobie słownik angielski i sam, przy małej pomocy ze strony Potockiego i Zamojskiego, zaczął oddawać się studyowaniu tego języka. Wziął do czytania Moora, zachwycał się nowemi dla niego pięknościami, i tak się zapalał do irlandzkiego piewcy, że bał się zwaryować. W tym samym roku szkolnym, prawdopodobnie w drugiej jego połowie, 1827 r., pierwszy raz zapoznał się z poezyą romantyczną polską: z Mickiewiczem, Odyńcem i innymi; przez czas jakiś z rąk nie wypuszczał ich utworów. Codzień po kolacyi chodził z Kierwińskim, Szmidec-

kim lub czasem z Potockim po podwórzu, rozmawiając o poezyi. Potocki przeczytał mu raz swoją balladę „Stanisław i Halina“ i urywek „Zima“. Zachęciło go to do pisania wierszy. Myśli mu nie brakło, ale rymowanie było dla niego „gigancką pracą“, którą się jednak trudnił przez dwa ostatnie lata pobytu w Szkole, choć sam czuł, że wiele brakowało płodom jego Muzy, „śpiewającej wierszem twardym“, niezgodnie z Febem. Potockiemu prawdopodobnie ich nie pokazywał; bał się upokorzenia; widział w nim prawdziwego poetę, był tak szczęśliwy, gdy z nim rozmawiał, napawał się słodyczą jego obcowania; bolał, kiedy ten zostawszy oficerem, całkiem odmienił ton względem niego!... Natomiast wierszoróbstwo zbliżyło go z niejakim Wasilewskim, zapalonym do poezyi. Chodził z nim bardzo często, rozmawiając o literaturze; wieczorem zwłaszcza przechadzka ich po korytarzu, oświetlonym jedną tylko lampą, była nieocenionym odpoczynkiem dnia całego. Raz wyznali sobie, że piszą wiersze; odczytali je sobie nawzajem; Sztyrmer uczuł się wyższym od towarzysza. „Mój *Byron* — powiada — *Korsarz czerwony* i *sonety* nieporównanie są lepsze od jego urywków, chociaż wspólna nasza praca mało utarta. Jakkolwiekbądź, miłość moja własna nie ma się czego obawiać. Częste między nami sprzeczki literackie, a jednak pożycie to jest mi bardzo miłem wśród obojętnych moich kolegów; on dobry bardzo chłopiec, poeta — i nie grozi mej sławie, cichej, niestety! Jest to mały tryumf“.

Wprzód jeszcze zanim wziął się do pisania dłuższych poematów, Sztyrmer, naczytawszy się Labruyère'a i Larochefoucauld'a, pobudzony cierpieniami znoszonemi od współkolegów i wskutek swego refleksyjnego usposobienia, zajął się badaniem ludzi i ich charakterów; pierwsze w tym kierunku próby robił na swych towarzyszach, porównywając ich charaktery z opisywanemi w książkach. Czytanie głośnych wtedy moralistów francuskich, Weiss'a i Droz'a, zachęciło go do studyów filozoficznych, zwróciło do Dekarta, Lokka, Newtona i wzmocniło w nim chęć badania i opisywania duszy ludzkiej;

równocześnie zaś czytanie Byrona przejmowało go pesymistycznemi o ludziach wyobrażeniami.

Lektura ta atoli filozoficzna i poetyczna nie tłumiła w nim wiary. Ów wybryk w Kaliszu, podający ewangelię w wątpliwość, był chwilowym tylko; w Szkole zaś Aplikacyjnej wpływ nauczyciela matematyki i religii, ks. Rafała Skolimowskiego, przyczynił się w Sztyrmerze do chwilowej zapewne także gorliwości religijnej. Był to — jak go określa Sztyrmer i jak wiadomo skądinąd — człowiek wielkich talentów i duchowny odpowiadający swemu stanowi. Przykładem własnym zachęcał ich do wypełniania obowiązków chrześcijańskich, nie wymagając od ludzi zbyt ciężkich wysiłków. Słowa jego sprawiały na Sztyrmerze silne i skuteczne wrażenie. „Nigdy nie zapomnę — powiada on — spowiedzi w klasztorze ks. kapucynów. Wieczór był, i ostatni promień słońca przebijał przez zaczerwienione szyby w zmierzchnioną przestrzeń kościoła. Cisza ogólna, widok spokojnych zakonników tak poważny w pośrodku wrzawy stolicy, słabe światło kilku lamp i ponury głos klasztornego dzwonka, rozlegający się po korytarzach; wszystko to napełniło duszę moją jakiemś religijnem i majestatycznem natchnieniem. Chwila ta dała mi mocniej poznać wdzięk i prawdziwą słodycz religii. Przytem niedawno wpadło mi w ręce dzieło: *Le comte de Valmont ou les égarements de la raison;* niektóre myśli silnie zajęły moją imaginacyę i utwierdziły mnie jeszcze mocniej na drodze wiary. Czas niejaki zawsze po kolacyi błądziłem samotny po korytarzu w słodkich marzeniach o cnocie i powołaniu chrześcijanina, pełny będąc postanowienia stania się lepszym".

Odgłosy z szerszego świata dochodziły tu częściej do szkoły, aniżeli w Kaliszu, budziły w duszy młodzieńczej poczucie obywatelstwa, solidarności, należenia do wielkiej całości, ale poczucie to nie wzmacniane skądinąd, nie przybrało u Sztyrmera silniejszej barwy, pozostało w stanie zarodkowym. Oto parę oderwanych notatek, jakie we wspomnieniach swoich o tem zapisał:

„Zaczynam się interesować nowinami; czy to powietrze stolicy? Zdaje mi się, że jestem obywatelem; wszystkie nowości żywo mnie obchodzą".

„Cesarz Aleksander umarł; wieść o tej śmierci sprawiła niepojęte wrażenie przestrachu w mieście; byłem na wspaniałym pogrzebie; słyszałem mowę Woronicza; stałem przy ołtarzu i dostałem medal srebrny tak jak wszyscy, którzy byli w kościele; na jednej stronie jest popiersie cesarza, a na drugiej sprawiedliwy napis: Dobroczyńcę swego opłakująca Polska".

„Koronacya cesarza Mikołaja I. w Warszawie; wspaniałość wszędzie; wjazd tryumfalny; koronacya w kościele ś. Jana, illuminacye, sztafierowie jeżdżący z chorągwiami po mieście, bale, — wszystko to zachwyca mieszkańców stolicy, ale ja, zamknięty, niczego nie używam oprócz tego, że słyszę gwar na ulicach, widzę illuminacyę i że cały dzień byłem ubrany i stałem w szeregu, kiedy W. Ks. Następca tronu z generałem Merder obchodzili szkołę. Następca został na obiedzie i Przedpełski, kapitan utrzymujący menaż, pierwszy raz był kontent, że ktoś obcy przybył do obiadu".

Oto i wszystko; ech Sądu sejmowego nie znalazłem tu ani śladu.

Sztyrmer rzadko wychodził na miasto, bo bardzo mało miał znajomych; przez czas jakiś, w tajemnicy przed tłumem towarzyszy, ażeby go nie wyśmiano, uczył się tańczyć pod przewodnictwem kolegi z Kalisza, Braunera; ale wogóle życie jego było całkiem wewnętrzne, w rozmyślaniu i uniesieniach poetycznych, w wylewach przyjaźni. Do kobiet zwracał się od czasu do czasu z idealnem uczuciem, ale trafiał nieszczęśliwie na już zakochane lub zaręczone. Poznał się też i z miłością zmysłową, ale w sposób najordynarniejszy i wstrętny, który przypomina ową końcową rozmowę dwu przyjaciół w *Education Sentimentale* Flauberta, którą się tak w swoim czasie oburzano, jako niemoralną i... nieprawdziwą. Ostygał też w stosunkach zewnętrznych z ludźmi coraz bardziej.

Sercem żył w pełni wówczas tylko, gdy odwiedzał rodziców i siostry w Siedlcach, doświadczając zawsze jednakowych pieszczot i serdeczności. Gdy w r. 1828 na Boże Narodzenie przyjechał, ojciec pokazywał mu już niektóre oficerskie przybory, jakie dla niego przygotował, spodziewając się awansu, który miał niebawem nastąpić. Przy pożegnaniu wziął na pamiątkę włosy od całej rodziny; ojciec, dając mu promień swoich siwych, rzekł jakby przeczuwając, że go widzi raz ostatni: może to będzie jedyna po mnie pamięć!—i obtarł wpółukrytą łzę. Siostrzyczka Teofila siedziała milcząca, gdy wszyscy wkoło Ludwika płakali. Dotknęło to cokolwiek brata. Podchodzi do niej, by ją uścisnąć; wtem nagły krzyk wyrywa się z jej piersi, pada mu w objęcia, a strumień łez puszcza się jej z oczu. Jęk, łkanie, konwulsye były skutkiem zatrzymanej i skrytej boleści rozstania; rozerwała ona wreszcie zapory i brat poznał gwałtowny, namiętny charakter Teofili; pokochał ją tem mocniej.

Wkrótce po napisaniu rozprawy z zakresu artyleryi, rozkazem dziennym z 16 sierpnia [1]) 1829 roku posunięty został Sztyrmer na podporucznika artyleryi pieszej kompanii 1-ej pozycyjnej. W gratyfikacyi otrzymał żołd trzechmiesięczny do tej rangi przywiązany.

„Munduruję się — woła Ludwik — co za radość! Matka moja przyjechała i przywiozła mi przygotowane przez ojca dla mnie rzeczy. Ojciec mi tylko w liście przysyła błogosławieństwo. Matka całuje mnie, ściska w oficerskim mundurze. Chodzę po całej Warszawie i zdaje mi się, że oczy wszystkich na mnie zwrócone. Z pierwszych pieniędzy, które mi wpadły w ręce, kupiłem Moora i kilka cybuchów, najwięcej mi bowiem do szczęścia potrzeba książki i fajki; — resztę obojętnie dość potem kupiłem. Matka moja wyjechała. Byłem u pani Romanowskiej, żeby się pokazać w mundurze Basi i dumnej pannie

[1]) Sztyrmer we wspomnieniach podaje 19 sierpnia, ja trzymam się książki urzędowej, o której już mówiłem.

Seifert. Potem byłem na obiedzie u Sowińskiego, dla pożegnania nas umyślnie danym; na nim pierwszy raz się upiłem z łaski Trębickiego, który mi nieustannie kielichy napełniał, nie mogąc jako głuchy brać udziału w rozmowie. Na drugi dzień posłano mnie na ostatnią wartę w obozie, a na trzeci wymaszerowaliśmy do Kozienic".

Owocem ostatecznym pobytu w Szkole Aplikacyjnej było zapoznanie się ze światem idealnym poezyi, do którego skłonił się 20-letni młodzieniec, gdy widok ludzi stawał mu się przykrym, wzrost rozwagi, utrata wiary w przyjaźń bezinteresowną i w możność całkowitej szczerości w towarzystwie.

V.

W Kozienicach.

(1829—1830).

Sztyrmer dostał się pod dowództwo pułk. Jana Leppigé, Francuza z pochodzenia, lecz urodzonego już w Polsce. Ojciec jego tapicer nie mógł mu dać staranniejszego wychowania; pożycie jednak w świecie, znajomość z osobami wyższego towarzystwa, obycie się z formami, sprawiły, że Leppigé okazywał wszystkie przymioty dobrze wychowanego człowieka i trzeba było być bardzo wprawnym w poznawaniu ludzi, lub widzieć go w cokolwiek weselszym humorze, ażeby odkryć w nim braki, pewne ślady pierwotnego zaniedbania. Zajęty ciągle robieniem majątku, nie był jednakże sknerą, owszem żył bardzo dobrze, stół jego był wyśmienity, wino stare, a gościnność dla wszystkich. Oficerowie nie lubili go dlatego, że w postępki jego wkradała się często chytrość i samowola, ale niechęć ta była tak skryta, tak przytłumiana jego gościnnością, że obcy myśleli zawsze, iż Leppigé jest bardzo lubiany od podwładnych. Kiedy gdzie wyjeżdżał z wizytą, zawsze brał kogoś z sobą, nigdy

sam nie jadł obiadu, a częste po obluzie warty: „napijemy się wódeczki“, było hasłem, po którem węgrzyn lał się strugą, a wesołość w późną noc się przeciągała.

Dla Sztyrmera był nadzwyczaj przychylny; chwalił go i woził wszędzie, zawsze znalazł sposobność proszenia go do siebie i częstowania. Mimo to Sztyrmer, idąc za innymi oficerami, wydrwiwał go na zebraniach koleżeńskich. Powód istotny do niechęci dał mu pułkownik dopiero z okoliczności śmierci ojca Sztyrmera. Ojciec, będąc niebezpiecznie chory, zaklinał Ludwika w liście, aby przyjechał zamknąć mu powieki. Ludwik prosił Leppigé'go, żeby mu pozwolił jechać do domu na kilka dni, ale ten odpowiedział mu sucho, że w pierwszym roku po awansie nie może dać urlopu. Powtórna prośba nie skutkowała. „Niech mu to Bóg daruje! — pisze Sztyrmer w swych wspomnieniach — co do mnie, nie mogę mu tego przebaczyć i życzę mu, żeby w godzinie śmierci również nie mógł oglądać syna i próżno wyglądał jego przybycia!“ Dodać wszelako potrzeba, że to oburzenie na Leppigé'go raczej miało chyba swe źródło w zawiedzionej miłości własnej, iż prośbie jego odmówiono, niż w cierpieniu, że nie mógł widzieć ojca przed zgonem. Wiadomość bowiem o śmierci jego w konwulsyach, w malignie, ze stałą jednak myślą o synu, któremu polecał staranie o rodzinie, wiadomość ta, otrzymana w pierwszy dzień Wielkiejnocy (r. 1830), przeraziła Ludwika w pierwszej chwili, lecz nie przeszkodziła mu bawić się i zalecać do panien. Oto, co pisze z tego powodu, zastanawiając się nad śmiercią ojca: „Zgon jego był ciężki, bolesny, i palec Boga widocznie dotknął go w ostatniej chwili za błędy całego żywota. Pokój jego pamięci! Ostatnie jego słowa wyrażały zgryzotę, że zostawia żonę i dzieci bez sposobu do życia, mogąc im zapewnić los nie świetny, ale przynajmniej mierny i dostateczny, gdyby nie okropny nałóg pijaństwa, który wszystko zmarnotrawił, co mu talenta jego przynosiły. Dzieci, czy macie co jeść na jutro? — było ostatnie jego pytanie... Siostra opisywała mi to wszystko: i boleść matki i swoje strapienie i po-

grzeb i wreszcie krytyczne całej mojej familii położenie. List jej przywiódł mnie prawie do rozpaczy, dzień ten ciągnął się zbyt długo dla mnie; jednakże wyznać muszę, że czy to z obojętności, czy stąd, że ojca mego więcej się bałem, jak go kochałem, zgon jego nie tyle zranił moje serce, ileby się można spodziewać po synu i człowieku tylą czułości obdarzonym. Wyznaję to szczerze, byłem zawsze dobrym i posłusznym synem, ale powiększyć swoje przywiązanie nie było w mojej mocy, ani w mocy nikogo... Dałem słowo Horci, że będę w Policznej w drugie święto Wielkanocy, i chociaż śmierć mego ojca mogłaby mnie od tego uwolnić, *nie chcąc jej jednak rozgłaszać,* pojechałem. Potrzeba mi było po mojem zmartwieniu pociechy, potrzeba było, abym był wesół i szczęśliwy choć kilka godzin".

W każdym jednak razie, jakiekolwiek były pobudki żalu do Leppigé'go, istniały przecież i zaostrzały sarkazmy nań rzucane. Razu pewnego, gdy dowódca brygady pułk. Płonczyński miał przyjechać na lustracyę i Leppigé skwapliwie zajmował się porządkiem, Sztyrmer, mając już wychodzić od jednego z kolegów, powiedział: „Ach, jak ten Leppigé boi się Płonczyńskiego", nie wiedząc, że Leppigé pocichu wszedł był do pokoju i stał za nim. Spostrzegłszy go Sztyrmer, nie tracąc fantazyi, skłonił mu się i wyszedł. Leppigé, dotknięty w punkcie najczulszym — tysiącem małych, ale dotkliwych nieprzyjemności dokuczał Sztyrmerowi, za co tenże odpłacił sowicie, gdy Leppigé został oddalony ze służby w grudniu roku 1830.

Bądź co bądź, dowództwo tego człowieka nie ciężyło bynajmniej Sztyrmerowi przez większą część czasu, w którym od niego zależał, owszem, wszystkie miłe znajomości, jakie w Kozienicach i w okolicy porobił, zawdzięczał Leppigé'mu.

Z towarzyszami żył Sztyrmer na stopie grzeczności tylko, nie szukając już serdeczniejszych związków. Nawet ze Szmideckim, z którym początkowo razem w Kozienicach zamieszkał, nie mógł długo pozostawać w dawniejszych szkolnych stosunkach. Otrzymawszy nad nim przewagę, stawał się zbyt wyma-

gającym i despotycznym; musieli się z sobą rozstać i zejść prawie na taki sam poziom chłodnego i grzecznego koleżeństwa, jaki znamionował pożycie Sztyrmera z resztą towarzyszy 1-ej kompanii pozycyjnej artyleryi pieszej.

Ponieważ czas wolny, pozostający od mustry i innych zajęć wojskowych, był bardzo znaczny, Sztyrmer postanowił początkowo zużytkować go na dalsze kształcenie się, rojąc nadzieje o rychłem posuwaniu się po drodze awansów.

„Jestem młody — mówił sobie — zacząłem dopiero 21-szy rok, a jestem już oficerem w artyleryi! Odebrałem najlepsze, jakie w kraju odebrać można, wychowanie, z dziećmi najpierwszych familij, i w instytucie, który słynie wszędzie; mam żołd porządny (około 245 złp. na miesiąc); twarz moja nie jest odrażająca, obejście moje może być przyjemnem, a więc fortuna powinna mi sprzyjać!... Ciesz się, Ludwiku! tylko się dasz tu poznać, za miesiąc lub za dwa, będą się starać w zawody o twoją znajomość, ugaszczać cię, fetować, prosić; wszystkie panny szalenie się w tobie zakochają... Z drugiej strony, natura dała mi talent do poezyi i filozofii, a może nawet geniusz mój matematyczny tylko się uśpił? Trzeba więc, abym naukom poświęcił główną część czasu, a resztę dopiero zabawom; będę się zajmował, rozdzielając czas najskrupulatniej i przeznaczając na każde zatrudnienie liczbę godzin podług systematu p. Jullien [1]), napiszę poemat i kurs filozofii dla potomności; a w matematyce lub artyleryi zrobię jakie odkrycie dla współczesnych, dla mojej sławy i karyery, bo niezawodnie po wydrukowaniu tego dzieła wkrótce zostanę pułkownikiem!“

Zamiary te trwały w głowie młodzieńca krótko, porwał je i pogmatwał prąd życia i wypadki krajowe.

Z początku po przybyciu do Kozienic we wrześniu, przesiedział istotnie Sztyrmer kilka dni w domu, czytając kiedy-

---

[1]) Była to głośna w owym czasie książka, o której w gazetach dużo pisano. Po polsku wyszła p. n. „Zarys nauki względem użycia czasu“ w „Tygodniku Polskim“ Damazego Dzierożyńskiego, r. 1832.

niekiedy poezye Moora, Werthera lub Heloizę, przeglądając wypisy swoje porobione w szkole z filozofii Flotta, a częściej chodząc, marząc i fajkę paląc. Widząc atoli, że z takiego trybu życia korzyści było niewiele, a koledzy gniewali się, że ich nie odwiedzał, poszedł za radą Szmideckiego, żeby nie być dziwakiem, i zaczął żyć jak drudzy, zbliżywszy się do nich. Ponieważ jednak musiał poprzestawać na prostej grzeczności i interesie, nie zadawalniały te przemijające związki potrzeby jego serca. Po miesiącu wszystko go znudziło, i oficerstwo jego, i koledzy, i zajęcia naukowe; nie wiedział, co z sobą zrobić i gdzie się obrócić; z wrodzonego zamiłowania zaczął robić wycieczki w okolice Kozienic, zupełnie bez celu. Często wyszedłszy z rana sam jeden, błądził cały dzień po lesie, po piaskach, po zaroślach, jadł mleko kwaśne zamiast obiadu, siedział nad grobowcem Mageta na cmentarzu żydowskim, bez żadnej określonej myśli, marząc o niebieskich migdałach. Samotna przechadzka po lesie, zwłaszcza w jesieni, robiła na nim dziwne wrażenie: było to uczucie „prawie religijnej melancholii“; dusza jego była wtedy „najpełniejszą Boga, a serce, najzdolniejsze uczuć i znaleźć przyjemność w wypełnieniu wszystkiego, co jest wzniosłem i szlachetnem“, biło mu silnie „dla wszystkich wspaniałych uczuć cnoty, religii, honoru“. Często na przechadzki takie brał z sobą książkę, ale rzadko ją czytał; zazwyczaj patrząc na nią i zajmując się innemi myślami, nadstawiał ucha na szum liści, na szelest jesiennego wiatru; i wieczorem nieraz znalazł się na mogiłkach kirkutu, dumając o niczem.

Koledzy zaczęli go wyśmiewać; przyrzekł poprawę; nastąpiła zgoda, po której wprowadzony został Sztyrmer do towarzystwa kozienickiego: do pocztmistrza Skorupskiego, do państwa Olszewskich, do p. Hodorowiczowej.

Przy pocztmistrzu, wdowcu, mieszkały dwie jego siostrzenice: Zofia i Tekla Kamińskie, proste, rumiane dziewczęta, prawie bez żadnego wychowania, do których chodziło się, „żeby z nich pożartować i przepędzić wieczór bez żeny“. Każdy

zjadłszy i wypiwszy dobrze, drwił sobie ze Skorupskiego i rumianych jego siostrzenic. W głowie Sztyrmera było z naczytania się romansów „tyle frazesów romansowych i tyle chęci przedstawienia ich jakiejś piękności“, że się z tem zwrócił do Tekli, wzdychającej do oddania komu swego serca. Tekla słuchała frazesów, odpowiadała westchnieniami; ale że przyzwyczajona już była do czułości wypowiadanych z ironią, czekała realniejszego objawu uczuć, oświadczenia o rękę. Możeby się 21-letni młodzieniec wplątał był nawet w małżeństwo, gdyby nie był porobił innych, dystyngowańszych znajomości. Kiedy już je zawarł, kiedy się otrzaskał w towarzystwie, zaczął traktować Teklę lekceważąco, wchodził często do jej pokoju, gdy się ubierała, pomimo jej krzyku i łajań, oraz przekąsów Zofii, która go nigdy nie lubiła.

Dom państwa Olszewskich składali: Olszewski, dymisyonowany ułan, naddzierżawca dóbr rządowych Kozienice, człowiek prosty, gruby, nieokrzesany, za którego wyszła wdowa po Glińskim, bardzo miła i szanowna osoba, już podstarzała; dalej panna Ludwika Glińska, stara cokolwiek panienka, i Teresa Połońska, guwernantka, jeszcze starsza, wreszcie mała Józefinka, córka i faworytka Olszewskiego, mająca lat 9. Dwie panny za stare i za uczone dla Sztyrmera, tak że się bał nawet do nich przybliżyć, oraz trzecia za młoda, nie mogły pociągnąć ku sobie młodzieńca; rzadko więc tu bywał, chyba proszony.

Częściej odwiedzał dom, zwany Hamernią od fabryki, która się tam znajdowała; bo dwie panny dorodne w nim były: Feliksa i Eligia Hodorowiczówny. Feliksa szczególniej, bardzo miła i dobrze wychowana, niezmiernie łagodna w obejściu, chociaż nie miała rysów regularnych i brakowało jej zęba na przodzie, mogła się wielce podobać, ale miała to nieszczęście, że towarzysz Sztyrmera, Link, „bożyszcze tańców kozienickich“, którego kochała i który ją kochał, nie mógł się z nią żenić jako ubogą, a doktór wojskowy Wołowski, śmieszny

i podły, którego nie cierpiała, męczył ją propozycyą małżeństwa.

Pierwsze wystąpienie Sztyrmera w większem zebraniu było próbą ogniową jego nieśmiałości. Wyszedł z niej zwycięsko, jak ci ludzie, co, mając w duszy dużo energii, lękają się zrazu ją okazać, ale gdy się odważą, puszczają się na oślep, bez cugli. Wszak i tchórz bywa odważnym. Przytoczymy tu własne jego słowa:

„Leppigé, żyjący po kawalersku (bo żona z dziećmi została w Warszawie), powiedział, że mnie rozrusza i na pierwszy wstęp zawiózł mnie do państwa Gano na wesele córki ich, Ludwiki, na które byliśmy wszyscy proszeni. Jadąc z nim, czułem rodzaj małej trwogi; było to bowiem pierwsze wesele i pierwsza zabawa, na której mi wypadało grać przyzwoitą rolę... gdzie może trzeba będzie tańczyć, bo Leppigé koniecznie tego chciał, a ja tylko z Braunerem dotąd (i to Bóg wie po jakiemu) umiałem przeskakać walca i cokolwiek mazura, którego figur wcale nie pójmowałem. Nie tańcząc nigdy dotąd z kobietą, bałem się tego jak śmierci, pewny będąc, że co krok nastąpię na nogę. Jednak jak tylko kielichy obeszły, muzyka zabrzmiała polskiego, nie wiem czy z wina, czy skąd wzięła mi się odwaga i źle bez wątpienia, ale jakkolwiekbądź, dość że całą noc tańczyłem — walca tylko, bo mazura nie mogłem się odważyć. Szczęście, że wesele to prawdziwem było weselem. Szlachta rozochociła się węgierskiem, damy przyzwyczaiły się patrzeć na półtrzeźwych i w tym zgiełku mniej uważano na moje awantury. Inaczej widok młodego oficera zbyt może wesołego w domu, gdzie był pierwszy raz, tańcującego brzydko, a zapamiętale (w końcu z przewiązaną chustką na nodze), niepochlebne zapewne dałby o mnie wyobrażenie. Hulanka ta trwała trzy dni — miałem tyle rozsądku, że na drugą noc dałem się namówić kolegom mniej zapalonym do tańców, choć lepiej ode mnie tańcującym, i wyjechaliśmy, nie żegnając się, bo szlachta pewnieby nas nie wypuściła z rąk. W drodze, czując, że mi w głowie dość ciepło, zapomniałem o reszcie

ciała, zaziębiłem nogę, która od zbytniego tańca i tak mnie bolała, i chodziłem kulejąc potem przez kilka tygodni. Oto jedyny użytek z pierwszej zabawy! Zamiast, żeby się nad nią zastanowić, miłość moja własna podniosła się jeszcze; zdawało mi się, że ja będę bożyszczem salonów, zrobiwszy tak ładne *coup d'essai!* Zaślepienie to jednak niedługo trwało. Koledzy i Leppigé zaczęli ironicznie przypominać mi niektóre moje kawałki, poznałem, że nie mam sobie czego winszować i postanowiłem się poprawić. W wizytach moich u Olszewskich i Hodorowiczowej, zacząłem się inaczej pokazywać, zapomniano przeszłości i wkrótce w Kozienicach zaczęto mnie uważać nie za cud, ale za przyjemnego człowieka".

Odwiedziny w Hamerni pozostawiły na zawsze w sercu Sztyrmera najmilsze wspomnienie; względem panny Feliksy z początku żywszego doznawał uczucia, przestał jednakże później na grzeczności i przychylności; a wieczorki skromne, na których tak on jak całe towarzystwo „naturalną wesołość" okazywali, były tak uroczemi, że żaden bal publiczny, żaden salon dostojnych osób, widziane przezeń w latach dojrzalszych, nie mogły z niemi we wspomnieniu jego rywalizować.

Zaprawiwszy się na tych prostych zabawach, nabrawszy pewnego stopnia śmiałości, mógł nasz podporucznik wystąpić odważniej w towarzystwie bardziej dobranem i puścić się w zaloty. Próżność młodzieńcza i miłość własna domagały się tryumfów i w tym kierunku.

Sposobność ku temu nadarzyła mu się niebawem. Dziedzicem Tyżyna za Wisłą (od Kozienic) był p. Ostrowski. Oficerowie, zaproszeni na jego imieniny, pragnący poznać się z domem poważanym, oczywiście nie odmówili. Pojechał i Sztyrmer ze Szmideckim, mając nabitą głowę tysiącem anegdot o Frani, synowicy Ostrowskiego, i marząc o podbiciu jej serca. Zebranie było liczne, obiad pyszny, węgrzyna aż nadto. Muzyka żydowska z Przytyka zaczęła grać; rozpoczęły się tańce; starsi wyszli do innych pokojów, Ludwik przypomniał sobie swój podbójczy projekt. Trudno go było wykonać tego wie-

czora; Frania była zajęta, krzątała się, pomagała pani Ostrowskiej. Nie znając jej zgoła, Sztyrmer nie śmiał odrywać jej od kłopotów gospodarskich, zdecydował się na ten raz próbować szczęścia u jej siostry stryjecznej, Teofili, wysokiej, nieszpetnej brunetki. Przysiadł się do niej z przygotowanemi dla Frani strzałami. Z rozmowy dowiedział się, że na drugi dzień wyjeżdża i że może się nigdy nie zobaczą. Grzeczności Ludwik podwoił; i w jeden wieczór romans był nietylko zaczęty, ale doprowadzony do tego punktu, że mu na pamiątkę pozwolono odciąć nożyczkami kawałek wstążki od przepaski. Nad ranem towarzystwo się rozjechało.

Odtąd zaczęły się częste wycieczki Sztyrmera za Wisłę. Była to rodzina tak dobra, tak przyjacielska i gościnna, że przyjechawszy, przekonywał się zawsze, iż wszyscy byli mu radzi. Powoli zbliżył się do Frani; prowadzono z początku obojętne, potem coraz żywsze rozmowy, nakoniec pani Ostrowska wystąpiła z alluzyami do małżeństwa. Nie przychodziło to Ludwikowi wcale do głowy; panna była od niego starsza, miała około 24 lat, małego wzrostu, blondynka, nie piękna, bez majątku, bez lepszego wychowania; posiadała jedynie żywość, wesołość, naturalność i prostotę bardzo przyjemną; on chciał jedynie poromansować, chociaż Frania miała się na ostrożności i prawdopodobnie dążyła do ślubu. Miłość ta, a raczej zalecanie się tylko dla milszego przepędzenia czasu, ciągnęło się dosyć długo; przyszło do dania pierścionka i splotu włosów przez Franię; Ludwik odwzajemnił się ofiarowaniem romansu „Hrabia Ostroróg“, dlatego że między osobami w nim opisywanemi był Ludwik. Stosunek ten głaskał miłość własną młodzieńca, zwłaszcza, że przed nim paru jego kolegów ubiegało się o względy Frani. Sztyrmerowi zdawało się, że odniósł zwycięstwo nad współzawodnikami, chociaż ci bynajmniej mu teraz w drogę wchodzić nie zamierzali...

Tymczasem Teofila przyjechała na kilka tygodni. Nowość pociągnęła Ludwika, który już się nudził powtarzaniem tych samych zawsze frazesów tejże samej osobie; manewrował tak

zręcznie, że nie obudzając podejrzenia we Frani, potrafił i od Teofili uzyskać pierścionek i splot włosów, sam zaś dał jej „Samotnika“. Obydwa pierścionki trzeba było schować, a „sploty nosić na prawej i lewej ręce pod mankietem surduta“. Cały czas pobytu Teofili przeszedł młodzieńcowi bardzo przyjemnie; jeździł do Tyżyna co drugi, co trzeci dzień; Teofila była bardzo czuła, Frania zazdrosna, Ostrowscy weseli; chwile mijały szybko, czasem kazano zawołać skrzypka i Ludwik sam tańczył z obydwiema siostrami... „dla rozrywki, dla swawoli“. Wyjazd Teofili zrobił na Sztyrmerze wrażenie. Mówiła ona ze śmiechem, że przejeżdżając przez Wisłę utopi się, i że Sztyrmer będzie z tego kontent. W śmiechu jej było coś smętnego, jakby przeczucie, że się widzą po raz ostatni. Była to dziewczyna równie mało mająca wykształcenia, jak Frania, ale w sercu wiele miała prawdziwie kobiecej czułości. Sztyrmer jej nie kochał, ale czuł dla niej żywą sympatyę; lubił ją dla jej smętnych rozmów, nacechowanych naturalnością i dalekich od ironii, która znamionowała Franię. Po jej oddaleniu się, Sztyrmer wrócił do Frani, ale ta mu już nie dowierzała, robiła wymówki; Ostrowscy powstawali na młodzież, szukającą żon bogatych; stosunki się oziębiły, zwłaszcza że serce Ludwika było już zupełnie oddane innej osobie.

O trzy mile od Kozienic, w Policznej, dobrze znanej w dziejach literatury naszej z powodu małżeństwa Jana Kochanowskiego, mieszkali naówczas zamożni i poważani państwo Boguccy. Nie wiedzieli oni pewnie o historycznem znaczeniu swej wioski, podobnie jak i Sztyrmer, ten bowiem żadnej w tym względzie nie czyni wzmianki w pamiętnikach swoich. Żyli tylko życiem obecnem. P. Malachiasz Bogucki, któremu został tytuł marszałka dlatego, że niegdyś urząd ten sprawował na sejmiku w Kozienicach, był to człowiek lat około 48, podsiwiały, lecz zdrowy i czerstwy. Nie posiadając majątku, ożenił się z wdową bogatą i rodem swoim dumną; był więc jej podległym i nie miał głosu. Charakteru najlepszego, spokojny, gościnny, lubiał dobrze zjeść i lepiej jeszcze wypić; stąd też

każdy był mu miłym gościem. Żyjąc w przyjaźni z Leppigém, słyszał ciągłe od niego pochwały o Sztyrmerze i pewny był, że tenże zrobi kiedyś w świecie wielką karyerę. Żona jego Tekla [1]), z domu Pieniążkówna, z pierwszego małżeństwa Potkańska, miała około 45 lat; była to „kobieta-pani“: rządziła domem sama, wszystko było posłuszne jej skinieniu, nie wyłączając męża. Jedyne jej zatrudnienie stanowiły ulubione tryki i owce, leczenie wieśniaków, pasyans i rumel-pikieta. Krewni i niekrewni, z bardzo nielicznemi wyjątkami, byli jej obojętni; trzeba było wielkiego faworu, żeby od niej usłyszeć najmniejszy komplement, a małego bardzo uchybienia, żeby otrzymać porządną reprymendę. Nie mając dzieci, wzięła do siebie córkę swego brata, Emilię Pieniążek, którą jak najstaranniej wychowała, i Hortensyę Wyszkowską, kuzynkę swego męża, która w mniejszym daleko stopniu doznawała jej pieczołowitości. Na najlżejszy znak przez nią zrobiony, obie panienki biegły jak błyskawica i nadstawiały uszka dla odebrania rozkazu. W chwilach dobrego humoru była dość wesoła; a dla Sztyrmera w ciągu całej znajomości dobra i grzeczna, czasem nawet, kiedy przyjechał, głaskała go po głowie z pieszczoty, co było dowodem wielkiej łaski.

Charakterystyczny opis zapoznania się z tym domem, a zwłaszcza z płcią w nim piękną, podaję dosłownie ze wspomnień Sztyrmera:

„Przy końcu września, w dzień św. Tekli, były imieniny p. Boguckiej. Leppigé zabrał Linka, Radziszewskiego i mnie;

[1]) Paulina Wilkońska, która poznała Boguckich w kilka lat po Sztyrmerze, przedstawia nam panią Teklę jako starszą od męża, gościnną, ale nie lubiącą zbyt hałaśliwych zabaw, chociaż na nie pozwalającą przez grzeczność dla męża i gości, pełną zacności kobietę. „Pani marszałkowa Bogucka — mówi Wilkońska dalej — posłużyła mi za wzór do mojej *Pani Podkomorzyny* i do niejednego wspomnienia w powieściach moich, jako postać prawdziwie typowa dawnej matrony polskiej“. Zob. „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem na prowincyi w Kongresówce“, przez Paulinę z L. Wilkońską. Część pierwsza. Poznań 1875, str. 93.

zjedliśmy u niego śniadanie i wyjechaliśmy do Policznej. Przez drogę żartował ze mnie, że się pokocham, że się roztańczę i t. p., i tem mię cokolwiek zmieszał. Wiedziałem, że będzie wiele gości; jechaliśmy na obiad; trzeba więc będzie wmieszać się do towarzystwa przed obiadem; nieśmiałość moja męczyła mnie całą drogę; bałem się tej pierwszej, jak mogę nazwać, wielkiej wizyty. Nareszcie przyjechaliśmy; osób było mnóstwo; Leppigé nas zarekomendował i każdy poszedł w inną stronę. On usiadł przy Boguckiej, Link i Radziszewski natychmiast przysunęli się do panien i znaleźli łatwo przedmiot rozmowy, a ja stanąłem na boku, nie wiedząc, co robić z sobą. Do panien bałem się przystąpić, nie wiedząc, o czem zagadać, a z mężczyzn nie znałem nikogo; nareszcie słysząc blizko siebie kółko rozmawiające o polowaniu, przyłączyłem się do nich, nie wystrzeliwszy w życiu mojem z fuzyi; a jednak słysząc moją rozmowę, niktby mnie o to nie posądził. Na moje szczęście był tam bardzo dobry i zacny chłopiec, Floryan Pieniążek, z którym w moment poznajomiliśmy się; powiedział mi, że p. Bogucka jest jego wujenka i, jakby zgadując moją myśl, dodał, że z trzech panien, które razem siedzą i przy których się kręcą moi koledzy, najwyższa jest panna Kisielowska, która wkrótce za mąż wychodzi, druga jest jego rodzona siostra Emilia, a trzecia blizka jej i jego kuzynka, panna Hortensya Wyszkowska. Widok każdej panny w owym czasie sprawiał silne na mnie wrażenie, więc i piękne *trio* zajmowało mnie kilka minut. Zazdrościłem Linkowi, który zdawał się coś czułego szeptać, i Radziszewskiemu, który swoim zwyczajem facecyonował, śmiał się i rozśmieszał wszystkie trzy panienki. Ale wreszcie zrobił się ruch; wciągnięto mnie z tłumem i dopiero w drugiej sali spostrzegłem, że do stołu podano. Widok nakrytego stołu wygładził z mej głowy słabo nakreślone trzy figurki; rzucałem nieraz spojrzenia na poboczny stół, gdzie one ze swymi kuzynami siedziały, ale częściej jeszcze na półmisek i kieliszki. Obiad się skończył o godzinie 5-ej; rozmowa i karty przeciągnęły się do 7-ej, a potem zaczęły się tańce. Ogromne

herbowe kielichy, z których toasty musiałem wypijać, podniosły cokolwiek moją śmiałość i, jakby od anioła za rękę wiedziony, poszedłem prosto do panny Emilii prosić ją do walca, i z (!) tej chwili jakby magnes, kroki moje cały wieczór ku niej się zwracały; stałem przy niej, kiedy grała na fortepianie, a jak tylko skończyła, przychodziłem prosić ją do tańca, *przez cały ten wieczór nie mówiąc z nią ani słowa, albo mówiąc bardzo mało.* Tak częsty taniec był natręctwem, Emilia tego bynajmniej na sobie nie pokazała, ale p. Bogucka, widząc, że to łatwo może zaszkodzić delikatnemu jej zdrowiu, zrobiła mi tę uwagę, prosząc, abym przez litość dał jej pokój. Wymówiłem się jak mogłem najgrzeczniej, ale nie przestałem brać do tańca. Zabawa się przeciągnęła późno w noc; o godz. 12-ej dali kolacyę, po której pogadawszy jeszcze cokolwiek, rozeszli się wszyscy spać z wielkim moim żalem. Dla nas posłano pościel w oficynach po kawalersku, t. j. na słomie; spać zaraz było niepodobna, bo młodzi ludzie po zabawie zawsze mają przedmiot do rozmowy; chodziliśmy więc po stancyi, paląc fajki, śmieliśmy się razem i szczerze, chociaż najwięcej moje tańce były powodem śmiechu. Żartowali ze mnie, żem się pokochał, z czego z całej duszy śmiałem się, zapewniając ich (jak istotnie było), że jestem zagrzany tylko węgierskiem, ale nie miłością... Wreszcie służący wszedł nas rozebrać i podał nam nową materyą do wesołości. Posłaliśmy go do panien prosić o czepki nocne, które z wstążkami wkrótce przyniósł i powiedział nam, że panny jeszcze nie śpią; skąd naturalnie wypytywanie się o pannach, z którego to tylko pamiętam, że p. Emilię wystawił nam dobrą jak anioła, dodając, że jakiś jegomość przyjeżdżał swatać się, ale go odprawiono. Nazajutrz tenże służący powiedział nam rano, że p. Emilia po zbytnim tańcu przebiegła przez korytarz, zaziębiła się i całą noc była chora do tego stopnia, że p. Bogucka oka nie mogła zmrużyć, ale że nad ranem zrobiło jej się lepiej. Uczułem niewcześnie swoją nieroztropność, ale cóż było robić; spuściłem się na los. Koledzy moi byli w dobrym humorze, to i mnie rozweseliło; odpięliśmy

wstążki od czepków i każdy schował swoją na pamiątkę. Młodzież się do nas przyłączyła i wszyscy razem weszliśmy do pokoju, gdzie p. Bogucka dała mi wprzód delikatną reprymendę, a potem kawy. Trudno mi się było wymówić, kiedy usłyszałem te słowa: ja przestrzegałam, ale cóż, kiedy to młodzież nigdy nie słucha! Jednakowoż otrzymałem przebaczenie. P. Emilia weszła, blada na twarzy, i w tej chwili zrobiło mi się bardzo smutno, widząc, że nasza znajomość zaczyna się od jej choroby, której ja jestem przyczyną; przebąknąłem kilka słów przeproszenia, których nie dała mi dokończyć, zapewniając z lekkim uśmiechem, że już jej daleko lepiej i że cała wina jest w jej nieostrożności. Chcieliśmy wyjechać po kawie, ale jako winowajcom nie pozwolono nam; rozkaz ten był stanowczym, bo Leppigé wyjechał w nocy, więc musieliśmy czekać, aż nas odeślą. Chociaż mało gości się zostało, jednak bawiliśmy się bardzo dobrze; zachęcony przykładem moich kolegów, i ja zacząłem brać udział w rozmowie z pannami i po kilku godzinach byłem w swej sferze. Leppigé musiał mnie mocno zachwalić, bo p. Bogucka często ze mną mówiła i bardzo łaskawie, powtarzając, że to jest wielkie szczęście być tak młodym i już oficerem w artyleryi. Na drugi dzień wyjechaliśmy rano po kawie, proszeni będąc, aby częściej przyjeżdżać. Z pierwszej tej wizyty nie uniosłem żadnego z sobą uczucia oprócz wesołości; wszystkie trzy panny podobały mi się, Emilia może więcej, ale bez żadnego uczucia, którego jeśli i było cokolwiek, to zniknęło przy śmielszych od Emilii pannach w Tyżynie i na poczcie“ [1]).

Wesołość i pustota, podniecone powodzeniem, były przez jakiś czas jedynemi bodźcami postępowania Sztyrmera. Równo-

[1]) Dla przekonania się, jak Sztyrmer zużytkowywał wypadki rzeczywiste w późniejszych powieściach swoich, można porównać przytoczony powyżej ustęp z analogicznym, niekiedy dosłownie z pamiętników własnych powtórzonym kawałkiem „Duszy w suchotach“, które ze wszystkich opowiadań Sztyrmera najwięcej zawiera rysów autobiograficznych. Zob. „Powieści nieboszczyka pantofla“, 1844, tom II, 189—196.

miernie zalecał się na poczcie, w Tyżynie i Policznej; a chcąc sprawić wrażenie wielce przez panny rozrywanego kawalera, do dwu pierścionków, które otrzymał w Tyżynie, dokupił jeszcze trzy tombakowe w Kozienicach, i włożywszy całą tę piątkę na palce, błysnął nią w Policznej. Ale tu p. Bogucka tak ironicznie nań spojrzała, że na drugi raz pochował wszystkie. Powoli zaczęło się do serca jego wkradać uczucie czulsze i szlachetniejsze, wzmacniane najpewniej tem, że od Emilii nie zdobywał tak łatwo dowodów uczucia, jak od Teofili lub Frani; jak w przyjaźni bowiem, tak i w miłości Sztyrmer potrzebował oporu, ażeby się silniej przywiązać. Państwo Boguccy niechętnem patrzeli okiem na zaloty oficera; a pani Bogucka, Pieniążkówna z domu, niewątpliwie dała uczuć, że nie powierzyłaby Emilii człowiekowi biednemu, żyjącemu tylko z żołdu i — z niepolskiem nazwiskiem mieszczańskiego pochodzenia. Trudności te dodawały goryczki uczuciu i tem je powabniejszem czyniły. Przebiegi miłosne pozwoliły Sztyrmerowi pod czujnem okiem rodziny przeprowadzić porozumienie się z Emilią i wywołać objawy uczucia podzielanego w sposób pełen szlachetności i godności.

Tu miejsce na wizerunek Emilii, skreślony ręką zakochanego i oczytanego w ówczesnych sielankowych romansach młodzieńca: „Emilia Pieniążek mogła mieć naówczas (1829 r.) siedmnaście lat. Wysoki wzrost, wysmukła kibić, twarz biała jak lilia, na której tylko w chwili wzruszenia przebijał się lekki różowy obłoczek, a zwyczajnie przez śnieżystą białość przebijały się najdelikatniejsze fibry twarzy, włos kruczy, oko czarne, pełne słodkiej melancholii i przytłumionego ognia, smętność rozlana na całej twarzy, rączka i nóżka ręką gracyi ukształtowana: — oto jest słaby obraz Emilii! O, gdybym mógł równie opisać moralne jej zalety! ową cichość i spokojność anioła, ową smętność, która, zdawało się, duszę jej unosiła w niebiosa, podległość swojéj wujence, dobroć dla służących i wieśniaków, których była bożyszczem, harmonią jej głosu, coś anielskiego w uśmiechu, niewinność dziewiczą i nieśmiałość

dziecka przy charakterze mocnym i dziedzicznym w linii żeńskiej Pieniążków! Z postaci podobna do mojej siostry Teofili, wznieciła w mem sercu uczucia tak miłe i łagodne, jak gdyby miłość siostry, wzrastając w sile do nieskończoności, zachowała jednak swą naturę. Była to miłość tak czysta, że prawdziwie zasługuje na nazwanie niebieskiej i — nigdy w życiu nie miałem chwil podobnych. Ani Heloiza, ani Karolina Werthera nie dadzą się z nią porównać; jedna Aldona ma niektóre rysy charakteru do niej podobne, i tej braknie jeszcze tej łagodności *(candeur)*, której w romansach i w świecie nigdy nie widziałem".

A oto portrecik jej towarzyszki i pośredniczki w miłości:

„Kuzyna jej Hortensya Wyszkowska była może od niej młodsza; blondynka, nizkiego wzrostu, cokolwiek piegowata na twarzy, co jednak w przyjemności nic jej nie szkodziło; oko niebieskie, żywa tyle i szczebiotliwa, ile Emilia powolna, milcząca i zamyślona; słowem zupełny kontrast z nią formująca. Ona jedna wystarczała dla zajęcia rozmową kilku mężczyzn. Koledzy moi wszyscy przekładali ją nad Emilię. Śmiała, żartobliwa, rzeźwa, myślą obejmowała wszystko w moment. Podobna zupełnie do Klary d'Orbe [z „Nowej Heloizy" Roussa], nawet w ważnym kobiecego charakteru punkcie, że obojętnie i wesoło gotowa była iść za mąż za człowieka, dla którego nie czuła ani miłości, ani nienawiści. Charakter jej tyle był żywym, że zdawał się niezdolnym do miłości, serce jej biło silnie tylko dla Emilii, którą z całym zapałem kobiecej przyjaźni kochała. Dwie te dziewczyny były nierozdzielne i nieśmiała Emilia chroniła się, że tak powiem, pod skrzydła żywej, choć młodszej Horci. Ona była powiernicą jej miłości, ona jej radą we wszystkich zdarzeniach, ona wreszcie wyręczała ją nawet w odpowiedziach. Słowem, co do przyjaźni, Emilka i Horcia, były wiernym obrazem Julii i Klary d'Orbe. Z (!) pierwszych prawie chwil naszej znajomości Horcia była ze mną jak z bratem, otwarcie, bez żeny, i to wszystko bez innej przy-

czyny nad tę, że widziała w sercu Emilii rodzącą się dla mnie skłonność".

Państwo Boguccy mieszkali w drewnianym dworku, biało pomalowanym, do którego dotykał ogród dość zapuszczony. Jeden pokój, paradny, umeblowany był średnio; mieścił kanapę, na której wiecznie siedziała p. Bogucka, mając pod ręką dzwonek dla wzywania służących, dwa stoliki, stary klawikord i 12 krzeseł. Inne dwa pokoje były zawsze zamknięte i zawalone sprzętami i pudłami. Sala jadalna była naprzeciw paradnego pokoju. Zamiast pieca, był w niej wielki komin z ogniskiem zawsze w zimie gorejącem; podłoga ze starych desek, na której jednak tańczyło się bardzo wesoło. W niej także słano Sztyrmerowi, kiedy zostawał na noc; w niej rano siedział w oknie z nocnym czepkiem Emilii na głowie, śmiejąc się z dziewcząt wiejskich, które przelatywały pod oknem, śmiały się i uciekały coprędzej; w niej pisywał karteczki, w których malował Emilii swe uczucia, w niej marzył o szczęściu w przyszłości. Pokój panieński był na drugim końcu domu od bramy. Okna jego wychodziły na drogę, i zawsze kiedy Ludwik wjeżdżał w bramę, widać było przez szybę główkę Emilii; tam była zwyczajna jego przechadzka rano, kiedy pani Bogucka jeszcze spała, a on był przekonany, że Emilia nie śpi, bo ubierając się, posyłał to po grzebyk, to po lusterko, to po żelazko; służący zaś, którzy go lubili, domyślali się łatwo, której panny o to prosić. Pod tem ulubionem oknem chodząc, nigdy w zimie nie czuł mrozu...

Szczęśliwem wiedziony natchnieniem, Sztyrmer z samego początku odwiedzin swoich w Policznej oświadczył, że nie umie grać w karty i ma wstręt do nich. Stąd wypłynęło, że p. Bogucka z zapałem grająca w rumel-pikietę, nigdy go nie sadzała z sobą za stolik, dając mu sposobność zbliżenia się do panien. Była jednak ważna i tu niewygoda, gdy nikt więcej z gości nie zawitał, bo wypadało z panią domu utrzymywać konwersacyę. Dla zaradzenia temu, brał Sztyrmer z sobą zawsze jednego z kolegów, którzy albo siadali z panią Bogucką

do kąrt, albo z nią rozmawiali, nie domyślając się wcale, że służą za parawanik. Miał tedy możność dość swobodnego rozmawiania z Emilią, siedzącą zazwyczaj przy oknie z robotą w ręku, mógłby był więcej mówić, aniżeli mówił, gdyby był śmielszy i gdyby pokój był większy; szczupłość bowiem jego zmuszała do półgłośnego wypowiadania swych uczuć. Sztyrmer użył i tu pośrednictwa Horci, z którą był odważniejszy. Wymyślił prócz tego sposób porozumiewania się za pomocą kostek od domina; pod pozorem gry zadawał Emilii pytania, na które musiała odpowiadać bodaj bardzo lakonicznie. Później karteczki zastąpiły miejsce kostek; pytania stały się naówczas szczegółowsze. W oczach p. Boguckiej niepodobna było ani pisać ani oddawać bilecików; i tu miłość zaradziła, chociaż wiele kosztowało trudów, żeby ośmielić Emilię i ubłagać ją, by zezwoliła na obmyślony fortel. Napisawszy w sali jadalnej swój hieroglificzny bilecik, w którym kropki i kreski miejsce liter zastępowały, a które Emilia z łatwością odcyfrować mogła, zawiązywał go Sztyrmer w róg swej chustki od nosa, którą zręcznie przemieniał z chustką Emilii, siedząc przy niej. Emilia wówczas wychodziła, pisała odpowiedź w swym pokoju i przesyłała ją Ludwikowi tym samym co i on sposobem. Wziąwszy chustkę biegł do sali, by odpowiedź przeczytać. Później znikły hieroglify; pisano do siebie zwykłemi literami; Sztyrmer przyjeżdżając miewał już kartkę dla Emilii gotową.

„Boże! — wołał w kilka lat potem Sztyrmer — jakie szczęśliwe momenta! jaki urok miało dla mnie każde słowo! tem bardziej, że Emilia czyniła to prawie mimowolnie, i choć treść naszych bilecików była tak niewinna, jak dusza Emilii, jednak serce to proste nie mogło bez wahania się zrobić żadnego kroku skrytego przed swą ciotką, i gdyby nie Horcia, nie miałbym ani jednej odpowiedzi; ona bowiem tylko zdolna była ośmielić i skłonić ją do tego; kilka razy nawet Horcia sama oddawała mi odpowiedź, chociaż ta była ręką Emilii napisana. Z taką duszą, z takiem uczuciem, z takiem sercem dziewczyna nie może słabo kochać i najlepszy tego dowód

w tem, że dla mnie zdecydowała się zrobić ofiarę nawet z swej nieśmiałości... Serce Emilii, niewyczerpane w dobroci, zdało się być stworzonem, aby całą ludzkość ukochać. Przy charakterze smętnym, melancholijnym, myślącym, serce to biło dla wszystkich szlachetnych uczuć, do jakich człowiek jest zdolnym. Oko jej, tak łagodne zwyczajnie, błyszczało żywszym płomieniem na każdą wzmiankę wysokich myśli lub ideałów człowieczeństwa i mocnoby się omylił, ktoby ją sądził, bacząc na to tylko, że zwyczajnie siedziała milcząca, z spuszczonem okiem i z nieśmiałą twarzą!... o nie! trzeba było również w milczeniu i cichości zgłębiać tę anielską duszę, aby poznać całą jej wartość! Szum i gwar wysokiego świata, ton ludzi w tej sferze wychowanych nie mogły ją zająć. Przyzwyczajona do ustronia wiejskiego, lubiła ten rodzaj życia, jako więcej zgodny z jej charakterem i trzeba było człowieka z podobnym gustem, aby ją zająć. Myśl nieśmiertelności i lepszego świata była jej ulubioną myślą, jedyną pociechą i osłodą w cierpieniach, bo i ta dusza prawdziwie niebieska nie była wolną od cierni żywota; charakter despotyczny jej ciotki, ubóstwo i upokorzenie ojca, niedostatek matki, którą jej śmierć wyrwała, wszystko to musiało być bardzo bolesnem dla czułego jej łona, które tylko w prawdziwej przyjaźni dobrej Horci znajdowało ulgę i podporę. Nakoniec miłość dopełniła jej trosk; łudząc ją kilka chwil słodkiem uczuciem, przedstawiła jej wreszcie twardą rzeczywistość i niepodobieństwo zamężcia... Biedna Emilia! serce jej było rozdzielone między nieograniczonym szacunkiem, który miała dla ciotki, i miłością!... serce to nie znalazło innej pociechy nad słodką myśl, że za krańcami życia niema żadnej przeszkody dla serc czułych i cnotliwych i że w bramach wieczności odzyska to wszystko, co jej ludzie, obowiązki i los wydrą na tej ziemi; dusza jej chciała mnie czekać w niebiosach!..." [1]).

Stosunki Sztyrmera z Policzną trwały przez całą zimę

---

[1]) Por. „Powieści nieboszczyka pantofla", II, 198, 199.

r. 1830 i część wiosny, aż do wyruszenia z kompanią do Warszawy. Perypetyj żadnych nie zawierał spokojny, cichy, prosty przebieg uczucia jego do Emilii; gra w zielone, wygranie podstępne, nagrodzone woreczkiem z białych perełek przez Emilią zrobionym, wygranie toaletki puszczonej przez Emilię na loteryę, otrzymanie splotu jej włosów od Horci, lecz z jej przyzwoleniem, otrzymanie pierścionka z niezapominajką i ofiarowanie jej bardzo niezręczne podobnegoż skromnego, kupionego od wędrownego żyda, przyjęte z pomieszaniem, ale bez gniewu, smutek ukochanej z powodu nowego konkurenta, który odpowiadał życzeniom ciotki: oto drobne zdarzenia, które tylko dla zakochanych znaczenie i wartość mieć mogły.

Sztyrmer, oddany zabawom i marzeniom miłosnym, zupełnie przez całe 10 miesięcy oderwał się od nauki i książek; napisał tylko jeden sonet satyryczny z alluzyami do Tekli z poczty, oraz urywek pod tytułem: „Obłąkany“, skreślony po nudnym balu, a wyśmiewający próżność zabaw światowych...

Na początku czerwca 1830 r. wymaszerowała kompania Leppigé'go do Warszawy i stanęła tu obozem 13-go. Sztyrmer złączył się znowu ze swymi przyjaciółmi: Szmideckim i Krukowskim. Jeden z kolegów zbliżył go do dawnego kaliskiego towarzysza Ropelewskiego, który wtedy był podchorążym w 5-ym liniowym pułku i charakterem ustalonym, umysłem żywym i poetyckim, sercem bezinteresownem i pełnem dobroci, dystrakcyami podobnemi do Lafontainowych czarował wszystkich, co go znali. Odwiedzał Sztyrmera bardzo często w barakach, a i Sztyrmer chodził nieraz do „filozoficznej jego kwatery na dachu w szopie“. Rozmowy i dysputy były niewyczerpane; myśli Ropelewskiego zajmowały się kilkoma przedmiotami naraz i „nosiły ślady geniuszu“. Do Warszawy zaglądał Sztyrmer tyle tylko, ile nakazywała grzeczność, by odwiedzić pp. Romanowskich i Krukowskich. Ani teatr, ani zabawy, ani nawet sławna śpiewaczka Sontag, za którą wtedy szalano, nie mogły go zwabić, tem bardziej, że mu brakowało pieniędzy.

Feldmarszałek Dybicz był natenczas w Warszawie; wszyscy oficerowie oddawali mu wizyty. Gdy Sztyrmer wraz z kilku innymi odwiedzał go, Dybicz zwracając się do nich rzekł: „Chciałbym panów widzieć w swoim namiocie na polu bitwy". Słowa te dla Sztyrmera urzeczywistnić się miały niebawem.

Sztyrmer, widząc się z dyrektorem Szkoły Aplikacyjnej, pułkownikiem Kołaczkowskim, prosił go, żeby mu wyrobił miejsce profesora w Szkole Artyleryi, chociaż mu „smutno było oddalać się od Emilii". Projekt ten nie przyszedł do skutku; znudziwszy się porządnie, wyszedł Sztyrmer z obozu 13 sierpnia, żałując tylko Ropelewskiego i małej garstki innych przyjaciół; a żalu tego nie mógł utopić w częstych kielichach węgrzyna na śniadaniu u Leppigé'owej, rozstającej się z mężem.

Zająwszy dawną swoją kwaterę w Kozienicach, pragnął bardzo pojechać do Policznej, ale zły stan jego finansów na to nie pozwalał; siedział więc w domu i nudził się. Wizyty składane z grzeczności w Hamerni i uczonym pannom u Olszewskich, obcowanie z kolegami i wieczorki kawalerskie nie mogły zastąpić jednej chwili w Policznej. Pomimo najlepszych planów i najściślejszego rachunku na papierze, przy tak dobrym żołdzie, nigdy Sztyrmer nie mógł nic zaoszczędzić. Drobnostki, gra w kiksa, wino i częste wyjazdy niszczyły najpiękniej zbudowany budżet. Pan Bogucki nieraz zajeżdżał do niego i za każdym razem trzeba było posłać po wino. Szukał Ludwik rozrywki w myśliwstwie, ale się przekonał, że ono nie dla niego.

Z nudów rzucił się do pisania. Z powodu książki Kernera: „Jasnowidząca z Prevorst", głośnej natenczas, zaczęto znowu żywiej się zajmować „magnetyzmem zwierzęcym". Sztyrmer, rozczytując się jeszcze w Szkole Aplikacyjnej w dziełach filozoficznych, wyrobił sobie pewne wyobrażenia o duszy, z których dedukcyjnie wyprowadzał wnioski o istocie zjawisk magnetycznych. Teraz w częstych rozmowach z kolegą Zboińskim wypowiedział swoje w tej mierze poglądy. Zboiński doradził

mu napisać o tem rozprawę i posłać do druku w czasopiśmie. Miłość własna dodała Sztyrmerowi — jak sam powiada — cierpliwości; skończył swą robotę w dwa tygodnie i posłał ją pocztą do „Pamiętnika umiejętności moralnych i literatury“, wychodzącego w Warszawie pod redakcyą Krystyna Lacha Szyrmy. W rozprawie swej, Sztyrmer stylem zwięzłym, suchym, lecz jasnym, przeprowadził najprzód całkiem dualistyczne pojęcie stosunku duszy do ciała, twierdząc, że dusza z natury swojej zawsze i we wszystkich ludziach jest jednakowa, że ani cierpieć, ani zmianom ulegać, ani doskonalić się, ani psuć się nie może; że wszystkie zatem różnice, jakie spostrzegamy czy w rozwoju tegoż samego człowieka, czy w usposobieniu i uzdolnieniu różnych ludzi, zależą wyłącznie i jedynie od rozmaitości organów duszy, t. j. mózgu i nerwów. Ustaliwszy to zdanie i powiedziawszy, że doskonałość duszy, działającej niezależnie od organów, nazywać będzie „bezwzględną“, a doskonałość jej, o ile poprzez organy się objawia, „względną“; twierdził, iż im więcej dusza potrafi się uwolnić od swych organów, tem doskonalszą, t. j. zgodniejszą ze swą istotną naturą się okaże. A że we śnie magnetycznym dusza jest w wysokim stopniu oswobodzona od wpływu organów, może więc doskonałość jej bezwzględna okazać się również w wysokim stopniu. Tem się tłómaczą według niego zdumiewające wyniki jasnowidzenia. „Rozum człowieka — powiada — jest to doskonałość względna, więc wszystko, co dla tego jest przystępnem, tem bardziej jest przystępnem doskonałości bezwzględnej, czyli dla duszy. A ponieważ wszyscy mamy równe dusze, więc *wszystkie wiadomości ludzkie znane są każdej duszy*“. Stąd też jasnowidząca, która w zwykłym stanie, t. j. kiedy jej dusza działa za pomocą organów, nie posiada wiadomości wykształconego lekarza, może w stanie magnetycznym, kiedy jej dusza do swej bezwzględnej doskonałości się zbliżyła, posiadać zdolność wyleczenia choroby, tak samo jak lekarz, gdyż „doskonałość bezwzględna jasnowidzącej większa jest nierównie od doskonałości względnej lekarza“.

Jak z tego widzimy, Sztyrmer nie przypisywał jasnowidzącym daru wznoszenia się ponad zakres wiedzy ludzkiej, owszem, wyraźnie zastrzegał, że „jasnowidząca może objawić, co się stanie w pewnym czasie, *jeżeli wypadek od pewnych praw a nie od przypadku zależy*“; lecz utrzymywał tylko, że w stanie magnetycznym osoba całkiem nieukształcona może wiedzieć to wszystko, „co człowiek rozumem swoim zdolny jest dociec“, a więc wszystko, co wchodzi w zakres poznania ludzkiego — z wyłączeniem naturalnie rzeczy nadprzyrodzonych.

Rozprawkę Sztyrmera, podpisaną: „L. S-r.“, umieścił K. Lach Szyrma w swoim „Pamiętniku“ na czele listopadowego zeszytu z roku 1830 p. n. „O magnetyzmie zwierzęcym“ (t. III, str. 121—131), pochwalając w swoich przypiskach jego chęć „ścigania prawdy w najskrytszych jej tajnikach“, lecz doradzając, żeby „gruntowność dowodzenia swego *a priori*“ starał się stwierdzić „faktami, na historyi magnetyzmu zwierzęcego i na wiernej obserwacyi jego zjawień opartemi“; wiek bowiem teraźniejszy tak wiele do magnetyzmu przywiązał cudowności, iż każdy nie chcący być łatwowiernym, musi się stać niedowierzającym.

Sztyrmer nietylko na razie, lecz i daleko później, bo w końcu r. 1833, nie wiedział, czy rozprawa jego została wydrukowana, zaszłe bowiem niebawem wypadki zwróciły myśl jego całkiem w inną stronę. Po wysłaniu jej atoli do Warszawy, długo się pieścił marzeniami o sławie, widział „swe dzieło drukowanem — publiczność czytającą i dziwiącą się młodemu filozofowi, który przez skromność trzema tylko literami napisał swoje nazwisko — nowy systemat w filozofii — i w głębi obrazu Emilię, słyszącą ze wszech stron echo jego sławy“, gdyż Emilia była wtenczas „początkiem i końcem“ jego marzeń.

Miał się właśnie z nią zobaczyć po kilku miesiącach rozstania. Raz pod koniec września 1830 r. przyjechał do Kozienic Bogucki. Za szklanką węgrzyna Sztyrmer nabrał śmiałości i... ofiarował mu trzy wielkie z dziejów narodowych ryciny, które „przymuszony był“ kupić w obozie. Robiąc tę

skromną ofiarę, którą Bogucki przyjął, Ludwik myślał tylko o tem, że Emilia będzie patrzała na obrazy i że one będą pamiątką jego osoby w Policznej. Odwiedziny swe ponowne opisuje w formie listu do przyjaciela, a że sentymentalność ówczesna 22-letniego młodzieńca wyraziła się tu najdobitniej, przytaczam go w całości: „Zdawało mi się, że przyjeżdżam po kilku wiekach z końca świata, ażeby zobaczyć się z drogiemi dla mnie osobami. P. Bogucka przyjęła mnie bardzo łaskawie i dziękowała za ryciny szczególniej dlatego, że ofiara była dowodem mojej o nich pamięci w Warszawie. Emilka zawsze taż sama, zawsze równie dla mnie droga i miła. Horcię chcą podobno wydać za mąż i nowa ta Klara d'Orbe śmieje się i jest tak wesoła i obojętna, jakby jej wypadało tylko gdzieś jechać z wizytą! szczęśliwa!... Powiedz mi, dlaczego widok Emilii tyle gwałtownych uczuć obudza w mem łonie? Dlaczego anioł ten, pełen łagodności i słodyczy, nie natchnie mnie równą spokojnością, jak ta, która panuje w jej duszy? Dlaczego, kiedy na chwilę siądę przy niej, jakiś dreszcz rozkoszy przebiega całe moje ciało, oddech zatyka się w łonie, nieznana siła ściska mi serce i zdaje mi się, że w tym stanie, blizkim omdlenia, śmierć owieje mnie swem skrzydłem i bramy raju staną dla mnie otworem?... Ach, tam to, tam prawdziwe jej siedlisko! ona jest zbyt powabna, zbyt dobra dla tego świata; czysta jej dusza potrzebuje towarzystwa aniołów; wszystko, co jest ziemskiem, nie może jej zająć; ziemia nie ma dla niej powabów i na czole jej osłoniętem melancholią widać tęskną żądzę przejścia w strony lepszego... wiecznego życia! Jej spojrzenie, jej uśmiech, wszystko zdradza myśl tę ukrytą w jej łonie... i to mnie martwi!... Niepodobna, żeby uczucie jej dla mnie było miłością; jest to raczej litość lub słodka sympatya, która napełnia tę czułości pełną duszę dla całego rodzaju ludzkiego... ona cała jest miłością...“

Potem widział jeszcze Emilię parę razy: na imieninach u pp. Olszewskich w Kozienicach, gdzie pełen pomieszania tańczył z nią dużo, ale najniezgrabniej, często następując jej na

nogę, oraz w Policznej, gdzie jakby przeczuwając, że to będzie ostatnie widzenie się, do karteczki dołączył splot swych włosów. Emilia przyjęła pamiątkę sercem radosnem i w odpowiedzi napisała, że będzie ona dla niej miłym widokiem aż do grobu. Wspominała o grożącem jej małżeństwie i była bardzo smutną. Możnaby przypuszczać, że Emilia chciała temi wzmiankami o narzuconych konkurentach, których nazwiska wymienić się wzbraniała, wywołać oświadczyny ze strony Sztyrmera, ale on, zdaje się, nie przypuszczał wcale manewru. Naprowadzić go na to mogło zachowanie się pani Marczewskiej, najserdeczniejszej a właściwie jedynej przyjaciółki pani Boguckiej. Kiedy wprost od Boguckich Sztyrmer przyjechał do niej do Świetlikowej Woli, była mu bardzo rada, kazała podać kawę i puściła się w gawędę. Winszowała Ludwikowi, że tak dobrze jest widziany w Policznej, chwaliła bardzo Emilię, zapraszała go, żeby nocował — było to pod wieczór. Sztyrmer powiada, że nie może sobie wytłómaczyć, dlaczego nie chciał przyjąć propozycyi i jaka siła pędziła go do wyjazdu, bo gdyby się był został — mówi — „zaczęta (zdaje się umyślnie) rozmowa byłaby się stała otwartszą“ i „może być“ przez wpływ p. Marczewskiej, która Ludwika i Emilię bardzo lubiła, „szczęśliwy moment“ ich połączenia się byłby się urzeczywistnił. „Jest to dziwactwo w mym losie! — dodaje Sztyrmer. — Ledwie wiorstę wyjechałem, zacząłem sobie wyrzucać swoją oryginalność; ledwiem nie płakał z rozpaczy; ale odmówiwszy, nie wypadało wracać nocować... i blizki już szczęścia, przez moją własną winę go straciłem“. Miał przeczucie, że się los jego w tej chwili rozstrzygnął, był bowiem przeświadczony, iż „są przedmioty tak drogie dla nas, że bojaźń stracenia odkrywa nowe siły w duszy i rysuje w naszym umyśle, jeżeli nie zupełną, to przynajmniej taką część przyszłości, która jest zdolna nas pocieszyć, albo zatrwożyć“.

W listopadzie 1830 r. niespodzianie, uprosiwszy Leppigé'go, żeby mu pozwolił pojechać do Siedlec pod pozorem zakupienia żyta, odwiedził rodzinę — po raz ostatni w życiu.

Matka jako wdowa zajmowała dwa pokoiki; gospodarstwo jej było bardzo szczupłe, ale miłość rodzicielska i rodzinna opromieniła Ludwikowi ten 10-dniowy pobyt, który mu się wydał ciągłym świątecznym dniem. Wszyscy dziwili się szczególniej jego śmiałości w obejściu się, nie zapomniano tu bowiem sceny przed 5 laty, kiedy drżał jak liść wobec „Maryni".

Po powrocie do Kozienic, zdawało mu się, że się ocucił z przyjemnego snu; ponieważ jesień była chłodna, spacery stawały się niedogodne, czytywał czasami Moora, Heloizę lub Werthera i zaczął uczyć się strzelać z pistoletów, co mu nigdy przedtem do głowy nie przychodziło; uważał to potem za wieszcze przeczucie zbliżających się wypadków, w których miał wziąć udział niedługotrwały, ażeby opuścić strony rodzinne.

VI.

W Warszawie, Jabłonnej, pod Grochowem.

(1830/31).

Kompania Leppigé'go niebawem po wybuchu rewolucyi w Warszawie otrzymawszy rozkaz od generała Pawłowskiego, „który do niej nie miał żadnego prawa", wystąpiła nagle z Kozienic w pochód na Radom do Warszawy. Wymarsz był tak śpieszny, myśli Sztyrmera tak rozproszone, że ani swemi rzeczami nie mógł rozporządzić, ani pojechać pożegnać się ze znajomymi; wziął z sobą na drogę „jedyny swój skarb", woreczek Emilii i jej włosy. Rozkaz przyszedł o 12-tej w nocy, a o 3-ciej kompania wyruszyła z miasteczka. Sztyrmer „ubrany po rycersku w stary pałasz i zepsute, nienabite pistolety", puścił się w drogę. Przechodząc koło Hamerni musiano się zatrzymać, bo chociaż to była noc, cały dom wyszedł ze łzami żegnać oficerów. O kilka wiorst Kisielowski, kuzyn p. Boguckiego, przybiegł pożegnać się z bratem, który był podoficerem

pod komendą Sztyrmera. Ludwik „nagadał mu mnóstwo pokłonów“ i napisał kilka słów na kartce papieru, zaklinając na wszystko, ażeby ją Kisielowski oddał Emilii, co mu tenże solennie obiecał. Po drodze nawijały się oczom Sztyrmera widowiska, które później porównywał „do muchy w pancerzu Herkulesa“. Leppigé bał się o żonę i dzieci, będące w Warszawie, i tak mało okazał mocy ducha, przekonany, że go oddalą ze służby, iż się ściskał z każdym, „rewolucyonistą czy akademikiem“, który „miał kartę papieru na kapeluszu“. Sztyrmer musiał go pocieszać i umacniać.

W Warszawie dano kompanii Leppigé'go koszary kirasyerów podolskich na kwatery; stała tam wszystkiego dni 12. Sztyrmer zapoznał się z ogólnym nastrojem ducha i podzielał go. Spotkawszy p. Boguckiego na ulicy, pomówił z nim słów kilka i rozstał się z smutnem uczuciem. Przychodziła mu wprawdzie myśl do głowy, żeby prosić o rękę Emilii, ale natychmiast ją w sobie przytłumił, rozważając niepewność przyszłości.

Pod koniec grudnia naznaczono kompanii wymarsz do Jabłonnej, znanej i pamiętnej Sztyrmerowi z czasów szkolnych. Używał tu do woli przejażdżek konnych. Następnie zajęła go przemijająca miłostka, bardzo znamienna ze względu na czas i okoliczności. Wyspowiadał się z niej szczerze Sztyrmer w pamiętnikach i postępowanie swoje potępił. Dla uzupełnienia zarysu charakteru 22-letniego młodzieńca, trzeba ją poznać. Kwaterę miał Sztyrmer w oberży Moczarskiej. Oberżystka, „idąc za modą“, wzięła ubogą dziewczynę z instytutu guwernantek dla wychowania młodej, ale brzydkiej swej córki. Panna Konstancya N. Rojeska, oprócz zatrudnień pedagogicznych z córką, wciągnęła się powoli i zaczęła pomagać swej chlebodawczyni w gospodarstwie, a nakoniec doszło do tego, że ona wydawała wszystko i odbierała pieniądze z oberży. Była to dziewczyna lat 23, nizka, szatynka, dość przyjemna, dobrze wychowana, ale pobytem w oberży spospolitowana. Oficerowie smalili do niej koperczaki, ale bezskutecznie. Sztyrmer uwziął się ich za-

kasować. „Z nudów, z miłości własnej“ przeprowadził romans: „bileciki francuskie z Nowej Heloizy, zaręczenia, filozoficzne rozumowania, łzy nareszcie“ wzruszyły Konstancyę i pchnęły ją w objęcia Sztyrmera. Był to pierwszy jego tryumf w stosunkach miłosnych; był więc upojony zadowoleniem miłości własnej i próżności. Zobojętnienie kochanka chwilowe podwoiło czułość biednej dziewczyny i skłoniło ją do ofiar; Sztyrmer pierwszy raz w życiu, przyjął od niej, będąc w tarapatach pieniężnych, około 120 zł. częściami mu danych. „Wstydzę się dotąd tego kroku — powiada Sztyrmer — i wtedy nawet kosztowało mnie to niektórych skrupułów. Delikatność moja dotąd się tem oburza; wiedziałem bowiem, że pieniądze te są zapewne z kieszeni Moczarskiej; że Kostusia stawała się występną dla mnie, który nie czując żadnej iskry miłości dla niej, uwiodłem ją tylko i wprowadziłem na drogę rozpusty; ale były to czasy ogólnego rozprzężenia się wszystkich zasad, dlatego mało słuchałem głosu sumienia; a przytem miłość własna tak łatwo usprawiedliwia podobne postępki!“ Charakterystyczną jest rzeczą, że wspomnienie Emilii ciągle było w duszy Sztyrmera przytomne, ale go bynajmniej na tej drodze nie powstrzymywało; miał on bowiem już od dawna wyrobioną teoryę, że „serce tylko może grzeszyć w miłości, a nie zmysły“... a on Kostusi przecież nie kochał...

Przejście granicy Królestwa przez armię rosyjską zakłóciło „jednostajne i przyjemne życie w Jabłonnej“. Wojska wymaszerowały zewsząd na kampanię; baterya, zostająca, po oddaleniu Leppigé'go, pod dowództwem kapitana Bielickiego, otrzymała również rozkaz wyruszenia w pole.

„Kostusia — mówi Sztyrmer — pożegnała mnie ze łzami, i łzy jej były prawdziwsze od moich... Wszystkie jej nadzieje ulatywały w jednej chwili, a jeśli co w nich zostało, to było bardzo niepewne; biedna ta dziewczyna była w smutnym stanie... Dobrze, że Bóg nie pozwolił kobietom widzieć zakątki serc mężczyzn, bo gdyby Kostusia spojrzała w moje, w którem, w tej chwili rozczulenia, nie było nic więcej oprócz litości,

i to chwilowej... stan jej byłby jeszcze okropniejszym. Dziwię się sam swemu charakterowi, w którym przy takiej czułości, przy takiem delikatnem uczuciu mieści się twardość i zimna obojętność... Zdarza mi się często, że zmysły moje są rozczulone do najwyższego stopnia, płaczę gorącemi łzami, a jednak serce zimniejsze mam od lodu... Nerwy moje wymagają duszy innej i gdyby nie one, byłbym może złym człowiekiem. Czuję w umyśle wszystko, co dla nas jest świętem i szczytnem, potrafię to wymówić i wypisać, i wypełnić obowiązki uczciwego człowieka; ale serce moje jest nieczułe pośród najcięższych i najmilszych wypadków życia... Pożegnaliśmy się z pocztmistrzem w Jabłonnej i jego familią; szampańskie i węgierskie lały się strugą, głowy się zakręciły, i tak napół rozmarzeni siedliśmy na konie doganiać bateryę, która od godziny już wyszła w marsz. Przejeżdżając cwałem, spostrzegłem w oknie Kostusię, obcierającą łzy; spuściłem pałasz na znak pożegnania i *z uśmiechem* poleciałem jak wiatr po drodze".

Od 30 stycznia 1831 „włóczyliśmy się — powiada Sztyrmer — po polach, szukając sami nie wiedząc czego". Wracając kilka razy tą samą drogą i przechodząc przez Radzymin, przyszli nareszcie pod Grochów, gdzie w sobotę 19 lutego nastąpiła bitwa, w której od 11-tej rano do 6-tej wieczór baterya Bielickiego była w ogniu, nazajutrz zaś od 7-ej rano do 5-tej wieczór „w ciągłej kanonadzie".

„Pierwszy raz w mem życiu — mówi Sztyrmer — kule świstały koło mych uszów; nie powiem, żebym nie czuł strachu śmierci, nie — lecz niezbędność zgonu, który prędzej czy później zawsze nas musi doścignąć, uspokajała trwogę, która od czasu do czasu obciążała mi łono; nie dałem na sobie spostrzedz żadnego znaku bojaźni, owszem, kazałem strzelać i usiadłem na dziale... Baterya przez te dwa dni straciła 22 ludzi, z których kilku tuż przy mnie upadło, i 32 konie, i zdemontowana prawie zupełnie, stała się niezdolną do boju bez reperacyi. Pod Bielickim konia ubito. W tej bitwie ocaliłem uwięzłe w błocie działo, które Czyż zostawił, narażając się około

$1^1/_2$ godzin na gęsty ogień armatni. Zyskałem wziętość mężnego oficera, która doszła do Krukowieckiego i Redla. W poniedziałek baterya przeszła z lewego skrzydła w środek armii na *chaussée,* bitwy nie było i baterya w jeden dzień była umontowaną. We wtorek baterya posunęła się naprzód i zajęła stanowisko pod laskiem z prawej strony *chaussée.* O godzinie 8-ej zrana, pewny, że łańcuch nasz jest na przodzie, wyjechałem obejrzeć *avant-posty* i zostałem wzięty przez 5 kozaków w niewolę. Zjawienie się ich było tak nagłe i okrążyli mnie tak szybko, że w chwili, kiedy poznałem, że to są kozacy i spostrzegłem z drugiej strony o 60—80 kroków żołnierza z piechoty mierzącego do mnie z broni, straciłem prawie przytomność. Byłem tak pomieszany, tak wzruszony, że słyszałem uderzenia krwi mojej w mózgu z siłą uderzeń młotka; chciałem się bronić, ale zwycięzcy nie dali mi na to czasu, przyłożywszy swe piki do mego ciała; zresztą w umyśle moim taki okropny, rozpaczy pełen chaos, że niepodobna mi było na cokolwiek się zdecydować. Przeprowadzono mnie przez długą kolej od generała, który był na *avant-postach,* do generała Witt, Neidhardt, feldmarszałka Dybicza i W. Ks. Konstantego, którzy mnie wszyscy nadspodziewanie łaskawie przyjęli (w głównej kwaterze w Miłosnej). Generał Witt pozwolił mi nawet napisać bilecik po francusku do moich kolegów i w moich oczach odesłał go przez parlamentarza.

„Oddano mnie starszemu adjutantowi, który mnie posłał do stancyi. Znalazłem tam kilku oficerów naszych nieznajomych mi i w nieznanych mundurach; byli to oficerowie kaliskiego pułku jazdy; podpułk. Korycki, porucznik Mieszkowski, podporucznicy: Teleżyński, Gałczyński i kapitan z pułku 4-go strzelców konnych Piskorski; oprócz tego mnóstwo młodzieży, junkrów z kaliskiej jazdy: Górzeński, Mielęcki, Chorkowski i t. d.“.

Było to „siedlisko nędzy i jęku“; składano tam rannych i umierających obu stron; krew płynęła strumieniem z pokaleczonych członków.

VII.

Jeńcem wojennym.

(1831/32).

O godzinie 5-tej wieczorem w tenże wtorek jeńcy wyruszyli z pod Grochowa i przez Mińsk, Kałuszyn przyszli do Siedlec w piątek, mocno eskortowani. Dano im kwaterę na poczcie i postawiono straż. Matki Sztyrmera nie było już wtedy w Siedlcach, mieszkała u brata swego w Łęczycy; znajomemu Ludwik zostawił kartkę, by ją przesłał matce, ale dowiedział się później, że prośba jego nie została spełniona. Żołdu pobierali jeńcy 50 groszy (rubel asygnacyjny) na dzień. Po kilku dniach odpoczynku udali się znów w drogę pieszo i pod eskortą. W czasie pochodu doznawali oznak i dowodów współczucia. W Międzyrzecu oficer konwoju tyle był dobry, że poszedł z nimi na wieczór do burmistrza, gdzie pozostałe wdowy, żony oficerów 3-go pułku ułanów, panie Skarbkowa i Majewska, młode, przyjemne kobiety, „wyczerpały wszystkie myśli dobrych serc swoich“, aby wieczór ten uczynić przyjemnym, pocieszyć jeńców w smutnem położeniu i zachęcić do wytrwałości. W Białej żona kapitana Dankowskiego, idącego wraz ze Sztyrmerem, przyjechała go pożegnać, z synkiem małym. „Był to widok rozdzierający — powiada Sztyrmer — kobieta młoda, w żałobie po ojcu, który dopiero co umarł, żegnająca męża i nie wiedząca, co się dzieje z dwoma jej braćmi, którzy byli w kampanii“... W Terespolu, ostatniem mieście w Królestwie, przechodząc most na Bugu, wzdrygnął się Sztyrmer, „kiedy zatrzaśnięto wrota granicznej komory celnej polskiej, a otworzono innemi kolorami pomalowane wrota tamożni rosyjskiej granicy“. „Krew burzyła się w mej głowie — mówi on — miałem tyle ciężkich myśli!... opuszczałem matkę, siostry, których byłem jedyną nadzieją i które nie wiedziały o moim losie, rzucałem tylu przyjaciół mojej młodości, tylu znajomych,

tyle nadziei... i nad to wszystko jeszcze oddalałem się od Emilii, której nigdy może już nie miałem widzieć, której nie mogłem nawet pożegnać, do której słowa nie mogłem przemówić!... ta jedna strata wystarczała do przygnębienia mnie. Płakałem nad swoim losem, ale nie było nań żadnego ratunku; perspektywa mej przyszłości była ciemna i okropna i tem straszniejsza, że pełna tajemniczej niepewności! Koledzy moi oddawali się rozpaczy, od której tylko wrodzona moja obojętność na wielkie wypadki życia mnie chroniła". Żyjąc refleksyjnie, łatwo zapominał Sztyrmer o dolegliwościach zewnętrznych.

W Brześciu litewskim stanęli jeńcy z oczyma łzawemi i mieli do tego powód, bo na pierwszy początek otrzymali „przekleństwo generalne od zebranego gminu, który bez konwoju byłby się jeszcze niegrzeczniej z nimi obszedł". Posadzono ich tu w klasztorze; wycierpieli wiele nieprzyjemności od pułk. Kiryłły z korpusu litewskiego.

Opuszczając strony rodzinne, miał Sztyrmer 22 lat niespełna, całego zapasu około stu zł., kilka koszul w mantelzaku i pamiątki od Emilii na piersiach.

Po kilku dniach pobytu w Brześciu wyruszyli jeńcy, pod eskortą huzarów, w drogę do Bobrujska. Jechali bardzo powoli, gdyż z nimi szła pieszo partya około 80 żołnierzy wziętych do niewoli; często też z nudów, jeżeli było sucho, szli cały etap piechotą. Rzeczy ich leżały na podwodach; a sami jeńcy po dwu lub trzech (było ich razem 10, z których 2 zostało w Słonimie z powodu choroby) mieścili się na jednej furce, do której nieraz wół zamiast konia był wprzężony. Podróż trwała prawie cały miesiąc, nie obfitowała w jakieś ważniejsze wypadki; obchodzenie się konwoju, zazwyczaj znośne, zachowanie się ludności bez wyjątku przyjazne; rozmowy wspólne, czasami burzliwe, czasem miłe i przyjacielskie — oto ogólna jej charakterystyka. Sztyrmer pomimo młodości, rozwinął tu jeszcze więcej niż poprzednio swoją skłonność do refleksyi; zastanawiał się nad charakterem swoich towarzyszy; bolał nad tem, że niektórzy nie mieli dosyć godności lub od-

dawali się pijaństwu, zbierał rysy znamienne z osób, z któremi przypadkowo się zapoznawał.

Oto parę szczegółów wybitnych, zapisanych przez Sztyrmera w dzienniku z czasu tej podróży.

W Prużanej, książę Lewin, junkier od huzarów, mówiący ładnie po francusku, młodzieniec lat 18-tu, poszczuł swego psa na żyda; brytan wyrwał temuż kawał ciała z ręki; żyd dostał dwa ruble sr., a junkier dowodził po francusku, lekko głaszcząc swego brytana, że psy na to jedynie są stworzone, żeby niemi szczuć żydów — i rzecz dziwna! i żyd i książę wyszli z tej sceny kontenci. Tenże sam młodzian wiele sobie zadawszy trudów, przyprowadził nareszcie doktora do dwu chorych jeńców (Gałczyńskiego i Mielęckiego), kiedy nikt inny o tem nie pomyślał. Serce widocznie miał dobre, tylko pojęcie o „człowieku“ tradycyjnie spaczone. Podobny w tem był do oficera od huzarów, który grał z żydem w bilard; za każdą partyę przegraną płacił mu rubla sr., a za wygraną przymuszał go do wypicia kwarty gorącej wody; oficer zapłacił 7 rs., a żyd wypił pięć kwart ukropu.

W Słonimie dwu towarzyszy pozostało; ale natomiast przyłączono tu inną partyę jeńców, złożoną z samych dobrych kolegów, z pomiędzy których Sztyrmer polubił szczególniej Karola Lipińskiego, podporucznika z 4-go pułku strzelców konnych.

Poza Słuckiem przepędzili jeńcy bardzo miłe dwa dni we wsi Budyniczach. Dziedzic jej, marszałek Daszkiewicz, przez ostrożność wyjechał, lecz żona i rodzina podejmowali więźniów wielce uprzejmie. Marszałkowa, bardzo rozsądna i przyjemna kobieta, zajęła starszyznę; młodzież zbliżyła się do panien; Sztyrmer mianowicie do Kasyldy Owsiannej, kuzynki Daszkiewiczów. Ojciec jej służył w wojsku polskiem, i w obłąkaniu chciał córki swe pozarzynać; uratowano je, lecz on sam brzytwą się zarznął. Kasylda była to młodziutka 15-letnia panienka, rezolutna jednak; powiedziała ona Sztyrmerowi, że gdyby była mężczyzną, nigdyby się nie dała wziąć do niewoli. Umizgał się

do niej Ludwik, ale nieśmiało i z pomieszaniem. Znalazłszy tam pod ręką „Dziady“ Mickiewicza, czytał je głośno i deklamował, robiąc dalekie alluzye do okoliczności. Przekonał się przytem, jak mało znanym był jeszcze r. 1831 wielki poeta na tej ziemi, którą opiewał. Kasylda mówiła, że „Dziady“ to bardzo ładna książeczka i że ją wraz z siostrą Józefiną często „z nudów“ czytają, dodając: „bo widzi pan, my z nudów i fajkę palimy i jeździmy konno i polujemy nawet“. Po obiedzie przesiedział Sztyrmer około godziny sam jeden z trzema pannami w osobnym pokoju; ale brakowało mu prawie przedmiotu do rozmowy; cały ten czas pisał pannom piosneczki. Na odjezdnem pożegnał się z Kasyldą czule, to jest za pomocą wierszy Mickiewicza, i ze łzami w oku, które i w oczach całej tej dobrej rodziny błyszczały. Gdy się zatrzymano w miasteczku Głusku na „dniówkę“, rozmarzony Sztyrmer przespacerował cały wieczór w miłej rozmowie z towarzyszem Chorkowskim; mówili dużo o Daszkiewiczach; potem przesiedzieli noc całą aż do godziny czwartej rano, pijąc czystą herbatę i gawędząc; po jedenastej szklance napisał Sztyrmer wiersze do Kasyldy. Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz obie panny Owsianne, jadąc do ciotki, zatrzymały się naumyślnie w Głusku. Mówił z niemi naprzód na ulicy; potem poszli razem do kościoła ks. bernardynów; pożegnał je w domu panien maryawitek, oddawszy Kasyldzie pisaną do niej poezyę; widział w jej oczach, że serce jej bierze dość udziału w jego losie. Obie panny napisały mu swe imiona na kartce papieru. I w Bobrujsku, po dwu miesiącach, odebrał jeszcze Sztyrmer od nich „bilecik francusko-litewski“, z którego jednak wyczytał dobroć ich serca i pamięć.

Dnia 6 kwietnia jeńcy, wprowadzeni do twierdzy bobrujskiej, przedstawieni zostali stałemu komendantowi, generałowi Bergowi, który kazał ich wsadzić jak aresztantów do „kazamaty przy mińskich wrotach“ pod bezpośrednią komendą majora placu pułk. Puszkarewa i dwu jego adjutantów: Zdanowa i Jahółkowskiego. Ten drugi, Polak z rodu, po rewolucyi zrobił

się Kurlandczykiem, choć po niemiecku ani w ząb nie umiał. Dni w więzieniu wlokły się bardzo jednostajnie; jeńcy jednak nie nudzili się, owszem często bywali bardzo weseli. Rozmowa ich krążyła ciągle około jednego przedmiotu, który wszystkim stał w myśli, i nie wyczerpywała się nigdy; herbata zaś, lody lub ciastka, które kiedyniekiedy przynieść sobie kazali, podtrzymywały ich dobry humor, mający swe istotne źródło w ich młodości. Ponieważ nie było książek, jedynem zatrudnieniem ich mogła być gawęda, fajka i gra w karty. Pragnienie żywszego przywiązania obudziło się teraz na nowo w Sztyrmerze. W drodze mniej, w kazamacie więcej odczuwał potrzebę podzielania swych uczuć. Karol Lipiński, mający „duszę anioła“, Aleksander Niewiarowski, „dobra, niewinna istota“, Falęcki, człowiek „żywego charakteru, burzliwych namiętności“, zajmowali jego serce i tem silniej go ku sobie pociągali, im który był oporniejszym.

Dnia 9 maja zostali więźniowie oddani pod sąd wojenny, złożony z Rosyan; audytorem był Majewski. Oczekując rozstrzygnięcia losu, pomimo strachu, krzepili się śpiewami chórowemi i gawędami. Przybywały nowe partye; już około 12-go czerwca rozchodziła się pogłoska, że Warszawa wzięta. W ciągu lipca zaczęto jeńców wysyłać częściami w głąb Rosyi. Sztyrmer wraz z kilku innymi opuścił Bobrujsk 19 sierpnia 1831 r., nie wiedząc zgoła, dokąd udać się mają. Okazało się, że dążyli do Wiatki. Zostawali pod konwojem, ale bardzo małym, często z chłopów złożonym; byli prawie swobodni, na „dniówkach“ mogli sami wychodzić na miasto, gdy się im podobało. Stosunek do mieszkańców był różny; przyjmowano ich czasem przekleństwami, jak w Brześciu, ale częściej życzliwie, zaopatrywano niekiedy w żywność, chociaż wogóle wszystko trzeba było kupować. Przechodzili wiele miejscowości historycznych (Orsza, Smoleńsk, Dorohobuż, Możajsk i t. d.), spotykali dość często Polaków, a zwłaszcza Polki, kłócili się nieraz o drobiazgi. Sztyrmer miewał tu i owdzie jakąś awanturkę miłosną (z Katarzyną Grigorjewną, rozmawiającą z nim tylko po fran-

cusku), robił znajomości w dystyngowanem towarzystwie. Szczególniej utkwiła mu w pamięci generałowa Nadieżda Paniutin, której mąż był przy feldmarszałku w Warszawie. Młoda, brunetka, bardzo przystojna i miła, wesołego i żywego temperamentu, „łącząca z najwykwintniejszym tonem kobiety światowej wszystkie bogactwa dowcipu i wdzięków“, była dla Sztyrmera „pierwszą kobietą uniwersalną“, jaką poznał; czuł się szczęśliwym widząc, że w rozmowie z nim smakowała i przyjmowała jego „dalekie i nieśmiałe poetyckie zaloty“.

Po czterech z górą miesiącach dobili się jeńcy do Wiatki, gdzie gubernatorem był Reszkiewicz, Polak, „godny człowiek“. Zastał tu Sztyrmer swoich kolegów ze Szkoły Aplikacyjnej, książąt Władysława i Borysa Czetwertyńskich, żyjących na wielką skalę. Przeznaczone mu było na mieszkanie miasteczko Kotelnicz, gdzie stanął 10 stycznia 1832 r. i najął kwaterę wraz z Falęckim. Z początku stołowali się u gospodyni, potem sami sobie już gotowali. Ścisła ta przyjaźń trwała jednak niedługo, chociaż miała charakter romansu: kłótnie i godzenia się, namiętne wybuchy i zobojętnienia. W rozerwaniu stosunków Sztyrmer sobie główną przypisuje winę; chciał zwyczajem swoim przewodzić nad przyjacielem, przekonawszy się o jego namiętnem do siebie uczuciu. „Serce Falęckiego — powiada on — jest nieocenione; nikt dotąd nie przywiązał się do mnie tak mocnem, delikatnem, kobiecem prawie uczuciem. Człowiek ten stanowi dla mnie epokę, bo pewno podobnego nigdy nie znajdę; posiadał on czucie Kierwińskiego, tylko połączone z urokiem męskiego dojrzałego charakteru i niewieściej czułej pieszczoty. Charakter jego był zbyt żywy, zbyt *minutieux*, zbyt nierówny, aby się mógł długo zgodzić z moim despotyzmem; charaktery nasze kilka razy się rozchodziły, lecz serca zawsze mimowolnie były przy sobie. Człowieka tego długo nie zapomnę“.

Skromne wieczorki, rozprawy, przykra choroba (*„au diable le plaisir!“*), przyjazd Polki pani Meckhold z synem Zborowskim, pokazującej sztuki czarodziejskie, rywalizacya z kuglarzami żydami Güldenbergiem i Baronem, którzy się na-

zywali Polakami, częste wizyty u córki Barona Julci, dopóki się nie przekonał, że tu nic darmo, bo jeśli chcesz dostać na pamiątkę pierścionek, to musisz go zapłacić lub dać coś droższego; pisanie wreszcie uwag nad ludźmi — to były okoliczności, wśród których płynęło życie zewnętrzne Sztyrmera przez kilka miesięcy pobytu w Kotelniczu.

Wewnętrznie, żył z początku nadzieją powrotu do kraju; lecz widząc, że ona się nie spełnia rychło, powziął już w końcu lutego 1832 r. myśl, która była niezgodna z opiniami wśród jego towarzyszów ugruntowanemi, przyjęcia służby „w wojsku egzystującem". Ponieważ jednak od czasu do czasu wracały nadzieje, słowami Horodniczego potwierdzane, nie wyjawiał tej myśli i dopiero w początkach kwietnia z nią wystąpił, wywołując straszne oburzenie. Tymczasem jeńcy, w innych miejscowościach zamieszkali, wchodzili do służby (Szuwalski, Butrym, Tedwen, Miciński). To dodało Sztyrmerowi odwagi do zamienienia myśli swej w czyn. Dnia 10 maja został przyjęty do wojska rosyjskiego; dnia 11-go w Orłowie ogolił wąsy i „schował je na pamiątkę"; przekonał się, że tu inaczej się zapatrywano niż w Kotelniczu na to, co Sztyrmer nazywał „dziełem losu i potrzeby". Dnia 15 maja 1832 roku w Wiatce przysiągł na wiernopoddaństwo w przytomności gubernatora. Jako miejsce służby przeznaczono mu Finlandyę. Otrzymawszy od kapitana Gressera list polecający do generała Położowa w Petersburgu, opuścił Wiatkę 18 maja.

VIII.

Na służbie w Finlandyi.

(1832—1834).

Na Orłów, Kostromę, Nową Ładogę, Petersburg przeleciał wraz z kolegą Leśniewskim 1200 wiorst pocztą w ciągu dni dwudziestu. Dowiedziawszy się w Petersburgu od generała

Położowa, że dostanie roczny żołd 600 rubli na umundurowanie się, rozstał się we Fridrichshamm z Leśniewskim, przeznaczonym do Wilmanstrandzkiego pułku, a sam 9 czerwca 1832 zameldował się w Wiborgu swemu dowódcy, podpułkownikowi Douving'owi.

Sam jeden, wśród zupełnie obcego otoczenia, usposobieniu tylko swemu zawdzięczał, że mógł tu wytrwać lat blizko trzy. Dla przypomnienia sobie stron rodzinnych, a może i dla wprawy w języku polskim, którym z nikim rozmawiać nie mógł, zaczął od 17 lutego 1833 roku spisywać swoje pamiętniki. Prowadził je starannie i szczegółowo, choć mową już nieco skażoną, do 29 listopada t. r., i w dzień ten pamiętny rzucił raz jeszcze okiem na chwile upłynione. Opinie jego o wypadkach krajowych uległy zmianie, rewolucyę nazwał „maligną narodu“ i bolał nad jej skutkami.

„Trzy lata upłynęło — rozmyślał — od przejścia mojego przez Bug. Oddalony od miejsc, w których zaczęło się moje szczęście i gdzie tak nagle zagasło, opisywałem wspomnienia mojej przeszłości na brzegach finlandzkiego golfu, gdzie mnie wiatr losu zapędził. Kwatera moja w Wiborgu leży na skale zwanej Kassą, na samym brzegu *zaliwu*, i w tej chwili, kiedy to piszę, huczą bałwany pod mojem oknem, wiatr, wpadając przez szczeliny okna, gasi prawie niepewne światło świecy i wzrusza szyby z przenikliwym brzękiem. Trzy lata temu w tej samej godzinie rzucono ziarno nieszczęścia w Warszawie, którego gorzki owoc dotąd czuć się daje. Dziś niebo jest czyste i księżyc pływa jak łódź wspaniała po morzu obłoków różnofarbnych, złociste jego promienie odbijają się w spienionych falach golfu... odbijają się one zapewne i w wałach dalekiej Wisły... O siostry moje! o matko droga!... Boże, tutaj dopiero, cudzoziemiec, oddalony od swoich, nie mając ani jednego serca, któreby mnie rozumiało, przed którembym mógł troski swoje wynurzyć, któregobym się mógł poradzić; tutaj czuję całą wartość tego, com utracił. Nigdzie dotąd za Bugiem nie znalazłem chwil złotych, wesołości, otwartości, spokojności

i tego szczęśliwego życia, które tam było moim udziałem. Nie widziałem żadnej kobiety, którąby była podobną do dziewic nadwiślańskich, żadnego młodzieńca, któryby miał duszę pierwszych przyjaciół mojej młodości... Nie szukam perły przyjaźni, bo serce moje ostygłe i umysł, oświecony doświadczeniem, przekonywają mnie, że przedsięwzięcie to jest zbyt egzaltowane; ale ograniczając się w mych żądaniach szukam tylko wesołego, dobrego, otwartego towarzystwa mężczyzn i kobiet, szukam ludzi, którzyby się śmieli ze mną, którzyby nie chcieli mi nigdy szkodzić, lubili mnie tyle, ile do miłego związku potrzeba, i starali się czasem mnie rozweselić... nie! i tego nie mogę znaleźć. Życie moje upływa w nudzie i strapieniu ducha; jestem, jak mówi poeta, Jak mrówka wychowana w lesie, Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie... Zwracając wzrok mój w szczęśliwe strony, którem opuścił, widzę, że tam dościgłem do najwyższego szczebla we wszystkich uczuciach. Cóż mi jeszcze nowego zostaje i czego szukać mam w życiu? Ochota do pracy, przy której trzech języków tak łatwo sam się nauczyłem, zapał do poezyi, pierwszy krok w karyerze, wesołość, bezpieczny umysł, koleżeństwo, przyjaźń, miłość; wszystko to doszło swych granic, tak że nie mogę mieć nadziei, abym gdzieindziej na nowo znalazł którykolwiek z tych darów nieba w podobnej jak dawniej sile... Smętny i zamyślony pisałem te wspomnienia jedynie dla swojej pociechy. Byłbym szczęśliwy, gdybym kiedyś na tych samych miejscach, gdzie one się działy, zapomnianą wtedy ich powieść mógł przeczytać w kole drogich mi osób. Gdyby matka moja, siostry, krewni, przyjaciele, otoczyli mnie; gdyby Emilia była przy moim boku, i gdyby wszyscy słuchali słów moich... ale nastąpiż kiedy ta szczęśliwa godzina?"

„Rzeczywiście, nie nastąpiła. Kraju swego rodzinnego nie miał już ujrzeć Sztyrmer nigdy; ale nie zrezygnował bynajmniej z poszukiwania nowych stosunków, nowych uczuć i nowych przyjemności. Mając w usposobieniu swojem wielką zdolność do oswajania się z najgorszem nawet położeniem, będąc pełnym sił żywotnych, jako 25-letni młodzieniec, nie mógł za-

tonąć w bezczynnej melancholii. Zżył się z nowem otoczeniem, prawdopodobnie znalazł rozrywkę wśród towarzyszów służby, wdał się z nimi w rozmowy, zabłysnął talentem prowadzenia dysput i tworzenia dowcipnych wierszy, zyskał uznanie i może poważanie swoich przełożonych.

Dalszy ciąg wspomnień, rozpoczęty 27 lutego 1834 r., lakonicznością swoją i urywkowością zdaje się świadczyć, że Sztyrmer nie miał już przy spisywaniu ich tak żywego jak przedtem bodźca i zamiast szczegółowo odtwarzać dzieje licznych swych przygód, poprzestawał na suchych notatkach, jakie w ciągu podróży i pobytu w Kotelniczu porobił. Widać, że duch go porywał ku nowym widnokręgom, że życie rzeczywiste zaczęło go zajmować o tyle, iż nie potrzebował dla pokrzepienia się ulatywać w przeszłość. Doprowadziwszy swe notatki do chwili przedstawienia się swemu dowódcy, urwał wątek zupełnie i pozostawił niezapisanym duży zeszyt albumowy, który widocznie w tym celu przygotował.

Jeżeli można sądzić po starości papieru, po omyłkach ortograficznych, niewłaściwie użytych wyrazach i wyrażeniach, wreszcie po dedykacyi, to w Finlandyi, zdaje się, powstała powieść w listach p. n. „Marzyciel, listy z twierdzy finlandzkiej“, pisana w języku rosyjskim i przechowana wśród rękopismów autora. Jest to pełna uniesień, stylem przypominającym Marlińskiego kreślona, sentymentalno-smutna historya miłosna, składająca się z 31 niezbyt długich ustępów. Brak jej przedewszystkiem prostoty; autor sądził, że potrafi wywrzeć silne wrażenie dobranemi i wyszukanemi frazesami i podniesieniem nastroju do wysokiego tonu; bohater w charakterze swoim miał podobieństwo do Sztyrmera. Być może, w swoim czasie, i w otoczeniu, w którem żył autor, mogła mieć ta powieść powodzenie. Jak widać z przedmowy, w której się tylko za wydawcę przypadkowo znalezionych listów przedstawia, Sztyrmer miał na celu druk tej powieści, zawczasu bowiem chce się przed pociskami krytyki zabezpieczyć; — prawdopodobnie jednak nigdy drukowaną nie była.

Z dedykacyi „towarzyszom“ dowiadujemy się, że Sztyrmer chciał tą powieścią upamiętnić miłe chwile pogadanek, w których wypowiadano wzajemne swoje marzenia, i to wówczas, kiedy się z tymi towarzyszami rozstawał; oni szli bawić się rozmaitością widoków Petersburga, on zaś miał się udać do nudnych koszar w mrocznem Likalo. Niebawem wszakże i on także przeniósł się do stolicy cesarstwa.

IX.

W akademii wojskowej w Petersburgu. Ożenienie się.

(1834—1840).

Łatwo zrozumieć, że ambitny porucznik artyleryi nie mógł się zadowolnić podrzędnem stanowiskiem; dawniejsze marzenia o sławie, o wyniesieniu się rychłem przy pomocy nauki i talentu musiały często nawiedzać cichą jego kwaterę na Kassie w Wiborgu. Jedynym środkiem rychlejszego wznoszenia się po szczeblach karyery wojskowej było — pomijając protekcyę, której wtenczas Sztyrmer posiadać nie mógł — wyższe specyalne wykształcenie. Uzyskawszy tedy od przełożonych zgodę na swój zamiar, udał się w końcu 1834 r. do Petersburga, by w tamecznej akademii wojskowej dopełnić swe studya i zdać odpowiednie egzamina. Jak długo w zakładzie tym pozostawał, nie wiemy, ale że się odznaczył i zwrócił na siebie uwagę przełożonych, to pewna.

Z papierów, jakie mam przed sobą, okazuje się, że nietylko fachowe nauki wówczas go zajmowały, lecz także filozofia i literatura piękna. Dla wyrobienia pojęć, dla wprawy w językach, pisywał wtedy artykuły po rosyjsku i po francusku, poprawiane co do ortografii i stylu przez obcą jakąś rękę. Artykuły te są trojakiego rodzaju: 1) filozoficzne, 2) krytyczno-

literackie i 3) belletrystyczne. Wszystkie one, zdaje się, pisane były w r. 1835, ręką wprawną, bardzo pewną siebie, z rzadkiemi przekreśleniami; widocznie to, co autor chciał wypowiedzieć, było dostatecznie jasno sformułowane w jego umyśle, tak że potrzebował tylko spisywać uwagi, snujące się systematycznie z jednego wątku.

Najobszerniejszy z artykułów filozoficznych (9 kart arkuszowych) ma napis: *Coup d'oeil sur la marche de la civilisation des peuples.* Miał tu Sztyrmer na widoku rozwój rozumu, uczucia i wyobraźni u główniejszych narodów, które w pochodzie cywilizacyjnym stały na przedzie; przeważnie wszakże zwracał uwagę na dzieje filozofii, potępiając bardzo ostro metafizykę, jako wytwór „wyobraźni", który w połączeniu z pojęciami religijnemi stawał się nieraz szkodliwym dla oświaty; lecz nie będąc bynajmniej wielbicielem „wyżerającej uczucia święte" filozofii francuskiej wieku XVIII. Niema w tym poglądzie błędów ważnych, ponieważ w szczegóły się nie wdawał Sztyrmer, ale niema też jakichś myśli świeżych, któreby zasługiwały na zaznaczenie. Najogólniejszą myślą, jaką tu wyraził, jest, że „działalność rozumu ludzkiego była prawie zawsze odwrotnie proporcyonalną do działalności uczucia i wyobraźni". O znaczeniu wieku XIX. nie pisał, gdyż na to, jak powiada, potrzebaby żyć w wieku XX.

W języku rosyjskim znajdujemy dwa wypracowania filozoficzne: jedno o organach duszy, drugie o wyobraźni. W pierwszem rozwijał myśl, całkiem teoretycznie, że są dwojakiego rodzaju organa: jedne dla uczucia („organa serca"), drugie dla myśli („organa mózgu"). Organa uczucia łączą się w sercu w węzeł i stamtąd wychodząc jako nić łączą się z węzłem organów myśli w mózgu. Związek między rozumem i uczuciem wytwarza poczucie moralne. W rozprawie o wyobraźni, wyróżnia wyobraźnię od fantazyi; pierwszej naznaczając wybitne miejsce we wszystkich działaniach umysłowych; drugiej rolę widząc w marzeniach każdego człowieka, w hipotezach naukowych i w ideałach poetycznych. I wyobraźnia ma według

Sztyrmera własne organa, lecz położenia ich i stosunku do organów myśli lub czucia nie określa.

Artykuł krytyczno-literacki jest jeden tylko; na ośmiu kartach arkuszowych traktuje w nim Sztyrmer o „romantyzmie“, określając naprzód, jaki był charakter poezyi klasycznej, następnie, z jakich przyczyn klasycyzm nie mógł się dłużej ostać i wreszcie, co stanowi znamię poezyi nowej, romantyczną zwanej. Wychodząc z założenia, przyjętego już natenczas powszechnie, że poezya najściślej zależy a przynajmniej zależeć powinna od charakteru narodu i że w miarę zmian w nim zachodzących i ona zmieniać się musi, — Sztyrmer przedstawia historyczny zarys rozwoju twórczości poetyckiej u różnych narodów i, przyznając klasycyzmowi należne mu a wielkie w dziejach znaczenie, udowadnia, że od połowy wieku XVIII. zaszły wielkie zmiany w życiu politycznem, społecznem i towarzyskiem narodów europejskich, jak niemniej we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej, że zatem klasycyzm, wobec tak zmienionych warunków, utrzymać się dalej nie mógł i musiał ustąpić miejsca nowemu nastrojowi, który najpierw w Anglii i Niemczech się objawił. Nazwę „romantyzmu“ uważał za niewłaściwą dla tego nowego nastroju, a poezyę narodów, które naśladowały tylko Anglików i Niemców, za równie nieodpowiednią dla tych narodów, jak i klasycyzm; każdy bowiem naród musi mieć poezyę własną, odpowiadającą klimatowi i położeniu geograficznemu, oraz rodzajowi życia politycznego, społecznego i towarzyskiego.

Słuszność tych wywodów nie ulega wątpliwości; a miały one swoje znaczenie wobec tych podrzędnych, ale zapalonych romantyków, którzy osnuwali poezyę nowoczesną na wątku średniowiecznym, lub na fantastyce ludowej.

Belletrystycznych kawałków mamy w papierach Sztyrmera dwa, i to w języku francuskim. Jeden p. n. *La Mort* ułożony jest w stylu deklamacyjnym i zawiera zachwyty nad znaczeniem snów i śmierci; kto nie umiera, ten szczęścia zaznać nie może, dowodem Żyd wieczny tułacz, Ahaswer. W drugim

urywku, bez tytułu, Sztyrmer żartobliwie opowiada, iż go znalazł na ziemi pod stołem w kwaterze opuszczonej przez swego poprzednika oficera, który, jak się okazuje z wierszy i prozy jego, musiał mieć „serce wysuszone nieszczęściem, jak p. de Lamartine, a głowę ogrzaną wulkanem, jak wicehrabia de Châteaubriand“; poczem podaje cztery strofy wierszowane, oraz szereg rozmyślań nad dolą człowieka wogóle, a uczonych i poetów wszczególności. Przytaczam tu jednę strofkę na próbkę wierszowania francuskiego i jeden ustęp prozaiczny, charakteryzujący pogląd Sztyrmera na los.

Po odmalowaniu położenia żołnierza, oczekującego zmiany rontu wśród marzeń o dniach piękniejszych, powiada autor:

Etranger, solitaire
Dans ce monde immense,

Je chéris la chimère
Des rêves de l'enfance

Et j'aime à le croire
Que lorsque l'homme s'endor(t)

Son âme au ciel va voir
Un âge plus doux encor(e).

W pełnych pesymizmu „rozmyślaniach nocnych“ autor mówi między innemi:

„Gdybym chciał połączyć mój głos z krzykiem pospólstwa i wzmocnić jeszcze jednym tonem hymn oburzenia, brzmiący od tylu wieków, mógłbym z większem niż ktokolwiek prawem wybuchnąć żałośliwie przeciwko losowi. Ale na nieszczęście, pojęcie losu, tego wszechmocnego bałwana ludzi pospolitych, związane z unicestwieniem mojej wolności moralnej, sprzeciwia się memu wewnętrznemu przeświadczeniu i widzę z żalem, że człowiek w niespokojnej działalności swojej, w niespełnianiu się swych życzeń i w rozpaczach swoich czepia się urojenia, przeklina widmo, ażeby nie widzieć całej okropności swego przeznaczenia tu na ziemi i przygłusza, oskarżeniem

czynnika urojonego, głos straszliwej prawdy, która się w duszy jego budzi".

Dodać winienem, że pod temi nocnemi rozmyślaniami położył Sztyrmer po raz pierwszy pseudonim, który później częściowo służył mu w jego krytykach literackich. Wypisał go tu w sposób następny: „Berthold = Canon = de la Bombe"; później Bertholda przemienił na Gerwazego.

Oto wszystko, co nam wiadomo o literackich zajęciach Sztyrmera w pierwszym roku pobytu w Petersburgu. Co dalej robił, w jakich bywał towarzystwach, jakie porobił znajomości, jak i kiedy się dosłużył rangi pułkownika sztabu generalnego i został naczelnikiem wydziału w departamencie osad wojennych i zarządzającym kancelaryą akademii wojskowej, nie wiemy dotąd zgoła. To tylko pewna, że około r. 1838 ożenił się z córką lekarza z Witebska, urodzoną r. 1815, wykształconą w kijowskim instytucie panien, Eleonorą Janowską. Datę powyższą bierzemy z książeczki rękopiśmiennej, oprawnej, zapisanej w małej tylko części, a mającej ogólny napis: *L'hymen*. Z niej też zaczerpniemy materyału do scharakteryzowania ówczesnych poglądów Sztyrmera na kobiety, oraz na pożycie małżeńskie.

Wśród płci pięknej wyróżniał on dwie wybitne grupy: damy wielkoświatowe i kobiety stanu średniego. Pierwsze posiadają, zdaniem jego, w stopniu najwyższym sztukę podobania się mężczyznom, zachwycania i czarowania najpoważniejszej nawet wyobraźni. „Subtelność umysłu, błyskotliwego i ozdobionego dostatecznem wychowaniem; smak wykwintny; cudowny talent stosownego znalezienia się; umiarkowany ton salonowy, rozmowa zawsze żywa, elegancka, pełna dowcipu i poezyi; szczególny wdzięk we wszystkich giestach i ruchach; jednem słowem, powab je otaczający czyni je naprawdę uroczemi czarodziejkami, istotami powietrznemi, które tak kochamy w pieśniach poetów. Są one zachwycające, to prawda! ale są one zarazem pospolicie zalotne, pełne kaprysów, złośliwe, częstokroć nieznośne dla mężów, a zawsze tak chłodne, jak dya-

menty w ich stroju. To też kocha się je tak, jak klejnoty, z początku przez czas jakiś namiętnie, a potem jak stary pierścionek". Inaczej się rzecz ma z kobietami stanu średniego. Są to „stworzenia niewinne, z sercem tak czystem jak serce aniołów, z duszą potrzebującą się wypowiedzieć; kochają one namiętnie, poświęcają wszystko dla miłości i żyją tylko dla mężów. Wzruszenie nas ogarnia, gdy widzimy ich poświęcenie bez granic, ich dobroć anielską, słodycz, rezygnacyę, pobłażliwość na błędy męża, nakoniec wzniosłą poezyę miłości stałej i bezinteresownej. Są one porywające! to prawda, ale niestety, ileż to razy też same kobiety, nie otrzymawszy wychowania, albo zapomniawszy to, co niegdyś umiały, stają się po kilku miesiącach małżeństwa pospolitemi niewiastami, niezdolnemi do mówienia o czemś innem, jak o kuchni lub sukniach, jeśli nie bawią się plotkami. Biedne stworzenia! tracąc miłość mężów, same sobie winne; mężczyzna bowiem rozumny, po przejściu pierwszego ognia namiętności nie może kochać kobiety, rozczarowującej go na każdym kroku".

Jakiż więc jest ideał kobiety, podług Sztyrmera? jaką żonę pragnąłby posiadać? Oto prosił Boga, ażeby mu zesłał towarzyszkę, którąby miała „serce i zasady" kobiety stanu średniego, a „resztę" kobiety wyższego towarzystwa. Jego zdaniem, pomiędzy życiem kochanków i życiem małżonków nie powinnaby istnieć inna różnica, jak pomiędzy młodością a wiekiem dojrzałym; „małżeństwo jest to miłość trwała i poważna". Kochankowie kłócą się i przepraszają bardzo łatwo, dodaje to nawet pewnego uroku w miłości, ale w małżeństwie najmniejsze nieporozumienia są szkodliwe. Wszystkie drobnostki, o które mało się dba w miłości, stają się ważnemi i mogą mieć bardzo doniosłe następstwa w stanie małżeńskim. Dobra żona zawsze będzie poważniejsza *(plus sérieuse)* od kochanki, a pierwszem jej staraniem powinnoby być: nie robić ani mówić nic bez rozwagi. „Jesteśmy ludźmi, a więc słabymi. Słabość ta tysiącznemi sposobami potęguje się; drobnostki wywołują małe nieprzyjemności, małe wykroczenia i potem to wszystko mnoży się bez

końca, a złe rosnąc z czasem odmienia najlepsze serca, gasi największe uczucia i czyni nieszczęśliwemi pary, z pozoru najlepiej dobrane. Widziałem bardzo dobrych chłopców, dusze bardzo zacne, kierujące się najlepszemi zasadami, co ożeniwszy się z osobami kochanemi namiętnie a wielce dobremi z natury, znienawidzili je po kilku miesiącach a nawet po kilku dniach małżeństwa... Bo nie dosyć jest kochać i być dobrą; trzeba umieć kochać i umieć być dobrą, według sposobu widzenia tego, z kim ma się całe życie przepędzić. Jest to wiedza wielka; powinnaby się ona stać przedmiotem rozmyślania dla każdej mężatki. Przedewszystkiem zaś powinno się przeniknąć przekonaniem, iż w stanie małżeńskim drobnostki przestają być drobnostkami, ponieważ się często powtarzają, i że życie codzienne źle zharmonizowane może z czasem zniszczyć miłość, szacunek a nawet grzeczność między małżonkami".

Pogląd ten na małżeństwo skłonił Sztyrmera do spisania w formie paragrafów (dochowało się ich 19, a właściwie 18, gdyż jeden środkowy wycięty; ja przynajmniej tyle ich otrzymałem) szeregu przestróg dla żony, celem ostrzeżenia jej o szkopułach szczęścia małżeńskiego *(Les ecueils du bonheur conjugal)*. Radził jej odczytywać te przestrogi, w których zawarł charakterystykę samego siebie i płci pięknej, po tysiąc razy, dodając, żeby uwag o kobietach nie brała wprost do siebie, gdyż one odnoszą się do całej płci pięknej wogóle.

Przystępując do opisu cech swego charakteru, na pierwszem miejscu kładzie tę, że zwykł brać wszystko poważnie, a równocześnie, że jest aż zanadto wrażliwym; stąd naturalną było rzeczą, że to, co inni poczytywali za nic, mogło go obrazić, zranić, dotknąć lub zmartwić. „Poróżniłem się — powiada — nieraz z osobami bardzo drogiemi, które z pewnością nie chciały mi sprawić bólu, ale które działały lub mówiły lekkomyślnie o tem, co mnie się wydawało rzeczą ważną".

Domaga się następnie zupełnej od żony szczerości nawet w najmniejszych drobnostkach. „Zraniony tylokrotnie w życiu — mówi — obłudą i kłamstwem, nie znam nic bardziej oburzają-

cego nad brak szczerości. Niepodobna mi szanować kogokolwiek, kto mi raz skłamie; nienawidzę zaś każdego, kto się posuwa do obłudy lub jeszcze dalej. Żeniąc się, marzeniem mojem najdroższem jest, żebym znalazł nakoniec jedyną osobę, jedyną duszę w świecie, któraby ze mną była szczera, któraby nie miała przede mną żadnej tajemnicy, żadnej myśli ukrytej. Wobec mego nieufnego charakteru, pomyśl, coby się ze mną stało, coby się stało z całem naszem życiem, gdybym się miał zawieźć w tem oczekiwaniu. Jestem krańcowy w wielu rzeczach, a tu wymagam od ciebie szczerości bez granic, bezinteresownej do tego stopnia, że gdyby mi wypadło mieć tajemnice przed tobą, chciałbym, żebyś ty przede mną nie miała żadnych. Szczerość, żal okupują każdy błąd, a nawet więcej niż błąd... Jeżeli zobaczysz w postępowaniu mojem cokolwiek, co ci się nie podoba lub bolesnem będzie, zaklinam cię, żebyś się nie martwiła potajemnie, lecz wypowiedziała szczerze i natychmiast swoje zdanie. Kocham cię ponad wszelki wyraz i wątpię mocno, żeby się mógł zdarzyć wypadek, w którymby przy twej słodyczy trudno ci było poprawić mnie z błędów; przeciwnie jestem przekonany, że możesz zrobić ze mną wszystko. Ale jeżeli zechcesz uczynić mi uwagę nad moim błędem, na miłość Boga, wybieraj dobrze chwilę stosowną. Mam charakter zbyt gniewliwy *(irrascible)*, ale nie jestem uparty, możesz więc zrobić ze mnie wszystko, jeżeli przemawiać będziesz łagodnie i w chwili odpowiedniej. To jest w mocy twojej, gdyż niebo dało ci serce anielskie; a co do wyboru chwili, płeć twoja umie ją cudownie odgadnąć. Powiedziano nie bez słuszności, że kobiety są najsilniejsze wówczas, gdy się zbroją w swoją słabość. Im bardziej okażesz się uległą, tem bardziej będziesz w rzeczywistości wszechmocną. Wielka ta reguła jest może podstawą szczęścia małżeńskiego i zdoła zapewnić żonie wieczną miłość małżonka. Tak ją łatwo zachować, a jednak ileż to kobiet o niej zapomina, stając się nieszczęśliwemi z własnej winy... Gdyby mi się zdarzyło gniewać na ciebie i okazywać to twarzą lub zaprzestaniem rozmowy, zrób zawsze krok pierwszy do zgody;

i to natychmiast, chociażbym nie miał słuszności; nie czekaj, żebym ja to uczynił; w początkach niewątpliwie prosiłbym cię o przebaczenie, ale czułbym się dotkniętym w miłości własnej; później zaś... Bóg wie, lecz nie doprowadziłoby to do niczego dobrego".

Ostrzega dalej Sztyrmer żonę, żeby go nie męczyła prośbami, jeżeli raz powie, że czego zrobić nie może; żeby się nie rządziła duchem przeciwieństwa, gdyż ta wada główną była przyczyną złej opinii, jaką sobie o kobietach wyrobił; żeby nie usprawiedliwiała swoich błędów powoływaniem się na błędy męża, gdyż delikatność i takt kobiet polegają przedewszystkiem na zapomnieniu omyłek ukochanego; żony inaczej postępujące stają się mężom nieznośne; żeby zawsze starannie była ubrana, czysto i ze smakiem, gdyż nie pojmuje, jakby mógł kochać kobietę, któraby schludności i skromnej elegancyi nie zachowywała, któraby bez koniecznej potrzeby w negliżu się ukazywała.

Ciekawe są uwagi Sztyrmera o swojej skłonności do wykonywania planów jak najrychlej. Dopóki plan taki, chociażby się odnosił do spraw najdrobniejszych, nie był urzeczywistniony, dręczył go i nie dawał spokoju [1]). „To też — pisał w przestrogach — zaklinam cię, droga przyjaciółko, kiedy poproszę o zrobienie czego lub kiedy dam ci jakieś zlecenie, nie zapominaj o niczem, nie odkładaj na jutro, na pojutrze, lecz staraj się spełnić to jak można najszybciej. Nieszczęśliwy to zwyczaj u kobiet odkładania wszystkiego na później: wada ta zawsze mię raziła. W dzieciństwie jeszcze byłem często świadkiem scen między mymi rodzicami, pochodzących z tego jedynie źródła".

Jeszcze ciekawsze są przestrogi, odnoszące się do stosunków codziennych między mężem a żoną i co do stopnia ukształcenia kobiet. Sztyrmer nie podzielał wcale rozpowszechnionego

---

[1]) Ten sam rys charakteryzuje Karola, bohatera „Duszy w suchotach". Zob. „Powieści nieboszczyka Pantofla", II, 160.

zdania, jakoby w małżeństwie miała panować najzupełniejsza poufałość, bez żadnego krępowania się formami. Przeciwnie twierdził on, że „szranki grzeczności i najściślejsze zachowywanie tego, co wypływa z różnicy dwu płci, są warunkami nieodzownemi“ szczęścia małżeńskiego. „Wiele kobiet — mówi — powie ci, że to rzecz śmieszna mieć męża grzecznego, zachowywać pewne ceremonie względem męża i t. d.; ale ja widziałem w swem życiu tysiące nieszczęść domowych, spowodowanych jedynie zbyt wielką poufałością małżeństw... Naturalnie, porwany miłością i swemi skłonnościami, naruszę niekiedy sam to prawidło, ale na miłość Boga, zatrzymaj mię za każdym razem i nie pozwól mi mówić ani robić nic przeciwnego zwyczajom dobrego towarzystwa. Będę się może gniewał przez chwilę, ale będę ci wiecznie wdzięczny, a ty będziesz pracowała na własne swe szczęście. Ze względu na mój charakter ma to prawidło taką doniosłość, jakiej sobie nawet nie wyobrażasz... Widywałem panny doskonale wychowane, których umysł ozdobiony był starannem wykształceniem, a które zostawszy żonami zaniedbywały się zupełnie, zapominały wszystkiego, czego się uczyły, traciły talenty; z zachwycających dziewic robiły się kobiety pospolite, mało różne od swych kucharek. Czyż w taki sposób można zachować miłość męża? Nie, bez wątpienia. Mężatka potrzebuje rozwinięcia talentów swych daleko więcej niż panna. Powinna bezustannie zajmować się ozdabianiem swego umysłu, ażeby tracąc z czasem wdzięki ciała, mogła je okupić innemi zaletami i mieć zawsze środki podbicia sobie męża. Zgadzam się, że mężatka ma więcej zajęcia niż panna; ale czyż to tak dużo potrzeba czasu, aby przeczytać dobrą książkę, zagrać na fortepianie, narysować co? Czyż niepodobna przenieść korzystnego towarzystwa kobiet dobrze wychowanych nad kompanię tych dam, co umieją tylko obmawiać i psuć harmonię innych stadeł! Czyż są niezbędnemi te kobiety bez wychowania, napojone maksymami nizkiemi i roznoszące zarazę wszędzie, gdzie się pokażą?... Według mnie każda kobieta, która chce sobie zachować miłość męża, jeżeli ten mąż

jest sam cokolwiek ukształcony, powinna znać koniecznie: a) język i literaturę: polską, francuską, rosyjską i niemiecką; b) historyę starożytną, średniowieczną i nową, c) mitologię, d) muzykę. Zresztą przy ciągłem kształceniu się w powyższych wiadomościach, każda nauka, każdy talent nowy będzie dla mnie bardzo cenny w żonie".

W dalszych przestrogach radzi małżonce nadzwyczajną ostrożność w wyborze przyjaciółek i znajomości kobiecych. „Słusznie powiedziano — mówi — że kobiety są niebezpieczniejsze dla siebie niż mężczyźni dla nich. Nie ufaj opinii kobiet znajomych i nie zapominaj nigdy, że dla małżonki najlepszemi maksymami są maksymy wyznawane przez jej męża, gdyż one tylko zapewniają jej szczęście życia całego. Jeżeli będziesz miała jakąś wątpliwość, zapytaj mię otwarcie, a ja ci ją rozjaśnię. Nie słuchaj tego, co ci powiedzą kobiety o swojem postępowaniu z mężami. Byłoby to dla ciebie z pewnością raczej szkodliwe niż użyteczne, ponieważ masz męża, który nie uważając się za feniksa, wie przecież dobrze, *iż co do charakteru nie jest podobny do nikogo.* Mam charakter mój własny, odrębny, a więc to, co jest dobrem dla innych mężów, może nie znaleźć zastosowania względem mnie. Masz matkę, krewnych i krewne, znajomych i znajome; naturalną więc jest rzeczą, iż zechcesz niekiedy opowiedzieć im codzienne swe życie, albo zażądać od nich rady. Nie jestem temu przeciwny, proszę cię tylko, unikaj wypadków następujących: 1) nie żądaj od nikogo, nawet od matki, rad co do zachowania się względem mnie; ja ci sam odkryję nawet moje słabości, ale na miłość Boga, nie szukaj wskazówek u kogo innego, gdyż mam wstręt do ścieżek krętych; 2) nie mów z nikim, nawet z matką, o mojej służbie, o moich pracach w domu, o nowinach, jakie ode mnie usłyszysz i t. d.; nie pisz nic podobnego w listach, gdyż tym sposobem mogłabyś mimowoli sprowadzić wielkie nieszczęście; 3) nie opisuj nikomu mego charakteru; pragnę, żeby on był tajemnicą między mną a tobą; 4) unikaj rozmowy o naszych dochodach; niech świat nie wie, czy jesteśmy bogaci czy

biedni; a jeżeli będziesz musiała odpowiadać na podobne pytania, powiedz, że żyjemy z pensyi rządowej; 5) nie pożyczaj pieniędzy nikomu w jakiejkolwiekbądź ilości".

W ostatnich paragrafach mówi Sztyrmer o postępowaniu ze sługami, i jeszcze raz o porządku i czystości. Względem służących był on nadzwyczaj surowy; prosi więc żony, ażeby o ich wykroczeniach nie mówiła mu, chyba w razach ostatecznych, w przeciwnym bowiem wypadku musiałby ich karać zbyt często, przez co staliby się nieczułymi na karę. „Jeżeli mi się zdarzy — dodaje — silnie się na nich rozgniewać, wstaw się za tymi biednymi ludźmi; wydasz się im aniołem, a mnie oszczędzisz wybuchów gniewu, które szkodzą memu zdrowiu". Chociaż sam za czasów kawalerskich grzeszył przeciw czystości, mimowoli; wymagał, aby żona utrzymywała jak największy porządek i ochędóstwo w domu, nawet w najmniejszych drobnostkach. „Jeżeli przypadkiem — powiada — rozporządzenia twoje naruszę, łaj mię; gniewać się za to nie będę nigdy; i owszem, im będziesz surowszą pod tym względem; im bardziej wymagającą i pedantyczną: tem szczęśliwszym mnie uczynisz".

Takim się przedstawił sam Sztyrmer w chwili ożenienia się, zacząwszy rok 30-ty życia. Sztywny, oschły, chłodny w zewnętrznych stosunkach, a czuły nerwowo, ceniący wysoko otwartość i szczerość, chociaż osobiście zalet tych nie praktykował, srogi i szlachetny, lubo z pobudek głównie miłości własnej, okazujący wielką stanowczość zdania raczej dlatego, żeby go o brak wyrobionych zasad nie posądzono, aniżeli z silnego przeświadczenia o prawdzie, ulegający łatwo wpływom, ale z obawy utracenia samodzielności stojący zawsze na straży swego uczucia i umysłu, bystry obserwator z rozwiniętą przedewszystkiem zdolnością dostrzegania słabych, ujemnych stron w ludziach, nieufny i podejrzliwy, wielce troskliwy o opinię ludzi, chociaż ją w gruncie, w duszy swej, ważył bardzo mało; był on rzeczywiście charakterem niepowszednim, różnym nietylko od ogółu, ale i od typów wybitnych i znanych. Wiedza

jego, przeważnie samouctwem nabyta, nie była systematyczną, ale posiadała dość znaczną rozległość, a chociaż niegruntowna, miała cechy wyrazistości i siły, gdyż opierała się na starannej przeróbce wewnętrznej, dokonywanej przez umysł skłonny do refleksyi z natury i w tym kierunku długo kształcony. Talent jego, przeważnie analityczny, lubo kiedyniekiedy i pewien stopień plastyki osiągnąć zdołał, lubował się w rozbiorze chorób duchowych, zjawisk nadzwyczajnych, z wyraźnym celem ostrzegania o nich, a nie z artystycznego jedynie w nich zamiłowania.

Tak usposobiony i tak przygotowany wystąpił Sztyrmer na szerszą widownię w dziesięć lat po wydrukowaniu pierwszego swego artykułu o magnetyzmie zwierzęcym.

X.

Twórca powieści psychologicznych.

(1840—1844).

Pierwszą swą próbę powieściową w języku polskim napisał Sztyrmer w r. 1838 p. t. „Błogosławieństwo matki“, ale oddał ją do druku dopiero w „Niezabudce“ na rok 1844. Była to istotnie rzecz o wiele słabsza od późniejszych; widocznie nie miał jeszcze autor pewności ręki ani w kreśleniu charakterów, ani nawet w sposobie rozwinięcia akcyi. Zajmując się od dawna kwestyą magnetyzmu i dziwnych objawów życia duchowego, chciał samym tylko faktem zainteresować czytelników. Żaden charakter w „Błogosławieństwie matki“ nie jest ani należycie określony, ani rozwinięty; przeciwnie, jakby dla oszołomienia rozwagi czytelnika, nagłe nieumotywowane wprowadzał w nich przemiany. Felicya zalotna, kapryśna, samolubna, oschłego serca, a wyobraźni przewróconej, ukazuje się pod koniec dobrą żoną, pobożną w miarę, kochającą siostrą, wesołą,

tylko nie lubiącą morałów. Kasia przeciwnie, z początku poczciwa, spokojna, religijna, rozważna, dochodzi do egzaltacyi, do wizyj chorobliwych, do podejrzliwości nadzwyczajnej i dopiero wpadłszy w suchoty, nabiera „słodkiego chrześcijańskiego przywiązania do męża“ („Powieści nieboszczyka Pantofla“, 1844, I, str. 396) i umiera ukojona. Wacław — to wcale nie charakter, pierwotnie rozważny, nawrócony do religijności, potem światowiec, litujący się nad ubóstwiającą go żoną, wreszcie nijaki w zachowaniu się. Henryk tylko, wesoły, dowcipny, ponieważ występuje epizodycznie, jest utrzymany w charakterze jednostajnym. Główny motyw, co skłoniło Kasię do wyjścia za Wacława bez błogosławieństwa matki (kobiety niejasnego również charakteru), nie został wyjaśniony. W uwagach swoich mówi autor o religii, jako najdzielniejszej dźwigni charakterów; w opowiadaniu — skutków dobroczynnych religijności nie widać. Kasia religijna jest nieszczęśliwa; Felicya, mało dbająca o religię, i sama doznaje szczęścia i daje je innym.

Jasność i wyrazistość tendencyi, oraz jedna przynajmniej osoba dobrze skreślona i konsekwentnie przeprowadzona, odznacza opowiadanie, a raczej charakterystykę p. n. „Pantofel, historya mojego kuzyna“. Wziął tu autor za przedmiot jedną z wad u nas najczęstszych, i przeprowadził jej rozwój przez różne stopnie wieku; wadą tą: brak woli, słabość charakteru. Sztyrmer był dobrze przygotowanym do odtworzenia takiej osobistości, po części bowiem, w dzieciństwie i w latach szkolnych, sam miał w usposobieniu swojem pewne cechy nieśmiałości i zahukania, dopóki tkwiąca w nim dziedzicznie energia nie opanowała ich i nie poddała swym rządom. To też korzystał z rysów autobiograficznych: ojciec i matka Pantofla, to rodzice Sztyrmera z małoznaczącemi, całkiem zewnętrznemi zmianami; przygody szkolne bohatera, a mianowicie prześladowanie doznawane od kolegów, są powtórzeniem dziejów samego Ludwika; przywłaszczenie sobie pracy Pantofla przez osoby postronne, również wzięte z życia autora, czytamy bowiem w jego dzienniku pod dniem 25 kwietnia 1832 roku: „Wizyta

u Falęckiego — u kawalerzystów — pokazują mi moją pracę za dzieło drugiego, który nie chce ze skromności wyjawić swego nazwiska — śmiesznie!“ W oznaczeniu miejsc akcyi również się trzymał Sztyrmer wspomnień swoich: Kozienice, Tyżyn, Kaliskie, tak dla niego pamiętne, wchodzą i do powieści. Tylko w obrazie miłości Pantofla dla Emmy, używającej go za skrzynkę pocztową do przewożenia listów miłosnych, i dla Konstancyi, wielkoświatowej uroczej damy, która w czułości szukała środków wygrania procesu i, nie mogąc inaczej, wyszła za Pantofla, by otrzymawszy zapis, do roli sługi go zniżyć, lubo zapewne także wzięte z doświadczenia, nie znajdują odpowiednich sobie faktów w pamiętnikach Sztyrmera, ciągnących się, jak wiadomo, tylko do połowy roku 1832. Ironia, dowcip sarkastyczny, pomysły oryginalne, zwięzłość, precyzya, trafność, a w potrzebie siła wyrażenia od razu rzuciły się w oczy każdemu czytelnikowi „Pantofla“, który tem się wyróżnił od innych ówczesnych powieści, że interes główny polegał tu nie tyle na wypadkach, ile na psychologii osób w opowiadaniu wyprowadzonych, przedewszystkiem zaś tytułowego bohatera. Przed Sztyrmerem główni naówczas powieściopisarze nasi: Fryderyk Skarbek, Kraszewski, Michał Czajkowski, Michał Grabowski (że o dawniejszych nie wspomnę), zajmowali się niemal wyłącznie zarysami zewnętrznych stosunków życia towarzyskiego lub politycznego w dobie współczesnej lub historycznej, ubiegali się o plastykę w kreśleniu postaci i scen; w analizę zaś stanu psychicznego nie wdawali się prawie wcale, albo zbywali ją powierzchownie. Była to więc nowość w naszej belletrystyce, kiedy Sztyrmer wystąpił z przedstawieniem wewnętrznego kształtowania się charakteru, nowość bardzo ważna, bo dopełniająca i pogłębiająca zarysy osobistości, ze strony zewnętrznej przeważnie wtedy kreślonych; musiała też zwrócić na siebie uwagę.

Sztyrmer świadomie ten pierwiastek psychologiczny wprowadzał do powieści naszej. Widać to z nacisku, jaki położył w początku swego opowiadania na kwestyę charakteru, za-

dając sobie pytanie, jakim sposobem on się stopniowo kształci w człowieku i co najwięcej wpływa na nadanie dziecku i rozwinięcie w niem tych głównych przymiotów, które potem wyróżniając je między innymi ludźmi, nigdy już zatrzeć się nie dają. „Bywają ludzie — powiada on — weseli i smutni, szczebiotliwi i milczący, odważni i tchórze, rozrzutni i skąpi, czuli i zatwardziali, powolni i popędliwi, rozumni i głupi; powiedzcie mi, skąd się biorą te sprzeczności, kiedy rodząc się na świat jesteśmy wszyscy jednakowi i tak podobni jeden do drugiego jak młode kurczęta? Nie mogę zgodzić się z tymi, którzy utrzymują, że w dziecku znajduje się już zarodek charakteru człowieka, albowiem to jest czysty fatalizm gorszy od tureckiego, odejmujący nam wolę i dający każdemu zbrodniarzowi prawo uważać siebie równie niewinnym, jak cegła, która upadłszy z dachu zabija kogokolwiek na ulicy. Nie myślę także, żeby wszystko mogło zależeć od wychowania, ponieważ równie troskliwie wychowane dzieci, z tem wszystkiem mają różny charakter, doszedłszy do dojrzałego wieku, i kto był za młodu otwarty, często w starości bywa skryty. Nareszcie najmniej wierzę tym, którzy mówią, że okoliczności, towarzystwo albo doświadczenie kształcą charakter. Czyliż na to nam dane rozum i wola, żebyśmy całe życie tylko doświadczali wszystkiego, żebyśmy nie wiedzieli dziś, jak będziemy myśleć jutro, i od kolebki do grobu szli nie prostą drogą, lecz odbijając się to na prawo, to na lewo, jak piłka, nad którą student robi doświadczenie sprężystości? Głośne to jest zaiste słowo d o ś w i a d c z e n i e, ale pytam was, czy ten tylko bywa skąpy, kto był blizkim umrzeć z głodu, albo ci tylko mają kamienne serce, którzy byli zdradzeni w najsłodszych swoich uczuciach? Zapewne każdy zaprzeczy temu. Od czegóż więc zależy charakter? Mnie się zdaje, że *od żadnej z wyżej przytoczonych przyczyn wyłącznie, lecz razem od nich wszystkich, to jest od natury, od wychowania i okoliczności społecznego życia*“.

Słuszność tego mniemania wykazuje Wincenty W*, który występuje tu jako opowiadacz, na własnem swem życiu. Matka

poczęła go w smutku po stracie córki pierworodnej, a ostatnie miesiące przed porodem przepędziła w ciągłej niespokojności o życie męża a jego ojca, który z pułkiem poszedł na wojnę. Fałszywa wieść o jego śmierci przyśpieszyła chwilę przyjścia Wincentego na świat. Urodził się tak słabym i nędznym, że długo powątpiewano nawet o jego życiu. „Oto wpływ natury — mówi opowiadacz — oto pierwsze fizyczne przyczyny, z których się uformował zarodek mojego charakteru. Smutek matki przelał się we mnie wprzód, nim mogłem poznać świat i ludzi. W wątłem i chorowitem ciele, przy tak delikatnych i drażliwych nerwach, jak te, które odebrałem z przyrodzenia, mocna dusza nie mogła, że tak powiem, zapuścić korzeni. W samym poranku życia bystro rozwinęła się we mnie jakaś smętność, bojaźliwość, uczucie własnej niemocy, zbyteczna wstydliwość, jednem słowem, wszystkie przymioty ludzi dobrych i tkliwych, lecz słabych i nie mających żadnej woli; nie miałem nawet charakteru żaka! Do kilku lat z powierzchowności przyjmowano mnie za dziewczynę".

Do tych przyczyn fizycznych przyłączyły się wpływy wychowania. Matka pieściła Wincentego i tłumiła w nim „każdy wybuch męskiej duszy". Będąc bardzo nabożną, starała się w synu zaszczepić uczucia religijne, ale częściej mu prawiła o Bogu karzącym występki, niż o miłosiernym ojcu wszystkich grzeszników, przez co zwiększała przyrodzoną bojaźliwość Wincentego. „Nie mając pojęcia o występkach — mówi on — sądziłem, że za każdą dziecinną swawolę, czekają mnie wieczne męki piekielne, i będąc dzieckiem, nieraz ze drżeniem myślałem o śmierci! Moją smętność podsycały i rozwijały częste z matką rozmowy, które się zawsze kończyły wspólnem naszem szlochaniem, samotność domowa, niedostatek równego mi towarzystwa, odludne przechadzki i tysiąc innych okoliczności. W szóstym roku życia najwięcej mnie zajmowały lasy, wody, dzikie miejsca, egzekwie, pogrzeby, a szczególniej cmentarze".

Matka mówiła też wciąż synowi o potrzebie uszanowania dla ojca, który był na wojnie, o posłuszeństwie i innych obo-

wiązkach; to też gdy ojciec z krzyżami, ranami i dymisyą wrócił do domu, Wincenty zadrżał mimowolnie, a pierwsze to wrażenie pozostało mu już na zawsze, zwiększając się z czasem. „Ojciec mój — powiada Wincenty — był mąż srogiego i nieugiętego charakteru; samowładny w familii, jak komendant w oblężonej twierdzy, chociaż w istocie bardzo dobrego serca i nawet łagodny, kiedy jego maksymy nie stawały mu na przeszkodzie. Kilka razy zdarzyło mi się dostrzedz łzę w jego oku, lecz w takim przypadku natychmiast zwracał twarz w inną stronę i zaczynał drugą (!) rozmowę, ażeby nikt nie widział go rozrzewnionym, co podług jego zasad było niewłaściwem dla mężczyzny. Zdawałoby się, że taki przykład powinien był obudzić we mnie mężny charakter; skutek okazał się jednak zupełnie przeciwnym. Odtąd zacząłem się lękać każdego dorosłego mężczyzny tak jak swego ojca".

Ciotka, zgorzkniała stara panna, czujnością i wymową swoją przygnębiała duszę chłopca jeszcze bardziej. „Za każdem mojem poruszeniem się — opowiada Wincenty — następował morał, za każdem słowem przestroga. Mówiła tak wiele, tak prędko i tak różnotonnym głosem, że turkot młyna lub tartaka był daleko przyjemniejszym dla ucha... Nie pojmowałem wcale, jakie zdrożności w mojem postępowaniu najwięcej straszyły ciotkę; widać jednak, że musiała dostrzedz we mnie skłonność do zarozumiałości, albowiem najwięcej prawiła mi o tem, jak nieprzyzwoicie młodemu człowiekowi szczebiotać w obecności starszych, mieszać się do ich rozmowy, odzywać się ze swojem zdaniem i t. d. O, ta wymowna kobieta aż nadto oduczyła mnie tej wady, jeśli ją miałem! Zrobiłem się cichy i pokorny jak baranek. Gdyby nie lekcye i kiedyniekiedy rozmowa z matką, byłbym zapomniał mówić; zostałaby mi może tylko zdolność odpowiadać na zapytania jak najkrócej... Ojciec, doświadczywszy w służbie i w prywatnem życiu wiele nieprzyjemności z powodu burzliwego charakteru, nietylko nie potępiał mojej powolności, lecz przeciwnie, jakby zmówiwszy się z ciotką, wzbraniał mi wszelkiej swawoli, tyle właściwej

dziecinnemu wiekowi... Dla skuteczniejszego zachowania mej duszy od dumy zakazano mi rozkazywać służącym i w razie potrzeby jak najgrzeczniej prosić ich o każdą usługę. Ludzie ci prości, nieokrzesani, nie pojmując celu tego postanowienia, i widząc mnie pokornie błagającego o każdą drobnostkę, powoli zaczęli mnie uważać niższym (!) od siebie. Pogardzili mną, przestali zwracać uwagę na moje prośby i często obojętnie odmawiali mi szklanki wody! Upokorzony, zdeptany, że tak powiem, w prochu, wylewałem samotnie gorzkie łzy w zakątkach rodzicielskiego domu. Ojcu nie śmiałem mówić o moich cierpieniach, ciotce jeszcze mniej, a matkę tak mocno kochałem! ona i bez tego tyle ubolewała nade mną, że nie chciałem powiększać jej żalu. Towarzysza młodości nie miałem żadnego i ojciec nie życzył wcale, abym zabierał znajomości ze swawolnikami!"

Tymczasem umysł Wincentego rozwijał się bardzo szybko; w 14-tym roku życia więcej on był ukształconym, niż wielu innych w 28-ym; ale bojaźliwość, niepewność siebie, nie dozwalały chłopcu okazać swojej wiedzy przy obcych. Ojca gniewało to w wysokim stopniu. Zmiarkował wreszcie, że wina leżała w zbyt miękkim charakterze i postanowił przerobić Wincentego na mężczyznę; było już jednak za późno. Uwagi jego, którym towarzyszyła zapalczywość lub zbyt ostre żarty, przygniatały tylko syna tem mocniej do ziemi. Wtedy chwycił się ojciec ostatniego środka — wychowania publicznego. Chociaż Wincenty mógł już był wstąpić do uniwersytetu, ojciec, pragnąc, ażeby syn jego przynajmniej rok przepędził z młodzieżą, oddał go do konwiktu.

„Okropna to była chwila — mówi Wincenty — kiedy raz pierwszy ujrzałem się w zupełnie nowem dla mnie towarzystwie! Cała ta zgraja młodzieży, śmiałej, wesołej i swawolnej, w mgnieniu oka odgadła mój charakter i tysiącznemi figlami zaczęła mi dokuczać. Wszystkie te szalone głowy pracowały nad wynalezieniem coraz nowych psot. Cały pierwszy tydzień byłem podobny do zająca tylko co przyprowadzonego z lasu i wpuszczo-

nego do ogrodu, małym psom na zabawkę. Każdy wolny od nauk moment pozbawiał mnie spokojności i kosztował wiele gorzkich łez. Lecz jak nic w świecie nie bawi ani dzieci, ani ludzi, to towarzysze moi, nacieszywszy się, porzucili wreszcie bezbronną ofiarę swego szyderstwa, pogardzili mną i prawie o mnie zapomnieli. Czasami tylko, kiedy im brakowało przedmiotu do zabawy, wracali na czas jakiś do mnie i znów odchodzili. Wtedy pierwszy raz wpadłem na tę myśl, że mężczyzna bez siły fizycznej, a szczególniej mężczyzna słabego charakteru jest nędzną, godną politowania istotą; myśl, której sprawiedliwość (!) potwierdziło całe moje życie".

Wtedy też doświadczył pierwszego dotkliwego zawodu w uczuciach. Pomiędzy towarzyszami szkolnymi był jeden, Albert, który łagodniej obchodził się z Wincentym niż inni i nazwał go przyjacielem. Wincenty był przepełniony radością i szczęściem, pokochał Alberta więcej niż matkę, niż kochanek kochankę. Ponieważ Albert niewielkie miał zdolności i lękał się egzaminów, Wincenty dołożył wszelkich wysiłków, ażeby go do nich należycie przygotować. Istotnie Albert otrzymał nawet nagrodę, ale Wincenty wskutek trudów i bezsenności popadł w niebezpieczną chorobę. Gdy wyzdrowiał, pobiegł do przyjaciela i... zastał go zupełnie dla siebie zmienionym. Ponieważ klasa wyśmiewała go, iż dostał nagrodę dzięki temu, którym cały konwikt gardził, dla oczyszczenia się w oczach kolegów, zaczął więcej od innych prześladować Wincentego. Pierwsza ta niewdzięczność tak mocno dotknęła biedaka, że zaczął odtąd uważać siebie za stworzonego na poniżenie i poddał się losowi; indyjski parya był mniej pokornym od niego. Złośliwość Alberta obdarzyła też Wincentego przydomkiem, który na zawsze przylgnął do niego. Oto jak zdarzenie to przedstawia:

„Jeden z młodzieży, biegając po podwórzu, znalazł gdzieś pantofel i rzucił nim na Alberta. Dawny mój przyjaciel, który teraz ciągle myślał o tem, jakby mi dokuczyć, podskoczył z radości, obaczywszy stary chodak, uwiązał go na sznurku, zebrał całą zgraję swawolników i cicho podkradłszy się do

mnie z tyłu, powiesił mi go na szyi. W mgnieniu oka otoczyli mnie jego wspólnicy, on mnie trzymał za obie ręce, a cała banda skacząc około mnie i krzycząc przeraźliwie: p a n t o f e l! a w i t a j ż e n a m, p a n t o f e l! solennie postanowiła, ażeby odtąd ten przydomek zastąpił moje nazwisko... Istotnie od tego czasu nazwisko moje zostało zapomnianem na pensyi, a nazywano mnie prosto P a n t o f l e m. Ja sam powoli tak się do tego przyzwyczaiłem, że kiedy kto zawołał: p a n t o f e l, odzywałem się, wiedząc, że mnie wołają; kiedy słyszałem to słowo wymówione z cicha, odwracałem się w tę stronę, starałem się podsłuchać, co o mnie mówią, albo domyślałem się, że mi chcą zrobić jakiego figla. Nareszcie własne moje nazwisko zrobiło się dla mnie obcem i często kiedy profesor zapytywał pana W*, nie zwracałem na to uwagi, dopóki obok siedzący towarzysz nie trącił mnie, mówiąc: P a n t o f e l, wstańże, pytają o ciebie".

Ojciec, ujrzawszy przed sobą mazgaja, chciał jeszcze spróbować rygoru wojskowego, ale środki, któremi miał umocnić jego charakter, były tak niewłaściwe, tak gwałtowne, że cały dom napełniły smutkiem, a Wincentego, który się uważał za przyczynę tego smutku, wpędziły w ciężką chorobę. Po wyzdrowieniu oddany został do uniwersytetu, gdzie koledzy już go jako pantofla przyjęli i na wszelki możliwy sposób wyzyskiwali. Kobiety jedynie okazywały mu powierzchowną grzeczność w rozmowie, ale uśmiech ich i spojrzenie aż nadto dobrze wyrażały to, czego nie wymawiały usta. „Mężczyzna nędzną zaiste gra rolę — powiada Wincenty — kiedy przez niedostatek rozumu staje się igraszką kobiet, ale daleko więcej godzien litości ten, o którego rozsądku nie wątpią kobiety, lecz zapominają! Najszacowniejsze przymioty, ukryte w Pantoflu, niczem są dla nich, i jeśli kobieta zwróci uwagę na takiego mężczyznę, to tylko dlatego, żeby pobawić się z nim jak z figlarnym szpicem. Głupiemu zdaje się, że wszystkie kobiety szalenie się w nim kochają; rozsądny głęboko czuje swoje uniżenie".

Żadnych odtąd prób przerobienia charakteru Pantofla nikt

się nie podejmował. Rodzice jego pomarli, zanim on wyszedł z uniwersytetu. Sam sobie zostawiony, był igraszką ludzi i zdarzeń. Wielkie jego zdolności, głębokie wykształcenie, pracowitość i bystrość, uczuciowość, bynajmniej na korzyść mu nie wychodziły, gdyż z owoców jego działalności korzystali inni. Zawiedziony w przyjaźni, oszukany w miłości, sam siebie uważał za winnego wszystkich swych niepowodzeń.

Odmalowaniu właśnie tych przejść w życiu Pantofla poświęcone jest dalsze opowiadanie Sztyrmera, w usta Wincentego włożone. Zarysy stosunków towarzyskich podrzędną zupełnie grają tu rolę i bardzo udatnemi nazwane być nie mogą: autorowi chodziło tylko o przeprowadzenie człowieka niepowszednich zdolności, ale bezsilnego charakterem przez całą skalę doświadczeń, w których brak woli pogrążał biedaka w coraz większe przepaści upokorzeń.

Przedstawiwszy losy Pantofla, kończy autor już od siebie żartobliwo-satyrycznym zwrotem:

„Żeby przynajmniej był butem!... los jego byłby nierównie szczęśliwszy!

„Hm! a dlaczegóż lepiej być butem niżeli pantoflem?

„Chcecie wiedzieć dlaczego? O, dla wielu przyczyn!

„But ma wiele przywilejów, on może skrzypieć, chociaż nie we wszystkich domach, ale w wielu bardzo, a na prowincyi skrzypieć może okropnie. On może stukać i często stuka straszliwie, osobliwie odtąd, jak nasza młodzież zaczęła nosić wysokie korki. On przy pomocy swoich metalowych wąsów może brzęczeć jakimś muzycznym tonem, który z całej mowy butów najmniej nieprzyjemne robi wrażenie na ucho.

„But ma także wiele przymiotów. On się błyszczy i ten blask tak mu nieodbicie potrzebny, że jeśli się dziś powala w błocie, to nazajutrz już nikt tego nie postrzeże; on znów świetny! On za młodu pokazuje tylko badawczemu oku swoją powierzchowność, a na starość, nie obawiając się już sądu świata, odkrywa każdemu wszystkie swoje tajniki. On jak Achilles umiera często od rany w piętę, albo jak wielu jeszcze

sławniejszych mężów od podagry zaczynającej się od wielkiego palca. Cóż dziwnego, że jego portrety wiszą prawie na każdej ulicy dla dziwu przechodzących? Buty są sprawiedliwie (!) przekonane, że jeśliby ich nie było, to połowa rodzaju ludzkiego chodziłaby boso, jak żebracy. Widzicie, że wcale nieźle być butem!...

„Pantofel przeciwnie nie ma żadnych zalet; on cichy, nizki, zawsze tak otwarty, że nawet myszy mogą widzieć, co się w nim dzieje, kryje się od obcych osób, nie wychodzi na ulicę i nie bywa na wieczorach. Czego też nie wymyślą na tego nieboraka! Powiadają, że on głupi dlatego, że nie chodził dotąd do szkół ani do uniwersytetu, że on nierządny dlatego, że nie chodzi na rynek, a niektórzy utrzymują nawet, że on i żyd i turek razem dlatego, że chodzi i do bóżnicy i do meczetu. Gdyby się nie zdarzały czasem litościwe kobiety, które lubią ten rodzaj... obuwia, to nareszcie wszyscyby uwierzyli mężczyznom, utrzymującym, że pantofel nieużyteczny dla rodzaju ludzkiego".

Otóż takiego studyum charakteru, tak szczegółowo przeprowadzonego pod względem psychologicznym, nie było w ówczesnej belletrystyce naszej, która słusznie nazywała swoje utwory obrazami „życia towarzyskiego". Że przytem i dowcipu w przedstawieniu nie brakło, „Pantofel, historya mego kuzyna", musiał zainteresować.

Istotnie, kiedy „Pantofel" ukazał się w noworoczniku, wydawanym w Petersburgu przez oryginała Jana Barszczewskiego, p. t. „Niezabudka", na rok 1841, pod pseudonimem Eleonory Sztyrmer, powszechną obudził ciekawość, czytano go z zajęciem i podziwiano świeżość talentu nowej „autorki". A kiedy w tejże „Niezabudce" na rok 1842 ukazały się „Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanej kobiety", obfitujące w śmiałe, trafne, a niekiedy głębokie spostrzeżenia, dowcipnie i samoistnie wyrażone, przedstawiające ważną i ciekawą, również z własnego doświadczenia autora wziętą, sprzeczność uczucia i refleksyi, zatruwającej rozbiorem każdą chwilę szczęśliwą, zaciekawiła

się tem zjawiskiem i krytyka i wielkiemi, nadmiernemi obsypała je pochwałami. Pierwszy Kraszewski, w liście prywatnym do St. Lachowicza w Petersburgu (z 11 maja 1842 r.), dziękując za przesłanie sobie „Niezabudki“, przyznał nieznanemu osobiście autorowi „talent wielki, dowcip nieskończony, uczucie stylu niepospolite“, i pierwszy z niewtajemniczonych podejrzewał, że to nie kobieta pisała, bo w dwu jej powiastkach nie znalazł bystrym swym zmysłem „nic kobiecego“. Pod świeżem wrażeniem lektury posłał 26 maja artykuł o „E. Sztyrmer“ do „Tygodnika Petersburskiego“, którego był bardzo czynnym natenczas współpracownikiem.

Pisał tu między innemi: „Przeszłoroczna *Niezabudka* objawiła nam świeży, oryginalny talent pani Sztyrmer. Powieść jej p. t. *Pantofel,* pełna humoru, dowcipu, sarkastycznego ducha, stylem szczęśliwym pisana, z wielką łatwością i zapałem, uderzyła zapewne każdego z czytelników. W *Pantoflu* znaleźliśmy niepospolity talent pani Sztyrmer, objawiony w całości, w najzupełniejszem rozwinieniu i blasku, z właściwym mu, jak nam się zdaje, charakterem, jakiego pewnie nie zmieni. *Pantofel* jest niczem jako inwencya, lub jednem niczem, nawet zbytecznem może wyszczegółowaniem egzekucyi trochę zakrawa na karykaturę; ale cały wdzięk, cała wartość powiastki leży w artystycznem obrobieniu przedmiotu, z wielkiem bogactwem szczegółów, z przejęciem się, z uczuciem. Talent autorki tak jest wielki, że i przesadzonemu charakterowi przebaczenie wyjednywa i usprawiedliwia wszystko i zapominać każe, jak mitologiczną istotą jest ten pantofel. Interesujem się nim, jak czemś prawdziwem, zupełnie prawdziwem. Ale wybór przedmiotu, śmiałość egzekucyi, pomysły *noszą charakter nie kobiecego utworu,* a przynajmniej talentu od wszystkich innych w naszem powieściopisarstwie odróżniającego się energią, oryginalnością, męskością. Gdyby imię kobiece nie było wydrukowane wyraźnie pod tą powieścią, gdyby tegoroczna *Niezabudka* nie dała nam portretu pani Sztyrmer, myślelibyśmy zawsze, że to pisał mężczyzna, a nawet bardzo mężczyzna, w całem zna-

czeniu wyrazu, nie wahający się zajrzeć aż do najgłębszych, najczarniejszych cieniów swego przedmiotu. *Pamiętniki oryginalnie wychowanej kobiety* i urywek powieści *Frenofagiusz* i *Frenolesty* potwierdzają w zupełności powzięte przez nas z pierwszego utworu pani Sztyrmer o jej talencie wyobrażenie. Ta sama tu oryginalność i śmiałość pomysłów, ten sam ton szyderstwa, w *Pamiętnikach* przeplatany tylko smętnemi uwagi niekiedy, ta sama ekscentryczność pomysłów *(Frenofagiusz)*, to samo ubieganie się w wyszukiwaniu charakterów aż do niepodobieństwa prawie oryginalnych, toż samo usprawiedliwienie przedmiotu wybornem obrobieniem, które przedewszystkiem zwraca uwagę. Boć przedmioty wszędzie są albo nienajszczęśliwiej, albo tylko dziwnie wybrane, nigdzie wypadków nazrzucanych, któremi się ratują i sztukują ubodzy na duchu; wszędzie artystyczne obrobienie płaci za wszystko, jest wszystkiem. Według nas to najwyższy może dowód talentu, z niczego coś zrobić, i nie wahaliśmy się też po przeczytaniu *Pantofla* przyznać niepospolity talent autorce — talent skończony, dojrzały, nieobjawiający się już w próbach, dający zupełną miarę tego, czem będzie, raczej czem jest, i może nawet ekskludujący postęp. Smutno nam to powiedzieć, ale się zdaje, że pani Sztyrmer nie wyjdzie już ze swego charakteru i przez samą pełność talentu, od razu objawiającego się tak skończonym, zostanie, czem dziś jest. A i to niemało, bo talent jej, jakim dziś jest, w powieściopisarstwie naszem *jedno z najpiękniejszych miejsc zająć powinien*. Jednakże z zupełnym sądem o autorce jeszczeby się może wstrzymać wypadało. A nuż to nie jest *jeden z tych talentów jednobarwnych, z tych instrumentów jednostrunnych?* Być może; wszakże nam się zdaje, iż ze swojej indywidualności trudno będzie wyjść autorce. Jej bowiem, że się tak wyrażę, maniera jest tak oczywiście własna, oryginalna, tak widocznie wypływa z niej samej, że się przeinaczyć nie będzie podobno mogła. Naśladownicy tylko podobno i ci, co posiadają rzadki talent mnożenia wedle różnych usposobień swojej indywidualności, mogą coraz w innym występować charakterze;

u pani Sztyrmer widoczną, że zawsze jedną być musi, zawsze sobą. I niechby tak było, a literatura zyskałaby zupełnie oryginalnego pisarza, któremu większa ilość pism zjedna niechybnie wielką popularność. Co do nas, my nawet życzym autorce, aby nie usiłowała przemieniać maniery, nad którą lepszej i sobie właściwszej nabyć nie może".

Za Kraszewskim pośpieszył złożyć hołd w tymże „Tygodniku Petersburskim" nowemu talentowi Michał Grabowski, powszechnie jeszcze wtedy za najznakomitszego krytyka uważany. Twierdził on zupełnie słusznie, że w podobnym rodzaju jak opowiadania Sztyrmera nie mieliśmy w naszej literaturze „lepszego, równego nawet pisarza", oraz utrzymywał trochę przesadnie, że w jego utworach „niewyczerpany *humor* łączy się z wielką potęgą i głębokością myśli", że „rzadko także myśl głęboka i świeża tłómaczy się śmielszym, a ciągle czystym i poprawnym językiem", że autor byłby „pisarzem pierwszego rzędu w każdym języku i w każdej literaturze"...

Sztyrmer wszystkie opinie, czy prywatnie, czy publicznie wygłoszone o swoich dziełach, zbierał starannie i przechowywał, mniejsze mając, jak zapewniał, wyobrażenie o swych utworach aniżeli jego krytycy, ale mimo to nie wolnym będąc od drażliwości autorskiej, którą u innych wyśmiewał. Do Kraszewskiego zwrócił się, jako Eleonora, za pośrednictwem Lachowicza, z prośbą o odkrycie „czarnej" strony swoich utworów. Kraszewski odpowiedział listem z 27 lipca, że ma tylko jedno zdanie „i sam na sam i przy gościach", że zdanie to wypowiedział w „Tygodniku"; i dodał: „Mamże pani opisać, jak pierwsze odczytanie *Pantofla* zajęło mnie, zastanowiło, jak z tym Pantoflem nosiłem się do wszystkich, aby z nimi przyjemnością tą podzielić się, tak niespodziewaną w *Niezabudce?*" Cieszył się nadzieją, że dla „Athenaeum" otrzyma obiecaną powieść, lubo wątpił, żeby to prędko nastąpić mogło, „bo p. Barszczewski widać wcześnie na 24 lata *Niezabudki* wszystkie jej prace wyprosił".

Sztyrmer jednakże ziścił obietnicę rychło i przesłał do „Athenaeum“ jedną z najlepszych prac swoich, wyborne studyum z własnego życia i usposobienia zaczerpnięte, p. n. „Dusza w suchotach“. Wystawił tu w Karolu jednego z tych bohaterów bajrońskiej epoki, których najznakomitszym malarzem był Lermontow, z umysłem bujnie rozwiniętym, ale z sercem oschłem, lubiącem kruszyć serca niewieście i „patrzyć, jak się kruszą“, nie znajdującem zadowolenia w niczem, ginącem marnie z sarkazmem na ustach. Autobiograficznych szczegółów jest tu więcej, aniżeli w któremkolwiek innem piśmie Sztyrmera. Cały pobyt w Kozienicach, stosunki z kuzynkami pocztmistrza, miłość do Emilii, którą tu przezwał Maryą, przemieniając Policznę na poblizką Świetlikową Wolę, w szczegółach nawet wielu dosłownie brzmią w tym obrazku tak, jak w „Pamiętnikach“ Sztyrmera. Analiza niemiłosierna nieuleczalnej choroby duchowej, której objawy sam na sobie obserwował, nie złagodzona żadnem rzewniejszem, serdeczniejszem uczuciem, dokonana ręką biegłą i pewną siebie, może robić przykre wrażenie, ale dla umysłów badawczych mieć będzie zawsze urok niepospolity. Gdyby było więcej plastyki w przedstawieniu osób i wypadków, gdyby nie ta okoliczność, że największa część analizy włożona jest w usta samego pacyenta, zachowałaby ta powieść znaczenie na zawsze, nietylko psychologiczne, ale i artystyczne.

Równocześnie z „Duszą w suchotach“ powstały i na tej samej myśli przewodniej są osnute dwa utwory: „Trupia główka“ oraz „Frenofagiusz i Frenolesty“.

„Trupia główka“ jest niezbyt udatnem opowiadaniem, w którem autor starał się zanalizować, a raczej przedstawić tylko wytwarzanie się egoizmu i materyalistycznych poglądów w duszy chłopca podrzuconego wieśniakom, który zdobywszy wytrwałą pracą naukę, oddawszy się studyom lekarskim, zatracił w sobie wszelką uczuciowość, tak że poczynając od obojętności względem poczciwych wieśniaków, co go wychowali, aż do zabicia, niewłaściwem postępowaniem, ojca i ko-

chanki, szlachetne porywy w nim zamarły, najnieszczęśliwszym go czyniąc.

„Frenofagiusz i Frenolesty“ — to rzecz najoryginalniej pomyślana i najżywiej wykonana przez Sztyrmera. Wprowadza on tu swoją teoryę o organach czucia i myśli i o owej nitce, która łączy jedne z drugiemi, a za zerwaniem której musi nastąpić obłąkanie lub śmierć. Po świecie uwija się mnóstwo frenolestów (złodziejów umysłu czy mózgu), którzy póty nagabaniami swojemi targają ową nitkę, aż się zerwie, a wówczas zadowoleni prowadzą nieszczęśliwych do swego pana i władcy, Frenofagiusza (zjadacza umysłów albo mózgów), mającego swoje siedlisko w zakładach dla obłąkanych. Są to zatem obrazy różnych obłąkań, spowodowanych nadmiarem myśli lub uczucia, brakiem harmonii pomiędzy niemi. Dorobkiewicze, kobiety-filozofki, kobiety-kokietki, rozpustnicy, starzy mężowie młodych żon, mizantropi, zbyt czułostkowe panny, zbyt nerwowe matki, autorowie bez talentu starający się wymusić na sobie jakiś utwór i t. p., zapełniają cele w pałacu Frenofagiusza i dają sposobność do skreślenia mnóstwa rysów charakterystycznych z życia społecznego. A że opowiadania te są dokonywane żywo, dowcipnie, w nieustannych niemal rozmowach, ponieważ istnieje wszędzie pogłębienie psychologiczne, ponieważ dużo jest szczęśliwych, oryginalnych wyrażeń, czytają się one z zajęciem i mają daleko większą wartość, aniżeli podobne obrazki, skreślone przez Kraszewskiego w artykule „Bedlam“, pomieszczonym w 1-ym tomie jego „Wędrówek literackich“ (1838 roku). Słusznie już w czasie wyjścia pracy Sztyrmera zauważono, że każda z rozpatrywanych przezeń zdrożności miała nieraz swego malarza i satyryka, lecz pod jego piórem „zdają się one nowe, straszniejsze jak dotąd i z niedotkniętej strony odmalowane“. Przyczyną tego była niewątpliwie analiza psychologiczna i talent stylowy. „Taki sarkazm — mówiono wówczas — ironia, dowcipem niepospolitym urozmaicona od początku do ostatniego wiersza książki o stu kilku stronicach, nie ma przykładu w dzisiejszej i przeszłej literaturze naszej, a wzór jedyny chyba

w Szekspirze i Jean Paul Richterze“ („Biblioteka Warszawska“, 1844 r., tom IV, 615) [1]).

XI.

Udział w publicystyce.

(1842/43).

Uwielbienia prawie bez zastrzeżeń dla talentu Sztyrmera nie trwały jednak długo. Autor zaszkodził sam sobie. Nie zadawalniając się nadzwyczaj szybko zdobytym rozgłosem powieściopisarza, chciał zyskać sobie jeszcze imię pierwszorzędnego krytyka.

Przy „Tygodniku Petersburskim“, głównym organie literackim na Ruś i Litwę, wytworzyła się już wtedy koterya, której najczynniejszymi członkami byli: sam redaktor, Józef Emanuel Przecławski (często piszący pod pseudonimem Mikros'a), człowiek niezmiernie giętki we wszystkich kierunkach, dbający przedewszystkiem o prenumeratorów; Henryk hr. Rzewuski, utalentowany a zagorzały arystokrata i apostoł *status quo;* Michał Grabowski (pisujący powieści pod pseudonimem E. Tarszy), wyznawca zasad konserwatywnych; ks. Ignacy Hołowiński (pseudonim: Żegota-Kostrowiec), ścisły katolik i zręczny dyplomata, lawirujący pomiędzy przeciwieństwami. Nie wiadomo, czy z własnej ochoty, czy też przez Przecławskiego wciągnięty, przyłączył się do tej koteryi i Sztyrmer, warując

[1]) Najszczegółowszy i najtrafniejszy rozbiór „Powieści nieboszczyka Pantofla“ podał w owych czasach „Przegląd poznański“ r. 1845, w tomie II, str. 346—373. Autorem tego rozbioru był zapewne dobry znawca literatury i wytrawny stylista, Stanisław Koźmian. —Wiele też słusznych uwag o talencie Sztyrmera mieści rozprawka Eleonory Ziemięckiej p. n. „Eleonora Sztyrmer i literatura powieściowa w ogólności“ („Pielgrzym“ 1845, t. I, 267—303).

sobie jednak, zgodnie ze swym charakterem, nietykalność niektórych odrębnych poglądów. W kwestyach religijnych i politycznych prawdopodobnie stał Sztyrmer zupełnie na stanowisku koteryi. Znany już nam jego wstręt do filozofii francuskiej XVIII. wieku i do materyalizmu, podawanie religijności, przynajmniej teoretycznie, jako jedynego hamulca na żądze ludzkie, powstawanie na przewagę rozwinięcia rozumu przedstawiają go nam jako zachowawcę, wierzącego w postęp tylko na drodze religijnej. Pod względem politycznym nie wypowiadał on w druku żadnych zdań, ale to, cośmy mówili o przemianie jego zapatrywań na wypadki z r. 1830/31, zamiłowanie karności, wskazują, że różnić się od „Tygodnika“ w tej mierze nie potrzebował. W kwestyach społecznych Sztyrmer zachowywał oględność; sam będąc mieszczaninem z rodu, dostawszy się do towarzystwa, żyjącego na wielkim świecie, nie mógł zapewne podzielać stanowczych poglądów Rzewuskiego, lecz tu nie była wymagana zgoda, boć i Hołowiński nie dął bardzo w ten rożek. Wynika stąd, że stanowisko Sztyrmera w koteryi „Tygodnikowej“ było dość ściśle związane z całością i przynajmniej przez czas pewien mogło z nią harmonizować. Przecławskiemu chodziło o zyskanie współpracownika, mającego rozgłos i władającego ciętem piórem, Sztyrmer zaś pragnął wypowiedzieć swoje opinie o literaturze polskiej bieżącej. Jakkolwiek więc w pojęciach literackich zachodziły pomiędzy nimi różnice, umiano je tolerować wzajemnie i ukazywać na kolumnach „Tygodnika“ sprzeczne nawet z sobą poglądy, byle były z siłą wygłoszone.

Pod koniec tedy roku 1842 w 88-ym numerze „Tygodnika Petersburskiego“ pojawił się „List z Polesia“, napisany przez Sztyrmera pod pseudonimem Gerwazego Bomby, list, który narobił dużo wrzawy wśród publiczności i o mało co nie rozproszył koteryi. Był on nawet w gruncie rzeczy przeciw koteryjności w literaturze wymierzony. Autor zaznaczywszy, że literatura nasza jest „w stanie dzieciństwa“, że w niej przemaga belletrystyka nad nauką, forma nad treścią; powstaje następnie

na zbyt wielką płodność autorską, pośpiech w pisaniu i brak krytyki, a zwracając się wprost do „Tygodnika“, wylicza siedm wad w recenzyach tu pomieszczanych, a mianowicie: 1) admiracyę, 2) ustawiczne porównywanie między sobą pisarzów żyjących, 3) przesadzoną tolerancyę dla ludzi znanych, 4) przedwczesne dzięki, pochwały i nadzieje, 5) pośpiech w sądzeniu, 6) brak konkluzyi, 7) nierówność sądu, gdy z powodu przyjaźni pomiędzy czterema mężami, Hołowiński nie zdobył się na otwartość względem „Obrazów z życia“ Kraszewskiego, a Rzewuski — względem „Stannicy Hulajpolskiej“ Grabowskiego. Wśród tych dowcipnie a ostro napisanych wywodów, z których każdy poparty był odpowiednim przykładem, najwięcej dostało się Kraszewskiemu, gdyż go Bomba posądził, że nie przejrzał brulionu swoich „Obrazów z życia“.

Doniosłość zarzutów Gerwazego Bomby starał się osłabić Przecławski rychło, w 90-tym numerze „Tygodnika“, a zarazem podnieść talent nowego pisarza. Sąd Bomby o całości literatury poczytał więc za zbyt surowy, ale przytem dodał, że krytyk „umiał z dziwną trafnością schwycić słabości dzisiejszego piśmiennictwa“. Radził, żeby Bomba, „wielki estetyk“, wysokie swoje wymagania obniżył, żeby nie mierzył wszystkiego skalą swego znakomitego talentu; literatura bowiem potrzebuje pewnego pobłażania, jeżeli tylko jest na dobrej drodze, jak w owej dobie, kiedy przeniknięta była religijnością. Protestował przeciw zarzutowi koteryjności, a admiracyę dla znanych pisarzy poczytywał za nieszkodliwą, chociaż sam zwykle inaczej postępuje w ocenie utworów, dokonanych przez znakomitości. Niebawem po Przecławskim zabrał głos Hołowiński (Nr. 91), który wystąpił z obroną swego zdania o „Obrazach“ Kraszewskiego, a równocześnie z obroną belletrystyki, jako odpowiadającej wymaganiom chwili.

Zaraz potem ukazał się (Nr. 92) drugi „List z Polesia“, w którym Bomba potępiwszy polemikę belletrystyczną, jako nie prowadzącą do niczego i powoławszy się w tej mierze na walkę klasyków z romantykami, gdzie „ani jedna ani druga

strona nie wiedziała, czego istotnie się domaga, a co potępia", stawał w obronie klasycyzmu, powiadając, że Kochanowski i Skarga „chcącemu się kształcić na narodowego pisarza zgodnie z obecnym duchem literatury, daleko więcej przyniosą pożytku jak najlepsze nasze romantyczne utwory". Ponieważ mu chodziło o ład i rozum w piśmiennictwie, sądził, że w klasycyzmie znajdą się wyborne ku temu wzory. „Nie mamy wprawdzie potrzeby — pisał — tłómaczyć teraz francuskich klasyków, ale możemy się z nich wiele dobrego nauczyć, tem bardziej, że obecnie literatura nasza, ochłonąwszy od burzy romantyzmu, wstępuje powoli na drogę pokoju, umiarkowania, rozumu i pożytku, ogrzewa, oświeca i upiększa się żywą wiarą! Przy tej dążności trzeba nam wrócić do wielu pierwiastków klasycyzmu i pozbyć się wielu romantycznych marzeń... Co do uczuć, nie jestem ani klasykiem, ani romantykiem, trzymam się prawidła: *suum cuique* i cenię wszystko, co jest *pożyteczne i piękne,* nie myśląc o tem, do jakiej szkoły należy".

O autorstwo tych „listów z Polesia", które tak niespodzianie przerwały jednostajność tonu „Tygodnikowego", posądzali niewtajemniczeni różnych autorów (Korzeniowskiego, Malewskiego, Olizara, Piotrowskiego); Kraszewski, draśnięty w pierwszym, przypuszczał, że pisał go Placyd Jankowski (John of Dycalp), uznawany wówczas za najznakomitszego humorystę. Napisał więc do niego list z wymówkami (10 grud.), w którym między innemi te zawarł słowa: „Com ci jednak był winien, żeś tak usilnie do mnie i najwyłączniej do mnie przylgnął, com ci był winien, że chciałeś mnie tak koniecznie poniżyć? nie rozumiem; przyznaję, że wiele słabych napisałem rzeczy, żem się rozproszył na zbytnią ilość pism i pisemek, ale, mój Szanowny Gerwazy, nie wiesz, jaki twój artykuł skutek zrobi na czytelnikach, co w nim będą widzieli więcej, niż włożyłeś, a może się sumiennie nie godziło tak pisać *pour faire de l'esprit et de l'effet*". Gdy Jankowski ze zdziwieniem przyjął te wymówki i zaprzeczył stanowczo swego autorstwa, wpadł Kraszewski na właściwy domysł, i mając straszny żal do wy-

dawcy „Tygodnika“, że go rzucił na pastwę dowcipów Bomby, ze Sztyrmerem utrzymał korespondencyę i w obszernym liście z 14 stycznia 1843 r., adresowanym już nie do Eleonory, jak dawniejsze, ale do Ludwika, bronił potrzeby obfitego pisania u nas, gdzie mało jest utalentowanych, trzeba zaś wyrabiać smak w czytelnikach, a zgadzając się, że krytyka nasza nic nie warta, poszedł dalej, twierdząc, że „żadna krytyka do niczego nie prowadzi“. W końcu zapytywał o poufne zdanie co do „Mieszanin“ Bejły. Sztyrmer w odpowiedzi napisał „najobszerniejszy“ list, jaki kiedykolwiek skreślił, otwarcie przed Kraszewskim spowiadając się ze szczegółów życia swego i swoich przekonań, zdawało mu się bowiem, że otwartością łatwiej sobie zyska „szacunek“ znakomitego pisarza. Mamy w tej spowiedzi i usprawiedliwienie surowego poglądu na piśmiennictwo polskie i powód pisania „listów z Polesia“ i przyczynę małej produkcyjności autorskiej i zdanie o Rzewuskim. Korzystając z brulionu tego listu, jaki się pomiędzy papierami Sztyrmera znajduje, podam z niego najważniejsze charakterystyczne urywki.

Po wstępie, komplementującym Kraszewskiego, powiada Sztyrmer, że narachował dotąd $24^1/_2$ przyczyn, dla których nie wypadałoby mu się wdzierać do belletrystycznego piśmiennictwa polskiego, i że jeżeli jeszcze znajdzie brakującą $^1/_2$, to porzuci niewyznaczony dla siebie zawód, i tak rzecz tę objaśnia: „Służąc w dwóch miejscach razem, przy wojennym ministrze i w zakładzie naukowym, jestem nad miarę obarczony pracą. Wychodzę z domu o 9, wracam o 7, mam i tu jeszcze robotę, tak że często nie mogę się nawet z dziećmi popieścić. Rachując sobie za obowiązek śledzić za bieżącą literaturą w kraju i za granicą, poświęcam połowę nocy. Zajmować się więc pisaniem jest dla mnie prawie niepodobna. Każda powiastka nabawia mnie bólu głowy przez tę bezsenność, do której mnie zmusza. Zresztą nie widzę, aby moje pisemka na co się przydały, nie czuję w sobie namaszczenia z natury. Owszem, wolę zawsze czytać jak pisać i tylko wtedy biorę się za pióro, kiedy

brak mi lektury. Gust mój jest rozdzielony. Miałem z młodości zamiłowanie do nauk, w których czułem się na siłach pracować nie bez korzyści dla ziomków. Schiller i Byron sprowadzili mnie z tej drogi, albo raczej przymusili mnie iść jednocześnie po dwóch gościńcach, co naturalnie z *pracującego* w naukach zrobiło tylko *czytelnika*. Literatury zagraniczne zajęły mnie niezmiernie i odtąd nigdy ich nie porzucałem. Nasza bawiła mnie, ale obok tamtych zdała się zbyt bladą. Czytałem jednak wiele, tylko nigdy nie przychodziła mi do głowy żadna chęć pisania. Później z przyczyn ode mnie niezależnych do 1840 roku przez 10 lat nie miałem w ręku polskiej książki. Po napisaniu *Pantofla* obudziło się we mnie jakby cudem zamiłowanie ojczystej literatury i w tem trwam dotąd. Obok pojęć o cudzoziemszczyznie, kocham naszą nie dla jej zalet, ale *jako biedne dziecko wielkiej rodziny,* w którem może się rozwinąć szlachetny, wspaniały, piękny charakter przodków, i dlatego każdy krok postępu niezmiernie mnie cieszy, każda usterka boli niewymownie. Uczucia te dochodzą do jakiejś, może śmiesznej nawet, egzaltacyi, która tem jest dziwniejszą, że z natury jestem dość zimny, a doświadczenie, na które podobało się Bogu mnie skazać, wyrobiło we mnie wiele umiarkowania. Może też być, że ta egzaltacya podsyca się *smutnem przeczuciem, że to dziecko nigdy nie dojdzie do dojrzałości;* jakkolwiekbądź, z tego źródła wypłynęły artykuły Bomby. Upewniam Pana mego najuroczyściej, że Bomba nie myślał bynajmniej o sprawieniu jakiegoś efektu, nie miał na celu żaden (!) puff, ani zazdrość, ani dowcipkowanie, ani śmieszną zarozumiałość uczenia drugich tego, co lepiej jak on znają... nic z tego! chciał on tylko zwrócić uwagę ludzi najwięcej przez siebie poważanych (wszakże o żadnym płaskim pisarzu nie wspomniał?) na kilka usterek, których im najłatwiej uniknąć, a które dla mniej utalentowanych i dla niemowlęcej naszej publiczności, według jego zdania, mogą być szkodliwe. Nie ufając swoim siłom, ten waryat Bomba czytał brulion swej elukubracyi poufałym znajomym, a razem poważnym literatom, Ż. Kostrowcu (!)

i Mikrosowi, rachując na radę życzliwej przyjaźni i światła. Pochwalili i wydrukowali. Potem wyrzekli się pierwszego przekonania i wystąpili z krytyką. Było mi cokolwiek przykro, że mnie wprzód nie ostrzegli... ale może inaczej być nie mogło. Nie badając przyczyn takiego fenomenu, miałem tylko za złe Mikrosowi jego przesadzone pochwały, na które najmniej nie zasługuję i które mogły się nie podobać drugim. Żałowałem także, że tyle widocznych herezyj w moim artykule tak późno poznał nasz poczciwy Kostrowiec; ale podobał mi się uprzejmy ton tych dwóch krytyk. Sądziłem, że takim sposobem i inni wszystkie mylne moje sądzenia w miłości i pokoju zbiją, a prawdę (!), jeśli się jaka znajdzie, nie będą mi mieć za złe. Nie spodziewałem się, żeby kto mógł się obrazić, bo w takim razie upewniam, że nie byłbym pisał. Czyniono mi nawet nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, albowiem w tych, o których mówiłem, unikając przytem ile możności nazwisk, zamiłowanie literatury jest wyższe nad wszelką osobistość. Słowem, miałem nadzieję, że przynajmniej cel mego artykułu będzie pojęty, i tego najwięcej pragnąłem. Na nieszczęście, stało się inaczej. Do Mikrosa z różnych stron posypały się listy, pełne dowcipkowania *o Bombie, o pani Bombinej,* o pińskich błotach i stodole, a krytyki w nich ani słowa; listy bez myśli, bez barwy, bez porządnego sarkazmu nawet. Bez wątpienia nie cieszyło mnie to, ale w owym roju pseudonimów nie wyglądałem niczego światłego. Wtem pod nazwiskiem Protazego Tromby wystąpił 60-letni starzec i literat, dla którego miałem szacunek, i ta siwa głowa *wędrując po jednej z małych dróg* [1]), za przykładem innych haftowała także na tle Bomby, Bombinej, Polesia i sto-

[1]) Sądząc z tego wyrażenia Sztyrmera, możnaby przypuszczać, że owym Pr. Trombą był Kazimierz Bujnicki, autor „Wędrówek po małych drogach“ (Wilno 1841); ale on nie miał natenczas lat 60, może Sztyrmer w domyśle swym się mylił, może to był ks. Ant. Moszyński. List ów nie był widocznie drukowany, ten bowiem, który się mieści w numerze 34 „Tygodnika“ z r. 1843, przeniknięty jest uznaniem krytycznych zdolności Gerwazego Bomby.

doły, dodając tylko do swych konceptów radę, żebym odczytał fabułkę: *Vipera et Lima*. Wziął mnie wyraźnie za studencika z rapierkiem. Wkrótce potem przypłynęły 3-arkuszowe listy Tarszy do Mikrosa i Kostrowca. W obydwóch odmawia Bombie wszelkich zdolności, czasami przyznając mu tylko dowcip, rachuje go za szkodliwego intruza, pełnego zarozumiałości, czuje się niezmiernie obrażonym przez Bombę, a szczególniej przez Mikrosa za to, że go nie bronił, i wyrzeka się nadal wszelkiego udziału w *Tygodniku*. Zdanie jego o moich zdolnościach nie dotknęło mnie bynajmniej, bo sam o nich jeszcze mniej trzymam, ale fałszywe pojęcia o moich pobudkach z tej strony, skąd spodziewałem się sprawiedliwości, było dla mnie prawdziwie bolesnem. Lubo nieznajomy, napisałem długi i pokorny list do drażliwego Tarszy, przepraszając go za obrazę i błagając, żeby nie opuszczał *Tygodnika*. Bo istotnie, w cóż to jedyne nasze pismo krytyczne się obróci, jeśli się od niego odstrychną ci, co go dotąd utrzymywali z powszechnym dla ogółu pożytkiem? Czy godzi się dla jakiegoś ulotnego, może głupiego artykułu, który wydawca przepuścił w celu pokazania bezstronności, o której brak od dawna go posądzają, porzucać całe pismo? Czyliż pożytek całej publiczności nie należy mieć więcej na względzie jak swoją osobistość? Sądzę, że gdybym był w tym przypadku, skrytykowałbym artykuł, nie szczędząc Bomby i Mikrosa, ale pomocy swej nigdybym nie odmówił *Tygodnikowi*. Nie mam dotąd odpowiedzi od p. Tarszy, ale nie wątpię o tem, że idąc za popędem swego szlachetnego charakteru, a miłując literaturę więcej jak drobnostkowe względy dziennikarstwa, wróci do dawnych stosunków z *Tygodnikiem* [1]).

[1]) Nie mylił się Sztyrmer. Grabowski, po wydąsaniu się, dowiedziawszy się, kto był Bomba, na list jego odpowiedział z wielkiem dla talentu Eleonory Sztyrmer uwielbieniem i z uznaniem „ogólnych widoków literackich“ Gerwazego Bomby, zastrzegając sobie tylko odmienne zdanie w szczegółach, oraz co do szkodliwości skutków, jakie krytycyzm jego mógł wywrzeć. Pisał do Sztyrmera 25 lutego 1843: „Upieram się uważać pociski przezeń rzucone jako wypadek szkodliwy dla sprawy

Po tylu bolesnych wrażeniach, łatwo Pan pojmiesz, jak miłą dla mnie siurpryzą było niespodziane jego pismo... Zawsze miałem równie głęboki szacunek dla charakteru pańskiego, jak dla jego talentu; ale tym listem zobowiązałeś mnie Pan więcej, jak mu wyrazić potrafię. Przy tem doświadczeniu, jakiego nabyłem w pewnych cierpkich latach mego życia, widzę wprawdzie z listu Pana, że zostało mu jakieś przekonanie o mojej zarozumiałości i chęci dowcipkowania, wszakże spodziewam się, że lepiej mnie poznawszy, oddasz mi zupełną sprawiedliwość. Jako człowiek, bez wątpienia nie jestem zupełnie wolny od miłości własnej, ale jako chrześcijanin staram się ile możności ją hamować; co się zaś tyczy sarkastyczności, jest to na nieszczęście zbyt zakorzeniona wada, *nie mego serca, nie ust nawet, ale pióra.* Listy, które pisałem kiedyś do kochanki, a dziś żony, nie były wolne od dowcipkowania, bo im więcej kogo kocham, tem większej pragnę w nim doskonałości".

wspólnych naszych usiłowań i troskliwości. Przewidziałem z początku, a odtąd widziałem w skutku następstwa tej niespodzianej opozycyi. Jeżeli zamiarem pańskim było poprawić pisarzy, chybiło to zupełnie celu, lecz natomiast wywarło ogromny wpływ na czytelników i utwierdziło ich w lekceważeniu stanu obecnej literatury krajowej, co choćby było nawet rzeczą słuszną, ale z tem razem jest tak wielkiem nieszczęściem, że sam zapewne cieszyć się z tego nie będziesz. Szczerze panu powiadam, że tylko przekonanie, iż jako *pisarz* naprawisz to, coś zepsuł jako *krytyk,* umiarkowało moją żałość. Ta zaś ostatnia nadzieja nie jest bez zasady. W okresie żywotnym literatury (w takowym zda mi się literatura polska) pokolenia literackie prześcigają się: to, które schodzi w dobie bliższej zenitu, okazuje nad poprzedniem znamiona dojrzałości i potęgi; pan przychodzisz po mnie, po Kraszewskim, po wielu innych; niedarmo masz w umyśle pojęcie i żądzę czegoś wyższego; znać też na panu inny duch, inne zakroje, a co do mnie, nie wystawisz sobie pan, z jak mocnem i bezinteresownem upragnieniem życzę panu największych i najświetniejszych powodzeń, któreby nas w cień zapędziły". Uprzedzał przytem, że pomieści w „Tygodniku" replikę na poglądy Bomby. Replika ta, w której prócz sprostowań sądów poszczególnych, zarzucił Sztyrmerowi „zastałość", nieznajomość współczesnej literatury, domaganie się rzeczy albo niemożliwych albo nie mających rzetelnej wartości, wyszła w numerze 31 „Tygodnika" z r. 1843.

Przechodząc następnie do odpowiedzi na pytanie Kraszewskiego o „Mieszaniny“ Jarosza Bejły, wyraża o nich sąd surowy. „Rzecz pewna — powiada — że Bejła ma głowę potężną, trudno temu zaprzeczyć, ale zdaje mi się, że szatan wykradł mu serce z piersi, bo najmniejszego śladu uczucia w nim nie widzę. Serce zaś tak jest potrzebnem człowiekowi, że bez niego z najlepszą nawet głową musi wpadać w paradoksa i mieć do nich pociąg. Ten brak szlachetnego uczucia, to skrzywienie serca, ile mi się zdaje, były główną przyczyną wszystkich bredni Woltera z całą Comp. XVIII. wieku. Bejła zanadto rozsądny, żeby wznawiać te kwestye, zresztą widać, że *dziś nawet dla efektu lepiej w naszym kraju bronić wiary, jak na nią napadać;* zrobił się więc nieproszonym apostołem i pod płaszczykiem religii swobodnie łamie wszystko, na co drudzy patrzą z szacunkiem lub co kochają od wieków. Religia nie potrzebuje takich apostołów, a naród nigdy nie uczuje sympatyi do takich dzieł, jak *Mieszaniny.* Po przeczytaniu tej książki zostało mi najnieprzyjemniejsze wrażenie. Bez wątpienia jest w niej wiele pięknych myśli, ale mało nowego, a złego co niemiara; i to złe staje się jeszcze haniebniejszem przez wzgląd na nas i okoliczności, w których napisane. O, dlaczegóż nie umarł po napisaniu *Soplicy?* Kochalibyśmy go wszyscy, bo któż lepiej od niego odsłonił nam obyczajową przeszłość przodków, z taką historyczną prawdą, z tak nieporównanym talentem ożywienia obrazu i oświetlenia go wszystkiemi przymiotami dawnej naszej narodowości? Nawet w tym nowym tomie *Mieszanin* tam, gdzie bez faryzeuszostwa mówi o religii, gdzie ją porównywa z nauką, i przedstawia jako jedyne *criterium* prawdy, niepodobna być obojętnym na głębokość pomysłu, żywotność geniuszu i jasność wykładu, chociaż widać, że wiele bardzo korzystał z Lamennais, od którego pożyczył nietylko zasadę rozumowania, ale nawet główniejsze dowody. Artykuł wstępny wyborny, przeciwnie *cała ta apologia arystokracyi oburza mnie niesłychanie.* W bezecnym swoim dopisku nie powstydził się powiedzieć, że dla narodu dość, kiedy ma

co jeść i kiedy ludność się powiększa! Czemże się naród różni od nierogacizny zamkniętej w chlewie? Panegiryki wojska, prerogatyw szlacheckich, arystokratycznej przyzwoitości, ten nikczemny, jak nazywa, plebeizm i t. d. widzę najgorzej. Obstaje za tem, co mu zarzucano względem nieludzkiej maksymy, że pieniędzmi można wynagrodzić obelgę prostakowi lepiej jak pojedynkiem — bez wątpienia, ale zapomniał, że lepiej jeszcze postąpić jak każe religia, t. j. przeprosić! Powtarzam, że cały ten rozdział haniebny... Jest to cokolwiek podle chwytać każdą myśl za ogon i wykręcać ją ku biegunowi. Zdanie o nagle zjawionej literaturze, jakkolwiek oparte na kilku historycznych faktach, nie trafia do mego przekonania. Jest to mistycyzm, którego dziś nie godziło się wypuszczać, bo i bez tego naród pełen jest smutnych przeczuć. Rozdział o pojedynkach, z początku słaby, student mógłby coś nowszego i lepszego napisać, potem haniebny. Powiada, że pojedynki wyrodziły się z idei, że Bóg sprzyja dobrej sprawie, że kościół je tolerował i t. d. Kłamstwo wierutne! Kościół je zawsze potępiał, lecz powstawał stopniowo przeciw nim, póki zupełnie nie zabronił... W rozdziale o wolności pochwycił myśl, że gdzie jest duch boży, tam jest i wolność, i najszkaradniej jej nadużył. Żaden człowiek z czuciem zdań jego nie podzieli"...

W końcu, wracając do przedmiotu, który korespondencyę wywołał, Sztyrmer odwoływał się do szlachetności Kraszewskiego, prosząc go, żeby „Tygodnika" nie opuszczał. „Chciałbym — pisze — żeby Bomba nie był przyczyną upadku *Tygodnika* w opinii publicznej i przyznam się Panu, że każdy słaby artykuł, zjawiający się teraz w jego kolumnach, napawa mnie zgryzotą. Bez Pana i bez Tarszy pismo to obejść się nie może; wypadałoby Panom dać drugim przykład. Jeżeli chodzi o Bombę, przyrzekam odtąd nie pisać żadnej krytyki i tem łatwiej tego dotrzymam, że istotnie nie mam chwili wolnego czasu... Gdyby nie poczciwy ks. Ignacy [Hołowiński], porzuciłbym dawno drogę autorską, ale mąci mi rozum, durzy i namawia, a wskutek tego, choć mnie to wielce kosztuje, piszę

jednak. Moim dzieciom przynajmniej może się to przydać, choć na pamiątkę po ojcu!“

Zachowaniem się swojem wobec obrażonych krytyką Gerwazego Bomby, potrafił Sztyrmer w części przynajmniej cel zamierzony osiągnąć, t. j. nie dopuścić rozbicia się koteryi „Tygodnikowej“ i zachować, powierzchownie przynajmniej, jak najlepsze porozumienie z Kraszewskim i Grabowskim. Nie powściągnął jednakże swego pióra w wystąpieniach publicznych; tak, że w nowych „Listach z Polesia“ nie darował ani jednemu objawowi, który za mylny lub słaby poczytywał. Nawet z najmilszym sobie, najprzyjaźniejszym i najpoufalszym ks. Hołowińskim, który był częstym u niego gościem lub sam go u siebie przyjmował, stoczył Sztyrmer polemikę o szukanie szlachetnej sławy na ziemi („Tyg. Pet.“ 1842, Nr. 98, 100). Bychowcowi Józefowi przekładał, że w wywodach swoich nie wychodzi z istotnych zasad wiary chrześcijańskiej (tamże, r. 1843, N-ra 20—23), kobietom zamiast filozofii zalecał matematykę i astronomię (tamże, Nr. 29, 30), a w artykule o „literaturze szpargalikowej“, t. j. o zagęszczonych wtedy noworocznikach, na nowo dotknął boleśnie Kraszewskiego (tamże, N-ra 60—64), podniósł natomiast wysoko talent poetyczny Aleksandra Grozy (tamże, N-ra 96—99). Z końcem roku 1843 przestał pisać swe artykuły krytyczne, widząc, że dawniejsi stali współpracownicy, Kraszewski i Grabowski, pomimo zapewnień, że nie mają żalu ani do Bomby ani do „Tygodnika“, coraz rzadziej przecież zasilali kolumny czasopisma artykułami swojemi, zostawiając pole popisu dla Bomby i Kostrowca. Ażeby więc przywrócić poprzednią harmonię wśród współpracowników, wolał sam się usunąć z widowni publicystycznej i zasilać „Tygodnik“ tylko powieściami.

XII.

Powieści mistyczne.

(1844—1846).

W twórczości swej powieściowej starał się Sztyrmer wprowadzić pewne urozmaicenie. Zarzucano mu nadmiar sarkazmu, brak uczucia, przy ciągłem zalecaniu uczuciowego nastroju a potępianiu suchego racyonalizmu; chciał więc okazać, że nie jest „jednostrunnym instrumentem“ i postanowił posłużyć się malowaniem namiętności i fantastyczności. Już poprzednio, mianowicie we „Frenofagiuszu“ allegorya stykała się ze światem fantastycznym, teraz miał świat ten zapanować w całości utworów. Studya swoje magnetyczne w tym czasie pogłębił, czytając dzieła Deleuz'a, Dupotet'a, Teste'a, Ennemosera; praktycznie nawet sam leczeniem magnetycznem się zajmował (w roku 1841 leczył panią Chlebowską, o czem spisywał po francusku dzienniczek). Idąc za wzorem Hoffmana, napisał „Czarne oczy“, drukowane w początkowych numerach „Tyg. Pet.“ z r. 1844. Mamy tu do czynienia z całkiem nieziemskiemi stosunkami, z cudownemi snami i przepowiedniami, które się sprawdzają, z nadprzyrodzonemi sympatyami, wiążącemi z sobą ludzi przedtem zgoła sobie nieznanych. O portret pięknej kobiety z czarnemi oczyma ubiegają się na licytacyi dwaj amatorowie: oryginał Chryzanty Dewilski, którego nazwisko pokazuje blizki stosunek z szatańskiem, i pan pułkownik Miecznikowski. Chryzanty zwyciężył i tak się w czarnych oczach zakochał, że marzył tylko o wzięciu ślubu z niemi, choć do umarłej należały. Ślub ten wziął we śnie, a niebawem na jawie ujrzał żywą, bardzo do portretu podobną pannę, siostrę właśnie tej, której wizerunek tak go oczarował. Ożenił się z nią, a Rózia, przyjaciółka, którą poprzednio Chryzanty rozkochał, zmarła z rozpaczy. Powieść ta dziwiła nadzwyczajnością, pociągała żywością obrobienia, dowcipem, sytuacyami niespo-

dziewanemi. Po przeczytaniu mówiło się sobie: baśń to, ale zajmująca.

Lecz Sztyrmerowi o samą zabawę nie chodziło; chciał on wywołać głębsze wrażenie i ten świat mistyczny, z którego wziął swe opowiadanie o czarnych oczach, przeciwstawić światu rzeczywistemu, dla nauki i przestrogi. Z tego zamiaru wynikła dwutomowa powieść pod tyt. „Kataleptyk“, ogłoszona w roku 1846.

O dziwnym utworze tym tak pisał w styczniu 1845 r., odpowiadając Eleonorze Ziemięckiej, która go prosiła o współpracownictwo w jej „Pielgrzymie“: „Od roku nic nie napisałem, bo prawdziwie nie mam czasu; teraz piszę nowe dziełko, które nazwę *Światłocienie ducha i serca;* będzie to zbiór trzech szkiców, stanowiących jedną całość, może nawet powieść. Jeden z tych szkiców zawierać będzie *Żyda wiecznego.* Wątpię, żebym tę robotę mógł wcześniej skończyć jak w maju. Co będzie warte, nie wiem, bo sam o tem nie decyduję, a ks. Żegocie i Mikrosowi, jako przychylnym mi przyjaciołom, zupełnie nie wierzę. Chciałbym szczerze przysłużyć się *Pielgrzymowi,* ale mając już zajęcie do maja, a czasu nie więcej jak kilka godzin co tydzień, nie widzę innego sposobu zadośćuczynienia żądaniu Pani, jak napisać dla niej osobną powiastkę latem (t. j. w peryodzie od czerwca do września), albo też po skończeniu *Żyda,* udzielić *Pielgrzymowi* mały wyjątek z tego szkicu“.

Ani jedno ani drugie się nie spełniło, tak że „Pielgrzym“ nie otrzymał wcale żadnego artykułu Sztyrmera; owe zaś „Światłocienie ducha i serca“ wyszły od razu w książkowej formie p. n. „Kataleptyk“. Z góry wyznać potrzeba, że była to rzecz poroniona.

Artystycznie, jest to zbiór pozszywanych uwag, myśli i opowiadań, mających na celu przedstawienie zjawisk życia duchowego, uwolnionego na chwilę od więzów materyi. Autor widocznie sam nie doszedł wcale do stanowczego zdania o naturze tych zjawisk, t. j. nie wiedział na pewno, czy je brać jedynie za podmiotowe, czy też i za przedmiotowe; i dlatego

w tym nieokreślonym charakterze cały swój utwór utrzymał, już to dając do poznania, że to marzenia tylko kataleptyka Floryana, lub nerwowej Anieli Krzyżowieckiej, której ród od Żyda tułacza miał pochodzić, już to napomykając, że zjawienia nadnaturalne mogły się ukazać w rzeczywistości, np. widzenie w dzień Zaduszny orszaku zmarłych, przyjmujących ofiarę osoby podobnej do Anieli, widzenie, które miał na jawie Seweryn, syn dzierżawcy Krzyżowieckiego, „mocny duch“, polujący w dzień Wszystkich Świętych. Że niepewność autora w tych kwestyach była istotna, dowodzi, prócz sposobu opowiadania, wyraźne przyznanie się w końcu powieści: „Czytelnik może pomyśli, że autorowi należałoby być szczerszym od pana Rafała [Krzyżowieckiego, który zapytany o wyjaśnienie tajemnicy odpowiedział, że są takie kwestye, jakich żadna ludzka „replika“ nie wyjaśni, a przeto lepiej w takie rzeczy rozumem się nie zaciekać] i w końcu powieści wyjaśnić wszystkie jej tajemnice? Chętniebyśmy to uczynili, gdyby to było w naszej mocy; lecz niestety! oprócz tego, cośmy powiedzieli, nic więcej nie wiemy“ („Kataleptyk“, II, 227). Figura bohatera głównego, Floryana wizyonera, utrzymana dobrze w swym charakterze refleksyjnym; figura jego przyjaciela, Maurycego, żartobliwego światowca, który chwyta wiadomości w rozmowie z ludźmi ukształconymi, aby je potem zużytkować w salonie, z początku jest zręcznie i dowcipnie przedstawiona, potem staje się drewnianą, gdy wyrzuca z siebie tylko pewne pytania lub zapewnienia na to, ażeby wywołać objaśnienie od Floryana. Aniela, eteryczna prawie marzycielka, kochająca Floryana, pozostawiona została w cieniu.

Taki jest charakter pierwszego oddziału „Kataleptyka“ p. n. „Życie dwóch światów“. Daje się on czytać z pewnem zajęciem; niektóre ustępy są świetne. Podobno w zarysach, dotykających muzyki, pomocą Sztyrmerowi był znany i głośny natenczas artysta, Wiktor Każyński.

Oddział drugi p. n. „Życie wyjątkowe“ wyprowadza na scenę Żyda wiecznego tułacza, postać, jak wiemy, od dawna

już Sztyrmerowi ulubioną, a która w czasach pisania „Kataleptyka“ w literaturze francuskiej, pod piórem Eug. Sue i Edgara Quinet, tak świetne i nowe przybrała kształty, służąc do wyrażenia idei postępowych. Sztyrmer użył jej w „Kataleptyku“ najniefortunniej i wbrew własnej zasadzie, wypowiedzianej w drugim „liście z Polesia“ („Tyg. Petersb.“ 1842, Nr. 92), przedstawiwszy ją naprzód na posiedzeniu „Biblioteki Warszawskiej“ celem odpłacenia się za krytykę powieści swoich — do wypowiedzenia konserwatywnych poglądów. W bardzo długiej rozprawie Żyda tułacza wyróżnić należy dwa ustępy: jeden — o niedostateczności wiedzy współczesnej, drugi — o wędrówkach jego po świecie dziejowym. W pierwszym nie potępia wprawdzie autor stanowczo rozumu i wiedzy, ale stara się udowodnić, że wobec bardzo małych postępów, jakich dokonała nauka, wobec mnóstwa tajemnic przez nią nieobjaśnionych, lepiej daleko trzymać się wiary; wskazówki, coby odkryć, czy coby uznać należało (jedność sił w naturze i t. p.) dowodzą, że autor, nie posiadający gruntownego i metodycznego wykształcenia, czytał jednak dużo w rozmaitych dziedzinach i rozmyślał nad osiągniętemi rezultatami. W drugim ustępie, gdzie przedstawione zostały dzieje 14-tu wieków cywilizacyi chrześcijańskiej, niema ani malowniczości w obrazie klęsk narodu żydowskiego (zburzenie Jerozolimy, powstanie Bar-Kochby), ani głębokości w poglądzie na losy państw starożytnych; a w przedstawieniu życia Krzyżaków i w opisie bitwy pod Grunwaldem — pospolitość. Kabała żydowska, pisma Ennemosera, wogóle wiadomości o magnetyzmie są dość szczegółowo przez autora rozpoznane, ale bystrości w ocenie materyałów i świetności analizy bynajmniej nie rozwinął.

W trzecim wreszcie oddziale p. n. „Jad we krwi“ jest historya rodu Krzyżowieckich, przepełniona zbrodniami i cudownością. Teorya dziedziczności była tu niewątpliwie myślą przewodnią, lecz nie umiał jej autor pogłębić; odmalowani przezeń ludzie są źli, lecz filiacye ich usposobień i charakterów nie są wykazane. Grzegorz Krzyżowiecki uwodzi własną siostrę Magdu-

się, zamienioną przez mamkę z dzieckiem pańskiem; po haniebnej śmierci Magdusi żeni się z Dorotą Lacką, tyranizuje ją, czem zmusza do ucieczki; w pojedynku z jej bratem ginie. Rygobert Krzyżowiecki, ożeniwszy się z Jadwigą Starowiejską, niecierpliwością i gwałtownością czyni ją nieszczęśliwą; a gdy jego „zalotność“ zaprowadziła go do ślubu ze zmarłą przed wiekiem księżniczką, która także zalotnością grzeszyła, wpadł w obłąkanie. Fulgenty Krzyżowiecki zbudował sobie, przy pomocy architekta Pandolfiniego pałacyk z tajemniczemi skrytkami do podsłuchiwania i łapania kochanków; schwytawszy na niewinnej schadzce dawnego przyjaciela dzieciństwa swej żony, wtrącił go do lochu wraz z psem; nieszczęśliwy, pogryziony przez towarzysza, zjada go następnie i ginie wreszcie z głodu; żona Fulgentego, Joanna d'Avalanche, umiera; a on sam w najokropniejszych męczarniach kończy życie. Wreszcie dla dowiedzenia, że można jad we krwi zneutralizować, opowiedziana została historya syna Magdusi, Szymczaka, który oddał się dyabłu, ażeby mógł celnie strzelać, a pokochany przez ubogą dziewczynę, nawrócił się i żył uczciwie. Jak widać już z tego suchego streszczenia, jest w tej historyi rodu Krzyżowieckich dużo drażniących, efektownych pierwiastków; a jednak ich wprowadzenie nie wywiera wcale silnego wrażenia, autor bowiem raczej jako sprawozdawca, niż jako artysta tu występuje.

„Kataleptyk“ stanowczo zaszkodził sławie autorskiej Sztyrmera. O ile dawniej wielbiono jego oryginalność, świeżość pomysłów, dowcip, głębokość spostrzeżeń, o tyle po wydaniu „Kataleptyka“ zaczęto wytykać „ubóstwo wyobraźni i dowcipu“, „tandetną erudycyę“, „fałsz w sztuce“ (Józef Bohdan Dziekoński w „Dzwonie literackim“, 1846, t. II, 325—330); zaczęto w pismach jego widzieć „szumowiny prawdy tylko“, rozwiązywanie ważnych zagadnień „fantastycznie“, jak robi „każdy umysł niedojrzały, lub mniej więcej zwichnięty wpływami, których czasem nawet dostrzedz, a tem bardziej ocenić nie zdoła“ (bezimienny w „Przeglądzie Naukowym“, 1846, t. IV, 890—893).

„Tygodnik Petersburski“ nie pomieścił o „Kataleptyku“ żadnego sprawozdania; zachowawczy „Przegląd Poznański“ wytykał Sztyrmerowi naśladownictwo Hoffmana, Souliégo, Balzaka, Quineta, Kernera i Krasińskiego w „Irydyonie“; o całości wyraził się wogóle nieprzychylnie i z żalem, że autor marnuje talent prawdziwy i „silny umysł“ (1847, t. V, str. 171—190). Pisma postępowe napadały gwałtownie na wsteczną dążność utworu, propagującego lekceważenie rozumu i katalepsyę duchową. Najpoważniej, a zarazem najdosadniej przemówił Aleksander Tyszyński w „Bibliotece Warszawskiej“ (zeszyt grudn. str. 613—623). Wychodził on w ocenie poglądów i dążności Sztyrmera ze stanowiska ściśle chrześcijańskiego, religijnego, ale okazywał przytoczeniami z Pisma św. i Ojców kościoła, że religia bynajmniej nie żąda wyrzeczenia się uprawy rozumu i bynajmniej nie zasadza cnoty na bierności duchowej, lecz na działaniu. „Cnota ewangeliczna — pisał Tyszyński — nie jest bezczynność, ale jest czynność. Cnota ewangeliczna to miłość, to przynoszenie owoców setnych i sześćdziesiątych, to uprawianie darów od Boga nam udzielonych. Głównym darem, który otrzymuje człowiek na ziemi, jest bezwątpienia rozum. Wszelka zmiana, która się dzieje wśród ludzi, dzieje się przez duch ludzi. Ten rozum, to duch-narzędzie i duch-kierownik. To duch-kierownik człowieka, to duch-kierownik ludzkości... Świat jest walką prawdy i fałszu, lecz go poczęła prawda i wygra prawda. Działać — to cel przyśpieszać, to wiek wygranej przybliżać. Wiek ów oderwanie nie przyjdzie, nagle nie spłynie, ale się niepostrzeżenie i harmonijnie z ducha ludzkiego wywinie“. Oceniając zaś talent Sztyrmera pod względem artystycznym, przyznał Tyszyński wielkie zalety jedynie „Pantoflowi“; dalsze zaś utwory jego za znacznie słabsze poczytał. „W powiastkach tych — powiada — puściła się p-i Sztyrmer na określenie miliona charakterów, których poznania nie przetrawiła; miliona położeń, którym nie miała czasu dać równych spadków; używa za ramy fantazyi, w którą sama nie wierzy; objawia w nauczaniach zasady, których sama nie łączy i nie daje

nam w żadnej: całości do przechowania! W powieściach tych nieraz wprawdzie napotkać możemy kartkę zdolności, nieraz postrzeżenie trafne, myśl własną; powieści te mogą nawet mieć swoją (i z więcej odznaczonych) publiczność; wszakże nie potrzeba, sądzimy, być zbyt wielkim prorokiem i matematykiem, aby porachować dni ich trwania".

Krytyki te, spowodowane „Kataleptykiem", o tyle oddziałały na Sztyrmera, że dał pokój jaskrawym objawom mistycznym i że poglądy swoje na stosunek rozumu do wiary zatrzymał dla siebie i zaczął poszukiwać nowej formy dla zużytkowania swoich pomysłów i dla okazania w dalszym ciągu, że nie jest „instrumentem jednostrunnym".

XIII.

Powieści feljetonowe.

(1847/8—1857).

Chciał Sztyrmer pokazać wbrew krytykom „Kataleptyka", którzy mu między innemi i nudne traktowanie rzeczy zarzucali, że potrafi napisać powieść zajmującą z wypadków życia zwykłego, ziemskiego wysnutą, a rozwiniętą lekko, bez dydaktyki. Jakoż w r. 1847 zaczęło wychodzić w „Tygodniku Petersburskim" opowiadanie jego p. n. „Światło i cienie", od pierwszego zaraz rozdziału interesujące, widocznie według wzorów francuskich, naówczas najpopularniejszych, pomyślane i na misternie zadzierzgniętej intrydze oparte. Opowiadanie to nie było ukończonem w rękopiśmie, kiedy się drukować zaczęło; i w tem nawet miało podobieństwo do feljetonowych romansów francuskich. Druk musiał być przerwany; autor widocznie nie miał dość swobodnego czasu do ukończenia swego dzieła; wydawca zaś naglił; potrzeba było jako-tako je zaokrąglić; lecz stało się to dopiero w r. 1848. Łatwo stąd wnieść, że obro-

bienie powieści nie jest równomierne. Rzecz cała składa się z trzech epizodów, ścisłemi datami opatrzonych, p. t. „Kutno 1805“, „Rozalin 1809“ i „Warszawa 1812“. Ktoby jednak z tych dat wnosił, że znajdzie w powieści obrazy czasów pruskich i Księstwa Warszawskiego, omyliłby się mocno; wypadki historyczne owej doby są wprawdzie wzmiankowane, niektóre, jak np. kampania r. 1809, nawet opowiedziane, lecz sucho, po kronikarsku; a zresztą służą jedynie za blado nakreślone tło, na którem występuje treść całkiem nie mająca cech dziejowych.

Z początku poznajemy Ludwika Rawicza, młodzieńca nadzwyczajnej piękności i silnych zasad moralnych, wesołego, dowcipnego i mającego szalone szczęście do kobiet. W Warszawie aktorka Włoszka z miłości dla niego otruła się i zapisała mu 20.000 „talerów“; on je atoli odrzucił i, ażeby się uwolnić od plotek i zapytań, usunął się na wieś; w drodze obecnością swoją przy grze starego Łaszcza sprawił, że ten odegrał się; ponieważ tymczasem dyliżans odjechał, musiał piechotą iść do Kutna, i tu dowcipem, konceptami, umiejętnem znalezieniem się, zawrócił głowę matadorom miasteczka, a szczególniej Kasi, córce burmistrza i 12-letniej Helenie Kostyńskiej, która pozostawała pod jego magnetycznym wpływem, chorowała, gdy go nie widziała, odzyskiwała zaś zdrowie w jego przytomności, a której on z amatorstwa dawał lekcye. Potem na długi czas Rawicz znika z powieści, bijąc się w Hiszpanii; na pierwszy plan wychodzi Ewa Łobzowska, młoda, lecz wcześnie rozwinięta stosunkami na pensyi i czytaniem romansów, bez zasad religijnych, samolubna kokietka, zręczna, dowcipna, energiczna, przebiegła i przewrotna, która chcąc postawić na swojem i wyjść wbrew woli rodziców za Walerego Prądnickiego, udaje chorobę, wiąże ze swą sprawą nikczemnego przechrztę, d-ra Notkiewicza, dostaje od niego opium i urządza wszystko do ucieczki z domu; ale nieprzewidziany wypadek psuje jej szyki. Walery, wyczekując przed domem na słocie i zimnie, widząc przez szklane drzwi, że w pokoju Ewy znajduje się polewka winna, którą dawała pomieszaną z opium matce i służącej, po-

ciągnięty niepokonanym apetytem, poskoczył, wypił spory haust polewki i wpadł w sen, zakończony śmiercią, gdy go Ewa dla tymczasowego ukrycia w kufrze zamknęła... Mając trupa w swoim pokoju, wezwała przewrotna kobieta swego młodziutkiego wielbiciela, Stanisława Łaszcza, by wyciągnął nieszczęśliwego kochanka z jej komnaty i pogrzebał. Zrobił to młodzian, ale stał się dla Ewy niewygodnym. Gdy tedy razu pewnego, wraz z kilku towarzyszami łowów, zabawiał się w karczmie, posłała mu butelkę wina z opium i karczmę następnie podpaliła. Wszyscy znajdujący się w oberży zgorzeli; Stanisław się atoli uratował, ale zabrany został przez wojsko austryackie, potem wszedł do legionów i podobnie jak Rawicz znika na długo w powieści. Ewa, przekonawszy się, że jej majątek równa się zeru, zgodziła się wyjść za wyżytego egoistę, hr. Olborskiego, eleganta, powtarzającego często swoje *piu!* dowcipnego, zepsutego, który zawiódłszy się w młodych latach we Francyi na gorącej miłości, traktował kobiety jako środek zabawy, nie wierząc w ich cnotę. Bohaterka chciała się poprawić, być dobrą żoną, starała się wynagrodzić krzywdy, dawniej poczynione; ale gdy niebawem mąż porzucił ją obojętnie i szukał rozrywek poza domem, zaczęła i ona praktykować miłostki, wznowiła przymierze z d-rem Notkiewiczem, który podmówiwszy niejakiego Kubę do zabicia przejezdnego szlachcica w Kutnie i przy podziale zdobyczy ukrzywdziwszy wspólnika, przeniósł się do Warszawy, wyrobił sobie liczną klientelę, wdał się w stosunki z fałszerzami monety francuskiej, w Berdyczowie robionej, a w Warszawie przez żydów w kurs puszczanej. Wówczas to zjawił się napowrót Ludwik i pociągnięty urokiem Ewy, pokochał ją, lecz wkrótce potem wrócił do Heleny Kostyńskiej i naraz odczuwał dwie miłości, nie wiedząc, która prawdziwsza i większa. Ostrzeżony przez Stanisława Łaszcza, z którym się w legionach zapoznał, zerwał z występną Ewą. Ta przygotowała zemstę; przy pomocy Notkiewicza i Kuby porwała Helenę i do jaskini zbójców i rabusiów na Solcu wpakowała, przyczem Łaszcz, stawający w obronie, o mało nie

zginął. Skruszony i żałujący Kuba dał możność Ludwikowi i Stanisławowi oswobodzenia Heleny, oni też wyjaśniwszy szkarady Ewy, spowodowali ją do otrucia się; Notkiewicz i Kuba zostali powieszeni.

Słowem, w powieści tej nie brak motywów sensacyjnych; nie brak też dowodów dowcipu i sprytu kombinacyjnego; ale brak wprawy w układzie, brak proporcyonalności w obrobieniu części, brak pogłębienia psychologicznego. Charaktery nie rozwijają się tutaj przed oczyma czytelnika, ale są już gotowe od razu; subtelności w ich analizie niema; pozostawienie zaś trupa w pokoju Ewy przez cały tom drugi i podanie wyjaśnienia, jak został sprzątnięty, dopiero w końcu powieści, jest wielką powieściopisarską niezręcznością. Akcya postępuje żywo; wypadki są dość zajmujące; ale kompozycya wadliwa; a prawdopodobieństwo wśród naszych stosunków niezbyt wielkie. Postaci poczciwe (stryjostwo Rawicza, matka Heleny, Łukasz Łaszcz i jego żona) są małoznaczące, albo krótko zbywane, niekiedy kreślone rysami, zapożyczonemi od Henryka Rzewuskiego; złe zaś (Ewa, Notkiewicz) — szeroko i szczegółowo traktowane. Niektóre między niemi rozmowy są wyborne, ale wydają się z romansów francuskich wziętemi, a w każdym razie nie z obserwacyi.

Tendencya utworu jest w gruncie taż sama, jaką Sztyrmer w kilku poprzednich powieściach przeprowadzał, t. j. zwrócenie myśli i uczuć na drogę religijną — ale środki tu są inne. Nie przez potępianie rozumu, lecz przez wykazanie, że namiętność, puszczona samopas i zasadami religijnemi nie krępowana, ciągnie za sobą grzech po grzechu i wikła w sieć zbrodni, dowodzi autor potrzeby religii. Religia ta, jak dawniej tak i tu, przedstawiona głównie ze strony formalnej; łączy się z nią wiara w przeczucia, we wpływy magnetyzmu duchowego, w znachorów. Jakkolwiek autor chwali, na podobieństwo Rzewuskiego i Grabowskiego, karność rodziny staropolskiej i wątpi o znaczeniu nauki pod względem moralności, uznaje przecież potrzebę wiedzy w wychowaniu, a i kobietom zaleca dość obszerny za-

kres wiadomości, nabywanych w sposób praktyczny, okazowy, w rozmowach. Rewolucyę francuską potępia bezwzględnie, a niedowiarstwo i filozofizm niżej stawia od wiary w gusła i baśnie. Opowiadając np. facecye Ludwika o gryfach, nie znoszących jaj, które miał chować na dworze swoim Radziwiłł Panie Kochanku, dodaje prawie zupełnie tak, jakby to zrobił Henryk Rzewuski: „wolę domysły o gryfach, niż gładkie i uczone rozprawy w salonach warszawskich, gdzie roztrząsają, czy dusza istotnie nieśmiertelna, albo czy potrzeba modlić się do Boga, kiedy Bóg wie wszystkie nasze myśli i potrzeby, gdzie się natrząsają z wiary i kapłanów, z najświętszych uczuć i najpierwszych obowiązków społecznych“ („Światło i cienie“, t. I, str. 94).

Powieść ta nie miała wielkiego rozgłosu, jakkolwiek była zapewne czytana więcej aniżeli poprzednie, a zwłaszcza „Kataleptyk“; krytyka zachowała się względem niej dość obojętnie; obszerniejsza recenzya pojawiła się tylko w „Bibliotece Warszawskiej“ (1849, t. IV, 590—604), gdzie Jan Ryszard Szymański, oddawszy wielkie pochwały części 1-ej, potępił dwie dalsze i powiedział: „Dziwimy się i ubolewamy, że tyle zasobów talentu zmarnowano na tak szkaradne opisy, a dziwimy się jeszcze więcej tej cierpliwości, z jaką anatomista rozbiera zgniłego i zaraźliwego trupa i pokazuje go widzom wówczas, kiedy ten w ohydzie powinien na zawsze pozostać w głębi ziemi ukrytym“.

Przez lat dziewięć po ogłoszeniu „Światła i cieni“ Sztyrmer milczał, oddany zapewne całkowicie obowiązkom swego stanu i wychowaniu dorastających dzieci: dwu synów i dwu córek. Przeszły wielkie wypadki europejskie: rewolucya lutowa, wojna krymska i kończący ją pokój paryski. Z nowem panowaniem cesarza Aleksandra II. ożywiły się w Petersburgu i w Rosyi wogóle dyskusye o wielkich zadaniach społecznych. Jakie wobec tego ruchu zachował stanowisko Sztyrmer, nie wiadomo. Jeden z ówczesnych studentów uniwersytetu petersburskiego, Adam Niemirowski, w nekrologu („Kurjer Warszaw-

ski", 1886, Nr. 160 *b*) zapewnia, że Sztyrmer „z młodzieżą uniwersytecką w Petersburgu chętnie przestawał, a jako encyklopedya żywa dawnej epoki przez wszystkich był widziany życzliwie". Z wydawcą „Tygodnika Petersburskiego", Przecławskim, zachowywał niewątpliwie Sztyrmer stosunki dawniejsze, ale do jego czasopisma, coraz nędzniejszego pod względem literackim, artykułów swoich zgoła nie dawał. Dopiero na wezwanie redakcyi warszawskiej „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych", uwydatniającej swoje stanowisko katolickie, przygotował dla niej ostatni swój utwór polski: „Noc bezsenna" (w trzech tomach), który się zaczął w tem piśmie drukować pod koniec roku 1857, a przeciągnął przez znaczną część następnego.

Wpływ czasu odbił się na tym utworze dodatnio w nastroju. Poprzednio Sztyrmer głosił teoretycznie ciągle potrzebę uczucia, ale w samych utworach zazwyczaj widniała wielka oschłość serca. Wzruszenia rodzicielskie, oddalenie od kraju, może nieznane nam bliżej jakieś stosunki oddziałały na chłodne jego usposobienie, stępiły ostrze sarkazmu, wszczepiły nieco łagodności, a nawet rzewności w jego serce. W „Nocy bezsennej" Sztyrmer kocha Mazowsze, ciągle o niem mówi, troszczy się o nie, więc też nietylko cnoty, ale wady jego wystawia, mianowicie: gadulstwo, zaciętość, nużenie się pracą umysłową, brak wytrwałości, miękkość charakterów. Ceni zdrowy rozsądek chłopa Mazura; dlatego w rozmyślaniach swoich często szuka światła u swego lokaja Jacka, który widzi rozum przedewszystkiem w sile, uczy go zaś wielkiej cnoty wyrozumiałości, gdy bal u pana referendarza spać im nie dawał. „Ludzie na Mazowszu — powiada — mają tak dziwną naturę, że albo nogi, albo ręce, albo żołądek, albo jakaś inna część ciała zawsze głowie przeszkadza i dlatego najmniej myślą o najważniejszych przedmiotach. Może to samo się dzieje i gdzieindziej; ale wszystkie inne prowincye, narody i państwa mało mnie obchodzą. Życzę im szczęścia i o nic się nie troszczę. Serce rwie się do swoich i umysł marzy tylko o ich pomyślności...

Na naszej biednej ziemi jedna tylko miłość wszystko wzajemnie zbliża, łączy i skupia; bez niej wszystkoby się rozprzęgło i rozpadło“ („Noc bezsenna“, I, 34, 30). „Przyrodzenie — mówi gdzieindziej (I, 170) — skrapia tę ziemię deszczami mądrości, tylko że jej nikt nie chce łapać i pozwala spadać na piaski i płaszczyzny bez użytku. Przy takiej tężyznie, ileby tam rodziło się rozumu, żeby pługiem pracy i cierpliwości dobrze mózgi zaorać, a od kąkolu wschody starannie oczyszczać“.

Z lekka drwi sobie Sztyrmer i z klasycyzmu i z romantyzmu; ale najczęściej szydzi z rozpowszechnionych złych powieści, które zastępowały wtenczas prawie wszelką inną lekturę. Pragnąłby widzieć w literaturze więcej rozumu i trzeźwości, gdy tymczasem czytać owoczesną powieść, znaczyło to „patrzeć na jakieś przygody wymyślone, zaplątane, dziwaczne, na jakieś brednie niezdrowego mózgu, albo dyabelską komedyę“ (I, 57). „Kto czyta powieść — prawi dalej — ten oczywiście śpi, tylko nie zamykając powiek... We śnie można widzieć rozmaite niedorzeczności i w powieści także, z tą jednak różnicą, że znaczenie snów tłómaczą senniki i stare baby, a znaczenia powieści częstokroć nikt w świecie nie zdoła objaśnić, nie wyłączając i autora. Po przebudzeniu się z naturalnego snu, tylko prostak wierzy w to, co mu się śniło, i stosuje do tego swoje czynności na jawie; po przeczytaniu zaś powieści, ludzie oświeceni wierzą nieraz na ślepo bredniom autorskiego mózgu i nietylko sami wykrzywiają do nich poczciwą swoją naturę, lecz jeszcze rozszerzają zarazę w towarzystwie. Z tego względu, dla osób, które nie są pewne siebie, daleko bezpieczniej byłoby spać dłużej snem naturalnym, a sen powieściowy do kaduka porzucić. Mówię: bezpieczniej: bo od najmocniejszego nawet naturalnego spania, z towarzyszeniem silnego chrapu, człowiek przecie nie traci zdrowego rozsądku...“ (I, 58—60).

Od krytyki powieści przechodzi Sztyrmer do krytyki naszych powieściopisarzy, i powiedziawszy, że tylko na grobach

ludzi rozumnych ukazują się „ogniki“, pyta drwiąco: „Czy jest chociaż jeden autor, wyjąwszy tych, nad których mogiłami żadne światełka nigdy nie zabłysną, coby z zupełną przytomnością umysłu, z wewnętrznem przeświadczeniem i z dobrej woli pisał powieść?“ — i odpowiada: „wątpię“. Nasi pisarze, zdaniem jego, skądinąd zacni i pełni moralności, chorują od czasu do czasu na rozum, wtedy są lekkomyślni, zarozumiali i uparci. Chory „sypie na papier słowa i peryody, ani na chwilę nie pomyślawszy, jakie z nich mogą wyniknąć następstwa. Co mu tam! On słucha jakiegoś natchnienia, *dba jedynie o artyzm,* pożąda tylko rozgłosu, oklasków i sławy. On musi koniecznie wyrzucić z głowy wszystkie ogniste szmermele, zebrane tam działaniem choroby, chociażby od nich miało się spiec na węgiel tysiące mózgów. On wreszcie w swoim chorobliwym stanie uważa publiczność za jakiś szpital, w którym wszyscy potrzebują jego pomocy, i sam będąc w gorączce, przepisuje drugim lekarstwa, a tak jest pewien ich skutku, że każdego, co się poważy ostrzedz go o własnej słabości lub podać mu zdrową radę, każdego, kto nie pochwala jego utworu, uważa za zazdrośnika i osobistego nieprzyjaciela“ (I, 68—70). A uderzając w nadmiar pochwał, jakiemi się wtedy wzajem w literaturze warszawskiej darzono, ostrzega bardzo słusznie, że talenta, nawet istotne, takiem przesadnem wielbieniem się psują. „Dotąd — powiada — macie tylko wielką żądzę ruchu i działalności, ale płodów tej żądzy nie widać“ (I, 212). Czemuż? „O, najmędrsi przyjaciele moi! — woła — nie wątpię o tem, że między wami na Mazowszu znalazłoby się sto takich geniuszów, gdybyście zawcześnie nie obrażali ich skromności, pokazując palcem na każde dziecko w pieluchach, z którego ma wyrosnąć geniusz! Przez to wiele jasnych meteorów, coby unieśmiertelnili swoje imię i wsławili Mazowsze, już w kolebce traci jedną klepkę z głowy. Drudzy przez naszą gorącą admiracyę i rozgłaszanie ich mądrości marnieją w szkołach, zasypiają na laurach pierwszej ballady, chorują na przesyt sławy po pierwszej

broszurze. Jeden geniusz po drugim kark sobie łamie, spadając w przepaść miłego próżniactwa, a wszystko to przez winę waszych długich języków, przez nieskromność, przez waszą zapalczywą pasyę do trąbienia. Każdego autora otaczano u nas szacunkiem tak, jak w innych krajach — kretynów“ (I, 72, 82).

W tych słusznych zresztą utyskiwaniach na zbyteczne pochwały, któremi otaczano „każdego“ autora, można odczuć trochę goryczy miłości własnej, że i Sztyrmera obsypywano niegdyś panegirycznemi epitetami, a potem skrytykowano ostro i zapomniano. Na ten domysł naprowadzają dalekie alluzye do zarzutów, robionych sobie co do lekceważenia rozumu. „Nigdy — powiada — nie byłem zwolennikiem krzyków i sarkazmów na rozum, powtarzających się u nas dość często, a zwykle bez gruntownego na jego naturę poglądu“; widział on tylko jego granice i stosunkowość (I, 90). Obok siły rozumu, „ograniczonej, z natury śmiałej i niesfornej“, uznawał drugą siłę, „nieograniczoną, z natury skromną, lecz potężną“, t. j. serce; wolę zaś „swobodną“ poczytywał za regulatora obu potęg, utrzymującego między niemi równowagę lub przechylającego szalę na którąkolwiekbądź stronę. Wnioski z rozmyślań swoich nad niedołęstwem ludzkiem streszcza w wierszykach: „Siedzi sobie duch potężny, W ludzkiej skórze niedołężny; Rano wrzeszczy — dokazuje, Wieczór wzdycha — lamentuje!“ i dodaje, drwiąc sam z tych wyrobów wierszowych: „Niepodobna żądać większej zwięzłości. Na świętem miejscu nawet, w Częstochowie, nikt lepiej nie powie“ (I, 151).

Streszczone powyżej uwagi zajmują większą część pierwszego tomu „Nocy bezsennej“; przy końcu dopiero autor przechodzi do właściwego wątku, do podania spostrzeżeń o najlepszym sposobie urządzenia życia. Ażeby dobrać sobie towarzystwo, któreby i bawiło i uczyło, któreby serce, rozum, wyobraźnię i wolę utrzymywało w niejakiej równowadze, doradza wziąć pewną liczbę: a) zacnych niewiast, b) rozumnych

pantoflów, c) najdowcipniejszych na Mazowszu paliwodów, i d) *ci-devant* mądrych waryatów. Dwa dalsze tomy zawierają sprawdzenie skuteczności tej recepty, ale tylko w uznaniu samego autora. Następują zatem cztery powiastki, rozpoczynając od „Waryata“. Przedstawicielem tej kategoryi ludzi jest marszałek dworu Frenofagiusza, który uciekł z Warszawy, gdy mu zaczęto przynosić przewrócone powieściami mózgi. Marszałek opowiada Pantoflowi po długim wstępie o grzeczności i Frenofagiuszu, historyę serca niewieściego, Maryni, złamanego niewiernością męża. Sama ta historya, prócz paru dowcipnych rozmów, nie zawiera w sobie nic ciekawego; uwagi tylko nad pozorami wielkiego świata, nad uczuciami Alfreda i Maryni, rozpatrywanemi pod „mikroskopem“, nad zależnością uczuć od okoliczności zewnętrznych, mają pewną, choć niezbyt wielką wagę psychologiczną. Druga powiastka o „Paliwodzie“ Tarabankiewiczu, starym facecyoniście, formującym dywizyę pancerników dla negusa abisyńskiego, pokonywającym batalion krokodylów, żeniącym się z syreną, jeżdżącym na księżyc, mogła się podobać tylko bardzo młodym umysłom; w gruncie rzeczy jest forsowną próbą ubogiej fantazyi wymyślenia łgarstw dowcipnych na wzór Radziwiłła Panie Kochanku. Trzecia powieść: „Ewa“, przedstawiająca poświęcenie dwu serc niewieścich, Olesi i Julki, które się pokochały w ułanie Michale, jest najpiękniejszą; trudno tylko odgadnąć, dlaczego Julka wykształcona, wyższa umysłem, wyszedłszy za eks-profesora literatury bez miłości, ale przywiązawszy się do niego, zaniedbała nauki i talenta, roztyła się i zajęła wyłącznie gospodarstwem i wychowaniem dzieci, gdy Olesia, mniej wykształcona i zdolna, wyszedłszy za mąż za kochanego, ale wkrótce ją zaniedbującego, kształciła się, czytała i stała się najprzyjemniejszą w towarzystwie niewiastą. Należy chyba przypuścić, czego autor sam nie robi, że jedna nie potrzebowała już męża zdobywać umysłem, a druga pragnęła wykształceniem przytrzymać wymykającego się; ale skutek usiłowań Olesi przeczyłby takiemu przypuszczeniu. Obok tych

dwu głównych postaci, ładnie są skreślone dwie poboczne: marszałkowej i jej brata. Co do obrobienia, z początku dobre są rozmowy, mianowicie spotkanie się w karczmie; potem relacya mniej udatna. Czwarta wreszcie powieść: „Pantofel“, zapoznaje nas z niezdecydowanym, ale rozumnym panem Jakóbem, który opowiada historyę dwu przyjaciół: Bolesława (karmazyna) i Kazimierza (szaraczka), jako dowód poczucia godności moralnej. Przyjaciele wiedli z sobą ciągłe spory o znaczeniu magnatów i szlachty. Autor nie wyjawia wyraźnie zdania swego w tej mierze; pragnąłby, zdaje się, zobopólnej zgody; argumenty jednak szaraczka czyni silniejszemi. Bolesław pokochał się w narzeczonej Kazimierza; na zapytanie tegoż wyparł się, ale czynem dowiódł, że w sercu miał miłość. Spoliczkowany, miał się pojedynkować, ale brat jego kanonik wymógł na nim, że zaniechał tej myśli i przeprosił Kazimierza. Ten, wyzwany przez stryja Bolesława dla honoru rodu, nie chciał strzelać w przeciwnika i pozyskał jego uznanie. Bolesław poszedł na wojnę do Grecyi; potem obaj z Kazimierzem w rewolucyi polskiej się odznaczyli. Na placu boju Kazimierz, z obciętemi nogami, uznał szlachetne postępowanie swego przyjaciela i prosił go, żeby Zofii szczęście zapewnił, co się też stało. Właściwie w powiastce tej nie obrazy życia towarzyskiego, lecz rozprawy Bolesława i Kazimierza są zajmujące, oraz postać Wysokomirskiego, odzwyczajonego od klęcia w dyabłów przez zastąpienie go klątwą: *per ossa defunctorum.*

Ten zbiór rozpraw i opowiadań, ożywionych niewątpliwie rozumnemi myślami i serdeczniejszem, niż kiedybądź, uczuciem, zakończył Sztyrmer surową, lecz niezbyt świetnie przeprowadzoną szykaną krytyki warszawskiej. Powtarzając tu swoje dawniejsze zdanie, że w literaturze naszej niema żadnej dyskusyi, bo każdy tylko objawia swoje zdanie i w żadne inne nie wierzy; przytacza szereg najsprzeczniejszych i najniedorzeczniejszych opinij, jakie areopag krytyczny o „Nocy bezsennej“ niby wygłosił. Sekretarz tego areopagu mieszkał

w kurniku, ażeby przywykłszy do wyróżniania głosu kur, mógł bez omyłki notować zdania sędziów krytycznych, którzy wszyscy razem mówili...

* * *

Z ogłoszeniem „Nocy bezsennej“ w książkowej formie roku 1859 i z powtórnem wydaniem „Powieści nieboszczyka Pantofla“ roku 1860 skończył się udział Sztyrmera w literaturze polskiej. Żył jeszcze potem lat przeszło 26, ale żadnym już artykułem, żadną powiastką nie przypomniał się publiczności naszej, która też o nim powoli zapominać poczęła; zagadnienia bowiem żywotniejsze, niż te, które on niegdyś obrabiał, zajęły jej uwagę.

W literaturze rosyjskiej natomiast w tym właśnie przeciągu czasu pojawiły się dwie prace Sztyrmera. Jedna z nich była owocem studyów jego dawniejszych z lat 1838—1847, zawierała historyę wojskową starożytną, oraz opis wojen śląskich i siedmioletniej, i stanowiła część „Historyi powszechnej wojen“, wydanej w roku 1872 i 1873 przez księcia Mikołaja Golicyna, niegdyś profesora w Akademii wojskowej w Petersburgu. Druga zaś, wynikająca również ze studyów nad wojskowością starożytną, wyszła oddzielnie w r. 1876 w Petersburgu pod tyt.: „Rzym do czasów i w dobie Juliusza Cezara, zarys wojskowo-historyczny“. Krytyka rosyjska przyjęła prace te przychylnie, lecz nie zastanawiała się nad szczegółowym ich rozbiorem; fachowe wiadomości, zawarte w nich, uznała za zupełnie trafne, jako popularyzujące wyniki badań obcych, filozoficzną zaś ich stronę (mianowicie „Rzymu“) — za słabszą.

Od tego czasu, przez dziesięć ostatnich lat życia, nic już Sztyrmer nie drukował. Jako generał-lejtnant sztabu generalnego, zmarł on w Petersburgu w dniu 4-tym czerwca 1886 roku.

Przypominając go pamięci naszego społeczeństwa, sądzimy, żeśmy spełnili obowiązek, jaki ciążył na literaturze krytycznej, by znaczenie jego właściwe w niej oznaczyć, a przytem dać poznać człowieka na podstawie materyałów, jakie rzadko służą do rozświetlenia życia autorów naszych, a za których dostarczenie wyrażamy tu wdzięczność pozostałej wdowie, pani Eleonorze Sztyrmerowej.

1890.

III.

IGNACY MACIEJOWSKI

(SEWER).

Do dziś dnia pamiętam doskonale to silne wrażenie, jakie na mnie wywarły w r. 1875 drukowane w jednem z czasopism „Szkice z Anglii“, podznaczone króciutkim pseudonimem: Sewer. O osobie piszącego nie wiedziałem nic, bo nazwisko jego rzeczywiste (Ignacy Maciejowski) przez czas długi mało komu było znane; ale mnie zastanowiła niepospolita bystrość spostrzeżeń, nowość kreślonych sytuacyj, żywość nadzwyczajna i oryginalność iskrzącego się dowcipem stylu.

Niebawem potem, pod koniec tegoż roku, czytałem w „Niwie“ list Sewera, pisany z Londynu o smutnym stanie naszych większych gospodarstw wiejskich, odznaczający się trzeźwością poglądów i gruntowną znajomością przedmiotu. Wykazywał tu trudności prowadzenia wielkich gospodarstw w czasach dzisiejszych i dowodził potrzeby nieodzownej ich parcelacyi. Redakcya „Niwy“ nie podzielała wprawdzie przekonania swego korespondenta o zbawienności proponowanego przezeń środka, lecz uznając doniosłość kwestyj, w liście jego poruszonych, zamieściła go w swych łamach i wezwała właścicieli ziemskich do zabrania głosu. Popłynęły liczne artykuły „w sprawie upadających posiadłości ziemskich“, artykuły, które przez dwa z górą lata nader żywo interesowały wszystkich zajmujących się tak doniosłą sprawą i wywołały dużo broszur i dzieł, dużo projektów i sporów. Sewer mógł być dumnym, że list jego nietylko nie przeszedł bez echa, ale stał się punktem wyjścia dla

tak ożywionej i w dobre wyniki nie płonnej dyskusyi. A trzeba wiedzieć, że nie pisał on owego listu jako publicysta tylko, którego zabolało dotkliwe położenie ziemiaństwa, lecz także jako wykwalifikowany agronom, co już w roku 1858 napisał i wydrukował książkę „O plantacyach buraków“, a potem miał możność przypatrzenia się gospodarce w różnych krajach europejskich.

W roku 1876 z jednej jeszcze nowej strony przedstawił się talent Sewera. Na ówczesnym konkursie dramatycznym w Warszawie komedya jego p. t. „Pojedynek szlachetnych“ otrzymała nagrodę, była przedstawiona na scenie i doznała powodzenia; wszyscy podziwiali w niej świeżość motywów.

Pod dobrą więc wróżbą wystąpił Sewer na widowni literackiej. A jednak po chwilowym rozgłosie nastąpiło długotrwałe o nim milczenie, tak że wciąż na nowo niejako musiał sobie zdobywać uznanie. I dlaczego?

Najprzód zapewne dlatego, że pisma, w których zrazu pomieszczał swe utwory, nie miały zazwyczaj wielkiej liczby prenumeratorów, a stąd poszło, że utwory te ze szpalt czasopiśmienniczych rzadko kiedy przechodziły w format książkowy. I kiedy bez porównania niższe, a czasem nawet liche zdolności, drukując swe wyroby w pismach poczytnych, znajdowały nabywców na ich przedruki, najlepsze rzeczy Sewera do chwili jeszcze obecnej spoczywają w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach, do których jedynie bibliograf zagląda.

Drugim zaś powodem zaznaczonego milczenia było to, że w tych rodzajach literackich, które Sewerowi dały rozgłos, nie pracował on wytrwale, przechodząc natomiast do innych dziedzin. „Szkice z Anglii“ stoją odosobnione, po „Pojedynku szlachetnych“ w długich dopiero odstępach czasu pojawiły się „Zabiegi“ i „Marszałek powiatowy“; w publicystyce wyjątkowo tylko autor brał udział. Wobec tego zaniedbywania jednych, a wytwarzania sobie innych form twórczości trudno było pochwycić istotną fizyognomię duchową Sewera i złączyć z nią jakąś jednolitą, łatwo wyrazić się dającą cechę.

A i to wreszcie nie pozostało bez wpływu na małą rozgłośność Sewera względnie do jego talentu, że od początku zawodu swego okazywał zawsze jawnie swe przekonania postępowo-demokratyczne, co w Galicyi, gdzie przebywa, za dobrą rekomendacyę nie służy, gdyż przemaga tam stronnictwo zachowawcze, rozdające do woli dyplomy wielkości.

Słuszność wymaga, by to zaniedbanie naprawić i rozpatrzyć się bezstronnie w dotychczasowej działalności autora „Zyzmy“ i „Nafty“.

Można w niej rozróżnić trzy fazy, z których pierwszą nazwiemy — egzotyczną, drugą — ludową, a trzecią — społeczną.

I.

Pobyt w Anglii, spostrzeżenia tam porobione i porównania, jakie się nasuwały ze stosunkami krajowemi, były dla Sewera pierwszą pobudką, by swój talent zużytkować w kierunku belletrystycznym. Świeżość i obfitość wrażeń, wynikająca z potężnie, a oryginalnie rozwiniętego życia społecznego, z rażącego kontrastu bogactwa i nędzy, z zestawienia właściwości narodowych ujemnych i dodatnich, tak przepełniła umysł ciekawego i żądnego nauki spostrzegacza, że musiał się niemi podzielić z ogółem czytającym, dla którego mogły się one stać pożytecznemi napomnieniami czy wskazówkami.

Książek, przedstawiających nam Anglię, poczynając od 3-tomowego dzieła Krystyna Lacha Szyrmy (Warszawa 1828), nie brakło naszej literaturze; a jednak „Szkice z Anglii“ Sewera, głównie w r. 1875 pisane, ale w całości i w książkowej odbitce wydane dopiero w 1882, wyróżniły się bardzo wybitnie z pośród wszystkich dawniejszych i współczesnych, i to zarówno pod względem formy, jak i treści, gdyż były naprawdę oryginalne.

Co do stylu, nie znam w piśmiennictwie naszem drugiej książki podróżniczej, któraby żywością, niespodziewanemi zwrotami, subtelnym dowcipem dorównywała dziełku Sewera. Można powiedzieć, że tu zdania sypią się i błyszczą, jak iskry fajerwerkowe, których powstawanie i znikanie ledwie dostrzedz się daje, tak szybko po sobie następują, tak się przenikają nawzajem. Zamiłowanie w krótkich, dobitnych lub delikatnych frazesach nigdy już później tak świetnie się u Sewera nie uwydatniło, jak w „Szkicach". Ten zwięzły a jednak powabny sposób pisania ma własność podbudzania myśli i zapładniania wyobraźni czytelnika, któremu autor nie wykłada wszystkiego szeroko, lecz napomyka tylko, pozostawiając jemu samemu rozsnucie i dopełnienie podanego wątku. Ci, co przywykli do długich okresów, do szczegółowych określeń, do odejmowania czytelnikowi wszelkiego niemal wysiłku myślenia, może nie będą smakowali w ucinkowym stylu Sewera; dla mnie atoli, który się niejednokrotnie nudziłem nad obszernemi dziełami belletrystycznemi, co to nader szczupłą dają karm dla ducha, styl ten, choćby go kto skaczącym nazwał, ma powab niemały i on to najprzód zwrócił uwagę na świeżego pisarza. Sewer nie sili się na obrazowość, ale ona sama bardzo często ciśnie mu się pod pióro i wtedy ma urok niespodzianki nader miłej; nie goni też za dowcipem, lecz on sam mu się nasuwa, a wtedy podoba się najbardziej.

„Szkice" swoje kreślił Sewer lekko, swobodnie, polotnie, wiedząc o tem, że u nas czytelników, którzyby nie ziewali nad szerokiemi wywodami i cyframi, jest, niestety, bardzo mało; pisał feljetonowo, ażeby w tej ponętnej formie wypowiedzieć rzeczy nietylko ciekawe, ale ważne i nauczające. Bo umysł jego bynajmniej feljetonowym nie był; wchłonął on doświadczeń mnóstwo, odnoszących się do wszystkich główniejszych dziedzin życia społecznego i na seryo je rozpatrywał i rozważał. Nie pierwsze lepsze wrażenie notował w swych „Szkicach", lecz się dobrze zastanawiał nad ich wyborem, by przedstawić współziomkom swoim te strony życia angielskiego, które

mniej im są znane, lub położyć nacisk na takie cechy charakteru, których brak naszemu społeczeństwu. Spostrzeżenia bowiem swoje robił nie jako młodzieniec niedoświadczony, lecz jako mąż dojrzały, który zebrał już duży zapas obserwacyj, by z niemi nowe porównywać i wnioski z pewnym zamiarem wyciągać.

To, co nam ze społeczeństwa angielskiego w „Szkicach“ swoich Sewer ukazał, stanowi niewątpliwie drobną tylko cząstkę ogólnej sumy objawów życia, lecz się odznacza pochwyceniem najwydatniejszych i najoryginalniejszych stron jego. Czy to kreśli nam sposób świętowania niedzieli i szerzenia prawd ewangelicznych przez rozmaite sekty; czy wgląda w życie rodzinne, wykrywając różnorodne sprężyny, wprawiające w ruch umysły, serca i charaktery mężczyzn i kobiet; czy zajmuje się odmalowaniem zebrań niewieścich celem rozpowszechnienia oświaty, lub też rywalizacyę pomiędzy temi, co hodują lub topią „biedne kotaszki“; czy kreśli stręczycieli małżeństw i pieniaczy, lub obrazki z życia robotników, albo szczegóły z handlu towarami w dalekich koloniach; czy wreszcie daje przykład zabiegów o wybór do parlamentu; jednem słowem, czy przedstawia złe, dobre, czy obojętne sceny: zawsze uwydatnia tę siłę charakteru, tę wytrwałość, tę pracę niezmordowaną, jaka odznacza zarówno ubogich, jak bogatych, a która cenić się każe nawet tam, gdzie popada w dziwactwo i ekscentryczność. Dla społeczności zwłaszcza, skłonnej do zapału chwilowego, ale nie do wytrwałej pracy, takie wizerunki z życia praktycznego narodu są w wysokim stopniu nauczające i krzepiące.

Jedną z tych właściwości Anglików obrał Sewer za temat swej 4-aktowej komedyi: „Pojedynek szlachetnych“ (Warszawa 1876), jakby chciał okazać obrazowo różnicę pomiędzy naszą arystokracyą a angielską.

Arystokracya angielska nie ustępuje ze swego stanowiska, lecz chętnie garnie ku sobie plebejuszów, stara się odświeżyć swe szeregi nowemi siłami. Oto bogata i utytułowana Lidya pokochała ubogiego, ale utalentowanego Juliusza. Ukrywa się

z tą miłością przed swoimi opiekunami, może w części przez zamiłowanie w tajemnicy, a w części przez bojaźń oporu. Autor bardzo długo utrzymuje widza w przekonaniu, że ci opiekunowie (lordowie Harvey i Burghley) starają się istotnie o zerwanie stosunku tego, więżą bowiem Juliusza; a gdy Lidya go uwalnia, chroniąc się z nim na baszcie, oblegają tę basztę i do poddania się zmuszają. Już się wytwarza w fantazyi widza ponury obraz przemocy możnych nad słabymi, już gotów złorzeczyć takiemu układowi stosunków, gdy się naraz przeświadcza, że wszystkie zabiegi szlachetnych lordów dążyły do tego, ażeby się przekonać, czy Juliusz jest rzeczywiście zdolnym i dzielnym człowiekiem, ażeby mu następnie wyrobić tytuł lordowski i połączyć z pupilką.

Zapewne środki, jakich się lordowie chwytają, są płodem raczej fantazyi romantycznej, niż obrazem zwykłych stosunków realnych; niewątpliwie takie porwanie i więzienie młodzieńca dla zabezpieczenia jego osoby i ściągnięcia informacyi, wyjątkowo się tylko zdarzyć mogło. Wogóle można powiedzieć nawet, że autor igrał sobie trochę z tworami swej wyobraźni i niezupełnie na seryo traktował wszystkie prawie sceny, wprowadzając do komedyi „humor“ prawdziwie angielski. Mimo to zapomina się niemal o wątłych zadziergach osnowy głównej, widząc przed sobą całą galeryę „indywidualności“, którym tę zaletę w pełni przyznać można, indywidualności, mających swoje poglądy, swoje wyrażenia, a od pana do sługi przepełnionych poczuciem siły i znaczenia we właściwym sobie zakresie. Niższe mianowicie stanowiskiem swojem w sztuce figury świetnie zostały scharakteryzowane: i para małżeńska (Bull i Peggy) i sekretarz lorda Burghley, i bibliotekarz lorda Harvey, a zwłaszcza ten dozorca więzienia, ten szczątek czasów feudalnych, ten wyborny Pocock, tak znakomicie odtworzony u nas na scenie przez p. Rapackiego.

Doskonałą komedya ta nie jest; zanadto może grubemi rysami nakreślone są postacie, zanadto może mało rachował się autor z rzeczywistością w układzie całości, lubo szczegóły

wszystkie traktował realistycznie; ale bądź co bądź jest to komedya ładna, wesoła, w której bez brudów społecznych całkowicie się obeszło, a humor pogodny panuje od początku do końca. Walc, śpiewany przez Lidyę, nabył pewnego stopnia popularności: dorobiono do niego nuty (Warszawa 1877).

Po przedstawieniu „Pojedynku szlachetnych“ w teatrze krakowskim (listopad 1876 r.), Stanisław Koźmian, wytrawny znawca teatru, pisujący naówczas do „Gazety Polskiej“ w Warszawie swoje znamienne listy, rozszerzył się o tej sztuce nadzwyczaj sympatycznie aż w dwu wielkich feljetonach, a wykazując jej piękności z zapałem, zaznaczał drobne zaledwie usterki i mówił między innemi:

„Komedyę... otacza jakaś niezwykła atmosfera zdrowego, orzeźwiającego powietrza, a nietylko niezwykła dlatego, że wyłącznie i nawskroś angielska, ale dlatego także, że przezroczystością i czystością swoją odmienną jest zupełnie od tej, którą wytwarzają wokoło nas teatra i literatura dramatyczna. Powiedziećby można, że Pojedynek Szlachetnych, pod względem ducha i treści, jest antypodem nowoczesnego teatru; a co dziwne a zarazem przyjemne, oto że idealizm tej komedyi, wprost przeciwny dzisiejszemu realizmowi, ma przecie w sobie angielską praktyczność i to ziarnko zdrowego rozumu, którym się naród angielski odznacza.

„Znajomość dokładna stosunków, obyczajów, zwyczajów angielskich w najdelikatniejszych odcieniach jest tu zdumiewającą, powiem nawet odurzającą. Najwyższą, najpierwszą zaletą tego utworu jest, że pozostaje od początku do końca wiernym subtelnemu tytułowi swojemu. Ciągle i wszędzie, u wyższych i u niższych, szlachetność jest tu głównym motywem dramatycznym, główną sprężyną działania; istny to pojedynek między najdelikatniejszemi uczuciami ludzi z sercem, rozumem i sumieniem, a widz obawia się wciąż, czy ta obustronna szlachetność odniesie zwycięstwo w takiej epoce jak nasza. Oto prawdziwy interes sztuki, oto co przywiązuje do niej jeszcze więcej może jak te wytworne postacie, które się w niej ukazują.

„Aby ta szlachetność z pozorami prawdopodobieństwa zwyciężyła, trzeba było przenieść działanie za morze, do tej starej Anglii, w której siła tradycyi — i tam już gasnącej — dozwala jeszcze w niejednym zakątku pielęgnować szlachetność uczuć, nadaje hart i męskość tak wewnętrznemu jak zewnętrznemu działaniu społeczeństwa, które unikając starannie zbyt gdzieindziej spospolitowanego pojedynku, zachowało przecież obyczaj wspaniałych turniejów moralnych, podnoszących zacność i godność społeczeństwa.

„Nie rozumiem, jak tego kroju i znaczenia komedya uchodzić mogła, przed jej ukazaniem się na scenie, za farsę; ma ona nietylko wszystkie znamiona, ale *samą duszę wyższej, w całem tego słowa znaczeniu, komedyi;* bo wchodzą tu w grę na przemian, najdelikatniejsze i najwznioślejsze uczucia, bo występują najszlachetniejsze, tak pod względem wewnętrznym jak i zewnętrznym, postacie. Niema tu nic tego, co stanowi farsę, bo niema nic poziomego, nic rubasznego, nic jaskrawego, bo, słowem, niema nic, coby pobudzało do pospolitego, a jest wszystko, co wzniecać może szlachetny śmiech...

„Wobec moralnego upadku dzisiejszego, wobec zacierającego się, pod wpływem materyalizmu, uczucia honoru, delikatności moralnej, a nawet delikatności w obejściu, jest to komedya, *która podnosi godność człowieczeństwa*".

Na scenie warszawskiej „Pojedynek szlachetnych" nie miał wielkiego powodzenia, pomimo że lorda Harvey grał Żółkowski, który czuł się widocznie skrępowanym godnością lordowską i trzymał na wodzy swój talent komiczny. Tylko Rapacki jako Pocock stworzył świetną postać nawskroś komiczną i upamiętnił ją na zawsze w umysłach widzów i słuchaczów.

Pierwsza większa powieść Sewera ma tytuł „Wydziedziczone" i osnuta została również na tle stosunków społecznych angielskich. Pierwsza jej część, przedstawiająca stan robotnic fabrycznych, nadmiar pracy, pokusy, działające rozkładowo pod względem moralnym, odznacza się realistycznemi barwami, lubo trzymanemi zawsze w szlachetnym tonie estetycznym, przej-

muje grozą, budzi współczucie, woła o ratunek. Dwie tu uwydatniają się postacie: jedna, żyjąca bardziej życiem wewnętrznem, namiętna czytelniczka powieści, pełna szlachetnych popędów, sięgających granic poświęcenia; druga powszedniejsza, miła, wesoła, zalotna, łatwowierna. Ta druga dała się uwieść, bo się jej piękny panicz podobał: pierwsza sprzedała się, ażeby sobie, a jeszcze bardziej koleżance swojej zapewnić możność przebycia najcięższych dni głodowych. Poświęcenie jej doznało wzgardy; towarzyszka ją opuściła, poczytując ją za zbańbioną, lubo sama miała kochanka. Lizeta znika z Londynu, by po niejakim czasie powrócić tu wielką damą, zamożną, czarującą młodzież najwykwintniejszą. Ale w duszy pozostała ona dawną serdeczną dziewczyną, więcej dbającą o los swojej towarzyszki, Fanny, która nią wzgardziła, aniżeli o siebie. Fanny wyszła za mąż, za urwisa, pijaka, wyzyskującego jej pracę. Lizeta stara się dopomódz jej tajemnie, a gdy ta, w przystępie rozdrażnienia porwawszy młotek, uderzyła w głowę męża i ten padł trupem, wystąpieniem swojem w sądzie uwolniła ją od odpowiedzialności, wzięła na wieś i przy pomocy szlachetnego dziwaka zapewniła jej byt dostatni w założonem przez siebie towarzystwie współdzielczem, produkującem ubranie.

Prócz dwu figur kobiecych, występujących w tej części, wyborne są poboczne: detektywa (t. j. trudniącego się prywatnie śledzeniem czy to osób podejrzanych, czy wogóle takich, o których ktoś potrzebuje zebrać informacye); doktora, który wszędzie i zawsze ma na myśli zareklamowanie swojej wiedzy i swoich odkryć; bogatego wegetaryanina, który wytrwale głosi i apostołuje przekonanie, że „mięso rodzi bestyalstwo w człowieku i sprowadza upadek ludzkości, degradacyę człowieczeństwa, wykształcając dzikie namiętności“. Tyle tu życia, urozmaicenia, interesujących scen i niespodzianych zwrotów, że się tę część pochłania z wciąż rosnącem zajęciem i zapomina o nieprawdopodobieństwie zasadniczem, żeby Lizeta w krótkim czasie mogła się z prostej robotnicy przerobić na wielką damę.

Inne części „Wydziedziczonych“, lubo mają ustępy śliczne, nie posiadają zalet powyżej zaznaczonych. Historya towarzystwa współdzielczego, zawodów miłosnych Lizety, jej małżeństwa ze starym wegetaryaninem, małżeństwa zupełnie platonicznego, zawartego jedynie w celu przekazania bogactw lorda szlachetnej kobiecie, za dużo mieści w sobie materyału nieobrobionego artystycznie, albo też obrobionego słabo. Dwa jednak charaktery kobiece zostały konsekwentnie przeprowadzone. Lizeta zawsze szlachetna, zawsze o cudzej niedoli myśląca; Fanny dopóty jedynie dobra, póki, dzięki Lizecie, nie porosła w pierze; wówczas bowiem złe instynkty w niej się odzywają; z robotnicy stawszy się panią, gotowa tak samo wyzyskiwać zależnych od siebie, jak ją wyzyskiwano niegdyś.

Po „Wydziedziczonych“ nastąpiły: „Mama sobie życzy“ (1876) i „Wielka księga“ (1878; w wydaniu książkowem: „Bratnie dusze“ r. 1881). Nie znając pierwszego z tych utworów, posłużę się tu charakterystyką jego, podaną przez p. Adama Dobrowolskiego („Świat“ 1888):

„Jakiś młodzieniec, pochodzący z pustyni gorących pragnień i niemożności, poznaje w obcym kraju dziewczę, stworzone na to, aby uszczęśliwić mężczyznę. Pojąc swe serca dźwiękami Gounodowskiego walca, młodzi rozmawiają; coraz głębiej zaglądają wzajemnie do wnętrza dusz własnych, oceniają jasne strony charakteru i staczają się po pochyłości uczuć na dno najgorętszej miłości. Ale młody człowiek nie daje się unieść zaślepieniu, nie chce wziąć za żonę kobiety innych przekonań; zanim poślubi, nauczyć ją musi gorącego przywiązania do kraju, którego jest synem. Juliusz uczy myśleć po polsku narzeczoną, tłómaczy jej niezrozumiałe wyrazy, zachwyca jej słuch dźwięcznością mowy naszej, porównywając np. włoskie *mia cara* z polskiem: *moja droga*. Od kobiety żąda wspólności przekonań, dążeń i niezachwianej pracy wraz z ukochanym mężczyzną. Takie niewieście charaktery na pierwszy plan wyprowadza Sewer, takiemi zapełnia świat powieściowy, bo innych nie chce widzieć w rzeczywistości, bo wierzy, że społe-

czeństwo nasze potrafi zachować czystość swych kobiet, bo wie nareszcie, że na domowem ognisku opiera się zdrowie narodu. Niema tu ckliwości, ale jest zdrowa miłość, świadoma swej potęgi, powołana do spełnienia świętych obowiązków, opromieniająca wszystko jasnem światłem".

Styl i wogóle sposób pisania w „Bratnich duszach" najwięcej jest zbliżony do stylu i układu „Szkiców z Anglii". Mamy tu znowu oryginała, podobnego do wegetaryanina z „Wydziedziczonych", z tą atoli różnicą, że ten oryginał, Smile (Smaił, jak pisze autor), wziął sobie za zadanie życia wyszukiwanie talentów i chronienie ich od zatraty samoistności. Herkulesowej budowy, niezgrabny, wytrwały i bystry, nie zraża się niewdzięcznością ludzką, lecz wybrane i umiłowane przez siebie osoby w imię idei wspiera tajemnie czy jawnie, dopóki ich nie doprowadzi do zmężnienia talentu i ustalenia bytu. Sympatyczna to wielce postać, pomimo drobnych śmiesznostek, a smutek jego, czasami tylko przejawiający się w słowach, gdy sobie miłość swą do Polki wspomni, tem milszym go nam czyni, gdyż w tych właśnie wspomnieniach czerpie Smile moc i otuchę do wytrwania w pracy dla społeczeństwa przez przysparzanie mu sił dzielnych a oryginalnych. Każde jego słowo, każdy szczegół zachowania się są wielce znamienne.

Dwie bratnie dusze artystyczne, nad któremi Smile roztacza opiekę, mniej szczęśliwie udały się autorowi. Karol Rowan malarz i Jess aktorka nie mają w sobie właściwości, któreby w naszej nawet belletrystyce świeżemi nazwać było można. Karol — to słaba, miękka, wrażliwa i kochliwa natura zwykłych w powieści naszej artystów; Jess — to szczera, dobra, poczciwa, poświęcająca się natura kobieca, miłości swej dziecinnej wierna, lubo nie wolna od próżnostek i ambicyjek zdobywania serc czy to dla podbudzenia uczucia w ukochanym, czy dla zemsty nad rywalką. Karol daje się olśnić i pociągnąć kokieteryi Leonory, córki arystokratycznego domu, i nie chce widzieć miłości Jessy, z którą przez lat kilka wspólne miewał

lekcye, i potrzeba dopiero przejść tragicznych, ażeby mu otworzyć oczy.

Całość jest pisana niezmiernie żywo, zajmująco, dowcipnie, z łagodnym uśmiechem na ustach. Nie powiem, żeby Sewer pogłębił w tym utworze znajomość naszą charakterów angielskich, ale przyznać trzeba, że w szczegółach podał kilka zewnętrznych rysów bardzo charakterystycznych. Jako utwór artystyczny „Bratnie dusze“ wyżej stoją od „Wydziedziczonych“; mniej w nich jest nieprawdopodobieństw, mniej nadzwyczajności, a za to większa spójność w następstwie scen, większa dbałość o umotywowanie wydarzeń. Głębsza analiza duszy ludzkiej nie wchodziła widocznie do zamiarów autora, który pragnął tylko przedstawić nam plastycznie różnorodność i oryginalność objawów życia społecznego i umysłowego w Anglii i uwydatnić dążność do samoistności w myślach, uczuciach i działaniu. A ten zamiar umiał przeprowadzić bardzo zajmująco.

Z francusko-polskiego świata wzięte jest opowiadanie p. n. „Na pobojowisku, epizod z wojny 1871 roku“ (Lwów 1877). Jest to obrazek bohaterskiego napadu i równie bohaterskiego odwrotu, dokonanego w okolicach Dijon przez mały, dwutysięczny korpusik wojska francuskiego, w którym dużo było Polaków, wobec ogromnej dywizyi Falkenhagena. Parę opisów jest ładnych, kilka refleksyj poważnych i zmuszających do myślenia; charaktery (które poznajemy tylko z ich tytułów wojskowych: wachmistrz, kapitan, major, pułkownik, jenerał) są ogólnikowe, nierozwinięte; jeden tylko stary wiarus pełen życia, werwy i oryginalności, Otręba, wybija się na plan pierwszy. Egoizm mieszczuchów, lękających się objawów gorącego patryotyzmu i Niemców, dobrze oddany, lubo szkicowo jedynie. Wątek powieściowy zadzierzga się dopiero pod koniec opowiadania; jego rozwinięcie pozostawił sobie autor do innego obrazu.

Jeżeli do tych większych utworów dodamy jeszcze króciutki zarys p. n. „Jedna noc w Londynie“, to będziemy mieli

wszystko, co na tle egzotycznem nakreślił Sewer. W szkicu tym zapoznaje nas autor z życiem gorączkowem wielkiego miasta-potwora, które wchłania w siebie żywoty jednostek, przetwarzając je w niedostrzegalne niemal kółka olbrzymiej maszyny, ale w którem, mimo to, wytwarzają się pod naciskiem potrzeby dzielne, świadome zadania swojego, charaktery. Widzimy tu biednego, zidyociałego prawie pod wpływem pracy mechanicznej muzyka, który całe jestestwo swoje ześrodkował w robocie obowiązkowej, oraz jego zaniedbanego syna, który przecież po zgonie ojca czuje w sobie siłę skutecznego zaopiekowania się rodziną, a mówi o tem w taki sposób, że mu całkowicie zaufać można.

Oto jest zasób tych dzieł Sewera, które nazwałem egzotycznemi ze względu na materyał, poczerpnięty ze stosunków zagranicznych. Kompozycya większych z pomiędzy nich jest wadliwa, dawną metodą przeprowadzona, lecz szczegóły nieraz znakomicie są nakreślone.

II.

Powieści ludowe stanowią drugi z kolei w porządku chronologicznym dział twórczości Sewera.

Tu słówko charakterystyki życiowej, wziętej od człowieka, co Maciejowskiego znał dawniej, kiedy jeszcze o nowellach nie było wcale mowy. Alfred Szczepański w artykule, pomieszczonym niegdyś w „Kurjerze Warszawskim“, pisze, co następuje: „Sewer, to dziecko roli, potem żeglarz na łodzi miotanej burzami. Autora nikt w nim nie przeczuwał wtedy, ale jedno wiedzieliśmy. Był to wykwintny, zabawny gawędziarz, *causeur*, zwłaszcza w towarzystwie kobiet. Obecność mężczyzn zdawała się paraliżować jego dowcip, jego swobodę, jego wdzięczną fantazyę, posługującą się i niewinną blagą — dla kolorytu. Następnie łódź poniosła go daleko do Francyi i za morze do Anglii, aż znowu, jak rozbitek, znalazł się na własnym brzegu.

Rozglądać się zaczął i wrócił tam, skąd wyszedł, do roli. Osiadł na wsi, wśród ludu i wśród tego szlacheckiego społeczeństwa, które nie traci rezonu. Oto więc i rozwiązana zagadka i szkiców i nowelli ludowych. Oczywiście trzeba dodać, iż zewnętrzne przygody życia, odbierane wrażenia łamały się barwnie niby promienie słońca w krysztale, we właściwem usposobieniu, w talencie..."

Mieszkał on przez lat kilka we wsi Szczurowej, potem w Dołędze i Braciejowej, i miał tam sposobność z blizka i dokładnie przypatrzyć się życiu wieśniaków, przyswoić sobie ich wyrażenia, zauważyć ruchy, poznać zwyczaje i obyczaje, różnorodne skłonności i przekonania, a dokonywał tego zarówno z myślą społeczną, jak i z zamiarem artystycznym.

Dawniejsze obrazy ludowe, rysowane piórem Kraszewskiego, Jeża, Gregorowicza, przedstawiały stosunki poddańcze lub pańszczyźniane. Sewer i Prus byli u nas pierwszymi powieściopisarzami, co odtworzyli duszę chłopa i stosunki jego zewnętrzne wśród nowych warunków, jakie wytworzyło uwłaszczenie. Obaj równie szczerze i z jednaką miłością na lud patrzyli, lubo bynajmniej nie zamierzali zakrywać wad jego i śmieszności. Obaj posługiwali się środkami realistycznemi, ale obaj rozjaśniali obrazy swoje promieniami poezyi. U Prusa poezya ta płynęła przeważnie z głębokiego, serdecznego uczucia, u Sewera przeważnie z fantazyi; chociaż, rozumie się, nie myślę przez to zaprzeczać istnienia i jednego i drugiego pierwiastku razem — u obudwu. Prus stworzył, oprócz drobnych arcydziełek, potężną kreacyę w „Placówce"; Sewer nie ześrodkował tak silnie talentu swego w żadnym utworze ze sfer ludowych, ale w poszczególnych rozsypał wiele rzeczywistych klejnotów obserwacyi i poezyi.

Pierwszym szkicem ludowym Sewera była przepiękna, słoneczna „Łusia Burlak" (1878), pełna wdzięku, wesołości, ładnie szkicowanych krajobrazów. Można z nią chyba zestawić późniejszą o lat jedenaście, szerzej rozwiniętą, większem bogactwem szczegółów, głębszem wniknięciem w duszę prostaczą,

rozległej kreślonemi krajobrazami bogatą „Wiosnę“, którą do najśliczniejszych nowelli, jakiemi pochlubić się może belletrystyka nasza, śmiało zaliczyć można. Przeciwieństwo wsi i miasta w poczuciu wiejskiej dziewczyny chyba nigdy piękniej i artystyczniej nie było odmalowane. Marysia przybywa ze służby z Krakowa na czas krótki do swej wioski rodzinnej i czuje się od razu przyciągniętą wszystkiem, co tu odnajduje: polem, łąką, lasem, robotami polnemi, zabawami, jarmarkiem; od razu czuje się w swoim żywiole szczęśliwą, upojoną; a gdy wraca znowu do miasta, gdy się styka z dawnemi swemi znajomościami, które ją przedtem silnie zajmowały, coś ją odtrąca, coś ją czyni rozdrażnioną, niezręczną, gniewną: to urok wiosny na wsi tak na nią podziałał! Jakże jej oddychać wśród zamkniętej przestrzeni, wśród przepełnionej wstrętnemi wyziewami atmosfery, wśród „freitrów“ i ich kompanów, gdy się dopiero co wróciło z rozległych pól, gdy się dopiero co oddychało czystem, świeżem powietrzem i miało się za towarzystwo tych, z którymi się wychowywało i żyło. Więc dalej na wieś!

— Matusiu, jestem! — zawołała Maryś.

Kobieta się zerwała, rzuciły się w objęcia.

— Ze wszystkiem?

— Ze wszystkiem.

— A niechże ci Bóg da zdrowie.

— Jest przyodziewy pełen kufer, pierzyna i jeszcze coś grosza na żniwa.

— A niechże ci Bóg da zdrowie. I już nie wrócisz do miasta?

— Nigdy!—zawołała dziewczyna, wznosząc rękę w górę.— A teraz spać, bo się na nogach nie mogę utrzymać.

Rzuciła się na matczyne łóżko.

— Tak ci jestem uradowana... matusiu, żeby to tak w niebie!...

Zasnęła...

I jak w tem zakończeniu, które prostotą swego obrazowania osięga wyrazistość prawdy realnej i poezyę nastroju;

tak i w całym szkicu niema nigdzie mdłej sentymentalności, choć wszystko tchnie wiosną, pełną woni rozkosznej i świeżej.

Obrazkiem „malowanym w słońcu“, wedle określenia samego autora, jest „Zalotnica“ (1891 r. w „Kurjerze Warszawskim“). Najładniejsze tu są drobne scenki, przedstawiające uroczo żniwa nasze: robotę żwawą, żarty, śpiewki, od czasu do czasu jakieś zalecanki, odpoczynki południowe, powrót wieczorem do domów. Postać główna ładnej a zalotnej Marysi w części tylko za udatną poczytać można. Jest ona wesoła, hoża, sprytna; umie się przypochlebić, umie wszystkim się podobać: i gderliwemu ekonomowi, i staremu dziedzicowi, a najwięcej zwróciła na siebie uwagę panicza, który z Krakowa ze szkół czy uniwersytetu powrócił. Ale kocha naprawdę tylko Błażka, który jej w robocie dopomaga, bo bierze na siebie najprzykrzejszą, bo dla niej „wlubił się“ nawet w oset i nie czuje kolców jego. Dotąd wszystko dobrze. Ale Marysia jest biedna, nie ma nawet krowiny, a chciałaby zamiast żuru jadać mleko. Więc postanowiła „podejść“ panicza, jak się autor eufemicznie wyraża. Zgodziła się na schadzkę, dała się wycałować, wyciągnęła na obietnicę kupienia jałówki i... zemknęła, niby przestraszona głosem dusz pokutujących w lesie, które doskonale odgrywać umiał Błażek. Po kupieniu jałówki. Maryś wraz z Błażkiem poszła do drugiej wsi i wówczas dopiero wróciła do Gromówki, gdy panicz do Krakowa odjechał. To wyzyskiwanie urody swojej dla dostania jałówki może jest istotnie wzięte z życia, lecz idealizowanem być chyba nie powinno; to już nie rys zalotności, ale rys wyrachowanej spekulacyi. Czy przy takiem usposobieniu Maryś zachowa uczciwość, ręczyć trudno. Autor umiał odebrać obrazkowi swemu to, coby go uczynić mogło wstrętnym, ale przekonać o uczciwości postępku Marysi nie zdołał. Traktował zaś postępek ten seryo, nie w sposób żartobliwy, nie jako karę za lekkomyślność i niezaradność panicza, którego charakter pozostaje zupełnie w cieniu. W każdym razie chciał Sewer uniknąć tutaj dramatu, chciał wesoły

i swobodny nastrój utrzymać do końca; zbył więc konsekwencye postępku Marysi pobieżnie a optymistycznie.

Nie wszędzie naturalnie w obrazach Sewera panuje ta słoneczna pogoda, nie wszędzie tętni zadowolenie z życia; owszem, jak w rzeczywistości. tak i w jego utworach częściej występuje mrok, częściej pojawia się nieszczęście, złość, zawiść. Sewer bowiem nie myśli nigdy o tendencyjnem wykrzywianiu prawdy gwoli dowiedzeniu jakiejś z góry powziętej dążności, przedstawia dobre i złe strony życia chłopskiego jednakowo charakterystycznie; nie popada w krańcowości, nie zaczernia swych obrazów pesymistycznie, nie zaróżawia optymizmem. Jeżeli ma jaką słabostkę, wspólną zresztą i Dickensowi i Prusowi, godną najszczerszego uznania, to w malowaniu cierpień i nieszczęść, jakie spotykają maluczkich, w rozrzewnianiu czytelnika nagromadzeniem tkliwych i bolesnych rysów z życia sierot wiejskich. Taką jest np. nowella p. n. „Dola“.

Czternastoletnia dziewczynka-sierota, mająca serce skłonne do wzruszeń sympatycznych. poniewierana przez stryjnę, lękając się kary za cielę zabłąkane, ucieka, próbuje się utopić, potem kładzie się na szynach. ale uratowana, wspomożona datkiem pieniężnym przez podróżnych, dostaje się pod opiekę człowieka brzydkiego, również, jak ona, osieroconego, również, jak ona, nie doznającego miłości ludzi, a to z powodu swej brzydoty. Dziewczynka choruje. Marcin otacza ją najtroskliwszą opieką, marzy wraz z nią o przyszłości, o pobraniu się i kochaniu; ale smutna dola rwie tę tkankę rojeń; sierota umiera, szczęśliwa, że choć raz w krótkiem swem życiu zaznała, co to życzliwość serdeczna, co to delikatna tkliwość. Pierwsza część tego obrazka, gdy Marcysia krowy pasie, gdy zbiera kwiatki, by ukradkiem dostawszy się na procesyę Bożego Ciała, wysypać je przed obrazem Najświętszej Panny, jest podobno bliższa rzeczywistości, aniżeli część druga, malująca przygody Marcysi, a zwłaszcza ową smętną sielankę w lesie; w każdym jednak razie „Dola“ stanowi całość bardzo ponętną, budzi uczucia dobre, usposabia rzewnie i poetycznie.

W podobnym rodzaju, tylko na szerszą rozwiniętym skalę, jest zarys powieściowy o żądnym oświecenia „Franusiu Walczaku“ (drukowany w „Ateneum“ 1883 r.). Tu już nietylko ze światem chłopskim, ale i z „pańskim“ mamy do czynienia. Wielkie frazesy o oświacie ludu, pozorne zajmowanie się nią przez sfery intelligentne i zamożne, a w gruncie obojętność lub nawet niechęć wobec rzeczywistych objawów garnięcia się do nauk wśród chłopów; ciężkie przejścia we wsi i w mieście, jakie Franuś przebyć musi, przygarnięcie go przez rodzinę żydowską i śmierć w szpitalu — oto w suchem streszczeniu wątek opowiadania, które miejscami wstrząsa duszę do głębi, a często goryczą ją przepełnia. W zakończeniu jest zestawienie głosu serca z głosem sofistycznego rozumu, który, mając wygodną formułkę w „hiperprodukcyi intelligencyi“, zimno patrzy na straszną dolę biedaków, rwących się do światła, i z urąganiem przyjmuje skargi serdeczne.

— I nikt się nie znalazł — wołała matka Franusia z rozpaczą — nikt w takiem mieście, w takiem wielkiem mieście, coby dziecko przytulił, pomógł i nie dał mu umrzeć! A przecież on nie chciał kraść, tylo się uczyć... Czemużeś nie ukradł choćby bochenka chleba, wtedy daliby ci opiekę, łyżkę strawy i ciepłą izbę, gdziebyś głowę do snu mógł złożyć. A bodajby was ziemia święta pochłonęła!...

Ludzie się zaczęli gromadzić, co zmusiło filozofa do odwrotu.

— Pomoc, opieka! — powtarzał. — Niema położenia w naszem społeczeństwie, niema najzwyczajniejszej kombinacyi między ludźmi, żeby zaraz nie usłyszeć tych dwóch nędznych i głupich wyrazów: opieka, pomoc! Rozpacz ogarnia myślącego człowieka.

Istotnie na opiekę i pomoc takich filozofów o twardem sercu i ciasnej głowie nikt liczyć nie może; a ich zwątpienie świadczy tylko o miałkości własnej ich duszy.

Innych stron życia ludowego dotyka Sewer w nowellach: „Dla świętej ziemi“ i „Nad brzegiem Rudawy“; w odmiennym też one tonie zostały wykonane.

„Dla świętej ziemi“ składa się z dwu części, tożsamością zasadniczego motywu połączonych. Autor pochwycił tu bardzo dobrze jeden z najznamienniejszych rysów charakteru chłopskiego: żądzę posiadania gruntu, będącą zresztą specyalnym jedynie przejawem powszechnej żądzy mienia u wszystkich warstw społecznych, i pięknie przedstawił dzieje tej namiętności w kolizyi z uczuciami miłosnemi.

W „Kasi“ doskonale skreślony został obrazek wypuszczenia żołnierzy austryackich ze służby, wrażenia jednego z wypuszczonych, powracającego do wioski rodzinnej, gniew i straszny żal z powodu utraconego gruntu, który matka sprzedać musiała dla pokrycia długu bankowego, zaloty Józka do bogatej wdowy, a odwrócenie się od energicznej, poświęcającej się dla niego sieroty Kasi, którą przecież lubił siarczyście, myśli i postępowanie tejże dziewczyny, opuszczającej wprawdzie chatę Józka, gdy się o wdowę oświadczył, ale wracającej następnie na serdeczne wezwanie jego matki. Mniej są rozwinięte kolizye, wynikłe z naprężonych stosunków pomiędzy Józkiem, jego żoną i Kasią; dlatego też zakończenia niepodobna zadawalniającem nazwać.

„Hanka“ doskonała jest, jako wizerunek bohaterki tytułowej. Dziewczyna biedna, sierota jak Kasia, ale piękna, energiczna i rezolutna, umie sobie dać rady z chłopcami i starszymi. Pragnęłaby się wydać za mąż bogato, ale gdy upatrzony przez nią syn wójtowy nie miał dość siły, by się oprzeć woli ojca, ciągnącego synalka do dziewczyny bogatej, patrzącej „świdrami“, wychodzi za równie ubogiego jak sama, postanawia wraz z mężem dorobić się i stawia na swojem, tak że wójtowie zaczynają żałować, iż nią dla syna wzgardzili. Miło jest patrzeć na te objawy żywotności, siły i umiejętnego a zręcznego brania się do rzeczy w tych dwojgu wieśniakach, którzy nie skarżą się, lecz pracują wytrwale. Natomiast figury poboczne, jak wójtowie, ich syn, Guliczka, jej córka, lubo wszyscy mają cechy znamienne, wybornie pochwycone, nie są przecież należycie rozwinięte.

Nowella „Nad brzegiem Rudawy“ przedstawia nam stosunki ludności izraelskiej i chrześcijańskiej na wsi w Galicyi, nie według tego zwykłego szablonu, który każe po jednej stronie kłaść wyzyskiwanych, a po drugiej wyzyskiwaczów; lecz z wniknięciem w delikatniejsze i różnorodniejsze odcienie usposobień, poglądów i nawyknień ze stron obu. Postać Sary Wałowej, zabiegliwej, skrzętnej, nie bardzo się rachującej z przepisami ścisłej moralności, ale podobnej w tem do innych mieszkańców wioski, tylko przebieglejszej i zręczniejszej, bardzo szczęśliwie narysowana i konsekwentnie przeprowadzona została. W jej pasierbie Zyzmie, którego ona niecierpi, na którego sprowadza przekleństwo rabina, widzimy temperament nerwowy, miarkowany chęcią i umiejętnością zdobywania grosza, nie przez pospolitą szacherkę, lecz za pośrednictwem wyższej intelligencyi, a przytem z jakiemś zabłąkanem do serca dziwnem przywiązaniem do dziewczynki wiejskiej. Postać ta, bardzo dobrze nakreślona w początku, od chwili usiłowanego samobójstwa z powodu rozbicia pierwszych planów zbogacenia się, znika z widowni powieściowej i dopiero po latach kilku pojawia się w nowej przemianie zewnętrznej, ale z niezmienionem pragnieniem pozyskania serca dziewczyny. Ta stałość młodocianych wrażeń, czy uczuć, wśród nader ruchliwego, jak się domyślać trzeba, żywota Zyzmy, wymagałaby subtelniejszego wycieniowania. Stosunek natomiast dziewczyny do Zyzmy, mającej dla niego pewną słabość, ale za nic nie chcącej się zgodzić na oddanie mu swej ręki, jako żydowi, gdyż stałaby się pośmiewiskiem całej wioski, bez której żyć jej było niepodobna, zupełnie dobrze został utrzymany.

Wymieniając już tylko takie nowelle, jak „Zosia Żurawianka“, „Głodowa pożyczka“, „Maciek“, „Ścieżka przed chatą“, zastanowię się tylko jeszcze nad jedną, dłuższą od innych.

Arcydziełem Sewera wśród powieści ludowych są „Przybłędy“. Należą one do najwcześniejszych jego utworów; drukowane bowiem były w „Ateneum“ w początkach roku 1881,

ale czy to wskutek świeżości wrażeń, czy też z powodu szczęśliwego nastroju autora, lepiej i harmonijniej zostały obrobione, aniżeli późniejsze, z wyjątkiem naturalnie tej ślicznej, ale drobnej nowelli, jaką jest „Wiosna“.

„Przybłędy“ — to obraz życia wiejskiego na skalę szeroką. Wszystkie wydatniejsze na wsi figury, wszystkie główniejsze stosunki pomiędzy jej mieszkańcami występują tutaj na tle dziejów biednej a pracowitej wdowy, którą nieszczęścia zagnały ze stron rodzinnych do Pojawia i zmusiły zamieszkać w opuszczonej, nędznej chałupinie na skraju wioski pod lasem. Miała ona synka ukochanego, Jasia, będącego jedyną jej pociechą, jedynym celem życia i zabiegliwej skrzętności. Ludzie stronili od biednych „przybłędów“, nie mających we wsi żadnego krewieństwa. Najuboższe tylko jednostki, mogące się choć trochę pożywić u tych „przybłędów“, garną się do nich i są im przyjazne. Przygoda Jasia na pastwisku z czerwoną „galantą“ czapką, którą mu urwis Kuba do wody wrzucił, za co następnie przez innych chłopaków, dzięki paru grajcarom przyniesionym przez Jasia, został giętką wicią przeciągnięty, stanowi węzeł zajść między przybłędami a bogatymi mieszkańcami wioski, zajść, które się skończyły spaleniem chałupy przybłędów, śmiercią matki Jasia i ucieczką tegoż przed grozą prześladowań, jakich się obawiał.

Śliczną jest postać tej matki czułej, serdecznej, zapracowanej, nie mającej ani rozrywki żadnej, ani opieki i obrony, wpatrzonej tylko w syna, jego radością rozradowanej, jego smutkiem przygnębionej. Szczegóły realistyczne z życia powszedniego, wybornie z całą prawdą odmalowane, nie dają się rozpłynąć tej postaci w mgle sentymentalnej, lecz utrzymują w świeżej atmosferze świata rzeczywistego. A i Jaś, czy w dziecięcej dumie pyszniąc się swoją czerwoną czapką i nowemi butami, czy w słusznym gniewie wybuchając przeciw złośliwemu Kubie, czy dzieląc się swojem skromnem pożywieniem z głodnemi dzieciakami Płonczyny, czy w czasie choroby słuchając

z zajęciem baśni czarodziejskich, czy tęskniąc do elementarza i nauki, czy uciekając przed ludźmi, których ze złej jedynie poznał strony, przed siebie, bez pamięci, gdzie oczy poniosą; zawsze i wszędzie jest prawdziwym, naturalnym i budzi najszczersze współczucie.

Te dwie główne postaci stanowią pierwiastek tkliwy opowiadania; pierwiastek zaś chłodnej obserwacyi różnych stron życia wiejskiego jest bardzo obficie reprezentowany. Poznajemy więc i bogaczów wiejskich, ubiegających się o urząd wójtowski, w kilku bardzo znamiennych odmianach, poznajemy człowieka, który pragnąłby tylko pić, hulać i zwodzić dziewczęta, a przemarnowawszy całą swoją cząstkę dziedzictwa, okrada rodzinę, wdaje się w konszachty z żydami, idzie do więzienia, w końcu powoli ulega przemianie pod wpływem wytrwałej, niczem zrazić się nie dającej Franki, która pracą ciężką a stałą umiała sobie stworzyć skromne gospodarstwo.

Widzimy dalej cynika wiejskiego, Siemieńca, kunsztownie spluwającego przez zęby, grzebiącego żonę w nocy bez księdza, bo „czy tak, czy owak, będzie ona na sądzie Boskim“, i starca Skowrona, którego „dzieciska z pościeli zawlokły do samych drzwi chaty, aby śmierć, jak próg przestąpi, zdybała go od razu“, a który, dzięki kilku łykom piołunówki, podanej przez Siemieńca a wypitej chciwie, lubo z zapewnieniem, że nie myśli się śmierci oganiać, wstał na nogi, poszedł do karczmy i raczył się wódką, zafundowaną przez cynika za odzież pogrzebanej Kasi...

Nie można też przepomnieć o tych dwu siostrach, które wieśniacy poczytują za czarownice, a które na tej opinii bardzo dobrze wychodzą, bo nie pracując żyć mają z czego. I arendarz wiejski, i żydzi małomiasteczkowi, i muzykanci, wszystko to z taką naturalnością a z takim umiarem artystycznym zostało wciągnięte w historyę „przybłędów“, że służąc do wypełnienia obrazu stosunków wiejskich, równocześnie podaje czytelnikowi możność zadowolenia różnorodnych uczuć

na bardzo rozległej skali i w ustopniowaniu nader bogatem. Ta umiejętność ześrodkowania wszystkich użytych efektów wywołuje doskonałość utworu pod względem kompozycyi.

III.

Sewer jest szczerym demokratą, lecz bynajmniej nie demagogiem. Nie pragnie on waśnić z sobą różnych warstw społecznych, lecz wymaga od wszystkich, ażeby w życiu czynny a pożyteczny udział brały. Wyzysk, w jakiejkolwiek pojawia się postaci, czy jako handlowe szachrajstwo, czy jako prywata, ciągnąca korzyści z ogólnego dobra, czy jako wydobywanie z krzywdy ludzi opłaty zbytkownych wydatków, piętnuje on równie silnie, jak wygodną bezczynność, społeczną bierność, nieużyte sobkostwo.

Niema on swoich specyalnych ulubieńców, którymby wszystkie zalety przyznając, im kierunek spraw społecznych powierzał; nie myśli dopatrywać w jakichś fachowych zajęciach gwarancyi rozumienia i spełniania obowiązków; nie wprowadza na pierwszy plan doktorów, inżynierów, adwokatów, jak to robili w swoim czasie niektórzy nasi powieściopisarze, lecz bierze materyał do swych utworów ze sfer różnych, wskazuje dodatnie i ujemne strony wszędzie, bohaterów doskonałych nie tworzy, ale też nie lubuje się w całkowicie czarnych postaciach.

Dotychczas najczęściej i najchętniej dotykał stosunków żydowskich, artystycznych i ziemiańskich.

W kwestyi żydowskiej Sewer, nie wdając się w rozbiór zasadniczy, ani też nie podnosząc haseł t. zw. liberalizmu, przedstawia sprawę na gruncie faktycznym w Galicyi w czasach najnowszych. Nie bieli on ani czerni żydów; gdzie widzi szachrajstwo i zdrożność moralną, to nazywa je właściwem imieniem; gdzie zaś dostrzega usiłowań w celu etycznego podniesienia żydów, kreśli je z uznaniem. Powieścią, skupiającą wszechstronnie wszystkie wybitne czynniki kwestyi żydowskiej w Galicyi, jest „Zyzma“. Rzecz ta drukowana była w „Ate-

neum“ roku 1884 i 1885, i należy do najlepszych utworów Sewera.

Z pierwszą młodością Zyzmy poznaliśmy się już w nowelli „Nad brzegiem Rudawy“. Charakter bohatera, jaki tam został zaznaczony, utrzymuje się konsekwentnie w tej nowej, obszernej powieści. Zyzma pragnie się zbogacić, ale się brzydzi nieuczciwością, ma w sobie szlachetne popędy, które mu znikczemnieć, zamknąć się w sferze sobkostwa nie dozwalają. Jedzie do Wiednia, jest bezpłatnym dostarczycielem nowin giełdowych dla *Neue freie Presse,* podchwytuje tajemnicę kampanii Rotszylda przeciwko Bontoux, zużytkowuje ją w grze na giełdzie i staje się od razu zamożnym człowiekiem. Wówczas otwierają się przed nim salony chwiejących się bankierów; gdy atoli się przekonał, że go tam ciągną nie dla jego osoby, lecz dla jego pieniędzy, ambitny młodzian ucieka z salonów, by się powierzyć redaktorowi *Neue freie Presse,* który chce go zużytkować jako swego korespondenta z Galicyi. Zyzma wykształconym nie był; olśniły go słyszane z ust redaktora teorye o posłannictwie rasy żydowskiej, o jej wyższości nad innemi, a więc i o jej prawie panowania nad światem. Wprawdzie w duszy jego tkwią też uczucia sympatyi dla tych, wśród których spędził dzieciństwo swoje, a zajęcie się losem zrozpaczonej hrabiny, która, wyszedłszy za człowieka nie pochodzącego ze sfery arystokratycznej, została przez tę sferę odepchnięta, stawia Zyzmę w kolizyi z misyą, jaką wziął na siebie. Potrzeba będzie czasu i wielu przykrych doświadczeń, by się te sprzeczne dążenia i interesy ułożyły, a raczej, by szlachetność wzięła górę nad ambicyą i żądzą znaczenia.

Szkołą, w której Zyzma wyrabia i wyjaśnia sam sobie swoje stanowisko, jest towarzystwo lwowskie, któremu zarekomendowany został jako korespondent *Nowej Prasy.* W towarzystwie tem pierwszą rolę, z natury stosunków Zyzmy, odgrywają żydzi zamożni. Pomiędzy nimi bardzo rychło wyróżnia bohater cztery grupy. Jedna — to otwarci zwolennicy cywilizacyi niemieckiej, mówiący w domu jej językiem, wyzyskujący,

ile się tylko daje, stosunki miejscowe. Drugą grupę reprezentuje dr. Fuchs, siedzący na dwu stołkach; wobec stronników niemczyzny powstaje on na krajowców, wobec krajowców kryje się ze swemi centralistycznemi sympatyami, a w końcu wywiesza (pozornie tylko) sztandar palestyński; za mało ma jednak przebiegłości, ażeby się stać naprawdę wpływowym i ciągnąć wielkie zyski ze swojego stanowiska; musi zatem poprzestać na skromnych dochodach. Trzeciej grupy przedstawicielem jest adwokat Blum, mający z powodu interesów stosunki z arystokracyą, dbający jedynie o własne korzyści materyalne, które też umie bardzo zręcznie ściągać ze wszystkich stron, posługując się swoimi klientami jak narzędziami. Czwartą wreszcie grupę tworzy młodzież, która szczerze pragnie etycznego dźwignięcia żydów, zawiązuje w tym celu stowarzyszenie, wydaje czasopismo.

Zyzma nie może się od razu w tym chaosie zoryentować i popada w najfałszywsze położenie, tem bardziej, że przebiegły i przewrotny Blum potrafił go wwikłać pod nader pięknemi pozorami w sprawę wyjednania koncesyi na kolej, którą potem odprzeda Niemcom. Jedni mają Zyzmę za ajenta *Nowej Prasy*, drudzy za przeciwnika zarówno niemczyzny jak żydowszczyzny dlatego, że się łączył z młodzieżą izraelską i łożył na jej wydawnictwo. Do tego obozu pociągnął go zapał jego przewódców, a nadto miłość do siostry jednego z nich. Fanatycy urządzili zasadzkę na życie Zyzmy, który ciężko musiał ją odchorować, lecz zarazem doznał serdecznej pociechy w uznaniu swoich młodych przyjaciół i w miłości ukochanej Żanety. Ustalił już swoje sympatye i przekonania, i działać zaczął. Historya jego jest w wysokim stopniu zajmującą i obrobioną z wielkim talentem, z niepospolitą werwą i dramatycznością.

W obrazowaniu życia artystycznego Sewer stanowczo zerwał z dawną rutyną deklamowania na temat sztuki, jej znaczenia dla społeczeństwa, jej upośledzenia pod względem materyalnym i t. p. Nie maluje on wielkich, niby niepoznanych

artystów, ani też nie popada w drugą ostateczność, przez naturalistów z lubością na jaw wydobywaną, rozszerzania się nad brudami życia tych, co się cisną do przybytków artyzmu. Wystawia on raczej takie osobistości i takie stosunki, jakie w świecie rzeczywistym spotykamy najczęściej: ludzi mniej więcej zdolnych, którzy z upodobaniem oddają się umiłowanemu zawodowi. a jakiekolwiek czekają ich losy, nie tracą odwagi, pocieszają się, jak mogą i umieją, pracując dalej.

I w przedstawianiu tego cygańskiego żywota artystów wraca Sewerowi ów styl sypiący iskrami dowcipu, który tyle powabu nadawał jego „Szkicom z Anglii". Widocznie tu jest najbardziej w swoim żywiole, tu odtwarza myśli i uczucia, zajmujące go najsilniej, tu się może posługiwać językiem, którego sam używa w sferach literackich.

Najwcześniej zobrazował usposobienie i przygody wędrownych aktorów w powieści „Za kulisami" (1887 r. w „Gazecie Polskiej"). Od czasu gdy Korzeniowski we „Wdowcu" sposobem epizodycznym nakreślił kilka wybornych sylwetek i odmalował stosunki tej wesołej, gwarliwej i swarliwej dziatwy Melpomeny; wielu traktowało ten temat, ale nikt nie dorównywał doskonałemu obserwatorowi i plastykowi, jakim był autor „Spekulanta". Jedni wdawali się w zbyt małostkowe szczegóły, inni tonem lamentacyjnym opiewali nędzę z jednej, obojętność z drugiej strony. Kilka figur nakreślono trafnie (Rapacki, Łętowski, Zamarajew), ale całości artystycznej, któraby rysy poszczególne w pewną harmonijną całość złączyła, nie przypominam sobie. Sewer dał właśnie taką całość.

Pod wodzą zręcznego, przemyślnego i wesołego dyrektora jeździ nieliczna gromadka aktorów po miastach prowincyonalnych; w jednem mieście daje zaledwie trzy przedstawienia, nie chcąc przeciągać struny, która dźwięczała głównie skutkiem puszczonej wieści o znakomitem pochodzeniu którejś z artystek; w innem osiada na sezon zimowy i doznaje chwilowo gorącego poparcia, dopóki się nie zaczęły tańce i bale.

W czasie względnego przynajmniej powodzenia panuje

lekkomyślna nieopatrzność i wesołość; w dobie zastoju i obojętności zaczynają się, jak naturalna, niezadowolenia, kwasy, szukanie sobie jakiegoś chlebodajnego zajęcia, rozprzężenie, ucieczka. Wszystkie szczegóły życia, przygotowania do przedstawień, reklamy, reprezentacye, wieczerze, rozmowy, wzajemne przymówki i intryżki z taką prawdą, siłą, wyrazistością i smakiem zostały odmalowane, że czytelnik czuje się istotnie wśród grona żywych osób, mówiących i działających z siebie, nie zaś z samowoli autora.

Każda z figur ma swoją znamienną fizyognomię, a z pomiędzy nich wybitnieje jako bohaterka kobieta wysoce utalentowana, moralnie czysta, nie lubiąca dzielić zbyt wesołych i wolnych zabaw swojego otoczenia, ale nie skrupulizująca z konwenansami. Ta jej niezależność nie podoba się w końcu (t. j. w chwili niepowodzeń teatralnych) ani aktorom, ani małomiejskiej publiczności. Aktorzy sądzą, że surowością swoją odstręcza protektorów widowisk, publiczność widzi zgorszenie w jej stosunku do pierwszego teatralnego kochanka, człowieka pełnego pretensyj do świata, samoluba bez charakteru. Rozgoryczona, zawiedziona na człowieku, którego silnie pokochała, Józia opuszcza teatr, aby odpocząć na wsi, zmienić tryb życia. Towarzyszy jej Wikta, dziewczyna z ludu, która, skończywszy szkołę ludową, nabrała smaku do czytania, a dostawszy się do usług Józi, użytą została do ról subretek. Lato spędziły obie kobiety na wsi bardzo mile u ojca Wikty, ale wraz z sezonem jesiennym Józia zatęskniła za teatrem i z zapałem przyjęła ofertę jednego z dyrektorów. Natura nie mogła już jej zastąpić tego, co dawała sztuka, choćby z dodatkiem upokorzeń i zawodów. Wikta oczywiście jej towarzyszyła. Całość utrzymana w tonie pogodnym, harmonijnie łączącym sprzeczne wrażenia i nastroje.

W przedstawieniu życia malarzy odbiło się współczesne usposobienie artystów. Nie treść, nie temat, nie duchowa strona obrazu ich zajmuje, ale forma, technika, wykonanie. Sewer przejął się wszystkiemi charakterystycznemi szczegółami aż do

osobnej gwary mistrzów pędzla i z werwą wielką, gorączkowo niemal odmalował parę figur wybornych.

W „Konkursie“ dał nam poznać z jednej strony prawdziwie artystyczny, żywy jak iskra temperament, lekkomyślny, ale poczciwy charakter malarza, poszukującego modelu dla namalowania pięknego biustu; a z drugiej — rutynę, pełną pruderyi, uprzedzeń i zastrzeżeń, rutynę, która odtworzenie natury nazywa niemoralnością.

W „Dzielnej kobiecie“ pochwycił i odtworzył naturę artysty, nie znoszącą żadnych więzów, nawet więzów dobrobytu. Adam dostał za żonę kobietę bogatą, z pańskiej rodziny, wykształconą, samowolną; lecz życie zbytkowne bynajmniej nie sprzyjało jego natchnieniu, poczuł niezwalczoną potrzebę odetchnięcia w atmosferze cyganów artystycznych w jednem z ognisk sztuki; tam wśród towarzyszów zawodu znalazł się w swoim żywiole i stworzył piękny obraz. Żona, z początku mocno dotknięta postępkiem męża, dla którego zerwała ze swoim światem, nie poszła jednak torem pospolitym dąsów, kwasów i wyrzutów, wniknęła w duszę artysty i podążyła z nim razem w krainę sztuki, dając za wygraną powabom salonu, pod któremi kryje się czczość, a niekiedy i zbrodnia, upostaciowana w Henryku. Psychologia może nie wszędzie zadowalnia w „Dzielnej kobiecie“, ale strona malarska, zwłaszcza w przedstawieniu scen z życia artystów w Monachium, może ubiegać się o lepsze z mistrzowskiemi obrazami Francuzów w tym rodzaju.

W ścisłem wewnętrznem powinowactwie z życiem artystów jest życie intelligencyi wogóle w przeciwstawieniu do prozaicznego, czysto materyalnego pojmowania potrzeb i zadań społecznych. Sewer dał nam w powieści „Na szerokim świecie“ historyę kobiety, spragnionej światła, rwącej się naprzód, filozofującej i zajmującej się zagadnieniami społecznemi, lecz ginącej marnie w rozczarowaniu, gdyż dla niej „wszystko było za małe, za mizerne“, więc też nic zrobić nie mogła. W nowelli p. t. „W góry“ (1890) na tle przygód zabłąkania się w górach i lasach nakreślił sylwetkę dziewczęcia, które pod

wpływem wyższego umysłu mężczyzny pragnie się wyrwać z banalnego świata konwenansów i w tem uczuciu trwa niezmienna. W obrazku p. t. „W kleszczach“ odmalował przykład bezsilnego szamotania się jednostki wyższej, mogącej zajaśnieć w dziedzinie badań naukowych a skrępowanej więzami zewnętrznych warunków istnienia; płaskość mieszczańskiego trybu życia zabija w niej zdolności.

Nowella ta nasuwa nam przejście do ostatniej grupy utworów Sewera, malującej życie warstwy szlacheckiej w jej różnorodnych związkach z mieszczaństwem i z arystokracyą. Już w poprzednich grupach nieraz nam ukazywał autor tę warstwę, czy to w stosunku do ludu wiejskiego, czy do żydów, czy do artystów. Częściej malował stronę jej ujemną, niż dodatnią, lubo jakiejś z góry powziętej niechęci dla niej nie miał. Jest atoli parę utworów, w których wyłączniej nią się zajmuje.

„Walka o byt“ (Lwów 1882) jest jakby uplastycznieniem pomysłów, wypowiedzianych w liście do redakcyi „Niwy“ o upadku większych posiadłości ziemskich. Parcelacya, zakładanie spółek rolniczych i towarzystw wzajemnej pomocy — oto główne środki podniesienia się ze stanu rozpaczliwego, w jakim szlachta średnio zamożna w Królestwie się znalazła po uwłaszczeniu chłopów. Przytem oczywiście czynne wzięcie udziału w gospodarce zarówno przez mężczyzn jak przez kobiety, zaprowadzenie ścisłej rachunkowości, oszczędność, wyrzeczenie się zbytkowych uczt, bezpotrzebnych przejażdżek do miejsc kąpielowych, przedstawione zostały jako środki pomocnicze w podźwignięciu gospodarstw wiejskich. Jaki stosunek do ludu? Starać się o jego oświecenie, wciągać go do wspólnej pracy wykazywaniem namacalnego pożytku, ale nie kaptować dla jakichś dalekich, idealnych celów. „My nie mamy ani zamiaru, ani ochoty przyciągać ich (t. j. wieśniaków) do siebie. Specyalne przyciąganie lub kaptowanie w naszym programie nie leży, lecz cywilizacya. Jeżeli lud przez cywilizacyę zbliży się do nas, wtedy, mam nadzieję, nie odepchniemy go, a on się przy lada sposobności nie odsunie. Lecz całą pracę koło ludu

zakładać na przyciąganiu go — po co, na co i dlaczego — sądzę, jest to fałszywa zasada i nie prowadząca do celu. Kaptować lud idealnie, to już rzeczy zwietrzałe i niepraktyczne. Trzeba dać sąsiadom naszym i ludowi możność dźwigania się, postępu, czyli trzeba naprzód dać, a potem dopiero żądać“ (str. 286).

Powieść składa się z dwu części, z których pierwsza maluje starcie się nowych poglądów na zadania gospodarcze i społeczne z nałogami, przyzwyczajeniami i przesądami tradycyjnemi; druga zaś kreśli obrazek już w praktykę wchodzących tych nowych poglądów, przyczem reformatorzy niewiele znajdują przeciwieństw i łatwo je pokonywają. W pierwszej części jest dużo ładnie napisanych scen, a figura właściciela dóbr zadłużonych, pana Stefana Czyżowskiego, z całą jego świetnością zewnętrzną, dobrocią serca, swadą oratorską, wystawiona jest nie ze strony karykaturalnej, lecz sympatycznej, bez przemilczenia jednak zasadniczych wad tradycyjnego usposobienia i nałogów. Epizod w Szczawnicy, gdzie panny Czyżowskie szukają bogatych kawalerów z imieniem, należy do najlepszych. Charakterystyka światka szczawnickiego wyborna. Druga część, która istnienie swe zawdzięcza nie obserwacyi rzeczywistości, lecz pragnieniu nakreślenia wzoru, według którego mogłyby się przedsiębrać kroki ku polepszeniu stanu majątkowego, przypomina dydaktyzmem swoim dawniejsze utwory tego rodzaju, jak „Pan Podstolic“ Massalskiego, lub „Dziwadła“ Kraszewskiego, „Wnuk Chorążego“ Jeża, ale nie jest przeciążona technicznemi szczegółami, jak „Rozbitek“ Kaczkowskiego. Jasne strony przedsięwzięcia młodych reformatorów (Stanisława Dobiesławskiego, Adama Czyżowskiego) są w celach tendencyjnych wysunięte naprzód; autor nie chciał doprowadzać sytuacyj do tragizmu. Charaktery są mało pogłębione, są to raczej szkice tylko, i choć książka jest spora, strona zewnętrzna, drobne scenki ją wypełniają przeważnie, a rozwój duchowy osób mało uwzględniony. Powieść czyta się z zajęciem, ale silniejszego wrażenia nie zostawia po sobie.

„Pozytywizm w praktyce“ przedstawia ziemianina, który głośno się popisuje takiemi hasłami, jak: wyrachowanie, oschłość serca, interes osobisty, gromadzenie grosza, lecz w gruncie rzeczy jest charakterem uczciwym, a nawet uczuciowym, i pod wpływem miłości ten grunt wewnętrzny wydobywa się na jaw.

„Pan Piotr“ — to starannie wykończony wizerunek człowieka, który dla zaszczytu kłaniania się wielkim panom i paniom, dla przyjemności raczenia się u nich obiadami czy kolacyami, oddaje im na usługi swój czas, swój niewielki zresztą sprycik, swoją całą osobę — i otrzymuje za to w końcu, gdy wynik starań jego okazał się niepomyślnym, wzgardliwy uśmiech i wypowiedzenie wstępu do salonów. W szczegółach jest to figura zupełnie nowa w belletrystyce naszej i wykonana wybornie.

„Z sennego przypomnienia“ — to słoneczny obrazek miasta i wsi, a zwłaszcza wsi, widziany przez pryzmat 16-letniego umysłu, pełnego zapału, uniesień, mającego głębokie poczucie moralne, zrzucającego powoli obsłonki sentymentalno-romantyczne, ażeby przejść do realniejszego zapatrywania się na stosunki ludzkie. Jazda bryką żydowską, udział w żniwach, polowanie, czytanie „Jaryny“ Kraszewskiego, miłość do 14-letniej Maryni — wszystko to prześlicznie opowiedziane.

„Słowa a czyny“ (Warszawa 1890) przedstawiają kilka ważnych a znamiennych rysów z życia Galicyi współczesnej, z jej stosunków autonomicznych. Najświetniej nakreślonym jest tu pan marszałek powiatowy, Rembowski, z sercem poczciwem i szlachetnem, ale z głową słabą, przejętą wszakże największem dla siebie uznaniem. Stara się on o wszystkie dostojniejsze stanowiska w powiecie, biorąc na swe barki ciężar nad siły, pragnąc wszelkiemi sposobami pozyskać sobie popularność wśród szlachty, a zaniedbując własne gospodarstwo, które grozi rychłą ruiną. Na każde wystąpienie publiczne ma on gotowe frazesy, które powtarzając tysiąckrotnie nietylko się nie znużył, lecz owszem upaja się niemi nawet wówczas, gdy je sam przed sobą wygłasza. Przywykł do dobrodusznego pozowania, nie

zakładać na przyciąganiu go — po co, na co i dlaczego — sądzę, jest to fałszywa zasada i nie prowadząca do celu. Kaptować lud idealnie, to już rzeczy zwietrzałe i niepraktyczne. Trzeba dać sąsiadom naszym i ludowi możność dźwigania się, postępu, czyli trzeba naprzód dać, a potem dopiero żądać“ (str. 286).

Powieść składa się z dwu części, z których pierwsza maluje starcie się nowych poglądów na zadania gospodarcze i społeczne z nałogami, przyzwyczajeniami i przesądami tradycyjnemi; druga zaś kreśli obrazek już w praktykę wchodzących tych nowych poglądów, przyczem reformatorzy niewiele znajdują przeciwieństw i łatwo je pokonywają. W pierwszej części jest dużo ładnie napisanych scen, a figura właściciela dóbr zadłużonych, pana Stefana Czyżowskiego, z całą jego świetnością zewnętrzną, dobrocią serca, swadą oratorską, wystawiona jest nie ze strony karykaturalnej, lecz sympatycznej, bez przemilczenia jednak zasadniczych wad tradycyjnego usposobienia i nałogów. Epizod w Szczawnicy, gdzie panny Czyżowskie szukają bogatych kawalerów z imieniem, należy do najlepszych. Charakterystyka światka szczawnickiego wyborna. Druga część, która istnienie swe zawdzięcza nie obserwacyi rzeczywistości, lecz pragnieniu nakreślenia wzoru, według którego mogłyby się przedsiębrać kroki ku polepszeniu stanu majątkowego, przypomina dydaktyzmem swoim dawniejsze utwory tego rodzaju, jak „Pan Podstolic“ Massalskiego, lub „Dziwadła“ Kraszewskiego, „Wnuk Chorążego“ Jeża, ale nie jest przeciążona technicznemi szczegółami, jak „Rozbitek“ Kaczkowskiego. Jasne strony przedsięwzięcia młodych reformatorów (Stanisława Dobiesławskiego, Adama Czyżowskiego) są w celach tendencyjnych wysunięte naprzód; autor nie chciał doprowadzać sytuacyj do tragizmu. Charaktery są mało pogłębione, są to raczej szkice tylko, i choć książka jest spora, strona zewnętrzna, drobne scenki ją wypełniają przeważnie, a rozwój duchowy osób mało uwzględniony. Powieść czyta się z zajęciem, ale silniejszego wrażenia nie zostawia po sobie.

„Pozytywizm w praktyce“ przedstawia ziemianina, który głośno się popisuje takiemi hasłami, jak: wyrachowanie, oschłość serca, interes osobisty, gromadzenie grosza, lecz w gruncie rzeczy jest charakterem uczciwym, a nawet uczuciowym, i pod wpływem miłości ten grunt wewnętrzny wydobywa się na jaw.

„Pan Piotr“ — to starannie wykończony wizerunek człowieka, który dla zaszczytu kłaniania się wielkim panom i paniom, dla przyjemności raczenia się u nich obiadami czy kolacyami, oddaje im na usługi swój czas, swój niewielki zresztą sprycik, swoją całą osobę — i otrzymuje za to w końcu, gdy wynik starań jego okazał się niepomyślnym, wzgardliwy uśmiech i wypowiedzenie wstępu do salonów. W szczegółach jest to figura zupełnie nowa w belletrystyce naszej i wykonana wybornie.

„Z sennego przypomnienia“ — to słoneczny obrazek miasta i wsi, a zwłaszcza wsi, widziany przez pryzmat 16-letniego umysłu, pełnego zapału, uniesień, mającego głębokie poczucie moralne, zrzucającego powoli obsłonki sentymentalno-romantyczne, ażeby przejść do realniejszego zapatrywania się na stosunki ludzkie. Jazda bryką żydowską, udział w żniwach, polowanie, czytanie „Jaryny“ Kraszewskiego, miłość do 14-letniej Maryni — wszystko to prześlicznie opowiedziane.

„Słowa a czyny“ (Warszawa 1890) przedstawiają kilka ważnych a znamiennych rysów z życia Galicyi współczesnej, z jej stosunków autonomicznych. Najświetniej nakreślonym jest tu pan marszałek powiatowy, Rembowski, z sercem poczciwem i szlachetnem, ale z głową słabą, przejętą wszakże największem dla siebie uznaniem. Stara się on o wszystkie dostojniejsze stanowiska w powiecie, biorąc na swe barki ciężar nad siły, pragnąc wszelkiemi sposobami pozyskać sobie popularność wśród szlachty, a zaniedbując własne gospodarstwo, które grozi rychłą ruiną. Na każde wystąpienie publiczne ma on gotowe frazesy, które powtarzając tysiąckrotnie nietylko się nie znużył, lecz owszem upaja się niemi nawet wówczas, gdy je sam przed sobą wygłasza. Przywykł do dobrodusznego pozowania, nie

wet z żywiołem sztuki. Podobnie postępował ze światem szlacheckim, artystycznym i żydowskim.

W najnowszym utworze, który podczas pojawiania się swego w odcinkach „Kurjera Warszawskiego“ żywe budził zajęcie, powiodło się Sewerowi trafić, szczęśliwem przeczuciem talentu, na całkiem prawie nieuwzględnione pole. Olbrzymio rozrastający się w Galicyi przemysł naftowy służył dotychczas zaledwie do krótkich, komicznych lub satyrycznych scenek (u A. Wilczyńskiego, u Z. Niedźwiedzkiego), z poważnej atoli strony nie pochwycił go żaden powieściopisarz. Sewer pierwszy odczuł i zrozumiał jego stronę ciekawą, zajmującą i znamienną pod względem artystycznym. Bo jak wszędzie, tak i tutaj autor nasz nie lubi tracić z oczu znaczenia społecznego wziętych do obrobienia tematów, na pierwszym jednak planie postawił względy psychologiczno-artystyczne. Zna on niewątpliwie doskonale całą doniosłość wytwórczości naftowej dla ogólnej ekonomii kraju, zna tę splątaną sieć interesów, jaka się wytworzyła pod wpływem walki konkurencyjnej i starającej się ją regulować administracyi; zna te okoliczności, które wytworzyły względną drożyznę nafty w jej naturalnej ojczyźnie; ale nie ta strona pociągnęła ku sobie powieściopisarza. On się nie wdaje w rozprawy o znaczeniu przemysłu naftowego i jego stosunku do innych dziedzin pracy ekonomicznej; nie wchodzi nawet w szerokie malowanie kształtów, jakie on przybrał w różnych okolicach kraju i pod wpływem różnorodnych czynników. Bo Sewera wabi ku sobie przedewszystkiem malownicza strona przedmiotu: jak wygląda krajobraz, wśród którego rozwinęła się kopalnia, jakie są szczegóły znamienne samego wydobywania nafty z ziemi, jak mieszkają, jak się ubierają, jak mówią, jak się zachowują ludzie, którzy się w ostępach zazwyczaj leśnych osiedlili, by w życiu prostem, najniezbędniejsze tylko zadawalniającem potrzeby, skarby z głębin gruntu wyławiać. Następnie dopiero interesują go pytania: jakie uczucia, jakie myśli zajmują owych ludzi, jak się pod wpływem tej specyalnej pracy przetwarzają usposobienia, nałogi, charaktery,

jak słowem wygląda dusza, na którą oddziaływają te nowe zewnętrzne czynniki.

To też w opisie tła, na którem rozgrywają się wypadki, znać zamiłowanie autora. Nie są to opisy szablonowe, w którychby jeden szczegół po drugim protokularnie był zamieszczony, lecz kreśli je powieściopisarz po malarsku z pewnego punktu widzenia, w pewnem oświetleniu, w łączności z uczuciami, jakie w danej chwili widzem miotają. Tak się nam przedstawia Podniebie, miejscowość środkowa, że tak powiem, w utworze, tak mieszkanie Stefana, tak pierwsze zapoznanie się Zygmunta z robotami; tak następnie Taraszówka i Podgrodzie, dokąd rozwijające się wciąż interesa spólników naftowych prowadzą. Nigdzie suchego, niemalowniczego słowa, nigdzie obrazu ni frazesu spowszedniałego w przedstawieniu natury. Autor okiem artysty przypatruje się rzeczom i zjawiskom, wschodom i zachodom słońca, poświacie księżyca, wsłuchując się w szmery i szumy borów, w dudnienie gazów prących naftę w szybach, w światła i ognie zapalonych beczek na przyjęcie gości — a robi to wszystko najprzód dlatego, że lubi naturę, a powtóre dlatego, że te szczegóły wywierają swój wpływ mniej lub więcej silny na wielce wrażliwe usposobienie głównej osoby w powieści, Zygmunta, którego dzieje stanowią więź psychologiczno-artystyczną całości.

Zygmunt ten — to dziecko salonów, to spadkobierca wiekowych tradycyj rycerskich, zmuszony do szukania środków utrzymania wykwintnego w pracy, to wreszcie wychowaniec czasów najnowszych, kultury wyrafinowanej, z przedrażnionemi nerwami, z wielkiemi pożądaniami, z umysłem wyostrzonym, zmysłami jeszcze nie stępionemi, a sercem zatrutem widokiem interesowności i upodlenia. Miał on chwilowo zamiar zostania uczonym, by zająć przy pomocy protekcyi katedrę akademicką; ale widząc, że bez uniżenia się i zaprzedania poglądów swoich wpływowemu stronnictwu, osiągnięcie owej katedry byłoby niemożliwem, rzucił Kraków i deklamując ustępy z pesymisty francuskiego o śmierci, blizkim był samobójstwa, gdyby reszta

energii i niezużytych sił młodości nie kazały mu zagrzebać się w kopalni nafty, gdzie miał z namowy przyjaciela, Stefana, umieszczony szczupły fundusik.

Tu właśnie rozpoczynają się dzieje przemiany wewnętrznej tego pesymisty salonowego. Zrazu wszystko mu jest wstrętnem: od ubogiej izdebki do nader powolnego posuwania się robót w kopalni, prowadzonych w sposób jak najprostszy z powodu braku środków. Marzeniem jego jedynem jest doczekać się znaczniejszej gotówki i umknąć z nią w świat, do którego przywykł, bez którego żyć mu niepodobna. Przejścia od pesymistycznego nastroju do wesołości i żądzy pracy w miarę rodzących się, lub zamierających nadziei co do szybu naftowego, są wybornie odmalowane, zwłaszcza w ciągłem przeciwstawieniu do zahartowanego w pracy Stefana, który niczem zniechęcić się, niczem odstraszyć nie daje, umiejąc zawsze obudzić w przyjacielu odrobinę energii. I to jest rysem dobrym, że w chwili wyczerpania gotówki, kiedy Stefan zrezygnowany nie widzi przed sobą innej drogi nad opuszczenie kopalni i poszukanie pracy w innej, w Zygmuncie powstaje wskutek przeciwieństwa chęć wytrwania na miejscu i poruszenia wszelkich środków, by rozpoczęte dzieło dalej poprowadzić. Rozumie się, jest to chwilowy tylko wybuch zapału, w którym miłość własna, chęć pokazania, że się przecież na coś przydamy, niemałą odgrywa rolę. Po tym wybuchu, gdyby z niego nie umiał był skorzystać Stefan, przyszłoby zobojętnienie i może — samobójstwo. W skutkach wybuch ten okazał się nader szczęśliwym: pozwolił doczekać się obfitego wytrysku nafty i — co dla Zygmunta najważniejsza — gotówki. Z 50.000-mi mógł opuścić kąt zapadły, by wchłonąć trochę zaraźliwych powiewów cywilizacyi wielkomiejskiej. Zakiełkowało już w nim jednakże ziarenko wrzucone przez Stefana i współudział w jego pracy. Gdy się na kolei spotkał z Amerykanami — żywo i barwnie nakreślonymi, choć trochę zbyt jednostajnymi — którzy mu zaproponowali spółkę w interesie naftowym, nie zawahał się ani chwili w przystąpieniu do niej z kapitałem 40.000. Z resztą jedzie do Krakowa,

by tam zabłysnąć wśród dawnych znajomych swoich, doznać owacyjnego przyjęcia i dla spłatania figla swoim arystokratom... uciec do Wiednia z aktorką Nelą — przepysznie odmalowaną histeryczką, która już po tygodniu lgnie do udanego marnotrawcy vice-konsula, bawiącego ją swemi błazeństwami.

Wydawszy pieniądze, wraca Zygmunt do Podniebia, gdzie przebywa drugą fazę swej przemiany. Nabrał gruntownego przekonania o fałszu tej sfery, z której wyszedł, a która pięknemi wojuje frazesami, by jak najpospolitsze osiągać cele; znużył się miłością histeryczki; zapragnął mieć miliony, może po części, ażeby niemi biedzie ogólnej dopomódz, ma bowiem skłonności sympatyczne żywo rozwinięte, ale przeważnie na to, ażeby należycie upokorzyć tych, co mu jego nafciarstwo przebaczali... dla dużych pieniędzy. Więc nie zamarł w nim jeszcze zupełnie stary człowiek; jeszcze miłość własna i nadzieja podeptania obłudnych przyjaciół stanowią główny motyw jego postępowania. Bądź co bądź jednak nabrał już zamiłowania do pracy; nie tak łatwo jak poprzednio daje się zniechęcać, nie tak często pesymizm Leconte'a de l'Isle wybiega mu na usta. Owszem, rozwija nader ruchliwą działalność, nabywa nową kopalnię (do spółki z Amerykanami) w Podgrodziu, zapoznaje się tam z panną Maryą, energiczną, śmiałą, przedsiębiorczą panną, która danych za prawo kopania nafty pieniędzy używa na oczyszczenie majątku, oraz na założenie szkoły koszykarstwa i sklepu dla włościan z usunięciem karczmarza. Przy tej sposobności zapoznajemy się z wybornie nakreśloną figurą mniemanego „obrońcy ludu“, Prawdzica, skopiowaną z natury, a tak charakterystyczną w słowach, zachowaniu się, sposobie postępowania, że do najznakomitszych postaci Sewera zaliczyć ją należy.

Dla Maryi żywi Zygmunt uczucie serdeczne, ale nieuświadomione należycie i przytem dawniejsze jego nałogi, obawa spadnięcia w opinii społecznej przez ożenienie się ze szlachcianką, niechęć krępowania sobie swobody ruchów sprawiają,

że puszcza tę sprawę w odwłokę, a sam, zabrawszy tym razem tylko 3000, jedzie powtórnie do Krakowa, gdzie go ciotka swata z księżniczką, a wszystkie utytułowane piękności (w kilku dobrze skreślonych odmianach) narzucają mu się niemal. Zygmunt nie czuł dla żadnej szczerszego pociągu: jedna zachwycała go swym powabem zmysłowym, druga czarowała posągowością kształtów; miło mu było tryumfować, choć korzystać z tryumfu nie pragnął. A jednakże ta żądza błyśnięcia swoją osobistością na tle milionów pozbawiła go prawdziwego szczęścia może na zawsze — zakrwawiła serce Maryi.

W trzeciej fazie rozwoju Zygmunta spotyka go szereg niepowodzeń. Wszystkie kopalnie zawodzą. Potrzeba wielkiego kapitału, ażeby przetrzymać złe czasy. Kredyt wyczerpany. Stefan opuszcza Podniebie, ażeby gdzieindziej rozwinąć niestrudzoną działalność, Zygmunt zostaje tylko z Amerykanami. Wytęża wszystkie siły, ażeby przyprowadzić interesa do dobrego stanu. Naprożno. Suma, ofiarowana przez Maryę, możeby go uratowała, ale on jej przyjąć nie chce i nie może; czuje się winnym, a za dużo ma dumy, ażeby zawdzięczać los swój kobiecie, której uczuciem wzgardził. Trzeba kopalnie sprzedać ze stratą, ażeby choć cośkolwiek ocalić. Ale Zygmunt już teraz jest zupełnie z pesymizmu wyleczony i do pracy zaprawny: odtąd wraz z Stefanem będą nierozłącznymi towarzyszami, dla których wysiłki niezmordowane staną się hasłem.

Nie będą to jednak groszoroby. Stefan przez lat dwadzieścia pracował niestrudzenie, ale majątku nie zebrał, bo nie „interes“ tylko osobisty był jego celem; przyświecała mu myśl dźwignięcia kraju z biedy, dlatego zawsze przed oczyma jego roztwierały się szerokie widnokręgi. Nie zrobił wiele — to prawda, bo któż się u nas pochwalić może, iż urzeczywistnić zdołał pomysły o skali rozległej; ale że bogactwo krajowe wzrosło, to takim jak Stefan zawdzięcza, gdy przeciwnie tacy spekulanci-oszuści, jak ten pan baron z Wiednia, którego sylwetkę Sewer nakreślił w II-gim tomie, przeszkadzają jego rozwojowi.

Wpływ przemysłu naftowego na ludność okoliczną przeważnie z dodatniej strony przedstawił nasz powieściopisarz. Wzmożenie się bogactwa wśród górali, wytworniejsze wymagania w przystrojeniu domu, zaprzestanie lub umniejszenie użycia wódki, której miejsce zastępuje herbata z arakiem, żywość, wesołość, pogodniejsze usposobienie, ochocza zabawa — oto główne objawy, jakie nam Sewer odmalował, mówiąc o roboczej ludności w kopalniach. Co prawda, stosunek tu jeszcze patryarchalny i niema śladu kapitalistycznego ustroju. Stefan i Zygmunt obchodzą się z robotnikami jak z ukochaną czeladką, wierną i ufną. Zapewne nie jest tak wszędzie, ale że tak bywa jeszcze do tej pory, można chyba zmysłowi obserwatorskiemu Sewera zaufać.

Prócz ludności roboczej, z pomiędzy której Rębacz i jego żona najświetniej zostali nakreśleni, Sewer dał zarysy trzech osobistości, porosłych w bogactwo z powodu nafty. Jeden — to chłop mało ukształcony, ze wszystkiemi śmiesznościami dorobkiewicza, z charakterystyczną obłudą (Adolf Kotula); drugi — to chłop także, ale zamiłowany w książkach, prenumerujący gazety, lubiący prawdziwy porządek i istotną wygodę, rozumny, pracowity (Tomasz Wojnar); trzeci — przebiegły i przewrotny geszefciarz naftowy, zgoła o życiu umysłowem nie myślący, ale ambitny, pragnący ożenić swego syna ze starą szlachcianką (Kwiatkiewicz). Rozwinięcie tych postaci i związanie ich z akcyą byłoby wielce pożądanem dla urozmaicenia wątku powieściowego.

Wykonanie utworu tryska życiem, przypominającem pod względem stylu najświetniejsze dzieła Sewera; szczególniej wszystkie ustępy, odnoszące się do scen w kopalni, są nacechowane energią i werwą niepospolitą. Co do kompozycyi, możnaby zrobić parę uwag, odnoszących się do niezawsze szczęśliwego ustosunkowania części składowych; jedne bowiem są więcej, drugie mniej rozwinięte; ale ponieważ całość zajmuje, ponieważ jest pomyślana jędrnie i przeprowadzona konsekwentnie, byłoby rzeczą niestosowną rozwodzić się tu nad drobiazgami.

Mówiąc wogóle, talent naszego powieściopisarza dzielny, prawdziwie męski, zupełnie wolny od sentymentalności, pogodny, woli przedstawiać jaśniejsze strony życia, a przynajmniej oświetlać je częściej niż ponure i groźne objawy, lubo tychże nie przeocza bynajmniej. Tym sposobem stanowi on kontrast dodatni względem tych kraczących pesymistów, których, jak na potrzeby nasze, jest trochę za dużo.

1894.

IV.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(BOLESŁAW PRUS).

Bolesław Prus należał i należy do pisarzów, którzy w puste frazesy bawić się nie lubią. Na dnie wszystkich niemal jego utworów leży jakaś myśl głębsza, nieraz dziwna i paradoksalna, lecz tryskająca życiem, dotykająca ważnych spraw społecznych, lub też tajemniczych stron duszy człowieka.

Umysł jego, lubiący i umiejący obserwować, zasilony nauką może niezbyt rozległą, ale dobrze przetrawioną, skłonny do kombinacyj oryginalnych, a mający żyłkę satyryczną potężnie rozwiniętą; serce pełne współczucia dla wszelkiej niedoli i cierpienia, lecz z powodu owej satyrycznej żyłki chętnie przywdziewające maskę humoru; fantazya, pomimo zabarwienia realistycznego, prawdziwie poetyczna — składają się na wytworzenie fizyognomii duchowej nadzwyczaj ciekawej, pociągającej i sympatycznej, i na powstawanie dzieł, które myślą i wykonaniem wzbijają się wysoko ponad poziom przeciętnych wytworów literackich i docierają niekiedy szczytów mistrzowstwa.

Wśród tych cennych przymiotów powieściopisarskich pojawiały się dość często wady, wynikające głównie z nieutrzymania miary artystycznej w doborze środków przedstawienia myśli, z niepowściągliwości zwłaszcza w użyciu niewybrednego dowcipu i z niedomagań wreszcie plastyki w malowaniu postaci i sytuacyj. Wady te sprawiały, że żadnego z utworów Prusa nie można było nazwać arcydziełem, ale żadnemu prawie

nie odbierały własności, która w artyzmie ma najwyższe znaczenie — nie odbierały prawdy życia.

Długo mieliśmy sposobność robić te spostrzeżenia na szkicach, obrazkach i nowellach, ale od r. 1884 mamy już większe powieści, w których stosunki wieśniacze, mieszczańskie, szlacheckie, prowincyonalne i stołeczne traktowane są szeroko, chociaż w sposób właściwy autorowi, t. j. za pośrednictwem drobnych rysów, składających się na odtworzenie osób i rzeczy w pewnej chwili, w pewnym nastroju.

Warto się w głównych przynajmniej rysach przyjrzeć stopniowemu a powolnemu pochodowi talentu tak wyrazistego, poczynając od utworów błahych, lub nader słabo ukształtowanych, aż do mistrzowstwa w niektórych dziedzinach twórczości.

I.

Zaczerpnijmy najprzód trochę szczegółów biograficznych, o ile one przez samego Prusa zostały ujawnione.

Otoczenie najbliższe w latach dziecinnych, stosunki rodzinne Aleksandra Głowackiego nie są nam znane; dopiero okres szkolny, przypadający na czasy, pełne ruchu i zmian bardzo ważnych i bardzo wpływowych, odmalował dosadnemi rysy on sam, pisząc w „Kurjerze Codziennym“ swoje „Słówko o krytyce pozytywnej“. Sądzę, że czytelnicy nie wezmą mi za złe, gdy ze szpalt dziennika przeniosę tu kilka ustępów, charakteryzujących ówczesne pokolenie młodzieży w obrębie gimnazyum lubelskiego, pisanych nie zawsze poprawnym językiem, ale zawsze energicznym stylem.

„Głowacki uczęszczał do szkół od r. 1856 do 1866, co już wskazuje, że należał do tej interesującej grupy młodzieńców, która w poziomym języku profesorów nazywała się próżniakami i urwisami. Takiem było prawie całe ówczesne poko-

lenie... Uczyli się lekcyi niezbyt chętnie, dokazywali okropnie, chociaż bardzo rzadko złośliwie. Palant, wagusy, łyżwy, kąpiele, bitwy, wrzaski, strzelanie, fechtunek na kije więcej zajmowały tych chłopców, aniżeli szkoła. Najulubieńszą rozrywką były bitwy glinianemi bryłami, staczane w sekrecie za lubartowską rogatką. Co się zaś tam działo, objaśni fakt, że we wrześniu 1860 roku, przy zdobywaniu spadzistych pagórków, kilkudziesięciu chłopców było pokrwawionych i posinionych, a jeden we dwa tygodnie umarł, nie powiedziawszy słówka ani rodzicom, ani nauczycielom.

„Chłopcy ówcześni były to lwie szczenięta, dzieci rasy wojennej i barbarzyńskiej, w których szkoła za pomocą żelaznej karności przerabiała potężny zapas sił muskularnych na pracę umysłową — cywilizowała ich. W klasie 6-tej i 7-ej była już młodzież ucywilizowana. Mimo to, spora ich liczba biegała na kilkomilowe spacery, chodziła po dachach, wdrapywała się na drzewa i wieże, włóczyła się nocami po cmentarzach, jak waryaci. Miłe te chłopaczki tylko w czasie pauzy znajdowali się na środku klasy, przy tablicy; lecz podczas lekcyi cała gromada tak dokładnie kryła się gdzieś w ostatnich ławkach, że trzeba ich było szukać, jak szpilkę w stogu.

„Dodajmy jednak, że nadmiar sił, na który chorowała ówczesna młodzież, manifestował się także prędkiem uczeniem się lekcyi, łatwem przygotowywaniem się do egzaminów i pracą wybiegającą poza ramy szkolnego programu... Trudno opowiedzieć, ile energii, intelligencyi, zapału i najszlachetniejszych uczuć płynęło w tej dzielnej młodzieży. A ile tam było wiedzy i pracy! Czytano, nie romanse, jak w niższych klasach, ale ekonomię, statystykę, psychologię, historyę filozofii Schweglera, mechanikę, rachunek różniczkowy, filozofię historyi Vico, dzieła Śniadeckich; znano też Renana i nawet coś słyszano o Darwinie. Rozprawiano o Bogu, duszy, czasie i przestrzeni, o nadużyciach szlachty, nędzy chłopów, położeniu żydów i t. d.... Godnemi uwagi były potężnie rozwinięte wśród tych chłopców instynkta społeczne. Trzy wyższe klasy żyły ze sobą za pan

brat; urządzano spacery, zbiorowe powtarzanie lekcyi, wydawano nawet jakiś świstek p. t. „Głos z kąta“. Naturalnie, że chciano bryłę świata nowemi pchnąć tory, że każdy myślał o jakiemś stanowisku w przyszłości, lecz przytem chodziło mu nie tyle o karyerę osobistą, ile o oddanie największych usług społeczeństwu.

„Wśród tej młodzieży, kipiącej życiem, Głowacki był nie gorszy i nie lepszy od innych, tylko trochę starszy i doświadczeńszy. A ponieważ każdy z nich miał jakąś oryginalną cechę umysłową, więc i on ją miał. Był to fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych. Więc wykładał na prawo i lewo, że wszystko jest głupstwem i kłamstwem, czego nie można wyliczyć i zważyć, a przynajmniej zaobserwować. Ulubionem jego marzeniem było sprowadzić wszystkie nauki do metod i form matematycznych, a cały język — do formuł algebraicznych, dziwactwo, o którem jednak myśleli bardzo przytomni ludzie... Z upodobaniem uczył się on statystyki, bo w niej były cyfry, czytał ekonomię Milla, wykładaną jak geometrya, i ekonomię Roschera, gdzie znowu były cyfry. Z wielkim zaś zapałem studyował logikę, która tłómaczyła metody dedukcyjne i indukcyjne, a dzięki logice — psychologię“.

W charakterystyce tej usposobienia swego odsłania Prus istotnie dwa zasadnicze czynniki swojej umysłowości, a następnie i twórczości, które rozmaicie się co prawda kombinowały, różny stopień natężenia posiadały i w bardzo odmiennych przejawiały się kształtach, ale które w ostatecznej analizie wszędzie odnaleźć się dają. Czynnikami temi są: wybujała wyobraźnia, oraz skłonność do ścisłości bodaj matematycznej. Takie dwie właściwości nie często się spotykają razem skupione u jednego człowieka, zdają się nawet wyłączać się nawzajem; lecz jeśli kiedy spotykają się z sobą, muszą nieodwołalnie wydać jakieś niepospolite zjawisko. Jakie-takie zharmonizowanie tych dwu potęg jest rzeczą niełatwą i dlatego rozwój twórczości umysłów, w których one władają, bywa powolnym i odznacza się niejednokrotnie wielkiemi niespodziankami. U nas najwy-

bitniejszy przykład takiego połączenia wielkiej fantazyi i wielkiej ścisłości dał Hoene-Wroński, znakomity matematyk, niepospolity filozof, mistyk i prorok, którego życie i działalność były szeregiem przejść nadzwyczajnych. Na mniejszą skalę podobneż objawy znaleźć można u paru naszych myślicieli i powieściopisarzy, jak Karol Libelt, T. T. Jeż.

U Głowackiego fantazya w latach szkolnych przejawiała się w wesołości szczerej i wrzawliwej, oraz w figlach do spółki z kolegami dokonywanych; skłonność zaś do ścisłego myślenia w zamiłowaniu wszystkiego, co w cyfry ująć się dawało. Oba usposobienia nie łączyły się jeszcze z sobą, można powiedzieć, szły równolegle. Gdy przybył do Warszawy w r. 1866, jako „fanatyk matematyki“, zapisał się na wydział fizyczno-matematyczny w Szkole głównej i przez dwa lata poświęcał się gorliwie tym studyom specyalnym; wesołości zaś swojej dawał ujście na zebraniach koleżeńskich, które się grupowały zazwyczaj wedle znajomości, zawartych dawniej na ławach gimnazyalnych.

Przebywał więc najczęściej w tem samem mniej więcej otoczeniu, co w ostatnich dwóch latach w Lublinie. Ale oczywiście nie mógł nie odczuć prądu ogólniejszego, jaki się wtedy wśród młodzieży objawiać zaczął pod wpływem lektury głośnych wtedy autorów zagranicznych. W prądzie tym było bardzo dużo pierwiastków, które przypadały wybornie do umysłowości Głowackiego; opierał się on bowiem na uznaniu zdobyczy naukowych, osiągniętych drogą obserwacyi i doświadczenia, chętnie przybierając nazwę „pozytywnego“, lubo bynajmniej nie utożsamiał się z pozytywizmem Augusta Comte'a. Młodzież rwąca się do pióra, żądna wypowiedzenia świeżo przyswojonych poglądów, znalazła w jednem z czasopism ówczesnych, w „Przeglądzie Tygodniowym“, możność swobodnego wypisania się — nic więc dziwnego, że się tam pogarnęła. Jeden z kolegów i przyjaciół Głowackiego, Julian Ochorowicz, już od r. 1867 był współpracownikiem „Przeglądu“; rzecz więc naturalna, że czasopismo to nie mogło pozostać obcem Głowackiemu, tem

bardziej, że wogóle wśród młodych cieszyło się ono uznaniem i poczytnością. Zajęty wtedy naukami ścisłemi, a z filozoficznych zajmujący się logiką Milla, Głowacki pomieszczał w „Przeglądzie“ sprawozdania z ruchu naukowego, nie podpisując atoli artykułów i wogóle nie biorąc publicznie słowem pisanem udziału w walce dziennikarskiej, jaka się od r. 1871 zawiązała pomiędzy „młodymi“ i „starymi“. Jak się w samych początkach tej walki zapatrywał na nią Głowacki, o ile z nią sympatyzował, a o ile potępiał, trudno określić stanowczo, gdyż bezpośrednich w tej mierze wiadomości nie mam. Zdaje się jednakże, iż jak w szkołach lubelskich był pomiędzy kolegami „starszym i doświadczeńszym“, tak i wśród grona walczących, pomiędzy którymi znajdował się wspomniany jego przyjaciel, chciał chłodzić zapały młodych swoją trzeźwością i wielką dozą t. zw. zdrowego rozsądku. Zapewne główne zasady i hasła świeżego prądu podzielał, lecz nie chciał się solidaryzować ze sposobami głoszenia ich przez „młodych“. Zajęty wtedy stosowaniem matematyki do logiki i wprawiając się w sztuce pisania przez tworzenie „wykładu logiki popularnej“, nie mógł pochwalać jaskrawych i namiętnych wycieczek przeciwko powagom prawdziwym czy urojonym, rad był widzieć więcej umiarkowania we wszystkiem, co się o „starych“ pisało.

Taki wniosek wyciągnąć można z zachowania się Głowackiego w roku 1872, kiedy powstały dwa nowe organa „młodych“, t. j. świeżo założony dwutygodnik „Niwa“ i zreformowany „Opiekun domowy“, oba w środkach głoszenia zasad demokratyczno-postępowych umiarkowańsze od „Przeglądu“. W obu tych pismach wystąpił Głowacki po raz pierwszy z podpisem i to dwojakim — rzeczywistego nazwiska i pseudonimu. W „Niwie“ pomieścił rozprawę „o elektryczności“ jako Głowacki, w „Opiekunie“ jako Bolesław Prus — „Listy ze starego obozu“. Dwa te artykuły, to jakby dwa oblicza, które współcześnie lub kolejno ukazywał odtąd autor publiczności; jedno poważne, w prawdy ścisłe z miłością wpatrzone i w ich rozpowszechnieniu widzące skutki dla społeczeństwa najpożądańsze; drugie uśmie-

chnięte, nieraz zabawnemi grymasami wykrzywione, ale w gruncie równie poważne i surowe, moralizatorskim i kaznodziejskim duchem nacechowane.

Produkcya literacka Głowackiego i Prusa była z początku, t. j. w roku 1872, bardzo niewielka, a jego wesołość w pierwszym liście ze starego obozu kiedyniekiedy tylko błyskała dowcipem, lub, co częściej bywało, konceptem. Autor nie zakładał sobie jeszcze bynajmniej poświęcić się wyłącznie piśmiennictwu, owszem, działalność w tym kierunku poczytywał za coś przygodnego, pobocznego, zamyślał nawet oddać się pracy na polu techniki; wstąpił jako robotnik do warsztatów Lilpopa i Rau i kilka miesięcy w nich pracował. Dopiero w roku następnym coraz bardziej się przechylał ku literaturze, pisując artykuły wstępne do „Opiekuna domowego“ („Nasi robotnicy“, „Pracownie naukowe prywatne“, „O potrzebie gimnastyki“, „W sprawie opuszczonych“), oraz ogłaszając w nim drugi list ze starego obozu, w którym za pomocą powiastek starał się okazać potrzebę badania życia codziennego, biorąc sobie za dewizę ten aforyzm dowcipnego Chamforta, że „najlepszą filozofią życia jest połączenie wesołego żartu z pobłażliwą wzgardą“. Zdaje się nawet, że *L'épître d'un père à son fils* tego autora była dla Prusa jeżeli nie wzorem, to pobudką do napisania owego listu. Wesołość już tutaj przeważne zajęła miejsce, gdyż przygody roztrzepańca, który na szczegóły życia codziennego nie zwracał uwagi i przypłacał to różnemi przykrościami, wypełniły list prawie cały. Naturalnie, cel moralizatorski był Prusowi ciągle przytomny, a przesada i karykatura w kreśleniu figur i sytuacyj miała, zdaniem niewprawnego jeszcze pisarza, posłużyć do tem dobitniejszego uwydatnienia owego celu. Raz zaś uznawszy przesadę i karykaturę za środek najlepszy wywołania komicznego wrażenia, posługiwał się nim bardzo ochoczo i z wielkiem zamiłowaniem, jakby chwilowo chciał sobie wynagrodzić powagę i ścisłość, którą zachowywał w rozprawach i artykułach naukowo-społecznych. Najjaskrawszym w tym czasie wybrykiem tej nieokiełznanej weso-

łości były „Kłopoty babuni“, nadesłane „Opiekunowi“, ale drukowane w innem t. zw. humorystycznem piśmie. Były one niewątpliwie komiczne, ale komizmem nizkim, przypominającym nieraz manierę Paul de Kocka. Ludzi poza śmiesznemi maskami trudno w nich było rozpoznać.

Wesołość ta wszakże, a czasami dowcip, podobały się i Prus przez rok 1874 był feljetonistą kilku pism od razu. Była to chwila największego rozbawienia się Prusa w literaturze. Zdawało się, jakoby owe figle i psikusy, do których rwał się w szkołach lubelskich, chciał teraz na innej widowni i innemi środkami wyprawiać w piśmiennictwie. Myśl poważna oczywiście istniała w nim i wówczas, ale siedziała przyczajona, drzemała niejako.

Prus w „Słówku o krytyce pozytywnej“ winę tego kierunku w swojej działalności zwala na społeczeństwo, tak jak w „Lalce“ — niepowodzenia Wokulskiego.

„Zabawy i śmiechu szukamy wszędzie: — powiada on — w życiu, w rozmowie, w literaturze. Najwyższą pochwałą dla człowieka w pewnych sferach jest zdanie: ach, jaki on salonowy i dowcipny! a laurowym wieńcem dla autorów pochwała: ach, jak on dowcipnie pisze! Obaj Herschlowie i o. Secchi nie mieliby u nas takiej popularności, tylu słuchaczy i tylu oklasków, ile ich ma komik francuski, podróżujący z lichą trupą. Skutki takiego nastroju są bardzo niedobre. Dowcipny reporter może mieć u nas kilka tysięcy rubli rocznie, gdy znakomici przyrodnicy i matematycy muszą, jak posłańcy, biegać za prywatnemi lekcyami, albo pracować w finansowych instytucyach. Niejeden początkujący dziennikarz wyrobiłby się na użytecznego publicystę, gdyby nie zdemoralizowano go nieustannem żądaniem artykułów sensacyjnych i dowcipnych. Rezultat takiej hodowli da się streścić w kilku słowach: publiczność wywołuje istnienie prasy lekkomyślnej, a ze swej strony prasa podsyca lekkomyślność ogółu“.

Po tych uwagach, którym zasadności i słuszności nikt chyba odmówić nie zechce, Prus mówi o sobie: „Nie wiem, czy

jest w naszej literaturze człowiek, któryby czuł taki wstręt do *dowcipnego* pisania i tyle wycierpiał, co ja, właśnie z powodu wesołego nastroju czytelników. Ileż to razy mówiono mi: mój drogi, daj dowcipną kronikę!... to znaczy to samo, jak gdyby proponowano komuś, ażeby na pewien dzień i godzinę dostał kataru lub wymiotów... Od chwili wejścia do literatury nie ukrywałem antypatyi do bezcelowych konceptów. Podpisywałem się pseudonimem, wprost ze wstydu, że takie głupstwa piszę. Z pewnej gazety, która na gwałt kazała mi być dowcipnym i pisać tylko o pyłkach i drobiazgach życia, wystąpiłem po trzech feljetonach, choć byłem w niedostatku".

W tem przedstawieniu rzeczy za dużo jest nacisku na publiczność i redakcye, a za mało na usposobienie samego pisarza. Rzeczą bowiem jest naturalną, iż wymagać od kogoś dowcipnych kronik wtedy dopiero można, kiedy się już ten ktoś dał w tej mierze poznać. „Kłopoty babuni" nie powstały przecież pod żadnym wpływem redakcyjnym, nie były wywołane żądaniem, ale wypłynęły Prusowi z pod pióra dobrowolnie. Za mało odróżnił autor usposobienie swoje w roku 1890, kiedy pisał słowa powyżej przytoczone, od usposobienia w r. 1873 i 1874, kiedy nakreślone były owe komiczne obrazki i koncepty, które wyszły p. n. „To i owo, właściwie zaś ani to, ani owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci". Prawdą jest, że i na tym zbiorku położył Prus ostrzegającą a znamienną dewizę: „dobry humor jest jak oset: kaleczy przyzwoicie uformowaną gębę... a cieszy osłów"; lecz i ta dewiza była przecie konceptem tylko, w którym zapewne kryła się „pobłażliwa wzgarda" dla amatorów takiego humoru, jaki się w tym zbiorku znajdował, ale w którym równocześnie zaznaczone było lubowanie się w „wesołym żarcie". Żądanie „dowcipnych" kronik zbiegało się w t e d y z nastrojem młodego autora, który poczuwszy w sobie [illegible]ność zużytkowania wielkich zapasów wesołej żartobliwości, rad był się w tym kierunku wypowiedzieć i pokazać wirtuozyę swoją w równoczesnem pisaniu kilku feljetonów.

Powoli junackie to usposobienie ulegało ograniczeniom;

myśl poważna, społeczna, dopominała się praw swoich i zaczęła używać konceptu, dowcipu, ironii, sarkazmu jako przynęty dla czytelników, ażeby przytem włożyć w ich głowy pewną sumę zdrowych poglądów, pożytecznych wiadomości lub zbawiennych projektów. W kronikach, pisanych dla „Kurjera Warszawskiego“, miał przeważnie na celu wyśmianie jakiegoś przesądu lub złego nałogu, zachęcenie do pracy, oszczędności, do rozumnego rachowania się z czasem i siłami, do przenoszenia rzeczy pożytecznych nad przyjemne i piękne tylko. Równocześnie prawie przez półtrzecia roku dawał kroniki miesięczne dla „Ateneum“ (od 1876 do 1878), gdzie już całkowicie mógł się oddać swemu zamiłowaniu do cyfr, zbieraniu danych statystycznych, wyciąganiu z nich wniosków, traktowaniu seryo objawów życia społecznego. Dość przejrzeć którąkolwiek z tych kronik, ażeby nabrać przekonania, że Głowacki (pseudonimem ich nie podpisywał) bardzo pilnie śledził owe objawy i nie poprzestawał bynajmniej na frazeologicznej ich parafrazie, lecz starał się wniknąć w ich głąb i zniewolić czytelników do zastanowienia, do rozwagi. Możnaby nawet powiedzieć, że umyślnie unikał środków zajęcia i zabawienia, ażeby nie rozrywać skupionej uwagi, że zanadto poważnie a nawet sucho traktował sprawy, o których pisał, przeciążając je cyframi. Psychologicznie wyjaśnić to łatwo. Gdy w „Kurjerze Warszawskim“ dał ujście jednej zdolności swojej bawienia i rozśmieszania ludzi, w „Ateneum“ zużytkowywał drugą — robienia spostrzeżeń ścisłych i dokonywania uogólnień. Powtórzyło się to później na większą jeszcze skalę, gdy został redaktorem „Nowin“, gazety codziennej. O ile pamiętam, nie napisał w nich ani jednej dowcipnej kroniki, ale natomiast zapełniał je rozprawami, w których albo figurowały cyfry w wielkiej obfitości, albo też wywody na ścisłem rozumowaniu oparte, dostępne dla tych tylko czytelników, którzy na czas dłuższy skupić potrafią uwagę. Chciał on z dziennika utworzyć obserwatoryum, w któremby dokonywano spostrzeżeń nad życiem społecznem, gdyż dopiero na podstawie całego szeregu dokonanych obserwacyj można

dawać społeczeństwu jakieś wskazówki postępowania. Chybił zapewne Głowacki, pragnąc gazecie taki nadać charakter, ale myśl sama o potrzebie zbierania ścisłych i rzetelnych wiadomości co do objawów życia społecznego jest w zupełności słuszną, stanowi podstawę socyologii.

Wtedy to ułożyły się w umyśle Głowackiego do pewnej równowagi te myśli, które dotychczas ukazywały się odosobnione w jego pismach, i wytworzyły szereg artykułów, ściśle ze sobą się łączących, zebranych następnie w książeczce p. t. „Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa“ (Warszawa 1883). Rozpatrzył tu wszystkie siły i środki materyalne i umysłowe naszego kraju, nakreślił drogi, na których powinny być wyzyskane i zastosowane, wskazał cel, ku któremu dążyć trzeba. W ostatecznym wyniku osądził, że „wartość społeczeństwa nie zależy od obszerności jego terytoryów, ale od ilości przerobionych wytworów natury, nie zależy też od bezwzględnej liczby mieszkańców, ale od stosunkowej ilości jednostek produkcyjnych i od sił, jakie jednostka wkłada w pracę“. Wielkość narodu nie zasadza się „na wymiarach, sławie, narzucaniu się innym, ale na wynalezieniu i utrzymaniu takiego stanu równowagi społecznej, w którymby istniało najwięcej pracy, szczęścia, doskonałości, wymiany usług, a najmniej próżniactwa, cierpień, ułomności i walk“. Wszystkie inne cele — dodaje Głowacki — „są złudzeniami, dowodem dzikości lub obłędu; we wszystkich innych poświęca się rozwój jednych klas dla interesu drugich, treść życia dla formy“. Z tych słów atoli nie należy wyciągać zbyt pośpiesznie wniosku, że autor ma na myśli błogość życia kosmopolityczną. Przeciwnie, Głowacki bardzo silnie akcentuje odrębności narodowe i uzasadnia je pozytywnie. „Ponieważ — powiada — każdy naród jest inną funkcyą warunków rasowych, historycznych, klimatycznych i t. d., więc dla każdego istnieje inne *maximum* rozwoju, każdy musi je wytwarzać sam sobie, żaden nie może kopiować prac, zwyczajów i instytucyj drugiego“.

Poczytując narody za organizmy, autor konsekwentnie

zastosowuje nazwy techniczne w fizyologii przyjęte do oznaczenia różnych czynności społecznych; a przekonany, że jak wszelkie organizmy tak i narody ulegają „pewnym, nieugiętym prawom“, starał się drogą obserwacyi prawa te odkryć i oprzeć swój program na systematycznym wykładzie praw w ten sposób odkrytych. Za przyczynę mnóstwa klęsk społecznych uważał ten fakt, że ludzie wpływowi zamiast odkrywać programy wymyślają je i narzucają społeczeństwu. Skutkiem tego „bardzo często naturalny rozwój społeczeństw ulega zatamowaniu, które następnie wywołuje różnorodne objawy patologiczne“. W tem widzi głęboką różnicę między swojemi poglądami a zapatrywaniami konserwatystów czy postępowców.

O ile Głowacki odkrył jakie prawa rozwoju społeczeństw, niech to ocenią socyologowie; ja poprzestanę na stwierdzeniu zależności Głowackiego, przez niego samego zaznaczonej, od zasad socyologicznych Spencera. On te zasady przyjął w ogólnym zarysie i starał się je zastosować specyalnie w rozbiorze warunków bytu własnego społeczeństwa, oraz w nakreśleniu dla niego drogi dalszego postępowania.

II.

Z potęg estetycznych, które w twórczości Prusa występowały najwydatniej, naprzód objawił się dowcip, a potem dopiero humor.

Dowcip jego z początku miał przeważnie cechy konceptu, t. j. takiego sformułowania pomysłu, które się opiera na dwuznacznikach, na jednakowem brzmieniu wyrazów, mających różne znaczenie, na podstawianiu niezwykłego wykładu terminów, przyjętych w nauce — a zawsze w ten sposób, żeby wywołać wrażenie komiczne. Jeżeli ktoś umyślnie, ze świadomością rzeczy do „stawowatych“ np. zaliczy raki, ryby, kaczki i t. p., ten wypowie koncept, który będąc stosownie i w porę użytym, może wywołać efekt zamierzony. Takich i tym podo-

bnych konceptów pełno jest w początkowych utworach Prusa, a nie brak ich nawet i w najnowszych. Z dowcipem na tym stopniu łączy się najczęściej karykatura, kiedy już nie o zdania idzie, ale o osoby i sytuacye. Polega ona w najlepszej swej formie na takiem wydłużaniu, rozszerzaniu, powiększaniu lub przeciwnie kurczeniu i zmniejszaniu rysów, żeby stąd powstały kształty dziwaczne wprawdzie, lecz mimo to odtwarzające rzeczywistość. Przykłady takich przemian można widzieć w zwierciadłach wklęsłych lub wypukłych. Ponieważ znajduje się to w naturze, ma więc swoje uprawnienie i w sztuce. Są przecie karykatury genialne zarówno w malarstwie, jak w poezyi.

W początkowej twórczości Prusa znajdujemy mnóstwo karykatur, lecz nie odpowiadają one zazwyczaj artystycznym wymaganiom; rysy osób lub sytuacyj są tak przesadnie wykrzywione i zmiętoszone, iż tylko niewybredny smak zadowolnić mogą. Figury zwłaszcza z t. zw. „świata“, czy to małego czy wielkiego, pod względem postaci, a jeszcze bardziej pod względem zachowania się sprawiają wrażenie nie żywych ludzi, lecz maryonetek, skaczących na sznurku autorskim. Ażeby się nad tem zbyt długo nie rozszerzać, dość będzie chyba przytoczyć jeden szczegół z opowiadania „Doktór filozofii na prowincyi“, które, nawiasem mówiąc, ma ich podostatkiem w podobnym gatunku. Do starej panny, lubiącej bawić się w literaturę i emancypacyę, niepodobna było sprowadzić rzeczywistego doktora filozofii, sprowadzono więc fałszywego, który, jak zapewnia autor, jest obłąkanym, ale który zachowuje się jak człowiek najordynarniejszy, na czem jednak dama owa się nie poznaje i uwielbia w nim genialność. Wszystko to w zasadzie jest w gruncie rzeczy możliwem, chciałoby się tylko, żeby rysy były mniej grubemi, żeby nie zrażały jaskrawo uwydatnioną tendencyą ośmieszania owych ludzi i stosunków bądź co bądź; ale autor na tem nie poprzestaje, chce komizm wyzyskać do ostateczności. Każe więc pójść fałszywemu doktorowi filozofii położyć się w sypialni pani domu, każe zebranym obserwować go z za kotary — a gdy się zbudził z wrzaskiem: Złodzieje,

zbrodniarze! kryć się zebranemu towarzystwu pod fotelami, kanapami — i po tem wszystkiem, gdy ochłonęli ze strachu, prowadzić taką rozmowę:

„— Jakiż ekscentryczny, ach, Boże!

„— Nie zapominaj pani — mówił rozgorączkowany Dyogenes — że każdy wielki człowiek ma podobne chwile nie... niejasności. Newton, sam Newton wyczyścił raz fajkę paluszkiem pięknej 18-letniej panienki.

„— Czyż podobna?

„— Najniezawodniej! A... a... ktoś inny na proszonym obiedzie palcami brał szpinak z półmiska.

„— Okropność!... Ciekawam, kiedy pisze swoje znakomite dzieła filozoficzne, czy wtedy kiedy jest przytomny, czy też...

„— Rozmaicie, to zależy od treści — odpowiedział lekarz".

Wprawdzie głupota ludzka jest niezgłębiona, lecz w warunkach opisanych przez autora wszystkie te sytuacye i wszystkie rozmowy, podobne do powyższych, należy zaliczyć do karykatur nieestetycznych.

Ramotka Wilkońskiego „Kraszewski w Warszawie" oparta jest na takiemże nieporozumieniu: rozmowy i zachowanie się w towarzystwie fałszywego Kraszewskiego są również nakreślone karykaturalnie; a jednak, o ileż tam więcej prawdopodobieństwa!

Są i w tej fazie twórczości Prusa karykatury lepsze od „Doktora filozofii na prowincyi"; że wspomnę tylko owego szlachcica, który o czterdzieści mil przyjechał na konkurs żniwiarek, aby wziąć udział „w ceremonii, obchodzącej rolnictwo krajowe", i który czas konkursu przespał w pszenicy... Atoli te lepsze są w mniejszości znacznej, a gorsze, estetycznie brzydkie, z każdej niemal wyskakują karty.

Strona opisowa, obrazy przyrody były również drwinkująco wtedy przez autora zbywane, o ile o nich wzmiankować uważał za potrzebne, zwykle bowiem obchodził się bez tych pierwiastków, żartując sobie z amatorstwa do „szczegółów to-

pograficznych“ w opowiadaniu. Oto jedna próbka takiego opisu z zarysu powieściowego „Wieś i miasto“: „Dzień, w którym za osobliwą łaską nieba mieliśmy honor dotknąć stopą Wilczołapskich gruntów, był zimowy i zimny. Okolica, z powodu grubej warstwy śniegu, podobna była do olbrzymiego *płaskiego talerza.* Śnieg leżał na ziemi, okrywał dachy, starał się utrzymać równowagę na płotach i zwieszał się niby puch łabędzi z gałązek kilkunastu drzew, które dwór otaczały. Nad dworem, stodołą, stajnią *i tak dalej,* niby *klosz nad buterszniami,* rozciągało się niebo, koloru, który nazwać można było płowym, zielonawym lub niezdecydowanym, lecz w żadnym razie błękitnym. Kolor to był chorobliwy, *przypominający mieszaninę żółtaczki z bladaczką;* dnie zimowe miewają niekiedy podobną cerę“.

I na tem koniec. Czy można w takim opisie poznać nasz dzień zimowy mroźny o południu, gdyż autor o tej porze właśnie wprowadza czytelnika do Wilczołap? Jest to niezręczna tylko karykatura dla wywołania komicznego wrażenia.

Skłonność do karykatury i dziś jeszcze dostrzedz można u Prusa w szczegółach podrzędnych; ale łączy się już ona w wyższym stopniu i rozwoju jego talentu — z dowcipem.

Prus sam określił dobrze źródło i naturę swego dowcipu. Porządne ukształcenie realne nauczyło go nietylko dokładnej, ale i wielostronnej obserwacyi; wielostronna zaś obserwacya poprowadziia go, dzięki wyobraźni, do niespodzianych określeń, które pobudzać mogą do śmiechu. „Powtóre — powiada Prus — naszą bieżącą i powieściową literaturę od dawien dawna produkowali: poeci, historycy, muzycy, estetycy, filologowie i t. d. Gdy więc w tem gronie znalazł się człowiek z ukształceniem zupełnie innego rodzaju, z konieczności musiał wypowiedzieć wiele nie słyszanych dotychczas poglądów, wiele niespodzianek, które były drugiem źródłem, ale już warszawskiej wesołości. Gdyby w naszej prasie jaki technik, lekarz, a nawet kucharz zaczął sądzić teatry, wystawy, bale, życie miejskie i wiejskie ze swego punktu widzenia, śmianoby się jeszcze

głośniej, choć każdy z tych panów wypowiadałby rzeczy całkiem poważne".

Istotnie dowcip Prusa, jako wynikający z obserwacyi i poglądów naukowych, nie ma cech lotności i błyskawiczności, nie olśniewa od razu, musi być uprzednio przygotowany, lecz może się utrzymać długo bez znużenia czytelnika. Weźmy np. dowcipne spostrzeżenia, zawarte na początku allegoryi zatytułowanej „Nowy Rok". Ma być wypowiedziany dowcip, osnuty na upatrzeniu pewnych stosunków między włosami a usposobieniem moralnem i umysłowem. Ażeby on wywołał zamierzone wrażenie, musi go autor poprzedzić krótkim wykładem o organach szczątkowych i dopiero wtedy ciągnie dalej: „Włosy na ciele ludzkiem są organem szczątkowym z owej epoki, kiedy przodkowie nasi uważali odzież za przesąd, kontentując się własną szerścią. Włosy na głowie u człowieka dorosłego nie mają również wartości praktycznej, tylko wywołują zbyteczne koszta, podczas gdy w wieku pacholęcym były one tym organem pożytecznym, za pomocą którego *światli nauczyciele wlewali w serca i umysły nasze — idee* prawdy, piękna i dobra. Z tego powodu *ludzie mądrzy łysieją*, ponieważ im włosy już bezwzględnie na nic się nie zdały". Ostatni dowcip jest najściślej związany z poprzednim i sam przez się byłby niezrozumiały, nie wywarłby efektu, a cały znów ustęp zależnym jest od pojęcia o organach szczątkowych. Takie zahaczanie się jednego dowcipnego spostrzeżenia o drugie trwa niekiedy u Prusa bardzo długo; całe prawie opowiadanie o „Grzechach dzieciństwa" składa się z ogniw podobnych i do najdowcipniejszych utworów Prusa zaliczonem być może.

Długo koncept, karykatura, dowcip satyryczny, to jest wytwory rozumu i fantazyi jedynemi były środkami artystycznemi, jakiemi się Prus posługiwał. Cały tom wydanych obecnie w książce „Drobiazgów" (1892) może tu posłużyć za przykład. Czy opisuje ciągłe zdziwienia prowincyonalistów w „Ogrodzie Saskim", czy też „Kłopoty redaktora" tak zwanego humorystycznego pisma, który dla wybrnięcia z kłopotów finansowych

i wydania numeru bądź co bądź, posługuje się szantażem, czy w określeniu „Co to jest blaga?“ wszystkich po kolei rozmówców jako blagierów maluje, czy kreśli zabawne przygody „Na saskiej kępie“ lub na „Wystawie“ rolniczej, czy opisuje „Konkurs żniwiarek“, na którym lepiej się ujawniło znawstwo na kuchni niż na narzędziach rolniczych, czy przedstawia „Dziwną historyę“ człowieka, którego ciało na całą dobę pozbawione było siły tarcia, czy opowiada dzieje „Pana Wesołowskiego i jego kija“ lub „Doktora filozofii na prowincyi“, czy wreszcie poddaje krytyce wzajemne stosunki towarzyskie „Wsi i miasta“: — wszędzie spotykamy się ze śmiesznością, karykaturą, satyrą, rozsądnem spostrzeżeniem, dowcipnem słowem, ale nigdzie struna uczucia serdecznego, tkliwego, nie jest poruszona. W całym tomie dwa tylko maleńkie ustępy drgają tu i owdzie tętnem uczucia: „Pod szychtami“, gdzie autor zadaje sobie bolesne pytanie: „po co człowiek żyje na świecie? czy po to, aby służyć za ogniwo między kanałem a filtrem?“ — oraz „Wigilia“, gdzie obok scen zabawnych i komicznych ukazuje nam postać schorowanego młodzieńca w pustej, zimnej, wilgotnej izbie, któremu stróż z litości trochę strawy na wilią przynosi...

Te drobne iskierki, wydobywające się z pod żużli konceptów i karykaturalnych postaci, były zwiastunami nowej fazy w rozwoju talentu Prusa, w której obok dawniejszych uszlachetnionych i udoskonalonych czynników wystąpiły nadto: uczucie i humor.

Niewątpliwie, uczuciowość głęboka i serdeczna istniała w sercu Prusa zawsze, a więc i wówczas, kiedy się wyłącznie posługiwał dowcipem satyrycznym i rozumem, lecz nie umiała sobie znaleźć odpowiedniego wyrazu. Po epoce romantycznej, kiedy namiętne wylewy uczuć tak były częstemi i jaskrawemi, że aż w końcu nużyły, nastąpiły czasy chłodniejszej rozwagi, pozornego wyziębienia uczucia i rzeczywistej lub udanej rachuby. Kiedy w całem otoczeniu intelligentnem hasła rozumowe cieszyły się bezwarunkowem uznaniem, a gorące objawy sen-

tymentu poddawano torturom analizy i szyderstwa; kiedy chłodna atmosfera duchowa nie sprzyjała rozkwitowi i wybujaniu kwiatów serca: to ci, którzy wewnątrz płonęli uczuciem, nie chcieli go narażać na bolesne zetknięcie z zimnem szyderstwem i, kryjąc je w głębi, sami przybierali maskę wystygłej obojętności, jeśli się mieli znaleźć w liczniejszem towarzystwie czy to rzeczywistem czy papierowem. Prawdziwe, szczere uczucie ma swoją wstydliwość i nietylko popisywać się nie lubi, ale ujawniać się nie chce tam, gdzie się nie spodziewa sympatycznego odgłosu. Prócz tego pod względem pisarskim trzeba było szukać nowych form wypowiadania uczuć; frazeologia bowiem romantyczna już się przeżyła w swoich powierzchownych, najłatwiej ująć i naśladować się dających przejawach.

Prus przez czas długi swoich pierwocin literackich tłumił w sobie strunę uczuciową i z buńczuczną junakieryą śmiał się i żartował, chłostał biczem satyry śmieszności i zdrożności ludzkie; malowania uczuć miłosnych zazwyczaj unikał, albo też je sprowadzał do znaczenia funkcyj fizyologicznych; kiedy zaś inny idealniejszy odcień przedstawiać próbował, to wpadał albo w przesadę deklamacyjną, albo w powszednie oklepanki; postaci kobiecych zakochanych tworzył mało, a mniej jeszcze niemi się zajmował, t. j. wplatał w akcyę. Jakże szczupłe miejsce zajmuje kobieta i uczucie w „Duszach w niewoli“, i jakże słabo są one tam malowane! „Przeklęte szczęście“ jest wprawdzie całe osnute na stosunku miłosnym, lecz autor nie zatrzymuje się na szczegółach, nie kreśli ich z upodobaniem, zbywa ogólnikami, dążąc coprędzej do celu moralizatorskiego; postać Heluni jest niewątpliwie ładna, lecz najprzód nie jest świeża, gdyż podobne ciche, poświęcające się żony niejednokrotnie były już u nas malowane, a powtóre jako utwór artystyczny nie ma donioślejszego znaczenia, gdyż w najpiękniejszej jej chwili znamy ją ze streszczonego opowiadania, a nie widzimy jej wprost przed sobą.

Inne rodzaje uczuć, jakoto: tęsknota, sympatya, litość były również wyrażane z początku ułomnie lub jednostronnie.

Otoczył np. gorącem współczuciem postać mechanika, którego pomysły, gdyby urzeczywistnione zostały, mogłyby przynieść wielki pożytek społeczeństwu, lecz nie potrafił współczucia swego wyrazić w taki sposób artystyczny, iżby mógł je w całości przelać w czytelników („Pałac i rudera“). Kiedyindziej znowu opowiedział losy sieroty, który tuła się wśród ludzi zajętych ideami humanitarnemi, głoszących piękne zasady, lecz najfałszywiej pojmujących ich zastosowanie, a jeszcze gorzej w czyn je wprowadzających; lecz w tem przedstawieniu rzeczy więcej uwydatnił satyrę na niedorzeczną filantropię lub ograniczoność rzemieślniczą, niż myśli i uczucia, mogące wywołać miększe, rzewniejsze usposobienie („Sieroce dole“).

Szukając atoli dość długo środka połączenia dawniej już ujawnionych i znacznie udoskonalonych zalet rozsądku, rozumu i fantazyi z domagającem się coraz silniej ujawnienia uczuciem, znalazł go wreszcie w humorze.

Wyraz ten tak różnorodnie jest u nas pojmowany i stosowany, że muszę chociaż w krótkości powiedzieć, co przezeń rozumie Prus i jak on mnie samemu się przedstawia.

Ma Prus najzupełniejszą słuszność w tem, że u nas źle humor bywa rozumianym nawet przez literatów. Praktyka językowa jest temu winna. Mamy w języku: zły i dobry humor, t. j. gniewne i wesołe usposobienie; mamy pisma humorystyczne, które właściwie satyrycznemi lub komicznemi nazwać potrzeba; lada koncept, lada dowcip bywa kwalifikowanym do zakresu i godności humoru. Oczywiście wyplenić tego zwyczaju nie da się od razu; ale w określeniach estetycznych trzeba być ściślejszym.

Prus opisuje humor w ten sposób: polega on „na sumiennem oglądaniu rzeczy co najmniej z dwu stron: dobrej i złej, małej i wielkiej, ciemnej i jasnej“. Potem, stworzywszy dowolnie przeciwieństwo optymizmu, pesymizmu i humoryzmu, dodaje: „Dla optymisty każdy człowiek jest porządny, dla pesymisty każdy człowiek jest podejrzany; humorysta zaś, który bada ludzi wszechstronnie, w każdym człowieku widzi coś po-

rządnego i coś łajdackiego". W tym opisie można dojrzeć raczej charakterystykę tworzenia „przedmiotowego" aniżeli „humorystycznego"; bardzo dobrze nadaje się on np. do „Pana Tadeusza". Humorysta, wedle powszechnie w estetyce przyjętego poglądu, nie jest twórcą przedmiotowym, lecz przeciwnie mocno uczuciowym. U Dickensa czy u Thackeraya nie można znaleźć przedmiotowego odtwarzania ludzi i sytuacyj, jak u Balzaca lub Flauberta, lecz jest za to silnie uwydatnione uczucie rzewne, żartobliwe czy satyryczne. Niewątpliwie humorysta, im głębsze ma wywrzeć wrażenie, tem wielostronniej powinien znać i przedstawiać objawy duszy ludzkiej; lecz gdyby tylko poprzestawał na obserwacyach, gdyby spoglądał na ludzi z wyżyn, na których znikają różnice między małymi, wielkimi i bogatymi, mędrcami i prostaczkami; toby mógł zostać filozofem lub epikiem, aleby nie był humorystą, bo ten właśnie zazwyczaj podnosi małych i biednych z tych nizin, w których oni giną dla zwykłego oka, przedstawia ich radości i cierpienia, a nie ukrywając bynajmniej ich wad i ułomności, uwydatnia ukryte zalety.

Połączenie bystrej obserwacyi, bogatej wyobraźni, wytwornego dowcipu żartobliwego lub satyrycznego z głębokiem, szczerem, tkliwem, ale w objawach swych skąpem uczuciem — tworzy humorystę w znaczeniu estetycznem. I w tem też znaczeniu stosujemy tę nazwę do Prusa od chwili, kiedy pokonał trudności w wyrażaniu uczuć i do dawniejszych przymiotów swoich dołączył zdolność, niekiedy do mistrzowstwa doprowadzoną, malowania radości i smutków, szczęścia i niedoli, pomysłów i pojęć, słowem życia duszy warstw biednych. Nie obojętna, chociażby najwszechstronniejsza obserwacya stosunków ludzkich, lecz głęboka miłość wszystkiego, co zacne, chociażby w najniepozorniejszej objawiało się formie, zjednała mu, w łączności z fantazyą i dowcipem, serca czytelników i uczyniła go twórcą dusz i poetą w malowaniu natury.

Do owej bowiem chwili szczęśliwego zlania się różnych przymiotów w pewną harmonijną całość nie umiał Prus two-

rzyć ludzi żywych artystycznie; były to albo karykatury mniej lub więcej udatne, albo figury drewniane, nie poruszające się same przez się, lecz wprawiane w ruch przez autora. Rozmowy ich, giesta, miny, zachowanie się całe miało w sobie coś sztucznego, nienaturalnego, ponieważ nie płynęły one wprost z duszy i charakteru, nie były stworzone, że tak powiem, razem z samemi postaciami, które się miały niemi posługiwać. Ten i ów rys był w nich bardzo dobrze oddany, lecz nie zlewały się one z sobą w jednolitą, harmonijną całość. Ani w „Pałacu i ruderze“, ani w „Duszach w niewoli“, ani w „Sierocej doli“ nie znajdujemy ludzi prawdziwych, rzeczywistych, w całej pełni: są tam zaledwie ich fragmenta. Dopiero w „Anielce“ (pierwotnie nazwanej: „Chybiona powieść“) znajdujemy jedną osobę, malowaną od początku do końca z całą żywością i żywotnością, t. j. 13-letnią panienkę, której mama wiecznie w obłokach a ojciec poza domem przebywał, która jednak zachowała serce dobre, litosne, zacne i tkliwe i po śmierci matki nie mogła przenieść myśli, żeby ojciec dla utrzymania własnego miał dać jej drugą, podejrzaną matkę. Tu po raz pierwszy u Prusa pojawiło się malowidło spokojne, wolne od barw rażących, jaskrawych; tu po raz pierwszy uczucie serdeczne, tkliwe, szczere, znalazło dla siebie wyraz odpowiedni; tu po raz pierwszy bez tłómaczenia i objaśnień autorskich rozumiemy każdy zwrot myśli, każdy ruch, każdy odcień zachowania się Anielki, dlatego, że one najściślej się wiążą z jej usposobieniem, z jej młodocianemi poglądami, z jej sercem i przyzwyczajeniami. Inne poboczne figury traktowane są szkicowo, trochę nawet szematycznie, ale ponieważ one bardzo mały biorą udział w akcyi, lubo na los Anielki wpływają stanowczo, nie przeszkadzają więc ogólnemu wrażeniu, które budzi, podtrzymuje i kończy tytułowa bohaterka.

„Anielka“ jednak nie jest jeszcze powieścią humorystyczną; są w niej błyski humoru, lecz całość przeniknięta jest raczej szczerą uczuciowością; ważne jej znaczenie w rozwoju talentu Prusa polega na tem, że była ona szczęśliwą próbą

przedstawienia przez powieściopisarza istotki nawskroś uczuciowej bez popadnięcia w sentymentalność, mdłą frazeologię, wogóle w przesadę. Dowodziła ona, że autor umiał już artystycznie zapanować i nad uczuciami i nad ich wyrazem.

„Anielka“ wskazała autorowi, w jakim zakresie postaciowania artystycznego mógł natenczas celować, zwróciła go do malowania dzieci. Powstały tedy „Grzechy dzieciństwa“, „Przygoda Stasia“, „Antek“.

„Grzechy dzieciństwa“ nie były jeszcze również nowellą humorystyczną; panowała w niej prawie bez podziału wesoła żartobliwość i tylko śmierć kolegi oraz ucieczka Walka wplatały się melancholijną nutą w całość pogodną; stosunek Walka do matki i do reszty otoczenia zawierał atoli w sobie pierwiastki humoru, tylko nie rozwinięte jeszcze należycie i nie pogłębione.

Pierwiastki te silniej się uwydatniają w „Przygodzie Stasia“. Jest tu dowcip w opowiadaniu, jest fantazya w kreśleniu postaci Małgosi, matki Stasia, jest subtelny a zajmująco przedstawiony rozbiór psychologiczny budzącej się w dziecku świadomości, jest dużo uczucia w stosunku matki do dziecka, uczucia, wyrażającego się po prostu, w formie nieraz dla wykształconych warstw dziwacznej; jest komizm i satyra; tak, że braknie jedynie zupełnego i całkowitego zlania się artystycznego tych czynników w jedną harmonijną całość, ażeby módz wytworzyć arcydzieło humoru. Bo zlanie to nie wszędzie udało się dobrze; zanadto poetycznie wystawił autor Małgosię z początku, a za prędko i bez przejścia ukazał ją nam potem ze zwykłemi pojęciami i przyzwyczajeniami młodej wieśniaczki, ażebyśmy mogli postać tę wyobrazić sobie jednolitą, żywą i prawdziwą. Marzenia i rozmyślania Małgosi-dziewczyny prześcigają, jak mi się zdaje, sferę myślenia warstwy, do której należy i w której ona nie stanowi wyjątku. Piękne są one samę przez się, niewątpliwie, i gdyby do innej, bardziej rozwiniętej osoby były zastosowane, stanowiłyby wyborną charakterystykę dziewiczej wyobraźni. „Natura — powiada autor —

wydawała się Małgosi bardzo wielkiem jeziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były wsie rozrzucone na polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jej sadu, ptaki i *ona sama*... Niekiedy, przypatrując się obłokom, co wychodziły z poza czarnego płotu lasów, przeglądały się w stawie i biegły za zębate wzgórza; słuchając szumu wiatru, co marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny, chwiejącej się na bagnie, zapytywała: *czy własny jej byt nie jest tylko odbiciem się* wszystkiego, co widzi i słyszy dokoła, jak te obrazy drzew i nieba, które odbijają się na falach stawu?... Wówczas, bez żadnego powodu, łzy nabiegały jej do oczu. Przeciągała się, jakby z ramion miały jej wyrosnąć skrzydła i porwać nad obłoki, i śpiewała na nieznaną nutę rzeczy, jakich nie było w żadnej pieśni ludowej". Ażeby takie mieć rojenia, trzeba chyba posiadać już trochę poezyi, zaczerpniętej z książek; zrozumiałeby one były w głowie Bronisi Korzeniowskiego z „Wdowca", która również marzyła, wpatrywała się w obłoki i pragnęła niekiedy unieść się ku tej krainie, gdzie tyle cudów; ale do Małgosi-młynarczanki nie bardzo przystają, są dla niej za głębokie, a po części zanadto abstrakcyjne („czy własny jej byt nie jest odbiciem się świata"). Małgosia prawdziwiej i realniej przedstawia się później, czy gdy słucha zalotów kowala, czy gdy swą miłość dla Stasia w słowach pospolitych, nieraz trywialnych, objawia. Nietylko atoli to przeciwieństwo poetyczności początkowej i późniejszego realizmu nie zostało w „Przygodzie Stasia" zharmonizowane: nawet niektóre szczegóły czysto realne są w związku swoim bardzo mało prawdopodobne. Trudno przypuścić, żeby kowal, człowiek praktyczny i rozsądny, myślał na seryo o nauce piętnastomiesięcznego malca i w tym celu z góry już pragnął sobie zaskarbić łaski organisty; zdaje się, że dla autora był to jedynie środek (niezbyt dobrze obmyślany) wyprowadzenia na scenę pociesznej figury organisty i wplątania go do akcyi.

Natomiast psychologia dziecka jest bez zarzutu, a psychologia psa Kurty pełna pomysłowości i humoru. Postawiony

na straży śpiącego Stasia, Kurta, „który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom kłapiaste uszy“, zaczął rozmyślać nad próżniactwem przyrody i ludzi i „z rozpaczy nad powszechnem lenistwem upadł na bok, aż ziemia jękła, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzeć“. I we śnie czynnym się okazał. „Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącej do gospodarza, wśród której żerowały stada zajęcy, przebierających łapkami i nastawiających uszy, jak palce... Ach, damże ja wam, hultaje! — szczeknął Kurta, i dalejże gonić szkodników na wszystkie strony!... Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zające mnożyły jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę jego bieganinę, wołali: aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!... A Kurta wyciągał się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś z daleka. Ledwie dyszał, a gonił“. Takiego pomysłu nie powstydziłby się największy nawet humorysta. Również i natura martwa ożywiona tu jest w sposób humorystyczny. Nie mogę się powstrzymać, by zamiast suchego streszczenia, nie przytoczyć tutaj obrazka zjawisk przyrody, jakby czuwającej nad śpiącym Stasiem: „Wtedy od łąki świeżo skoszonej, gdzie długiemi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z pąsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i bladoróżowe makówki, kiwały się, jak żydzi w bóżnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het odpędzał, a samej

kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola!... — Aj, zbytki, zbytki!... aj, jakie zbytki ten wiatr wyrabia! — szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana. A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki szeptały: — Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudzicie!..."

Bardzo bogatą jest „Przygoda Stasia" w piękności poszczególne, a wielce różnorodne, lubo wątek główny ma cechę czysto anegdotyczną.

Mniej urozmaicenia, ale za to więcej skupienia, więcej zharmonizowania szczegółów ma „Antek", którego treść wzięta również z życia dziecięcego. Nie tryska tu tak obfite i tak czyste źródło poetyczności, jak w niektórych ustępach „Przygody Stasia", niema takich świetnych pomysłów, jak w przedstawieniu psychologii Kurty, lub psychologii dziecka, lub w opisie przyrody; ale każdy natomiast czynnik humoru jest w zgodzie z wątkiem głównym i każdy rys znamienny jest przeprowadzony konsekwentnie. Antek był dzieckiem wieśniaczem, wyróżniającem się od rówieśniaków i wielką ciekawością i niepospolitą zdolnością mechaniczną. Przeznaczony do pasania świń, nie bardzo się za niemi oglądał, wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennem wzgórzem raz po raz ukazywało się coś wysokiego i czarnego; wyłaziło to z lewej strony, jakby z pod ziemi, szło w górę i upadało na nowo. Obity przez matkę za to, iż świnie tymczasem wlazły w kartofle, wykrzyczawszy się, zaraz się zapytał, co to takiego czarnego chodzi za Wisłą. Dowiedział się w odpowiedzi, że to wiatrak, ale nie dowiedział się, „co to za jeden", bo matka nie miała czasu objaśnić go o tem. Więc zaciekawiony jeszcze bardziej, zakradł się do promu i popłynął za Wisłę, wdrapał się na wapienną górę, właśnie w tem miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tędy nie chodzić, i przyjrzał się wiatrakowi. Pastusi objaśnili go o jego

przeznaczeniu. Znowu obity przez przewoźników i matkę, nic sobie z tego nie robił, zaspokoił ciekawość i marzył o wiatraku noc całą. Odtąd od wschodu do zachodu słońca strugał patyki i układał je na krzyż; potem wystrugał sobie kolumnę, próbował, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się tak, jak tamten za Wisłą. Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, ale też wystrugał niemi wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy; aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan. W tym czasie ojca jego przytłukło drzewo w lesie, a chorą siostrę Rozalkę, z porady baby-znachorki, matka wsadziła w piec chlebowy i wydobyła ją nieżywą. Baba objaśniła strapioną matkę, że to tak z dziewczynki choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. Antka na zimę oddała matka do szkoły, a wręczając nauczycielowi czterdziestówkę, prosiła go, żeby chłopca wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował jak rodzony ojciec. W szkole nie bardzo się Antkowi powodziło. Krzyczał z innymi *a, a, a...,* ale go z początku nauczyciel nie zauważył, więc gdy przyszło *b,* zwinął obie ręce w trąbkę i beknął jak roczne cielę. Nauczyciel dał mu kilka tęgich razów „na rozgrzewkę“ z tą przestrogą: „a nie becz, hultaju! a nie becz!“ To też gdy później żądał nauczyciel, by powtórzył *b,* chłopiec mruknął: „albo ja głupi!“ — i znowu za hardość dostał „na rozgrzewkę“. Matka wypytywała go troskliwie, czy już dostał za naukę, a gdy się dowiedziała, że „ino na rozgrzewkę“, pocieszała go słowy: „Bo widzisz, to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę“. A sama do siebie mruczała: „Tak to zawsze wdowie i sierocie na tej ziemi doczesnej! Żebym ja profesorowi miała dać z półrubla, a nie 40 groszy, toby mi chłopca od razu wziął. A tak baraszkuje sobie z nim i tyle“. Gdy już trzeci miesiąc chodził Antek do szkoły, a matka nie zaniosła daniny nauczycielowi i na jego upomnienie się, odpowiedziała, że dzieciskom szmaty nie ma za co kupić, rzekł nauczyciel, nakładając czapkę w izbie: „Je-

żeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka jak moja, to nie dla biedaków". Kiedy kum Andrzej wezwany na naradę, zapytał Antka, czego się przez ten czas nauczył w szkole, chłopiec odpowiedział: „Com się tam miał nauczyć! Kartofle skrobią się tak w szkole, jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, żem parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam rozgrzewkach..." A na zapytanie kuma Andrzeja, czy z nauki nic nie połapał, odrzekł Antek: „kto tam co połapie! Jak nas uczy po chłopsku, to łże. Napisze se na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom... A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumie! Jest tam paru starszych, co po szkolnemu pieśni śpiewają — ale młodszy to dobrze, jak się trochę kląć nauczy..." Do gospodarstwa Antek brać się nie chciał, mając ciągle w pamięci wiatraki. Matka długo nie chciała się z nim rozstać, ale wreszcie oddała go do kowala.

Sprytny chłopak, choć go majster używał jedynie do nadymania miechów i nakładania węgli, potrafił w ciągu roku nauczyć się nieco kowalstwa, za co go majster, któremu Antek był na sześć lat oddany, odsunął od kuźni zupełnie, każąc kopać w ogrodzie, rąbać drzewo, kołysać dzieci. Przez pół roku robił to Antek, potem uciekł do domu i tu mając już prócz kozika, dłutko, pilnik i świderek, zaczął wyrabiać maszyny i różne figury tak dobrze, iż niektóre z jego wyrobów: wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, świętych i rzeźbione fajki kupował szynkarz Mordko i rozprzedawał je w okolicy. „Dziwiono się — powiada autor — talentowi nieznanego samouka, niezgorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tem bardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki. Alboż kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek?" Długo dla Antka pilnik był droższym od najładniejszej kobiety, ale i na niego przyszła chwila roz-

budzenia się serca. Młoda, piękna żona wójta oparła się raz w przejściu przez kościół na ramieniu Antka, który patrzył na nią jak na cudowne zjawisko, nie śmiąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła. I odtąd w sercu jego powstało uczucie głębokie a ciche, rozbudzając w duszy „strach, żal, zdziwienie“. On, biedak, nie śmiał się zbliżyć do niej, bogaczki, otoczonej wielbicielami. Kum Andrzej naglił go, by poszedł do miasta i tam nauczył się jakiego rzemiosła, gdy do gospodarstwa nie miał upodobania. I sam Antek czuł tego potrzebę, ale trudno mu było rozstać się z myślą porzucenia chaty i możności widzenia wójtowej. Nareszcie zdecydował się, ale chciał wprzódy pozostawić tej, którą tajemnie kochał, jakąś pamiątkę, coby ją do myślenia o nim zmuszała. Wystrugał więc piękny krzyżyk na podobieństwo tego, który stał za wsią na rozstajnych drogach, i w niedzielę, kiedy miał wieś opuścić, poniósł go do kościoła, by go tam wójtowej ofiarować. „Chłopak, klęcząc na środku, machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił, nie rozumiał. Gra organów, śpiew ludu, dźwięk dzwonków i własne cierpienie, w duszy jego zlały się w jedną wielką zawieruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w tej chwili, kiedy on ma opuścić tę wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał... Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek ocknął się, spojrzał... W ławce przy wielkim ołtarzu siedziała wójtowa. Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zaczołgał się na kolanach aż do owej ławki i znalazł się u nóg wójtowej. Sięgnął za pazuchę i wydobył krzyżyk. Ale odbiegła go wszelka śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc zamiast oddać krzyżyk tej, dla której rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoją pracę na gwoździu, wbitym w ścianę obok ławki. W tej chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a wraz z nim swoją tajemną miłość i niepewną przyszłość... Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo jak wtedy. Ale on nic nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami“...

Piękno tej przedziwnej sceny polega na tem, że uczucie szczere i głębokie znalazło tu najodpowiedniejszy dla takiego jak Antek charakteru wyraz, że spełnione tu zostało najwyższe artystyczne wcielenie, bo forma najzupełniej zlała się z treścią.

Równie pięknem, lubo w innym, prawdziwie humorystycznym rodzaju, jest pożegnanie się Antka z matką i kumem Andrzejem, którzy go odprowadzili za wioskę. Powszedniość i poezya, uczucie i troska o byt materyalny, religijność serca i słowa wyuczone z książki nabożnej, splatają się tu tak umiejętnie, że wytwarzają to mieszane uczucie, które humorem estetycznym zowiemy.

W „Antku“ dosięgnął Prus mistrzowstwa nowellistycznego. Od czasu napisania go nie przybyło autorowi nowych pierwiastków twórczych, rozszerzała się tylko przed nim widownia postaci i sytuacyj i pogłębiało wniknięcie w ich istotę. Nie wszystko oczywiście, co tworzył od tej pory, było doskonałem pod względem wykonania, nie wszędzie myśl, czy uczucie znajdowało najstosowniejszy dla siebie wyraz; lecz wszędzie poznać można było humorystę, który nauczył się kierować swoim talentem i sztuki swojej jest świadomym.

Niema potrzeby przechodzić szczegółowo drobnych czy większych utworów Prusa, które po „Antku“ powstały. Poznawszy zasadnicze czynniki jego twórczości, można już poprzestać na napomknieniach i ogólnej charakterystyce.

Z drobnych nowell i obrazków, prawdziwie humorystycznych, poczytuję za najlepsze: „Michałka“, gdzie w nierozgarniętym umyśle ukazuje się serce najszlachetniejsze; „Kamizelkę“, gdzie mąż i żona, ażeby nie martwić siebie nawzajem, ażeby choć złudną pocieszyć się nadzieją, iż choroba nie jest śmiertelną, skracają pasek lub przeszywają sprzączkę u kamizelki; dalej „Katarynkę“, gdzie nie znoszący tego instrumentu dziwak sprowadza go sam na podwórze, żeby dostarczyć uciechy niewidomej dziewczynce; następnie „Przy księżycu“, gdzie stęskniony za krajem nauczyciel, Francuz, ciągłych doznaje zawo-

dów w swych nadziejach, czy to wskutek zrządzeń losowych, czy wskutek niegodziwości ludzi; wreszcie „Orfeusza w niewoli“, gdzie temat, chociaż nie nowy, ale świeżemi realnemi barwami wykonany, przedstawia nam dzieje staczania się na dół talentu, który marzył o szybowaniu po szczytach.

III.

W tych i innych nowellach, mniej może udatnych, lecz zawsze niepowszednich i ożywionych głębszą myślą, wątek główny stanowiła sprawa jakaś indywidualna, lubo połączona częstokroć ze sprawami ogólniejszemi. Atoli dopiero w „Powracającej fali“ (1880 r.) uderzył Prus w wielki dzwon palącej sprawy społecznej, rozpatrując stosunki między pracodawcami a robotnikami fabrycznymi. Wyzysk z jednej strony, niezaradność, brak ukształcenia i organizacyi z drugiej — oto najkrótsze tych stosunków sformułowanie, które w powieści Prusa przybiera kształty plastyczne, a rozwija się w sposób wstrząsający. Gotlib Adler dorobił się milionów pracowitością, oszczędnością, umiejętnością korzystania z każdej podatnej do taniego nabycia materyału chwili, wreszcie samolubnem zużytkowaniem sił i zdolności podwładnych swoich. Wychował syna na panicza, który naukę i pracę lekceważy, a pragnie tylko używać życia w pełni; nie zmartwił się tem jednakże, bo kochał go bałwochwalczo, i jego rozrywki, a nawet rozpustę uważał za spełnienie własnych swoich cichych i nigdy niespełnionych pożądań. Tylko długi syna pokrywał oszczędnościami w fabryce. Usunął z niej lekarza i felczera, o szpitalu i szkole nie pomyślał, ściągał kary za spóźnianie się, za rozmawianie, za szkody niekiedy urojone; tym, którzy rachować nie umieli, wprost urywał zarobki. Sarkano wprawdzie i wyrzekano, przeklinano i odgrażano się, lecz na tych bezsilnych objawach niezadowolenia musiano poprzestać. Jeden z najzdolniejszych i najpracowitszych robotników, który marzył o założeniu własnej fa-

bryczki, wskutek przepracowania się dla zebrania potrzebnego funduszu, pilnując ważnej czynności przy maszynie, zdrzemnął się na chwilę, został pochwycony przez koło i z powodu niemożności znalezienia natychmiastowej pomocy lekarskiej, umarł. Ferdynand Adler tymczasem hulał, a ponieważ pewna cząstka społeczeństwa odsunęła się od niego, jako od marnotrawcy, kupującego sobie rozkosze kosztem potu i krwi bliźnich, wyzwał na pojedynek człowieka, który się ośmielił głośno potępić jego postępowanie. W pojedynku zginął. Ojciec oszalał i własną ręką ogień pod fabrykę podłożył; fala krzywdy wróciła i pochłonęła zarówno istnienia ludzkie, jak i nagromadzone owoce ich pracy fizycznej i wysiłków umysłowych.

Figury w tej powieści są wyborne w pomyśle; w wykonaniu tylko radzibyśmy widzieć trochę mniej śmieszności w pastorze Böhmem, i trochę mniej obcesowości w przywitaniu się i rozmowie Ferdynanda Adlera z ojcem. Ale są to usterki zbyt drobne w porównaniu z przeważnemi zaletami całości, ażeby na nie kłaść wielki nacisk.

Druga powieść społeczna: „Placówka“ (1885 r.), przedstawia wybornie, a z wielkiem uczuciem i poetycką fantazyą anormalność naszych stosunków wiejskich, wśród których pomiędzy sąsiadami z dworu i chaty nie może przyjść do porozumienia, czy to z powodu lekkomyślnego sposobu postępowania jednych, czy nieufności drugich, z czego korzystają żywioły nieprzyjazne w osobach kolonistów niemieckich, zagarniających ziemię i uszczuplających zarobki mieszkańców tubylczych. Ślimak, będący główną w opowiadaniu figurą, to postać wybornie pochwycona z życia, zarówno w żądzy zarobku i zwiększenia swojej posiadłości, jak w lenistwie, każącem odkładać z dnia na dzień wykonanie zamiarów za dobre uznanych, zarówno w smutku jak w radości, zarówno w samolubstwie jak w miłości bliźniego, zarówno w stanie trzeźwym jak pijanym, zarówno w stosunku do żony, którą bije, ale której się słucha, jak w stosunku do współmieszkańców wioski, względem których nie poczuwa się do solidarności. Obok tej naczelnej postaci,

rysującej się przed nami w całej plastyce, przesuwają się doskonałe figury jego żony, parobka, oszalałej z zawodu miłosnego i poniewierki wśród ludzi dziewczyny, dzieci Ślimaka, nauczyciela kolonistów niemieckich, demokratycznemi frazesami szafującego panicza z Warszawy, obojętnej na rzeczywiste położenie ludu szlachty i t. d.

Przyroda w „Placówce“ w poetycznym ukazuje się pryzmacie; wszystko w niej żyje, mówi niemal i działa. Przytoczyćby można całe szeregi prześlicznych opisów, poczynając od tego, który nam rzekę Białkę, tak ważną rolę grającą w historyi Ślimaka, ujmująco maluje.

Dla przykładu zacytujemy tu jedynie obraz burzy w czasie skwarnego lata:

„Ranek dnia tego był gorący i duszny; ptaki niewiele śpiewały, świnie nie chciały żreć i zmęczone kryły się między budynkami, szukając cieniu. Wiatr zrywał się, to słabnął; raz był suchy i gorący, to znowu chłodny i wilgotny; często zmieniał kierunek, spędzając z różnych stron gęste obłoki, które w wyższych warstwach zdawały się płynąć ku zachodowi, w niższych ku północy.

„Około dziesiątej znaczna część nieba, na północ od kolejowego nasypu, zasnuła się ciężkiemi chmurami, które szybko zmieniając barwę, z popielatego przeszły w kolor żelazny, gdzieniegdzie zupełnie czarny. Zdawało się, że w górze palą się sadze, które w olbrzymich kłębach rozlały się nad ziemią i szukają miejsca, gdzieby opaść. Chwilami masa chmur rozdzierała się na pojedyńcze kłęby, a wtedy, z pomiędzy szczelin, padały na zamroczone pola, jakieś smutne jesienne blaski. Chwilami chmura zniżała się do ziemi, a wówczas tonęły w nich wierzchołki drzew oddalonego lasu. Wnet jednak podpływał pod nią ciepły wiatr, i z taką gwałtownością wyrzucał do góry, że z uciekających obłoków darły się strzępy i jak poszarpany łachman zwieszały nad polami.

„Nagle za wsią kościelną ukazał się rudy obłok, szybko lecąc wzdłuż kolejowego nasypu. Wiatr zachodni dmuchnął sil-

niej, jednocześnie uderzył go z boku wiatr południowy; z nasypu, z gościńców i ścieżek zerwały się gęste tumany kurzawy, a rozwalające się po niebie chmury zaczęły głucho warczeć.

„Na ten odgłos kopacze i taczkarze, pracujący przy kolejowym nasypie, porzucili narzędzia i, uszykowani we dwie duże gromady, poszli — jedni ku dworowi, drudzy ku stojącym na polu barakom. Zajęci przy budowie koloniści i chłopi, wysypawszy piasek z wozów, pędzili cwałem do domu. Z pola zgoniono bydło, kobiety cofnęły się z ogrodów pod strzechy; świat opustoszał.

„Grzmot za grzmotem zwiastował coraz nowe zastępy chmur, które tłocząc się już na większej części nieba, stopniowo zaćmiewały słońce. Zdawało się, że wobec czarnych kłębów, obładowanych piorunami, ziemia przysiadła i z trwogą śledzi burzę, jak kuropatwa ważącego się nad polem jastrzębia. Krzaki tarniny i jałowcu cicho poświstywały, nawołując do baczności; zaniepokojony kurz zrywał się z gościńca i krył między zbożem. Młode kłosy szemrząc, tuliły się do siebie, woda w rzece zmętniała. Daleki las huczał.

„Tymczasem w górze, z przesyconych elektrycznością tumanów, wykluł się jakiś ciemny zarodek siły twórczej, która rozejrzawszy się po ziemi, ufna w swoją potęgę, zapragnęła naśladować Ojca Przedwiecznego i z wiotkich chmur stwarzać, jak On, ruchliwe i ożywione kształty. Oto już ulepiła wyspę; lecz nim miała czas mruknąć: „dobrze jest!...“, przyleciał wiatr i wyspę rozwiał. Oto wznosi olbrzymią górę; lecz nim dosięgła szczytu, znowu przyleciał wiatr i zdmuchnął podstawę. Teraz bierze się na inny sposób i w jednem miejscu usiłuje stworzyć lwa, a w drugiem ptaka; wnet z ptaka zostało tylko podarte skrzydło, a lew rozpłynął się w bezkształtną ćmę.

„Wtedy widząc, że góry i wyspy wzniesione ręką Pana trwają wieki, a jej ledwie sekundę, że nie mają ani duszy, ani sensu, ani nawet siły oparcia się nędznym podmuchom, że cała jej praca na nic, a cała jej potęga jest tylko marą, wtedy

widząc, że już nic nie stworzy, ciemna moc zawrzała gniewem i zapragnęła zniszczyć wszystko, co jest na ziemi.

„Między chmurami, kołującemi jak czarne stado wron, rozległy się złowrogie szmery. To władczyni wydaje im rozkazy. „Widzicie rzekę, w której się odbija nasza hańba?...“ W tej chwili coś rozdarło się od nieba do ziemi i w rzekę uderzył piorun. „Słyszycie zgiełk lasu? On nam urąga!...“ Pół nieba przeleciała błyskawica i drugi piorun uderzył w las. „Zbijcie te pola gradem!... Zmyjcie te góry deszczem!...“ I posłuszne tumany rzucają się na góry i na pola. „Ha... ho!... ha... ho!...“ Padła na ziemię jedna wielka kropla, za nią druga... setna... tysiączna... „Ha... ho!... ha... ho!...“ Jedno ziarno lodu, drugie... setne... To przednia straż. Wichry dmą pobudkę, deszcz bębni, chmury jak psy puszczone ze smyczy wyją, tłoczą się, depczą; jedna kropla popędza drugą, ścigają się, wyprzedzają, nareszcie — łączą się w strumienie, płynące od nieba do ziemi. Słońce zgasło, a deszcz i grad zlały się w zbitą masę, której cel i kierunek pokazują migotliwe błyskawice. „Tu niszcz! tu bij!...“

„Po godzinnej ulewie zziajana burza spoczęła, a wówczas było słychać szum Białki, która już wystąpiła z koryta. Całą szerokością gościńców płynęły brudne wody, strumienie szeleściły po stokach wzgórz, łąki były zalane, z drugiej strony nasypu utworzyło się jezioro.

„Po chwili znowu wzmogła się ciemność; z rozmaitych punktów horyzontu trysnęły błyskawice, ulewa spotęgowała się, piorun uderzył w gościniec. Pionowe potoki deszczu wiatr pchał w ukos, kłębił je i szarpał; świat zatonął w mglistej kurzawie“...

Pod względem kompozycyi drobne zaledwie usterki „Placówce“ zarzucićby można; okazał tu Prus swoją zmężniałą umiejętność kształtowania charakterów na szerszą skalę i wiązania cząstek wątku powieściowego w jednolitą, harmonijną całość nietylko w zakresie nowelli, ale i w obrębie większej powieści. Troszkę może zacieśnione są stosunki, wśród których

żyje Ślimak; możeby roztoczenie szersze zarysu życia gromadzkiego przyczyniło się do większego urozmaicenia; lecz i w takim stanie, w jakim jest „Placówka“ obecnie, stanowi utwór wyborny pod względem artystycznym, a ważny pod względem społecznym. Jak „Antek“ w nowellistyce, tak „Placówka“ w powieściopisarstwie naszem zajęła zaszczytne i trwałe miejsce, obudziła żywe zajęcie i zwiększyła dla autora uczucia sympatyczne.

Od samego Prusa dowiadujemy się, że „Placówkę“ zaczął pisać około roku 1880, że ponieważ początek jej zganił mu jeden z kolegów po piórze, zabrał się do pilniejszych badań nad kompozycyą i do nowych studyów nad chłopami, tak że dopiero w pięć lat potem przystąpił do wykonania swego utworu. Ta staranność w obmyślaniu planu i zbieraniu spostrzeżeń dla pogłębienia charakterów znamionuje pisarza, który zadanie swoje nietylko pod względem treści i myśli przewodniej, ale i co do szczegółów artystycznych traktuje seryo i dąży do coraz wyższego udoskonalenia.

„Placówka“ wychodzi już z ram „drobiazgów“ i stanowi początek wielkich utworów artystycznych Prusa. Po niej poszły: „Lalka“ i „Emancypantki“.

IV.

Kiedy „Lalka“ ukazywała się w odcinku „Kuryera Codziennego“, czytelnicy interesowali się nią gorączkowo i szturmowali do redakcyi energicznie, jeżeli w ogłaszaniu jej zachodziły dłuższe przerwy, co się, nawiasem mówiąc, zdarzało dość często; a kiedy następnie wyszła w książkowem wydaniu (1890), budziła zajęcie jakby rzecz zupełnie nowa, wywoływała dyskusye i spory, i co do całości i w szczegółach.

Zajęcie, wywołane przez książkę, jest niewątpliwie jej pierwszą, zaprzeczyć się nie dającą zaletą, bo rozruszanie umysłów, częstokroć bardzo apatycznych, wpuszczenie do nich no-

wego prądu, powodującego działalność komórek mózgowych, podanie materyału obfitego do roztrząśnięcia i rozbioru, musi być wynikiem utworu nie tuzinkowego, nie zadawalniającego się zewnętrznemi, powierzchownemi objawami życia, lecz sięgającego do wnętrza.

Trzy są główne osobistości, na które w „Lalce“ rzucił autor najwięcej światła, których dzieje skreślił szczegółowo i których charaktery i przygody najmocniej oczywiście interesują czytelników. Są to: Wokulski, Rzecki i Izabella Łęcka.

Najsympatyczniejszym z tej trójcy, najtrafniej odmalowanym i najkonsekwentniej w charakterze utrzymanym jest, według mnie, Rzecki, z którym czytelnik najdłużej przebywa, z którego ust najwięcej szczegółów interesujących się dowiaduje i z którym lepiej się spoufala, aniżeli z kimkolwiek innym w powieści. Takim, jakim go nam Prus przedstawia, zrobiło go miękkie, serdeczne z natury usposobienie, wychowanie domowe i przygody życia. Ojciec jego był za młodu żołnierzem i wyniósł z owej epoki bałwochwalcze uwielbienie dla Napoleona, od jego potomków przez resztę życia spodziewając się jakichś przewrotów na świecie, mających złe wyplenić a dobrych nagrodzić. Tę wiarę swoją wpajał w syna od najwcześniejszego dzieciństwa, zaprawiając go zawczasu do zawodu wojskowego, musztrując zawzięcie, i w ostatniej jeszcze przedzgonnej chwili zalecając chłopcu wpatrywanie się w gwiazdę Napoleońską. I syn ten wiernym pozostał naukom, krótko i stanowczo dawanym przez ojca. Druga szkoła życia, sklepik Mincla, do którego oddać go po śmierci ojca musiano, gdyż nie było środków na kształcenie, nauczyła go cierpliwości, oszczędności, pracowitości i porządku, ale nie wyrugowała z duszy tego, co w niej wiara ojcowska zasiała. Gdy się tylko poczuł na siłach i gdy się sposobność w wojnie węgierskiej zdarzyła, opuścił sklep wraz z towarzyszem swoim, Katzem, który, pomimo swego nazwiska, nie cierpiał szwabów, i poszli bić Austryaków. Katz, natura milcząca, skupiona w sobie, zacięta i stanowcza, nie mógł przenieść klęski porażki, nie chciał

wracać do kraju, skończył samobójstwem. Rzecki zaś, miększy i wrażliwszy, zachował w sercu pomimo niepowodzeń nadzieję lepszych czasów, dostał się do kraju i zasiadł znowu w sklepie, jakby dla zadośćuczynienia wymaganiom wpojonym przez ową drugą szkołę życia, jakby dla okazania, że bohaterskie porywy nie przeszkadzają i przeszkadzać nie powinny w spełnianiu obowiązków codziennych, w praktykowaniu cnót powszednich: pracowitości, oszczędności, porządku i cierpliwości.

Autor nie tłómaczy nam dokładniej tej fazy w życiu Rzeckiego, przedstawia ją tylko jako fakt, może istotnie zaobserwowany. Brak ten atoli wyjaśnienia nie czyni bynajmniej figury tej niezrozumiałą. Rzecki nie jest to umysł wyższy ani co do rozumu, ani co do namiętności; w nim nie mogła wybujać żadna właściwość aż do tego stopnia, iżby nie dozwalała rozwijać się żadnej innej. Gdy młodzieńcza krew w nim zakipiała, poszedł za napomnieniami i wskazówkami zmarłego ojca, które tem większą posiadały w sercu kochającego syna siłę, że już z za grobu się odzywały. Ale spełniwszy obowiązek i nie widząc na razie możności zużytkowania pracy swej w tym wojowniczym kierunku, wrócił do sklepu, rozczytywał się w dziejach Napoleońskich, śledził przebieg spraw politycznych, objaśniając je po swojemu i upatrując wszędzie zapowiedzi zmian, o jakich marzył ojciec. Być może, Rzecki za prędko zdziadział, za prędko zaczął się uważać za niezdolnego do nowych bohaterskich porywów, ale jeżeli tę jedną okoliczność chronologiczną pominiemy, to nic zresztą już więcej nie będzie nam bruździło w rozumieniu jego charakteru.

Nie ożenił się, został starym kawalerem, przywykł do życia uregulowanego według zegarka, jako starszy subjekt w sklepie odznaczał się skrupulatnością w pełnieniu swych obowiązków tak wielką, że spędzenie paru godzin poza sklepem w porze, objętej programem pracy, przejmowało go wstydem i obawą, żeby tego nie zauważono. Całą czułość swego miękkiego, serdecznego usposobienia zwrócił ku ukochanemu Stachowi Wokulskiemu, którego znał w biedzie, a którego potem

został przyjacielem i prawą ręką. W nim widział uosobienie mądrości i szlachetności, każdy jego krok usprawiedliwiał i, bez wchodzenia w rozbiór sprawy, zawsze mu przyznawał słuszność, gotów się zań rąbać. Smutki i cierpienia Stacha stają się zawsze udręczeniem Rzeckiego, a powodzenie i tryumf — jego największą radością. Miłość jego dla Stacha niczem zrazić się nie daje, ani brakiem szerszego wylania, ani zagadkowością postępków; jest cierpliwa, pokorna i zawsze ufna; jedno słowo, jedno zrozumienie upodobań nagradza jej wszystkie niepokoje. Gniewa go nieraz miłość Stacha do Izabelli, widzi w niej klęskę i dla przyjaciela i dla interesów sklepowych, czyni czasami delikatne, nieśmiałe uwagi, pragnąłby skierować afekt Wokulskiego ku pięknej i dobrej pani Stawskiej, roi w tym względzie pomysły, które mu się wydają bardzo zręcznemi, ale oczywiście ani na chwilę nie życzyłby sobie postąpić wbrew pragnieniom i dążeniom Stacha. Nie mając bardzo często żadnych wskazówek od swego przyjaciela, co do zamiarów jego i czynów, przypuszcza, zgodnie ze swoją wiarą w rychłe dokonanie zmian stanowczych w świecie, że Wokulski zajmuje się czynnie wyższą polityką. Rozczarowuje się ciągle, gdyż żaden postępek, żadne przedsięwzięcie Stacha w wieku dojrzałym nie miało najmniejszego nawet zabarwienia politycznego.

Rzecki ma naturalnie swoje słabostki i śmieszności. Do bruku miejskiego tak już na starość przywykł, że zdobyć się nie może na wyjazd; raz kupił bilet do Krakowa, wsiadł do wagonu i... po trzecim dzwonku wyskoczył. Zajęcia sklepowe, a mianowicie układanie wystawy w oknie co tydzień stało się dla niego nieodzowną potrzebą życia, tak że całkiem bezpłatnie, ba, narażając się na podejrzenia ze strony nowonabywcy, zamykał się w sobotę w sklepie, rozkładał towary, bawił się (stary dzieciak!) zabawkami i obmyśliwał efektowną wystawę. Do inicyatywy szerszej był niezdolny; mógł być tylko dobrym wykonawcą.

Autor patrzy na tę postać z dobroduszną, pobłażliwą ironią, która nie przeszkadza bynajmniej lubić jej i szanować;

w obrazie śmierci Rzeckiego wystawił dobitnie i pięknie niemożność przemiany takiego człowieka na inicyatora jakichś większych przedsięwzięć. Gdy Wokulski sklep sprzedał, gdy się ze spółki zupełnie wycofał i znikł bez wieści, Rzecki oburzony posądzeniem Szlangbauma, że coś z towarów podczas układania wystawy mógł sobie przywłaszczyć, zamyśla o utworzeniu sklepu konkurencyjnego, o wydarciu handlu z rąk partaczy niesumiennych; naraz rozjaśnia mu się w głowie, widzi, że wiara w gwiazdę Napoleońską była mrzonką, że opieranie nadziei na polityce zagranicznej jest niedorzecznością, bo oto pod bokiem wyrastają ludzie, zarażający społeczeństwo zgnilizną moralną; zdaje mu się, że nabrał doświadczenia, które mu wystarczy „na całe życie“. Ach! tak, wystarczyło... bo tegoż samego dnia umarł.

Tak żył człowiek o inteligencyi średniej, o sercu dobrem, zacnem, o woli wystarczającej do zrobienia tego, co uważał za pożyteczne i do osiągnięcia możliwe. Pomimo swych rojeń o szerokiej polityce, życia nie zmarnował, bo nie gardził pracą powszednią, drobną, codzienną. Byt to wprawdzie podobny trochę do bytu ślimaka, wystawiającego od czasu do czasu rożki ku słońcu, ale ponieważ wielkie wypadki i wielkie charaktery nie codzień się zdarzają, dobrze jest, gdy w społeczeństwie znajdują się takie pracowite mrówki, jak Rzecki.

Wokulski należy do zupełnie innego rodzaju: to materyał na wielkiego, potężnego działacza. Pomysłowość genialna, wola silna, wytrwałość żelazna, wiedza obszerna i gruntowna mogły go uczynić jednym z wodzów wiodących społeczeństwa ku jaśniejszej przyszłości. Dlaczego takim nie uczyniły? dlaczego pojawił się on tylko jak meteor, zabłysnął i zniknął? Odpowiedź na to pytanie jest zasadniczą treścią „Lalki“, stanowi jej jądro.

Wokulski pochodził ze zbiedniałej szlacheckiej rodziny; w młodości służył jako subjekt w handlu win Hopfera, ale gnany żądzą wiedzy, czytał zawzięcie, uczył się po nocach, zdołał się przygotować do egzaminu z najwyższej klasy i wszedł

do Szkoły Głównej. Zajmowały go najmocniej odkrycia i wynalazki naukowe, robił doświadczenia chemiczne, budował balony, rozmyślał nad sposobem kierowania niemi. We wszystkiem brakło mu pomocy i środków. Wyrwany z pośród zajęć naukowych, złożył dowody swego męstwa, a potem znalazł się na dalekim Wschodzie. Umiał sobie i tu pozyskać serca, a własny rozum wzbogacić spostrzeżeniami, któremi dzielił się ze światem uczonym i które mu się w życiu dalszem przydać miały. Wróciwszy do kraju, przez pół roku żył z uzbieranej na Wschodzie gotówki, „kupując za nią dużo książek, ale mało jedzenia“. Wydawszy ją, począł szukać roboty; nie znalazł jej u kupców dlatego, że był uczonym, a u uczonych dlatego, że był eks-subjektem. Zawiódł się na nauce, myśląc, że ona zapewni chleba kawałek; postanowił więc chwycić się drogi praktycznej, postąpić tak, jak wielu postępowało i postępuje. Schowawszy na dnie duszy wyższe aspiracye i nie marząc o zadowolnieniu serca, ożenił się z wdową po kupcu Minclu, pracował gorliwie w handlu, był przykładnym małżonkiem; zawarłszy stosunki z kupcami moskiewskimi, poprawił interesy, potroił obroty i dochody. Po trzech jednak latach pożycia ze zbyt sentymentalną, wymagającą i zazdrosną Minclową, Wokulski „pobladł, pochylił się, zarzucił swoje uczone książki, a wziął się do czytania gazet i każdą chwilę wolną przepędzał na rozmowie o polityce“; jednem słowem, przerabiał się na filistra „w tureckim szlafroku, w haftowanych paciorkami pantoflach i w czapeczce z jedwabnym kutasem“. W piątym roku pożycia, małżonka zmarła, przekazując cały majątek mężowi. Wokulski wówczas osowiał jeszcze bardziej, ale za to wrócił do książek. Mając kilka tysięcy rubli dochodu, przestał zajmować się handlem, zerwał ze znajomymi, odsunął się od towarzystw, pogrążył się w studyach.

Nie trwało to jednak długo; w pół roku po śmierci żony, namówiony przez Rzeckiego poszedł do teatru, ujrzał tam Izabellę Łęcką, pokochał ją gwałtownie, obudził się z apatyi i zaczął pracować nad zrobieniem wielkiego majątku, aby módz

się zbliżyć do swego ideału, z którym jeszcze ani słowa nie zamienił. Podczas wojny tureckiej jedzie do Bułgaryi i w rok niespełna przywozi stamtąd pół miliona.

Wszystko, co tu o Wokulskim powiedziałem, dzieje się poza akcyą powieści, przedstawione zostało w formie epizodu przez Rzeckiego, piszącego pamiętnik. Tak pomyślana figura musi być nazwana dobrą; jest ona oczywiście wyjątkową, ale jej psychologia może być zrozumianą w zupełności. Jednostek utalentowanych lub genialnych nie brakowało nam nigdy i teraz zapewne nie brakuje. Najczęściej rozwinąć się one swobodnie nie mogą, gdyż na każdym swym kroku spotykają olbrzymie przeszkody, albo też nie otrzymują koniecznych pomocy. Społeczeństwo biedne, nie posiadające pomyślnych warunków istnienia, stosunkowo do innych narodów mało ukształcone, nie ma u siebie dostatecznego zasobu materyalnego, ani też przygotowania umysłowego, by mogło naprzód, dopomódz pracy wielkich uczonych, genialnych wynalazców i odkrywców przez stosownie urządzone instytucye, a następnie zużytkować wyniki tej pracy i odpowiednio je wynagrodzić. Z tego punktu widzenia przeciwstawienie warunków rozwoju w kraju i we Francyi, zrobione przez Wokulskiego, jest słuszne i zrozumiałe. Gdyby przyszedł na świat w Paryżu, to przedewszystkiem „dzięki mnóstwu instytucyj, mógłby więcej nauczyć się w dzieciństwie; później, nawet dostawszy się do kupca, doznałby mniej przykrości, a więcej pomocy w studyach; dalej nie pracowałby nad *perpetuum mobile,* przekonawszy się, że w tutejszych muzeach istnieje wiele podobnych machin, które nigdy nie funkcyonowały. Gdyby zaś wziął się do kierowania balonami, znalazłby gotowe modele, całe grupy podobnych jak on marzycieli, a nawet pomoc w razie praktyczności pomysłów“ (II, 304, 305). Nie znalazłszy tego wszystkiego u siebie, przeciwnie, widząc lekceważenie dla nauki, popadł w obojętność, ożenił się dla kawałka lepszego chleba, i o mało nie został najpospolitszym jego „zjadaczem“. Tak bywa najczęściej. Ale w Wokulskim nagle obudzona w 45-tym roku życia miłość wyrywa go

z apatyi i wprawia w ruch jego zdolności. To zdarza się rzadziej, ale nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego.

Pozwólmy nawet Wokulskiemu zrobić pół miliona w Bułgaryi — w sposób najuczciwszy.. Od czasu jednak, gdy wróciwszy do Warszawy i zaimponowawszy swoim majątkiem, zaczyna się starać o zbliżenie się do panny Izabelli Łęckiej, t. j. z chwilą rzeczywistego wystąpienia bohatera w akcyi, zaczynają nas opanowywać pewne wątpliwości. Wykupywanie wekslów Tomasza Łęckiego, ojca panny, kupowanie serwisów i kamienic, należących do niego, jest raczej środkiem czynienia sobie nieprzyjaciół, aniżeli przychylnych. W ten sposób postępowali bohaterowie romansów francuskich, gdy chcieli kogoś zgnębić, wywrzeć na kimś zemstę, doprowadzić rzeczy do ostateczności. Człowiek rozumny i bogaty znalazłby daleko łatwiejszy, daleko mniej ryzykowny środek zbliżenia się do ubóstwianego zdala ideału i nie narażałby się na śmieszność, przesiadując w wielką sobotę w konfesyonale, by patrzeć na kwestującą Izabellę; bo to pachnie trochę studenteryą lub dziwactwem; nie krążyłby po Łazienkach, nie śmiejąc się zbliżyć do przechadzającej się z ciocią pani swego serca, gdy im osobiście był już znany.

Przejścia w dziejach miłosnych, ustawiczne wahania się pomiędzy nadzieją a zwątpieniem, pomiędzy zaślepieniem w przymiotach ukochanej a trzeźwym sądem, pomiędzy obawą i śmiałością są wyborne same w sobie i oddzielnie rozważane, lecz w zastosowaniu do człowieka energicznego i doświadczonego, jakim wyobrażamy sobie Wokulskiego, wydają się bardzo dziwnemi. Byłyby one na miejscu w duszy młodzieńca, pełnego jeszcze złudzeń, nie znającego świata i kobiet w szczególności, nie posiadającego tej pewności, jaką bądź co bądź dają człowiekowi pieniądze, własną zwłaszcza pracą zdobyte. Niezgrabnym trochę i niezręcznym mógł być Wokulski, bo do łatwości ruchów towarzyskich trzeba nawyknąć od młodu, ale nie mógł być chyba naiwnym w 45-tym roku życia, poznawszy różne okazy kobiet w saloniku swej żony. Wokulski obwinia poezyę

romantyczną, a w szczególności Mickiewicza o posępne zabarwienie ideału miłości, o wyniesienie go na wyżyny niedościgłe. „Bo któż to — woła on — miłość przedstawiał mi jako świętą tajemnicę? Kto nauczył mnie gardzić codziennemi kobietami, a szukać niepochwytnego ideału?... Miłość jest radością świata, słońcem życia, wesołą melodyą w pustyni, a ty co z niej zrobiłeś?... Żałobny ołtarz, przed którym śpiewają się egzekwie nad zdeptanem sercem ludzkiem!“ (II, 353). Takie deklamacye są właściwe w ustach młodzieniaszka-marzyciela, nie znającego różnicy pomiędzy poezyą i życiem, czerpiącego wyobrażenia swoje z książek, a nie ze skarbnicy doświadczenia. U takich ludzi jak Wokulski są one dziwacznym, melodramatycznym wykrzykiem, któremu towarzyszy równie melodramatyczne ciskanie tomu poezyj Mickiewicza, a potem rozczulanie się nad jego losem, złamanym przez miłość do arystokratycznej panny.

Wogóle taka miłość pełna udręczeń, niepokojów, odpowiada raczej naturom refleksyjnym, w sobie zagłębionym, lubiącym „własną pieścić się boleścią“, aniżeli charakterom śmiałym, energicznym, zaprawionym do walki w szkole życia praktycznego. Zapewne, i takie charaktery śmiałe niezbyt bywają skłonne do położenia kresu niepewnościom przez jakiś krok stanowczy, ale prędzej się nań decydują, aniżeli natury miękkie, refleksyjne, Hamletowskie. Tymczasem Wokulski przeważnie toczy tylko ze sobą walkę wewnętrzną, a gdy próbuje czynem oderwać się od ubóstwianej istoty, w której sto razy mógł zauważyć płytkość i fałsz, to działa jak odurzony lub jak lunatyk, jedzie do Paryża, by wypijać po karafce koniaku, włóczyć się bez celu po ulicach i wystawach, nie mogąc się ani na chwilę otrząsnąć od jedynej myśli przytomnej mu zawsze i wszędzie, od myśli o Izabelli. Cokolwiek się pisze (rzadziej mówi) o wszechpotędze miłości, niepodobna przecież, polegając na psychologii i doświadczeniu, zgodzić się na to, ażeby człowiek z silną wolą nie mógł zapanować nad tą namiętnością, zwłaszcza gdy ona w sferze duchowej tylko ma swe źródło. Jedna tylko okoliczność zdaje się w tej mierze módz sparaliżować wysiłki woli,

t. j. monomania. Jakkolwiek Prus robi niekiedy do tej okoliczności alluzye, nie uczynił jej przecież swą tezą. Ojciec Wokulskiego był wprawdzie monomanem, marzącym o wyprocesowaniu od rodziny wielkiego majątku; sam bohater mówi o sobie, że ma raka w duszy, że został zahipnotyzowany przez Izabellę; ale żadne inne, wyraźniejsze ślady choroby umysłowej nie zostały przez autora uwydatnione, a wracająca od czasu do czasu świadomość położenia, błyski trzeźwego, krytycznego poglądu na Izabellę, świadczą, że jeżeli początki monomanii miłosnej były w Wokulskim, to się nie rozwinęły do tego stopnia, żeby aż całkowicie zdołały zabić w nim wszelkie inne ideały, i pobudki działania. Ostateczne oswobodzenie się Wokulskiego po drastycznej rozmowie Izabelli z kuzynkiem dowodzi, że energia w nim nie zamarła, tylko wskutek tendencyi autora pozostała niewyzyskaną należycie. Prusowi chodziło o to, żeby jego bohater, zapowiadający tak wielkie dla społeczeństwa korzyści, zmarnował się. Dopóki w kształceniu się jego i w poszukiwaniu pracy uwydatniał brak pomocy lub przeszkody ze strony społeczeństwa, trzeba było przyznać mu słuszność, ale gdy dla dopełnienia miary jego niepowodzeń obrał zawód w miłości i na ten zawód największy nacisk położył, musimy się z nim w poglądzie rozejść. Nietylko nie zawtórzymy Wokulskiemu, gdy narzeka na społeczeństwo, że mu stawiło zapory w zbliżeniu się do Izabelli, nietylko uznamy za niedorzeczną deklamacyę słów jego, iż gdyby się urodził we Francyi, toby takich zapór nie spotkał, ale przeciwnie całkowitą i wyłączną winę będziemy musieli przypisać jemu samemu, bo społeczeństwo chyba nic temu nie winno, że się zaślepił względem panny i że nie potrafił zapanować nad uczuciami. Czem urósł w oczach czytelnika bohater, to sam dobrowolnie zmarnował; i zarówno domniemana śmierć jego w ruinach Zasławskich, jak i zupełne odsunięcie się od spraw społecznych nie może budzić głębszego współczucia; z wyżyn tragicznych wszedł on dobrowolnie na poziom melodramatycznego kochanka. Mówimy to zaś nie

ze stanowiska społecznego, ale po prostu psychologicznego i etycznego.

Jak figurze Wokulskiego brak konsekwencyi w rozwinięciu, tak Izabelli Łęckiej pewną mglistość fizyognomii duchowej zarzucić wypadnie. Z początku autor zajął się nią bardzo szczegółowo i w sposób właściwy realistom francuskim starał się określić oddziaływanie otoczenia na umysł bujny, bogato uposażony. Wpływ pojęć arystokratycznych, odsunięcie od wszelkich interesów, a zamknięcie w sferze wygód najwyszukańszych, religijność powierzchowna i formalistyczna, w związku z dyletanckiem uwielbieniem sztuk pięknych, spotkały się z naturą prawą w głębi duszy, mającą porywy szlachetne, delikatną i subtelną, i wytworzyły, jak się zdawało, osobistość niepowszednią, która mogła albo zginąć w walce z niepomyślnemi warunkami (biedą materyalną i t. p.), albo też przejąć się szczerze uczuciami i poglądami wprost przeciwnemi tym, w jakich ją wychowywano. Pierwsze wystąpienia Izabelli wobec zachodów Wokulskiego, oburzenie wywołane myślą, że tenże chce być dobroczyńcą jej rodziny, chęć pozbycia się serwisu, byleby się uwolnić od upokarzającej protekcyi ciotki, próba oswobodzenia się od długów lichwiarskich, ciekawość zbadania, czy możliwy jest wysoki procent, ofiarowany jej ojcu przez Wokulskiego, mogły utwierdzić w tem pochlebnem dla bohaterki mniemaniu, mogły wyrobić w czytelniku przekonanie, że panna Izabella bardzo była mało obeznana z interesami pieniężnemi, ale że posiadała dosyć inteligencyi, ażeby się z niemi w krótkim czasie spoufalić. Lecz od chwili, w której, z kaprysu autora, panna Izabella nie może zrozumieć, że 10.000 od 30.000 nie jest 10%, ale $33^1/_3\%$, czytelnik musi dojść do wniosku, że to gęś, bardzo piękna, estetycznie ukształcona, mogąca mężczyznom zawracać głowy, ale tylko gęś, nie zaś istota, którąby pod względem umysłowym mogła rościć pretensye do jakiejś wyższości. Odtąd też, t. j. mniej więcej od drugiego tomu powieści, panna Izabella już ani razu nie okazuje najmniejszego poruszenia duszy, któreby nam przypomniało jej poprzednie,

pewną godnością nacechowane zachowanie się, jest ona już tylko dość zręczną kokietką, trzeźwo zastanawiającą się nad swojem położeniem, nad możliwością wyjścia zamąż za bogatego starca, trzymającą na uwięzi Wokulskiego, z którym się zresztą wcale nie żenuje, będąc pewną jego niezmiennej stałości. Nie poznała się dostatecznie na swym wielbicielu, nie wiedziała, że obok nieśmiałości wobec niej i chorobliwego przywiązania, jest w nim jeszcze energia i niechęć do podzielania łask i pieszczot z innymi; przeciągnęła strunę, prowadząc po angielsku wobec Wokulskiego rozmowę z kuzynkiem bardzo swobodną, i naraziła się na skompromitowanie. A gdy i drugi konkurent, na którego liczyła i wobec którego pozwalała sobie za dużo swobody, opuścił ją także, zamyśliła podobno osiąść w klasztorze... zapewne nie na długo... W tej metamorfozie jest Izabella wyrazistszą, aniżeli w pierwotnej (pierwszego tomu) postaci, ale natomiast nowego rysu do charakterystyki kokietek nie dodaje. Gdyby był autor jaśniej przedstawił pierwszą fazę i gdyby zgodnie z nią rozwinął jej psychologię, otrzymalibyśmy figurę interesującą i dosyć świeżą, chociaż przypominającą trochę „Adę“ Kraszewskiego.

Obok tych trzech głównych postaci przesuwa się bogata galerya osób, kreślonych zazwyczaj sylwetkowo, drobnemi, ale wyrazistemi rysami. Za najlepszą w powieści uważałbym grupę obrazków, przedstawiających życie średniego mieszczaństwa. Jakże doskonały jest sklep starego Mincla, pociągającego dla zabawy tekturowego kozaka w oknie i ściągającego dla nauki dyscypliną chłopców sklepowych, wraz z jego matką, widzącą w dobrej kawie szczyt zadowolnień ludzkich, i jego synami, wymyślającymi sobie od Niemców i w ciągłej ze sobą rozterce będącymi, a jednak wzajem sobie dopomagającymi, i młodą Minclową, zmysłowo namiętną! Mniej dobry, ale prawdziwy jest obrazek wnętrza sklepu Hopfera, miłości Kasi do Wokulskiego, pożycia tegoż z wdową po młodym Minclu. Odmienny, lecz w swoim rodzaju wyborny jest zarys charakteru subjektów Wokulskiego; milczący i posępny Klein, szarmant galanteryjny

Mraczewski, sumienny Lisiecki, ciągle obawiający się przymówek o żydostwo Szlangbaum. Świetnie pomyślanym i doskonale zarysowanym jest doktór Szuman, bystry, przenikliwy, niezmiernie wrażliwy, a więc też łatwo zmieniający poglądy, naprzemian uczony i przemysłowiec, nielitościwy szyderca, ale dobry i zacny z gruntu człowiek, wymyślający na współbraci, lecz kochający ich namiętnie. A cóż to za przepyszny opis licytacyi! Niemal z fotograficzną dokładnością, a jednak z prawdziwym artyzmem odtworzona zabawna strona ścierania się tu różnorodnych, nieraz wprost przeciwnych sobie interesów! Knajpka wraz z Deklewskim, Szprotem, a zwłaszcza Węgrowiczem, doskonała!

Mniej prawdziwemi, w karykaturę wpadającemi są sceny, w których Prus przedstawił życie studentów i figle przez nich płatane w kamienicy nabytej przez Wokulskiego, oraz scena w sądzie, w której ciż studenci, jako nie płacący komornego, pozwani przez nową tego domu właścicielkę, dworują z niej sobie i z całej sprawy. Prus ma niewątpliwie wielki zapas komizmu, a żarty jego i dowcipy do szczerego i hucznego pobudzić mogą śmiechu; dobrzeby jednak było, ażeby w dobieraniu środków wywołania wrażeń komicznych był wybredniejszy. W „Lalce“ mianowicie, tak jak w wielu feljetonach jego, razi zbyt częste odwoływanie się w porównaniach i określeniach do stosunków płciowych. Może to rzeczywiście podobać się pewnej sferze czytelników, od której nie wyłączam i kobiet, co tem chętniej czytają o takich rzeczach, im mniej o nich pozwalają przy sobie mówić; ale prawdziwie estetycznego efektu bynajmniej to nie sprawia. Przypuścić wolno, że te koncepty samemu autorowi nie są zbyt upodobane i że jest trochę ironii w posługiwaniu się niemi; autor mówi chyba sobie: nudzą was rzeczy poważne, podobają się wam błazeństwa; dobrze, wezmę na siebie tę rolę, tylko pozwólcie się nazwać bydlętami... Mógłby sobie Prus t a k i e j ironii oszczędzić.

Świat arystokratyczny dość dużo zajmuje miejsca w „Lalce“; poznajemy tu kilka postaci nakreślonych sylwetkowo, a zawsze

z większą lub mniejszą przymieszką sarkazmu. Najszlachetniejszą osobistością jest tu książę, wiecznie ubolewający nad „nieszczęśliwym krajem“, mający najzacniejsze dążenia, popierający wszelką działalność, w której widzi pożytek ogólny, ale sam niezdolny do żadnej inicyatywy i naprawdę nie rozumiejący istotnych potrzeb narodu. Najsympatyczniejszym jest Ochocki, młodzieniec zdolny, pomysłowy, ale dla braku gotówki nie mogący pomysłów swoich uskutecznić, nudzący się w atmosferze salonowej, lekceważący kobiety, kokietujący je na zimno, zawsze gotowy do dyskusyj naukowych, do porzucenia zabawy i życia próżniaczego, gdy mu się sposobność do ulubionych doświadczeń fizykalnych nastręcza. Hrabia udający Anglika, jeden baron wiecznie w długach, drugi astmatyczny, w starości wzdychający do sielanki miłosnej, Maruszewicz, nikczemny rajfur i oszust — jako sylwetki — są figurami dobremi. Autor głębiej w ich dusze nie wchodzi, nie przedstawia nam ich życia na tle szerszem, uwydatnia tylko ich właściwość jako *inutile pondus terrae.*

W świecie kobiecym pewnym równoważnikiem księcia jest zacna i rozsądna staruszka prezesowa, wolna zupełnie od przesądów rodowych, wspominająca swoją młodocianą miłość do stryja Wokulskiego, rozporządzająca swoim majątkiem rozumnie. Jej ulubienicą jest młoda wdówka Wąsowska, śmiała, trochę męskich przyzwyczajeń mająca, w słowach idąca niekiedy za daleko, kokietująca mężczyzn otwarcie, przebojem, ale ostatecznie w życiu bez zarzutu. Ewelina, zdradzająca już przed ślubem, jest istotą moralnie zgniłą, którą ze zdziwieniem widzimy w towarzystwie prezesowej.

Wogóle zarys pożycia towarzyskiego na wsi w majątku prezesowej jest prowadzony żywo; zrobiłbym tylko uwagę, że zachowanie się i rozmowy zgromadzonych tu osób bardziej przypadałyby do charakteru średnio-szlacheckiej lub bogatej mieszczańskiej sfery, aniżeli do arystokratycznej.

Pani Stawska, którą Rzecki jako anioła wystawia, nie należy właściwie ani do arystokracyi, ani do mieszczaństwa.

Ma ona zapewne wyobrażać dobrą, zacną kobietę, bez kokieteryi, a pełną uroku. Gdyby nie jedna scena, w której Stawska bez ogródki powiada matce, że gdyby tylko zechciał Wokulski, stałaby się jego metresą, możnaby wziąć tę postać za prawdziwą; pani Stawska, jak ją poprzednio poznaliśmy, alboby się tak nie wyraziła, albo nie byłaby potem tak spokojnie wyszła za Mraczewskiego.

Ogólne wrażenie, jakie pozostawia po sobie „Lalka", jest mroczne; pesymistyczny pogląd na obecny stan społeczeństwa naszego widnieje w całości, ale nie daje się uczuć zbyt dotkliwie, gdyż promyki humoru rozjaśniają cienie, rzucone przez złe lub słabe jednostki; dopiero w samym końcu, gdy Wokulski zniknął, a Rzecki umarł, występuje on w całej sile, bo na arenie pozostają... Maruszewicz i Szlangbaum, i mają kraj reprezentować.

W kompozycyi „Lalka" jest chyba najsłabsza. Nie mam tu na myśli luźnego łączenia scen, gdyż wynikać to może z metody powieściopisarskiej: lecz przerywanie biegu akcyi obszernemi wyjątkami z dziennika, czy raczej pamiętnika Rzeckiego, i sposób pisania w pamiętniku tym panujący. Wyjątki te są tak ułożone, że mogą być w znacznej części z jednego miejsca usunięte, a w drugie wstawione: nie wiadomo, dlaczego w jednym z urywków opowiedziana jest młodość Rzeckiego, a dopiero po znacznej przerwie jego wyprawa do Węgier; podobnie, jak nie wiadomo, dlaczego wiadomości o początkowych losach Wokulskiego pojawiają się dopiero w tomie drugim. Styl w pamiętniku tym bardzo rzadko właściwy jest zwykłemu sposobowi wyrażania się Rzeckiego, w większej części ten ekswojak i subjekt tak pisać nie mógł, chyba potrafiłby tylko skopiować rękopism Prusa: tyle w nim świeżości, dowcipu i ironii z samego siebie.

Mimo te braki, gdy się pomyśli o mnóstwie trafnych uwag, o znacznej liczbie doskonałych sylwetek, wybornych scen, tryskających życiem; gdy się rozważy figurę Rzeckiego:

przyznać się będzie musiało „Lalce“ jedno z pierwszych miejsc w naszej belletrystyce współczesnej.

V.

Rozległością i subtelnością spostrzeżeń w kilku bardzo różnych od siebie dziedzinach życia, głębią nastroju i poglądu filozoficznego, większem zharmonizowaniem środków artystycznych przewyższają „Emancypantki“ (1894, w 4-ch tomach) poprzednią powieść Prusa „Lalkę“, ale ustępują jej w żywości i oryginalności. Utwór to obmyślany i wykonany chłodniej, rozważniej, przeciążony tu i owdzie, a zwłaszcza pod koniec, pierwiastkiem dydaktycznym, nie ujętym nawet w formę ponętną. Nie budził też on tak gorączkowego zajęcia jak „Lalka“ w ciągu swego trzyletniego pojawiania się w odcinku „Kuryera Codziennego“, lubo przerwy bywały znaczniejsze, dłuższe, aniżeli podczas drukowania „Lalki“. Pola do dyskusyi przedstawia dużo, a zasadniczą powagą myśli i częstokroć tonu dowodzi, że autor uważa go sam za wynik dojrzałego zastanowienia.

Pierwotny tytuł „Emancypantka“ bardzo słusznie zmienił autor w wydaniu książkowem na liczbę mnogą, gdyż ani bohaterka główna ani żadna wogóle z kobiet wprowadzonych do powieści nie mogą być poczytywane za jakiś prawdziwie znamienny okaz ruchu emancypacyjnego; dopiero wszystkie razem jako tym ruchem silniej lub słabiej porwane, składają się na wytworzenie barwnego obrazu, przedstawiającego w zmniejszeniu, a niekiedy z karykaturalnem zacięciem, współczesny pęd kobiet ku samodzielności.

Nie zamierzał bowiem Prus ruchu tego odwzorowywać w całej pełni, ani w jego teoretycznych podstawach, ani w praktycznych zastosowaniach; mało, zbyt może mało przywiązuje do niego wagi, patrzy nań ironicznie i mówi do najzagorzalszych zwolenniczek dążeń emancypacyjnych:

„Kobieta przedewszystkiem jest i musi być matką. Jeżeli kiedykolwiek chce być czemś innem: mędrcem, za którym szeleści jedwabny ogon, reformatorem z wymalowanemi brwiami i obnażonemi ramionami, aniołem, który uszczęśliwia całą ludzkość, pięknym klejnotem, domagającym się złotej oprawy: wówczas wychodzi ze swej roli i kończy na potworności, albo na błazeństwie. Dopiero gdy występuje w roli matki, a nawet już wówczas, gdy dąży do tego celu, kobieta staje się imponującą siłą, równą nam, albo wyższą od nas. Jeżeli cywilizacya jest godnym podziwu gmachem, kobieta jest tem wapnem, które spaja pojedyńcze cegły i robi z nich masę jednolitą. Jeżeli ludzkość jest siecią, która wyławia ducha z natury, kobiety są w tej sieci węzłami. Jeżeli życie jest cudem, kobieta jest ołtarzem, na którym spełnia się ten cud... Kiedy trzeba wkopywać się o tysiąc metrów pod ziemię, żeglować o tysiące mil od lądu, kuć żelazne belki, pod deszczem kul wyrywać z gardła zwycięstwo, błąkać się jak sęp ponad zawrotnemi przepaściami natury, dla schwytania jakiejś prawdy — mężczyzna jest w swoim żywiole. Ale tam, gdzie chodzi o rodzenie, karmienie i wychowanie: górników, żeglarzy, wojowników i myślicieli, tam jednej, delikatnej kobiety nie zastąpi cały legion pracowników, bohaterów i mędrców. Jej łono mędrsze od was wszystkich, potężniejsze od całego świata“ (IV, 135, 136).

Prus widocznie niemożność spełnienia programu jego uważa za rzecz tak wyjątkową, iż nie widzi potrzeby uwzględnienia jej w poglądzie ogólnym; nie myślę z tego powodu wchodzić z nim w polemikę; zaznaczyłem jedynie tę okoliczność, ażeby uwydatnić sposób, w jaki dążenia kobiet do samodzielności zostały w powieści jego przedstawione.

Zjawiają się one tutaj nagle około r. 1870, jakby o wiele przedtem wcale ich u nas nie było, jakby pokolenie kobiet z r. 1840 żadnego po sobie śladu w społeczeństwie nie pozostawiło; nie są musowym wynikiem ogólnego położenia ekonomicznego w połączeniu z żywszem tętnem ruchu umysłowego,

lecz raczej przypadkowym skutkiem górnolotnych haseł, wygłaszanych przez niektóre czasopisma. Hasłami temi przejmują się takie trochę już starzejące się panny, jak Howardówna, która ostentacyjnie i krzykliwie rozprawia słowem i pismem o konieczności zreformowania stosunków rodzinnych, o opiece należnej dzieciom nieprawym od społeczeństwa i t. p., lub takie bogate a niełądne istoty, jak Ada Solska, dobra, uczynna, nieśmiała, studyująca matematykę i nauki przyrodnicze, uczęszczająca na wykłady uniwersyteckie i badająca cierpliwie rozwój porostów. Są to ostateczne kontrasty, tę wszakże mające wspólność, że na seryo i z głębi duszy nie oddają się one swoim teoryom czy zamiłowaniom, bardzo łatwo mogą je zmieniać lub całkowicie porzucać. Tego, co się nazywa wyrobionem, stałem przekonaniem, kobiety owe nie posiadają; wszystko bowiem zależy u nich od okoliczności. Odznaczają się one nadzwyczajną giętkością umysłu, która im pozwala przetwarzać swoje poglądy i sympatye i zastosowywać je do chwilowego wrażenia. Bo te wrażenia, zabarwione silnie uczuciem, rządzą niemi wistocie.

Panna Howard lubi brzmiące słowa, drażliwe temata, bo się spodziewa, że jej śmiałość zrobi wrażenie na młodym studencie, który artykuły jej oddaje do pism i pomaga w robieniu korekty. Sama studenta tego nie kocha, lecz pragnęłaby zawrócić mu trochę głowę; gdy się przekonywa, że Kotowski przychodził do niej chętnie tylko dlatego, że w jej mieszkaniu spotykał się ze swoją wybraną, pensyonarką, poczytuje go za zdrajcę, zamierza zmiażdżyć go słowy, powiadając właściwym sobie tonem patetycznym: „Jeżeli po tem, co mu powiem, ten człowiek przeżyje do jutra, będę miała dowód, że jest łotrem, którego nie powinnam zaszczycać nawet moją pogardą“. Wzmianka o korektach już ją przemienia, uczucie próżności przytłumia objawy gniewu; ale nie chciałaby, ażeby Kotowski ożenił się z Manią, za argument podając, iżby to było sprzeniewierzeniem się sztandarowi... zapewne wolnej miłości. Na lekceważące o tym sztandarze wyrażenie Kotowskiego, pozornie

oburza się panna Howard, mówiąc drwiąco o męskiej logice, ale gdy student bez ceremonii i dobitnie odrzekł jej na to, że logiki w każdym razie nie układały kobiety, staje się potulną, bo jej imponuje energia młodzieńca. I ona sama wierną sztandarowi nie pozostanie. Samodzielność jej stopi się jak śnieg na słońcu, gdy ujrzy możność wyjścia zamąż choćby za krzywonogiego pana Mydełkę, którego po swojemu idealizuje. I ta, która była gotowa opuścić stanowisko dobrze płatnej nauczycielki, gdy przełożona pensyi chciała wydalić jednę z jej koleżanek za nocną wycieczkę, potem okaże się wielce drażliwą na pozory i doradzać będzie innym, ażeby bardzo a bardzo były oględnemi w postępowaniu. Ta, która niedawno wykładała z zapałem dzieje kobiet samodzielnych, począwszy „od mitycznej Ewy, a skończywszy na Alicyi Walter, która kierowała armiami Stanów Zjednoczonych w czasie ostatniej wojny“, później jako mężatka od dni czterech z uniesieniem równającem się poprzednim zachwytom, twierdzić będzie, że „kobieta dopiero wówczas staje się naprawdę człowiekiem, gdy wyjdzie zamąż“; że „przeżyła nie cztery... właściwie — nie trzy doby, ale trzy wieki, trzy tysiącolecia“, że czuje się wniebowziętą. A oto obrazek przedmiotowy tego wniebowzięcia:

„W altance odezwał się gruby głos:

„— Tak mnie bolą nagniotki .. Założyłbym się, że jutro wieczór będzie słota.

„— Więc włóż, aniołku, pantofle — odezwał się głos niewieści.

„— Kiedy nie chce mi się szukać pantofli — odparł bas.

„— Ja ci znajdę, duszko!...

„— Trzeba jeszcze ściągać buty! — mruknął bas.

„— Ależ ja ci zdejmę... Przecieżeś ty mój... cały mój... moja pieszczotka... mój koteczek...“ (IV, 398).

Jest to zapewne najjaskrawsze przeciwieństwo, jakie wymyślić można dla scharakteryzowania przepaści, oddzielającej frazeologię od życia praktycznego, oraz płytkości deklamacyi o dążeniach samodzielnych. Prusowi chodziło oczywiście o wy-

wołanie komicznego wrażenia, ośmieszającego najkrzykliwszą i najzarozumialszą głosicielkę zasad emancypacyjnych w jego powieści, lubo zdaje się, że charakter energiczny panny Howard nie bardzo ku temu celowi był odpowiedni. Takie kobiety jak ona umieją trzymać mężów za łeb, a nie ściągać im z nóg buty i podawać pantofle. Dążność satyryczna doprowadziła autora do złamania psychologicznej konsekwencyi charakteru, którego rysem głównym jest chęć przewodzenia, wygórowana ambicya i pewna oschłość sercowa.

Ada Solska — to zupełnie inna kobieta. Z rodu arystokratka, wykształcona w kierunku demokratycznym, bogata a brzydka, nie posiada energii, śmiałości, przedsiębiorczości, idzie wskazaną sobie drogą, kształci się, chodzi na wykłady w Zurichu, bo do świata zabaw nabrała wstrętu, do młodzieży arystokratycznej nieufności, iż każdy czyha tylko na jej posag, uważając jej osobę za niepotrzebny w gruncie dodatek. Spragniona jest przyjaźni i dla niej zdolna jest (we własnem przekonaniu) do największych ofiar. Ale ani nauka nie może wypełnić jej życia, ani też przyjaźń kobieca zadowolnić jej serca. Studyuje, bada porosty dla zabicia nudów. W jednakim stopniu zainteresować ją mogą nauki przyrodnicze i spirytyzm; od jednych z łatwością przechodzi do drugiego. Pokochała silnie, namiętnie młodzieńca, pełnego zalet zewnętrznych, umiejącego pięknie, dowcipnie, lub porywająco przemawiać, lecz pod względem moralnym zupełnie zepsutego. To uczucie było jej rozkoszą i męką zarazem. Nie mogła ona uwierzyć naprawdę, ażeby piękny, psuty przez kobiety Kazimierz Norski mógł ją pokochać dla niej samej, a więc bardzo trudno jej było powierzyć mu z całą ufnością swą przyszłość; atoli miłość jej była zbyt silna, ażeby całkowicie stłumić się dała. Dręczyła się więc wewnętrznie, tem bardziej, że brat, poznawszy lichotę charakteru Kazimierza, wzgardził nim i zerwał z nim stosunki. Ada nie śmiała stawiać jawnego oporu woli brata, zatopiła się w badaniach przyrodniczych, lub się rozrywała posiedzeniami spirytystycznemi, lecz gdy tylko dostrzegła w towarzystwach,

że Kazimierz dłużej z jakąś kobietą rozmawiał, wrzała w niej zazdrość — i wówczas ta dobra, szlachetna, nieśmiała kobieta takie miała błyski w oczach, takie twarde słowa na ustach, że największej nawet przyjaciółce mogła niemi odebrać wiarę w swą serdeczność: stawała się wówczas złą i niesprawiedliwą. Wprawdzie po uspokojeniu się, po długim a cichym namyśle dochodziła do rezygnacyi, wypowiadała nawet swą zgodę na to, żeby Kazimierz inną poślubił; ale w rzeczywistości zapewneby tego nigdy spokojnie nie przeniosła. Gdy Kazimierza raniono w pojedynku, znikła jej nieśmiałość; nie zważając na konwenanse, na mogące zajść plotki, pojechała do niego, by go pielęgnować w chorobie, a uczuła się niebiańsko szczęśliwą, gdy się z nim zaręczyła. Sama nie wiedziała, kto pierwszy złożył wyznanie, on czy ona. Na co tu zresztą wyznanie, gdy jej czyn jawnie zaświadczył o jej niezwalczonem uczuciu! Nic ją nie obchodził charakter ukochanego; przebaczyła mu wszystko, bo kochała. Jedyną jej troską było, jak przyjmie to jej postanowienie brat, którego szanowała i bała się. Lecz brat, którego miłość również zwalczyła, dał od razu swoje zezwolenie. Wówczas „Ada upadła na kolana, objęła brata za nogi i, całując je, szeptała z płaczem: — Ty, mój bracie jedyny... mój ojcze... moja matko... Ach, jak ja ciebie kocham!“ Zapewne już odtąd nie będzie się interesowała ani rozwojem porostów, ani pojawianiem się duchów, dopóki... dopóki piękny Kazimierz zdradzać jej nie zacznie, dopóki znów nie uczuje się osamotnioną, jeżeli w uczuciu macierzyńskiem nie znajdzie dostatecznego bodźca do przetrwania cierpień, jakie niewątpliwie są jej zgotowane. Kazimierz Norski nie ma kwalifikacyi na dobrego męża; wszystkie uśmiechy bogactwa i znaczenia towarzyskiego, jakie mu zapewnia ożenienie się, będzie uważał za rzecz sobie wprost należną i pomiatać będzie tą, w której widzi ślepą dla siebie miłość.

Obok Klary Howard i Ady Solskiej występują jeszcze dość często w „Emancypantkach“ dwie panny: dama klasowa Joanna i pensyonarka Mania Lewińska; ale w ich charaktery-

styce i w ich przygodach nie masz nic, coby rzucało światło na ruchy emancypacyjne; takie lekko biorące życie dziewczęta, jak Joanna, i takie zakochane podlotki, jak Mania, mogą istnieć bez żadnego wpływu haseł reformatorskich. Chcąc tedy poznać inne przedstawicielki ruchu kobiecego, potrzeba pójść na sesyę stowarzyszenia, które założyło pracownię kaftaników trykotowych. Scena ta trzymana jest, ogólnie biorąc, w tonie satyrycznym; Prus doskonale odtworzył hałas, wzajemne sobie przerywanie, gadatliwość, zamęt pojęć, brak ładu pomimo regulaminu i kar nakładanych za odzywanie się bez upoważnienia przewodniczącej. Krytyka przedsiębiorstwa, które żadnych nie przynosiło zysków, projekt wysłania kilku młodych kobiet do uniwersytetów zagranicznych, nie mogący przyjść do skutku dla braku poparcia, projekt utworzenia domu schronienia dla starych i chorych nauczycielek, który się może urzeczywistni dzięki ofiarności Ady Solskiej, projekt zawiązania stosunków z „kobietami wyższej cywilizacyi“, wniosek o wystaranie się miejsca dla znękanej nauczycielki na pensyi klasztornej, upadający dlatego, że brzmi niepostępowo i trąci, jak jedna z uczestniczek się wyraziła, hipotezą metafizyczną — oto zmieniające się jak w kalejdoskopie temata, z których żaden nie był ani rozwinięty szerzej, ani atakowany, ani broniony jakiemiś istotnie poważnemi argumentami, lecz traktowany płytko, zbywany drwinami i t. p.

Prus atoli, powodowany uczuciem sprawiedliwości, przedstawił na tej sesyi nietylko żywioły hałaśliwe i dowcipkujące, rozgoryczone i zmącone; lecz także istotne pracownice, ciche a pożyteczne; zrobił to jednak ogólnikowo. Wypada wszakże poznać ten pobieżny zarys, choćby dlatego, że autor wiedział dobrze o istnieniu dodatnich i zacnych postaci w ruchu kobiecym, tylko nie chciał ich na plan pierwszy wyprowadzić. Gospodyni domu, gdzie sesya się odbywała, właścicielka magazynu ubiorów damskich, przypuściła swoje współpracowniczki do udziału w zyskach, a obok tego miała dwie wychowanice, zupełne sieroty. Panna Żetowska, introligatorka, ile razy nie

miała roboty, chodziła pielęgnować ciężko chorych, za całe wynagrodzenie przyjmując tylko żywność. Panna Ulewska znała szewctwo, hafciarstwo i malarstwo na porcelanie, pracowała od świtu do północy, miała początki suchot i posyłała brata swoim kosztem do gimnazyum. Pani Białecka, wdowa, od kilkunastu lat opiekowała się kobietami wychodzącemi z więzienia, które mieszkały u niej, przez nią dostawały służbę i — niekiedy okradały ją na podziękowanie. Panna Zielińska, nauczycielka, z własnej pracy utrzymywała rodziców i dwu braci, którzy ciągle szukali odpowiedniego dla siebie zajęcia. Panna Czerwińska, także nauczycielka, biorąca po złotówce za lekcyę, odznaczała się niezwykłą zdolnością wyzyskiwania swoich znajomych na rozmaite dobroczynne ofiary: jeden z jej pupilów był dyrektorem fabryki, drugi poszukiwanym adwokatem, trzeci ożenił się z majętną panną; ale ich opiekunka, już zagrożona ślepotą, wciąż brała po złotówce za lekcye i chodziła w podartych trzewikach.

Ada, słuchając tych szczegółów o widzianych na sesyi kobietach, „w pierwszej chwili chciała wybiedz na środek saloniku, upaść na ziemię i całować nogi tych świętych kobiet, które szły przez życie nikomu nieznane, ciche, proste, niekiedy lekceważone... Zdumiewało ją, że na te nadzwyczajne kobiety nikt w stowarzyszeniu panny Howard nie zwracał uwagi. One same, nieśmiałe i jakby zawstydzone, kryły się po kątach; mówiła zaś najgłośniej i robiła najwspanialsze wrażenie, albo panna Howard, nosząca tytuł członka-założyciela towarzystwa, albo niezadowolona ze świata panna Papuzińska, jej antagonistka, albo antagonistka ich obu panna czy pani Kanarkiewiczowa, która uczyła się na pamięć Encyklopedyi większej Orgelbranda“ (III, 193—5).

Tak bywa nietylko w zgromadzeniu kobiet: błyskotliwy talencik i głośna mowa żywsze zyskują oklaski, niż rzetelna, ale cicha wiedza i zasługa. Uczestniczki zgromadzenia u panny Howard miały tę zaletę, że gdzie szło o ofiarność, nie cofały się samolubnie, lecz dzieliły się z potrzebującemi, czem mogły,

choć im widocznie trudno było rozstawać się nawet z najmniejszym grosikiem.

Ciężki los kobiety, zmuszonej pracować na utrzymanie własne i rodziny, krótko, ale żywo i plastycznie odmalowany został przez Prusa w paru sylwetkach różnego rodzaju pracownic, mieszkających u pani Burakowskiej, byłej obywatelki ziemskiej, która po śmierci męża z całego majątku otrzymała trzy tysiące rubli gotówką. Za część tych pieniędzy wynajęła większe mieszkanie i odnajmowała je częściowo sublokatorkom, które się stołowały u niej. Musiała ciężko pracować od szóstej rano do północy, ale mogłaby z tej pracy byt niezły osiągnąć, gdyby nie brat i siostra. Siostra posiadała sto jeden przemysłów: umiała szewctwo, introligatorstwo, haft, malowała na porcelanie, grała na fortepianie, wyrabiała ramki z paciorków, wieńce ze skóry i — szyła bieliznę. Wszystkie te jednakże kunszty, pomimo gorliwej pracy, przynosiły jej ledwie dziesięć rubli na miesiąc. Znacznie starszy brat był praktyczniejszy; nie robił nic, ale za to ciągle szukał zajęcia, co zmuszało go do przepędzania czasu w cukierniach i restauracyach. Otóż ta siostra, a zwłaszcza ten brat-próżniak pochłaniali dochody, a nawet i część kapitału. W ciągu czterech lat utraciła pani Burakowska 1200 rubli; pozostałe 1800 zapewne stracić będzie musiała w ciągu następnych sześciu; a potem?... „Potem — myślała, że dobry Bóg ześle na nią śmierć, a sam zaopiekuje się młodszą siostrą, arcypracowitą i posiadającą sto jeden kunsztów, tudzież starszym bratem, który poszukiwał zajęcia“.

A oto sylwetka jednej z lokatorek pani Burakowskiej. Była kasyerką w składzie aptecznym; za 40 rubli pensyi miesięcznej pracowała od ósmej rano do ósmej wieczór, z przerwą godziny na obiad. Po dziesięciu latach zajęcia, przy którem nie było czasu myśleć o sobie, razu pewnego zemdlała, a sam właściciel składu aptecznego w naglący sposób prosił ją, żeby wyjechała na wieś. A ponieważ dano jej obietnicę, że posady nikt nie zajmie, przeniosła się do swojej ciotecznej siostry, której nie widziała od lat jedenastu. Przyjęto ją bardzo życzli-

wie i oświadczono, że przed końcem lata nie puszczą jej do Warszawy. „Kasyerka ze składu aptecznego nie mogła wydziwić się, że przez ten czas, kiedy ona za kantorkiem odbierała kwity i pieniądze, lub wydawała reszty, cioteczna jej siostra nietylko wyszła zamąż, nietylko miała ośmio- i dziewięcio-letnie dzieci, ale nawet — jakby się postarzała!... Kasyeree, zajętej od ósmej rano do ósmej wieczór przyjmowaniem pieniędzy i wydawaniem reszty, podobne zmiany w życiu nigdy nie przychodziły na myśl. Nie mogła nawet wykombinować, jakim sposobem tak nagle starzeją się ludzie i wyrastają dzieci, — chociaż od dziesięciu lat była przecie kobietą samodzielną, a nawet urzędnikiem składu aptecznego, gdzie znajduje się takie mnóstwo chemicznych preparatów, że możnaby z nich wybudować cały świat, nietylko dzieci!“ (IV, 154).

Z humorystyczną przesadą wskazał tu Prus wyczerpanie fizyczne i stępienie duchowe wskutek jednostajnej pracy mechanicznej i braku ruchu.

Na innem polu niemniej kłopotów, udręczenia i cierpień doznała pani Latter, zmuszona zdobywać środki utrzymania dla siebie i dwojga swych dzieci. Córka zamożnego domu, przyzwyczajona do wygody, z rozwiniętemi popędami zmysłowemi, wydana za człowieka niedołężnego, owładnęła nim zupełnie, ale szczęścia nie zaznała, podobnie jak i w drugiem małżeństwie, kiedy już sama sobie wybrała męża w osobie młodego cudzoziemca, guwernera. Traktowała go z góry, a po kilku latach pożycia, podejrzewając jego wierność, wypędziła go po prostu ze swego domu. Majątek był zrujnowany. Z jego resztek założyła pensyę, którą prowadziła lat piętnaście, utrzymując na wielkiej stopie i czyniąc ją najbardziej renomowaną w Warszawie. Pensya przynosiła znaczne dochody, ale one nie wystarczały na coraz to większe wydatki. Miała pani Latter dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa: Helenę i Kazimierza Norskich. Helena lubiła stroje i zabawy, Kazimierz był urwisem i próżniakiem, pozującym na człowieka wielkich zdolności, nie chcącego się marnować wśród zwykłych powszednich zatrudnień,

lecz dążącego do wyższej, bodaj najwyższej karyery. Matka widziała w nich same doskonałości i nie żałowała grosza ani na ich najwykwintniejsze wychowanie, ani na ich światowe potrzeby. Musiała więc zaciągać długi i doszła w końcu po latach piętnastu do położenia bez wyjścia. Uczennic zaczyna ubywać, ponieważ niektórzy rodzice z różnych powodów, a mianowicie dla ducha emancypacyjnego, jaki w ostatnich latach na pensyi zawitał, niechętnem już na nią spoglądają okiem. Dawniejszy ład i karność, utrzymywane spokojnym taktem przełożonej, zaczynają się psuć, gdyż pani Latter kłopotami pieniężnemi pochłonięta, nie wgląda jak dawniej w sprawy i z przerażeniem spostrzega słabnącą swą powagę. Ze wstrętem zmuszona jest pani Latter robić oszczędności na pensyi nauczycieli, na pożywieniu uczennic, ażeby módz dostarczyć pieniędzy dla syna, który coraz więcej i coraz natarczywiej ich się domaga. Co więcej, usposobienie i postępowanie dzieci zmusza matkę, kobietę prawą i rozumną, do wykrętów, niesprawiedliwości i wprost nieuczciwości, jak np. w sprawie Joasi, damy klasowej, uwiedzionej przez Kazimierza. Wyprawia wreszcie i syna i córkę za granicę w towarzystwie Solskich, licząc na to, że piękność Heleny podbije Solskiego, a piękność i genialność Kazimierza — Solską, a tym sposobem przyszłość się ich ustali.

Zdawało się na chwilę, że pani Latter odetchnie. Ale teraz właśnie spadły na nią najsroższe cierpienia. Przekonywać się zaczęła, że jej dzieci to pasorzytne rośliny, obwijające ją miękkiemi, ale duszącemi splotami, że jej miłość ślepa i poświęcenie bez granic wydały krańcowych samolubów. Po wyjeździe Kazimierza zjawia się lichwiarz z wekslem, na którym pani Latter widzi sfałszowany przez syna swój podpis. Z listu się dowiaduje, że córka najlekkomyślniej w świecie rozwija zasoby kokieteryi względem licznego grona mężczyzn, sądząc, że tym środkiem najskuteczniej do siebie przywiąże Solskiego, co ją zawodzi. A tymczasem powrót drugiego męża pani Latter, który przez owe lat piętnaście wyrósł z nieśmiałego młodzieńca

na energicznego męża, pełnego siły i zdrowia, przypomina jej, że ona dla siebie samej nie miała żadnej przyjemności, żadnej rozkoszy, że wszystko robiła tylko dla dzieci. Radaby się pogodzić z tym wypędzonym niegdyś guwernerem, ale ta chęć zjawia się za późno, bo ten mąż ma już nową żonę i syna, a przybył do Warszawy dlatego tylko, żeby uzyskać formalny rozwód, którego domagała się druga jego żona, dawniej emancypantka, głosząca zasadę wolnej miłości, potem zagorzała spirytystka, bojąca się, żeby na tamtym świecie nie odebrano jej męża, gdyby zaniechano form kościelnych.

Wskutek wszystkich przejść powyższych opanowuje panią Latter takie rozdrażnienie nerwowe, że za jakąbądź cenę musi choćby na dni kilka opuścić pensyę, oddalić się z tych murów, gdzie tyle cierpień doznała, nie widzieć ludzi, co jej niedawną przeszłość wciąż obecnością swoją przypominają, nie dotykać sprzętów, na których niedawno jeszcze Kazimierz i Helena siadywali. Wyjeżdża więc do majątku człowieka, który ją ubóstwiał, prawie nieprzytomna, z gorączką niepewności i chęcią jak najszybszego dostania się do miejsca, mającego stać się jej zacisznem schronieniem. Trzeba było się przez rzekę przeprawić; promu nie było; pani Latter szła nad brzegiem rzeki, gdzie po drugiej stronie dostrzegła w parku Mielnickiego, pod ogromną lipą ławeczkę, czarną od starości, widzianą w snach niejednokrotnie, i czółno przy drugim brzegu. Wołała na przewoźnika, a gdy ten zniknął, ona rozkrzyżowawszy ręce, całem ciałem rzuciła się w rzekę. Ostatnie jej słowa były: „Dzieci moje...“

Obraz pani Latter jest w „Emancypantkach“ wspaniale wykonany. Wielka dama przyzwyczajona do rozkazywania, matka zaślepiona w zaletach swych dzieci, kobieta o popędach zmysłowych, i pragnąca odrobiny szczęścia dla siebie samej w wieku dojrzałym, kiedy się już z dziećmi rozstała, i dlatego chwilowo złorzecząca tym dzieciom, co jej nadzieje zawiodły, lecz w ostatniej chwili o nich tylko myśląca — tak się spływają, tak się harmonijnie jednoczą w kształty plastyczne, że tę

postać za najdoskonalszą artystycznie w „Emancypantkach“ uważać można, gdyż drobne zaledwie usterki w niektórych słowach i sytuacyach wytknąćby się w niej dały.

Niepodobna tego powiedzieć o tej postaci, którą Prus ukochał całem sercem, którą uczynił ogniskowym punktem całego opowiadania, o Madzi Brzeskiej. Jako pomysł jest ona doskonałą, jako wcielenie artystyczne — ułomną. Autor chciał przeciwstawić tym różnorodnym usposobieniom kobiecym mniej lub więcej egoistycznym, jakie w swym utworze odmalował, istotę pełną uroku dziewiczego, nieświadomą swej piękności i potęgi swych wdzięków, zajętą jedynie myślą dopomagania bliźnim, ocierania łez, śpieszenia z pomocą biednym, z pociechą strapionym, ulżenia niedoli ludzkiej. Miał to być „geniusz uczucia“, tak jak są geniusze rozumu, fantazyi, woli. I właśnie dlatego, że to geniusz, nie mógł on znaleźć zadowolenia i szczęścia wśród ludzi. Wszystkie tedy czyny Madzi, płynące z najszlachetniejszych pobudek, były źle tłómaczone przez otoczenie, wywoływały plotki, obmowy, potwarze, zniewagi, upokorzenia, zawody. Zdręczona, znękana, szukać wreszcie zapragnęła przytułku cichego i spokojnego u sióstr miłosierdzia, ażeby tam przyjść do jakiejś równowagi umysłowej i rozpocząć na nowo życie czynne, zgodne z jej duchowem usposobieniem.

Tak się przedstawia Madzia rozważana jako pomysł. Ale gdy ją rozpatrzymy w szczegółach wykonania, okażą się pewne niejasności i wątpliwości. Razi w niej przedewszystkiem zbyt wielka, nieprawdopodobna, ze względu na bieg jej wychowania, naiwność. Oto najprzód, jak po sześciu latach przepędzonych na pensyi wśród nader różnorodnych wpływów nauki, czytania, rozmów z uczennicami, damami klasowemi, a zapewne i studentami, przedstawiała sobie Madzia ustrój świata: „Niebo, jak tło Madonny Rafaela, było utkane ze skrzydeł i głów anielskich; na ziemi ludzie, jak na odpuście, tworzyli jeden tłum, pogrążony w pracy i modlitwie. Że tam ktoś był lepiej czy gorzej odziany, że ktoś kogo mimowoli potrącił, że inny zapłakał, to drobiazg... to tylko wypadki i pozory.

W rzeczywistości — serca ludzkie przepełniała modlitwa i dobroć, a nad całym tłumem rozlewał się blask boży, czyniący podobnemi do siebie wszystkie pochylone głowy i zamyślone twarze“ (IV, 103). Taki stan duszy i taki pogląd jest poetyczny i zapewne możliwy, ale chyba w innych warunkach, aniżeli rosła i wychowywała się Madzia. Córka małomiasteczkowego doktora musiała widzieć w domu zatroskane nieraz twarze z powodu znaczniejszych wydatków, jakie pociągało za sobą wychowanie trojga dzieci, musiała słyszeć rubaszne i pospolite słowa starego majora, musiała dostrzedz niejeden rys nędzy lub upodlenia wśród ubogich mieszkańców. A potem uczyła się i kosmografii i fizyologii nawet, czytała Milla o poddaństwie kobiet, słuchała rozpraw pani Howard, dowiadywała się od koleżanek rozmaitych sekretów towarzyskich. Czy to wszystko żadnych śladów w jej umyśle nie zostawiało? Czy nie oddziaływało nic a nic na jej wyobrażenia, na zaznajomienie jej z życiem rzeczywistem, tak dalekiem od obrazu świątyni, którą przepełnia modlitwa i dobroć? Wreszcie, Madzia od jakiegoś czasu pracowała już na siebie, była damą klasową, znała choćby troszeczkę wartość pieniędzy, dla przyjścia z pomocą której z koleżanek ofiarowywała swoje trzy tysiące; więc bieda. płacz, zniewaga nie mogły być dla niej pozorem tylko i drobiazgiem.

Ale idźmy dalej. Prus, jako ważny okres w rozwoju duchowym Madzi naznacza chwilę, w której poznała kłopoty pieniężne pani Latter. Kochała entuzyastycznie swą przełożoną. wielbiła jako kobietę rozumną i zacną, córkę jej poczytywała za cud piękności, dla syna jej czuła jakąś cześć zabobonną i widziała w nim wszystkie przymioty wymarzonego ideału. Dla pani Latter gotowa była na wszelkie poświęcenia. Roztrzepana dotychczas, zaczęła się zastanawiać, zaczęła wyróżniać ludzi dobrych i złych, wyrzucała sobie ciągle brak rozumu, a więc nietylko pojęła, lecz odczuła jego niezbędną potrzebę w życiu. Atoli nabycie praktyczności przychodziło jej z niemałym trudem.

Śmierć pani Latter tak na nią silnie podziałała, iż sama powróciwszy do rodziców zachorowała. Wyzdrowiawszy, pomyślała o założeniu w miasteczku pensyjki, ażeby zarabiać na własne utrzymanie. Najlepszą charakterystyką jej dziecinnego jeszcze usposobienia jest ta okoliczność, że jakby miała figla jakiego spłatać, robi to w tajemnicy przed rodzicami, chociaż wie, że ojciec przynajmniej dałby jej radę najlepszą. Idzie tedy wraz z prowincyonalną emancypantką Eufemią najprzód obstalować ławki, a potem obejrzeć mieszkanie na szkołę, choć nie zapewniła sobie jeszcze żadnej uczennicy i nie otrzymała pozwolenia na otwarcie szkółki. Oglądając mieszkanie, znajduje wędrownych artystów; serce jej każe się zająć ich losem, urządza dla nich koncert, który ma niesłychane powodzenie, ale ściąga niechęć artystów, nieporozumienia i plotki, uwłaczające dobrej jej sławie. Współczujemy Madzi w zupełności; we właściwej sobie sferze działania jest ona nieporównaną, ale gdy zaczyna rozmawiać o pensyi z ojcem (II, 221), to widzimy w niej rozgrymaszone dzieciątko, nawet tupiące nóżkami i nie umiejące ani myśleć ani mówić logicznie. Naiwność znowuż wychodzi tu na jaw; tak jak zresztą w niejednej sytuacyi podczas pobytu w rodzinnem miasteczku, gdzie się w niej młodzież kocha, żadnego nie wywołując oddźwięku w jej sercu, gdyż w niem napół nieświadomie zataiło się uczucie dla syna pani Latter, Kazimierza. Początkiem tego uczucia był całus podstępnie przezeń na jej ustach wyciśnięty. Ale ona tak była niepewna, czy kocha naprawdę tego czarującego młodzieńca, że na zapytanie księdza proboszcza, czy ją ktoś pociąga do Warszawy, odpowiedziała przecząco, a potem na spowiedzi nie uważała za potrzebne wyjawić swojej wątpliwości, co ją zresztą następnie mocno dręczyło.

Za ponownym powrotem do Warszawy Madzia rozwija dalej swój wpływ uczuciowy i dobroczynny, pozostając pod względem umysłowym i wogóle duchowym w poprzedniem słabo rozwiniętem stadyum. Jako nauczycielka domowa u bogatych a śmiesznych piwowarów Korkowiczów, uszlachetnia rozpie-

szczone i źle wychowane dziewczynki, wskazując im sposób zużytkowania wolnego czasu w uczeniu i odziewaniu biednych dzieci, przyzwyczaja do przyzwoitego zachowania się pana domu, poczciwego rubachę, trzyma na wodzy wybryki jego syna, urwisa, próżniaka i grubianina. Nie mogła tylko przemódz złości i zazdrości samej pani, tak że Solscy musieli niemal przemocą zabrać Madzię do siebie.

Jako towarzyszka Solskich wnosi do ich wielkiego, ale smutnego domu promienie wesołości i zadowolenia, budzi w Solskim dla siebie uczucie głębokie i prawdziwe, nastręcza Adzie sposobność czynienia dobrze ludziom przez hojne ofiary, pozyskuje jednem słowem swojem posady korzystne przy wznoszonej przez Solskiego cukrowni, umiejąc tym sposobem zainteresować do niej człowieka, który się nudzi, łatwo zmienia projekty i nie wie, jak ma zużytkować olbrzymie zasoby energii i pieniędzy. Wszyscy ludzie widzą jasno, że bogaty pan pokochał biedną nauczycielkę, zmieniają też stosownie do tego swoje względem niej postępowanie, starając się zaskarbić sobie jej łaski: ona jedna tylko nie dostrzega miłości Solskiego, nie korzysta ze swego nań wpływu dla dobra swej rodziny, a w końcu dotknięta chłodnem i surowem obejściem się krewnych Solskiego, odrzuca stanowczo prośbę jego o rękę swoją i dom ukochany dotychczas opuszcza. Zrozumiałe są zupełnie powody takiego postanowienia, ale dlaczego na zapytanie, czy kocha, odpowiada Solskiemu: tak; dlaczego popełnia kłamstwo dziewczyna tak szczera, tak prawdomówna, ten geniusz uczucia, który intuicyjnie powinienby był odczuć boleść, jaką zadawał człowiekowi szlachetnemu, poważanemu i kochanemu przez siebie? to się przedstawia zagadkowo i stanowi jedną z głównych wad w rysunku postaci.

Madzia przekonała się, że nie kocha Kazimierza Norskiego, chociaż jeszcze widzi w nim genialnego młodzieńca, który zamącił jej duszę wykładem poglądów materyalistycznych. Autor uważa ten fakt za nadzwyczaj doniosły w życiu bohaterki; od niego datuje nowy okres jej rozwoju. „Jej niebo — jak mówi —

zapełnione główkami i skrzydełkami aniołów, w jednej chwili znikło, jak teatralna dekoracya, odsłaniając czarną pustynię, okropniejszą aniżeli sam grób. Jasność, padająca z góry na ziemię, zgasła i świat okrył się kirem, na tle którego tem jaskrawiej płonęły krwawe ognie ludzkich cierpień. Od tej chwili dusza Madzi była jak zmiażdżone zwierciadło; wszystko odbijało się w kształtach potwornych, mnożąc się i potęgując za każdem nowem wstrząśnieniem... Cały świat ducha zgasł dla Madzi; gorzej, bo rozpłynął się w nicość. Została kirem okryta ziemia, a na niej tłum ludzi, cieszących się niewiadomo z czego, lub cierpiących niewiadomo za co... Z dawnych ideałów nie posiadała żadnego: ani nieba, ani ziemi, ani wiary w bohaterów, ani modlitwy. Duszę jej rozbito, poszarpano, zdeptano i trzeba było długiego czasu, nim się to wszystko zabliźni, nim gruzy upadłej świątyni pokryją się nowem życiem. Tymczasem w Madzi potęgowało się głuche rozdrażnienie i zaczął kiełkować bezwzględny egoizm cierpiących, których nic nie obchodzi oprócz własnego cierpienia" (IV, 106, 107).

Bardzo interesującym byłby plastyczny obraz tego stanu rozbicia duszy pięknej i uczuciowej, ale Prus go nie odmalował, poprzestając na ogólnikowych tylko określeniach, które nie znajdują stwierdzenia w sytuacych. Jakoż jedyną sytuacyą, po dziecinnemu malującą rozstrój wewnętrzny, jest bezmyślne upicie się Madzi po wykładzie materyalistycznym Kazimierza. Nieliczne bowiem sceny rozdrażnienia nerwowego łatwo wytłómaczyć się dają innemi wpływami. Zresztą Madzia jest pod względem uczuciowym i umysłowym taką, jaką była poprzednio: dobrą, opiekującą się nieszczęśliwymi, choćby z narażeniem swojej opinii, nieostrożną w stosunkach z ludźmi. Wiary w bohaterów nie utraciła widocznie, bo właśnie teraz pragnie być siostrą i matką nieszczęśliwego geniusza, jakiego wciąż widzi w Kazimierzu, dopóki ten, wyprowadziwszy ją na przechadzkę do ogrodu, swemi niespodzianemi pocałunkami nie wykazał się przed nią jako najpospolitszy rozpustnik.

Wtedy dopiero nastąpił ów rozstrój wewnętrzny, o którym

zbyt wcześnie autor uprzedził; wtedy to zaczęła szukać ukojenia u szarytek, w książce o Naśladowaniu Chrystusa, w wywodach profesora Dębickiego, który naukowo dowodził bratu jej suchotnikowi, zrozpaczonemu ateuszowi, nieśmiertelności duszy. Gdy brat niebawem umarł, gdy z listu matki dowiedziała się, że oszkalowana nie ma po co wracać do rodzinnego miasteczka, postanowiła zostać szarytką, by pod szatą zakonną módz spełniać uczynki miłosierdzia, nie narażając się na potwarze. Ojciec, major, w porozumieniu z Solskimi starają się odwieść ją od tego zamiaru, i wówczas po raz ostatni w powieści uwidocznia się jej naiwność. Nie może oddać ręki Solskiemu, bo „należała już do innego", dlatego, że ją Kazimierz w ogrodzie całował. Autor zapewne uważał te słowa Madzi za najwyższy, najwznioślejszy dowód czystości i niewinności jej serca, ale czytelnik musi je poczytywać za wielką niezręczność znakomitego powieściopisarza w przedstawieniu umysłowego rozwoju swej bohaterki.

* * *

Takie są ważniejsze postaci i sytuacye w „Emancypantkach". O mężczyznach krótko tylko wspomniałem, gdyż podrzędną oni w tym utworze odgrywają rolę; niektórych nawet, mianowicie z obrazu życia w małem miasteczku, nie wspomniałem wcale, gdyż jakkolwiek charakterystycznie i wybitnie zostali przedstawieni, nie wnoszą do skarbca twórczości nowych, świeżych pierwiastków; znamy ich już przynajmniej w rysach zasadniczych z poprzednich pism Prusa, a pod względem artystycznym przypominają najmocniej tę fazę, w której konceptowość i skłonność do kreślenia karykatur w nim przeważała.

Z pierwiastków, które dawniej słabo się zarysowywały, zaznaczyć należy silne pogłębienie filozoficznych na życie poglądów, oraz głębokie odczucie ekstazy religijnej. Wprawdzie jako publicysta Prus lubił zawsze uogólnienia, lecz dokonywał ich przeważnie w zakresie socyologii; rzadziej natomiast na

polu filozofii; a w nowellach i powieściach rozumowań w stanie surowym nie pomieszczał wcale. Inaczej jest w „Emancypantkach“, których tom IV-ty przeciążył nawet długiemi wywodami filozoficzno-przyrodniczemi, mającemi tylko pozór dyskusyi, właściwie bowiem są to prelekcye profesora Dębickiego, kiedyniekiedy przerywane jakiemś słówkiem Solskiego lub brata Madzi, suchotnika. W określenie wartości naukowej tych wywodów wchodzić tu nie będę, gdyż albo nie czuję się kompetentnym do roztrząsania poruszanych tam kwestyj (np. co do teoryi potopu), albo też musiałbym znacznie się obszerniej rozpisać (np. w kwestyi zastosowania zasady niezniszczalności materyi i energii do świata zjawisk psychicznych), aniżeli to było obecnie moim zamiarem. W każdym razie winienem dodać, że trafność i głębokość wielu bardzo uwag przenosi doniosłością swoją to, co w niejednej książce ściśle filozoficznej czytamy. Ze względów artystycznych szkoda tylko, że autor nie zdołał wywodów tych bardziej ożywić, uczynić bardziej pociągającemi a zarazem złączyć ich ściślej z rozwojem duchowym osób, przez siebie wystawionych. Nie myślę bynajmniej, iżby należało wykluczyć rozprawy filozoficzne z powieści; sądzę jedynie, że powinny być dopasowane do wymagań artyzmu; nie udawało się to zazwyczaj dotychczas, ale nie idzie za tem, ażeby kiedyś poszczęścić się nie miało.

Odczuwanie ekstazy religijnej znamionuje dusze lotne i uczuciowe; znajdowało się ono już i dawniej u Prusa w zarodku i niektóre drobne szkice były mu poświęcone; ale na rozleglejszą skalę pojawia się ono dopiero w „Emancypantkach“. Niektóre wyrażenia, niektóre wizye i dreszcze są prześlicznie oddane, chociaż na ogół biorąc, bardziej się autor wyręczał słowami średniowiecznego mistyka, nieśmiertelnego autora dzieła o Naśladowaniu Chrystusa, aniżeli posługiwał własną intuicyą. Naturalnie, uwagi poczerpnięte z utworu, który jest arcydziełem w swoim rodzaju, lepiej się przedstawiają pod względem artystycznym, aniżeli wywody profesora Dębickiego.

Kompozycya „Emancypantek“ jest rozległa i obejmuje sobą bardzo liczne odcienie życia z wielu warstw towarzyskich. Widzimy tu życie pensyonarskie z wielu różnorodnych stron rozpatrywane; widzimy dalej życie małego miasteczka ze wszystkiemi jego śmiesznościami, plotkami, drobnostkowością, zarozumiałością, ale zarazem i z tragizmem. Przesuwa się dalej przed nami szkic wzbogaconego mieszczaństwa, które nie zdążyło się jeszcze ogładzić, albo też ma pretensyę do reprezentowania najwyższego tonu towarzyskiego. Intelligencya również staje przed nami, i to w rozmaitych, krzykliwych i narzucających się, oraz cichych i spokojnych kształtach; nie wszystko tu jest, coby znaleźć się mogło; ale to, co jest, ma, w ogólnych zarysach, prawdę za sobą. Nędza życia wielkomiejskiego, skupiona w domu pani Burakowskiej, lub w ciasnych izdebkach akuszerki, nie rzuca się nam jaskrawo w oczy, ale tem silniej oddziaływa, że jest zestawiona z obszernemi, widnemi, lubo także niezapełnionemi szczęściem pokojami wyjątkowych arystokratów. Siostry miłosierdzia, niosące pomoc nieszczęśliwym lub zapatrzone w niebo, kończą ten korowód istnień ludzkich, wśród których rzadko się pojawia uśmiech szczęścia, lecz bólu i cierpienia nie braknie.

Pierwszy tom jest wspaniałą ekspozycyą, która zapoznaje nas ze wszystkiemi główniejszemi osobami, a zarazem tworzy zaokrągloną całostkę, będąc obrazem kilku ostatnich miesięcy życia pani Latter. Pod względem artystycznym jest ten tom najlepiej, najświetniej wykończonym i może się zaliczyć do arcytworów Prusa. Tom drugi stanowi również zamkniętą w sobie całostkę, gdyż akcya rozgrywa się tu wyłącznie na tle stosunków małomiasteczkowych; jest on także dobrym, ale w znacznie niższym tonie aniżeli pierwszy. W tomie trzecim różnorodność sytuacyj o wiele jest większa aniżeli w poprzednich, ale może właśnie z powodu tego bogactwa materyału, nie wszystko w nim jest z jednakową starannością odrobione; szkicowanie częstsze tu jest aniżeli gdzieindziej. Wreszcie tom czwarty, najważniejszy co do treści myślowej, najmniej zada-

walnia pod względem sztuki, zwłaszcza w drugiej swej połowie; za dużo w nim pierwiastku dydaktycznego!

Prus każdem nowem dziełem swojem wznosi się na coraz większe wyżyny; kto chce naocznie prawie przekonać się o olbrzymiej różnicy, jaka zachodzi między Prusem dzisiejszym a przed-dwudziestoletnim, niech odczyta najprzód „Kłopoty babuni“ — a potem „Emancypantki“. Zapewne nie wszedł Prus jeszcze na szczyt najwyższy, ale któż go wstrzyma? Niech dąży, coraz wyżej i coraz szybciej!

1890—1894.

V.

KLEMENS JUNOSZA.

Od lat dwudziestu pracuje Junosza na niwie piśmienniczej. Nie święcił nigdy wielkich, rozgłośnych, hałaśliwych tryumfów, nigdy też nie był przedmiotem dotkliwej i obniżającej wartość utworów krytyki. Przez pierwszych lat dziesięć swego zawodu (od r. 1874, kiedy debiutował wierszem i prozą w „Kolcach“) ginął zazwyczaj ślad jego pisarskiej działalności w tej otchłani, w jaką czas spycha wydawnictwa codzienne; kiedyniekiedy tylko ten lub ów artykuł zwrócił uwagę braci po piórze na jego pseudonim, gdy np. w „Echu“ uczynił wyprawę przeciw Aleksandrowi Świętochowskiemu, lub Albertowi Wilczyńskiemu.

Szerszej publiczności dał się poznać za pośrednictwem sztuki ludowej w 5-ciu obrazach ze śpiewami i tańcami p. n. „Chłopski mecenas“, wystawionej w Warszawie przez trupę prowincyonalną Dorożyńskiego. Treść jej osnuta była na stosunkach, które autor znał najlepiej i malować umiał najżywiej. Chłopi, żydzi, pokątni doradcy, warszawiacy na majówce są tu przedstawieni z werwą i komizmem szczerym; śpiewki udatne, niektóre koncepty, zwłaszcza z życia żydowskiego, zręczne. Wątek niewyszukany rozwijał się swobodnie, lekko. Elegant warszawski Fonsio postrzelił wypadkiem babę wiejską; całe towarzystwo, z którem przybył na wieś, musiało się zatrzymać, a dowiedziawszy się o kłótni Bartłomieja z Michałem, o pożyczeniu pieniędzy od Fajbusia pod nader uciążliwemi warun-

kami, robi składkę na pokrycie długu, kojarzy małżeństwo Franka i Kasi, dzieci owych chłopów, kłócących się i zadłużających na złość sobie; a „mecenasi wiejscy“, pijaki, wichrzyciele i wyzyskiwacze, muszą ze wstydem opuścić wioskę.

„Chłopski mecenas“, wydrukowany w Warszawie r. 1880, był pierwszą książką Klemensa Junoszy. Niebawem potem przeniósł się autor na Podlasie w okolice Węgrowa i gospodarował tam przez lat kilka wśród szlachty zagonowej, zbierając obrazki do przyszłych swoich opowiadań i nowell. Istotnie, wtedy zebrany zapas wystarczył mu na napisanie około trzydziestu tomów, w przeciągu lat dziesięciu, to jest od zbiorku zatytułowanego: „Z mazurskiej ziemi“ (Warszawa 1884), do „Pająków“, które się z datą roku 1894 w książce oddzielnej ukazały. Od trzech lat prowadzi sam Junosza wydawnictwo 10-tomowe „Wyboru pism“ swoich, z którego dotychczas wyszła połowa.

Ocen i recenzyj utworów Junoszy nie brakowało, ale ogólnej charakterystyki jego talentu nikt jeszcze nie nakreślił. Postaram się to zrobić w tym drobnym szkicu, nie ubiegając się o dokładność, lecz o pochwycenie cech istotnie znamiennych.

I.

Szare jest tło życia naszego: jednostajna, ciągła, pospolita praca na utrzymanie rodziny, na zapewnienie sobie jakiegotakiego bytu, przerywana kiedyniekiedy równie jednostajnemi, równie pospolitemi rozrywkami, troski powszednie, dokuczliwe jak drobne owady, które śmierci ani ran wielkich nie zadadzą od razu, ale pozbawiają spokoju, swobody ducha, zmuszając do skupienia uwagi dla uchronienia się od ukłuć szpilkowych, od nieprzyjemnych, swędzących podrażnień, wyczerpując powoli siły i zdrowie, nieznacznie sprowadzają zdenerwowanie, rozstrój, zniechęcenie.

Wśród tego ustawicznego mozołu, wśród tych codziennych drobnych kłopotów najszczęśliwsi jeszcze stosunkowo są ci, którzy pracują tylko fizycznie, choćby najciężej, którzy, od dzieciństwa do pracy takiej przywykłszy, wyrobili w sobie wytrwałość i odporność niezmożoną, bo prawie żywiołową, nieświadomą siebie, działającą tak jak siły przyrody. „Dobrze w krzyżu zaboli, jak się człowiek sochy nadźwiga; dobrze nogi zabolą, jak się za broną nabiega; a przy żniwie grzbiet trzeszczy, przy zwózce oczy na wierzch wyłażą, a potem trzeba cepem machać, to też nie lekka zabawka; trzeba ziarno wywiać, oczyścić, do młyna zawieźć — i tu dopiero jest mąka, z której baba chleb piecze. Nie tak się ten chleb w piecu piecze, jak człowiek, co musi koło niego robić, od samego początku“ („Wybór pism“, V, 194). Ale jak mus, to mus. Człowiek chleba się naje, przeciągnie, krzyże rozprostuje, w karczmie zaśpiewa i zatańczy, wyśpi i nazajutrz znów rzeźwy i świeży wstaje do roboty. Wymagania jego i potrzeby są niewielkie, a choć na przednówku bywa ciężko, nieraz bardzo ciężko; chociaż choroby i klęski bynajmniej go nie oszczędzają; myśl przecież dolegliwa i niespokojna nie zatruwa mu każdej chwili odpoczynku, nie wyolbrzymia nieszczęść, nie rozrania wciąż blizn niedobrze zagojonych. Te chłopskie plecy, nad któremi Junosza w jednym z najlepszych utworów swoich przez usta Icka robi spostrzeżenia, są rzeczywiście uzdatnione do dźwigania najcięższych bodaj brzemion. „Twarda chłopska skóra — powiada Icek — istna podeszew; wymoczona na deszczach, wysuszona na skwarze słonecznym, wyziębiona nieraz na mrozie... końska odparza się od chomonta, a tej nic nie szkodzą ciężary, kloce drzewa, wory zboża. Pod tą skórą... są muskuły potężne, wyglądają jak bardzo grube i bardzo mocne postronki, rozłożone symetrycznie na grzbiecie, łopatkach, żebrach i ramionach... Jaki grzbiet, jakie łopatki, co za ramiona, jakie żebra! Grube, ale siła w nich jest, końska, wołowa siła!“ (tamże, str. 186—7). Takie plecy nie zlękną się pracy.

Inaczej jest z tymi, w których mięśnie wymiękłe, nerwy

wydelikacone, w których mózg pracuje więcej, niż ręce i plecy. Wychowanie ich nie zahartowało, lecz natomiast rozbudziło pragnienia, które zadowolnić trudno, zasiało myśli, które jak rój pszczół brzęcząc, jak osy kąsając, zmuszają wprawdzie do pracy i wysiłków, ale zarazem wykazują małą ich skuteczność lub bezowocność całkowitą. Świadomość położenia i rozmyślanie nad niem rzadko kiedy doprowadza ich do przedsięwzięcia środków zaradczych, daleko częściej przygnębia i smutkiem napełnia, przedstawiając niemożliwość wyjścia z zaklętego koła. Z początku biorą się do dzieła z zapałem i gdyby najstraszniejsze nawet mieli zwalczyć przeszkody z nadzieją, że zaraz jutro czy pojutrze usunąć je zdołają, to wyszliby zwycięsko z zapasów, bo męstwa i dzielności im nie brak; atoli spostrzegłszy, że przed nimi przeszkody wprawdzie niewielkie, lecz w niekończącym się szeregu ciągną, że je bardzo powoli, systematycznie, z cierpliwością nadzwyczajną obchodzić czy usuwać potrzeba, tracą humor, dręczą się, słabną, upadają.

Oto przykład jeden z wielu. Pan Jan ze Stawisk, rozsądny, energiczny, pracowity, nie mający w sobie nic prawie z tradycyjnie przekazywanych właściwości czysto szlacheckich, wskutek fatalnych warunków, w jakich większa posiadłość ziemska u nas się znajduje, z wielkim zaledwie trudem wystarczyć może na niezbędne wydatki gospodarcze i wychowanie dzieci w bardzo skromnym zakresie. „Człowiek ten do dnia wstawał, późno w nocy kładł się na spoczynek, najdrobniejszej słomki nie dał zmarnować, pilnował całości mienia jak źrenicy własnego oka, a wszystkie dochody oddawał jak najsumienniej w formie procentów. Dla siebie tyle miał tylko, że żył. Oszczędność posuwał do ostatecznych granic, w przekonaniu, że tą drogą stanie na własnych nogach, odzyska niezależność, zgromadzi fundusz na edukacyę dzieci, na zabezpieczenie starości... Człowiek ten nie miał ani godziny dla siebie, nie znał, co chwila wytchnienia, lub radości... Czuł, że go jakiś niewidzialny łańcuch, jakaś ściana coraz bardziej opasuję, otacza, że poza nią już nic nie widać, nic, nic!... Gdy zaś noc

przyszła, to nie goniła poranku, ale wlokła się jak zmora powoli, jak zmora dusiła, spędzając sen z powiek, strasząc widmami przyszłości, rzucając potworne znaki zapytania przed oczy: Co? jak? skąd? od kogo? kiedy? Ohydny słownik!... niejednemu on życie złamał, energię odebrał, niejednego przedwcześnie do grobu zaprowadził. Niemasz bardziej jadowitego i bardziej mnożnego owadu nad te pytajniki nieubłagane. Brzęczą nad uszyma, rzucają się do oczu, świdrują czaszkę, sprawiając ból nieznośny, aż do obłędu, do szaleństwa. I sen przed temi dyabelskiemi znaczkami ucieka: spokój odbiega i chęć do życia. Wśród ciemności nocnych świecą one fosforycznym blaskiem, jak błędne ognie na cmentarzysku lub bagnie, wdzierają się pod powieki, rażą źrenice, pieką. I ani ich odpędzić, ani się od nich uwolnić niesposób; natrętne i uprzykrzone jak komary, powracają, mnożą się, uderzają całą chmarą... W takiem położeniu i myślenie skrępowane bywa. Pytanie, co będzie za rok? wydaje się szczytem ironii, wobec nierozwiązanej kwestyi jutra i dni najbliższych. Za rok? Możnaż myśleć o tem, gdy nad głową na delikatnym włosku wisi miecz, który lada chwila może się urwać i zdruzgotać całe istnienie?... Smutna tragedya życia! tem smutniejsza, że prosta, zwyczajna, pospolita. Nie mniej przeto jest ona straszna, a może nawet straszniejsza od wielu z tych, jakie w arcydziełach mistrzów podziwiamy. W tamtych siła wyższa, fatum czy ananke druzgotały człowieka jednem uderzeniem, niby ciosem potężnej maczugi; w tych człowiek pada od ukłucia tysiącznych szpilek, kona powoli, traci krew kroplę po kropli aż do zupełnego wyczerpania, a łudzi się do chwili ostatniej... i szarpie“ („Syzyf“, str. 125, 156, 157, 171, 172).

Junosza, opowiadając smutne dzieje pana Jana ze Stawisk, nie o samych tylko myślał ziemianach, borykających się z trudnemi warunkami gospodarowania wśród obecnych stosunków, ale podciągał pod kategoryę Syzyfów, dźwigających ciężkie głazy życia, bardzo liczne masy „i w pałacach, przy war-

sztacie, i z maską na twarzy, i z piórem w dłoni, i w świecie sztuki i w świecie wiedzy".

A nietylko ogólnikowo kategoryę tę wykazywał, lecz także nieraz przedstawiał artystycznie jednostki, do niej należące. Taką powszednią tragedyę życia odmalował w obrazku owej zubożałej kobiety, grającej po restauracyach, której na wspomnienie dawnych, lepszych czasów, na wspomnienie zmarłych dzieci, serce pęka, gdy gra „Wesołego" na żądanie podchmielonych gości (zob. „Wilki", str. 313—322); albo w osobie owego biuralisty Karola, co raz dług lichwiarski zaciągnąwszy, nie mógł się z niego wypłacić, co to „nie stary, a przecież siwy; nie chory, a jednak skulony, jak gdyby go wielki ciężar bólu przytłaczał; nie próżniak, a przecież zawsze biedny; nie pijak, a zatacza się nieraz, tak go własna niedola odurza" („Pająki", str. 245); albo w dziejach tej udręczonej, oszkalowanej nauczycielki, która do wszelkich innych cierpień i to jeszcze dołączyć musiała, że ukochany przez nią nie wytrwał w swem uczuciu i w dalekich krajach, dokąd go burze losu zagnały, zapomniał i o niej i o ziemi rodzinnej („Po burzy", w „Obrazkach szarych").

Znanem więc jest dobrze Junoszy to życie pełne łez, trudów, cierpień codziennych; nie usuwa się też bynajmniej od malowania jego szczegółów, ale nie okazał w tym względzie zamiłowań szczególnych, ani też nie posługiwał się namiętnem, jednostronnem wpatrywaniem się w bolesne rany społeczne; od pesymizmu i ponurości ratował go humor, ukazujący mu obok smutnych i rzewnych, wesołe i komiczne rysy w charakterach ludzkich i stosunkach pomiędzy niemi.

Nie poczucie bowiem tragiczności, lecz komizmu, leży na dnie talentu Junoszy. Mówi on wprawdzie nieraz o cichej, pospolitej tragedyi życia, ale scen prawdziwie tragicznych, któreby grozą swoją wstrząsały potężnie duszą czytelnika, nie nakreślił on nigdy. Zawikłania, w które popadają jego osobistości, mają w sobie pierwiastki, mogące wywołać położenia tragiczne, dusze atoli jego osób, a po staremu mówiąc, boha-

terów, za mało posiadają głębi, za mało silnej i ześrodkowanej namiętności, ażeby się na wyżynach sytuacyj owych utrzymać, a autorowi znowuż brak dostatecznej siły słowa, ażeby je w całej pełni odmalować. Nad śmiercią rozwodzić się Junosza nie lubi, a jeżeli ona następuje (co się zresztą zdarza dość rzadko), to albo jako zwykły, codzienny wypadek, który utracił własność rozrzewniania, albo przychodzi jako przewidywany od dawna wynik osłabienia organizmu, zdenerwowania, wyczerpania. Opisawszy wypadek, wskutek którego biedny jego Syzyf życie postradał, dodaje: „Ten człowiek dużo cierpiał, nieraz w jeden dzień więcej przebolał, niż inny w przeciągu roku... Od młodości aż do kresu dni swoich dźwigał brzemię nad siły, dźwigał, dźwigał, aż przerwał się i upadł“. Po takiem przedstawieniu zgonu jednego z tych, co się najbardziej do tragizmu kwalifikowali, cóż więcej powiedzieć można, nad te dwa słowa, które wypowiada o nim autor: „biedny Syzyf!...“

Namiętności silnych, gwałtownych, niema też wiele w pismach Junoszy. Rzadkie to, bardzo rzadkie u niego takie zjawisko, jak owa pani Rafałowa, szlachcianka z zagonu, wydana zamąż wbrew swej woli, energiczna w obronie swej nienaruszalności, chowająca w sercu swą miłość pierwszą, dziewiczą, daleka od myśli zdradzenia męża, któremu nie jest żoną, zadumana i smutna, lecz spełniająca prozaiczne obowiązki życia codziennego. Ale i w przedstawieniu tej namiętności głębokiej więcej się domyślamy, niż mamy wyraźnych wskazówek autora; wnioskujemy o niej, a nie mamy jej malowidła. Jedna tylko scena jest tu prawdziwie piękna, pełna poezyi. Józia wie o bliskiem miejscu pobytu swego Antosia, lecz nie pozwala sobie z nim się widywać; zaledwie parę razy całkiem przypadkowo z nim się zeszła i coprędzej uciekła; tęsknota wygania ją z domu, idzie mimowoli w tę stronę, gdzie się z Antosiem spotkała; serce w niej dygoce; dusza się wyrywa ku ukochanemu; wewnętrzną mowę uczucia przenosi na zewnątrz; Józia słyszy jakiś głos tajemny, a znany i miły, co ją ku sobie przyzywa; zdaje się jej, że każdy listek, każda gałązka woła na nią:

chodź, chodź! I oprzeć się wołaniu temu nie mogła, pobiegła bez tchu, bez pamięci. „Zdawało jej się, że wszystkie ptaszki śpiewające i wszystkie listki na gałęziach i wszystka woda w strumieniu woła na nią: Józiu! Józiu! Zdawało jej się, że promienie słoneczne, co się między drzewami migotały, przyczepiły się do niej jako złote sznury i ciągną ją w las ku temu głosowi wołającemu, że wiaterek, co między listkami chodzi, trąca ją, popycha, a szepce: — Józiu! Józiu! Były to wołania dziwne, jakby zaczarowane, nie nakazujące, nie straszne, owszem pieszczone właśnie i słodkie, ale taką osobliwą swoją moc miały, że im się oprzeć nie było sposobu, że człowiek poszedłby za niemi choćby na przepaści bezdenne, za wody niezgłębione, za lasy nieprzejrzane... Wsłuchiwała się biedna kobieta w te wołania, w te głosy i już nie pytając na nic, biedz chciała za niemi, choćby na kraj świata, biedz bez pamięci, do tchu ostatniego“ („Panowie bracia“, str. 260).

Ta auto-suggestya namiętności, tak ładnie przedstawiona, to najgłębszy rys psychologiczny, jaki Junosza w utworach swoich na jaw wyprowadził; stoi też on osamotniony; inne bowiem malowidła miłości w nich spotykane nie przechodzą skali wartości pośredniej o barwach zblakłych, spowszedniałych.

Wielkich starć, wynikających z różnorodności prądów umysłowych czy społecznych, dotyka Junosza nader rzadko, a wówczas nie doprowadza do druzgotania jednych przez drugich, lecz stara się rozwiesić tęczę przymierza między chwilowo zwaśnionymi. Za przykład posłużyć może opowiadanie p. t. „Pod wodę“. Staje tu w kolizyi syn względem ojca z powodu całkiem odmiennego poglądu na zadania życia społecznego. Ma ta kolizya podobieństwo do stosunku ojca i syna w powieści Orzeszkowej: „Nad Niemnem“. Ojciec oszczędny, pracowity, energiczny, zbierający grosz wskutek doskonałego urządzenia gospodarstwa i umiejętnych obrotów, wyrzekł się uczucia, poezyi, wszystkiego, co może umilić i uszlachetnić życie, byleby tylko mógł przekazać dzieciom zwiększony majątek; wszelką

miękkość, tkliwość, poczytuje za słabość, której jak zarazy unikać należy. Syn wśród życia koleżeńskiego przejął się innemi zasadami; majątek jest dla niego środkiem tylko do rozwinięcia życia duchowego, do wspomagania biedniejszych, do urządzania instytucyj dobro ogólne mających na celu. Sprzeczność wystąpiła w kwestyi małżeństwa; ojciec wymagał, ażeby syn, nie zważając na sentyment, ożenił się z panną bogatą i tym sposobem zdwoił swoje materyalne zasoby; syn zaś wbrew sercu postąpić nie chciał, bo pokochał dziewczynę ubogiego szlachcica, niemal bankruta. Żyli odtąd przez czas jakiś prawie jak obcy sobie; syn wziął od ojca dzierżawę na bardzo surowych warunkach, nie bywał w domu swojej ukochanej, bo tak przyrzekł ojcu, ale też i do domu rodzicielskiego rzadko zaglądał, bo czuł tam chłód i przymus. Ułożyły się przecież te stosunki ku zobopólnemu zadowoleniu; syn gospodarował dobrze, a pomimo swych popędów altruistycznych, nie marnował majątku; w ojcu odezwało się uczucie ojcowskie, zaczął lepiej obserwować i syna i towarzystwo, jakie się u tegoż zbierało, szlachetniejsze popędy przebiły skorupę groszoróbcy — nastąpiło pojednanie i zgoda serdeczna.

Wszystko to opowiada autor w tonie spokojnym, nie podnoszącym się nigdy do skali wyższej, unikającym starannie wszelkiej patetyczności, tonem, który lepiej oczywiście się nadaje do przedstawienia uczuć łagodnych, swobodnej pogadanki, aniżeli wzburzenia, gniewu, zawziętości i wszelkich innych silnych wstrząśnień duszy.

Możnaby przytoczyć jeszcze obrazy ruiny majątkowej po wielkich katastrofach („Na zgliszczach“, „Po burzy“), w których sam przedmiot nasuwał sceny głęboko wstrząsające, a jednak przez autora słabo wyzyskane; ale dość i tego, co szczegółowiej poprzednio rozwinąłem, ażeby nabrać przekonania, że te namiętności i te smutki, które w ogólnej szarzyznie życia naszego piorunowemi zaznaczają się burzami, są przez Junoszę traktowane w sposób raczej anegdotyczny niż dramatyczny, bez pogłębienia duchowego, bez siły tragicznej. Być może, zbliża

się przez to jego przedstawienie więcej do przeciętnego nastroju ducha społeczeństwa naszego, które poczucia tragiczności wogóle ma niewiele, zaprzeczyć atoli niepodobna, że wyrazistość artystyczna mocno w tej mierze szwankuje. Co więcej, dłuższe nawet utrzymanie się w poważnym tonie opowiadania z trudnością przychodzi naszemu autorowi, jak o tem łatwo się przeświadczyć, odczytawszy „Sukcesyę po Gozdawach". Z początku w archaicznym nieco stylu opowiada Junosza jakąś tajemniczą historyę szlachecką, z allegoryczną trumną od trzech pokoleń czekającą na właściciela, z duchami, ukazującemi się w pewnych porach roku; ale bardzo rychło przechodzi „z poematu do prostej powieści", przedstawiając krótko i dość sucho wieść o urzędniku, który objąwszy sukcesyę po dziadku, przyjął na siebie obowiązki z nią połączone, rozmiłował się w pracy rolnej, poślubił dobrą, gospodarną panienkę, stracił ją po dwu latach pożycia, oddał się wychowaniu syna i — smutny, lecz zrezygnowany, czeka zgonu. Z szerokiej allegoryi zrobiła się tym sposobem anegdota, nie celująca wielką świeżością.

Nie w tej zatem dziedzinie szukać należy silnej strony talentu Junoszy. Na szarem tle życia lubi on głównie malować „szare obrazki", jak słusznie nazwał jeden ze zbiorów swych opowiadań, a rozjaśnia je tylko dowcipem, satyrycznym uśmiechem, łagodnem uczuciem i syntezą tych właściwości, humorem.

II.

Że Klemens Junosza jest dowcipnym, to wiadomo powszechnie. W początkach swego zawodu pisywał w „Kolcach"; od lat dwunastu można się uśmiać z powodu jego pomysłów i wyrażeń w „Kuryerze Świątecznym"; większość powieści i nowell mieści w sobie dowcipu tyle, że nie ma najmniejszego kłopotu w wyborze, jeśliby się ktoś o nim chciał przekonać. Kto przeczytał choćby tylko „Fałszywą kuropatwę", wątpić o tem zgoła nie będzie.

Jakiego rodzaju jest ten dowcip? Ma on przedewszystkiem charakter staropolskiej jowialności, więc jest dobroduszny, chętnie do gromady ludzi ośmieszanych przyłącza samą osobę żartującą, ażeby tym sposobem odjąć przykry smak pigułki. Powtóre polega on nie na grze słów, coby stanowiło koncept jedynie, ale na takiem złączeniu wyobrażeń i pojęć, że obudza ono uczucie śmieszności.

Naprzykład. Młody Lejbuś je bardzo dużo na własnem weselu, a strofowany przez dopiero co zaślubioną żonę za obżarstwo, odpowiada, że jest bardzo wstrzemięźliwy, jeżeli je za własne pieniądze, ale że wesele sprawili rodzice, więc lepiej, żeby on zjadł, niżby goście zjeść mieli: „niech się więcej w familii zostanie“. Dlaczego zaś tańczył po jedzeniu? Może dlatego, że się cieszył ładną, posażną i edukowaną żoną? Nie, on mógł się z tego cieszyć siedząc, i skutek byłby ten sam, ale on tańczył „dla utrzęsienia się, żeby mógł więcej zjeść“.

Nie są to zapewne dowcipy wykwintne; owszem, należą do kategoryi trywialnych, t. zw. brukowych, ale ze względu na sferę, z której są wzięte, całkiem odpowiednie i uśmiech wywołać muszą. Zakres dowcipu Junoszy jest szczupły, obraca się w dziedzinie tych codziennych, powszednich stosunków, które wciąż w kółko się kręcą i dalekich widnokręgów nie znają.

Z dowcipem żartobliwym łączy się bardzo często u Junoszy odcień satyryczny, któremu trafności i siły odmówić niepodobna, zwłaszcza gdy mu odpowiada sytuacya, uplastyczniając i pogłębiając jego znaczenie. Oto stręczyciel małżeństw zachwala na synowę córkę „porządnego żyda“, nabożnego i uczonego, który „w karty nie gra, na żadne zabawy nie chodzi, hulania wcale nie lubi“. Dziadzio Ganzpomader przypomina sobie, że ten porządny żyd siedział w kryminale. Niezmieszany stręczyciel odpowiada swobodnie: „Cokolwieczek, ale bardzo mało, tak jak nic; nieszczęście każdemu może się przytrafić. On handlował koronkami, sprowadzał z zagranicy. Ro-

zumiecie, że to jest ślizki interes. To trudno: my jesteśmy prześladowany naród, my cierpimy...“

Albo inna scena. Z małego miasteczka, wskutek reformy sądownictwa wyjeżdża powszechnie szanowany sędzia. Wyprawiają mu ucztę; przemawia jeden, drugi i trzeci. Panuje nastrój uroczysty. Pani burmistrzowa czuje się upokorzoną, iż mąż jej, głowa miasta, ani słowa nie przemówił; wymaga od niego, ażeby dla honoru coś przecie powiedział. Improwizować poczciwina nie potrafi; więc biegnie do kancelaryi, by napisać sobie mówkę. Niesporo mu idzie; wychodzi do sali, by się pokrzepić, wraca i pisze, i znowu wybiega, wreszcie oszołomiony porywa zagryzmoloną kartę, wstaje, chrząka, rozwija szary papier, wkłada okulary na nos i zaczyna wśród natężonej uwagi: „Panowie!...“ Burmistrz zmieszał się trochę... przybliżył papier do oka, przypatrywał się bacznie, wreszcie zdecydował się czytać: „Idąc za postępem czasu i pragnąc dorównać innym pod względem wszelkich ulepszeń, jakie już gdzieindziej uczyniono, nie chcąc być prostakami i nieokrzesanymi, postanowiliśmy wybudować nową mikwę...“ Odczytawszy ostatni wyraz, który wywołał głośny śmiech aptekarza, burmistrz poczerwieniał jak burak... biedaczysko wziął w roztargnieniu brulion prośby dozoru bóżniczego o zatwierdzenie wydatku na budowę nowej mikwy...

Może tu jest trochę naciągania co do faktu, ale artystycznie uprawdopodobnionego.

Gdy dowcip żartobliwy i satyryczny złączy się z serdecznem uczuciem, a jest wspomagany przez mniej lub więcej lotną fantazyę, która pozwala bez obrazy smaku przechodzić od jednego nastroju do drugiego, powstaje humor w znaczeniu estetycznem.

Junosza nie ma niewątpliwie tej siły uczucia i wyobraźni, co Prus, nie utworzył też tak pięknych obrazków, jak „Antek“, „Przygoda Stasia“, „Michałko“ i t. d.; atoli ma jej dosyć, by nakreślić mniej poetyczne, mniej głębokie, ale zawsze ujmujące postaci i stany duszy. Oddzielnych scen humo-

rystycznych możnaby odnaleźć w różnych nowellach i opowiadaniach dość dużo, ale całkowitych utworów, mających prawo do nazwy humorystycznych, w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, znam dwa tylko; a są niemi: „Łaciarz“ i „Pan metr“.

„Łaciarz“ należy do najwcześniejszych obrazków Junoszy; w książkowem wydaniu ukazał się po raz pierwszy w r. 1884, a potem wszedł do zbioru tanich książek, przeznaczonych dla ludu. Jest to biedny, wynędzniały od postów i pracy nocnej krawczyna, któremu przemożna konkurencya odebrała lepsze obstalunki i zmusiła do szukania po wsiach zarobku jak najtańszego, byleby wyżywić rodzinę. Widzimy go przy robocie wśród nocy. „Ostro zakończona krymka, nieco w tył zasunięta, pokrywa mu czubek głowy, a z pod tej krymki wymykają się krótkie wijące się pejsy, jak dwa świderki w skronie wkręcone. Kontrabanda to niby — ale ten żydzina tak mało słodkich owoców zakosztował w życiu, że może ten zakazany, a tak niewinny w gruncie, jest jego jedyną pociechą i przyjemnością osobistą... Na śpiczastym nosie tkwią okulary w oprawie mosiężnej, a przez szkła widać oczy przenikliwe, czarne, o spojrzeniu ostrem, chociaż zamaskowanem nieco przez mgłę łzawą, która jak tiulowa firanka pada na wzrok znużony pracą i całonocnem czuwaniem... Pierś wklęsła, zapadła i szczupła, przez ciężki przerywany oddech świadczy, ile w niej pracy podejmują ubogie płuca, aby utrzymać życie ich właściciela... Łokcie śpiczaste, palce wyschłe i nogi cienkie jak patyki składają się na całość, która podobną jest do szkieletu zamkniętego w podwójnym futerale: ze skóry ludzkiej i kilku łokci czarnego, wytartego już dobrze kamlotu“. Judka Silberknopf śpieszy się z robotą, którą musi wykończyć w nocy z czwartku na piątek, ażeby na szabas pośpieszyć do miasteczka o dwie mile odległego, gdzie go wygląda żona i dzieci, czekające na zapasy śpiżarniane i pieniądze. Siły jego wątłe, pożywienie nędzne, parę nocy już nie dospał, więc się pokrzepiać musi. Oto „kiedy mgła łzawa bardziej oczy zasłoni, kiedy powieki

nabiorą ołowianej ciężkości i opadać zaczną bezsilne, chude palce Judki czerpią z tabakiery porcyę zielonego proszku — i świeżość chwilowo powraca: do oczu napłyną łzy większe, mgłę zmyją, i znowuż wzrok bystrzej śledzi ściegi igły". Takie pokrzepienie starczyć na długo nie może. Jest tam jeszcze na stole mała buteleczka wódki, kawałek chleba, dwie cebule i szczypta soli w papierku. „Judka — człowiek praktyczny, on nie wypije teraz wódki i nie zje cebuli, bo wie o tem dobrze, że za parę godzin, kiedy on będzie rękawy przyszywał, a tam na wschodzie, między niebem a ziemią zarysuje się już widocznie pas blady, budzący do trzeciego piania koguty — jemu się zrobi coś koło serca nie dobrze... On wtenczas uczuje takie ściskanie w dołku, i taką niemoc straszną, że mało ze stołka nie spadnie; przed oczami ujrzy migające się koła, bardzo ładne koła czerwone, zielone, niebieskie, złote, czarne centkowane złotem, a nareszcie całkiem już czarne, które szybko zaczną się łączyć z sobą i tworzyć jedną czarną całość... Wtenczas lekki dreszcz przebiegnie mu po grzbiecie, na czoło wystąpią duże krople potu... zapadła pierś ciężko pracować zacznie i chwilowo wyda mu się, że Jehowa zbiedniał i że ma zaledwie tylko trochę powietrza i to... dla bogatszych żydów naturalnie... Wtenczas Judka wstanie, wyprostuje się, zwilży skronie wodą, umyje ręce, zwróci oczy w tę stronę, gdzie już wyraźnie pas złocisty ziemię od nieba oddzieli — i zmówi krótką modlitwę... Potem, z czystem już sumieniem odleje maleńką cząstkę trunku na ziemię, a resztę wysączy powoli, rozkoszując się każdą kroplą, która od razu wprowadzi ciepło ożywcze do jego zziębniętego, wstrząsanego przez dreszcze organizmu. Wypiwszy wódkę, spożyje małą ilość chleba z dużą ilością soli i zje cebulę — ale jednę tylko — gdyż takie cebule nie trafiają się codzień. Są one wielkie, płaskie, bladoczerwonawe, ze szczególnym srebrnym połyskiem — i mogą być prawdziwą ozdobą szabasowej uczty. Dlatego też jedna z nich musi być schowaną na zapas, w najgłębszej kieszeni chałatu".

W życiu Judki nie było nic poetycznego; wspomnienia nie nasuwały mu obrazów jasnych, uczuć podniosłych, „brud, głód, ciemnota i praca nad siły“ — oto cztery czynniki, z których się złożyło życie jego od samego dzieciństwa. Modlitwa jedynie do Boga i myśl o dzieciach plątały się i splatały z jednostajną, codzienną gonitwą za zarobkiem. Oto już od dni kilku pracuje bez przerwy u pana Onufrego; uszył „śliczną salopę“ dla pani Onufrowej, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Brygidy, obłatał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego ubrania i nakoniec tej nocy miał skończyć „arcydzieło“ — palto dla samego pana Onufrego. Za to wszystko, oprócz fury drzewa i prowizyi w naturze, Judka miał otrzymać w gotowiźnie rubli srebrem cztery. Na odchodnem, choć go pani Onufrowa częstowała, nie mógł nic jeść, bo mu nie było wolno, wypił tylko kieliszek wódki, i wyprosiwszy sobie jeszcze ćwiartkę kartofli, zarzucił worek ciężki na zgarbione plecy i poszedł, licząc „na swoją lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał“, na to wreszcie, że się na jaką furę przysiądzie. Zawiodło go to wszystko. Osłabienie iść mu szybko nie dozwoliło; uszedł pół drogi, worek ciężyć mu zaczął okropnie, wdrapał się Judka na wzgórek, aby odpocząć; głowa opadła mu na piersi, cały korpus pochylił się ruchem mimowolnym; łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął. Słońce chyliło się ku zachodowi; przejeżdżający ekonom, widząc biedaka śpiącego, krzyknął nań donośnie; Judka zerwał się prędko, spojrzał nieprzytomnemi, jakby obłąkanemi oczyma i na razie nie mógł zmiarkować, gdzie się znajduje. Wzięty na wóz, na zapytanie ekonoma, kto Judce kazał „panie dzieju“ cztery noce nie spać, odpowiedział:

„— Nikt mi nie kazał, tylko widzi jegimość, każdy człowiek potrzebno żyć. Krawiec też musi żyć trochę, a jak ón chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać, toby nie mógł żyć; to jest bardzo prosty interes“.

Tyfusu nie dostał — dodaje autor — „bo takie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze przechodzą czasem...

zwłaszcza, gdy się już kto do wszystkich rozkoszy życia przyzwyczai".

Junosza nie idealizuje swego biedaka, nie zakrywa jego śmieszności, nie rozwodzi się nad nędznym jego losem, ale prawdą rysów znamiennych, współczuciem dla niedoli, w jakiejkolwiek objawia się postaci, osiąga wrażenie silne, niełatwo się zapominające.

Mniej starannie obrobionym, ale bardzo ładnie nakreślonym jest obrazek „Pana metra". Francuz, nauczyciel gramatyki i muzyki, gdy wskutek współzawodnictwa młodszych lekcye potracił, a zapasu żadnego nie uskładał, bo się dzielił z biedniejszymi, nie uniżył się nigdy, a nawet nigdy się nie poskarżył. Harda to a szlachetna była dusza. „Czoło miał wysokie, nos duży, garbaty cokolwiek, brwi krzaczyste, zawsze groźnie zmarszczone. Patrzył na świat przez okulary ciemne, zimą nosił płaszcz granatowy z peleryną, latem almawiwę odwiecznego kroju, bez rękawów, a głowę o każdej porze roku przykrywał kapeluszem cylindrowym, zrudziałym od słońca, wymytym przez deszcze, ale zawsze wyczyszczonym nadzwyczaj starannie. Od ludzi stronił, przyjaciół nie miał, nigdy nie widziano go w towarzystwie; po ulicach, po ogrodach publicznych chodził zawsze sam jeden, z głową podniesioną dumnie... Mężczyzn mierzył od stóp do głowy hardem, zawadyackiem spojrzeniem, względem kobiet był uprzedzająco grzeczny. Choćby był najbardziej zmęczony i osłabiony, zrywał się z ławki, gdy spostrzegł, że kobieta chce usiąść, niejedną obronił od nieproszonej zaczepki, a najszczęśliwszym się czuł, gdy mógł wyświadczyć której jaką drobną grzeczność, podnieść upuszczoną chustkę, ułatwić przejście w tłoku... Wtenczas surowa zazwyczaj twarz jego ożywiała się uśmiechem, a oczy nabierały pełnego łagodności wyrazu". Żył chlebem i rzodkwią, obiad jadł gdzieś w lichej restauracyjce raz na tydzień, potem raz na dwa tygodnie, a zjadał go z wielką skwapliwością, trzęsącemi się rękami. Codzień wszakże popołudniu zachodził na czarną kawę do cukierni i oddawał się czytaniu, wykałając zęby. Gdy kto

z gości namówił chłopca, żeby metrowi podał „Pressę“ lub „Blatt“ jaki, karcił malca surowem spojrzeniem i odwracał się z pogardą. Do domu wracał przed wieczorem i zaraz kładł się spać, wstawał raniutko; wogóle czas swój wedle słońca regulował: w zimie spał więcej, w lecie mniej. W mieszkaniu była zawsze nalana lampa, której nie zapalał wcale. Umarł w szpitalu, dokąd odwiózł go rządca i stróż, który zauważył, że od trzech dni Francuz nie dawał znaków życia, nie wychodził na miasto, nie żądał nawet wody. Ziomek Francuza, letkiewicz, pijaczyna, doznawszy od niego pomocy nieraz, przyrzekał sobie, że go poratuje, ale nałóg nie dozwolił mu przez lat parę wykonać zamiaru; nakoniec, gdy zasiłek zebrał, trafił na pogrzeb.

Proste opowiadanie o tym szlachetnym a wyniosłym charakterze, nie wolnym od drobnych śmiesznostek, które się tłómaczą dawniejszemi przyzwyczajeniami z lepszych czasów, działa tak wzruszająco, jak mało która łzawa nowella. Piękność duszy ma naturalnie w wywołaniu tego wzruszenia udział największy, lecz i sposób przedstawienia, w którem autor bardzo szczęśliwie uniknął szkopułów niepożądanego komizmu z jednej, a patetyczności z drugiej strony, humor jednem słowem serdeczny, ma tu niemałe znaczenie.

III.

Cechy zewnętrzne, odznaczające ludzi, wpadają przedewszystkiem pod uwagę zmysłu obserwacyjnego Junoszy, najtrwalej się w jego pamięci przechowują, najlepiej i najdobitniej odradzają w wyobraźni i przemieniają na kształty artystyczne. Stąd też osobistości, w których te cechy są najwydatniejsze, należą do najprzedniejszych kreacyj naszego autora.

Więc naprzód żydzi, zwłaszcza wiejscy i małomiasteczkowi, chodzący jeszcze w chałatach, lub też częściowo jedynie „ucywilizowani“.

Wiadomo, że w powieściopisarstwie naszem wogóle wyodrębnili się oni najprzód ze swoją mową, giestami i całem zachowaniem się, wszystkie te bowiem szczegóły znamienne zbyt były jaskrawe, ażeby je można było oddawać temi samemi rysami, jakiemi ogół osób przedstawiano. Junosza miał już przed sobą wiele i to różnorodnych, w mniejszym lub większym stopniu świetnych przykładów malowania typów i jednostek żydowskich, ale nie poprzestał na kopiowaniu poprzedników swoich, wprowadził owszem do belletrystyki naszej dużo świeżych pierwiastków.

Nie zadawalniając się obserwacyą bezpośrednią, poznał żargon żydowski i literaturę w nim pisaną, streścił lub przetłómaczył na polski parę jej utworów („Donkiszot żydowski", 1885; „Szkapa", 1886), może nawet przeceniając ich znaczenie i doniosłość, ale bądź co bądź pogłębiając rozumienie świata myśli, uczuć, marzeń i pragnień w duszach mało ukształconych, licznemi zabobonami przejętych, ale ciekawych ze względu na swą odrębność od innych podobnego poziomu umysłowego. Rozmyślał też Junosza dużo nad wychowaniem, etyką, położeniem ekonomicznem ubogich synów Izraela i szereg swoich spostrzeżeń złożył w broszurze: „Nasi żydzi w miasteczkach i na wsiach" (Warszawa 1889).

W utworach artystycznych wyjątkowo tylko obchodzi się bez skreślenia postaci żyda. Narysował ich takie mnóstwo, jak żaden inny nasz powieściopisarz, a zawsze w każdej figurze dał jakiś odcień, w poprzednich nieznany. Gdy się ten tłum żydowski w książkach Junoszy rozważa, większość wydaje się niby zbita jednostajna masa, lecz pozornie tylko; gdy się każdej jednostce w tym tłumie przyjrzymy, nie trudno będzie się nam przekonać, że choć drobnym rysikiem, różnią się one przecież, a każda jest istotą naprawdę żywą, każda i treścią i formą przejawów dyszy prawdą.

Nie jest nasz autor antysemitą; bacznie wpatrując się w życie i sposób postępowania żydów, wyróżnia wśród nich dobrych, zacnych, rozumnych, jak Maneles (w „Syzyfie"), jak

Froim (w szkicu pod tym napisem); wyróżnia biednych a uczciwych, jak „Łaciarz“, jak Szulim angielski, starszy felczer z Londynu (w „Panu Sędzi“), jak Jojna (w „Sukcesyi po Gozdawach“); przedstawia grono wesołych, niestrudzonych „Muzykantów“, co za pośrednictwem popularnej sztuki na życie zarabiają, wesołych gawędziarzy, jak Berek Guzik (w „Cud na kirkucie“), zabobonnych talmudystów, jak Boruch Bajgel, kreśli usłużnych pachciarzy, co bez krzywdy właścicieli dobry byt sobie zapewniają (Berek w opowiadaniu „Na zgliszczach“ i kilka innych); maluje zabawnie sylwetki żydów na roli gospodarujących („Nowy dziedzic“, „Miód niekasztelański“); żartuje sobie jowialnie z takich tchórzliwych geszefciarzy, jak Boruch w „Straconem szczęściu“, lub Mendel w „Młynarzu z Zarudzia“; piętnuje jako plagę społeczną wyzyskiwaczy, podjudzających waśnie, rozpajających chłopów, lichwiarzy, oplątujących swe ofiary i wysysających z nich siły i zdrowie („Pająki“).

O każdej z tych kategoryj możnaby pomówić szczegółowiej i wykazać zalety przedstawionych przez autora postaci, ale nie chcąc się rozpisywać zbyt obszernie, powiem tylko wogóle, że Junosza, nigdzie nie idealizując żydów, jak to robili niektórzy nasi pisarze, nigdzie zatem nie porzucając gruntu realnego, myśli, poglądy, zakres wyobrażeń, rodzaj uczuć, mowę, miny, giesta, postać zewnętrzną żydów odmalował z takiem bogactwem i z takiem urozmaiceniem, jak żaden z naszych twórców powieści. Gdziekolwiek wchodzą postaci żydowskie, Junosza ożywia się, nabiera werwy, rozumuje, dowcipkuje w sposób charakterystyczny, jest widocznie w swoim żywiole.

Pozostawiając atoli ten tłum postaci w tak ogólnikowem tylko ugrupowaniu, muszę zwrócić bliższą uwagę na „Icka podwójnego“, gdyż pomimo lekkiej formy, mieści się w tym szczupłym utworze zasadnicza charakterystyka tych wszystkich, co, mając za hasło własny jedynie interes, nie przywiązują się do kraju, w którym się porodzili, nie przejmują się jego spra-

wami, lecz przy zdarzonej sposobności, gdy zobaczą lepsze przed sobą widoki, gotowi są kraj ten opuścić nietylko bez żalu, ale owszem z niechęcią i przekleństwem. Zarozumiałość takich ludzi każe im uważać siebie za dobrodziejów tego kraju, z którego wszystko mają, każe im wynosić się nad współmieszkańców i patrzeć na nich z lekceważeniem. Przez czas jakiś nie udawał się Ickowi żaden przedsięwzięty interes, wpadł więc w zły humor, i on, co dawniej był taki usłużny, grzeczny i delikatny, staje się naraz opryskliwym nietylko względem chłopów i służby dworskiej, ale nawet względem samego właściciela wioski, gdzie był pachciarzem. Postanawia wybrać się do Ameryki, bo mu pisał jeden żydek, że tam „taki dziki chłop, ten czarny, potrafi dać dwa brylanty za kieliszek araku i jeszcze się cieszy, że zrobił bardzo dobry interes". Panując już w myśli nad tymi „czarnymi chłopami", Icek pluje na społeczeństwo, które ma porzucić. „Co wy jesteście beze mnie? — mówi do Marcina, co go wiezie — co wy znaczycie? jaką wy sobie radę możecie dać? Aj, aj, my jesteśmy dla was tem, co głowa dla człowieka, my za was myślimy... Wy wszyscy nic nie warci, wszyscy, co tu jesteście na tym piasku, na tych bagnach. Szlachcic z wielką fanaberyą siedzi na swoim folwarku, jak pies na płocie. Sto razyby z płota zleciał, żeby go jaki porządny żydek w porę nie złapał i nie przytrzymał! A jaka fanaberya! jaka pycha! Chłop taki paskudny, ordynarny chłop, ten ma także swoją fanaberyę, a przecie, żeby nie miał żydka, toby całkiem zmarniał, nie wiedziałby nawet, u kogo kupić kwartę gorzałki do przepłókania swojej grzdyki. A jaka fanaberya! jaka pycha!... Chłop pyszny jak szlachcic, szlachcic jak hrabia, a hrabiemu to zdaje się... albo ja wiem, co się jemu zdaje?... Wszyscy oni razem tyle warci, co nic, wszystkich dawnoby dyabli wzięli, gdyby nie nasze żydki, co ich cokolwiek trzymają" („Wybór pism", tom V, str. 191). Icek naturalnie do Ameryki nie pojechał, bo mu się trafiła doskonała dzierżawa młyna.

Po żydach, na drugiem miejscu pod względem wartości estetycznej w obrazkach Junoszy trzeba postawić wszelkiego rodzaju oryginałów, t. j. ludzi jaskrawo odbijających jakiemiś cechami zewnętrznemi od swego szarego otoczenia, czy to będzie wytrwały, oszczędny, pracowity, małomówny Litwin Dyrdejko („Na zgliszczach“), czy wygadany, zarozumiały, przebiegły aptekarz („Pan sędzia“), czy szlachcic zagonowy kłótliwy, skąpy, wyrachowany, a ceniący swój klejnot („Panowie bracia“), czy ksiądz eks-wojskowy, czy wesoły jowialista, jak Onufry (w „Straconem szczęściu“), czy szlachcic zajmujący się po amatorsku medycyną, jak Karol (w „Syzyfie“), czy dziwak szlachetny („Sukcesorowie skąpca“) — zawsze otrzymamy barwne wizerunki, o których podobieństwie ani na chwilę wątpić nie można. W psychologię ich Junosza nie zapuszcza się głęboko: bierze ich już jako istoty skończone, które przemianom wewnętrznym ani zewnętrznym ulegać nie mogą; całem tedy jego staraniem jest utrzymanie ich charakteru w ciągu opowiadania. Ponieważ ich artystyczna istota polega na uwydatnionych cechach zewnętrznych, stale występujących w każdej scenie, mogą się niekiedy postaci te wydać trochę jednostajnemi, jakkolwiek do ożywienia całości opowiadania przyczyniają się wielce, a nieraz stanowią nawet główną jego ozdobę.

Na trzeciem miejscu skali estetycznej postawiłbym sylwetki chłopów, ekonomów, pokątnych doradców, służby kościelnej na wsi, stróżów, straganiarek, mieszczuchów wszelkiego rodzaju, a szczególniej bawiących się w obywateli wiejskich („Folwark do sprzedania“). Kategorya ta ma podobieństwo z drugą; i w niej bowiem pewne wydatne cechy zewnętrzne (ubiór, giesta, mowa), pewne typowe sposoby myślenia i wyrażania uczuć na pierwszym stoją planie. Różnica od osób owej drugiej kategoryi polega głównie na mniejszym rozmiarze, na pobieżniejszem traktowaniu, na szczuplejszym udziale w akcyi powieściowej.

Postaci główne w utworach, jeżeli niemi nie są oryginały, lecz ludzie zwykłej, normalnej miary, oraz młode kobiety Junoszy nie zadawalniają nas zazwyczaj, nie dlatego, żeby w ich rysunku były jakieś ważne błędy, ale dlatego, że nie umie ich ukazać autor w ruchu, w działaniu, a choćby w wybitnej rozmowie; są one albo zbyt spowszedniałe w belletrystyce („Na zgliszczach“, „Pułkownik“, sam „Pan sędzia“, „Dzieci pana radcy“ i t. p.), albo też za mało rozwinięte pod względem psychologicznym, jak w „Syzyfie“, „Pod wodę“, w „Straconem szczęściu“. W tym ostatnim utworze jest bardzo ładnie p o m y ś l a n a postać Marty. Ta dzielna, energiczna, zdająca sobie jasną sprawę ze smutnej sytuacyi kobieta, byłaby nader miłą i pożądaną kreacyą wśród dodatnich naszych charakterów kobiecych, gdyby delikatniej, subtelniej była wycieniowana, gdybyśmy mogli w duszę jej zajrzeć głębiej.

Prawdziwie pięknej pary kochanków nie spotykamy w dotychczasowych utworach Junoszy; są tylko młodzieńcy i panny, jakich dużo znajdujemy w naszej belletrystyce, przez co postaci te stały się już szablonowemi. Szczególnych uzdolnień w malowaniu miłości szczerej, serdecznej nie wykazuje nasz autor; rzadko też bardzo próbuje odtwarzać rozmowę miłosną w tonie tkliwo-poważnym. Trudno się temu dziwić. Największym nawet mistrzom udawało się to wyjątkowo tylko w chwili jakiegoś szczęśliwego natchnienia, wobec uczuć przez siebie doznanych. Proza życia powszedniego wypłasza przejawy tych delikatnych, lękliwych, nieśmiałych, kryjących się chętnie w sobie drgnień duszy, czyniąc je skarbem ukrytym, nie na pokaz bynajmniej.

IV.

W kompozycyi utworów Junoszy trzeba wyróżnić małe nowelle i obrazki od większych opowiadań i powieści. Nowelle i obrazki, pisane jednym rzutem w krótkim przeciągu czasu,

odznaczają się jednolitością, skupieniem, zaokrągleniem ostatecznem; pomysł drobny wcielał się od razu w formę sobie odpowiednią, stanowił wraz z nią całość harmonijną. Nie było w takich utworach powtarzań, rwania się wątku i forsownego nawiązywania urwanych nici. Natomiast w opowiadaniach na skalę rozleglejszą, części poszczególne bywają nieraz bardzo ładne, same przez się wymownie świadczą o istotnym talencie autora, lecz ich układ, ich ustosunkowanie względem siebie przedstawia zazwyczaj wiele wadliwości, a mianowicie brak rozwinięcia sytuacyj takich, które dla wykazania pewnych cech czy pewnych stosunków były niezbędne, zbyt zaś długie traktowanie takich, których łatwoby się domyśleć było można, powtóre brak naturalnego następstwa zdarzeń, lecz dowolne ich zestawianie, potrzecie przemiana usposobień nieraz niedostatecznie usprawiedliwiona. Tak np. w opowiadaniu „Po burzy“ sporo było pierwiastków, mogących zająć żywo, bo i czas obrany — i stosunki przez ten czas sprowadzone, i położenie osób i ich uczucia dostarczyć mogły wątku do rozwinięcia całości, przedstawiającej losy bardzo znacznej liczby rodzin i na rozległej przestrzeni. Wykonanie atoli osłabiło siłę zajęcia, nasuniętego treścią. Najważniejszych momentów autor wyzyskać nie umiał; podrzędne zaś zbyt szeroko i nieco karykaturalnie rozwijał; uczuć malowanych nie pogłębiał, trzymając się głównie zewnętrznej strony wypadków. Z całej powieści nie świat wzbogaconych ludzi, u których zubożała Zosia szuka zajęcia jako nauczycielka, nawet nie ta Zosia, bohaterka utworu, najlepiej zostały wykonane, lecz dwa poboczne jedynie obrazki i prolog, podający rozmowę chłopów świeżo ze stanu pańszczyźnianego oswobodzonych o zrujnowanych „dziedzicach“, oraz wyborna maglarka ze Starego Miasta, która dała Zosi przytułek.

W powieści p. t. „Nieruchomość Nr. 000“ dobra z początku postać kamienicznika Faramuzińskiego, wypowiadającego w rozmowie z autorem swoje oryginalne poglądy na cywilizacyę nowoczesną, na swoje konkury trzydziestoletnie

do pani Klein, kamieniczniczki-sąsiadki — przemienia się nagle, bez istotnego powodu, a tylko dla rozsnucia intrygi powieściowej, w niby przebiegłego dyplomatę, starającego się wyśledzić dowody interesowności aktora, polującego na kamienicę pani Klein, dla założenia własnego towarzystwa dramatycznego. Wolelibyśmy widzieć go raczej na posiedzeniach archikonfraternii literackiej, której był członkiem. I znowuż figury poboczne: chuda separatka z dwiema córeczkami również chudemi, które dają lekcye muzyki po 40 groszy, separatka oszczędna, wygadana, zabiegliwa, posługująca się wyrażeniem „sumograd“ na oznaczenie czegoś najgorszego, dobra przytem, gdy widzi nieszczęście, pielęgnująca gorliwie nawet tego łotra-męża, z którym się rozseparowała, — a dalej stróż, sklepikarka i t. p., daleko plastyczniej, żywiej, prawdziwiej wychodzą w słowach, ruchach, giestach, aniżeli osoby, które, jak się zdawało, główną miały odgrywać rolę.

Podobnież „Syzyf“, najlepiej, najszerzej w zasadzie pomyślana postać rolnika, traci pod względem artystycznym bardzo wiele, gdyż nie widzimy go plastycznie odtworzonego w przeróżnych sytuacyach, w których z powodu interesów swoich znajdować się musiał. Tymczasem o jego kłopotach dowiadujemy się po większej części z relacyi samego autora, działa ona poza kulisami powieści i nie może, pomimo rysów sympatycznych, obudzić w czytelniku zainteresowania estetycznego, chociaż jako wyraz położenia ekonomicznego wielce jest zajmującym. Na 204 stronicach „Syzyfa“ mamy oderwane sceny z dwudziestu kilku lat mozolnego życia pana Jana; harmonijnego rozwinięcia części poszczególnych na tak szczupłem miejscu i wobec tak rozlegle pomyślanego planu trudno się tu spodziewać. Figury natomiast poboczne: Karola, doktora Ditto, zacnego i rozumnego Manelesa zasłaniają postać główną, bo są bardzo wyraziście skreślone.

Tak samo „Pająki“ są raczej galeryą, przedstawiającą różne odmiany typu lichwiarza, aniżeli jednolitą całością, w którejby losy rodziny, oplątanej siecią pajęczą, były więzią, silnie

skupiającą wszystkie szczegóły artystyczne. Dziadzio Ganzpomader, Lejbuś Hapergeld, Lufterman i t. d. — są to istotnie postaci żywe, w których słowa z zachowaniem się w zupełnej są psychologicznej i estetycznej zgodzie; ale ofiara przebiegłości, sprytu i nieuczciwości, Karol, jest bladą sylwetką, a sposób, w jaki oplątany został, nie rysuje się dostatecznie jasno i przekonywająco. Każdy prawie rozdział, osobno wzięty, tryska dowcipem lub się znamiennemi rysami odznacza, lecz połączenie ich nie wydaje bynajmniej jednolitej całości, wywołując raczej wrażenie szeregu feljetonów satyrycznych.

Poprzestanę na tych przykładach, choćbym liczbę ich znacznie mógł zwiększyć, mówiąc o kompozycyi „Panów braci“, „Pana sędziego“, „Pod wodę“, „Straconego szczęścia“, „Dzieci pana radcy“ i t d.

Jako środka artystycznego używa Junosza najchętniej i najczęściej rozmów, które jednak zazwyczaj nie posuwają akcyi powieściowej naprzód, lecz służą do poznania bliższego osobistości rozmówców lub też rozjaśniają położenie osób trzecich, albo wreszcie służą tylko do popisania się dowcipem, żywem i zręcznem szermowaniem słowami. Są niektóre nowelle złożone z samych tylko rozmów, jak np. „Cud na kirkucie“; są nawet dłuższe opowiadania, gdzie żywioł dyalogowy bierze górę nad wszelkiemi innemi, jak np. „Pan sędzia“; a w każdym prawie utworze zajmuje on miejsce wybitne. Ta właściwość pisarska doskonale się nadaje do feljetonowego sposobu ogłaszania powieści; każdy bowiem odcinek, przy umiejętnym podziale, może zawierać zaokrągloną w sobie scenę lub scenkę. Ale na układ całości wpływa ta właściwość często bardzo ujemnie; bo autor, zajęty scenami poszczególnemi — traci poczucie ich ustosunkowania w planie ogólnym.

Opisowość, wobec skłonności do żywego dyalogu, niewielką może odgrywać rolę w metodzie pisarskiej Junoszy.

Nie gardzi nią, nie odrzuca jej z zasady, ale jej nie hołduje. Opisy jego są wogóle jasne, trzeźwo pomyślane, zwięzłe; przedmioty w nich zaznaczają się tylko główne, w danej chwili najwięcej zwracające uwagi. Nie znaczy to jednak, żeby Junosza pozbawiony był poetycznego odczucia piękna przyrody; tylko, ponieważ najczęściej przedstawia stosunki ze strony komicznej, nie ma sposobności do częstszego zaznaczania tej cechy swego talentu. Ale gdzie mu się ona sama nawija, tam bardzo piękne kreśli obrazki, nawskroś przeniknięte liryzmem.

Na uwagę zasługuje szczególniej ładny opis nadchodzącej wiosny w „Panach braciach“, językiem trochę staroświeckim, na ukształtowanie którego wpłynęły podobno pierwiastki mowy szlachty zaściankowej, przez Orzeszkową w powieści „Nad Niemnem“ tak ślicznie odtworzone. Może niezbyt właściwie język ten zastosowany tu został, ponieważ ów opis wiosny nie jest włożony w usta którego brata-szlachcica, ale od samego autora pochodzi; ale pomijając tę okoliczność, przyznać mu wypadnie zalety niepowszednie. Parę ustępów muszę tu przytoczyć dla usprawiedliwienia tego sądu. Pochód wiosny porównywa Junosza do uroczystego pochodu procesyi:

„Więc się naprzód skowronek maleńki do góry wzbija i zawiesiwszy się wysoko, dzwoni jakoby w sygnaturkę na jutrznię i narodowi wszystkiemu wielkie święto opowiada, a za nim dopiero ruszą się inne ptaszki śpiewające, świergocące, i drobne i większe, a wszystkie z pieśniami, z graniem jako kapela najprzedniejsza. Jedne cieniuchno, drugie grubiej, jedne żałobliwie, drugie uciesznie, wedle rodzaju swojego, jakie którego są. I mysi królik maleńki, co po drzewinie łazi jak mucha, i pliszka ucieszna i sikora uboga i trznadelek i szczygieł i makolągwa i pośmieciucha i sójka krzykliwa i wilga śpiewająca i sroka przekorna i kawka i kukułka przedrzeźniająca i kraska we wzorzystych piórach. Dzięcioły bębnią

w stare sosny, a drzewa w świeżej zieleni chwieją się jako chorągwie.

„Z łąk, z borów, z pękających pąków na drzewinie zapachy idą jako z trybularzów, owdzie mgła podnosi się niby dym, a z borów, z rzek, strumieni szum idzie, jako z organu, gdy na podniesienie organista dudy wszystkie zatka i tylko jednej szumiącej grać każe.

„Zda się, że dzwony dzwonią, pieśni rozbrzmiewają, kadzidła w górę idą, chorągwie szumią, a nad tem wszystkiem jako monstrancya wspaniała, ukazuje się słońce w blaskach złocistych, w mocy majestatu, że człowiek oczu na nie podnieść nie śmie i głowę schyla w pokorze.

„I idzie ta procesya wielka nie moment, nie godzinę, ale dnie i tygodnie, idzie, nie ustając, w uroczystości wielkiej, w śpiewaniu, w kadzidłach. Słońce obróci się w inne strony i z oczu naszych zejdzie, a natomiast wystąpią gwiazdy, jako wielkie bractwo ze światłem. Śpiewanie uciszy się trochę, ale nie ustanie ze wszystkiem, bo oto słowik w gąszczu się rozśpiewa, rozżali, żaby po bagniskach chórem się ozwą, płaczliwie z początku, a potem żwawiej, prędzej, z rozradowaniem, z uciechą... Wody szumią, bory szumią, wiatr pomiędzy gałązkami chodzi i do szmerów je pobudza i cała ziemia nie milknie, ale cieszy, raduje się, w deszczach ukąpana, w rosach umyta, w nową zieleń przyodziana, przystrojona jako na gody...

„Kwiaty się na nią posypią pachnące, osobliwe, białością śniegową padną na drzewinę po sadach, na jabłonki, na grusze, na wiśnie; czerwonością różane krzaczki obsypią, modrość na fijołki pokładą, a po łąkach to się już wszelką barwą zamigocą. Zapach z nich bije dziwny, a oku rozweselenie z nich idzie i uciecha i radość. I wody sobie od słońca albo i od miesiąca blasków pożyczą i ubiorą się w nie i ustroją, jako w kamienie drogie, albo w perły, których moc nieobjęta, niepoliczona migoce...“

I dalej jeszcze w tenże sposób maluje autor ożywienie powszechne, radość, mowę przyrody, i puka do serca kochającego, ażeby w tę mowę się wsłuchał, żeby na tę chwilę „o swoich własnych, mizernych chęciach a gorzkościach i bólach zapomniał“, to możeby też zrozumiał „ten głos dziwny, przenikający, co choć słów ludzkich nie ma, a taki wymowny, i choć do składu nie jest, jako pieśni ludzkie, a przecież tyle grania słodkiego ma w sobie“.

I dykcya Junoszy, podobnie jak jego opisy przyrody, bywa zazwyczaj jasna, wyrazista, ale mało ma barwy, mało świeżości. Zbyt pobieżnie kreśli on swe zdania, mało się zastanawia nad doborem wyrażeń, a ponieważ ma łatwość wielką, więc tworzy pośpiesznie, niezbyt wglądając w naturę wyrazów, nie korzystając ze wszystkich ich odcieni, nie dobierając starannie kolorytu. Porównania też i przenośnie bierze częściej z przypadkowych cech, nastręczających się rozmówcy pod uwagę, aniżeli ze skarbnicy przyrody i głębin duchowych. Ale i tu zdarzy się niekiedy prawdziwie piękny wyjątek, jak np. owo porównanie obumarłego serca do ciszy: „I nie jest to owa cichość, jaka w nocy bywa, gdy ludzie spać się układą, i nie taka jak w polu, kiedy wiatr ustanie; ale zimna, smutna cichość, z tych cichości, co się na cmentarzach kładą, albo w rumowiskach, w pustych pałacach, w zwalonych zamkach przemieszkują. Taka cichość nie lubi koło ludzkich siedzib przebywać, lecz bardziej grobów, uroczysk, dróg rozstajnych, a bagien nieprzystępnych się trzyma. Powiadają, że z nią śmierć chodzi w parze, że topielice i upiory tylko kompanię z nią trzymają, bo nawet taka zatracona dusza, jak wisielec np., już jej nie cierpi i woli z szalejącą wichurą tańcować“ („Panowie bracia“, II. wyd., str. 160).

Takie i tym podobne wyrażenia, w połączeniu z przytoczonym już opisem przyrody, świadczą, że zaniedbania i braki zarówno w kompozycyi jak w dykcyi Junoszy, nie są wynikiem organicznej wady talentu pisarza, lecz skutkiem pośpiechu, twardemi warunkami pracy literackiej u nas wywoływa-

nego. Kto równocześnie pisze trzy albo cztery powieści feljetonowo i musi tych kawałków na termin dostarczyć, a przytem dbać, aby każdy odcinek był sam przez się zajmujący — ten o umiarze artystycznym, ten o piękności wysłowienia, prócz dowcipu, jeżeli go ma, niewiele troszczyć się jest w możności. Więcej swobodnego tchu, więcej czasu do zastanawiania się, ilużby pisarzom wyszło na dobre, ilużby miernotom zapobiegło!...

1894.

VI.

MIECZYSŁAW BIERZYŃSKI

(CZERNEDA).

Pamiątką po zmarłym, śladem tego, co w ciągu krótkiej doby działalności literackiej przemyślał i dokonał, są „Szkice“, wydane w roku 1892 w Warszawie. Przyjazna ręka wyrwała z otchłani czasopism ten drobny dorobek artystyczny człowieka, który w wolnych jedynie chwilach od zajęć fachowych mógł się oddawać kreśleniu postaci i sytuacyj, zaobserwowanych w Warszawie, w małem miasteczku lub na wsi.

Mieczysław Bierzyński, jako student wydziału prawnego w uniwersytecie warszawskim, zmuszony zarabiać na utrzymanie, chwycił się robót dziennikarskich. W r. 1878 pracował przy „Wędrowcu“ jako tłómacz, dostarczając przekładów z literatury podróżniczej („Tajemnicza część świata“, „Z Orenburga do Samarkandy“, „Podróż do południowej Afryki“ i i.). W dwa lata potem został sekretarzem redakcyi „Ekonomisty“ i pomieścił tu, prócz krótkich artykułów, rzecz nieco obszerniejszą p. t. „Z dziejów miast polskich“. Łączyła się ta rozprawka ze studyami, podjętemi dla napisania dysertacyi kandydackiej o „Przywilejach żydów w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą“. Otrzymawszy w uniwersytecie stopień kandydata praw w r. 1881, wszedł najprzód do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, potem „Nowin“ (kiedy ich redaktorem był Bolesław Prus), wreszcie „Gazety Polskiej“. Przez cały ten kilkoletni okres czasu był wyłącznie publicystą. Dopiero od roku 1884, kiedy osiadł w Kielcach jako adwokat, zaczął się oddawać

belletrystyce, tłómacząc wierszem białym to „Wilhelma Tella“ Schillera, to „Skąpego rycerza“ Puszkina, to puszczając się na próbę dramatyczną oryginalną p. t. „Sędziwój“, z którego urywek drukował „Tygodnik illustrowany“. Widocznie jednak, nie czując się dość pewnym na tym gruncie, zwrócił się niebawem do nowelli, próbując i tutaj różnych tonów.

Zrazu uderzył w t. zw. u nas popularnie ton humorystyczny, pisząc „Zemstę rywala“, gdzie lekkomyślny, nigdy z pensyjką sekretarską do ładu dojść nie mogący Witold, chociaż posiadał przymioty zgrabnego kawalera, dostateczne do podbicia serca Walerki, nie mógł się oświadczyć o jej rękę, bo mu właśnie w dzień, na ten akt obrany, współzawodnik, garbus-komornik, zrobił zajęcie z najniezbędniejszych do ukazania się na ulicy części ubrania... Co było nowego w tej „humoresce“? Chyba koncept komornika, który dla zwiedzenia Witolda delikatnie zapukał rano do drzwi jego i cieniutkim głosem po francusku prosił o ich otwarcie.

Potem wydobył z lekka ton minorowy, skarżąc się tęsknie na nietrwałość uczuć u mężczyzn lub u kobiet. Dwa połączone wspólną myślą obrazki, „O zmroku“, jeden ze wsi, drugi z miasta, niewyraźnie, tajemniczo trochę, z pewną patetycznością illustrują ten temat „wieczny“, jak go sam autor nazwał. W pierwszym, dziewczyna po kilku dniach zapomina o swych wzruszeniach i zapewnieniach, w drugim mężczyzna po latach dziesięciu, wstąpiwszy przez omyłkę do mieszkania ukochanej niegdyś, nie poznał jej nawet i obojętnie z piosnką na ustach odszedł, poinformowany, na drugie piętro. Sytuacye, tu nakreślone, były zanadto ogólnikowe, zanadto szematyczne, a obrobienie, styl nie odznaczały się ani zbyt wielką siłą, ani zbyt wielkim wdziękiem, ażeby obrazki owe mogły wywołać głębsze wrażenie, owszem, przedstawiały się jako nieudatne szkice poetyczne. Dźwięczało w nich atoli uczucie szczere, serdeczne, które nie znalazło tylko jeszcze właściwej dla siebie formy wyrażenia.

Uczucie to następnie rozwinęło się nie w kierunku ero-

tycznym, lecz społecznym, gromadnym. Nie cierpienia serc niezaspokojonych w pragnieniach swoich, ale cierpienia mniej zapewne poetyczne, niemniej jednak rzeczywiste i dotkliwe, różnych grup społecznych stały się przedmiotem współczucia autora i tematem jego opowiadań. Obrał teraz sposób przedmiotowo-realistyczny przedstawienia rzeczy, zbierając i skupiając rysy drobne, codzienne, i tworząc z nich całostki czasami wesołe i zabawne, częściej smutne, a zawsze budzące myśl i uczucie. Różnej są one wartości artystycznej, ale we wszystkich znać bystry zmysł spostrzegawczy, dobre wpatrzenie się w społeczeństwo wiejskie i małomiasteczkowe, należyte pojmowanie jego potrzeb, wyrozumiałość dla jego wad i śmieszności, serdeczne współczucie dla jego cierpień. Wielkich zasobów fantazyi, rozległych pomysłów, zdolności stylowej lub kompozycyjnej nie okazał w nich autor, który dożył zaledwie 32 roku życia, a więc nie mógł jeszcze w całej pełni rozwinąć swego talentu; ale w tym skromnym zakresie odtwarzania artystycznego wrażeń i spostrzeżeń, jaki uprawiał, dał rzeczy dobrze wykonane, niekiedy wzruszające i piękne.

Nie był to umysł twórczy, oryginalny, któryby sam sobie w nowellistyce drogę torował; poszedł owszem za kierunkiem, reprezentowanym w powieściopisarstwie ogólno-europejskiem przez Dickensa, częścią Daudeta, u nas przez Bolesława Prusa, Orzeszkową. Biedy i kłopoty, słabości i zalety ludzi biednych odczuwając, starał się wzniecić dla warstw niższych szczerą sympatyę, pobudzić do zajęcia się polepszeniem ich doli, oświeceniem ich, podniesieniem ich świadomości i godności. Dokonywa tego po większej części wyłącznie tylko przez przedmiotowe odtworzenie szczegółów ich życia, prawie nigdy nie moralizując wprost od siebie, a niekiedy nawet wcale nie wkładając w swe opowiadanie jakiejś myśli uogólniającej, lecz starając się jedynie o wierne zobrazowanie rysów zaobserwowanych.

Takiemi naprzykład są trzy pierwsze ustępy zarysów wiejskich, objętych napisem: „Pod strzechą“. Widzimy tu najprzód

„Wdowca“, który po śmierci żony, podpiwszy sobie na stypie, wraca do domu, wykrzykuje i woła żony, a nie słysząc odpowiedzi, zapowiada, że „chociaż nigdy nie prał, to tera, dalibóg, ją spierze“, i dopiero gdy łóżko zobaczył puste, przypomniał sobie pogrzeb i w straszny płacz uderzył. Po kilku dniach już zauważył, że mu źle jakoś w chałupie bez kobiety i obejrzał się za młodą dziewuchą, bo zmarła Jagna była starsza od niego i potomka mu nie dała. Choć Maryś się boczyła, wyszła jednak za wdowca, a szczegóły swatania z okolic Sobkowa i Chmielnika odgrywają w obrazku najważniejszą rolę. Podobnie w „Augustowej“ znajdujemy przedmiotowy rysunek wiejskiej lekarki, poczytywanej w końcu za czarownicę. W opowiadaniu „Za śladem“ mamy bardzo żywo przedstawiony pościg parobków za koniokradami. Dopiero w czwartym obrazku tej grupy p. t. „Za sprawą“ spotykamy obok realistycznego odmalowania niepokoju nabywców kawałka gruntu, z powodu, że akt nabycia spisany był tylko prywatnie, uwydatnioną nieufność chłopów do adwokatów przysięgłych, którzy im jasno i wyraźnie przedstawiają stan sprawy, a lgnienie do pokątnych doradców, którzy, dla wyłudzenia pieniędzy, tumanią ich obietnicami najpomyślniejszego rezultatu, śmiejąc się z nich w duchu. Sylwetka takiego pokątnego doradcy, Kiełczyńskiego, który posługuje się kapotowym napędzaczem spraw włościańskich, rysami świeżemi skreślona, stanowi główną tego obrazka ozdobę.

Widocznie sprawa ta zastanawiała Bierzyńskiego, jako adwokata, bardzo silnie, bo raz jeszcze wrócił do odmalowania innej odmiany pokątnego doradcy w osobie „Wartałka“; ta wszelako figura nie ma tych cech oryginalnych, co Kiełczyński, jest szablonową w naszej belletrystyce; a głupota chłopa, który dał sobie wydrzeć kilkanaście rubli i szkapę, jest chyba wyjątkowa i z tego powodu — rażąca.

Surowość wieśniaków w obchodzeniu się z dziećmi maluje Czerneda w obrazku „Za psa“, gdzie chłopak świeżo do pasania gęsi wyprawiony, dostaje cięgi za to, że mu pies parę

najpiękniejszych sztuk zadusił. Brak opieki nad dziećmi, brak żłobków i ochronek po wsiach uwydatniony został jaskrawo w zarysie p. n. „W zamkniętej chacie“. Matka poskoczyła o dwie mile na jarmark po garstkę soli, zostawiając w izbie kilkoletnie dziecko. Zabawiła dłużej, niż myślała, bo ją wciągnięto do wesołej kompanii. Za powrotem zastała synka okropnie poparzonego, bo głodny dzieciak, przez cały dzień nic nie jedząc, chciał sobie ugotować kartofli; część roboty dokonał szczęśliwie, ale gdy miał już z niej korzystać, wywrócił na siebie duży garnek z wrzącą wodą.

Z innej, miejskiej sfery wzięty jest obrazek „Wyrodna“. Szkicowo, może aż nadto pobieżnie przedstawia tu autor los dziewczyny zwiedzionej, która, nie mogąc wykarmić dziecka, podrzuca je bogatym państwu do karety, a sama pada omdlała z głodu i znużenia na ulicy, a zawieziona do szpitala, umiera. Sam temat, chociaż dotykający tak bolesnej, a niestety tak często powtarzającej się sprawy, nie tyle zajmuje, co drobne, miniaturowe szczegóły z życia najbiedniejszej warstwy ludności miejskiej, śmieciarek i żebraków.

Bardzo dobry, jasny, budzący w duszy łagodne uczucia, a tak pięknie odbijający od zbyt częstych nawet już u nas zarysów brutalności, jest obrazek p. n. „Niepłakany“. Niegdyś żołnierz, potem robotnik fabryczny, cichy, przywiązuje się do biednej rodziny, u której mieszka, zyskuje sobie miłość dzieci, pieści je i uczy, co i jak umie. Podczas pożaru fabryki, nieproszony i niedziękowany, bierze się do ratunku i pada ciężko zraniony. Gdy powstał z łóżka, nie znalazł zajęcia, zresztą siły mu nie dopisywały. Właściciel fabryki nie pomyślał nawet o wynagrodzeniu biedaka. Nie chciał być ciężarem owej biednej rodziny i poszedł w świat. Duma żołnierska, poczucie swojej niemocy wypędziły go z izby, w której mu było tak dobrze. Pewnie bolał strasznie, gdy się decydował na tułaczkę, ale przemógł w sobie samolubne pragnienia, wiedząc, że bądź co bądź lżej będzie żyć biednym bez niedołęgi, który już na życie zapracować nie zdoła.

Wielce charakterystyczną figurą jest „Świadek“ rejentalny. Łagodny, uśmiechnięty, daje z siebie żartować do woli zarówno pryncypałowi, jak jego pomocnikom. O sprawach, przy których jest świadkiem, nic a nic nie wie, bo go one zgoła nie obchodzą. „Siedzi zgarbiony pod piecem, z nogami skulonemi pod ławką, z rękami bezwładnie opuszczonemi na kolana, lub zaciśnięty na krześle gdzieś w kąt, między wysoki stos ksiąg hipotecznych i ścianę, nawpół czuwa, nawpół drzemie. Pomięta twarz jego nosi to szczególne piętno czegoś, co w słowa ująć się nie da, co nie jest wyłącznie ani smutkiem, ani znużeniem lub bezczuciem, lecz mieszaniną tego wszystkiego. Takie piętna na twarzach ludzkich kładzie... życiowe rozbicie... Kilkanaście lat temu usiadł po raz pierwszy na ławce pod piecem i odtąd codziennie tu siada. Zimą czy latem, w mróz czy w gorąco, przychodzi punkt o dziewiątej do kancelaryi, wita pana starszego dependenta i panów pomocników i siada na swojem miejscu. Czasem bierze kuryera do przeczytania, czyta jednak tylko wiadomości kościelne i ogłoszenia: reszta go nie obchodzi“. Ożywia się dopiero wówczas, gdy rejent wypowie słowa: „zaczynamy akt czytać“. Wówczas wstaje, z powagą zbliża się do stołu i mieści się za innymi. Dependent czyta, rejent tłómaczy stronom zawilsze miejsca, Bobecki wszystkiego słucha i kiwa głową nieustannie, choć nie wie, o co rzecz idzie. Gdy dependent zatrzyma się w czytaniu, Bobecki myśli, że już akt skończony, pyta półgłosem: czy już, obracając pióro w palcach. Najczęściej nikt nań nie zważa, dependent czyta dalej. Gdy wreszcie strony akt podpisały, a rejent podpisy przetłómaczył, Bobecki z powagą zasiada przy stole i dużemi, równemi literami wypisuje swoje imię i nazwisko, poczem jeszcze raz na podpis spogląda, czy mu nie brak czego, i dodaje zakręt, otrzepuje pióro i wraca na miejsce. O drugiej, zanim uda się na obiad, idzie do dependenta i półgłosem prosi o „kartki“. Co sobota kartki te wymienia u rejenta na gotówkę, za każdą bierze złotówkę. Mieszka na przedmieściu, u wdowy po woźnym sądowym, u której się też stołuje; płaci regularnie i nigdy nie

grymasi; dla dzieci anielską ma cierpliwość. Wieczorem sadza chłopca na kolanach i uczy go czytać. Gdy malec nie uważa, Bobecki strofuje go łagodnie i wykłada mu potrzebę nauki. „Żebym ja się był uczył — dodaje jakby dla siebie — to nie byłbym na starość... świadkiem". Oto promyk uczucia szczerze ludzkiego w tym sprzęcie rejentalnym.

Autor umiał takiemi promieniami rozlewać światło po swych obrazkach i nasycać je ciepłym kolorytem. Czasami niepotrzebnie umieszcza je tam, gdzie one są zbyteczne, jak w zapytaniu: „Czy wróci?" flisak ze swej wyprawy; lub tam, gdzie już przedtem ich nadużyto, jak w uwydatnieniu przestrogi, że nie wolno objawiać cierpienia „Błaznom" cyrkowym, którzy z urzędu do śmiechu pobudzać powinni.

Ale to zdarzało się Bierzyńskiemu rzadko. Najczęściej sympatye jego podzielamy w zupełności, czy mówi o „Niepłakanym", czy o „Świadku", czy o „Złodzieju", czy o „Kanceliście".

Ten „Złodziej" — to istotnie ciekawa i oryginalna figura. Dziecko ubogiej szlachty, nie mając zdolności do nauki, oddane zostało przez owdowiałą matkę do rzemiosła wbrew przesądowi kastowemu i wbrew rojeniu o lepszem w świecie pokierowaniu. Chłopak ciągle zmieniał zajęcia, bo mu jedno szkodziło, drugie się nie podobało. Nareszcie dostał się do jakiejś kaflarni w pobliżu miasta, nie zraził się pracą uciążliwą, wyzwolił się na czeladnika, wykierował się wreszcie na majstra. Matka mu umarła, zajął się losem siostry, zestarzałej, schorowanej, która od grobu matki oddalić się nie chciała, musiał więc znów zostać czeladnikiem w miejscu pobytu siostry. Nie trwało to długo, siostra poszła za matką. Nie mając już nikogo z blizkich, wszystkie zamiłowania swoje przeniósł na zawód obrany. Po głowie snuły mu się najróżnorodniejsze pomysły i ulepszenia; próbował układać nowe wzory na gzymsy, to chciał wynaleźć nowy rodzaj polewy, to mieszał różne gatunki gliny, aby dojść do kombinacyi najtrwalszej. Nie mogąc u swego majstra urzeczywistnić nowych pomysłów, wydzierżawił kaflarnię sam na

siebie; poszczęściło mu się — po trzech latach miał już własną fabrykę w domku, który wybudował sobie za miastem. Ożeniono go, bo on o tem sam nie pomyślał. Lata mijały; działo się dobrze, aż znowu śmierć pozabierała mu najdroższych; został sam tylko z żoną. Wróciła mu wtedy namiętność do roboty. W jednym nowobudującym się domu ujrzał kafle nowego fasonu. Całe życie marzył, żeby zrobić coś podobnego! Prosił właściciela, żeby mu pożyczył jednego kafla na wzór. Ofuknięty, próbował przekupstwa wśród majstrów; naprożno! Zakradł się w nocy, schwycił kafel, lecz złapany, pociągnięty do sądu, skazany został na trzy miesiące więzienia. Po odsiedzeniu kary wychudł, zgarbił się i opuścił. Jedna myśl ćwiekiem mu utkwiła w głowie: że go za złodzieja uznano; dobrze, że dzieci pomarły — mówił sobie — nikt im w oczy nie powie, że mają ojca złodzieja!... Szlachetny monoman!

„Kancelista“ — to bodaj najlepszy, a w każdym razie najrzewniejszy ze szkiców Czernedy. Przedstawia on losy nie jednostki, ale całej grupy społecznej, która w urzędowej hierarchii nie ma stałego, etatowego miejsca, lecz jest zupełnie oddana na łup kaprysów losu. Józef Bartnicki w podeszłym już wieku utracił zajmowane poprzednio stanowisko i dla utrzymania rodziny musiał zostać pisarzem biurowym z płacą 15 rubli miesięcznie. Pisał „jak litografia“, był pracowity i pilny, nauczył się przestawać na małem i kryć w duszy upokorzenia. Chwalili go zwierzchnicy, ale on czuł chwiejność swego położenia. Przyszła choroba. Co za troska, co za obawy! jeśli na oznaczony termin nie zwlecze się z łóżka i nie pójdzie do biura, miejsce jego zostanie zajętem... tylu jest kandydatów. Wmawia w siebie, że ma sił dosyć, ubiera się gorączkowo, jedzie do biura, słyszy, jak prezes narzeka na wielki nawał roboty, odsiaduje swoje godziny i pisze, a resztę zabiera do domu, łudzi się, że będzie mógł pracować w nocy. Istotnie, bierze pióro do ręki, suwa niem po papierze, lecz musi je odkładać co chwila. Niemoc go jakaś ogarnia, coraz ciemniej robi mu się przed

oczyma, daremnie sili się przemódz. Westchnął i głowę na stół opuścił... i już jej sam nie podniósł.

Wszystko to opowiada autor po prostu, zestawia zdarzenia i myśli, pozostawiając czytelnikowi snucie rozumowań i wczucie się w położenie tego nieszczęśliwego. Na samym końcu dopiero, przytaczając słowa obojętne jednego ze zwierzchników: „*A propos*, wiecie... Bartnicki umarł, a szkoda: pisał prosto, litografia...“ dodaje od siebie: „Miał więc i mowę pogrzebową“. Gorycz tej króciutkiej uwagi jest wielka; streszcza ona w sobie całe cierpienie, jakiego doznawać musiał sam autor, opowiadając historyę Bartnickiego.

Ta szczerość i głębia uczucia w malowaniu bólów i trosk powszednich, będących udziałem wielkiej liczby ludzi, nadaje szkicom Czernedy świeżość, a rozważne przedstawianie różnorodności natury ludzkiej, więc niepomijanie stron pociągających, szlachetnych, choćby w najskromniejszym zakresie, sprawia, że ich czytanie nie przygnębia, lecz podnosi i napełnia serce miłością dla ludzi.

1892.

VII.

Debiuty powieściopisarskie

z roku 1885.

Wila Zyndram-Kościałkowska: „W zmroku“. — Gabryela Śnieżko-Zapolska: „Akwarelle“. — Helena Obertyńska: „Co lepiej“. — Wanda z Dowgiałłów Trzcińska: „Jurek“. — Włodzimierz Zagórski: „Pamiętniki starego parasola“; „Wilcze plemię“. — Wincenty Rapacki: „Grzechy królewskie“. — Michał Wołowski: „Cyganiątko“; „Jasne i ciemne obrazki“.

Gdybyśmy mogli wierzyć zdaniu naszych dziennikarskich krytyków, toby nam w roku 1885 przybyło aż dwie realistki czy też dwoje realistów w powieściopisarstwie. Na rozmaite tony i w różnorodnym nastroju wołano: „Małaszka“ — to utwór naturalistyczny! „Jurek“ — to wcielony realizm! Określnikami temi w rozmaitych kombinacyach szafowano tak obficie, że kto się nie chciał na zarzut nieświadomości w rzeczach sztuki narazić, musiał potakiwać...

A jednak, jeśli się zważy, z jakich to motywów wypłynął sąd tych śmiało wyrokujących krytyków, na jakich to scenach oparli go oni; to się dopiero przyjdzie zdumiewać nad płytkością myśli i nad ignorancyą wyrokodawców.

Ci panowie jak tylko zobaczą nagie ciało, jak tylko posłyszą grubsze wyrazy, jak tylko odczytają sceny jaskrawsze czy brutalniejsze, nie pytają się wcale, czy to ciało jest malowane z natury, czy wyrazy odpowiadają usposobieniu, stopniowi ukształcenia i danej sytuacyi, czy te sceny wypływają nieodwołalnie z zetknięcia się takich a takich osób w pewnym określonym czasie i miejscu, a więc przy takich lub innych warun-

kach nastroju, zwikłania interesów, uczuć i t. d.; dla nich wystarcza zupełnie nagość, grubijaństwo, jaskrawość i brutalność, ażeby wydać okrzyk: realizm! — mniejsza o to, czy w znaczeniu pochwalnem czy potępiającem... Im ani na myśl zapewne nie przychodzi, że można być realistą w sztuce, a nie użyć ani razu brutalnego słowa, nie namalować ani razu pornograficznej sytuacyi, nie podrażnić widokiem wstrętnych przedmiotów — oczywiście jeżeli tego charakter osób obranych lub wątek obrabiany nie wymagają. I naodwrót nie pomyślą, że można gromadzić sceny pełne jarmarcznego wrzasku, nieubranych kobiet, nagich łon, błota i śmieci, a pomimo to tkwić raczej w przestarzałym melodramatyzmie niż kroczyć po drogach prawdziwego, istotnego realizmu. W sprawie bowiem metody tworzenia, nie o to idzie, co się przedstawia, ale: w jaki sposób, czy zgodnie z prawdą charakterów, miejsca, czasu i wszystkich tych okoliczności, które na formy uzewnętrznienia uczuć, myśli i ruchów człowieka wpływają — czy też nie.

Do takiej powierzchowności i niedołęstwa zeszła nasza dziennikarska krytyka, że ten przegląd nowych debiutów powieściopisarskich poprzedzić musiałem przypomnieniem najprostszych i najgrubszych rysów metody realistycznej, ażeby w następującym tu rozbiorze nie zatrzymywać się nad zbijaniem zapatrywań, które krytyka owa rozpowszechniła.

Przyrost sił nowellistycznych nie jest wielki i nie przedstawia żadnego talentu wielkiego; niektórzy nawet z debiutantów nie owładnęli jeszcze stylem i językiem w tym stopniu, ażeby do liczby poprawnych pisarzów policzeni być mogli. Pewna powszedniość, a niekiedy jałowość pomysłów przykrem przejmuje uczuciem; brak studyów z natury, a natomiast posługiwanie się tem, co się słyszało lub czytało, czyli innemi słowy zależność od sposobu widzenia i sądzenia innych, zbyt często się napotyka, ażebyśmy mogli zaznaczyć radośnie istotny rozwój naszego powieściopisarstwa. Jednakże, nie można znów grzeszyć zbytecznem czarnowidztwem. Pomysły, jeżeli ogółem biorąc nie posiadają zalety oryginalności, to nie są po większej

części pozbawione zacnych i rozumnych dążności, a w ich wykonaniu znać staranie o zadosyćuczynienie głównym wymaganiom prawdopodobieństwa, rozsądku i gramatyki. Niewątpliwie, pochwała to bardzo skromna; nikogo uczuciem dumy przejąć nie może; ale gdy zważymy, że mogłaby być mowa o bezmyślności, przewrotności i nieudolności, to należy i taką się zadowolnić.

Największym zapasem obserwacyi wyróżnia się z pomiędzy debiutantów i debiutantek z roku 1885 — Wila Zyndram-Kościałkowska. Nazwisko jej utrwaliło się w kronice literackiej głównie za pośrednictwem studyum o Ignacym Chodźce (drukowanem w „Ateneum“ 1884 r.). Umysł to jasny, lubiący przeważnie zastanawiać się nad smutnemi lub bolesnemi stronami życia towarzyskiego, rodzinnego lub społecznego wogóle; w spostrzeżeniach swoich rządzi się przeważnie rozsądkiem, który pragnie zbadać nietylko samo zjawisko, ale i jego przyczyny zarówno bliższe jak dalsze; a stąd umysł ten chętniej przebywa w dziedzinie refleksyi, aniżeli w sferze plastycznego obrazowania. Styl jej jest staranny, a nawet wykwintny, unikający wyrażeń powszednich, ale zarazem stroniący od tych, które po prostu wypowiadają myśl lub uczucie, które bezpośrednio określają znaczenie, wartość czy cechę znamienną ludzi i przedmiotów; stąd bywa niejednokrotnie wyszukanym, naciąganym, a przy powtarzaniu jednakowego sposobu tworzenia frazesów — manierowanym. Siły, coby porwała z sobą, blasku, coby aż oślepiał, nie szukajmy w jej pismach, ale rozumne spostrzeżenie znajdziemy tam nieraz, a uczucia szlachetne, współczuciem dla biednych i nieszczęśliwych, pogardą dla nikczemnych, uwydatniają się wszędzie. Tryb tworzenia przyswoiła sobie przedmiotowy, i szczęśliwie, prawie bez zarzutu umie się nim posługiwać. Jako autorka, nigdzie nie występuje sama od siebie z temi nieznośnemi już dzisiaj tyradami, co na podobieństwo parabazy w komedyi starogreckiej mają tłómaczyć naiwnym czy niedomyślnym czytelnikom, jak sam twórca zapatruje się na swoje twory, na osoby przez siebie przedstawione, na wy-

padki do artystycznego życia powołane. Unika też tych niezręcznych wiązadeł wypadków, zapowiadając, że oto przenosimy się tam i tam, mamy uczestniczyć w takich a takich rozmowach lub zdarzeniach. Ta właściwość bardzo już podstarzałej metody powieściopisarskiej, właściwość, którą z debiutantek roku 1885 najwięcej grzeszyła p. Helena Obertyńska, została przez p. Kościałkowską zarzucona zupełnie. Autorka woli, żeby same przez nią stworzone osoby przemawiały za siebie, żeby się określały swojemi czynami, słowami, myślami i uczuciami, żeby wypadki i ich widownie przesuwały się przed oczyma wyobraźni czytelnika, upowodowane tkwiącą w nich samych przyczynowością. Gdy taki tryb tworzenia umiejętnie jest utrzymany, doznajemy artystycznego złudzenia, iż istotnie patrzymy na osoby, rzeczy i zjawiska, iż przysłuchujemy się ich mowie bezpośrednio, nie zaś za pośrednictwem autora.

Dwa są oddziały opowiadań i obrazków, zawartych w zbiorku p. Kościałkowskiej, zatytułowanym „W półcieniu“; najprzód opowiadania lekarza, a powtóre szkice i nowelle, już w formie zupełnie przedmiotowo-bezosobowej skreślone.

W pierwszych osoba opowiadająca warunkuje nietylko formę relacyi, ale zarazem i treść jej; lekarz, lubo styka się z najróżniejszemi położeniami, przeważnie wszakże przebywa przy łóżku chorych; stąd i te cztery obrazki, których wątek poznajemy z ust jego, zapełnione są chorobami wszelkiego rodzaju, a przedewszystkiem kaszlem. Zaczynając od „Anielki“, córki pijaka-hecarza, która udawaniem królowej Saby zabawiać musi publiczność małego miasteczka, podczas gdy jej braciszek zasłabł śmiertelnie po łamanych sztukach i umiera, aż do „Zgranego“, który pomimo lepszych popędów w duszy zmarnował życie lekkomyślnie w najpospolitszych zabawach i rozrywkach, — widzimy tu chorych fizycznie i moralnie, dogorywających z resztkami sił żywotnych i ze strzępkami sumienia. Są to studya patologiczne, dokonywane wprawdzie nie na chłodno, bo z udziałem mniejszej lub większej dawki uczuciowości, ale z tym względnym spokojem, jaki wytwarza się

w człowieku, który wiele nieszczęść w życiu już obserwował i przebył i który wie, że bóle jednostek, przedstawiane przez niego, są tylko drobną kropelką w olbrzymiem morzu cierpień ogólnych. Studya te, ześrodkowane około łoża boleści, faktycznie mały bardzo zakres spostrzeżeń obejmują, ale myślowo otwierają dalekie widnokręgi dla tych, co z faktów pojedyńczych umieją snuć wątek rozmyślań, zagarniających całe ich grupy. Jednostajność — nie przedmiotów i stosunków, ale nastroju, w którym one są oglądane, nuży tu umysł w wielu miejscach, przeciwną jest więc zamiarowi artystycznemu, lecz rozwadze materyał do rozmyślania poddaje zawsze.

Zaprawiwszy styl swój na „opowiadaniach lekarza“, panna Kościałkowska niełatwo go się pozbywała w tych nowellach i obrazkach, które już sama od siebie przedmiotowo czytelnikom przedstawiała. Ten sam szary koloryt, taż staranność o wykwintne wysłowienie, taż dbałość o zaokrąglenie okresów — a w dodatku i też smutne obrazy złamanego życia, zawiedzionych nadziei. W opowiadaniu zatytułowanem „Rozeszli się“ są dzieje dwojga dusz jakby dla siebie stworzonych, które dlatego tylko w czasie właściwym nie znalazły siebie, iż jedna miała pozory arystokratyczno-próżniaczego życia, a druga w pracy powszedniej, ciężkiej, ustawicznej widziała konieczność naszej ziemskiej pielgrzymki. Znalazły się te dusze dopiero później, gdy jedna z nich już obowiązki rodzinne na siebie przyjęła. Romantyczne pojęcie znaczenia miłości i romantycznie przedstawiona kolizya stanowią pewien dysonans w ogólnym nastroju poglądów autorki. W „Strofie prozą“ są odmalowane marzenia schorowanego o przyjaźni między kobietą a mężczyzną, rozwiane naturalnem lgnięciem najszlachetniejszej nawet niewiasty do zdrowia i dzielności. W „Elegii“ raz jeden widzimy błysk sarkazmu ponurego. Umarła kobieta, czczona i kochana. Znękany małżonek zbliża się do zmarłej, ażeby zdjąć medalion, w którym zwykle nosiła jego portrecik. Ręka jego spotyka tu rękę przyjaciela, który oświadcza, że tam już od miesiąca inny, jego portret się znajduje. Medalion ma przejść

w posiadanie tego, czyj portret się znajdzie: odmykają go; znajdują portret nie męża, nie przyjaciela, lecz młodego lekarza, który chorą w ostatnich tygodniach leczył... Niespodziane to, nawet dla czytelnika, odkrycie nie budzi uśmiechu, lecz zgrzyt zębów.

Dwa obrazki poświęciła p. Kościałkowska losom zwierząt: psa („Kruczek“) i konia („Wietrzyk“). Miała w tym rodzaju świetnego poprzednika w p. Dygasińskim, ale nie poszła za jego przykładem; wolała brać wzory z dawniejszych prób w tym kierunku. Wiele jest wprawdzie trafnych spostrzeżeń, wiele scenek wprost z obserwacyi wziętych, a więc prawdziwych, ale też wiele zupełnie podmiotowych i przypadkowych uwag, zależnych od chwilowego usposobienia autorki, zwłaszcza w motywowaniu i tłómaczeniu nietylko czynności, ale uczuć i myśli zwierząt. Wskutek takiego traktowania życia umysłowego zwierząt zakradło się dużo sentymentalności do tych obrazków, tem bardziej, że p. Kościałkowska nie samo tylko odtworzenie smutnego losu wybranych przez siebie zwierząt miała na widoku, lecz także, podobnie jak w bajce, zastosowanie go do losu wielu rodzin, które w tych samych czasach i w tych samych okolicach żyły, co Kruczek lub Wietrzyk. Zdaniem mojem, było to rzeczą zbyteczną; samo życie zwierząt może zainteresować ludzi, choćby bez żadnych do życia ludzkiego alluzyj.

I p. Gabryela Śnieżko-Zapolska lubuje się w obrazach smutków, rozczarowań, zawodów i bólów, ale czyni to z ożywieniem i brawurą słowa, mało dbając o poprawność i wykwintność, byleby tylko pewny stopień dosadności zdobyła. Choć temata przez nią poruszane, wszystkie prawie bez wyjątku obracają się w odwiecznej sferze miłości, choć autorka nie ma właściwie nic nowego do powiedzenia w tym względzie, choć powtarza myśli i sytuacye niemal oklepane; czyni to jednak za pośrednictwem tak urozmaiconej formy, że zwykły czytelnik nie uczuwa nawet jednostajności i nie spostrzega oklepanek. A nietylko zwykły czytelnik, lecz także i krytycy,

którzy nie zadają sobie pracy namysłu, ulegli temu urokowi obfitej frazeologii, napozór świeżej, bo ciągle się zmieniającej. Co więcej, okrzyknęli autorkę za „naturalistkę“, torującą jakoby nowe, nieznane dotychczas u nas drogi nowellistyce. Powód ku temu dała mianowicie powieść z życia ludu rusińskiego p. n. „Małaszka“. Ile jest prawdy, a raczej nieprawdy w takiem orzeczeniu, łatwo się przekonać z zarysu treści i z kilku szczegółów okrzyczanej powiastki.

Ładna dziewucha wiejska, tęga i zdrowa, od najwcześniejszej młodości wzdychała do bogatych strojów, lubowała się w rozmyślaniach o cudnym pałacu, o pięknym, bladym paniczu. Zalotna i zaczepna, zmysłowa i przebiegła, dość wcześnie wyszła zamąż, ażeby mogła być już poprzednio łupem chuci lubieżnych, ale właśnie po zamążpójściu rozwija się w niej popęd próżności i szczególnego łaknienia uścisku panicza. Mąż jej, tęskny grajek-stangret u bogatych hrabstwa, kochający zapamiętale obojętną dla siebie żonę, jest dla Małaszki tylko środkiem zbliżenia się do pałacu, patrzenia na panicza i ciągnięcia go od suchotniczej narzeczonej do siebie. Doczekawszy się zaspokojenia żądzy spoczęcia w objęciach tużurkowego panicza, kiedy ten się ożenił, Małaszka potrafiła się dostać na mamkę do jego domu, a strojona i ochraniana, kokieteryą prostą, ale niemniej ze względu na zepsuty gust hrabiego skuteczną, zmusza go do zgięcia przed nią kolana — na chwilę. Ale to, co było u lekkomyślnego pana domu, mającego żonę chorowitą, chwilową zachcianką tylko, o której łatwo mu było zapomnieć, u Małaszki zamieniło się na pewną swojego czaru namiętność. Razu jednego idąc na schadzkę, wlała w usta dziecka sporo wódki, ażeby spało; na schadzkę jednak pan nie przybył; dziecko umarło, Małaszkę wypędzono. Gdy przybyła do chaty, zastała owego tęsknego grajka, męża swego, obłąkanym; zdawało mu się, że zmarłe jego dziecko wciąż jeszcze żyje; krzątał się koło niego, śpiewał mu, prał pieluszki i t. d. Gdy się chata zapaliła, a w niej gorzał ten biedny obłąkany, Małaszka wbiegła do izby — nie dla ratowania

męża, ale po jedwabną spodnicę, pamiątkę lepszych czasów: nie wyszła już stamtąd; w izbie znaleziono dwa zwęglone trupy.

Te z gruba tu podane zarysy treści nie mają w sobie nic nieprawdopodobnego; przedstawiają one charakter i wypadki, a raczej nagromadzenie wypadków dość wyjątkowe, ale możliwe, a więc i przez powieściopisarza na uwzględnienie zasługujące. Gdyby te zarysy wypełnione były w sposób prawdziwie realistyczny, mogłaby „Małaszka“ przedstawiać nawet pewien żywszy interes psychologiczny. U p. Zapolskiej wszakże wykonanie świadczy, iż autorka nie obserwowała sama charakterów, które przedstawiła, ani wypadków, które opowiedziała; tak dalece nie umie odpowiednio upowodować postępowania jednych a rozwoju drugich; czytelnik musi autorce wierzyć na słowo, że tak było, ale w samem opowiadaniu nie znajduje dostatecznych motywów, coby go zmusiły do przekonania, że tak a nie inaczej odbyć się musiało.

P. Zapolska najpewniej słyszała tylko od kogoś o losach Małaszki, a kontury rzeczy zasłyszanych dopełniła własną wyobraźnią, przepełnioną najróżnorodniejszemi pomysłami, czytanemi w romansach. Najbardziej przekonywającym dowodem, świadczącym przeciw przypuszczeniu własnej obserwacyi opowiedzianych przez p. Zapolską zdarzeń, jest ten język niby rusiński, w którym kilka wyrażeń i urywek z pieśni weselnej podaje. Gdyby autorka z własnej, dłuższej obserwacyi znała życie rusińskie, nie byłaby tak krzyczącego popełniła błędu, żeby wyrażenia i pieśni wielkorosyjskie podawała jako typowe wśród Rusinów. Tylko mała albo żadna znajomość mowy rusińskiej wśród naszych literatów sprawiła, że wyjątkowo jedynie recenzenci zwrócili uwagę na niedorzeczność, nie umiejąc określić doniosłości, jaką ona ma ze względu na ocenę właściwych cech twórczości p. Zapolskiej. Już ta nieznajomość języka, którym bohaterka p. Zapolskiej mówiła, dostatecznąby była do stanowczego odrzucenia nazwy „naturalistki“, za jaką ją podano.

Atoli nie brak i innych powodów do nienarzucania p. Za-

polskiej metody, której wcale nie zna. Opisywanie scen lubieżnych i nagich nie jest jeszcze kwalifikacyą na zwolennika naturalizmu. Autorka „Małaszki“ nietylko realistką nie jest, ale owszem bardzo często okazuje skłonność do melodramatu. Czemże bowiem jest, jeżeli nie sceną melodramatyczną, przez setki romansopisarzy nader starej szkoły aż do ośmieszenia wyzyskiwaną, opowiadanie o „figurze“, na której twarz Chrystusa przybiera rozmaite wyrazy, stosownie do żądania autorki? (str. 204, 205). Czemże, jeżeli nie wyjątkiem z melodramatycznej powieści, jest ustęp taki: „W listopadzie podobno anioł śmierci schodzi na ziemię i zabiera ze sobą dusze biednych suchotników, którzy drżą, kaszląc za zbliżeniem się wilgotnej szarej sukni anioła... Niektóre dusze pozostają jeszcze w tych wątłych zniszczonych ciałach do przyszłej jesieni. Mroźny anioł sądzi, że nie dość cierpiały, a może daje się ubłagać kochającej matce lub łzom narzeczonego“ i t. d. (str. 211). Czemże jest, jeżeli nie zużytym melodramatycznym frazesem zdanie: „Kołyska ta była straszna swą próżnią, *czerniła się* wśród tej izby, jak wyrzut sumienia *pośród ciemnej nocy*“ (str. 282).

Wystarczy chyba tych próbek, ażeby okazać, jak daleką jest p. Zapolska nietylko od naturalizmu, ale nawet wprost od jasnego, trzeźwego sposobu przedstawiania scen wziętych z obserwacyi lub wypowiadania myśli. Autorka „Małaszki“ czytała widać dużo powieści i romansów bez żadnego wyboru i bez żadnej rozwagi krytycznej; w żywej wyobraźni utkwiło wiele pierwiastków powieściopisarskich, najsprzeczniejszych nieraz ze sobą; a ta właściwość umysłu odbić się oczywiście musiała i w jej utworach. Jest w nich podostatkiem frazesów, sporo myśli już dobrze przeżutych, a obserwacyi — bardzo mało.

Oprócz „Małaszki“ jedna jest tylko powiastka właściwa w zbiorku p. n. „Akwarelle“; podobno pierwsza to chronologicznie praca p. Zapolskiej: „Jeden dzień z życia róży“. Opowiada autorka tu, jak kochanka z dworku szlacheckiego, poczciwa, serdeczna, naiwna, dała odjeżdżającemu narzeczonemu, birbantowi szukającemu posagu, różę, by tenże patrząc na nią,

myślał o lubej przez czas nieobecności; jak następnie różę tę birbant rzucił na balkon marzącej o nim, zdenerwowanej, słabowitej księżniczki, którą gwoli pieniędzy wydano za wstrętnego jej bankiera; jak dalej bankier tęż różę pochwyciwszy i włożywszy w jej zwoje kolczyki brylantowe, zaniósł swojej cyrkówce i jak ją od tejże cyrkówki odebrał birbant i wpiąwszy w „butonierę“ wrócił do stęsknionej szlachcianeczki, nie domyślającej się wcale wędrówek kwiatu, przez siebie na znak miłości darowanego lubemu. Lubo pomysł ten nie odznaczał się świeżością, jako pierwsza próbka talentu zasługiwał i zasługuje na pochlebne uznanie.

Inne utwory są to właściwie rozmyślania nowellistyczne, wyglądające jak ćwiczenia na zadany temat, gdyż właściwością ich najwydatniejszą jest amplifikacya; co dałoby się zawrzeć w kilku czy kilkunastu zwięzłych zdaniach, to obrobione tu na kilku lub kilkunastu stronicach. Takiem jest „studyum“ p. n. „On“ (t. j. mężczyzna), takiemi gadaninki: p. n. „Nakoniec sami“, „Moja mała“, „Kocham cię“. Obrazków z życia potocznego, wykonanych słabo, ale mających tę przynajmniej zaletę, iż budzą współczucie dla klas pracujących, upośledzonych, jest dwa: „Pierwszy pocałunek“ i „Bukiet kamelij“. Bardzo już często nadużyty motyw o dziecku, które opuszczone przez matkę lubiącą zabawę, łzą powstrzymuje ją od upadku moralnego, znajdujemy w opowiadaniu p. n. „Łza“. Nakoniec dość zręcznie napisaną satyrą i to satyrą na kobiety i na czczość marzeń ludzkich jest rozmyślanie p. n. „Gdybyś ożyła“. Artysta tak się pokochał w posągu kobiety, dziele rzeźby greckiej, nabytem za drogie, bo ciężko zarobione pieniądze, że w chwili rozmarzenia zapragnął, iżby posąg ten ożył, gdyż zdawało mu się, że ta kobieta z marmuru będzie prawdziwym ideałem piękna i rozumu, wolnym od tych skaz próżności, jakiemi zeszpecone są kobiety współczesne. I oto posąg zstępuje z swego piedestału, przemawia głosem ludzkim, ale zarazem od pierwszego słowa zdradza we właściwy stosunkom starogreckim sposób ujęte życzenia, dotyczące się ucze-

sania, ubioru, wygód mieszkania, zabaw i rozrywek; obłuda widniała dla bystrego oka z najczulszych nawet zapewnień o przywiązaniu i miłości. Artysta jak szalony rzucił się na stojącą przed nim kobietę, chwycił ją za chłodne ramiona, obalił na ziemię, przygniótł pierś kolanem, ręką szukając gardła, aby „kurczowym“ ruchem wypędzić z ciała życie, które go zabijało... Wtem przebudził się; w mrocznem półświetle stał jak dawniej biały posąg greckiej dziewczyny, jaśniejący czystością linij wśród zieleni kwiatów. Przerażony jeszcze snem strasznym, błagalnie złożył ręce i wyszeptał prośbę: „Nie budź się! śpij, jedyna!“...

Język p. Zapolskiej jest wogóle dość poprawny, ale nie wolny bynajmniej tu i owdzie od rażących błędów, zwłaszcza w użyciu słów czynnych z przeczeniem, po których kładzie biernik zamiast dopełniacza, oraz w zastosowaniu wyrazu bezokolicznego czasowników; pisze np.: śmierć *zdała się zakląć* tysiące obietnic i przysiąg... (zamiast: zdawało się, że zaklęła...).

Pod względem językowym jeszcze więcej poprawek wymagałaby powiastka p. Heleny Obertyńskiej p. n. „Co lepiej“, w bardzo wielu miejscach rusycyzmami zeszpecona. A szkoda, bo jakkolwiek autorce nie można jeszcze obecnie przyznać talentu powieściopisarstwa, książka jej jednak jako utwór publicystyczny zasługuje na polecenie rozwadze jak największej liczby czytelników.

P. Obertyńska w formie powieściowej roztrząsa pytanie: co lepiej, czy wychowywać córki według przestarzałej rutyny, kształcąc w nich t. zw. talenta towarzyskie, ażeby następnie nie mając co robić, z nudów tonęły w zabawach światowych, zatracały poczucie moralne i obywatelskie; czy też kształcić je w naukach specyalnych, ażeby zawsze i w każdem położeniu mogły znaleźć najprzód zajęcie dla umysłu, a powtóre zatrudnienie pożyteczne dla najbliższych i dla ogółu. Jako zwolenniczka postępowego poglądu na zadanie kobiety w społeczeństwie, p. Obertyńska rozstrzyga pytanie to w toku opowiadania

oczywiście na stronę swej bohaterki, wykwalifikowanej w Bernie doktorki medycyny. Ażeby jak najskuteczniej przeciwdziałać uprzedzeniom większości względem kobiet, pragnących pozyskać wykształcenie specyalne, autorka wystawia naturalnie nader ujmująco zarówno charakter Lucyny, jak czas jej studyów i postępowanie jej po powrocie do domu. Nie wyróżnia się ona od otaczających żadną ekscentrycznością, ani zaniedbanym ubiorem, ani dziwacznemi nałogami, ani stronieniem od zabaw, ani zarozumiałością wobec mniej ukształconych. Stara się natomiast wykazać na każdym kroku pożyteczność zdobytej wiedzy przez leczenie chorych, założenie szpitala wiejskiego, a wreszcie i szkoły. Moralności przestrzega jak najściślej jużto z powodu wdrożenia zasad etycznych w postępowanie codzienne, jużto ze względu, iż najmniejsze uchybienie względem przyjętych zwyczajów zagroziłoby powodzeniu idei, której jest przedstawicielką. Tak nakreślona postać ma wszelkie cechy osobistości nie wziętej z obserwacyi, lecz idealnie wymarzonej, a to tem bardziej, że Lucynie powodzi się we wszystkiem.

Jednakże, pomimo niezaprzeczonego charakteru dydaktyczności, jaki autorka nadała utworowi swojemu, niepodobna twierdzić, iżby bohaterka była papierową jedynie doskonałością; a wrażenie pewnego stopnia rzeczywistości, jaki się wynosi z przeczytania książki, wywołała p. Obertyńska głównie tem, że bohaterkę swoją umieściła wśród otoczenia, które z natury swojej nie mogło wywoływać strasznie mądrych i długich dyskusyj, lecz wymagało krótkich, jasno sformułowanych i po prostu wypowiedzianych zdań i uwag. To uwzględnienie strony praktycznej w życiu jednostki, która się wykształceniem wyniosła ponad poziom powszedniości, jest niewątpliwą zaletą książki ze stanowiska artystycznego, a jeszcze bardziej — publicystycznego. Lucyna nic a nic nie pozuje, a zapatrywanie swe na znaczenie nauki dla kobiet streszcza w słowach jasnych i mogących być najlepiej zrozumianemi przez ludzi praktycznych: „Co tracę na uniwersyteckim dyplomie? Trochę czasu skradzionego strojom i rozrywkom na rzecz nauki. Nauka za

to zrobi mię miłą towarzyszką wykształconego człowieka, którego obiorę za męża; oszczędzi wstydu przed dzieckiem, zadającem poważne naukowe pytanie; w razie, gdyby mi nędza wypowiedziała walkę, stanie się bronią w mej ręce; wreszcie dostarczy mi rozrywki podczas chwil wypoczynku, gdybym jako gospodyni zmuszoną była zająć się domem i jego sprawami; w każdym razie będzie mi pomocą — przeszkodą nigdy. Lecz to są rzeczy tyczące się mego osobistego ja, ale poza tym obrębem ile nauka moja przynieść może pożytku"...

Obok wystawienia Lucyny w sposób wielce przemawiający do przekonania nieuprzedzonych, nie zaniedbała autorka użyć i innych środków, któreby ideę wyższego wykształcenia poprzeć mogły skutecznie w myśli ogółu. Do takich środków liczę przedewszystkiem wprowadzenie księdza Zaręby, poczciwego i rozsądnego staruszka, który nie na wyklinaniu poglądów i dążeń postępowych, nie na mechanicznem wypełnianiu obrządków religijnych, ale na wzmaganiu popędu do światła, na wdrażaniu zasad moralnych w życie powołanie religii i stanu kapłańskiego w naszych czasach zasadza. Do takich też środków zaliczyć można odmalowanie rówieśniczki Lucyny, wychowanej po dawnemu, ani złej ani dobrej, ani zbyt czułej ani zbyt obojętnej, która lubi się bawić, mało czytać, jeszcze mniej myśleć. Utrzymanie się w takich umiarkowanych granicach przy kreśleniu postaci kontrastującej z główną nie może wywołać zarzutu, iż przeciwniczka naumyślnie gorzej przedstawioną została; takich bowiem dziewcząt jak Czesia można wskazać całe tłumy. Natomiast nie uważam za stosowne wprowadzenie księdza drugiego, który przy bezmyślności, zdzierstwie dokonywanem na wiernych, lubi występować donośnie przeciwko zarazie nowych poglądów; niekoniecznie bowiem wyznawanie pewnych nam niemiłych zasad musi się łączyć z upośledzeniem moralnem. Gdyby autorka przedstawiła była całą galeryę księży, to wówczas i ks. Kotkiewicz mógłby zająć właściwe w niej miejsce; w opowiadaniu zaś p. Obertyńskiej, postawiony obok ks. Zaręby tylko, zanadto jaskrawo wy-

datnieje i może łatwo w niektórych umysłach sprawić inny skutek, niż ten, jaki autorka sobie zamierzyła.

Dwa przeciwne sobie światy — pracy i marnotrawstwa — przedstawia także p. Wanda z Dowgiałłów Trzcińska, jak głosi tytuł powieści „Jurek“ — a bezimienny na teraz mężczyzna — jak donoszą reporterzy. I ten utwór — czyjkolwiek on jest — ma być, według zdania krytyków dziennikarskich, wykwitem metody realistycznej, a w rzeczywistości jest w mniejszej części wskrzeszonym „Panem podstolim“, a w większej — luźnie zestawionemi obrazami lekkomyślnego życia, malowanemi jaskrawo, ale bez żadnej metody, gdyż realizm miesza się jak w „Małaszce“ z dobrze podstarzałą melodramatycznością, a kompozycya nie posiada najmniejszej spójności. Istotnie pierwsza księga odbija stanowczo od wszystkich następnych. Możnaby powiedzieć, że jak Massalski napisał niegdyś swój romans „administracyjny“ o synu pana Podstolego, tak autor „Jurka“ postanowił przedstawić jego wnuka, działającego wśród rdzennie zmienionych stosunków wiejskich.

Stanisław Zatorowski, obecnie prezes dyrekcyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego, odziedziczywszy dwa folwarki obdłużone, w ciągu trzydziestoletniej pracy zepchnął wszystkie ciężary, spłacił brata, a nadto dokupił sąsiedni przeszło stuwłókowy majątek, który ongi do jego przodków należał. Zdobywszy tę podstawę materyalną, rozwinął na niej prezes zacną i rozumną działalność obywatela, szeroko pojmującego swoje zadanie społeczne, starał się wszelkiemi siłami związać rozprzęgające się węzły pomiędzy dworem a chatą. Jako filantrop na swój sposób, nie myślał po śmierci dopiero przekazywać sum na cele dobroczynne, ale wydawał je za życia celem wykształcenia wieśniaków w rozmaitych zawodach z obowiązkiem wracania do wsi rodzinnej i pracowania tu w obranym fachu. Już tym sposobem wykształcił ogrodnika Ziembę, który przemysł ten we wsi rodzinnej rozwinął szeroko i znacznego na nim dorabiał się przychodu; Marka zaś Olszaka zamierzał prezes na przyszłego dyrektora przędzalni wykierować. Na nieszczęście

ciężka choroba położyła kres jego osobistej działalności. Długo walczył ze sobą, komu zapisać ma znaczny swój majątek. Po młodszym bracie, który dział swój stracił, zostało dwu synów: Zygmunt i Jerzy. Obadwaj byli żonaci i dzietni; obadwaj — domniemani spadkobiercy prezesa. Starszy, inżynier kolei żelaznej, człowiek bardzo poważny, podobny był do swej matki z domu Załężanki, i okrągłemi rysami twarzy nic, a nic nie przypominał Zatorowskich. Prezes uwielbiał go, szanował, ale nie miał serca do zamkniętego w sobie, niezbyt ruchawego potomka Załężanki. Jurek o ściągłej twarzy, małym orlim nosie, przedstawiał typ rodowy Zatorowskich, a lubo był lekkomyślnym pustakiem, goniącym za zabawami, niegospodarnym, pożyczającym od żydów, ale że był przytem miły, serdeczny, wesoły, że wyglądał jak kopia portretów rodzinnych, prezes lubił go całem sercem, usprawiedliwiał wobec własnego sumienia wybryki jego, powiadając, że z czasem wyszumi się, że głowa weźmie górę nad fantazyą i zrobi z Jurka porządnego człowieka i obywatela. Schorowany prezes miał chwile ciężkiej niepewności, staczał walkę z sobą samym, roztrząsał skrupulatnie zalety Zygmunta i Jurka; niekiedy zdawało się, że rozum nieubłagany przeważy sympatye osobiste i rodowe; ale ostatnia chwila wykazała siłę rodowych nałogów; prezes zostawił gotowiznę Zygmuntowi, a Jerzemu — majątek.

Ze śmiercią, czy raczej z pogrzebem prezesa, wprowadza nas autor w całkiem odmienną dziedzinę życia, rozwijając następstwa lekkomyślnego, słabego charakteru bohatera. O ile dotychczas akcya roztaczała się bardzo powoli, ustępując miejsca refleksyom albo wprost dydaktyce (traktacik o ogrodownictwie), o tyle teraz wypadki szkicuje gorączkowo, zbyt często zapominając o ich umotywowaniu, analizę psychologiczną prawie zupełnie pomijając. O Zygmuncie przypomina sobie autor dopiero przy końcu książki; zajmuje się wyłącznie tylko losami Jurka.

W towarzystwie dwu szczwanych pieczeniarzy, Alberta i Hiacynta, którzy wobec ogólnego przygnębienia, umieli się

stać niezbędnymi przy urządzaniu pogrzebu prezesa; Jerzy, który chwilowo poważniejszemi myślami był zajęty i pragnął prowadzić dalej dzieło swego stryja, niebawem zapomina o radach, przekazanych jego testamentem. Markowi Olszakowi nie posyła zasiłku pieniężnego dla ukończenia nauk; w jednej chwili zacietrzewienia przegrywa całą gotowiznę, sprzedaje przyszłoroczne zbiory, zapożycza się, urządza bale, nibyto w myśli przyciągnięcia ku sobie szlachty, nie utrzymuje stosunków z zamożniejszymi a rozumnymi sąsiadami, którzy niechętnie patrzą na jego marnotrawstwo i to podejrzane towarzystwo, jakie się w jego domu zbierać zaczyna; bałamuci narzeczoną Ziemby, Julię, wdaje się w miłostki z panną Reginą, która nie chce utracić swego dziewictwa w brudnym zajeździe małomiasteczkowym, ale gotowa je poświęcić w przepysznie urządzonej sypialni dworu zatorowskiego. Obrazy bachanalij przemykają się szybko jedne za drugiemi. Jerzy coraz mniej jest wybredny w wyborze towarzystwa, sprasza do siebie wszelkiego rodzaju szubrawstwo, gra i pije zapamiętale. Żona Stefania, poczciwa i potulna, wśród jednej z orgij takich, opuszcza dom, udając się do matki swojej; a wówczas rozpoczynają się w pałacu zatorowskim sceny wstrętne i obrzydliwe. Regina, w części wskutek wpływów gorącego temperamentu, w części przez wyrachowanie daje się powodować pułkownikowej, rajfurce szlacheckiego światka, i oczekuje Jerzego w sypialni jego żony. Jerzy, który widział trupa Julii, popchniętej do samobójstwa urągliwem jego słowem, spija się dla zalania wyrzutów sumienia, traci przytomność, upada i leży wśród rzygawiska bufetowego. Podniesiony przez pułkownikową, złożony został w bibliotece, gdzie szereg malowanych przodków przemawia (właściwie nie wiadomo do kogo, czy do Jerzego-bydlęcia, który w takim stanie nic widzieć, nic rozumieć, nic marzyć nie mógł, czy do wstrętnej rajfurki, która z przodkami tymi nic wspólnego nie miała) słowami wspomnień lepszej przeszłości, a „głosy w przestrzeni“ — słowem szyderstwa ze znikczemniałych potomków. Sentencyą: „błogosławieni podobni mrówkom i pszczołom...

a żyjący na wzór koników polnych i trutniów niech będą przeklęci, przeklęci, przeklęci!!!“ — kończy się powieść, a raczej pamflet o barwach jaskrawych, mogący mieć znaczenie publicystyczne jako przestroga dla pustych głów młodych ziemian, których niedawne klęski nie zdołały nauczyć pracowitości i oszczędności. Artystyczne znaczenie utworu jest niewielkie; autor włada stylem poprawnym, żywym, ale dalekim od piękna, umie rzucać grube zarysy, ale nie posiada tajemnicy cieniowania, trywialność gburowatą poczytuje widocznie za siłę, a kreślenie scen obrzydliwych utożsamia z realizmem. Ponieważ jednak łatwiej jest coś zrobić w przyszłości, mając temperament bujny, niż ubogi w soki, można przypuszczać, że po „Jurku“ nastąpią utwory, które usprawiedliwią zawczesne pochwały, jakich doznał obecny ze strony pewnej części krytyki. Tylko musi sobie autor wytknąć lepiej drogę, po której ma kroczyć, musi zważać więcej na zadanie artystyczne odpowiedniego rozdziału świateł i cieni, uwzględnienia różnorodnych składników życia, nie zaś tylko pewnych ujemnych; musi większą baczność zwrócić na umotywowanie następstwa wypadków tak, iżby czytelnik bez objaśnień autorskich sam rozumiał, że inaczej odbyć się one nie mogły, gdy takie a takie warunki je wywołały; musi dbać wreszcie o układ, ażeby dzieło jego nie było tylko zbiorem luźnych szkiców.

Takich samych Jurków, słabych, bez charakteru, lubi wystawiać, tylko w sposób mniej jaskrawy, Włodzimierz Zagórski, pisarz od wielu już lat, bo od r. 1865 walczący grotem satyry przeciw rutynie i zacofaniu, który jednak, o ile mnie wiadomo, większe utwory powieściowe dopiero poczynając od r. 1884 ogłaszać zaczął. Główną widownią jego działalności była Galicya, a mianowicie Lwów, gdzie pod pseudonimem Chochlika pisywał do „Szczutka“, a potem sam redagował humorystyczne „Różowe domino“. Atoli obok satyry zajmował się on i innemi rodzajami poezyi, a urywki z filozoficznego poematu „Król Salomon“ wykazały niepospolity talent zobrazowania poglądów nowożytnych za pośrednictwem „mowy bo-

gów". Gdy się zwrócił do powieściopisarstwa, dowiódł, że i obserwacya zwłaszcza pewnych objawów życia miejskiego stanowi jedną z dodatnich stron jego talentu. „Pamiętniki starego parasola", ogłoszone we Lwowie 1884 r., pomimo wadliwości ogólnej formy, wynikłej ze starego już konceptu, który autorowi nie zapewnił najmniejszej korzyści artystycznej lub myślowej, a uwikłał go w szereg nieprawdopodobieństw, są niewątpliwie wynikiem niejednokrotnej obserwacyi i przedstawiają jeżeli nie nowe zupełnie charaktery i powikłania, to odsłaniają przynajmniej nową ich stronę.

Istotnie, kto się przedrze przez zarośla przedmowy i wstępów, które w intencyi autora miały bawić, a w rzeczywistości nużą i nudzą, ten wyjdzie na widownię, dającą możność przyjrzenia się życiu pozłacanej młodzieży, odrysowanemu nie według zwykłego i dobrze już zużytego szablonu, ale według osobistych świeżych spostrzeżeń satyryka-opowiadacza. P. Zagórski nigdzie się nie unosi i nie piorunuje, a jakkolwiek ma w zapasie sąd ostry o lichocie moralnej towarzystwa, które się uważa za najpiękniejszy kwiat w ogrodzie społecznym, zawsze tylko chce być wiernym malarzem zabaw, orgij, konceptów i głupstw tego kółka.

Charakterystyka rozmów tu prowadzonych może jest najtrafniejsza ze wszystkich, jakie w naszej powieściowej literaturze kiedykolwiek podano; a sprawdzają ją wszystkie odezwania się i cały sposób zachowania się tych pojedyńczych osobistości, jakie wybrał autor do szczegółowego obrobienia. „Jak z worka — powiada p. Zagórski, opisując młodzież zebraną w loży teatralnej, hałasującą głośno bez względu najmniejszego na przedstawianą sztukę — tak się zaczęły sypać niecickawe nowinki, skandaliczne plotki i wstrętne kalumnie. A wszystko to opowiadanem było bez najmniejszej werwy, bez życia, bez dowcipu, bez szczypty nawet owej złośliwości, która obmowę jako-tako jeszcze strawną uczynić może dla wybredniejszego żołądka. To, co właściwą istotę i ozdobę życia ludzkiego stanowi, nie znalazło oczywiście wyrazu w tej brudnej

powodzi. Nic, oprócz błahostek, szumowin i najgrubszych zwierzęcych instynktów! Tylko głupia miłość brudu i skandalu, lekceważenie czci kobiecej, pogarda dla pracy i cichej zasługi, a bałwochwalcza cześć dla powodzenia, — ale cześć połączona z pewną przymieszką zazdrości, podejrzliwości i niechęci, jednem słowem owa cześć, jaką murzyn otacza swojego fetysza, uderzając przed nim czołem dlatego, *bo* (!) nie śmie go błotem obrzucić. Opowiadano sobie o jakimś tłustym baronie, który upiwszy się na obiedzie, danym przez pewnego jenerała dla kilku członków kasyna, rozczulił się tak dalece, że zaczął ściskać kelnera. Szydżono z hrabi Witolda, który złożył dwa tysiące guldenów na założenie czytelni dla ludu, a zachwycano się sprytem barona Augusta, który w swoim majątku wymurował kasarnię dla żołnierzy i w ten sposób za jednym zachodem ubije prawdopodobnie dwie muchy, bo i dochody swe z propinacyi znacznie podniesie i w dodatku order jeszcze za to dostanie. Zastanawiano się nad grubemi łydkami nowego stangreta pani X., nad czarnemi oczyma murzynka hrabiny Y. i nad faworytalnym pińczem starej szambelanowej Z. A wszystko to przeplatano komentarzami *sui generis,* podejrzeniami i skandalicznemi plotkami, — rozważając przytem z wielką ścisłością i powagą, ile szampana i koniaku wypić można bez szwanku dla zdrowia i przytomności umysłu? jak długie faworyty może nosić stangret, którego się w kamasze ubiera? czy skóra murzynów nie wydziela z siebie jakiegoś brudzącego tłuszczu? i czy oddając karty wizytowe, zaginać należy róg ich z prawej czy też z lewej strony?...“ (str. 83, 84). Zgodnie z tą charakterystyką odtwarza autor sceny ogródkowe z szansonistką Amandą, awanturę z niemi połączoną, wystąpienie specyalne Amandy dla kółka wielbicieli, kolacyę „z kobietkami“, okpiwanie małoletniego syna przez zbankrutowanego ojca, i tym podobne obrazy z życia hulaszczego, w tem zabarwieniu pewnie po raz pierwszy w belletrystyce naszej pojawiające się.

Sylwetka wielkoświatowej zalotnicy, Piesi, kończy szereg obrazków, złączonych opowiadaniem o losach słabego, ale

w gruncie dobrego chłopca, który przez brak charakteru i przez próżność uchodzenia za złotego młodzieńca daje się wyzyskiwać materyalnie i moralnie tym, co już się wyćwiczyli w szkole wielkiego świata. Alfred Rabaliński ulega łatwo wpływom zarówno dobrym jak złym; gdy jest na wsi, gotów prowadzić życie najprzykładniejsze, gotów uczyć dzieci chłopskie dla miłości pięknych oczu kuzynki; ale jak tylko dostanie się do towarzystwa lekkomyślnego, wskutek braku odwagi przekonań, a raczej słabego ich ugruntowania, zapomina o postanowieniach dobrych i grzęźnie w kałuży moralnej coraz głębiej.

Toż samo życie na żart, w pewnej części przez też same osoby reprezentowane, znajdujemy w drugiej powieści p. Zagórskiego, w „Wilczem plemieniu“. Bohater i bohaterka jej noszą wprawdzie inne nazwiska, ale Bronisław Zymirski jest w gruncie rzeczy Alfredem Rabalińskim, a Aurelia Niegodzka, to właściwie znana już nam Piesia. Z jednej strony charakter miękki, woskowy, dający się rozmaicie, dowolnie urabiać, w połączeniu z żądzą używania i błyszczenia, z popędem do szulerki, z fałszywym wstydem i nieporadnością, a z drugiej — wypróbowana w salonowej rozmowie, w wyzyskiwaniu słabości mężczyzn, panująca nad sobą, zręcznie grać umiejąca wszelkie role kobieta, która zapragnęła opanować „surowy materyał“ i przerobić go na powolne narzędzie swych zamiarów. Aurelia wysunięta tu została na plan pierwszy; charakter jej odmalował autor biegle i konsekwentnie; gorzej się natomiast udał Bronisław, zwłaszcza gdy go zestawimy z Alfredem Rabalińskim. Alfred jest postacią wybornie pomyślaną i doskonale w ciągu akcyi przeprowadzoną; Bronisław w myśli autora zapewne nie powinien był być kopią jego i dlatego dano mu parę właściwości, z których trzeba było tu i owdzie się tłómaczyć, gdyż czytelnik nie mógł zrozumieć, dlaczego Bronisław tak a nie inaczej postąpił; stąd wogóle biorąc mniej on jest prawdopodobnym, aniżeli Alfred.

Niektóre osoby, wspomniane mimochodem w „Pamiętnikach starego parasola“, jak Muszka Zawirska, Belka Nie-

drzycka, odgrywają większą rolę w „Wilczem plemieniu“, i to nie bez powodzenia. Malowidło życia poświęconego zabawom, a przytem obrazek wieczorów arystokratycznych, na których obłuda maskę pobożności przybiera, aby poza nią tem cyniczniej naigrawać się z rzeczy dla ludzkości najważniejszych — oto najlepsze sceny w „Wilczem plemieniu“; natomiast sceny, w których autor przenosi nas na wieś, należą do tych, które pewną stereotypowością zrażają, nie dając nowego pożywienia wyobraźni. I tu wszakże wyróżnić potrzeba udatnie skreśloną postać młodziutkiego marzyciela, Olesia, który pod wpływem poezyi urobił sobie w 17-tym roku życia własny świat idealny. Kuszenie tego dziecka, rozmarzonego przez rozwydrzoną Aurelię, policzyć można do lepszych części książki p. Zagórskiego, ponieważ w jego opisaniu odczuwa się dużo pierwiastku obserwacyjnego. — Poddane tu rozbiorowi dwie powieści, trochę jednostajnemi żywiołami zaludnione, mogłyby dać zbyt jednostronne pojęcie o twórczości p. Zagórskiego; zwrócić więc winienem uwagę czytelników na to, że w innych swoich nowellach, drukowanych w czasopismach, zwraca się autor do sfer całkiem odmiennych, że dla przykładu wspomnę tylko o pomieszczonym w „Ateneum“ „Iwasiu“.

P. Wincenty Rapacki, znany dobrze z wielu utworów dramatycznych, spróbował także sił swoich i w powieści historycznej p. n. „Grzechy królewskie“. Czas akcyi swego opowiadania wybrał być może pod wpływem utworów H. Sienkiewicza i starał się je niejako dopełnić. Powieść „Ogniem i mieczem“ przepełniona była scenami wojennemi; p. Rapacki zapragnął na tle zawieruchy wojennej nakreślić obrazki z życia powszedniego, chciał wskazać, że obok wielkich spraw, obok mordów i pożogi istnieje przecież ciągle sfera zwykłych, codziennych między ludźmi stosunków, że życie społeczeństwa rozważać można nietylko w świetle strasznych lub wzniosłych wypadków dziejowych, ale także równocześnie w świetle interesów drobnych, jednostkowych czy rodzinnych. Myśl ta nie była bynajmniej złą; owszem z obrazowego jej przedstawienia

mógł powstać utwór i zajmujący i nauczający; w wykonaniu atoli p. Rapackiego nie otrzymała tych zalet w pożądanym stopniu.

Najgłówniejszą może tego przyczyną był bardzo nieszczęśliwy wybór formy. P. Rapacki całą swą powieść podaje jako „opowiadanie Imć Pana Krzysztofa Scypiona, dworzanina Jego Kr. Mości". Wiadomo, jak takie przedzierzgnięcie się w osobę z bliższego nam bądź co bądź czasu krępowało już Kaczkowskiego, kiedy występował w roli Marcina Nieczui; wiadomo, że podobneż usiłowanie Władysława Łozińskiego jako Narwoja udawało się tylko w drobnych obrazkach. Szkoda, że autor „Grzechów królewskich" nie skorzystał z nauki, jaką nam wszystkim dały próby tych powieściopisarzy; że zamiast z mozołem, a nie zawsze ze skutkiem, naginać się do pojęć i sposobu pisania jakiegoś tam dworzanina z XVII. wieku, nie przemawiał sam od siebie, a raczej w formie przedmiotowej, jak to zrobił Sienkiewicz, który także spróbowawszy w opowiadaniu Zdanoborskiego maskowania się niewdzięcznego, wolał go się zrzec w większych swoich powieściach historycznych. Gdyby p. Rapacki trzymał się był metody przedmiotowej, możebyśmy otrzymali coś bardziej zajmującego, coś bardziej jednolitego, zogniskowanego, aniżeli te prawie po kronikarsku czy pamiątkowo skreślone zapiski pana Krzysztofa Scypiona, który nas ani swoją osobą, ani swojemi czynami, ani swojemi poglądami, ani sposobem opowiadania zainteresować nie potrafił, gdyż widzi niewiele i niegłęboko, a mówi niecharakterystycznie ani zajmująco.

Po kronikarsku dowiadujemy się o wielkich zamiarach Władysława IV. podjęcia wojny z Turcyą, o spełznięciu ich wskutek oporu możnowładców i zadumowionej szlachty, o wybuchu buntu Chmielnickiego i głównych jego fazach, o śmierci Władysława, elekcyi i pierwszych latach rządów Jana Kazimierza, o rozmaitych przygodach, wypadkach i przypadkach życia dworskiego i ziemiańskiego, o miłostkach, zajęciach i zabawach wielu jednostek i rodzin. Nic znamiennego w dodatniem

lub ujemnem znaczeniu nie spotykamy w większej części opowiadania — i ta szara jego barwa jest największą jego wadą.

Bohaterem jest poboczny syn królewski, znany pod nazwiskiem Szymona Bzowskiego, a następnie, gdy stanął na czele ludu buntującego się przeciwko szlachcie i opanował Czorsztyn, pod imieniem Kostki Napierskiego. Historyę jego zewnętrzną i wewnętrzną rozwija autor zgodnie z tem, co nam dzieje o nim przekazały, usiłując tylko ze swej strony wyjaśnić wiązanie się z Chmielnickim za pomocą przypuszczenia, iż dusza Bzowskiego, gorąca, namiętna a szlachetna, uczuła się głęboko draśniętą i pokrzywdzoną tem urągliwem lekceważeniem, jakie mu zaczęto okazywać po śmierci Władysława IV. Gdyby ten dramat wewnętrzny był przedstawiony z większą subtelnością i z większem zogniskowaniem, mógłby był nadać opowiadaniu cechę wybitną. Jakoż istotnie staje się bohater zajmującym wtedy dopiero, gdy w nim ostateczny przełom nastąpił, gdy się zdecydował stanąć na czele ludu. Ale dzieje się to dopiero przy końcu książki.

Sceny ludowe, postaci podżegaczy, obrona Czorsztyna, ujęcie Napierskiego, ostatnie jego chwile, są jeżeli nie świetnie, to w każdym razie bardzo dobrze i zajmująco opisane. Ta część powieści wynagradza do pewnego stopnia nudy poprzednich. Romansowa strona powieści nie jest bardzo wydatną, i słusznie podobno; ani bowiem miłość w wiekach dawniejszych nie miała tego znaczenia, jakie jej w literaturze nadała poezya romantyczna, ani też nie mamy dosyć dokumentów, iżby ją odpowiednio do ducha owego wieku odtworzyć. Postać energicznej dziewczyny, wychowanej i zahartowanej na stepach, a miłującej bohatera dopóty, póki jawnej względem kraju zdrady nie okazał, następnie zaś pomagającej do jego ujęcia, lecz zarazem starającej się o jego ułaskawienie, pomyślana jest dobrze i modelowana według tych wzorów, jakie dr. Rolle w „Niewiastach kresowych“ nakreślił. Satyryczna myśl autora, wskazująca, jak duchy dzielne giną, a liche i płaszczące się dostępują zaszczytów i za dzielnych obrońców kraju podawać

się umieją, nie została dostatecznie oświetloną, a powodem tego — kronikarski sposób przedstawienia rzeczy. Wogóle można powiedzieć, że pomysłów dobrych autorowi nie brak, ale rozwinięcie ich jest słabe.

Tęż cechę twórczości, tylko co do wykonania jeszcze w niższym stopniu, noszą na sobie nowelle i powieści Michała Wołowskiego. Że mu pomysłów nie brak, dowodem sama obfitość opowiadań, zebranych pod ogólnym napisem „Jasne i ciemne obrazki". Jest ich tu dwanaście; każdy taki obrazek ma treść własną, odrębną; treść ta nieraz bywa małoznaczną, ale w każdym razie musiała być pomyślaną, musiała się zjawić jako wynik aktu twórczego. Czy wszędzie akt ten był istotnie twórczym, a nie odtwarzającym tylko, na pewno twierdzić nie można, zwłaszcza gdy jeden mianowicie obrazek obudza poważną pod tym względem wątpliwość. Mówię tu o opowiadaniu p. n. „Przyszedł Węgier", które przy pierwszem ukazaniu się swojem w czasopiśmie pozyskało dla autora poklask. Otóż pomysł tego opowiadania jest tak podobnym do ustępu jednego w powieści T. T. Jeża p. t. „Pani Komisarzowa", że trudno się obronić myśli, żeby p. Wołowski nie miał się zasilić u swego znakomitego poprzednika. Sytuacya i tu i tam takaż: miejsce tylko akcyi i rozwiązanie trochę odmienne; co zaś najbardziej nasuwa podejrzenie o zasileniu się p. Wołowskiego u Jeża, to przemiana słówka *lem,* widocznie p. Wołowskiemu nieznanego, na „sem", które najpocieszniej wziął za równoznaczne... Jak ten obrazek, tak i parę innych („Marsz Rakoczego", „Czemu", „Piosnka") przenika uczucie patryotyczne i czyni je wielce sympatycznemi, ale wykonanie ich nie zadawalnia wymagań estetycznych. Ma ono jedną tylko zaletę, żywość — ale nie odznacza się ani poprawnością, ani tem bardziej barwnością, czy malowniczością. W kompozycyi i stylu nie zadaje sobie trudu niewybredny autor; ufny w obfitość swej swady, pisze byle jako; czasami uda mu się nieźle, czasami całkiem licho, jak np. w ramotkach, zatytułowanych:

„Z notatek jednodniowego delegata“, — „Co sobie opowiadają dęby na Bielanach“.

Wady, wydające się nazbyt rażącemi w drobnych utworach, wydatnieją i jaskrawemi się stają w obszerniejszych, gdzie, z powodu większego powikłania osnowy, konieczność dobrze obmyślanego planu staje się natarczywszą i gdzie analiza psychologiczna lub też plastyka przedstawienia wystawia na próbę ognia talent powieściopisarza. P. Wołowski napisał między innemi, w czasopismach ogłoszonemi, opowiadanie obszerniejsze, osobno wydrukowane, p. n. „Cyganiątko“. Jest to entuzyastyczna historya Maryni, robiącej prawdziwe cuda, przemieniającej ludzi, reformującej okolicę, walczącej dzielnie, ratującej bliźnich, podnoszącej gospodarstwo i t. d. i t. d. Wszystkie te cuda opowiedziane są tak, jak to sobie u nas opowiadano przed reformą powieściopisarstwa, dokonaną przez Kraszewskiego, t. j. bez należytego umotywowania, bez naocznego przekonania czytelnika, że tak być mogło. Na wszystkie wątpliwości co do znaczenia i rozwoju wypadków w swej powieści, nie myśląc ani o ich ugrupowaniu ani o ich artystycznem przedstawieniu, gorączkowo śpieszy z zaznaczeniem, iż były, aby do nowych przeskoczyć. Gdy się zmęczy, przystaje na chwilę i opowiada, czem zostały osoby przezeń wprowadzone do osnowy powieści; a że nie posiada zdolności zwięzłej charakterystyki ani plastycznego obrazowania, opowiadanie zamienia się w gadaninę, w której jeden wyraz prawie nie trzyma się drugiego. W pośpiechu twórczym tak dalece zaniedbał sposób wyrażenia myśli, że niekiedy wydaje się, iż autor albo nie myślał wcale o tem, co pisze, albo nie rozumiał wyrazów, których użył. Oto przykład logiki: Gustaw i Alfred Stolińscy byli to bracia zupełnie do siebie niepodobni ani fizycznie, ani moralnie; p. Wołowski powiada, że „stanowili *ze sobą* zupełny kontrast, a kontrast ten w fizyonomiach, w powierzchowności był i *odbiciem dróg, po jakich ci ludzie kroczyć mieli*“. Chyba pierwszemu p. Wołowskiemu udało się odnaleźć na twarzach ludzkich *odbicie* tego, czego jeszcze na nich

być nie mogło, bo dopiero w przyszłości znaleźć się na nich miało. Albo znów opowiadając o pobojowisku, p. Wołowski bez zająknienia pisze dosłownie: „Gdyby *który z malarzy* chciał kiedy utworzyć *genialne płótno,* w rodzaju kartonów Grottgerowskich, *potrzebowałby tylko popatrzeć* na te twarze, wykrzywione bólem i cierpieniami, na różnorodny ich charakter i odmienny wyraz, manifestujący się na każdej *odmiennym układem mięśni i odmiennem ich skrzywieniem*“ (str. 71). Jak widzimy, autor bardzo łatwym sposobem tworzyłby genialnych artystów. Albo weźmy pod uwagę określenie pojęć według właściwej autorowi logiki. Powiada on, że bohaterka plan cały ratowania zrujnowanej rodziny miała gotowy w głowie i dodaje: „... prostym on był, a polegał na zdobyciu jak największych środków i zapewnieniu dla rodziny kawałka chleba“ (str. 71). Widocznie autor nie odróżnia celu od planu, który do osiągnięcia tego celu prowadzi. Gdy autor sili się na obrazowość, powstaje coś tak zabawnego, że pomimo grozy odtworzonego położenia trudno się wstrzymać od śmiechu. Oto próbka: „Pole zasłane było trupami — tu i owdzie *wyciągnięta ręka* do góry z zaciśniętą pięścią *grozić się zdawała* niebu i ludziom za *zmarnowanie życia swego właściciela*“ (str. 68). Lepszych frazesów i w Rinaldo Rinaldinim znaleźć trudno.

A jaki język i jaki styl! — „Ja to *rozumieć umiem*“ (str. 90) — powiada bohaterka, cudowna Marynia, która widocznie tej jednej nie ma doskonałości, że się po polsku wyrażać dobrze nie potrafi. „Zaręczam *cię*“ (str. 58) — mówią inni, którzy różnej składni rządu, do tegoż samego słowa stosować się mogącej, względnie do jego znaczenia, nie pojmują. „Gustaw *to* co mówił, *to* myślał; była *to* z gruntu natura uczciwa“ — opowiada sam autor (str. 56). A gdyby tak był napisał przed laty w ćwiczeniu szkolnem, miałby za swoje; dzisiaj drukuje i są redakcye, które... podobnych błędów nie poprawiają.

Nie wypisuję całej listy wyrażeń, świadczących o nieuwzględnieniu najprostszych wymagań gramatyki i stylu, gdyż

musiałbym ze dwie stronice niemi wypełnić; ale w imię tej mowy poniewieranej, nad którą frazeologicznie unosić się umiemy, niech mi będzie wolno zawołać do autorów i redaktorów, drukujących takie ramoty: Panowie! zanim zaczniecie nauczać współziomków, co i jak myśleć i czuć, zadajcie sobie pracę wystudyowania gramatyki i stylistyki języka ojczystego, bo na nic się nie zdadzą wasze patryotyczne przestrogi, jeśli wy sami przedewszystkiem słuchać ich nie zechcecie!...

1885.

TREŚĆ.

	Str.
I. Józef Korzeniowski	1
II. Ludwik Sztyrmer	155
III. Ignacy Maciejowski (Sewer)	303
IV. Aleksander Głowacki (Bolesław Prus)	345
V. Klemens Junosza	417
VI. Mieczysław Bierzyński (Czerneda)	449
VII. Debiuty powieściopisarskie z roku 1885	461

Stanford University Libraries
3 6105 014 781 061

PG
7028
.C5
v.2

DATE DUE